

Kelly Cathy

Zawsze i na zawsze

Dobre wróżki mieszkają w Irlandii...

W pięknym miasteczku Carrickwell pod Dublinem mieszkają trzy kobiety, które dokonały już życiowych wyborów i teraz realizują swoje plany. Ambitna Mel, matka dwóch córeczek, odnosi sukcesy, pracując w marketingu. Wrażliwa Daisy marzy o dziecku z mężczyzną, który jest dla niej całym światem. Porywcza Cleo z dyplomem hotelarstwa w kieszeni i głową pełną racjonalizatorskich pomysłów szykuje się do pracy w rodzinnym pensjonacie i szuka miłości swojego życia.

Okazuje się jednak, że ich stabilizacja jest złudzeniem, a los szykuje im przykre niespodzianki. Mel, dręczona ciągłym poczuciem winy, właściwym dla pracujących matek, z coraz większym trudem godzi obowiązki zawodowe z życiem rodzinnym. Daisy dojrzewa do podjęcia decyzji o macierzyństwie, ale przekonuje się, że aby zrealizować to marzenie, musi stoczyć bój i z narzeczonym, i z naturą. Rodzinny pensjonat Cleo podupada, rodzice i bracia nie chcą go ratować, a wybranek jej serca okazuje się być inny, niż sądziła.

Każda z tych trzech kobiet z dnia na dzień stwierdza, że jej życiu grozi straszliwa rewolucja. Ale Carrickwell to magiczne miejsce. Usadowione w cieniu góry Carraig, czerpie z niej magiczną siłę. Pojawienie się Leah, doświadczonej wielką tragedią, tajemniczej kobiety, która otwiera ośrodek "spa" w zrujnowanej posiadłości, wpłynie na losy mieszkańców w sposób, którego nikt wcześniej nawet sobie nie wyobrażał. Dzięki niej Mel, Daisy i Cleo odnajdą w sobie odwagę i siłę do walki o to, co w ich życiu jest najważniejsze.

Prolog

Kobieta stała nieruchomo przed Domem na górze Carraig i patrzyła na rozciągającą się u jej stóp panoramę: smagane wiatrem, zapuszczone ogrody i nierówną ścieżkę schodzącą do niewielkiego jeziora. Za jej plecami wznosił się w niebo szczyt góry Carraig. Rob, agent z biura nieruchomości, powiedział jej, że „Carraig” po irlandzku znaczy „skała”. I właśnie skałą była ta góra: widowiskowa, dominująca nad niższym, ciągnącym się na południe łańcuchem znanym jako Cztery Siostry.

Przed nią leżało Carrickwell, kipiące życiem targowe miasteczko, które nazwę wzięło od góry. Na dwie części dzieliła je srebrna nitka rzeki Tullow, a z tego miejsca wysoko na zboczu kobieta mogła dostrzec łagodnie wijącą się główną ulicę, domy, parki, sklepy, szkoły i średniowieczną katedrę przy rynku.

Ćwierć wieku temu Carrickwell, choć położone blisko Dublina, było sennym zaściankiem. Czas i ceny domów w stolicy nadały tempo tutejszemu życiu, choć nie zniszczyły atmosfery spokoju.

Niektórzy powiadają, że to z racji starych magicznych szlaków, które tędy przebiegały. Druidzi, pierwsi chrześcijanie, uchodźcy religijni - wszyscy po kolei przybywali do Carrickwell i osiedlali się w życzliwym cieniu góry Carraig, gdzie znajdowali schronienie, a pragnienie zaspokajali czystą górską wodą.

Na zboczu po lewej znajdowały się ruiny klasztoru cystersów, przyciągające jak miód pszczoły turystów, akwarelistów i uczonych. Pozostały też resztki okrągłej baszty, na którą po sznurowej drabinie uciekali przed najeźdźcami mnisi.

Po drugiej stronie miasta, niedaleko uroczego, choć troszkę nadgryzionego zębem czasu hotelu Willow, widniał mały kamienny krąg, przez archeologów uważany za osadę druidów. W czasie letniego przesilenia Mistyczne Ognie, sklepik handlujący najróżniejszymi magicznymi przedmiotami, począwszy od kryształów i kart do tarota, na anielskich szpilkach i amuletach odpędzających złe sny skończywszy, dzięki druidom zarabiał fortunę.

W okresie Bożego Narodzenia goście podświadomie trzymali się z dala od Mistycznych Ognia i odwiedzali Ziemię Świętą, niewielką chrześcijańską księgarnię, gdzie mogli kupić nagrania chorałów gregoriańskich, modlitewniki, małe pojemniczki z wodą święconą, a także specjalność zakładu - różańce z macicy perłowej.

Właścicielkom obu sklepów, uroczym damom po siedemdziesiątce, z których każda oddana była bez reszty swym przekonaniom, wcale nie przeszkadzały te fluktuacje.

- Koło fortuny obraca się po swojemu - mawiała Zara z Mistycznych Ognia.
- Bóg wie, co jest dla nas najlepsze - zgadzała się Una z Ziemi Świętej. Dzięki tym duchowym nastrojom nad Carrickwell unosiła się aura wielkiego spokoju i to ona przyciągała ludzi do miasteczka.

Bez wątpienia ta właśnie aura w pewien zimny wrześnieowy poranek zwabiła Leah Meyer do Domu na górze Carraig.

Pomimo grubego wełnianego swetra pod starą kurtką narciarską Leah czuła, jak chłód przenika ją na wskroś. Była przyzwyczajona do suchych upałów Kalifornii, gdzie dwadzieścia stopni Celsjusza oznaczało zimno i możliwość użycia mniejszej ilości kremu z filtrem. W tym tak odmiennym klimacie chłód odbierała niemal boleśnie. Chyba wiek daje mi się we znaki, pomyślała, trzęsąc się na całym ciele. Wiedziała jednak, że wszyscy zachwycają się jej młodym wyglądem.

Przez całe życie bardzo o siebie dbała, ale lata mijały i nadszedł dzień, kiedy żaden krem nie był w stanie zamaskować upływu czasu, kilka lat temu poddała się więc dyskretnej regulacji oczu i brwi. W ten sposób odzyskała pięknie rzeźbioną twarz, z którą przyszła na ten świat. Sześćdziesiątka naprawdę może być powtórnią czterdziestką, uśmiechnęła się Leah do siebie - pod warunkiem że masz dobrego chirurga plastycznego.

Potrafiła też jakoś znieść ból w stawach, ponieważ wreszcie znalazła to miejsce, którego od lat szukała: miejsce, gdzie zbuduje swój ośrodek spa. Carrickwell i Dom na górze Carraig idealnie się do tego celu nadawały. W tym stanie umysłu Leah nie czuła, że powietrze jest zimne, tylko że jest rześkie i oczyszczające.

- Spokój - powiedziała wreszcie, odwracając się do agenta, który stał w dyskretnej odległości. - Oto słowo, którego szukałam. Czy nie czuje pan, jak ogarnia tu pana spokój?

Rob, agent z biura nieruchomości, przyjrzał się uważnie ruinie, która nosiła nazwę Domu na górze Carraig, i zastanowił się, czy to on powinien zbadać sobie głowę, czy ta elegancka dama z Ameryki. Widział wyłącznie ruinę w dziczy, nieruchomość, która od czterech lat figurowała w ofercie jego biura, u nikogo nie wywołując szczególnego zainteresowania.

Owszem, kilka osób przyszło przyjrzeć się domowi. Skusił ich liryczny opis autorstwa dawnego pracownika, który miał ten niewątpliwy talent, że zawsze umiał robić coś z niczego.

Ten elegancki osiemnastowieczny dwór, niegdyś siedziba sławnej rodziny Delaneyów z Carrickwell, został zbudowany we wspaniałym klasycznym stylu i pyszni się cudownymi, wysokimi pomieszczeniami typowymi dla epoki. Kręty żwirowy podjazd oraz wspaniały portyk przypominają romantyczne czasy konnych powozów. Starannie zaprojektowane, osłonięte przed górskimi wiatrami ogrody różane potrzebują jedynie ręki doświadczonego ogrodnika, który przywróciłby im dawną świetność. Widok na dzikie piękno góry Carraig i ciągnącą się poniżej dolinę nie mają sobie równych, a piękna aleja ponad stuletnich rododendronów prowadzi do majestatycznego Lough Enla.

Ten bajer bez dwóch zdań podzielał na panią Meyer, bo wcześniej widziała dom na stronie internetowej, a teraz nie kryła zauroczenia. Rob umiał powiedzieć, kiedy klientom podoba się oferowane miejsce: przestają zauważać jego, widzą wyłącznie otoczenie, wyobrażając sobie meble w pokojach i śmiech bliskich niosący się po ogrodzie. U tej kobiety występowały wszelkie objawy takiego stanu. Wiedział też, że klientka ma pieniądze, ponieważ z lotniska przyjechała czarną limuzyną z szoferem. Należy jednak dodać, że nie była ubrana jak milionerka - miała na sobie dżinsy, bardzo zwyczajną ocieplaną kurtkę i proste kremowe czółenka. Nie nosiła biżuterii.

Trudno było stwierdzić, ile ma lat. Rob lubił szacować wiek ludzi i nieruchomości: dom z osiemnastego wieku, bungalow z lat siedemdziesiątych, czterdziesto- paroletni bogaty biznesmen. Z tą klientką nie poszło mu jednak tak łatwo. Ze szczupłą, elegancką figurą, jedwabistymi kasztanowymi włosami i wielkimi piwnymi oczami mogła mieć od trzydziestu do sześćdziesięciu lat. Jej oliwkowej cery nie znaczyły jednak zmarszczki i kobieta sprawiała wrażenie zadowolonej z siebie. Chyba jest tuż po czterdziestce...

- Uwielbiam ten dom - oznajmiła Leah, bo nie było sensu dłużej bawić się w jakieś gierki. - Biorę go. - Uścisnęła dłoń Roba i uśmiechnęła się. Teraz, kiedy podjęła decyzję, poczuła, jak ogarnia ją wielki spokój.

Dawno już powinna być zmęczona, zamiast tego jednak nie mogła się doczekać, kiedy zabierze się do pracy. Spa na Górze Carraig? Skalne spa? Nazwa sama do niej przyjdzie. Nazwa sugerująca raj, nie zaś miejsce, w którym znudzone kobiety robią sobie pedicure, a mężczyźni po przepłynięciu kilku długości basenu nabierają przekonania, że udało im się pokonać ataki Ojca Czasu.

Nie. W jej ośrodku najważniejsze będzie to, żeby człowiek czuł się dobrze samą ze sobą. To będzie miejsce dla wyczerpanych i śmiertelnie znużonych, tych, którzy nie wiedzą, co ze sobą dalej począć. Będą mogli pływać w basenie i o wszystkim zapomnieć, będą mogli leżeć na macie do masażu i czuć, jak

wszystkie zmartwienia odpływają razem z bólem. Dzięki odświeżającej wodzie z górskiego strumyka płynącego tuż za drzwiami i kojącej aurze Carrickwell nabiorą nowych sił i zostaną uleczeni.

Magia podobnego miejsca niegdyś jej samej przywróciła coś w rodzaju spokoju i wewnętrznej równowagi. Tamto nazywało się Wzgórze Obłoku, bo tak w swoim języku Indianie ochrzcili wzniesienie, na którym zostało zbudowane, i nagle Leah uzmysłowiła sobie, że ta sama nazwa idealnie pasuje tutaj.

Pierwsze Wzgórze Obłoku, w którym na nowo nauczyła się cieszyć życiem, znajdowało się na drugim końcu świata, ale tutaj Leah wyczuwała tę samą magię. I tutaj będzie mogła robić dla innych ludzi to samo, co Wzgórze Obłoku zrobiło dla niej. W taki sposób się odwdzięczy. Przez lata marzyła o założeniu ośrodka spa, ale nigdy wcześniej nie trafiła na odpowiednie miejsce. Wykalkulowała, że jeśli rozpocznie prace natychmiast, ośrodek otworzy za rok, w najgorszym razie za półtora.

- Chce pani... To znaczy, że kupi pani ten dom? - zapytał Rob, wstrząśnięty tempem, w jakim klientka podjęła decyzję.

Twarz Leah promieniała spokojem.

- Tak - odparła cicho.

- To trzeba uczcić drinkiem - stwierdził Rob, czując, jak ogarnia go wielka ulga. - Ja stawiam.

Rozdział pierwszy

Mel Redmond rzuciła na podłogę kabiny włoską torbę ze sztucznej skóry, z głośnym trzaskiem opuściła klapę sedesu i usiadła, po czym zaczęła zrywać celofan z opakowania zawierającego cienkie czarne rajstopy. Spieszyła się, więc ruchy miała niezgrabne. Cholerne opakowanie. Czy teraz już wszystko zabezpieczają przed dziećmi?

Wreszcie udało jej się pokonać celofan i rajstopy rozwinęły się długim, jedwabistym pasmem. W sklepie niedaleko Lorimar Health Insurance zabrakło czarnych i grafitowych rajstop - idiotyczne, naprawdę, skoro sklep znajdował się w samym sercu dublińskich biurowców - więc Mel musiała pobiec do butiku koło banku i wybulić za parę obłędne szesnaście euro. Ze też musiała złapać oczko akurat w dniu, kiedy szef firmy zwołał zebranie.

Lata pracy w reklamie wpoili Mel jedną z najważniejszych zasad kobiety pracującej: jeśli wyglądasz rewelacyjnie, ludzie zauważają ciebie jeśli wyglądasz niechlujnie, widzą tylko to, co jest niechlujne: rozmazany cień do powiek i popękany lakier na paznokciach. Jeszcze mogą krzyknąć: „O mój Boże, patrzcie na jej nogi!”.

Tak czy owak Hilary, szefowa działu marketingu i reklamy oraz przełożona Mel, pewnie zbladłaby jak kreda pod podkładem Elizabeth Arden, gdyby Mel dopuściła się zbrodni przyścia na zebranie w podartych rajstopach.

Mel żartowała, że kiedy dorośnie, chciałaby być taka jak Hilary: zawsze zorganizowana (w przeciwieństwie do Mel, która dokładała wszelkich starań, żeby wyglądać na zawsze zorganizowaną) oraz z zapasem tabletek na ból głowy, rajstop i perfum w teczce z prawdziwej włoskiej skóry.

Podróbka Mel zawierała zapasy na wypadek jakiejś katastrofy: pół batonika, tampon z zerwaną folią, jeden paracetamol, kilka pisaków bez zakrętek i małą torebkę rodzynek, tak wysuszonych, że przypominały znalezisko z grobowca Tutanchamona. Podręczniki właściwego karmienia kilkuletnich dzieci zalecały rodzynki jako rewelacyjną przekąskę, ale Mel odkryła, że czekoladowe pastylki o wiele skuteczniej tłumią w zarodku awantury wybuchające podczas zakupów w supermarkecie.

- Kolejny minus za bycie okropną matką - dworowała sobie Mel w rozmowach z koleżanką z działu marketingu, Vanessa. Często żartowały na temat bycia złą matką, chociaż zabiłyby każdego, kto tak by je nazwał.

Kiedy jesteś pracującą mamą, musisz kpić z tego, czego najbardziej się boisz, powtarzała Mel. Całe jej życie podporządkowane było trosce, żeby dwuipółletnia Carrie i czteroletnia Sara nie cierpiały z tego powodu, że ich mamusia wróciła do

pracy. Gdyby to od niej zależało, nikt nigdy by nie powiedział, że Mel Redmond popełnia błędy i niedopatrzona.

Uwielbiała pracę w Lorimarze, miała jasno sprecyzowane cele i kiedyś przysięgła sobie, że zostanie jednym z szefów reklamy, nim skończy czterdzieści lat.

Dwójka dzieci zmieniła te plany. A może to Mel się zmieniła po urodzeniu dwójki dzieci? Jak w wypadku kury i jajka, nie wiadomo, co było pierwsze.

Skutek był taki, że chociaż skończyła czterdzieści lat, awans na dyrektora odsunął się, zamiast przybliżyć, a ona walczyła, by utrzymać wszystkie piłeczki w powietrzu. Macierzyństwo sprawiło, że piersi jej obwisły, a ambicje zmały.

„Kiedy dorosnę, chcę zostać kobietą interesu z własnym gabinetem i aktówką” - tak napisała jedenastoletnia Mel w szkolnym wypracowaniu.

„Mądra dziewczynka” - powiedział tata, kiedy wróciła do domu z wyróżnieniem.

„Popatrzcie na to” - oznajmił z dumą na następnym wielkim spotkaniu rodzinnym, prezentując zeszyt wypełniony starannym, lekko pochyłym pismem córki. - „Nasza mała Melanie wrodziła się we mnie. Ma dobrze poukładane w tej swojej główce”.

Ojciec Mel poszedłby na uniwersytet, ale rodziny nie było na to stać. Wielką radość sprawiały mu sukcesy córki.

- To ty w ogóle nie chcesz wychodzić za męża? - zapytała ze zdziwieniem babka. - Bo jeśli wyjdiesz za męża, możesz mieć ładny dom, dzieci i być bardzo szczęśliwa.

Mel podobały się lekcje historii o dziewczętach, które wyruszały do walki zamiast zajmować się domem, zapytała więc tylko:

- Dlaczego?

Ojcu wciąż wydawało się to niezwykle zabawne i regularnie powtarzał, jak to Melanie, już jako dziecko, skupiona była na zrobieniu kariery.

Mel kochała go za to, że był z niej taki dumny, chociaż z czasem znienawidziła tę opowiadkę. Jako dziecko zakładała, że jeśli ktoś jest mądry, może mieć wszystko. Życie zweryfikowało to założenie.

Teraz miała dwa etaty, macierzyństwo i pracę zawodową, a jeśli nawet wszyscy dokoła uważali, że doskonale sobie radzi, ona sama nie mogła oprzeć się wrażeniu, że i w domu, i w pracy popełnia błędy. Stawiała sobie niezwykle wysokie wymagania.

Nad ostatnim elementem tej trójcy, małżeństwem, nie miała czasu pracować.

Toczyło się samo, własnym rozpędem.

„Skąd pracująca matka wie, kiedy jej partner ma orgazm? - taki e-mail przysłała jej koleżanka z collegeu. - Bo on dzwoni do domu, żeby jej o tym powiedzieć". To była najśmieszniejsza rzecz, jaką Mel słyszała od dłuższego czasu, śmieszna w historyczny i desperacki sposób, jak dziura w tratwie ratunkowej. Ale nie mogła nikomu tego dowcipu powtórzyć, zwłaszcza swojemu mężowi, Adrianowi, na wypadek gdyby miał stwierdzić, że to bardzo prawdziwe. W ich domu pielęgnowanie miłości było równie ważne jak czas spędzany we dwoje (zero) i długie kąpiele aromaterapeutyczne dla zmniejszenia stresu (też zero).

Mel żywiła rozpaczliwą nadzieję, że jeśli będzie prowadzić spokojny i radosny dom, to nikt nie zauważy tych obszarów, w których brakuje jej miłości i troskliwości.

„Podziel się obowiązkami, miej trochę czasu wyłącznie dla siebie i nie pozwól rodzinie oczekiwać, że będziesz superkobietą" - namawiały artykuły dotyczące napięć i stresów pracujących matek.

Po latach kontaktów z dziennikarzami Mel wiedziała, że autorki tych artykułów należą do jednego z dwóch typów: jeden to olśniewająca młoda kobieta, dla której myśl o dziecku jest dość odległa, drugi to pracująca jako wolny strzelec matka, która pisze przy kuchennym stole, kiedy dzieci są w szkole, i która już dawno uświadomiła sobie, że nie da rady pogodzić tych wszystkich spraw, ale zarabia na utrzymanie, wmawiając ludziom, że to możliwe.

Czas wyłącznie dla siebie? Do diabła, a co to jest? I jak możesz przekazać obowiązki domowe i zakupy dwójce dzieci poniżej pięciu lat oraz mężczyźnie, który na etykietach produktów żywnościowych nie potrafi znaleźć informacji o zawartości sodu albo benzoesanów?

Ściągnęła podarte rajstopy i wepchnęła do torby, po czym zaczęła wkładać nowe. Poprawiła górę, która uwierała ją w udo, wygładziła śliwkową spódnicę -model z ostatniej kolekcji Zary, zaprojektowany tak, żeby wyglądał jak Gucci i wypadła z kabiny. Przed lustrem pośpiesznie przeczesała krótkie blond włosy Odrosty przekroczyły już granicę dobrego smaku, wahały się na linii pomiędzy wyglądem funkowym a niechlujnym. Kolejny punkt na liście spraw do załatwienia.

Na szczęście jeszcze nie wyglądała na swoje czterdzieści lat, co było bardzo przydatne, zważywszy na brak czasu i środków na zastrzyki z botoksu. Kiedyś zadręczał ją problem, że wygląda na młodszą, niż jest - gdy miała osiemnaście lat, ludzie myśleli, że dopiero skończyła czternaście, i musiała pokazywać legitymację studencką, żeby wejść na film dla dorosłych. Teraz, po dwójce

dzieci i niezliczonych nieprzespanych nocach, okazywało się to prawdziwym błogosławieństwem.

Natura dała Mel drobną twarz o wyraźnie zarysowanej brodzie, jasnej cerze i ładnych łukach brwi nad migdałowymi oczami barwy czystego nieba po burzy, z fioletowymi cętkami wokół źrenic. Maybelline dał jej gęste czarne rzęsy i odporną na pocałunki wiśniową szminkę, która przetrwać mogła atak nuklearny. Poczucie humoru sprawiło, że miała mnóstwo drobnych zmarszczek wokół ust, ale sądziła, że nie zdoła znieść bólu związanego z ich usuwaniem. Po drugim porodzie, kiedy przez tydzień musiała nosić gumowy pas, całkiem porzuciła myśl o wszelkich, choćby najdelikatniejszych szwach.

Spojrzała na zegarek. Pięć po dziesiątej. Cholera. Za późno na windę. Pobiegnęła schodami, po drodze jakimś cudem znajdując w torebce błyszczący do ust.

Edmund Moriarty, prezes Lorimar Health Insurance, zdążył już zająć swoje miejsce w wielkiej sali konferencyjnej, ale wciąż panował w niej szmer rozmów, który pozwolił Mel wemknąć się niepostrzeżenie i usiąść na wolnym krześle po lewej.

Lorimar jedna z największych firm w kraju zajmujących się ubezpieczeniami zdrowotnymi, od dwudziestu lat przodował na rynku, ale teraz pojawiło się mnóstwo międzynarodowych konkurentów i z coraz większym trudem osiągnęto świetne wyniki. Dzisiejsze spotkanie dotyczyło ustalenia strategii, dzięki której Lorimar mógłby stawić czoło rosnącemu zagrożeniu.

Na co dzień w tego rodzaju naradach brali udział wyłącznie przedstawiciele kierownictwa najwyższego szczebla, i ktoś taki jak Mel, jeden z czterech specjalistów do spraw reklamy, nie zostałby zaproszony. Dzisiaj jednak chodziło też o podniesienie nastrojów pracowników - jak to ujęła Hilary - o przypomnienie, że wciąż jesteśmy na szczycie. Grubym rybem towarzyszyli więc maluczcy.

Osobiście Mel uważała, że nastroje pracowników podnieść mogłyby wyłącznie podwyżki płac oraz zatrudnienie w charakterze gońca chłopaka prezentującego bieliznę u Calvina Kleina. Dziękowała tylko Bogu, że dzisiaj jest zwykła narada zamiast paintballa na kompletnym zadupiu, która to rozrywka miała integrować zespół w zeszłym roku. Te kulki farby okropnie siniaczą.

Edmund Moriarty postukał w mikrofon i wszystkie głowy zwróciły się ku niemu.

- W jakim tempie kroczymy naprzód? Oto jest pytanie - zaczął poważnie. - Lorimar jest liderem na rynku, ale ostra konkurencja oznacza, że nie możemy zwalniać.

Siedemdziesiąt osób słuchało z uwagą. Mel wyjęła z aktówki notatnik i odkręciła onyksowo-złote wieczne pióro, które dostała od rodziców na czterdzieste urodziny. Chociaż zapisała dzisiejszą datę i nie odrywała wzroku od szefa, jej umysł skupiony był na drugiej kartce. Ta pierwsza, która czekała na perły mądrości Moriartyego, miała sprawiać pozory, że Mel bierze aktywny udział w zebraniu. Druga była listą rzeczy, które Mel musiała tego dnia zrobić - a dzień ten się kurczył, podczas gdy Edmund rozwlekle mówił o tym, co wszyscy i tak dobrze wiedzieli. Treść tej listy brzmiała następująco:

Przemówienie na lunch Forum Marketingowego.

Bardzo dokładnie przejrzeć zdjęcia do folderu.

Zadzwoić do dziennikarza z „Sentinela” w sprawie przypadku psychiatrycznego.

Kupić pieluchy, chusteczki i warzywa. Kurczak, fasola i jogurty dla dzieci.

Porozmawiać z Adrianem o sobocie. Jego matka? Nie mogę poprosić mojej. Kupić rajstopy!!!

Kostium wróżki - gdzie go dostanę?

Równoczesne wykonywanie wielu zadań - Mel wiedziała, że tylko dzięki temu zabiegowi pracujące matki mogą zachować miejsce pracy i podtrzymać płomień domowego ogniska.

Widziała, że jej koleżanki skupiają się na przemowie Edmunda, a przynajmniej takie sprawiają wrażenie. Na twarzy Hilary malował się wyraz świadczący o absolutnej uwadze, za to Vanessa szklistym wzrokiem wpatrywała się w miejsce, gdzie stał szef, równocześnie usiłując wystukać tekst na komórce. Vanessa miała trzynastoletniego syna, Conala, i wszystko wskazywało na to, że trzynastoletnich chłopców jeszcze trudniej utrzymać w ryzach niż dwie kilkulatki.

Vanessa była rozwódką i najlepszą przyjaciółką Mel w firmie. Niemal rówieśniczki, miały takie samo poczucie humoru i w cztery oczy przyznawały, że balansowanie pomiędzy życiem zawodowym a rodzinnym jest dziesięć razy trudniejsze niż sama praca w firmie.

- Gdyby zarząd wiedział, jak świetnie nam wychodzi robienie czterech rzeczy naraz, no wiesz: załatwienie fachowca do pralki, wybieranie zajęć pozaszkolnych, pamiętanie o kupnie warzyw i rozbijanie sytuacji kryzysowej w biurze, obie piorunem byśmy awansowały - powiedziała Mel tydzień temu, kiedy jak co miesiąc wybrały się na lunch do tajskiej restauracji z przystojnymi młodymi kelnerami.

- Tak, ale gdybyśmy awansowały, musiałybyśmy jeszcze dłużej zostawać w pracy i miałybyśmy jeszcze większe wyrzuty sumienia. Więc po co w ogóle

zamierzać się na ten szklany sufit? Przepraszam: sufit z poczucia winy! -Vanessa zaśmiała się na wspomnienie ich żartu.

Doszły kiedyś do wniosku, że pułap kariery zawodowej dla pracujących matek nie jest sufitem ze szkła, tylko z macierzyńskich wyrzutów sumienia.

- A może to pozłacany sufit - dodała Mel z namysłem. - Wygląda świetnie, ale jak mu się dokładniej przyjrzeć, widzisz, że jest sztuczny. Jak sztuczne cycki. -

Spojrzała na swoje własne, w skromnym rozmiarze 80B. - Szkoda, że nie mam pieniędzy i odwagi, żeby coś z nimi zrobić.

- Och, przestań zajmować się swoimi cyckami - jęknęła Vanessa. - Są w porzo.

- Jasne, jeśli w porzo oznacza, że opadają mi do kolan - uśmiechnęła się Mel. -W każdym razie musimy przestać używać tego wyrazu. Wiesz, czego to skrót?

Popieprzona, roztrzęsiona, znerwicowana, odjechana.

- Świetnie do mnie pasuje - stwierdziła Vanessa. - Jak następnym razem ktoś mnie zapyta, powiem, że jestem popieprzona, roztrzęsiona, znerwicowana, odjechana.

Opowieści Vanessy o trudach wychowania syna powodowały, że Mel ogarniały wyrzuty sumienia na myśl, o ile lepsza jest jej sytuacja od sytuacji przyjaciółki.

Poczekala z rodzeniem dzieci, co oznaczało, że była gotowa na macierzyństwo, kiedy w wieku trzydziestu pięciu lat zaszła w ciążę. Vanessa zobaczyła podwójną niebieską linię na teście ciążowym jako dwudziestoczerolatka.

Co więcej, Mel wszystkie kłopoty mogła dzielić z mężem. Vanessa miała byłego męża z nową żoną i nową rodziną, wykazującego zainteresowanie błędami młodości tylko wtedy, kiedy próbował wymigać się od płacenia alimentów. Jasne, pralka z suszarką stanowiła dla Adriana kompletną zagadkę i wciąż żył w przekonaniu, że lodówkę nocą zapełniają elfy. Ale był z nią - druga dorosła osoba do dzielenia się rodzicielskimi troskami. Każdy, kto widział, jak Adrian cierpliwie układa puzzle z Carrie albo lepi dinozaury z plasteliny z Sarą, potwierdzi, że to cudowny, niewiarygodnie cierpliwy tatuś. Dinozaury Mel wyglądały jak zmutowane ślimaki.

Nie musiała się martwić o opiekę nad dziećmi. Przedszkole Małych Tygrysków koło Abraham Park, przy wysadzanym drzewami najśliczniejszej ulicy w Carrickwell, było fantastycznym miejscem dla maluchów. Mel słyszała straszne historie o przedszkolach: dzieci, które miały alergię na nabiał, dostawały mleko, starsze wracały do domu pogryzione przez kolegów... U Małych Tygrysków takie problemy nie występowały. Ale jak to będzie, kiedy Sara pójdzie do szkoły? Mel rozsądnie zdecydowała, że pomartwi się tym później.

Uważała się za wielką szczęściarę. Ilu ludzi dałoby się pokroić, żeby mieć to, co ona: wspaniałą pracę, kochającego męża i cudowne dzieci. OK, brakowało jej

czasu dla siebie, ale zawsze troszeczkę mogła go wykroić. I pracowała - zawsze się zarzekała, że nigdy nie zrezygnuje z pracy, kiedy urodzi dzieci. Realizowała marzenie współczesnej kobiety, czyż nie?

Godzinę później wciąż nic nie wskazywało na to, że Edmund Moriarty kiedykolwiek skończy swoje przemówienie.

- Oto wiadomość, którą musimy przekazać każdemu z naszych klientów: Lorimar troszczy się o nich.

Jak wszyscy, Mel też pokiwała głową. Troszczymy się - wiadomość dotarła, o znamienity przywódco.

Kiedy laserowy wzrok Edmunda omiótł Mel niczym reflektor w obozie szukający uciekinierów, wróciła do pilnego notowania, wciągając przy tym mięśnie dna miednicy, jak nauczono ją na jedynej jak dotąd lekcji metody Pilatesa. Równie dobrze może wynieść jakąś korzyść z tego zebrania.

Wciągnąć i liczyć do dziesięciu. Metoda Pilatesa uważana była za postępową i nawet rekomendowano ją na stronie internetowej firmy (jej prowadzenie należało do obowiązków Mel) jako doskonały sposób na odzyskanie formy. Mel wciąż żałowała, że po porodach była tylko na jednych zajęciach, ale po urodzeniu Sary wróciła do pracy po trzech miesiącach, po Carrie po dwóch i po prostu nie miała czasu na ćwiczenia. Trudno, będzie miała mięśnie miednicy równie zwiotczałe jak piersi.

W końcu Edmund się zamknął i Mel mogła się schronić w swoim boksie. W poczcie głosowej czekało siedemnaście wiadomości, wszystkie związane z pracą prócz ostatniej: „Cześć, Mel mówi Dawna z Małych Tygrysków. Przypominam, że jutro grupa Sary idzie do zoo, więc będą potrzebne dodatkowe ciepłe ubrania.

Carrie też może iść, jeśli będzie chciała, ale gdyby padało, najmłodszych nie zabierzemy. Wiem, że to niedobra pora roku, ale tygrysy syberyjskie będą tylko do końca przyszłego tygodnia i obiecaliśmy dzieciom tę wycieczkę. Opłata wynosi pięćdziesiąt euro za obie dziewczynki - wchodzi w to wynajem autokaru, bilet i lunch. Albo dwadzieścia pięć, jeśli pojedzie sama Sara. Do zobaczenia po południu”.

Mel dodała następny punkt do swojej listy: „Dziewczynki idą do zoo. Zostawić pieniądze Adrianowi”.

W środę do Małych Tygrysków dzieci zawoził Adrian. W pozostałe cztery poranki zajmowała się tym Mel. Odprowadzała córki do przedszkola w drodze na pociąg do Dublina, ale w środy w dziale reklamy i marketingu odbywało się zebranie przy śniadaniu i musiała być w pracy wcześniej. Pamiętała czasy, kiedy wczesne wstawanie było straszną udręką, a budzik nastawiała na siódmą, o pół godziny wcześniej niż zwykle. Ale to było, zanim pojawiły się dzieci, zanim

przeprowadzili się do Carrickwell. Teraz siódma należała do przeszłości, ponieważ Carrie budziła się wesolutka jak skowronek o szóstej.

- Cieść, mamusiu - mówiła, kiedy Mel zaspana, choć już po prysznicu, wpadała do nieoświetlonej, wyklejonej tapetą w Kubusie Puchatki sypialni. Trudno było gniewać się na tę uśmiechniętą buzię, oczy błyszczące nadzieją na to, co przyniesie dzień, i pulchne łapki wyciągnięte do matki. Chociaż Carrie miała już dwa i pół roku, wciąż nie lubiła samodzielnie gramolić się z łóżeczka, w przeciwieństwie do starszej siostry, która wytaczała się na podłogę, odkąd skończyła dwa lata. Mel wiedziała jednak, że lada dzień to się zmieni.

Wczesny poranek należał do ulubionych pór dnia Mel. Czysta, niczym niezmacona przyjemność przebywania z córkami, ich dziecinna radość z kolejnego dnia, buziaki na pożegnanie - wszystko to dodawało jej sił.

Żadne perfumy świata nie były tak piękne jak zapach dziecięcej skóry o poranku: ta magiczna mieszanka ciastek, szamponu i czystego ciała. Carrie uwielbiała, kiedy ją przytulano i domagała się co najmniej pięciu minut pieścioty, nim wreszcie pozwalała się ubrać. Mel zwykle rozdarta była pomiędzy chęcią, by pieścić córeczkę, a przykrą świadomością, że zegar tyka.

Sara należała do rannych ptaszków, przy śniadaniu buzia jej się nie zamykała.

- Dlaczego Barney jest fioletowy? - tak obecnie brzmiało jej ulubione pytanie. Do obowiązków Mel, która krzątała się w kuchni, należało znalezienie śmiesznej odpowiedzi.

- Wpadł do fioletowego sosu i tak mu się to spodobało, że nie chciał się umyć. Teraz codziennie wskakuje do fioletowego sosu.

- Mamusiu, ale to niemądre! - chichotała Sara dzisiejszego ranka. Carrie, pełna bezkrytycznego uwielbienia dla siostry, też chichotała. Mel, siedząc za biurkiem w miniaturowym boksie na trzecim piętrze siedziby

Lorimaru, skąd rozciągał się oszałamiający widok na doki Dublina, musnęła ramkę zdjęcia przedstawiającego Adriana, Sarę i Carrie. Troje ludzi, których kochała najbardziej na świecie. Troje ludzi, dla których zrobiłaby wszystko.

Dwie godziny pracowała nad stroną internetową, wspomagając się dwiema kawami i twiksem. Lunch był dla ludzi, którzy mieli czas przygotować kanapki przed wyjściem z domu albo kupić je po wygórowanej cenie od człowieka obchodzącego biura w przerwie śniadaniowej.

Pijąc drugą kawę, Mel przyjrzała się swojej liście i z roztargnieniem obwiodła kółkiem słowo „zoo”. Razem z Adrianem zabrali Sarę do zoo, kiedy miała dwa lata. Pokazywanie dziecku prawdziwych tygrysów i słoni po długim okresie oglądania tych zwierząt na ilustracjach w książkach jest jednym z momentów przełomowych w życiu każdego rodzica. Zadała sobie pytanie, ilu rodziców już

nie robi takich rzeczy. Ile matek nie wybrało się na taką wycieczkę, a zamiast tego przeczytało w dzienniczku przedszkolaka: „Carrie widziała lwy i foki, a także prosiaczki w małym zoo. Zjadła loda i zdenerwował ją hałas przy klatkach z małpami. Była bardzo grzeczna!”.

Po lunchu Mel wróciła do najnowszych stron witryny internetowej, jak jastrząb przepatrując fotografie i teksty. W ubiegłym miesiącu doszło do poważnej wpadki, bo akapit z informacji o nowych metodach wszczepiania protez biodra przedostał się do artykułu o problemach z erekcją. W firmie wiele wesołości wywołał pomysł innowacyjnego zabiegu wykonywanego pod znieczuleniem miejscowym, a zapobiegającego konieczności bolesnej operacji wszczepienia protezy i oznaczającego, że pacjent odzyska pełną sprawność po dwudziestu czterech godzinach.

- Według mnie, po przeczytaniu tego kawałka sporo naszych klientów płci męskiej przysięgło sobie trzymać się z daleka od lekarzy - zażartował Otto z księgowości, kiedy roznosił czeki. - Facet, który ma kłopoty z wacusiem, raczej nie bierze pod uwagę wymiany na protezę.

Szefową Mel, Hilary, jakoś mniej to rozbawiło. Zupełnie nie interesowały jej wyjaśnienia Mel, że do błędu doszło w tajemniczy sposób, kiedy nad stroną pracował projektant. Odpowiedzialna była Mel, koniec, kropka.

- To okropna pomyłka - oznajmiła Hilary tym swoim zimnym tonem pełnym rozczarowania, który budził większe przerażenie niż krzyk. Szefowa stanowiła ideał, przy którym ludzie czuli się kompletnymi nieudacznikami. - Może ktoś z działu projektowego zrobił ten sztubacki żart, ale ty powinnaś była to wychwycić. Założę się o moją premię, że we wszystkich weekendowych gazetach znajdzie się to jako cytaty tygodnia.

Hilary nie dodała, że Edmund, który widzi wszystko, bez wątpienia winę zrzuci na Mel i że nie najlepiej zaprezentuje się to w jej aktach. Mel sama o tym wiedziała. A błędy w aktach pracującej matki mnożyły się przez dziesięć. W Lorimarze matka pracująca to kobieta napiętnowana. Bez względu na to, jak ambitnym i skutecznym pracownikiem była przed urodzeniem dziecka, teraz żyła na cenzurowanym. Jedno dziecko traktowano jako przejaw beztroski, urodzić dwoje to prosić się o kłopoty.

Fakt, że Hilary miała troje dzieci, wcale nie pomagał. Przez wszystkie lata wspólnej pracy Mel nigdy nie widziała, żeby szefowa wychodziła wcześniej z powodu jakiejś nagłej sprawy związanej z dziećmi albo żeby brała wolne, bo któreś z dzieci było chore.

- Jak ona to robi? - powtarzała Vanessa, kiedy we wrześniu miała ręce pełne roboty, bo kupowała podręczniki i mundurek szkolny dla Conala, co rusz

zwalniając się z pracy, podczas gdy Hilary siedziała murem za biurkiem, bezlitośnie wypatrując, czy któryś z pracowników nie próbuje się urwać.

- To nie są dzieci, tylko roboty - uznała Mel. - Innej opcji nie ma.

- Może ma męża, który pracuje w domu, i opiekunkę, która zarabia więcej niż prezes Microsoftu? - zapytała Vanessa.

- Pewnie jesteś na dobrym tropie - zgodziła się Mel. Do piątej Mel oddzwoniła do wszystkich, którzy się z nią kontaktowali, i kończyła ostatni z kilkunastu listów.

Miała jeszcze do napisania miesięczny raport dla Hilary, ale jeśli nie wyjdzie piętnaście po piątej, spóźni się na pociąg, a tym samym do przedszkola po dziewczynki. Będzie musiała zabrać pracę i zająć się nią w drodze do domu.

Dwadzieścia minut później zmieniła wysokie obcasy na płaskie, napełniła podróżny termos kawą i wybiegła na chłód. Przy odrobinie szczęścia będzie w domu przed siódmą.

Dziesięć po siódmej Mel zaparkowała samochód na podjeździe, pomogła Sarze i Carrie wysiąść, po czym zebrała wszystkie torby. Jak zawsze odczuwała ulgę, że jest w domu.

- Carrickwell jest takim cudownym, sielskim miejscem - zgodnie i bez wyjątku powtarzali przyjaciele, kiedy Adrian i Mel zrezygnowali z mieszkania w Christchurch i przeprowadzili się na wieś. Sara była wtedy jeszcze wzgórkim pod koszulką z napisem „W budowie”. - Idealne do wychowywania dzieci. I szkoły są tu wspaniałe.

Mel i Adrian przytaknęli i porozumiewając się wzrokiem w niemal telepatyczny sposób, charakterystyczny dla par, które znają się na wylot, nie zdradzili, jak kręta droga doprowadziła ich do podjęcia tej decyzji.

Oboje urodzili się i wychowali w mieście, a więc pomysł tej wiejskiej idylli nie był dla nich tak pociągający, jak wszystkim się wydawało. W grę wchodziły też inne czynniki.

Dziesięć lat wcześniej rodzice Mel wyprowadzili się z miasta do niewielkiego domu w połowie drogi między Carrickwell a Dublinem, co oznaczało, że mama Mel będzie blisko i pomoże w opiece nad wzgórkim.

W Dublinie nie byłoby ich stać na bliźniak z czterema sypialniami przy takiej ślicznej ulicy. I oboje uważali, że dzieci będą dobrze się czuły, mając wieś za progiem, idealne miejsca na rodzinne pikniki. Tak przynajmniej wyglądało to w teorii. W rzeczywistości Mel widziała wieś wyłącznie z okien pociągu, którym dojeżdżała do pracy.

Rozstrzygającym elementem okazały się miejscowe szkoły. Teraz jednak było jasne, że na ten pociąg się spóźnili. Sarę i Carrie wpisano na listy we wszystkich dobrych szkołach w Carrickwell, ale dzięki staraniom miejscowej Mafii Mam

wyszło na to, że aby mieć zagwarantowane miejsce w najlepszej szkole, Carnegie Junior School, dziewczynki powinny być do niej zapisane już jako embriony. Nie wspominając o takiej drobnostce, że gra na flecie nie wchodziła w program zajęć u Małych Tygrysków. Mamusie poważnie traktujące swoje obowiązki uczyły czteroletnie pociechy grać Bacha na flecie, żeby zrobić wrażenie na radzie szkoły. Sara całkiem niezłe radziła sobie z pilotem telewizora, ale Mel podejrzewała, że to jednak nie to samo.

Tak naprawdę przekonał ich do Carrickwell wielki ogród za domem numer dwa przy Goldsmith Lawn.

- Możemy zasadzić jabłonie - stwierdził Adrian, kiedy przeglądając katalog nieruchomości, zobaczyli długi, wąski trawnik z prowizoryczną szopą na końcu.

- I możemy zawiesić huśtawkę na wiśni - westchnęła Mel.

Uśmiechnęli się do siebie, Mel poklepała swój rosnący brzuch. Oboje woleli nie pamiętać, że żadne nie potrafi uderzyć młotkiem w gwóźdź, nie odłupując przy tym płata tynku.

Pięć lat później w ogrodzie wciąż nie było jabłoni, a zielska utworzyły niepodległe państwo koło szopy, za to na wiśni wisiała plastikowa huśtawka. Sara ją uwielbiała.

Teraz dziewczynka radośnie pobiegła do drzwi ze swoim plecakiem w różowo-białe plamki. Za nią szła Mel, zmagając się ze swoją teczką, z Carrie i z rzeczami Carrie.

Frontowe drzwi domu numer dwa były błyszczące i zielone. Po obu ich stronach w drewnianych donicach takiej samej barwy stały na schodach karłowate iglaki. Po przeprowadzce Mel i Adrian przez dwa miesiące w weekendy zajmowali się projektowaniem ogrodu, którego pielęgnacja nie wymagałaby czasu, a który równocześnie pasowałby do pieczołowicie zadbanych ogrodów sąsiadów. Małeńki trawnik przed domem wysypali więc beżowym żwirem, a na obu końcach zasadzili najrozmaitsze ozdobne trawy i krzaczki. Całość wyglądała na zadbaną, ale było to pomysłowe złudzenie.

Kiedy jednak Mel otworzyła frontowe drzwi, rzeczywistość wzięła górę. Hol sprawiał wrażenie zmęczonego: łuszcząca się farba i zniszczona drewniana podłoga pilnie domagały się trwającego co najmniej miesiąc zapału pod hasłem „Zniszcz to sam”. Wszystko w tym domu domaga się pracy, tak samo jak my, pomyślała Mel ponuro. Zawsze brakowało czasu. Adrian pracował jako informatyk w fabryce oddalonej o pół godziny jazdy od ich domu, a ponieważ wieczorami zajmował się swoim dyplomem, nie miał wolnej chwili na rzeczy równie przyziemne jak „Zniszcz to sam”.

- Cześć! - zawołała Mel, rzucając torby na podłogę. Pocałowała Carrie w czoło, nim delikatnie postawiła ją na pulchnych nóżkach.

Odpowiedzi się nie doczekała, ale drzwi do kuchni były zamknięte. Z okrzykami radości Sara i Carrie wpadły do swojego pokoju zabaw. Mel uznała, że potrzebne jest miejsce na zabawki - w przeciwnym razie będą się plątać po całym domu - teraz więc tę funkcję spełniała jadalnia. Stół przesunięto pod ścianę, a zabawki wysypywały się z różowych i fioletowych pudeł. Zgodnie ze sztywną tradycją kolorystyczną wszystko dla małych dziewczynek było jaskraworóżowe albo fioletowe. Mel tęskniła za nieco subtelniejszymi barwami.

- Zmywarka się zepsuła - oznajmił Adrian, gdy tylko przekroczyła próg kuchni, niosąc worki z brudnymi strojami gimnastycznymi z Małych Tygrysków.

Siedział przy kuchennym stole, na którym rozłożył swoje podręczniki. Spojrzał na żonę i posłał jej zmęczony uśmiech. Adrian miał skandynawską urodę: krótkie blond włosy, jasnoniebieskie oczy i skórę, która reagowała na najslabszy promień słońca, dzięki czemu zawsze wyglądał na opalonego, w przeciwieństwie do Mel z jej celtycką karnacją. Sara i Carrie odziedziczyły po nim jasne włosy i skórę, a po matce delikatne kości i śliczne oczy. Kiedy Mel poznała Adriana, miał sylwetkę maratończyka, choć żywił się chińszczyzną i pizzą. Ale wieloletni brak ćwiczeń fizycznych i upodobanie do niewłaściwych potraw sprawiły, że stał się solidniejszy

- Mel mówiła, że mięciutki.

- Muszę iść na siłownię - stwierdził Adrian szczerze. Oczywiście gdyby mogli sobie pozwolić na siłownię. Mel z uczuciem poklepała go po ramieniu, idąc do pokoju gospodarczego, żeby włączyć pranie.

- Jesteś pewny, że zmywarka się zepsuła? - zapytała. Popsuty sprzęt oznaczał sprowadzenie fachowca w porze, kiedy ktoś będzie w domu: zadanie porównywalne z opracowaniem choreografii do Jeziora Łabędziego na lodzie.

- Naczynia są brudniej sze niż przed umyciem - odparł Adrian, wskazując blat, na którym stał biały kubek pokryty okruszkami jedzenia.

- A przypadkiem nie utknęła łyżka w wirniku? - spytała z nadzieją.

- Obawiam się, że nie.

Mel włączyła pralkę, opróżniła kubek z sokiem i pudełko na kanapki Carrie, po czym chwyciła cętkowany plecak Sary. W głowie wirowały jej obowiązki, którym musi poddać, nim pójdzie spać. Wsunęła do mikrofalówki kurczaka z grzybami i pieprzem dla dziewczynek, nastawiła garnek z makaronem, po czym wyjęła świeżą ścierkę do naczyń, starą trafiając do kosza w pokoju gospodarczym niczym gwiazda koszykówki.

- Rzucisz okiem na dziewczynki, kiedy pójde się przebrać? - Mel była już za drzwiami.

- Jasne - odparł z roztargnieniem Adrian.

Na piętrze Mel zdjęła kostium, po czym wciągnęła szare spodnie od dresu i czerwony polar. Szybko odpięła kolczyki - Carrie uwielbiała ciągnąć za kolczyki, jeden srebrny, naprawdę ładny, Mel w tym tygodniu już straciła - i nim minęły trzy minuty, wróciła na dół, żeby skończyć kolację dla dzieci.

Dziewczynki siedziały ojcu na kolanach. Książki powędrowały na skraj stołu, gdy obie opowiadały, co robiły w ciągu dnia.

- Namalowałam dla ciebie obrazek, tatusiu - oznajmiła Sara z powagą. Była córeczką tatusia i radziła sobie z każdym dziecięcym nieszczęściem, pod warunkiem że ojciec trzymał ją w objęciach.

- Mądra z ciebie dziewczynka - powiedział czule Adrian, całując Sarę w blond główkę. - Pokaż. Piękny rysunek. Czy to ja?

Dziewczynka z dumą kiwnęła głową.

- To jest Carrie, to babcia Karen, a to ja.

Mel, która stała przy kuchence i mieszała makaron, spojrzała na rysunek. Jak wszystkie dzieła Sary, ten też wykonany został kredkami w kolorach fioletowym, różowym i pomarańczowym. Przedstawiał wielkie postaci Adriana, Sary i matki Mel, Karen, a wszyscy troje mieli na twarzach szerokie uśmiechy Carrie, której Sara nigdy do końca nie wybaczyła przyjścia na świat, stała obok, cztery razy mniejsza, niczym krasnoludek. Mel na rysunku nie było.

- A gdzie mamusia? - zapytał Adrian.

Mel sporo czytała o niepokoju związanym z oddzieleniem i nie zadałaby takiego pytania, ale teraz wstrzymała oddech, żeby usłyszeć odpowiedź.

- Na drugiej kartce. W pracy - powiedziała Sara, jakby to rozumiało się samo przez się, po czym zaprezentowała następny rysunek. Przedstawiał wielki budynek, przed którym stała mamusia z teczką w dłoni. Teczka była równie wielka jak ona. Mel musiała jednak przyznać, że córka dobrze narysowała jej włosy: w połowie brązowe, w połowie blond, i kręcone.

- Och - mruknął Adrian.

Mel dostrzegła, że mąż patrzy na nią ze współczuciem nad jasną główką Sary, rzuciła mu więc uspokajające spojrzenie, które mówiło, że u niej wszystko w porządku. I tak było, jeśli rozwinięcie skrótu brzmiało: „popieprzona, roztrzęsiona, znerwicowana, odjechana.

- Ale mamusia nie zawsze jest w pracy. Resztę czasu spędza tutaj i opiekuje się nami. Nasza mamusia jest super - nalegał Adrian. - Powinna być gwiazdą rodzinnego portretu, prawda?

Sara pokiwała głową i wtuliła się w ojca, jednym paluszkiem delikatnie przesuwając po jaskrawożółtych włosach babci. Babcia była na rodzinnym

portrecie, mamusia nie. Mel poczuła kolejny przyływ rozgoryczenia, tym razem skierowanego do matki.

Pełna werwy sześćdziesięcioletnia Karen Hogan była zarówno tajną bronią Mel, jak i powodem ogromnego niezadowolenia.

Karen zawsze gotowa była zaopiekować się dziewczynkami, jeśli zachorowały, dzięki czemu Mel nie musiała zwalniać się z pracy, i zawsze też spieszyła z uwagami, że pochlipywały z tęsknoty za mamą - albo nie.

Nie chodziło o to, że Karen nie podobała się decyzja córki o powrocie do pracy.

Wręcz przeciwnie: popierała ją. Ale bez Karen nic by się nie udało i w głowie Mel tkwiło przekonanie, że to niezupełnie jest tak, jak powinno być. To ona, a nie babcia powinna być całkowicie odpowiedzialna za Carrie i Sarę. Weźmy tę sprawę z migdałkami Carrie w zeszłym miesiącu. Mel musiała w weekend zawieźć ją na pogotowie, ale kiedy stan małej nie poprawił się do poniedziałku, to babcia Karen poszła z nią do przychodni.

- Lekarz mówi, że trzeba się zastanowić nad wycięciem migdałków -relacjonowała Karen tamtego ranka przez telefon. Zaniepokojona Mel na chwilę wyszła z konferencji Forum Zdrowia, w której absolutnie musiała wziąć udział. -Mówi, że jeśli masz czas, chętnie się z tobą zobaczy.

Mel zjeżyła się, słysząc te słowa. „Jeśli masz czas”? A kto siedział z Carrie przez całą piątkową noc? Kto zawiózł ją na pogotowie i siedział jak na szpilkach, śpiewając piosenki o Bobie Budowniczym przez dwie bite godziny, dopóki nie przyjął ich lekarz?

- Jak on śmie? - warknęła. - Założę się, że nawet do głowy mu nie wpadnie, że może spokojnie wychodzić do pracy, bo ma żonę, która wszystko za niego robi.

- Mel, on nie to miał na myśli - odparła matka obronnym tonem. - Jesteś wspaniałą mamą, wszyscy o tym wiemy.

Naprawdę? - pomyślała Mel. I kim są ci „my”?

- Chodziło mu o to, że powinniście omówić ewentualny zabieg wycięcia migdałków Carrie, dopóki jest taka mała. Skończyła już dwa lata, nie można zbyt z tym zwlekać. Im starsze dziecko, tym trudniej wraca do zdrowia.

Karen wiedziała wszystko. Skąd bierze się ta macierzyńska wiedza? -zastanawiała się Mel. I kiedy ona sama ją nabędzie?

- To śliczny obrazek, Saro - powiedziała spokojnie. - Przypniemy go do lodówki? Sara z radością się zgodziła i Adrian uśmiechnął się do żony. Kolejny trudny moment zażegnany, pomyślała Mel. Wszyscy uważają, że doskonale radzi sobie z obowiązkami. Co by powiedzieli, gdyby im zdradziła, że czasami ma wrażenie, że goni resztkami sił?

Tego wieczoru kąpiel ciągnęła się w nieskończoność. Carrie uwielbiała się kąpać i zawsze bawiła się plastikową kaczuszką, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu, z uciechą wlewając do łebka wodę, która przepływała przez korpus i wprawiała w ruch skrzydła.

- Mamo! - piszczła, kiedy skrzydła kłapały coraz szybciej. - Mamo! Mel też się śmiała. Napięcie, które czuła w ciągu dnia, powoli ustępowało.

Kilkulatki są cudowne: zawsze pełne ekscytacji, zawsze radosne i szczęśliwe. W przeciwieństwie do siostry, Sara, jak porzucone dziecko, z nieszczęśliwą miną siedziała w pianie o zapachu lawendy. Jej wielkie niebieskie oczy patrzyły ze smutkiem.

- Pójdiesz jutro do zoo, mamusiu? - zapytała do wtóru entuzjastycznych pisków Carrie.

Mel poczuła, jak serce jej się ściska. Biedna Sara.

- Wiesz, że nie mogę - odparła wesoło. - Mamusia musi pracować, ale bardzo by chciała pójść z tobą do zoo.

- Chcę, żebyś poszła. - Sara wycelowała jedną z rybek Carrie w kaczkę. Ryba chybiła celu, za to wylądowała na stopie Sary, która krzyknęła z zaskoczenia i bólu. Jej dolna warga zaczęła niebezpiecznie drżeć.

- Chciałabyś w weekend pojechać z mamusią i tatusiem na farmę? - zapytała Mel w desperacji. Farma z kozami, owcami i szetlandzkimi kucykami, które można było karmić, znajdowała się kilka mil dalej na zboczu góry Carraig i obie dziewczynki bardzo lubiły tam przebywać. Nie trzeba dodawać, że wyjazd na farmę nie mieścił się w planach Mel na weekend, ale jakoś im się to uda, jeśli zrobi zakupy w piątek wieczorem zamiast w sobotę rano.

- Nie chcę na farmę. - Sara z uporem kręciła głową. - Chcę z mamusią do zoo. - Kiedy była zmęczona i zdenerwowana, wracała do bardziej dziecinnych zwrotów. Mel wiedziała, że powinna jakoś lepiej wyjaśnić, dlaczego nie może iść do zoo, ale po prostu nie była w stanie. Opuściły ją siły.

- Sary, nie mogę z tobą jechać. Będzie tam Dawna, a ty przecież kochasz Dawne. Przez krótki moment matka i córka patrzyły sobie w oczy: te same jasnyniebieskie oczy, którym głębi przydawały fioletowe plamki wokół źrenic. Mel przyszło do głowy, że jej córka wygląda na dojrzałą i świadomą, jakby potrafiła dostrzec wyczerpanie i poczucie winy w oczach matki i zdawała sobie sprawę, że Mel zrobiłaby wszystko, byle tylko być w dwóch miejscach naraz, gdyby w ten sposób mogła uszczęśliwić Sarę. A potem to wrażenie minęło, zastąpiło je zwykłe dziecinnie niezrozumienie, że mamusia po raz kolejny

wybrała pracę, a nie świat Sary. Mel zastanawiała się, dlaczego Adrian powiedział dzieciom, że mają supermamę. Miały beznadziejną mamę.

- Długo cię nie było - zauważył Adrian, kiedy wreszcie dziesięć po ósmej Mel zeszła na dół z naręczem brudnych ubrań, wilgotnych ręczników i na wpół zjedzonym sucharkiem, który znalazła rozgnieciony na dywanie w korytarzu.

- Sara nie chciała zasnąć - mruknęła Mel. Rzuciła pranie do kosza, który znowu wyglądał na przerażająco pełny, i ruszyła do lodówki, żeby nalać sobie wina. Wina nie było. Ale czy nie tak ustalili w zeszłym tygodniu? Nie będą otwierać wina w robocze dni, ponieważ wtedy Mel co wieczór pije kieliszek, a to na pewno jest dla niej niedobre. Niedobre, cholera. Gdzie jest korkociąg?

Wino stało w kredensie w jadalni. Mel wyjęła butelkę drogiego chablis, ulubionego gatunku Adriana. Podała mu kieliszek. Wziął go, nie podnosząc wzroku znad podręczników, obok których stał talerz z niedojedzoną fasolką na grzance. Adrian miał egzaminy w maju i uczył się pilnie.

- Cudowne wino - mruknął z głową w książce.

- Mhm.

Mel upiła spory łyk. Lepsze niż tamto w butelkach z zakrętkami, które pijali, nim oboje dostali dobrą pracę. Przez głowę Mel przebiegła myśl: czy o to wyłącznie chodzi w jej pracy, o zarabianie pieniędzy? Pracowała i komuś innemu płaciła za wychowywanie dzieci, żeby oboje z Adrianem mogli sobie pozwolić na dobre wino?

Zjadła fasolkę na grzance i z roztargnieniem przeglądała gazetę, czekając, aż pralka skończy cykl, bo musiała wrzucić następne pranie. Nagle odezwał się Adrian:

- Och, zapomniałem ci powiedzieć, że kiedy kąpałaś dzieci, dzwoniła Caroline. Przypomina, że w czwartek o wpół do ósmej wieczorem spotykacie się wszystkie w Pedros Wine

Bar, i pyta, czy mogłabyś ją podrzucić, jeśli pojedziesz samochodem.

- Cholera - mruknęła Mel. - Zupełnie nie mam na to ochoty. I powinna wiedzieć, że nie jeżdżę samochodem do pracy.

Caroline to jej bardzo stara przyjaciółka, mieszkająca na przedmieściach Dublina, a spotkanie to przełożone przyjęcie bożonarodzeniowe z grupą innych starych przyjaciółek - tyle razy je odkładały, że w końcu zdecydowały się na styczeń.

Dawniej Caroline i Mel wynajmowały razem mieszkanie, pracowały w tej samej firmie i spędzały szalone wieczory na mieście, wymieniając uwagi o niewłaściwych mężczyznach i planując, jak zdobędą świat, kiedy nadejdzie ich pora. Teraz Caroline była pełnoetatową matką trójki dzieci, oddaną bez reszty swojemu zajęciu.

Zdaniem Mel i wszystkich znajomych, w tej roli Caroline radziła sobie rewelacyjnie. Mel lubiła żartować, że prawdziwym powołaniem przyjaciółki było macierzyństwo, a nie popijanie potrójnych wódek w szemranych klubach. Mel orientowała się, że trzej synkowie Caroline jako niemowlęta nie jadal nic ze słoików. Gdyby chodziło o kogoś innego, a nie o taktowną Caroline, Mel czułaby straszliwe wyrzuty sumienia. Zaniechała przygotowywania przecieru z marchwi z hodowli organicznych, kiedy wróciła do pracy i odkryła, ile wysiłku kosztuje kupowanie i przecieranie warzyw, podczas gdy tak łatwo kupuje się słoiki ze ślicznymi obrazkami. A poza tym dziewczynki wołały jedzenie ze słoików o wiele bardziej niż papki, które z takim trudem przyrządzała mamusia.

To wszystko kwestia wyboru, stwierdziła łagodnie Caroline. Lubiała być w domu z dziećmi, piec ciasteczka i urządzać podwieczorki dla innych rozbrykanych kilkulatków, ale nie każdemu musi to odpowiadać.

- Ty pracujesz, Mel - mówiła. - Jedna z nas musi być magnatem przemysłowym, a skoro ja nim nie zostanę, to chcę, żebyś to była ty. Tylko nie zapominaj o nas, szaraczkach, kiedy dostaniesz Nobla za Służbę w Sektorze Biznesowym albo coś w tym rodzaju.

- Przestań - błagała Mel. - Doprowadzasz mnie do łez. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego Caroline nie wróciła do pracy, kiedy chłopcy poszli do szkoły. Choć oczywiście nigdy nie zapytałaby o to wprost. Wystukała numer.

- Cześć, Caroline. Szkoda, że nie mogłam odebrać. Miałam dyżur w łazience.

- Mel, wiem, że wybrałam złą porę na telefon. Po prostu nie chcę przeszkadzać ci w pracy. Co u ciebie?

Caroline sprawiała wrażenie odprężonej i zadowolonej. Z jakiegoś powodu zirytowało to Mel bardziej, niż się spodziewała. Caroline zrezygnowała z kierowniczego stanowiska na rzecz siedzenia w domu i oglądania disneyowskich kreskówek - powinna być znudzona i poirytowana, a nie zadowolona.

- U nas wszystko w najlepszym porządku - skłamała Mei. - Po prostu wspaniale. - Przerwała w nadziei, że nastąpiła nagła zmiana planu i spotkanie w czwartek zostało odwołane. Sama nie ośmieliła się tego zrobić, chociaż miała na to wielką ochotę. Jak mogła się zgodzić na spotkanie wieczorem w środku tygodnia, w dodatku tak straszliwie wypełnionego zajęciami? Będzie musiała iść do restauracji prosto z pracy, do domu wróci późno i nie zobaczy się z Sarą i Carrie. - A co do czwartku...

- Przychodzi Val, a Lorna nie może się doczekać - odparła Caroline. - Można by pomyśleć, że w ogóle nie wyściubia nosa z domu, a ja wiem, że wychodzili na zabawę sylwestrową. Będzie cudownie. Chyba włożę tę moją nową różową

koszulę, wiesz, opowiadałam ci o niej. Jest jedwabna, więc tak myślę, że powinnam pod nią mieć haleczkę, bo jeśli włożę normalny stanik, będzie go widać. Przymierzałam już dzisiaj dwa razy, ale nie jestem pewna. Chociaż przymierzyłam też tę kremową we wzorki, o której ci mówiłam, i może się nada. Nie jest tak szykowna, ale... Wolę różową.

Mel przelotnie wyobraziła sobie, jak to jest, kiedy się ma czas na decyzję, co włożyć wieczorem, zamiast jak zwykle w ostatniej chwili w panice wbiegać na piętro i pośpiesznie wyciągać z szafy coś błyszczącego, co ożywiłoby później jej strój do pracy.

- Jak myślisz, czy różowa bluzka będzie OK? A może będę wyglądała jak stara malutka?

Inni ludzie też czasami mają ochotę zamordować przyjaciół gołymi rękami czy przytrafia się to tylko mnie? - zastanowiła się Mel. Czyżby zmieniła się w przerażającą starą harpię teraz, kiedy miała wszystko to, na czym zawsze jej zależało, czyli dzieci i dobrą pracę?

- No, jak uważasz? Różowy może i jest kolorem strojów wizytowych w Indiach, ale czy trzydziestodwuletnia kobieta w niemowlęcym różu to nie przesada?

- Brzmi wspaniale - odparła Mel ostrożnie.

- OK, w takim razie włożę tę bluzkę. Naprawdę cieszę się na to spotkanie, tyle ci powiem. Czasami człowiek musi wyjść z domu, żeby sobie uświadomić, że poza nim jest cały świat, nie sądzisz?

- Oczywiście - potwierdziła Mel. - Masz całkowitą rację.

- Zostało trochę wina? - zapytał Adrian, kiedy skończyła rozmawiać.

- Tak, ale nie powinniśmy pić za wiele w środku tygodnia. Możemy skończyć butelkę jutro - powiedziała Mel. Zaraz też z przerażeniem uświadomiła sobie, że mówi tym samym uspokajającym tonem, którym przemawia do dzieci. A co gorsza, Adrian najwyraźniej tego nie zauważył.

Pedros Wine Bar należał do lokali, do których pracownicy Lorimar Health Insurance chodzili w czasie przerwy na lunch, kiedy mieli ochotę na coś więcej niż zwykle pół godziny z kanapką. Była to nowoczesna włoska restauracja ze świecami na stolikach, przy których snuto intrygi, nawiązywano romanse, a czasami wypijano za dużo wina z powodu pracy, życia rodzinnego, rachunku za kartę kredytową albo wszystkiego po prostu.

Caroline, Lorna i Val lubiły ten bar, bo przypominał im czasy przed urodzeniem dzieci, kiedy wychodziły na długie lunche w mieście i planowały wycieczki z kolegami, podczas gdy w tle kręcili się przystojni młodzi kelnerzy,

otwierając butelki frascati i spodziewając się wysokich napiwków. Z tych samych przyczyn Mel nie znosiła tu przychodzić.

- Och, koktajle - pisnęła Lorna, gdy tylko przekroczyły próg. Złapała laminowaną kartę koktajli i z podnieceniem zagłębiła się w lekturze. W połowie listy wybuchnęła śmiechem.

- Kto chce Śliski Sutek? - zapytała z uciechą. Caroline i Val także się roześmiały.

- Dla mnie wino - powiedziała Val żałośnie. - W przeciwnym razie rano nie wstanę.

- Dla mnie też - dodała Caroline, pamiętając o porannej drodze do szkoły.

- Dajcie spokój, zaszalejmy. Ty zamówisz... - Lorna przebiegła wzrokiem po spisie

- Vodkatini, Manhattan, nie! Różową Damę, będzie pasowała do twojej koszuli. A dla ciebie, Mel? Jestem pewna, że przez cały tydzień bywasz na imprezach w pracy. Jaki modny drink możesz polecić nam, nudnym starym mamusiom?

Mel stwierdziła, że wciąż kurczowo trzyma torebkę. Żyły na jej dłoniach nabrzmiały i wyglądały jak winorośle. Była spięta po całym dniu, a zabrakło znajomej podróży pociągiem do domu, w czasie której zwykle się uspokajała. Łagodnie postawiła torebkę na krześle obok i dołożyła starań, by dostosować się do nastroju przy stoliku. Nie da się Lornie sprowokować.

- Imprezy w firmie to w dzisiejszych czasach rzadkość - powiedziała ze spokojem.

- A że ja nigdy na nich nie piję, nie jestem właściwą osobą do udzielania porad w kwestii najmodniejszych drinków. Też poproszę o wino, ale tylko jeden kieliszek. Wczesnie rano mam spotkanie...

- Wy z kadry kierowniczej nie umiecie się bawić - przerwała jej Lorna. - Dla każdej po koktajlu, a potem będziemy zachowywać się rozsądnie, zgoda?

Kiedy podano koktajle, rozmowa przeszła na szkoły. Lorna była głęboko zaangażowana we współpracę rodziców z nauczycielami w szkole swoich dzieci, a przy drugim drinku Mel ku swojemu zaskoczeniu dowiedziała się, że Caroline wstąpiła do ogólnokrajowej grupy postulującej większy wpływ rodziców na szkoły podstawowe.

- Taka jesteś dobra, że się tym zająłś - powiedziała Val z poczuciem winy, mieszając White Cranberry Ice, śmiertelną mieszankę, która zbyt łatwo spływała do gardła. - Ja powinnam to zrobić, ale... - spojrzała na Mel, jakby ich obu to dotyczyło - tak trudno znaleźć czas, prawda? Strasznie jestem zajęta. Wciąż chodzę na zajęcia Strażników Wagi, muszę jeszcze stracić cztery kilogramy. Przyjaciółki uniosły kieliszki i zapewniły ją, że wygląda pięknie.

- Dzięki - odparła rozpromieniona Val. - Ale to oznacza, że muszę znaleźć czas na długie spacery trzy razy w tygodniu, a do tego jeszcze wszystkie zajęcia pozalekcyjne dzieci, jak na przykład gimnastyka. Mówiłam wam, że Maureen chodzi na gimnastykę? Dwa razy w tygodniu, naprawdę nie ma czasu na nic innego. - I znowu posłała Mel to spojrzenie współniczki w przestępstwie. Mel nie zareagowała. Nie potrafiła. Między nią a Val nie istniały żadne podobieństwa. Val była pełnoetatową matką, a jeśli nie miała czasu na pracę w stowarzyszeniu rodziców, ponieważ była zajęta pieczeniem chleba świętojańskiego bez konserwantów i utrzymywaniem własnej sprawności, trudno to było uznać za zbrodnię.

Co więcej, Mei nie była wcale matką od dziewiątej rano do piątej po południu -czy ściślej rzecz biorąc od wpół do ósmej rano do siódmej wieczorem - i gdyby Carrie albo Sara pewnego dnia postanowiły, że chcą chodzić na gimnastykę, to jak, u diabła, udałoby się to poukładać?

- A co u Carrie i Sary? - zapytała Lorna. - Sara niedługo chyba idzie do szkoły. To przełomowy moment, prawda? - Westchnęła. - W jednej chwili są niemowlętami, w następnej uczniami.

Mel czekała, aż Lorna swoim zwyczajem powie, jak bardzo się cieszy, że zrezygnowała z pracy po urodzeniu Alyssy, ponieważ dzieciństwo mija błyskawicznie i matka musi w nim uczestniczyć. Powtarzała to za każdym razem, kiedy spotykały się na mieście. Czasami, żeby cios okraszyć obelgą, mówiła, jakie to musi być trudne dla Mel, że omijają ją wszystkie ważne momenty w życiu jej córek.

- Mel, nie chcę cię urazić - oznajmiła teraz Lorna z całą nieuchronnością grzmotu następującego po błyskawicy - ale to musi być trudne dla każdej pracującej matki. Tak wiele cię omija. Niedawno czytałam artykuł o pracownicy żłobka, która przyznała, że czasami okłamują rodziców.

- Okłamują w jakiej sprawie? - zapytała Mel, gotowa do boju.

- Na przykład kiedy dziecko stawia pierwszy krok - ciągnęła Lorna niefrasobliwie.

- Mówią, że dziecko prawie zrobiło pierwszy krok, więc kiedy zaczyna chodzić w domu, rodzice myślą, że oni widzą to pierwsi. Smutne. -Posłała Mel fałszywy uśmiech. - Naprawdę, kobiety wiele muszą znosić, no nie? Ale warto. Dzieci sprawiają, że warto.

- Bez dwóch zdań - zgodziła się Caroline.

- Ty to powiedziałaś - dodała z żarem Val.

Mei powtórzyła w myślach wszystko, co chciała powiedzieć Lornie, ale uznała, że lepiej tego nie robić.

Rozmowa zeszła na plotki o znajomej, która wychodziła powtórnie za mąż. Ślub miał się odbyć na australijskim Złotym Wybrzeżu, bo o takim zawsze marzyła. Podczas gdy przyjaciółki po kolei mówiły, jak bardzo chciałyby pojechać, ale nie mogą, Mel pograżała się w samoudręce, której żadna ilość White Cranberry Ice nie mogła pokonać.

Uszczypliwości Lorny dręczyły ją za każdym razem z jednego prostego powodu: Mel strasznie się bała, że Lorna ma rację. Gdyby tylko Lorna okazała większą wrażliwość... W końcu nie każdy może sobie pozwolić na zostanie w domu z dziećmi.

Adrian właśnie zasypiał, kiedy Mel wsunęła się pod kołdrę. Minęła północ i sama myśl, że pobudka nastąpi już za pięć godzin, przyprawiała ją o mdłości.

- Dobrze się bawiłaś? - zapytał, odwracając się i obejmując ją.

Mel wtuliła się w ramiona męża. Wyłączyli ogrzewanie i trzęsła się z zimna.

Adrianowi dla odmiany zawsze było ciepło i od dawna żartowali, że jemu w zimie wystarcza prześcieradło i najcieńsza kołdra na świecie, podczas gdy Mel potrzebuje elektrycznego koca, czterech grubych pledów i flanelowej koszuli.

- Dobrze - odpowiedziała, układając się wygodnie w ramionach męża. Ale to nie była prawda.

Kiedy Mel oznajmiła, że musi się już pożegnać, bo jest zmęczona, Lorna zaczęła protestować. Bardzo chciała pójść do nocnego klubu.

- Dawniej byłaś szalona! - powiedziała Lorna oskarżycielskim tonem osoby zalanej w trupa, podczas gdy Mel wkładała płaszcz i sprawdzała, czy ma dość pieniędzy na taksówkę na dworzec. - Co się z tobą stało? Takie jesteśmy nudne, że nie masz dla nas czasu, o to chodzi?

Mel, którą przez cały wieczór dręczyły wyrzuty, że może spotkać się z przyjaciółkami tylko kilka razy w roku, teraz poczuła, że jej cierpliwość się wyczerpuje.

- Mam pracę, Lorno, pracę, w której muszę przez cały dzień wykazywać się osiągnięciami, a po powrocie do domu czekają na mnie obowiązki, które ty też wykonujesz, tylko że mam na to jedną czwartą twojego czasu. Wybacz więc, że nie jestem gotowa na całonocne szaleństwa, ale jeśli będę miała kaca, to nie będę mogła wrócić do łóżka, kiedy dzieci pójdą do szkoły. Moja praca nie może czekać jak zakupy albo pranie. Bo wiesz, mam nad sobą szefa.

Była niesprawiedliwa, ale w ogóle jej to nie obchodziło. Lorna też potraktowała ją niesprawiedliwie, niech więc poczuje na własnej skórze, jak to jest.

- A skoro moje towarzystwo tak cię nudzi - ciągnęła Mel - nie męcz się dzwonieniem do mnie, kiedy następnym razem zaplanujesz wieczór na mieście,

na którym się zalejesz i będziesz snuła opowieści o współpracy rodziców i nauczycieli.

Wyszła, zostawiając Caroline, Val i Lornę, które gapiły się na nią z otwartymi ustami. W taksówce na dworzec przeklinała siebie, że dała się Lornie sprowokować. Dlaczego nie ugryzła się w język? Nie chodziło nawet o to, że okropnie potraktowała Lornę - Lorna porządnie się wstawiła i na pewno nic nie będzie pamiętała. Poza tym najwyższy czas, żeby jej odpłacić za te kąśliwe uwagi. Ale zrobienie przykrości Caroline to była inna sprawa. Caroline była prawdziwą przyjaciółką i teraz pomyśli, że Mel jest jedną z tych wrednych karierowiczek, które z góry patrzą na gospodynie domowe. Okropnie się wszystko poplątało.

- Co u Caroline? - zapytał zaspanym głosem Adrian.

- W porządku - odparła Mel. Nie miało sensu opowiadać mu teraz o całej tej sprawie.

- Tęskniliśmy za tobą - powiedział Adrian. Jego głos stłumiły jej jedwabiste włosy.

- Ja też za wami tęskniłam - odrzekła Mel szczerze. - Spij, kochanie. Przepraszam, że cię obudziłam.

- Bez ciebie nie potrafię zasnąć.

Mel uśmiechnęła się i przytuliła mocniej do męża. Co za szczęście, że trafiła na Adriana. Mówił, że ją kocha i tęskni za nią. Nie wszystkich mężczyzn stać było na taką szczerłość. Tworzyli dobrany zespół i wspólnie przetrwali trudne czasy, tak przynajmniej powtarzał Adrian. Problem w tym, że ostatnio trudne czasy zdawały się przeważać nad dobrymi.

Nazajutrz Mel zadzwoniła do Caroline dopiero przed lunchem, bo wiedziała, że przyjaciółka rano jest zajęta wyjściem do szkoły i zakupami.

Po raz pierwszy odkąd się zaprzyjaźniły, Caroline mówiła lodowatym tonem.

- Nie musiałaś tak ostro potraktować Lorny - powiedziała szorstko.

Mel przetarła zmęczoną twarz. Brak snu sprawił, że zapomniała, co chciała powiedzieć.

- Lorna podjęła trudną decyzję o zostaniu w domu z dziećmi i o rezygnacji z kariery, ale to nie znaczy, że przestała być człowiekiem - ciągnęła Caroline. - Mamy dość ludzi, którzy pytają: „Co robisz?“, i przestają cię zauważać, kiedy mówisz, że zajmujesz się dziećmi. Jest to dostatecznie nieprzyjemne ze strony mężczyzn, kobiety nie muszą nam dokładać. Wydawało mi się, że rozumiesz, dlaczego zrezygnowałam z pracy, Mel. Po prostu nie mogłam znieść myśli, że moje dzieci będzie wychowywał ktoś inny. Gdybym wiedziała, że mną z tego powodu pogardzasz, zerwałabym znajomość z tobą. Mam mnóstwo nowych

przyjaciółek, które robią to co ja. Nie muszę czepiać się ciebie ze względu na pamięć dawnych czasów, kiedy siedziałyśmy biurko w biurko i narzekałyśmy na szefa.

- Nie mów tak, Caroline - błagała Mel. - Nie miałam tego na myśli, dobrze wiesz. Nie pogardzam tobą. Uważam nawet - roześmiała się niewesoło - że dokonałam złego wyboru. - Dlaczego Caroline nie rozumie, że pracujące matki takie jak Mel mają wrażenie, że to matki opiekujące się dziećmi patrzą na nie z góry? - Bardzo bym chciała zostać w domu i zajmować się Carrie i Sarą... - zaczęła i zaraz umilkła, wstrząśnięta. Powiedziała to. Zdradziła drugiej osobie swój największy sekret, tajemnicę, do której przyznawała się tylko przed sobą. Żałowała, że nie może być w domu. Była zmęczona swoim życiem, wykończona krzątaniem, która przypominała bieganie chomika wspinającego się bez celu na koło.

- Jasne, wiem, co miałaś na myśli - powiedziała Caroline sarkastycznie. - Żałujesz, że nie możesz przez cały dzień leniuchować w domu, bo twoim zdaniem tak właśnie to wygląda. Ale to nieprawda. To wcale nie polega na włączaniu się po sklepach, picciu kawy z innymi gospodyniami domowymi, praniu i prasowaniu pomiędzy kolejnymi odcinkami programu Oprah Winfrey. To jest cholernie trudne i bardzo nudne.

- Wiem, zdaję sobie z tego sprawę - wyjąkała Mel. - Źle mnie zrozumiałaś...

- Myślisz, że nie pamiętam, jak to jest, kiedy masz ciekawą pracę i ludzi, którzy cię podziwiają? Kiedy zarabiasz pieniądze i wykorzystujesz swoje talenty? - ciągnęła rozdygotana Caroline. - A teraz jestem zależną od męża matką i gospodynią domową, której nikt nie szanuje. Graham żartuje, że jestem prezesem gospodarstwa domowego, ale to jedyna praca, w której nikt nigdy nie docenia tego, co robisz. Myślałam, że to rozumiesz, że wiesz, jaką przyjemność sprawia mi spotkanie się ze starym światem i przypominanie sobie, jak było w przeszłości, ale teraz widzę, że się myliłam. Ty mną pogardzasz.

- Wcale nie, Caroline - zaprzeczyła Mel żarliwie. - Nieprawda. Tylko że Lorna okropnie mnie denerwuje...

- Mel, nie mam czasu teraz z tobą rozmawiać - przerwała Caroline szorstko. - Czeka na mnie sporo zajęć. Zaraz zacznie się Oprah, a ja za nic nie chciałabym opuścić żadnego odcinka. Do widzenia. - Po tych słowach odłożyła słuchawkę.

- Caroline, nie...

Jak udało im się doprowadzić do takiego bałaganu? Kiedy Mel zrozumiała powody, dla których Caroline zrezygnowała z pracy, żeby opiekować się swoimi trzema synkami? Bo właśnie teraz, po latach zmagania, by wszystkie piłki utrzymać w powietrzu, Mel też tego zapragnęła.

Ledwo odłożyła słuchawkę, telefon znowu zadzwonił.

- Przepraszam, Mel, wiem, że to przerwa na lunch, ale mam na linii dziennikarza z „Echo” - powiedziała Sue, sekretarka działu. - Nazywa się Peter Glennon i dzwoni w sprawie statystyki chorób serca zamieszczonej na stronie internetowej. Twierdzi, że podane tam liczby nie są właściwe dla Irlandii.

- Połącz go - odparła Mel uprzejmie, jakby przed chwilą nie skończyła okropnej rozmowy ze swoją najstarszą przyjaciółką. Lunch, podobnie jak rozważania o kłótni z Caroline, może poczekać. Praca jest najważniejsza, czyż nie? Ważniejsza od jej życia, rodziny, przyjaciół. Praca rządzi.

Rozdział drugi

Hotel Willow był częścią Carrickwell, odkąd pamiętali najstarsi mieszkańcy miasteczka. Inne, wspanialsze hotele powstawały i znikwały, przynosząc urozmaiconą nouvelle cuisine, prostotę zen i współczesny modny styl, ale tylko trzy pozostały na dłużej: Carrick Park, motel przy głównej drodze prowadzącej do miasta, Townhouse, niewielki pensjonat koło katedry, który zbijał fortunę na lunchach dla banków i firm, oraz Willow, wielki, pełen zakamarków budynek w stylu georgiańskim, zapełniony podniszczonymi antykami, którego ogrzanie graniczyło z niemożliwością i który był mniej lub bardziej wypłacalny przez te trzydzieści lat, odkąd przejęli go rodzice Cleo.

Harry i Sheila Malinowie byli wtedy świeżo po ślubie i uważali, że Willow z ogromnym zapuszczonym ogrodem na tyłach i przestronnym domem to wspaniałe miejsce do wychowywania dzieci, zajęli się więc prowadzeniem hotelu z wielkim entuzjazmem, choć żadne nie miało najmniejszego doświadczenia w tej dziedzinie. Jakimś cudem dali sobie radę i teraz, trzydzieści lat i troje dzieci później, Willow wciąż tu był: charakterystyczny gmach na pięciu cennych akrach ziemi na obrzeżach miasta.

W przewodnikach umieszczano go w kategorii wiejskich pensjonatów, w których goście mają wrażenie, że odwiedzają staroświecki i zubożały dom przyjaciół, a nie hotel. Miał szesnaście sypialni, każdą inną, dwa apartamenty i maleńką salę balową, w której można było urządzać przyjęcia weselne w wąskim gronie. Hotel Willow był taki sam jak przed laty, za to w Carrickwell zachodziły zmiany. Obecnie nie było to już sensowne miasteczko, tylko sypialnia dla pracujących w stolicy, przez co ceny nieruchomości szybowały w górę, a inni hotelarze ciągle próbowali rozpocząć tu działalność.

Ostatni konkurent pojawił się w dawnym wiktoriańskim probostwie przy Glenside Road, gdzie wszystkie sypialnie urządzono na wzór paryskiego lupanaru, wyposażając je w lustra, obfitość purpurowego aksamitu i lamparcie skóry. Ojciec Cleo potajemnie poszedł tam na rekonesans i wrócił z informacją, że śniadania są niedobre - kontynentalne, zamiast solidnych smażonych potraw, które woli większość ludzi, nie zważając na poziom cholesterolu - a właściciel bardziej się stara o zamieszczenie zdjęć przybytku w magazynach na temat wystroju wnętrza, niż przykłada do codziennych obowiązków.

Lamparcie skóry stanowiły źródło wielkiego rozbawienia w rodzinnej części Willow, gdzie dywany były przetarte, a tapet nie zmieniano od wieków.

Zdaniem Harry ego Malina fakt, że konkurent przestał działać po roku, świadczył o tym, że ludzie przedkładają solidną domową kuchnię i przytulną atmosferę nad wystawny styl i kosztowne nowe meble.

Cleo pomyślała, że to dobrze się składa, skoro od czasów jej dzieciństwa w Willow niczego nie unowocześniono, ale nie powiedziała tego na głos.

Sheila stwierdziła, że to dowód, iż Willow stanowi nieodłączną część Carrickwell, bo czyż ludzie nie przyjeżdżają z miasta na niedzielny lunch w wielkiej sali jadalnej? Czy na kilka miesięcy z góry nie rezerwują bożonarodzeniowego obiadu, a lista rezerwowa nie jest długa na kilometr? Barney i Jason, starsi bracia Cleo, uznali, że Willow może być kopalnią złota teraz, kiedy zawarli umowę z biurem podróży organizującym wycieczki do klasztoru cystersów i okrągłej baszty. A ponieważ wszystko tak świetnie się układa, jaki sens tracić pieniądze na modernizację centralnego ogrzewania tylko dlatego, że hydraulik powiedział, iż rurom minął termin użytkowania. Tacy oni są - każdy szanujący się hydraulik powie, że rury wymagają remontu.

Zona Barneya, Sondra, powiedziała, że rodzina zawsze może sprzedać kawałek ziemi za hotelem firmie budowlanej, która nim człowiek się obejrzy, postawi kilka apartamentowców, i wszyscy będą żyć jak pączki w maśle.

Cleo jako jedyna próbowała przestrzec rodzinę. Niedawno zrobiła dyplom z zarządzania hotelami, uzyskując jedną z najlepszych lokat na roku. Jej zdaniem naprawdę powinni zastanowić się nad modernizacją, ponieważ czasy są trudne i hotel taki jak Willow łatwo popadnie w ruinę, jeśli jego właściciele nie będą myśleć perspektywicznie. Wielkie nowoczesne hotele zasadniczo należą do korporacji, które mogą sobie pozwolić na inwestowanie długoterminowe, podczas gdy mniejsze firmy muszą zaoferować gościom coś wyjątkowego.

Pani O'Flaherty, która pracowała w eleganckim wiktoriańskim Jungfrau w Szwajcarii, prowadziła z grupą Cleo zajęcia dotyczące przemysłu hotelarskiego i z żarem przekonywała, że mniejsze hotele muszą dołożyć wszelkich starań, by dotrzymać kroku współczesności.

- Jeśli standardy ulegną pogorszeniu, a nie przeprowadzi się modernizacji, to szybko może się okazać, że w waszym małym hoteliku, w którym do tej pory każde łóżko było zajęte, nie ma żadnych gości - mówiła z wielką powagą pani O'Flaherty. - To jest tragedia rodzinnych hoteli. Często brakuje środków na remonty, ale nie podejmować inwestycji to prosić się o katastrofę.

Studenci, z których wielu pochodziło z rodzin właścicieli małych hoteli, słuchali z uwagą, robili notatki i zastanawiali się, jak powtórzą tę informację w domu.

Przyjaciół i wielbicieli Cleo, Nat, którego rodzina od pokoleń posiadała uroczy dwudziestopokojowy hotelik w Galway, często powtarzał, że przekonanie jego owdowiałej matki o konieczności inwestowania to beznadziejna sprawa.

- Mama mówi, że można wydać bardzo ograniczoną sumę, bo jeśli za bardzo hotel wyszykujemy, to będziemy musieli podnieść cenę i wszyscy stali bywalcy przestaną nas odwiedzać - mówił Nat ponuro. - Przekonuję ją, że musimy włożyć wiele tysięcy w remont, inaczej będzie po nas, ale nie chce mnie słuchać. No i co mam zrobić?

Cleo wzruszyła ramionami w geście, który znaczył: mnie nie pytaj, wiesz, że moja rodzina też mnie nie słucha.

Była najmłodsza z rodzeństwa i choć skończyła dwadzieścia trzy lata, w domu wciąż traktowano ją jak dziecko.

Barney i Jason interesowali się hotelem wyłącznie od strony finansowej. Na dwudzieste piąte urodziny każdy z braci dostał po dziesięć procent udziałów. Cleo była pewna, że ojciec czekał, aż synowie osiągną ten wiek, ponieważ obu cechował bardzo niefrasobliwy stosunek do pieniędzy. Zdaniem matki, Harry chciał mieć pewność, że będą dość rozsądni, żeby myśleć o przyszłości hotelu, kiedy w końcu staną się współwłaścicielami firmy.

- Dwadzieścia pięć lat... To śmieszne. Prawie jak w wiktoriańskich czasach - upierała się Cleo w dwudzieste pierwsze urodziny, kiedy po raz pierwszy o tym usłyszała i uświadomiła sobie, że jest za młoda, żeby dostać swój udział.

- To wiek osiągnięcia dojrzałości - stwierdził ojciec.

- Może w czasach Jane Austen - odparła Cleo. Okropnie ją denerwowało, że ojciec nie dostrzega, iż ona jest już teraz o wiele dojrzała, niż jej bracia będą kiedykolwiek - naprawdę, czasami byli jak dzieci - i postanowiła zrobić wszystko, żeby to zmienić. Tata będzie jej słuchał. To wariatwo, że nie chce jej dać udziałów, dzięki którym miałyby swój głos w sprawach dotyczących zarządzania hotelem. Była wykształcona, wiedziała, co należy robić, i miała wielki zapał do pracy...

- Kupuje pani te czasopisma czy trenuje do muzeum figur woskowych? - zapytał kioskarski. Otrząsając się ze snu na jawie, w którym cała rodzina spijała słowa z jej ust, jakby były wyryte na kamiennych tablicach, Cleo uprzytomniła sobie, że nie wiadomo jak długo wpatruje się pustym wzrokiem w stojak z gazetami, przyciskając do piersi dwa błyszczące magazyny.

- Przepraszam - powiedziała, podchodząc do lady z uśmiechem. Miała śliczny uśmiech, wszyscy to powtarzali, bo w policzkach robiły się jej dołeczki, a oczy promieniały. Gdyby należała do dziewcząt pakujących się w kłopoty - a nie

należała, jak z jękiem wyznawała swojej najlepszej przyjaciółce, Trish - mogłaby w jednej chwili się z nich wyplątać dzięki swojemu stuwatowemu uśmiechowi.

Twarz kioskarsza złagodniała, gdy brał od niej czasopisma i przesunął pod czytnikiem przy kasie. To była piękna dziewczyna, w dodatku uprzejma. Zupełnie inna niż te chłopczyce, które tu przychodziły, kartkowały wszystkie czasopisma, na głos czytały porady seksualne i wychodziły, nie kupując nawet paczki czipsów.

- Dziękuję. - Cleo odebrała resztę i zakupy, odwracając wzrok od półek z czekoladą. Czekolada była zła, zwłaszcza ta nowa biała, która roztopiała się na języku i przelatywała przez żołądek, żeby osiąść na biodrach. Cleo nigdy przesadnie nie przejmowała się wagą: była wysoka, miała długie nogi i figurę sportsmenki. Bez względu na to, co jadła, jej brzuch pozostawał płaski. Problemem natomiast były piersi. 95D oznaczało wielki rozmiar w każdym języku, a jeśli Cleo tyła, to przynajmniej połowa z tego szła jej prosto w biust.

Trish czekała na nią na światłach, skulona z zimna w płaszczu ze sztucznej skóry, z czerwoną czapką naciągniętą na uszy.

- Co tam masz? - zapytała, pukając palcem w zakupy Cleo, kiedy czekały na zielone światło, żeby przejść na drugą stronę ruchliwej ulicy.

- Magazyny o wystroju wewnątrz - odparła Cleo. Liczyła, że nie zacznie padać, dopóki nie wsiądzie do autobusu do domu, bo nie wzięła czapki ani parasola. Włosy i bez tego miała okropne: kręcone i sterczące na wszystkie strony, a jak zamokną - ha, wtedy Cleo zmieni się w kobietę jaskiniową.

- Czemu nie wzięłaś tych czasopism z plotkami, które by poprawiły nam humor? - jęknęła Trish. - Uwielbiam zdjęcia gwiazd bez makijażu, za to ze znamionami, cellulitisem i papierosami.

Trish niedawno rzuciła palenie i nic jej nie sprawiało takiej przyjemności jak oglądanie innych ludzi, którzy z papierosami w dłoniach robili wrażenie niezdrowych. To dowodziło, mówiła przez zaciśnięte zęby, żując kolejny listek gumy nikotynowej, że podjęła właściwą decyzję.

- Bo w tych czasopismach jest też pełno diet i porad, co robić, żeby wyglądać jak J-Lo, a to zawsze wiąże się z wydawaniem mnóstwa pieniędzy, których nie mamy. No i trzeba mieć rozmiar sześć, do którego nam daleko - wyjaśniła Cleo.

Zapaliło się zielone światło i dziewczęta pobiegły na drugą stronę ulicy do pubu Shepard, w którym spędziły wiele godzin, kiedy studiowały w collegeach oddalonych od siebie o pięć minut jazdy autobusem. Wielu wykładowców hotelarstwa myślało na pewno, że Trish uczy się u nich, a nie w studium biznesu na drugim brzegu rzeki Liffey.

- Mogłybyśmy mieć rozmiar sześć, gdybyśmy chciały - powiedziała Trish.

- Jasne. Gdybyśmy przestały jeść i dały sobie wyciąć niektóre ważne organy, byłoby to bardzo prawdopodobne. -

Cleo otworzyła drzwi i poczuła przyjemne ciepło centralnego ogrzewania włączonego na cały regulator.

- Czemu jesteś taka zrzędliva? - spytała Trish, kiedy już znalazły zaciszny stolik i zamówiły dwie kawy.

- Odrzuciłam propozycję pracy w Donegal. - Nie!

- Tak. - Cleo sama nie mogła w to uwierzyć. Nie o takiej posadzie marzyła - zastępca kierownika w małym hotelu Kilbeggan Castle w odznaczającej się surowym pięknem części Donegal - ale byłaby to jej pierwsza prawdziwa praca. A ona z niej zrezygnowała. Musiała być szalona.

Właściciel Kilbeggan Castle najwyraźniej myślał podobnie.

- Była pani taka zainteresowana i chętna do pracy... - powiedział zirytowany, kiedy zatelefonowała po otrzymaniu listu z propozycją pracy.

- Tak mi przykro - odparła Cleo. - Nie chciałam marnować pańskiego czasu.

- Ale go pani zmarnowała.

- Nie miałam takiego zamiaru - przerwała mu. - Chodzi o to, że nagle pojawiła się inna możliwość. Wie pan, że pochodzę z hotelarskiej rodziny? No i mam ważny powód, żeby zostać w domu.

- Wiem, że turystyka przeżywa kryzys. Wszyscy to odczuwamy, bo ludzie nie bardzo mają teraz ochotę latać. Podejrzewam, że wasz hotel też na tym ucierpiał. Ale dość o tym. - Westchnął ciężko. - Przypuszczam, że jeszcze o pani przeczytam w związku z jakimiś wielkimi wydarzeniami. Zrobiła pani na nas ogromne wrażenie, panno Malin.

- Dziękuję - odparła Cleo z żalem. Intuicja podpowiadała jej, że w Kilbeggan Castle cudownie by się pracowało. Rzeczywiście, chyba rozum jej odjęło, że odrzuciła tę ofertę. Nie była jednak w stanie zmusić się do rezygnacji z własnego dziedzictwa. Będzie musiała wciągnąć Willow i opierającą się z całych sił rodzinę w nowe stulecie, nim hotel całkiem popadnie w ruinę.

- Oszalałaś - stwierdziła Trish. - Kompletnie cię pogięło. Przepraszam. Wiem, że to niegrzecznie, ale tak jest. - Patrzyła gniewnie na Cleo. Tak właśnie spoglądała na nią pierwszego dnia w klasie panny Minton w szkole podstawowej w Carrickwell, kiedy obie postanowiły usiąść na niebieskim drewnianym krzeselku, co skończyło się bójką, wrywaniem włosów i krzykami.

Osiemnaście lat później już sobie nie wrywały włosów, choć od czasu do czasu na siebie wrzeszczały. Cleo ostatnio krzyczała na Trish, kiedy przyjaciółka z poczuciem winy w głosie przyznała, że wbrew obietnicy nie rzuciła jednak

chłopaka, choć widziano go migdalącego się z inną dziewczyną na imprezie sylwestrowej.

- Mówi, że jest mu przykro - protestowała Trish.

- Do następnego razu - odparła Cleo gniewnie. - Gdyby zrobił to mnie, jechałby teraz na pogotowie i błagałby o morfinę, żeby zapomnieć o bólu. - Mówiła poważnie. Cleo może i nie miała tłumy chłopaków, ale ci, z którymi się spotykała, dobrze wiedzieli, że nierozsądnie jest wystawiać ją do wiatru. Facet, który po jednym wieczorze zapewniał ją o swoim oddaniu i obiecywał, że zadzwoni, ale nie zadzwonił, na zawsze zapamięta, jak następnego dnia Cleo wylała mu drinka na głowę i ku rozbawieniu wszystkich obecnych donośnym głosem poradziła, żeby nie składał obietnic, jeśli nie zamierza ich dotrzymywać.

- Uczciwość to najlepsza polityka - oznajmiła, podczas gdy on siedział oszołomiony, a po twarzy spływało mu piwo. - Jeśli nie chciałeś się więcej ze mną spotykać, wystarczyło mi o tym powiedzieć. Nie należę do kobiet, które lubią wyczekiwać, aż telefon zadzwoni.

Dzisiaj to Trish próbowała odwołać się do rozsądku przyjaciółki. .

- Dlaczego odmówiłaś? Dlaczego? To była świetna praca. Po co odrzucasz atrakcyjną ofertę w Donegal, skoro rodzina nie zwraca na ciebie uwagi? Przecież twój tata w życiu nie przekaże ci hotelu, żebyś mu pokazała, jak powinno się go prowadzić, prawda? Barney i Jason też nie mają tego w planie. Sama mówiłaś, że Barney w duchu liczy na to, że hotel trzeba będzie zamknąć. Wtedy sprzedacie ziemię, on z Sondrą zrobią fortunę na swojej części i przez resztę życia będą pławić się w luksus. Nie zdołasz uratować Willow, jeśli oni nie chcą go ratować, Cleo.

Ta uwaga była niezwykle trafna i Trish wygłaszała ją nieustannie od miesiąca -to znaczy od chwili, kiedy Cleo pojęła, w jak fatalnym stanie znajduje się rodzinna firma.

Terroryzm oznaczał kryzys w turystyce na całym świecie, ale nie był jedynym sprawcą problemów dręczących Willow. Po raz pierwszy Cleo uzmysłowiła sobie grożącą hotelowi klęskę, kiedy po dłuższej przerwie przyjechała do domu na Boże Narodzenie. Przez te siedem miesięcy, które minęły od skończenia college'u, pracowała na nocnej zmianie w recepcji wielkiego hotelu w Bristolu. Przekonała się, że trudno przywyknąć do pracy na zmiany, ale też wiele się nauczyła, zarówno o branży hotelarskiej, jak i o przystojnym Francuzie imieniem Laurent, z którym miała krótki, acz bardzo miły romans. Teraz chciała podzielić się z rodziną nowo zdobytą wiedzą, aczkolwiek opinię na temat techniki całowania Laurenta zamierzała zachować dla siebie.

Na Boże Narodzenie w Willow była zajęta tylko połowa miejsc, co zdarzyło się po raz pierwszy w całej jego historii. Gości nie zwabiło nawet kosztowne ogłoszenie w ogólnokrajowym dzienniku. Podczas świątecznego lunchu musieli odgrodzić część sali jadalnej, by pomieszczenie nie sprawiało wrażenia pustego.

Jason, Barney i rodzice zachowywali się tak, jakby mieli do czynienia z błędem na radarze, z przypadkiem. Cleo wiedziała, że jest inaczej. To był zwiastun upadku. Ludzie oczekiwali od hoteli czegoś więcej niż wyblakłej wspaniałości, którą zapewniał Willow. Chcieli srebrnej zastawy do herbaty, eleganckich starych mebli, atmosfery wytwornego stylu życia emanującej z pięknego starego hotelu - a także ciepłej wody przez cały dzień, basenu i salonu piękności. A co mógł im zaoferować ukochany Willow?

- Właściwie w Donegal byłoby za zimno - ciągnęła Trish z namysłem. - Na twoim miejscu wsiadłabym w pierwszy samolot do jakiegoś ciepłego kraju i znalazła pracę w luksusowym hotelu. Wiesz, mogłabym tam do ciebie przyjeżdżać i mieszkać w twoim pokoju. O, na przykład Karaiby. Piaszczyste plaże, ja na leżaku macham ręką, a jakiś uśmiechnięty hebanowy bożek z posągowymi udami pomaga mi przesunąć parasol. - Trish westchnęła, rozmarzona.

- Skończyłaś fantazjować? - zapytała Cleo, otwierając jeden z magazynów. - Posłuchaj, jaki mam plan. Gdybyśmy sami zajęli się wystrojem, koszty nie byłyby zbyt wysokie. - Znalazła stronę, która zauroczyła ją w saloniku prasowym: budynek całkiem podobny do Willow, ale z bajecznymi malowidłami na ścianach, między innymi trompe l'oeil przedstawiającym łukowe drzwi prowadzące do tropikalnego ogrodu. Z czymś takim w jadalni hotel wyglądałby cudownie. Trish westchnęła.

- Cleo, te domy tak wyglądają, bo armia absolwentów akademii sztuk pięknych całymi dniami pracuje nad przekształceniem obskurnego holu w rajski ogród za pomocą siedemnastu puszek farby. Gdyby zajmowali się tym normalni ludzie, tacy jak my, te malowidła wyglądałyby jak wykonane przez szympansy.

- To nie może być aż tak trudne - mruknęła Cleo. Trish zmrużyła oczy.

- Jasne, Leonardo. Zejdź na ziemię. Twoja rodzina uważa cię za dziecko, które o niczym nie ma pojęcia. Na tym polega bycie najmłodszą. Powinnaś stawić czoło faktom, wyjechać stąd i zacząć własne życie. Tak jak ja zrobiłam - dodała wyzywająco.

Trish przeprowadziła się do Dublina, kiedy jako osiemnastolatka zaczynała studia w collegeu, i od tamtej pory prowadziła samodzielne życie. Twierdziła, że tajemnica dobrych relacji z rodziną tkwi w mieszkaniu daleko od niej. Dawniej

Cleo jej tego zazdrościła, teraz nie była taka pewna. Strasznie jej zależało na wyjeździe do Bristolu i poznaniu świata, ale kiedy ten zamiar zrealizowała, stwierdziła, że tęskni za domem.

- Twoja sytuacja była inna. Ty musiałaś się wyprowadzić - odparła Cleo. Rodzina Trish znana była z gwałtownych kłótni i trzaskania drzwiami. - Ale ja nie chcę stąd wyjeżdżać - dodała ze smutkiem. - Wiem, że gdyby tylko udało mi się przekonać ich, że mamy kłopoty, na pewno by coś zrobili, prawda?

- OK, zwołaj rodzinną konferencję, powiedz im, że wszystko robią źle i zobacz, co się stanie - odparła Trish. - Tylko mi nie mów, że cię nie ostrzegałam.

Idąc na przystanek, Cleo zastanawiała się nad słowami przyjaciółki. Zdawała sobie sprawę, że pozostanie w Carrickwell i odświeżenie rodzinnego biznesu nie mogło się udać z przyczyn, które Trish wymieniła: ojciec nie zechce jej słuchać, a bracia przypuszczalnie liczą, że hotel w końcu zbankrutuje. Ani Jason, ani Barney nie wykazywali najmniejszych skłonności do hotelarstwa. Jason pracował w biurze podróży, Barney był kierownikiem salonu samochodowego. Gdyby hotel i ziemię sprzedano, zarobiliby kupę pieniędzy.

Cleo kochała braci, ale różnica wieku powodowała, że w dzieciństwie wyłączali ją ze swoich zabaw, a teraz przy każdym spotkaniu dochodziło między nimi do sprzeczek.

Autobus już czekał, Cleo więc wsiadła. Kiedy drzwi się zasunęły, zdjęła szal i usadowiła się wygodnie w oczekiwaniu na miłą przejażdżkę.

- Cleo Malin, a niech mnie. Co u ciebie? - Pani Irene Hanley, przyjaciółka matki, postawiła dwie wielkie torby z zakupami na siedzeniu obok dziewczyny. - Mogę tu usiąść? Nie znoszę jazdy autobusem, można oszaleć z nudów, no nie? - Nie czekając na odpowiedź, pani Hanley zdjęła płaszcz, ułożyła torby na podłodze w taki sposób, że przygniotły stopy Cleo, i usiadła. Obfitymi kształtami charakterystycznymi dla kobiet z wysp Tonga pani Hanley zajęła całe swoje siedzenie i spory kawałek siedzenia Cleo. Ta została zepchnięta pod okno, chociaż szanse na to, że będzie spokojnie przez nie wyglądać, całkiem się już rozwiały. Pani Hanley miała ochotę na pogawędkę. Na początek wyjęła bombonierkę. Cleo poczuła, jak głód ogarnia ją niczym fala przyływu, kiedy pani Hanley otworzyła pudełko i po chwili wahania wyjęła z niego białą pomadkę.

- Poczęstuj się - podsunęła słodycze Cleo. - Och, dajże spokój - dodała, kiedy dziewczyna pokręciła głową. - Jedna ci nie zaszkodzi.

Przeklinając się w duchu za słabość, Cleo wzięła czekoladkę karmelową z orzeszkiem. Czowała, jak czekoladowe sensory w jej ciele stają na baczność.

Wracamy do akcji, chłopaki!

- Ach, poproszę o jeszcze jedną - powiedziała.

Córki pani Hanley (synów nie miała), wszystkie o identycznie posągowych figurach, albo już wyszły za mąż, albo niedługo miały poślubić szalenie atrakcyjnych mężczyzn.

- Teraz kolej na Lorette. Jej narzeczony, Boże kochany, jest cudowny i nazywa mnie swoją drugą mamusią. No więc zabiera Lorette do Lanzarote na walentynki. Loretta, mówię jej, ty się go trzymaj.

- Loretta w zeszłym roku skończyła dwadzieścia dwa lata? - zapytała nagle Cleo, przypominając sobie tę przedstawicielkę licznego klanu Hanley ów. Loretta w któreś wakacje pracowała jako pokojówka w Willow, a teraz prowadziła filię jednego z przedsiębiorstw organizujących wycieczki autokarowe.

- Moja dziecinka - rozczuliła się pani Hanley, a nagły przypływ jej tęsknoty mogła ukoić jedynie pralinka z gorzkiej czekolady z nugatem.

Cleo westchnęła i wzięła czekoladkę o smaku capuccino. Od przelotnego związku z Laurentem w jej życiu nie było żadnego mężczyzny (z wyjątkiem Nata, ale on się nie liczył), nie wspominając już o takim, który miałby kaprys i stosowne konto w banku, żeby zabrać ją do Lanzarote. Jak Lorecie to się udało?

Może sztuka polega na byciu mniej nieustępliwą. Cleo zdawała sobie sprawę, że jest twarda wobec mężczyzn, ale tego nie da się zmienić, prawda? Stanowczość jest niezbedna, czy chodzi o wyrzucanie pijanych z hotelu, czy o mówienie facetom, że jedna randka nie upoważnia ich do gapienia się w rowek między jej piersiami.

- Już prawie jesteśmy na miejscu. Boże, ale ten czas szybko mija w towarzystwie - powiedziała pani Hanley, kiedy autobus zatrzymał się na początku Mili Street. - Jak mówiłam, spodziewam się, że Loretta wróci z Lanzarote z pierścieniem zaręczynowym, choć proszę, żebyś zatrzymała to dla siebie. Jeśli tak się stanie, czeka nas wesele. Nic zbyt wielkiego. Choć obawiam się, że będą musieli oszczędzać na ślub. Lorecie bardzo się podoba Metropole w Dublinie. Bardzo szykowny. Albo Merlin Castle and Spa w Kildare. Szkoda, że tutaj nic takiego nie mamy. W starym domu Delaneyów dzień i noc trwają prace przy budowie farmy piękności. Chyba niedługo skończą, ale nie będzie tam hotelu, więc Loretta musi szukać gdzie indziej, jeśli chce mieć wytworne przyjęcie. - Pani Hanley jeszcze nie skończyła mówić, kiedy dotarł do niej sens własnych słów. Położyła ozdobioną pierścionkami dłoń na ustach. -Przepraszam, Cleo. Ta moja niewyparzona gęba. Nie pomyślałam. Nie powtarzaj tego mamie, bardzo cię proszę. Wiesz, jak bardzo ją lubię, ale rzecz w tym, że w dzisiejszych czasach młodzi ludzie, tacy jak Loretta, inaczej sobie wyobrażają

wesele: chcą, żeby trwało cały weekend. Powiedzmy: ślub jest w piątek, w sobotę zabiegi na farmie piękności, przyjęcie wieczorem. Trzeba wielkiej sali balowej i co najmniej pięćdziesięciu pokoi, żeby pomieścić wszystkich gości. Hoteliki z kilkoma pokojami zupełnie się nie nadają... - Znowu położyła dłoń na ustach. - Kopię sobie jeszcze większy dół, Cleo. Nie chciałam obrazić ciebie ani twojej rodziny.

- Niech pani nie będzie niemądra, pani Hanley - odparła Cleo energicznie. Nie mogła mieć pretensji do tej kobiety, że zwróciła uwagę na prawdę, którą Cleo sama dostrzegała. - Tak czy owak, wkrótce usłyszysz pani interesujące rzeczy o Willow. Mamy wielkie plany na przyszłość - dodała. - Właściwie niedługo „Odnosisię do swojego hotelu pozytywnie” - tak uczono ich w collegeu. - „Niebój się mówić ludziom o zaletach i planowanych w przyszłości ulepszeniach, o ile tylko czyny to potwierdzą”.

A oni byliby w stanie zrobić to szybko, uznała Cleo. Jeśli rodzina jej posłucha.

- Tak się cieszę - stwierdziła pani Hanley. - Martwiłam się, bo hotel trochę podupadł, a twoja biedna matka jest tym wykończona. Ciągle o tym rozmawiamy z dziewczętami z klubu książki.

Ulga, że Cleo się nie obraziła, rozwiązała pani Hanley język.

- Ona wygląda na wykończoną. Kompletnie wykończoną. To musi być trudne, choć robi dobrą minę do złej gry. Ale my się martwimy, Cleo. Bardzo lubię twoją matkę, i ojca też. Szczerze mówię: moim zdaniem powinni przejść na emeryturę i pojechać gdzieś, gdzie jest słońce. Upał cudownie działa na artretyzm, a twoją matkę artretyzm okropnie męczy. Odstaw pomidory, Sheila, tak jej powtarzam, fatalnie wpływają na zapalenie stawów, ale czy ona mnie słucha?

Nim się rozstały, pani Hanley wmusiła Cleo jeszcze jedną czekoladkę.

- Taka jesteś chudziutka - stwierdziła z dezaprobatą.

Cleo z uśmiechem przyjęła poczęstunek. W porównaniu z dziewczętami Hanleyów faktycznie była chudziutka.

Wychodząc z dworca autobusowego, wolno ssła czekoladkę, żeby wystarczyła na długo, i rozmyślała o słowach pani Hanley. Wszyscy widzieli, że hotel jest w kłopotach. Wszyscy prócz jej rodziny.

W drodze do Willow Cleo minęła Ziemię Świętą, której witryna po usunięciu ozdób bożonarodzeniowych sprawiała wrażenie gołej, a potem pomalowaną jasnymi kolorami fasadę przedszkola Małych Tygrysków z wielkim tygrysem na drzwiach. Było wpół do siódmej i rodzice wciąż przyjeżdżali po dzieci, a te, zaczynamy prace.

Naprawdę?

zakutane w ciepłe kurtki, biegły do samochodów, gorączkowo opowiadając o rysunkach, które zrobiły, i zabawach, w których uczestniczyły. Cleo nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiała, ale teraz przyszło jej na myśl, że to musi być trudne: zostawiać dzieci w przedszkolu na cały dzień i odbierać je dopiero wtedy, kiedy wszyscy są już wykończeni.

Cleo i jej braci nigdy nie posłano do żłobka ani przedszkola. Dla nich przedszkolem był hotel. Zawsze znalazł się ktoś, kto mógł ich mieć na oku, a Cleo od wczesnego dzieciństwa uwielbiała pomagać przy sprzątaniu pokoi, pod warunkiem że dostawała własną żółtą miotełkę do odkurzenia i butelkę z wodą. Zastanawiała się, czy jeśli będzie miała dzieci, to one też od małego będą się uczyły ścielenia łóżek i obserwowały kucharza przygotowującego dwadzieścia cztery śniadania z taką łatwością, jakby chodziło o zaparzenie filiżanki herbaty. Takie dorastanie było świetną zabawą. Postanowiła, że jej dzieci będą się wychowywać w hotelu. Chciała, żeby korzystały z przywilejów związanych z urodzeniem tak radośnie jak ona. Oczywiście to była kwestia odległej przeszłości, bo Cleo nie miała jeszcze nawet kandydata na męża. A szukanie musiało potrwać. W żadnym razie nie zamierzała zgadzać się na pierwszego lepszego. Jej zależało na tym jedynym. Idealnym. Musi być wysoki, to jasne, żeby nie patrzyła na niego z góry. Z jakiegoś powodu wpadała w oko mężczyznom o mało imponującym wzroście, ale jakoś nigdy nie mogła się zmusić do randki z kimś niższym. Laurent był wysoki, miał oliwkową cerę i niesamowite szare oczy. A jego akcent... Kiedy powiedział: „Cleo, taka jesteś seksowna” z tym swoim uroczym prowansalskim zaśpiewem, poczuła, że cała się roztapia.

Kiedy wreszcie wróciła do domu, włosy miała skręcone od wilgoci. Czapka -musi sobie kupić nową czapkę, bo poprzednią zgubiła w trakcie wieczoru na mieście z Trish. Pełna wigoru młoda bizneswoman musi mieć porządną fryzurę. A ona była pełną wigoru młodą bizneswoman, z takich, które mogą przebierać w przystojnych wysokich mężczyznach z cudownym obcym akcentem. Którym udaje się zmusić tych mężczyzn, żeby zamiast na piersi, popatrzyli w oczy.

Pokrzepiona tymi myślami, weszła przez frontowe drzwi i zrobiła to, co pani O'Flaherty, jej ulubiony wykładowca, zawsze powtarzała studentom: wyobraźcie sobie, że jesteście gośćmi przyjeżdżającymi do hotelu, i sprawdźcie, co o nim sądzicie. Cleo stanęła i spróbowała spojrzeć na Willow wzrokiem obiektywnym. Kwiaty, które wczoraj miały przed sobą tylko dzień życia, wciąż stały na wielkim stole w holu i nie ulegało wątpliwości, że nikomu nie przyszło do głowy, by zmienić im wodę. Mętna i zielona jak z bagnistej kałuży, napełniła hol odorem zepsutych jajek. Poduchy na dwóch wielkich fotelach przed kominkiem

wciąż nosiły ślady po osobach, które ostatnio na nich siedziały, a w róg jednego z siedzisk wetknięty był zwinięty dziennik. Co gorsza, drzwi na oszklony taras zostawiono na wpół otwarte i wpadał przez nie zimny wiatr z ogrodu oraz zapach gotowanej kapusty z kuchni.

Cleo nie musiała się wysilać, żeby sobie wyobrazić reakcję każdego szanującego się gościa, który w zimny wieczór trafi do Willow, licząc na ciepło i przytulność, a w progu przywita go to wszystko. Do kompletu brakowało tylko Beli Lugosiego z wyjątkowo ostrymi kłami. Przed pójściem do collegeu i wakacyjnymi praktykami Cleo uważała, że Willow jest najbardziej wytwornym hotelem w okolicy.

Trzeszczące rury z wodą, uroczym termofory dla gości zimną i piękne chodniki z wytartymi brzegami stanowiły atrakcje starego hotelu. O jego uroku decydowały też serdeczność i ciepło, które gościom okazywali gospodarze, czyli jej rodzice. Ten urok znaczył więcej niż nowe meble albo puszyste dywany. Na sukces Willow w świecie identycznych, niczym nieróżniących się od siebie sieci hotelowych w równej mierze składały się więc serdeczność Harryego Malina, co wrażenie zblakłej elegancji. Ale równowaga pomiędzy serdecznością ojca a stanem budynku uległa zachwianiu.

Teraz Cleo widziała Willow innymi oczami. Hotel był podniszczony, zaniedbany. Pilnie wymagał przeróbek.

- Halo! - krzyknęła w pustym holu.

Tamara, recepcjonistka na pół etatu, wystawiła głowę przez nieznacznie uchylone drzwi biura - drzwi, które nigdy nie powinny być zamknięte. Niska i jasnowłosa jak jej starsza siostra, Sondra, bratowa Cleo, Tamara zawsze sprawiała na rozmówcy wrażenie osoby, która ma coś lepszego do roboty niż konwersacja.

Nie przepadała za Cleo - przede wszystkim dlatego, że ta należała do ludzi, którzy nigdy nie potrafią usiedzieć w miejscu. Tamara często lubiła siedzieć w miejscu. A jeszcze bardziej lubiła siedzieć i pielęgnować paznokcie. Akrylowe okazały się za drogie, więc się ich pozbyła i teraz ciężko pracowała nad przywróceniem własnych do dobrej kondycji, co wymagało starannego wcierania odżywki co godzinę.

- Cześć - mruknęła Tamara, nie ruszając się z krzesła, po czym wróciła do lektury magazynu, uważając przy tym, żeby nie poplamzić stronic ściekającym z palców olejkami.

Cleo policzyła do dziesięciu. Na wszelki wypadek doszła do dwudziestu jeden. Zasadniczo wiedziała, że urządzania awantur personelowi nie zaleca się w prowadzeniu hotelu, ale Tamara drastycznie odbiegała od jej ideału dobrej recepcjonistki, nawet jeśli „prawie należała do rodziny”, jak ujął to Barney.

Zgodnie z tradycją zatrudniania krewnych, wcześniej recepcjonistką na pół etatu była Sondra, żona Barneya. Kiedy zaszła w ciążę, dość szybko zrezygnowała z pracy - w końcu nosiła pierwszego wnuka dynastii Malinów - i zastąpiła ją siostra. Cleo uważała, że należy zatrudnić kogoś innego, ale nie: najważniejsza była rodzina.

- Daj spokój, Cleo, dobroczynność zaczyna się w domu i tak dalej. Tamara jest w dołku, bo straciła pracę w salonie piękności - oznajmił wtedy Barney. - A poza tym nie trzeba wielkiego doświadczenia, żeby być recepcjonistką.

Cleo doszła do wniosku, że na tym polega problem z braćmi. Nie rozumieli subtelnych aspektów kierowania hotelem. Zdaniem Barneya każdy półgłówek, który potrafi pomnożyć długie kolumny liczb i powiedzieć: „Recepcja, czym mogę służyć?”, będzie odnosił sukcesy w hotelarstwie.

- Barney, żeby pracować w recepcji, trzeba mieć doświadczenie - odparła Cleo z rozpaczą.

- Daj spokój, Cleo, ona doskonale sobie poradzi - namawiał Barney. Miał taki sympatyczny uśmiech: podobny do uśmiechu Cleo, ale zaprawiony nutką łobuzerstwa. Trudno było mu się oprzeć.

- Gdzie są wszyscy, Tamaro? - zapytała Cleo głośno, żeby Tamara mogła ją usłyszeć przez przymknięte drzwi biura.

- Twoja mama jest w kuchni, a ojciec wyszedł.

Co oznacza, że gdyby zjawił się gość, nie ma nikogo w recepcji. W hotelu nie było recepcjonistki przez cały dzień, nie stać ich było na to. Tamarę zatrudniono na te okresy, kiedy Harry i Sheila mieli inne zajęcia.

Cleo szła ku drzwiom oddzielającym recepcję od kuchni, kiedy w biurze zadzwonił telefon.

Po pięciu długich sygnałach Tamara podniosła słuchawkę.

- Słucham, hotel Willow, czym mogę służyć? - zapytała śpiewnie specjalnym tonem, którego używała wyłącznie do rozmów przez telefon albo z bogatymi gośćmi.

Tamara musi odejść, zdecydowała Cleo. Nieważne, że należy do rodziny. Bo jeśli nie odejdzie, Cleo skończy w więzieniu za rozbicie głowy Tamarze jej własną, pełną kosmetyków torebką. Tego też się nie zaleca w zarządzaniu hotelem.

Sheila, matka Cleo, siedziała w maleńkiej alkowie w kuchni, gdzie wepchnięto starą kościelną ławkę przykrytą poduszkami. Obsługa krzątająca się przy przygotowywaniu potraw i podawaniu w jadalni mogła tam odpocząć i wypić herbatę, nie wchodząc nikomu w drogę. Ławka była ze zniszczonego dębu, a

poduszki - dwie z wytartego różowego aksamitu, wałek, kilka wypłowiałych tapicerowanych i jedna we wzór toile de Jouy, wyblakła do nicości - wyglądały jak witryna sklepu ze starzyzną. Wszystkie dawniej pełniły inną funkcję, a skończyły w kuchni, kiedy stały się za stare i niechlujne, żeby zdobić pokoje. Przed ławką stał mały stolik nakryty kwiecistą ceratą i to tutaj Cleo najczęściej odrabiała lekcje, cierpliwie podliczając słupki i ucząc się francuskich czasowników, podczas gdy rodzice biegali, sprząając i gotując.

- Dobry hotelarz musi umieć gotować, na wypadek gdyby szef kuchni nie przyszedł do pracy - powtarzał ojciec Cleo. I Harry Malin rzeczywiście potrafił gotować. To po nim Cleo odziedziczyła miłość do hotelarstwa, a także umiejętność postępowania z ludźmi. Tata odnosił się do innych w taki sposób, że czuli się przy nim swobodnie. Talent niezbędny w tej branży.

Piec rozgrzewał się przed kolacją, a Jacąi, kucharka, z dumą rozglądała się po swoim królestwie. Na chwilę przysiadła, odpoczywając przed kolejną krzątaniem. Jacąi pracowała w hotelu od roku. Była w tym wieku co Cleo i równie jak ona chętna do pracy, wiecznie sprzeczała się z Harrym o nowe dania. Harry lubił pożywną francuską kuchnię z irlandzkimi dodatkami, a Jacąi wołała kuchnię azjatycką, wielbiła trawę cytrynową i marzyła o tworzeniu egzotycznych przepisów z mleczkiem kokosowym.

Cleo pomachała Jacąi na powitanie, nalała do kubka kawy z dzbanka, który stał na blacie, a potem cmoknęła matkę w policzek.

- Gdzie jest tata?

- Sprawdzają z Billem pompę na gorącą wodę. - Bill był hotelową złotą rączką i geniuszem, jeśli chodziło o urządzenia mechaniczne. Musiał nim być, wzięwszy pod uwagę wiek i zużycie większości sprzętu działającego w hotelu. - Znowu się zepsuła i Bill montuje nową uszczelkę.

- Tę pompę mogą uratować tylko sztuczne zastawki - zażartowała Cleo. - Albo nowenna do świętego Judy. - Faktycznie, tylko patron spraw beznadziejnych mógł tu coś zdziałać.

Matka z roztargnieniem pokiwała głową, nie odrywając wzroku od szycia.

- Masz rację.

- Mamo, popatrz na to. - Cleo rozłożyła na stole czasopisma o wystroju wnętrz. Sheila przestawiła swój kubek, żeby zrobić więcej miejsca.

- Te czasopisma są bardzo drogie, kochanie - mruknęła, spoglądając przez okulary na nalepki z cenami. Odkąd zaczęła nosić okulary w drucianych oprawkach, wygląda o wiele starzej, pomyślała Cleo ze smutkiem. Całymi latami mama była tak młoda i pełna życia. Włosy, te same co u córki, niesforne kasztanowe loki, nosiła zwinięte w kok, ale kosmyki zawsze spadały jej na kark.

Nagle jednak posiwiały, a zmarszczki wokół jasnoniebieskich oczu były tak głębokie, że sprawiały wrażenie, jakby wycięto je cyrklem. Dłonie miała zniekształcone artretyzmem, stawy opuchnięte. Dawniej malowała paznokcie perłowym lakierem, teraz zupełnie z tego zrezygnowała. Nawet jej ubrania wyglądały, jakby się postarzały. W rodzinie Malinów nigdy nie było pieniędzy na stroje. Każdy pens topiono natychmiast w hotelu. Mundurek szkolny Cleo miał łąkę na łącie, czego w szkole bardzo się wstydziła.

Pani Hanley miała rację: Sheila była wyczerpana całą tą sytuacją. Cleo poczuła żal do siebie, że sama wcześniej tego nie zauważyła.

- To właściwie marnowanie pieniędzy, Cleo. Jeśli chcesz uzbierać sumę potrzebną na samochód do pracy w Donegal, to musisz przestać kupować takie magazyny. Cleo przygryzła wargę. Jeszcze nie powiedziała rodzinie, że zrezygnowała z pracy. Wszyscy, zwłaszcza rodzice, tak się cieszyli, kiedy usłyszeli o tej propozycji. To było niemal smutne. Można by pomyśleć, że z przyjemnością się jej pozbędą.

- Mamo, wpadł mi do głowy wspaniały pomysł. Właściwie od dawna myślę, że musimy trochę unowocześnić hotel. Zobaczyłam te magazyny i jestem ciekawa, co myślisz o nowych malowidłach. To by wiele nie kosztowało - dodała w pośpiechu, otwierając czasopismo. - Sali jadalnej przydałoby się odświeżenie i tak sobie pomyślałam, że gdybyśmy mieli na ścianie coś takiego... - Więcej nie zdążyła powiedzieć.

Otworzyły się drzwi i do kuchni weszli Sondra z Barneyem, wpuszczając lodowaty powiew i zapach White Musk z Body Shopu. Dawniej Cleo lubiła te perfumy. Teraz ich nie znosiła, bo wyglądało na to, że Sondra codziennie wylewa na siebie butelkę.

- Cześć. Postanowiliśmy wpaść i się przywitać - powiedziała Sondra, w początkach ciąży i promieniejąca w pełnym makijażu i szykownej czarnej sukni.

- Nie mieliśmy nic na kolację, więc przyszliśmy tu na darmowy posiłek - dodał Barney, któremu zdecydowanie nie można było odmówić szczerości.

- Usiądź, Sondro. Szefowa ma piękne strzępiele. I powiem jej, żeby przygotowała ci frytki.

Kącikiem oka Cleo dostrzegła uśmiech na twarzy Jacqui, która po krótkim odpoczynku wracała do kuchni. Lubiała, kiedy tak ją nazywano.

- Wspaniale - westchnęła Sondra, zajmując najwygodniejsze miejsce na ławce. Zaczęła kartkować magazyny Cleo, podczas gdy Barney szukał czegoś do przekąszenia.

Jacqui dała mu po łapach, kiedy próbował wyjąć z lodówki wędzonego łososia.

- Nie dotykaj.

Zamiast tego nabrał więc garść migdałowych ciasteczek, które miały być dodatkiem do zrobionych przez Sheilę lodów waniliowych, po czym usadowił się obok żony. Patrzyła na stronę z malowidłem. Dom rzeczywiście przypominał Willow. te same wielkie okna, wysokie sufity, fasety.

- Ładne - stwierdził Barney.

- Prawda? - potwierdziła Sheila. - Cleo zastanawia się, czy nie moglibyśmy zrobić czegoś podobnego u nas.

Sondra przeniosła swoje starannie umalowane oczy na szwagierkę.

- Ale to niemożliwe. Przecież kosztowałyby to fortunę.

- Tak myślisz? - Cleo zadała sobie w duchu pytanie, dlaczego Sondra mówiła, że w szkole nie znosiła egzaminów, skoro po jej ukończeniu do wszystkiego odnosi się tak ostro.

- Boże, Cleo, czy w tym collegeuniczego cię nie uczyli? Tego rodzaju malowidła kosztują fortunę. Chyba nie myślałaś, że zrobisz je sama, co?

Cleo poczuła, jak ze złości krew zaczyna krążyć jej szybciej w żyłach.

- Prawdę mówiąc, tak właśnie myślałam - odparła. - Cały budynek wymaga wiele pracy, a takie wyjście akurat nie byłoby zbyt kosztowne. Na Boże Narodzenie nie mieliśmy kompletu gości. Najwyższa pora, żebyśmy stawili czoło faktom i coś z tym zrobili. Nie chcemy chyba stracić hotelu?

Bardziej wyczuła, niż zobaczyła, że po tych słowach matka zeszywniała.

- Cleo, Willow będzie doskonale prosperował jeszcze długo po naszej śmierci - rozległ się głos jej ojca. Harry Malin wszedł do kuchni, zdejmując szal z szyi. - Z pompą wszystko w porządku. Bill ją naprawił i teraz chodzi jak złoto. Jak się miewa moja ulubiona synowa? - zapytał, uśmiechając się do Sondry.

Gniew Cleo jeszcze wzrósł. Ojciec robił to samo, co oni wszyscy: rozmyślnie unikał wszelkich wzmianek o brakach hotelu. Jak strusie chowali głowy w piasek.

Cleo wzięła się w garść.

- Chciałabym zgodzić się z tobą w tej kwestii, tato - powiedziała - tylko że nie mogę. Kocham to miejsce, ale stąpamy po grząskim gruncie. Musimy coś zrobić.

- Moim zdaniem twój ojciec wie, co robi - wtrąciła Sondra. - Prowadzi ten hotel od trzydziestu lat.

Postanowienie Cleo, że będzie postępować dyplomatycznie, wzięło w łeb.

- Więc dyplom z hotelarstwa jest stratą pieniędzy i czasu, tak, Sondro, a ja nie mam pojęcia o hotelach?

- Ty to powiedziałaś, nie ja - prychnęła Sondra.

- Bardzo proszę, nie kłóćcie się - odezwała się Sheila.

- Ja tylko mówię, że nasz hotel ma kłopoty, a nikt nawet nie chce o tym porozmawiać - argumentowała Cleo żarliwie. - W przeszłości radziliśmy sobie dobrze, bo ludzie kochają Willow, ale teraz hotel się zestarzał i wymaga odnowienia. Gdybyście widzieli, jakie sumy wydawano w niektórych hotelach, w których pracowałam... W dzisiejszych czasach goście tego oczekują...

- Willow nie dorównuje tamtym hotelom? - zapytał ojciec spokojnie.

- Nie, tato, nie o to mi chodziło. - Cleo wzrokiem błagała ojca, żeby nie brał jej słów do siebie. - To były hotele innego typu. My prowadzimy mały, zaciszny pensjonat, w którym ludzie czują, że są serdecznie przyjmowani, i to właśnie tak bardzo mi się podoba. To twoje dzieło, tato. - Wciąż patrzyła na niego błagalnie. - Ale musimy jakoś poprawić wygląd Willow. W Carrickwell nieustannie zachodzą zmiany i musimy dotrzymać im kroku, przygotować się na przyszłość, w przeciwnym wypadku...

- W przeciwnym wypadku co? - zapytał Harry.

Cleo nie potrafiła się zmusić, by to powiedzieć. Nie mogła rzucić mu w twarz, że będą musieli zamknąć hotel.

- W przeciwnym wypadku nasze zyski gwałtownie zmaleją - skończyła nieprzekonująco.

- Cleo, mamy dwudziestu gości na kolacji - powiedziała Sheila. - Trudno to nazwać złym wynikiem w roboczy dzień.

U wszystkich prócz Cleo ten widomy znak pomyślności hotelu wywołał uśmiech.

- Dolicz jeszcze dwoje. A nawet troje. - Sondra z zadowoleniem poklepała się po brzuchu.

- Masz jakiś stek, Jacqui? - zawołał Barney. - Jestem głodny jak wilk.

- Szefowa nie ma czasu gotować posiłków dla ciebie, Barney - warknęła Cleo. - W zeszłym tygodniu byliście cztery razy na kolacji. Czy żadne z was nie umie gotować?

- Jestem w ciąży - odparła Sondra, posyłając szwagierce ostre jak sztylet spojrzenie. - Przy gotowaniu robi mi się niedobrze. Nie rozumiem, czemu nazywają to porannymi mdłościami, skoro mdłości trwają cały dzień.

- Nie wszystkie ciężarne kobiety mogą sobie pozwolić na rezygnację z pracy z dnia na dzień, niektórym firma męża nie wypłaca zasiłku - powiedziała Cleo bez ogródek. Wiedziała, że rodzice pomagają Barneyowi, od czasu do czasu dając mu trochę pieniędzy. A Barney uważał, że ma do tego prawo.

- To pożyczka - warknęła Sondra.

- Cztery pożyczki w ciągu dwóch lat?

- To nie twoja sprawa.

- To moja sprawa, jeśli zyski hotelu trafiają do waszej kieszeni.
- Cleo. - W głosie ojca zabrzmiała ostrzegawcza nuta, ale nie powstrzymało to ani Cleo, ani Sondry.
- Miałabyś pewien wkład, Sondro, gdybyś dalej pracowała w recepcji - ciągnęła Cleo. - Wszyscy wiemy, że Tamara jest beznadziejna. Przez cały czas zajmuje się wyłącznie swoimi paznokciami.
- Jak śmiesz tak mówić o mojej siostrze? - piskliwie zapytała Sondra.
- Proszę, przestań - zwróciła się do córki błagalnym tonem Sheila.
- Co ty sobie właściwie myślisz, Cleo? - Barney przypomniał sobie o męzowskich powinnościach. - Przeprós.

Cleo już miała powiedzieć, że nie ma najmniejszego zamiaru przeproszać, bo każde jej słowo było szczerą prawdą, ale uprzedził ją ojciec.

- Tak, Cleo, przeprós. Zaskoczona odwróciła się do ojca.
- Za powiedzenie prawdy?
- W naszej rodzinie nie urzęduje się takich kłótni - ciągnął Harry. - To nikomu nic nie daje. Bardzo proszę, przeprós Sondrę.

Cleo poczuła się zdradzona. Ojciec rzadko wtrącał się w sprzeczki, zresztą dla nikogo nie było tajemnicą, że Cleo z Sondrą nie potrafią się dogadać. Były dorosłe, miały prawo się nie lubić. Cleo kochała i szanowała ojca, ale czasami się mylił.

Ona tylko powiedziała prawdę i teraz za to się ją karze.

Z drugiej strony wiedziała, dlaczego tak jest: ojciec nienawidził awantur i za wszelką cenę starał się unikać konfliktów. Jego matka odznaczała się temperamentem eufemistycznie określanym jako „ognisty” i Harry jako dziecko oglądał rodziców, którzy kilka razy w tygodniu stawali naprzeciwko siebie niczym toreadorzy, okrążali się z wściekłością i obrzucali obelgami. Człowiek może mieć po dziurki w nosie rzucania talerzami, mawiał Harry. Cleo zdawała sobie sprawę, że odziedziczyła po babce zapalczywość, ale nie jej ostry język. Nigdy nie skrzywdziłaby nikogo niesprawiedliwym słowem, i to niezależnie od tego, jak silnie w daną sprawę się zaangażowała. Babka nie postępowała właściwie.

- Masz rację, tatusiu - powiedziała teraz spokojnie. - Za bardzo mnie poniosło. Przepraszam, że tak mówiłam o Tamarze - zwróciła się do Sondry. Choć nie za resztę, pomyślała. - To nie było w porządku. Pójdę się przejść. - I Cleo wstała. Ojciec mruknął, że musi na chwilę zajrzeć do biura i także wyszedł, ale innymi drzwiami.

Cleo ruszyła na koniec ogrodu, gdzie zawsze chodziła, kiedy była okropnie zirytowana, ale próbowała to ukryć, i usiadła na popękanej kamiennej ławce pod jabłonią, tuż przy płocie odgradzającym sad. Kora drzewa była srebrna, na

gałęziach nie zielenił się jaskrawo ani jeden pączek. Drzewo umierało, bo nikt się nim nie zajmował. Nikt w Willow nie miał pojęcia o drzewach, a ekipie dbającej o frontowy ogród brakowało czasu na uporanie się ze wszystkimi obowiązkami w ciągu tych kilku godzin, na które ją wynajmowano.

Niektóre panny młode z wesel urządzanych w hotelu trafiły w to odosobnione miejsce i robiły tu sobie zdjęcie ze świeżo poślubionym małżonkiem: uśmiechnięta młoda para pod jabłonią. Z tego tylko powodu drzewo należało otoczyć opieką, ale nikt nie słuchał, kiedy Cleo o tym mówiła. Nikt nigdy jej nie słuchał. Wstrząśnięta uświadomiła sobie, że w przyszłości to chyba się nie zmieni.

Wiedziała, że już wyrosła i dojrzała, ale dla mamy, taty, Jasona i Barneya wciąż jest dzieckiem.

Z roztargnieniem oderwała kawałek kory, spod której wypadło kilka chrząszczy, zaszokowanych utratą domu. Czując się jak morderczyni, Cleo chciała włożyć korę na miejsce, ale to jej się nie udało.

- Przepraszam, chłopaki - powiedziała do owadów, które w popłochu uciekały po kamienistym gruncie. Straciły dom i Malinowie także utracą swój.

Cleo z kieszeni džinsów wyjęła wycinek z gazety i po raz enty go rozłożyła. Nat przeczytał ten artykuł w czasopiśmie branżowym i przysłał jej. Doskonale rozumiał, co oznacza.

„Plany rozszerzenia sieci hoteli Roth”, głosił tytuł. Pod nim znajdowała się informacja, że szefowie wielkiej międzynarodowej sieci Roth Hotels podjęli decyzję o rozpoczęciu działalności w Wielkiej Brytanii i Irlandii. Nie zamierzali budować hoteli miejskich, lecz wiejskie ośrodki z polami golfowymi, gabinetami odnowy biologicznej i terenami do jazdy konnej. Tego typu placówki w innych krajach odniosły wielki sukces. Wśród wymienionych lokalizacji znajdowała się też miejscowość we wschodniej Irlandii. Cleo zrobiło się niedobrze, kiedy o tym myślała.

Jeśli w Carrickwell zostanie otwarty hotel Roth, to dla Willow zabiją dzwony pogrzebowe.

Rozdział trzeci

Daisy Farrell doszła do wniosku, że porządkowanie garderoby to idealny sposób spędzenia deszczowego niedzielnego popołudnia, skoro Alex służbowo wyjechał do Londynu. Tylko że to zajęcie jakoś się jej sprzykrzyło. Godzina piąta i zmierzch nadeszły w tym samym ponurym momencie, a każda sztuka odzieży z jej dobytku wciąż leżała w stosach na podłodze sypialni zwykle nieskazitelnego mieszkania. Każda była czarna, to oczywiste. Wbrew nakazom projektantów mody obwieszających, że czerwień, róż albo biel są nową czernią, Daisy wiedziała - jak każdy szanujący się ekspert od mody - że nową czernią zawsze jest czerń. Czerń sprawiała, że znikwały wałeczki i wybrzuszenia. Czerń osobę szczupłą zmieniała w kościstą. Komu potrzebna bulimia, skoro jest czerń? Teraz uznała, że ma okropnie dużo rzeczy i że w ogóle nie powinna się za to zabierać. Jak to możliwe, że kobieta, której praca polega na dobieraniu ubrań innym ludziom - Daisy zajmowała się zaopatrywaniem Georgia's Tiara, najmodniejszego sklepu z markową odzieżą w Carrickwell - ma w swojej szafie aż tyle pomyłek?

- To trzeba wyrzucić - zdecydowała, podnosząc tweedową spódnicę, w której nigdy nie wyglądała zbyt dobrze. - I to też. - Zwiewne szyfonowe bluzki nie były w jej stylu, mimo to je uwielbiała. W sklepie sprzedawano je naręczami. Wycucie stylu może i zawodziło Daisy, kiedy chodziło o nią samą, za to w pracy nie popełniała błędów.

- Jak ty to robisz? - pytali ludzie, zdumieni, że klientki sklepu kupują ubrania, które ona zamówiła na targach mody pół roku wcześniej.

- Wybierasz rzeczy w styczniu i masz nadzieję, że latem będą modne i kobiety je kupią? - To pytanie zadawali jej nieodmiennie, kiedy wyjaśniała, na czym polega jej zajęcie. - Skąd wiesz, że się będą podobały?

- Nie wiem - odpowiadała Daisy uprzejmie. - Pracuję w tym od lat, cała rzecz polega na kombinacji doświadczenia, umiejętności i... no cóż... trzeba mieć do tego oko.

- Aha. - Ta odpowiedź zwykle zadowalała pytających, ponieważ oko było tym samym co szczęście: albo je masz, albo nie. Trudno kogoś obwiniać, że nie ma oka, a tym samym szczęścia, które przypadło w udziale Daisy Farrell. Ładne mieszkanie w odrestaurowanym starym młynie w centrum Carrickwell, cudowny czerwony sportowy samochód, dwa wyjazdy wakacyjne w roku, nie wspominając już o lataniu na targi mody w Niemczech i Londynie z szampanem

w klasie biznesowej ani o partnerze takim jak Alex Kenny. Niektóre kobiety mają szczęście.

- Nie mów im, że to polega wyłącznie na oku. To brzmi zbyt prosto -przekonywał Alex. - Powiedz, że to cholernie ciężka robota i nie ma żadnej gwarancji, że sprzedasz choćby jedną z tych rzeczy, które kupiłaś.

Alex pracował w banku inwestycyjnym w Dublinie. Na jego stanowisku przechwalanie się własnymi osiągnięciami było obowiązkowe. Po czternastu latach spędzonych z Daisy wciąż nie do końca potrafił zrozumieć jej wrodzoną skromność. Była świetna w swojej pracy - przecież to nie grzech mówić o tym ludziom. A Daisy, bezpieczna dzięki miłości jedynego człowieka na świecie, w którego towarzystwie myślała dobrze o sobie, ze śmiechem odpowiadała, że nie da się wyjaśnić osobom postronnym, na czym polega kupowanie markowej odzieży do modnego sklepu. To tak, jak nosić kreację od Prądy i wyglądać rewelacyjnie i tak swobodnie, jakby osiągnięcie takiego efektu nie wymagało szalonego wysiłku. A wymagało.

Poza tym Daisy, jak wszyscy niepewni swojej wartości ludzie, okropnie się bała, że zanudzi innych. Czowała, że każdy zacząłby ziewać z nudów, gdyby powiedziała o latach śledzenia modnych trendów zza kulis i o tym, że odkąd tylko potrafiła utrzymać igłę, usiłowała uszyć coś z kawałków tkanin. Daisy może i miała wyczucie mody, ale poparte wieloletnią praktyką.

- To kobieca cecha - dodawała. - Kobiety nie lubią się popisywać.

- To cecha Daisy - odpowiadał Alex. - U nas w banku pełno jest kobiet, które nie mają najmniejszych oporów, żeby mówić innym, jak bardzo są utalentowane.

- One tylko chcą zrobić na tobie wrażenie - śmiała się Daisy. I to była prawda. W wieku trzydziestu sześciu lat Alex wciąż miał ciało członka uniwersyteckiej załogi wioślarskiej, w której trenował na studiach. Wysoki i szczupły, doskonale wyglądał w oficjalnych garniturach, jeszcze lepiej bez nich, a połyskliwe i miękkie włosy oraz silna, inteligentna twarz sprawiały, że kobiety zwracały na niego uwagę. Alex nie odwzajemniał tego zainteresowania i była to jedna z tych rzeczy, które Daisy w nim kochała.

Nigdy do głowy jej nie wpadło, że on może być zazdrosny o mężczyzn oglądających się za nią. Daisy nie miała złudzeń co do własnej urody. Ktoś, kto przez całe dzieciństwo słyszy, jak matka nazywa go brzydkim kaczątkiem, w końcu sam dochodzi do podobnych wniosków. Ale Daisy miała styl, piękne buty i Alexa. Adorowała go od chwili, gdy poznali się wieki temu w podrzędnym pubie przy collegeu.

W związku z ukochanym Daisy zadawano trzy pytania, których z serca nie znosiła. Pierwsze brzmiało: „Czy ty i Alex zamierzacie kiedyś się pobrać?”.

„Może”, odpowiadała Daisy krótko, uśmiechem dając do zrozumienia, że planują elegancką imprezę na egzotycznej plaży, gdzie z kwiatami zatkniętymi za uszy będą stali boso na piasku. I może suknia od Very Wang, robione na zamówienie obrączki oraz obecność dobranej grupki przyjaciół. A po powrocie z miesiąca miodowego swobodne spotkanie w restauracji.

Prawdziwa odpowiedź Daisy brzmiała tak: „Bardzo bym chciała, tylko że Alexa to nie interesuje. Rozmawialiśmy o tym, ale jemu nie zależy na małżeństwie. Po co zmieniać coś, co świetnie funkcjonuje, tak powiedział”.

Powtórzyła to Mary Dillon, swojej współpracownicy, z którą prowadziła sklep.

- To typowo męskie - zauważyła Mary. Była świeżo po rozwodzie i wciąż uważała, że wszyscy faceci to świny. Mary założyła Georgia's Tiara dziesięć lat wcześniej, a Daisy niedługo potem do niej dołączyła. Razem tworzyły dobrany zespół. - Małżeństwo nie ma nic wspólnego z żadnymi zmianami. Oznacza większe zobowiązania i tyle. Alex mówiłby przez to światu, że chce być z tobą na zawsze, a mieszkanie razem tego nie oznacza. Choć z drugiej strony - dodała ponuro - gdybym tylko mieszkała z Bartem, zamiast jak kompletna idiotka wychodzić za niego, może nie musielibyśmy wydawać fortuny na adwokatów. Za każdym razem, kiedy widzę go w nowym porsche, mam ochotę mu przypomnieć, że jedna ósma tego auta należy do mnie, więc powinien mi je pożyczyć.

- Tak... - podsumowała Daisy, żałując, że zaczęła tę rozmowę. Mary nie należała do osób, które łopatę nazywają metalowym sprzętem do kopania, a Daisy właśnie złamała własną, ściśle dotąd przestrzeganą zasadę dotyczącą lojalności w związku: nigdy nie mów negatywnie o ukochanym. Każde inne zachowanie za bardzo przypominało to, co znała z rodzinnego domu. - Chyba rozumiem punkt widzenia Alexa - oznajmiła nieszczerze, próbując zagłuszyć wyrzuty sumienia, bo przecież rozmawiała z Alexem w cztery oczy. Co ją napadło, żeby powtarzać wszystko Mary? - Jesteśmy szczęśliwi, nie ma potrzeby niczego zmieniać. Pewnie mam napięcie przedmiesiączkowe, to wszystko. Zapomnij o tym.

Jedynym plusem wynikającym z braku małżeńskich planów było to, że Daisy nie musiała zastanawiać się nad zaproszeniem obojga rodziców na ślub. Minęło wiele lat od czasów, kiedy matka Daisy tolerowała przebywanie w tym samym mieście co mąż. Przebywanie w tym samym pokoju nie wchodziło w grę. Nan Farrell nalegała, żeby mąż wyprowadził się z Carrickwell, bo dzięki temu mogła udawać - przynajmniej przed samą sobą - że wciąż jest w mieście osobą szanowaną i znaczącą. Ojciec z kolei pojawiał się i znikał w życiu córki. Obecnie

mieszkał w San Francisco i wszystko wskazywało na to, że do szczęścia nie trzeba mu nic prócz wymiany kartek na Boże Narodzenie.

Kiedy w „Vogue” pojawiały się zdjęcia pięknych panien młodych, Daisy wystarczała świadomość, że pozostaje w poważnym związku bez konieczności snucia zawiłych planów, nastawionych na zadowolenie wszystkich członków rodziny, która przez całe jej życie nie była właściwie rodziną. A już na pewno, argumentowała w duchu, bardziej nowoczesne jest mieszkanie z ukochanym niż śpieszenie się przed ołtarz dla samej tylko uroczystości, prawda?

Drugie najbardziej znienawidzone pytanie było jeszcze bardziej osobiste.

- Co zrobiłaś, żeby tak schudnąć? - pytali ci wszyscy, którzy nie widzieli jej od lat, a pamiętali Daisy jako osobkę o zaokrąglonych kształtach. Taka zresztą pozostała we własnej świadomości.

Pominąwszy fakt, że było to niegrzeczne - waga jest sprawą niezwykle osobistą, a jednak ciągle znajdowali się ludzie, którzy bez wahania się dopytywali, co je na śniadanie, jeśli miało im to pomóc w pozbyciu się kilku kilogramów - Daisy odpowiadała, że nic nie robiła. I mówiła szczerze.

Pomimo swego uroku i talentów towarzyskich, Alex był niewiarygodnie zamknięty w sobie i w żadnym razie nie chciał, by ktokolwiek dowiedział się o jego dolegliwościach, Daisy nie mogła więc powiedzieć, że przez te dwa lata, kiedy martwiła się jego tajemniczą chorobą, piętnaście kilogramów gdzieś zniknęło.

- Strażnicy Wagi, dieta Atkinsa? - naciskali podejrzliwie jej rozmówcy, wyraźnie przekonani, że Daisy łże w żywe oczy, a w rzeczywistości nie je nic prócz zupy z kapusty i zapewne ma straszliwe problemy z nieprzyjemnym oddechem.

- Zupełnie nic - mówiła Daisy, choć w duchu się zastanawiała, czy na rynku księgarskim jest miejsce na dietę z zastosowaniem wirusa Epsteina i Barra.

Obecnie Alex wyglądał wspaniale. Od roku był pacjentem rewelacyjnego doktora Verdana, dzięki któremu promieniał zdrowiem i tryskał dawną energią. Brał tyle preparatów i leków, że mógłby otworzyć własną aptekę, ale wszystko wskazywało na to, że odnoszą pożądany skutek. Daisy miała tylko nadzieję, że Alexowi pomagają też te środki, o które po jej usilnych namowach poprosił Verdana.

Co prowadziło do trzeciego pytania, zadawanego najrzadziej. Ludzie w obecnych czasach najwyraźniej zdawali sobie sprawę z delikatności tej kwestii, kiedy więc kobieta osiągała określony wiek, a dzieci się nie pojawiały, tylko wyjątkowo grubiańskie osoby pytały: „A dzieci? Nie chcecie dzieci?”.

Na nieszczęście takich osób nie brakowało. Uważały one, że absolutnie dopuszczalne jest pytanie zdrowej trzydziestopięcioletniej kobiety pozostającej od lat w stałym związku, czy w ogóle rozważa możliwość posiadania dzieci. Daisy miała ochotę wrzasnąć: „Do diabła, nie!”.

- Myśleliśmy o tym, ale dowiedzieliśmy się, że pierwsze pięć lat życia dziecka kosztuje trzydzieści tysięcy euro, więc zamiast tego pojedziemy na Bahamy. Tylko równie nonszalancka odpowiedź mogła ukryć prawdziwy fizyczny ból, który czuła, kiedy zadawano jej to pytanie.

Bo Daisy nie chciała dzieci. Ona ich pragnęła, łaknęła, z tęsknoty za nimi płakała przez sen. Kiedy skończyła trzydzieści lat, przestała brać pigułki.

- Robienie dzieci będzie świetną zabawą - stwierdził wtedy Alex. I rzeczywiście było. Kochanie się i nadzieja na ciążę zamiast strachu przed nią okazała się bardzo seksowna.

- Matka moich dzieci - lubił mruzczyć Alex, kiedy nagi leżał na niej, idealnie dopasowując się do jej bujnego i miękkiego ciała.

Daisy nie lubiła swojego ciała. Tak bardzo różniło się od jej wyobrażeń o ideale: było nazbyt zaokrąglone, oponki tłuszczu wylewały się ponad talią. Nosiła rozmiar czternasty, nieuchronnie zbliżała się do szesnastego. Jedynie wtedy, gdy Alex trzymał ją w ramionach, jej jaskraworude włosy rozsypywały się po poduszce, a kremowa skóra ocierała się o jego skórę i próbowali począć dziecko, czuła, że jest niemal piękna.

Okazało się jednak, że robienie dzieci wcale nie jest takie proste, jak im się wcześniej wydawało. Zupełnie jakby sama decyzja, że teraz, po latach usilnych prób unikania ciąży, chcą mieć dziecko, uczyniła osiągnięcie tego celu bardzo trudnym.

Czasopisma pełne były żalonych opowieści o spadającym wskaźniku płodności kobiet, które decyzję o macierzyństwie odkładają tak długo, aż robi się za późno.

Daisy nienawidziła tych artykułów od czasu, kiedy się dowiedziała, że kobiety rodzą się ze wszystkimi jajeczkami, które w życiu będą miały.

- To znaczy, że nie wytwarzamy nowych jajeczek? - zapytała Paulę, która pracowała w sklepie i była uzależniona od internetowych witryn o zdrowiu. - Myślałam, że wszystko w ludzkim ciele ulega wymianie co siedem lat. Czytałam o tym, jestem pewna - dodała z niepokojem.

- Nie - odparła Paula wesoło. - Niestety, od razu masz cały zapas. Jeśli ty skończyłaś trzydzieści lat, to twoje jajeczka też.

Daisy zbladła na myśl o swoich wówczas trzydziestoletnich jajeczkach i o tym wszystkim, przez co do tej pory przeszło jej ciało.

Czy nadmierna ilość alkoholu może mieć wpływ na jajeczka? Pomyślała o tych szalonych latach tuż po dwudziestce, kiedy tyle było do picia, że Daisy niemal nie trzeźwiała. Albo narkotyki. Przypomniała sobie Wenera, studenta z Austrii i przyjaciela Alexa, który bardzo lubił palić trawkę i namówił potępiającą takie zachowania Daisy, żeby w czasie wakacji razem z resztą paczki też parę razy się zaciągnęła. Nigdy wcześniej tego nie robiła, była przeciwniczką narkotyków, na litość boską, ale równocześnie okazała się na tyle głupia, że się zgodziła, choć wiedziała, że będzie ją to prześladować. Głupia krowa, jak mogła nie mieć pojęcia o swoich jajeczkach?

Paula, młodsza od Daisy, nie przejmowała się stanem swoich jajników ani faktem, że na razie, by tak to ująć, nic się z nich nie wylęło.

- Ach, co ma być, to będzie - stwierdziła optymistycznie.

„Życie to nie piosenka Doris Day” - gorzko zawodził głos w głowie Daisy.

- Masz absolutną rację, Paulo - powiedziała. - To idiotyzm wpadać w obsesję z powodu takich rzeczy. W końcu jesteśmy jeszcze młode, a jest tyle metod, żeby pomóc kobietom zająć w ciążę w razie jakichś problemów.

Ta myśl, myśl o nowatorskich eksperymentach medycznych, dzięki którym para może mieć dziecko, choć partnerzy nie przebywają nawet na tym samym kontynencie, podtrzymywała ją na duchu.

Ograniczenie kofeiny nie pobudziło systemu reprodukcyjnego Daisy. Ani jedzenie wszystkich tak zwanych superproduktów. Koszyk z warzywami wydawał się niemal żyć, tyle w nim było odmian, Daisy dołożyła też starań, żeby zmniejszyć liczbę kieliszków wina wypijanych w weekend. Mimo to jej miesiączki pojawiały się z regularnością, której nie było - gotowa była przysiąc - w czasach, kiedy w ciążę zająć nie chciała.

Pocieszała się, że czas wciąż jest po ich stronie. Byli młodzi, zdrowi, we wszystkim, czego się tknęli, odnosili sukces.

Georgia's Tiara przynosiła coraz większe zyski. Mary dała Daisy udziały w sklepie.

- Mogę sprzedać lód Eskimosom, ale tylko pod warunkiem, że to będzie właściwy gatunek lodu - oznajmiła stanowczo. - Włożyłaś tyle wysiłku i energii w firmę, że zasługujesz na to, żeby być moją współniczką.

Daisy zakryła usta obiema dłońmi, jak dziecko.

- Mary, nie mogę w to uwierzyć. Jesteś dla mnie bardzo dobra.

- Bzdury. - Drugie imię Mary brzmiało Bezceremonialność. - To ty jesteś dobra dla mnie i dla sklepu. Prowadzenie firmy jest moją drugą naturą, ale mogłabym całe życie spędzić na próbach nauczenia się tego, co ty robisz, a i tak by mi się nie udało.

Podniesiona tym na duchu - nawet matka będzie musiała przyznać, że córka dobrze sobie radzi - Daisy uznała, że nie jest w ciąży, ponieważ pora jest nieodpowiednia. Jak w tym starym buddyjskim powiedzeniu: mistrz się pojawi, kiedy uczeń będzie gotowy. Najwyraźniej ona gotowa nie jest. Kobietom pracującym zawodowo wiele problemów sprawia pogodzenie macierzyństwa z wymogami kariery, przypuszczalnie więc na tym etapie życia będzie jej łatwiej bez dziecka. A potem, po roku prób zajścia w ciążę, Alex się rozchorował. W głowie się nie mieściło, że postawienie diagnozy może trwać tak długo. Oboje przeszli przez siedem kręgów piekła, nim lekarze wreszcie stwierdzili, co dolega Alexowi. Jeszcze teraz Daisy się wzdrygała na wspomnienie tamtego okresu. Oni sami podejrzewali białaczkę. Teraz zawsze rzucała monety do puszek kwestujących na wszelkie działania związane z rakiem, jakby to był sposób na odpędzenie zła.

W wypadku Alexa sprawcą zła okazał się Epstein-Barr, autoimmunologiczne zaburzenie, które silnych i energicznych ludzi zmienia we wraki. Choroba, trudna do wykrycia i jeszcze trudniejsza do wyleczenia, odbiła się na obojgu. Robienie dzieci zeszło na ostatni plan, ale Daisy na dnie świadomości miała poczucie, że czas mija, a jej już i tak niemłode jajeczka coraz bardziej się starzeją. Martwiła się też, choć nigdy tego nie powiedziała, że choroba Alexa może stanowić przyczynę ich problemu.

Wyszli z tego piekła wspólnie. Przez ostatnie dwa lata Alex cieszył się doskonałym zdrowiem i mówił, że czuje się wspaniale. Daisy też tak się czuła. Miała zamiar urodzić dziecko. To był jej czas, odpowiednia pora na stwierdzenie, dlaczego nie może zajść w ciążę, czy Epstein-Barr ma jakiś wpływ na plemniki Alexa, i na zaradzenie problemowi. Uczeń był gotowy.

Stojąc przed lustrem w sypialni w mroczne niedzielne popołudnie, Daisy powiedziała to na głos:

- Jestem gotowa. Jestem gotowa, żeby zajść w ciążę. Teraz. Nic się nie wydarzyło. Grzmot z nieba nie dał jej znać, że Bóg słucha. Szelest zasłon nie potwierdził, że anioł stróż stoi przy niej i zrobi wszystko, co w jego lub w jej mocy. Ani przedtem, ani teraz nie było żadnego znaku.

- Alex, chcę, żebyśmy zrobili testy i dowiedzieli się, co jest nie w porządku. Nie możemy sobie pozwolić na dalsze odwlekanie. Jestem coraz starsza i... -Daisy urwała. Nie chciała mówić tego do lustra, chciała powiedzieć to Alexowi, i to natychmiast.

Przez cały weekend o niczym innym nie myślała, bo bez Alexa miała sporo czasu na rozważania. Był w Londynie z grupą inwestorów na czymś, co nazywał

„bankową hulanką”: za pomocą wykwintnych potraw i drogich win skłaniali ludzi do otwierania książeczek czekowych.

Chociaż Daisy nie znosiła samotności, jego wyjazd dawał jej okazję do uporania się z wszystkimi nudnymi obowiązkami domowymi, takimi jak wyczyszczenie piecyka, nim stanie w płomieniach. Teraz piecyk błyszczał, bo w sobotę dokładnie go wyszorowała. Ale porządkowanie garderoby okazało się zajęciem niemożliwym do wykonania za jednym razem.

Postanowiła zatrzymać niektóre obszerne stroje na okres ciąży Jedwabisty sweter z Włoch i powiewna koszula od Pucciego będą wyglądać uroczo na brzemiennym brzuszku. Daisy planowała, że będzie bardzo modną ciężarną kobietą, choć teraz bolało ją serce, kiedy patrzyła na te ubrania i nie widziała szansy na wykorzystanie ich w najbliższej przyszłości.

O piątej po południu w niedzielę, kiedy zapaliła światła, uświadomiła sobie, że największą ochotę miałaaby na wczesną kolację przed telewizorem, ale musiała jeszcze schować góry ubrań. Co najmniej połowa rzeczy leżała w stosach na podłodze.

Podniosła sweter - czarny i kosztowny, więc jak może się go pozbyć, nawet jeśli w gruncie rzeczy nie wygląda w nim za dobrze? - kiedy zadzwonił telefon.

- Cześć, Alex. - Daisy opadła na jego stronę łóżka, przyciskając słuchawkę brodą do ramienia. Jej głos złagodniał, wypełniła go miłość. - Co u ciebie? Tęsknię za tobą, wiesz o tym.

- Wiem, Daisy, ale będę w domu jutro wieczorem.

Z rzeczowego tonu wywnioskowała, że Alex nie jest sam.

- Nie możesz mówić, co? Nie ma sprawy. Jak wam idzie? - zapytała, tłumiąc drobne ukłucie irytacji, że nie odszedł na bok, żeby przez chwilę porozmawiać z nią sam na sam. Telefonował z komórki, a ona nie znosiła tych krótkich i suchych rozmów w rodzaju: „U mnie wszystko w porządku, a u ciebie?”.

- U mnie wszystko w porządku - powiedział Alex, jakby czytał jej w myślach. - A u ciebie?

Daisy roześmiała się, z wysiłkiem odpędzając irytację. Nie mogła przecież powiedzieć przez telefon: „Zróbmy coś, żeby się przekonać, dlaczego nie zachodzę w ciążę”.

- U mnie też wszystko w porządku, choć jestem okropnie samotna, bo nie mogę się do ciebie przytulić w łóżku. Wczoraj w nocy było zimno jak w psiarni. Musiałam włożyć flanelową piżamę i skarpety, bo nie miałam ciebie, żeby się rozgrzać. - Nie potrafiła się oprzeć, żeby nie zażartować. Alex nienawidził tych skarpet.

- Naprawdę? - zapytał obojętnie, choć Daisy wiedziała, że na pewno się uśmiecha. Tylko ktoś, kto znał go bardzo dobrze, mógł usłyszeć nutę rozbawienia poprzez trzaski w komórce i setki mil.

- Naprawdę, więc wracaj szybko do domu. Mnie i skarpetom bardzo ciebie brakuje.

- I wzajemnie. Muszę kończyć. Przed kolacją mamy następne spotkanie, które pewnie się przedłuży, więc nie będę dzwonił. Do zobaczenia jutro.

- Nie mogę się doczekać. - Tyle miała mu do powiedzenia. - Wiem, że nie możesz rozmawiać, Alex - dodała szybko - i nie musisz odpowiadać, ale cię kocham.

Odpowiedziała jej cisza. Alex się rozłączył.

Daisy zmusiła się, żeby odłożyć słuchawkę, nie waląc nią w widełki. Jak to jest, że kobiety niezmiennie zaczynają się zastanawiać, co jest nie tak, nawet jeśli wszystko gra, a mężczyźni nigdy nie dostrzegają, że coś odbiega od normy, chociaż za chwilę zostanie wypowiedziana wojna emocjonalna? Chciałaby zobaczyć minę Alexa, gdyby to ona przerwała rozmowę, będąc na wyjeździe służbowym, a on płonąłby z ochoty, żeby jej o czymś opowiedzieć.

Ze wstrętem spojrzała na stopy ubrań na beżowym dywanie. Wystrój całego mieszkania utrzymany był w subtelnych odcieniach beżu i karmelu z brązowymi akcentami. Alex uwielbiał nowoczesny minimalizm.

Daisy kiedyś się zastanawiała, jak ich mieszkanie zniesie obecność małego dziecka. Lubiała wybierać w myślach nowe dywany i zmywalną farbę na ściany albo projektować pokój dla dziecka. Była aż tak żałosna?

W tym cały problem: jej entuzjazm całkiem wyparował. Ułoży wszystko w kącie i zrobi to w tygodniu. W zamrażalniku miała pizzę z pepperoni i frytki, w lodówce butelkę schłodzonego wina, a na kanale filmowym pewnie nadają jakiś romans. Będzie mogła nawet zrobić sobie manikiur. I położy odżywkę na włosy, żeby przywrócić im dawny połysk. Żelazka do prostowania i farby fatalnie wpłynęły na rozdwojone końcówki.

Będzie wyglądała bajecznie, kiedy wróci Alex. Przygniecie go zarówno poczucie winy, jak i pożądanie, a wtedy ona mu powie, o czym naprawdę chciała z nim rozmawiać.

W Georgias Tiara były dwa okna wychodzące na Delaney Row, ulicę w północnej części Carrickwell ze wspaniałymi trzypiętrowymi domami, i na obu widniał wielki napis "Wyprzedaż" w stylu art deco. W sklepie, który był rajem dla miłośniczek mody, oprócz ubrań i niewielkiego stoiska z dodatkami takimi jak buty, torebki i biżuteria, znajdowały się też trzy wielkie przebieralnie oraz

najważniejsze ze wszystkiego - przyjazne lustro. Całość urządzono w ulubionych przez Mary Dillon odcieniach cytrynowej żółci.

Mary lśniła już pełnym makijażem i była przy drugiej filiżance gorącej wody z cytryną - obrzydliwość, ale przeczytała, że doskonale działa na wewnętrzności -kiedy Daisy w poniedziałek rano weszła do sklepu.

- Przepraszam, straszne korki - powiedziała, co niewiele różniło się od tego, co zwykle mówiła. Nie potrafiła się oprzeć chęci, by rano dłużej pospać. Całkowicie rozumiała pewnego chińskiego mandaryna, który kazał się budzić o czwartej rano, bo wtedy miał tę komfortową pewność, że nie musi jeszcze wstawać. - A prace drogowe na moście... Przerazające.

- Paula chciała się przewietrzyć, więc poszła do Mo po kawę z mlekiem. - Mary nie zadała sobie trudu, żeby jakoś zareagować na opowieść o ruchu ulicznym.

Gdyby Daisy przyszła do pracy punktualnie, Mary od razu by wiedziała, że stało się coś złego. - Siadaj i odetchnij - dodała, podając wspólniczkę część gazety.

Paula, obecnie w szóstym miesiącu pierwszej ciąży, przyniosła kawę i sławne jagodzianki Mo. Kobiety zaczęły od pytań o weekend. Daisy chciała wiedzieć, jak czuje się Paula, czy dziecko bardzo kopało i ile butelek gavisconu zużyła.

- Dwie - przyznała Paula ze wstydem. Była rozdarta pomiędzy radością z ciąży a dokuczliwymi zgasami przypominającymi wybuch Krakatau.

- Tylko dwie? - zapytała Daisy wesoło. - Powinnaś dostać udziały w firmie, która je produkuje. - Dzisiaj potrafiła żartować z Paulą. Przedtem przychodziło jej to z trudem, choć robiła wszystko co w jej mocy, by tego nie okazać, bo kochała Paulę i za skarby świata by jej nie zraniła. Dzisiaj jednak było inaczej. Daisy postanowiła, że zacznie działać, i ból trochę ustąpił.

Kiedy wszystkie trzy wypiły kawę - dwie z mlekiem i bezkofeinową dla przyszłej matki - ogarnął je rozkoszny spokój i zabrały się do przeglądania tabloidów, żeby zobaczyć, kto jak był ubrany w weekend.

Jedna z najlepszych klientek sklepu, z tych pań, które bywają na lunchach, dysponująca ogromnymi pieniędzmi i odznaczająca się wyczuciem mody dobermana, została sfotografowana na premierze filmu w wyszywanej w cienkie paski granatowej sukni, niebieskim kaszmirowym wiązonym swetrze oraz sznurze turmalinów na szyi: strój specjalnie dla niej przygotowała Daisy. Całość psuł skrawek ud w cielistych rajstopach, widoczny pomiędzy suknią a obcisłymi kozaczkami z granatowego zamszu.

- Mówiłaś jej, żeby włożyła czarne rajstopy - jęknęła Paula.

- Rajstopy nie są takie złe - odparła Daisy. - Gdyby specjalnie je włożyła, wszystkie byśmy powiedziały, że wygląda super.

- Prawda - mruknęła Mary. W modzie cienka granica oddziela geniusza, który robi coś odmiennego, od głupca wkładającego nieodpowiednie rajstopy. Podobnie niebieski cień do powiek może wyglądać wspaniale u właściwej kobiety, a być koszmarną pomyłką u innej.

Cały poranek zajęły im telefony, których celem było ustalenie miejsca aktualnego pobytu dostawy włoskich szali z malowanego jedwabiu. Pomiedzy kolejnymi rozmowami Daisy pomogła trójce kobiet, które szukały stroju dla matki panny młodej, pasującego do sukni ślubnej z kremowego brokatu, oraz sukni dla siostry panny młodej, przy czym siostra miała być druhną.

- Chodzi o suknię, którą będzie mogła później nosić, wielkie kwiaty jak na kołdrze odpadają - oznajmiła panna młoda. Jej siostra kiwała głową. Wystarczy, że już raz wyglądała jak uciekinier z fabryki sof - nigdy więcej nie włoży niczego kwiecistego i ozdobionego falbankami.

Daisy lubiła wyzwanie, którym było dopasowywanie kreacji dla orszaku panny młodej. Mary tego nie znosiła, ponieważ w obecnym, porozwodowym stanie uważała, że tym ludziom nikt nie powiedział, w co się pakują.

- W ceremonii powinno być coś więcej, jakieś ostrzeżenie, że małżeństwo zawiera się w jeden dzień, a przez pięć tysięcy następnych człowiek dojrzewa do rozwodu - powiedziała ponuro, z dala od uszu klientek. - I gorycz... Nigdy nie wspominają o goryczy na ślubach, prawda? A to jest uczucie, które trwa najdłużej. Dawno zapomniałaś, gdzie wetknęłaś album ze zdjęciami ze ślubu, kieliszki z Waterford są rozrzucone po całym domu, ale, na Boga, na gorycz natrafiasz wszędzie, o każdej porze dnia i nocy.

Daisy nie miała pojęcia, co powiedzieć. Obie przeglądały zapasy w magazynie, szukając jasnoróżowej prostej sukni, wyszywanej paciorkami i ozdobionej motylami na rąbku, oraz kompletu składającego się z jedwabnej sukni i wełnianego płaszcza, który będzie dobrze wyglądał w zimowy dzień na figurze o rozmiarze szesnastym. Dziwne, że Mary potrafiła w jednej chwili wygłaszać filipiki przeciwko małżeństwu, a w następnej mówić coś zupełnie przeciwnego. Przecież z takim oburzeniem zareagowała, kiedy Daisy powiedziała, że Alex nie chce się żenić. Później Daisy cenzurowała swoje rozmowy z Mary, żeby nie wypaplać za dużo o tym, co robili z Alexem w weekend, bo wiedziała, że Mary siedzi sama w domu, martwiąc się przepływem gotówki w sklepie albo faktem, że nie uprawia seksu.

- Wszystkiemu jest winny Richard Gere - prychnęła Mary nienawistnie. - Myślałam, że moje życie będzie podobne do tego w Oficerze i dżentelmenie, i popatrz, dokąd mnie to zaprowadziło? Do ślepego zaułka, cholera. Mundur tak na mnie podział.

Bart nigdy nie nosił munduru, więc Daisy nie była całkiem pewna, o co chodzi przyjaciółce, ale pozwoliła dalej jej mówić.

- Triumf nadziei nad cholerną tępotą i głupotą - ciągnęła Mary. - Dlaczego wszystkie myślimy, że musimy wyjść za mąż? Co jest nie tak w kobiecych mózgownicach, że nie czujemy się związane ze światem, dopóki nie mamy chłopa, który zwiąże się z nami? Komu właściwie są potrzebni mężczyźni?

Obecnie Mary czytała do poduszki historie o kobietach, które zakochują się w draniach. Pożyczyła Daisy kilka ze swoich książek, ta zaś je wzięła, bo miała wyrzuty sumienia, ale zawinięte w reklamówkę wciąż leżały w bagażniku samochodu, powiększając jeszcze poczucie winy. A co, jeśli Mary je zobaczy, zrozumie, że Daisy ich nie czytała, i uświadomi sobie, że nie wszyscy są tak nieszczęśliwi jak ona?

- Daj spokój, Mary - powiedziała Daisy, czując, że trzeba wprowadzić weselszą nutę w ich rozmowę. - Skończyłaś z Bartem, masz to za sobą, wiesz przecież.

- Czyżby? - zapytała Mary. - To nieprawda, jestem smutna, mam depresję i nie wydaje mi się, żebym jeszcze kiedykolwiek mogła czuć się dobrze. Tak na człowieka wpływa małżeństwo, Daisy, nie zapominaj o tym.

Ubieranie krewnych panny młodej straciło cały blask dla Daisy. Zaczynała boleć ją głowa, więc kiedy tylko klientki wyszły, połknęła jakiś środek przeciwbólowy i kierowana impulsem uznała, że butelka wina może poprawić nastrój Mary.

Zamknęły o szóstej i Daisy odkorkowała butelkę.

- Tylko jeden kieliszek - zarzekła się Mary. - U dzieci jest kolega, nie chcę zyskać reputacji rozwiedzionej moczymordy. Mieliby o czym gadać w szkole. Nikt nie chce wyjść na samotną pijaczkę. To brzmi niemal równie fatalnie jak samotna, która desperacko szuka partnera do łóżka.

- Ja dziękuję - dodała Paula, podnosząc dłoń w geście odmowy. - Jeśli spojrzę na kieliszek, dziecko wyjdzie z brzucha, zadzwoni do opieki społecznej i moja matka będzie wstrząśnięta. Nigdy nie doszła do siebie po tym, jak moja ciężarna szwagierka na naszym weselu wypła kieliszek szampana. Wciąż gada, jakie to było nieodpowiedzialne.

Daisy szybko policzyła, ile z butelki wypadnie na osobę. Nigdy nie piła więcej niż jeden kieliszek, kiedy prowadziła samochód. Mary zdjęła buty i wdychając, oparła stopy o wiklinowy kosz za kontuarem.

- Sama nie wiem, dlaczego noszę te upiorne buty - powiedziała, z rozkoszą poruszając palcami u nóg. - Niszczą mi stopy, niedługo będę miała odciski.

- Dzisiaj dziewczyna, która wychodzi za mąż, dzień przed ślubem idzie do salonu kosmetycznego - odezwała się Paula. - Robi sobie manikiur, pedikiur - co tylko chcesz.

Wszystkie westchnęły na tę myśl.

- Nigdy nie byłam u pedikiurzystki - stwierdziła Daisy - Wystarczy, że czuję się zażenowana u manikiurzystki, zawsze mam paznokcie w okropnym stanie, ale stopy., uch. To byłoby jeszcze gorsze. Trzeba papieru ściernego, żeby usunąć twardą skórę z moich stóp, i pedikiurzystka patrzyłaby na mnie jak na starą wieśniaczkę. Nie, nie stać mnie na to. Wolę robić to nieudolnie sama.

- Ale one na to nie zwracają uwagi - powiedziała Mary - Dość widziały stóp w życiu, a ty potrafisz ze wszystkim sobie poradzić. Ja miałam wszystkie zabiegi. Dłonie, stopy, zawijali mnie w materiał jak mumię, żebym straciła kilka centymetrów w obwodzie. Ale to cuchnie, masz wrażenie, że przez cały dzień śmierdzisz bagnem. Teraz dzięki Bartowi oczywiście nie mogę sobie na to pozwolić. Poza tym nie mam czasu.

- Tego nam potrzeba - rozmarzyła się Daisy. - Babskiego dnia w salonie piękności, gdzie mogłybyśmy się zrelaksować. Chyba nawet zdecydowałabym się na pedikiur, bo byłybyście obok mnie i nie czułabym się źle z powodu skórek i twardych pięt! ^J^J^J^J^J

- Ten ośrodek spa, który budują na starej farmie Delaneyów, będzie otwarty w przyszłym tygodniu - powiedziała Paula. - Nie mam pojęcia, kto jest właścicielem, ale budowlańcy pracują jak szaleni, tak przynajmniej twierdzi moja mama. Ze swoim klubem górskim chodzi tam co tydzień na wycieczkę. Ośrodek ma być holistyczny, z salami do jogi, terapią gorącymi kamieniami i aromaterapią.

- Nie miałabym nic przeciwko tym gorącym kamieniom - jęknęła Mary. -Szkoda, że brakuje mi czasu...

- Czemu nie? - odparła Paula. - Możemy tam pójść. Zaraz po otwarciu będą mieli specjalne oferty i na pewno wzięli pod uwagę masaże i zabiegi dla kobiet ciężarnych.

- Oczywiście, sprawdzę to dokładnie - stwierdziła Daisy, której ten pomysł dodał sił.

Dzisiaj był dzień na układanie planów. Zadzwoiła do kilku klinik płodności i miała dla Alexa informacje. Podniecające informacje. W jednej z klinik umówiła wizytę dla nich obojga. Szkopuł w tym, że trzeba czekać kilka tygodni. Do tego czasu chyba oszaleje z niepokoju. Dzień w ośrodku spa z dziewczynami pozwoli jej czymś zająć myśli.

Daisy weszła do domu o siódmej, machając reklamówką z książkami, którymi Mary próbowała uleczyć złamane serce. Musi w końcu przynajmniej je przekartkować. Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła się jej w oczy, była teczka Alexa na orzechowej podłodze holu. Jej uwagę przyciągnęła turkusowa plama widoczna na tle czarnej skóry. W torebki tej barwy pakowano u Tiffanego. Daisy zastanawiała się, czy do niej nie zajrzeć i nie sprawdzić, co Alex jej kupił, ale postanowiła tego nie robić.

Bo wyobraźmy sobie, że kupił jej na zaręczyny brylant wielki jak piłeczka pingpongowa - wtedy Daisy do końca życia będzie miała świadomość, że widziała go, nim Alex dał jej pierścionek. Dzieci zapytają: „Jak zaręczyłaś się z tatą?”, a ona będzie musiała skłamać albo powiedzieć: „Wsadziłam swój wścibski nos do jego teczki i znalazłam pierścionek, więc już wiedziałam...”. Nie na takiej romantycznej historii jej zależało. Tak czy owak, to na pewno nie jest pierścionek zaręczynowy. Przedyskutowali tę kwestię: niepotrzebna im przysięga małżeńska do scementowania związku.

- Cześć! - krzyknęła wesoło i Alex wybiegł z łazienki. Był blady.

- Kłopoty z żołądkiem - wyjaśnił bez żadnego wstępu, a potem szybko cmoknął ją w policzek.

- I to wszystko? - zażartowała Daisy, idąc za nim do sypialni, gdzie zaczął pośpiesznie się rozbierać, rzucając marynarkę i krawat na jedwabną narzutę barwy karmelu. - Ale powitanie, ho, ho.

Alex, który ścigał koszulę, wykrzywił się.

- Kochanie, gdybyś wiedziała, jaki miałem weekend... Ci ludzie nie przeżyliby Bożego Narodzenia. Jestem roztrzęsiony. A hotel nie był tak dobry jak ostatnio.

- Moje biedactwo. - Wyciągnęła do niego rękę. Na moment przytulił się do niej, opierając głowę na jej ramieniu, potem przebrał się w dzinsy i bluzę.

Daisy usiadła po turecku na brzegu łóżka.

- Chciałam z tobą porozmawiać - zaczęła. - Wszystko w porządku - roześmiała się, widząc, że otwiera szeroko oczy. - Nie wyrzucili mnie z pracy, nie rozbiłam samochodu! Chodzi o dziecko, nasze dziecko. Och, Alex, tak długo czekamy, zrobmy coś z tym. - Uśmiechnęła się, bo najlepsze zostawiła na koniec. - Dzisiaj się tym zajęłam i zadzwoniłam do paru klinik płodności. W większości trzeba na wizytę czekać prawie miesiąc, ale w Avalonie, czytałam o tej klinice w gazecie i jest bardzo dobra, choć należy do najdroższych, ktoś właśnie zrezygnował. Mogą nas przyjąć za trzy tygodnie, w piątek o dwunastej piętnaście. - Oczy płonęły jej podnieceniem. - Fantastyczne, prawda? Powiedz, że ten termin ci odpowiada.

Alex, który znieruchomiał z jedną stopą w skarpetce i drugą gołą, wpatrywał się w nią bez słowa.

- Czekaliśmy wiele lat, Alex. Rok przed twoją chorobą i potem jeszcze dwa lata. Skrzywił się. Daisy wiedziała, że nie znosi, kiedy mu się przypomina o chorobie.
- Trzeba coś zrobić, zanim będę za stara. Muszę wiedzieć, dlaczego nie zachodzę w ciążę. Chcę mieć dziecko. - Samo mówienie o tym budziło w niej głębokie emocje. - I wiem, że ty też chcesz. Pragniemy go od dawna, a teraz jest odpowiednia pora.

Wyciągnęła do niego rękę. Alex z nieodgadnioną miną ujął jej dłoń i usiadł obok Daisy.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Nic nie musisz mówić - przerwała mu Daisy, przerażona, że zaraz usłyszy, że on jednak wcale nie chce dziecka. - Wydaje mi się, Alex, że na tym polega nasz problem: myślimy i planujemy, a pewnych spraw w życiu nie da się przemyśleć i zaplanować. One powinny wydarzyć się same z siebie. Czekaliśmy na odpowiednią porę, żeby mieć dziecko, i ta odpowiednia pora nadeszła. - Proszę, zgódź się ze mną, błagała w myślach.

- Proszę, Alex. To dla mnie bardzo ważne i uważam, że nie powinniśmy dłużej tego odkładać - dodała łagodnie.

- W głowie mi się nie mieści, że umówiłaś nas na wizytę w klinice płodności, nie zapytawszy mnie zdanie.

Odetchnęła głęboko. Przynajmniej nie odmówił. To był jakiś początek.

Spodziewała się szoku. Mężczyźni nie lubią pytać o wskazówki, kiedy prowadzą samochód: trzeba natężyć tę reakcję pomnożyć przez dziesięć, żeby stwierdzić, jak będą się czuli na myśl o wyprodukowaniu spermy do pojemniczka w jakimś anonimowym pomieszczeniu, żeby ich partnerka zaszła w ciążę.

Spróbowała raz jeszcze.

- Przepraszam. Wiem, że to poważny krok, może okazać się trudny dla partnerów. Czytałam mnóstwo artykułów o leczeniu bezpłodności. - Przejście przez młyn najrozmaitszych zabiegów rozbiło wiele par, ale Daisy przysięgała w duchu, że w ich wypadku tak się nie stanie. Musi tylko przekonać Alexa. - Możemy to zrobić, kochany. Proszę.

Na jego twarzy malowało się z wątpienie. Ale wciąż nie mówił „nie”.

- Jedyne, co musimy zrobić, to pójść tam i się przekonać, co mają nam do powiedzenia - ciągnęła. - Jeśli uznasz, że ci to nie odpowiada... Cóż, będziemy dalej rozmawiać... - Wyciągnęła do niego gałązkę oliwną, nie mógł odmówić. - OK, na tym skończymy. Musisz się zastanowić.

- Nie wiem - powtórzył.

Tak, trzeba przestać go dręczyć. Niech sprawę przemyśli. Daisy zmieniła temat.

- Hej, opowiesz mi, co jeszcze robiłeś w Londynie poza mieszkaniem w okropnym hotelu i dogadzaniem wstrętnym bogaczom? - zażartowała, myśląc o torbie od Tiffanyego. - Widzę, że robiłeś zakupy. Chcesz mi coś powiedzieć?

- Daisy.. - zaczął, ale zaraz urwał.

- Przepraszam, zepsułam niespodziankę, tak? - powiedziała skruszona. - Ale do moich urodzin jest jeszcze daleko. Myślałam, że to jakiś śmieszny prezent, choć u Tiffanyego raczej nie mają nic, co dałoby się określić jako śmieszne. Chyba że chodzi o śmieszność wielkiej wagi!

Sprawił wrażenie, że nie ma pojęcia, o czym ona mówi.

- U Tiffanyego? Wtedy jednak zrozumiał.

- Chodzi o coś innego? - Czyżby to był pierścienek zaręczynowy? Nie, jasne, że nie. - Bo przecież nie o naszą rocznicę - dodała pośpiesznie.

Alex pokręcił głową i wyszedł z pokoju.

Wrócił z torbą i postawił ją przed Daisy bez zbędnych fanfar. Dlaczego właściwie chce dostać od niego pierścienek zaręczynowy? - zastanawiała się, wyjmując ze środka pudełko.

- Kupiłeś to jako znak - stwierdziła radośnie, odwiązując białą wstążkę. - Znak, że to odpowiednia pora na zmianę w naszym życiu.

W pudełku leżał srebrny naszyjnik, całkiem podobny do pierwszego prezentu, jaki Alex jej podarował wiele lat temu, tylko że ten wykonany był ze srebra wysokiej próby i zachwycał kunsztowną robotą.

To rzeczywiście znak, uświadomiła sobie Daisy. Znak, że ich miłość przetrwa wszystko. Alex potrzebuje czasu do zastanowienia się nad terapią w klinice płodności i na pewno dojdzie do tych samych wniosków co Daisy. Posiadanie rodziny jest najbardziej naturalną rzeczą na świecie. To rzecz oczywista, jak powiedziałby Alex.

Pierwszy prezent, jaki od niego dostała, srebrny naszyjnik z serduszkami, spoczywał w pudełku ze skarbami obok czarnych satynowych spodni, które Daisy miała na sobie, kiedy poznała Alexa.

Naszyjnik, tani i z marnego srebra, z upływem czasu poczerniał, ale Daisy była do niego bardzo przywiązana i żałowała, że nie może go dłużej nosić, bo nadawał jej szyi przerażającą zieloną barwę. Zachowała też komplet bielizny, figi i stanik, który miała na sobie, kiedy pierwszy raz się kochali. Daisy nigdy nie powiedziała Alexowi, że wciąż ma te rzeczy - uznałyby, że zachowuje się niemądrze, tyle lat trzymając tego rodzaju pamiątki.

Daisy krzywiła się, kiedy teraz patrzyła na te satynowe spodnie-rurki. W teorii satynowe spodnie były połyskliwe, wąskie i przeznaczone dla kobiet o biodrach

jak u charta. W tamtym okresie, czternaście nieprawdopodobnych lat temu, Daisy z całą pewnością nie należała do takich kobiet.

Inne studentki projektowania mody nosiły czarne wystrzępione rzeczy, które same sobie szyły, i wyróżniały się na rojnym kampusie. Daisy jako jedyna nigdy nie nosiła ubrań przez siebie wykonanych. Częściowo dlatego, że ku swemu wielkiemu smutkowi zdawała sobie sprawę, że projektowanie nie jest jej mocną stroną. Żyła lekturą „Vogue'a”, rozumiała ukośne cięcia, jakby uczyła się od samego Schiaparellego, i potrafiła rysować jak anioł. Ale projektować nie potrafiła za skarby świata.

Poza tym stroje, które uwielbiała, przeznaczone były dla wysokich, wiotkich brunetek z aroganckim spojrzeniem i kośćmi policzkowymi jak brzytwy. Zaokrąglone dziewczęta z mocnymi nogami i biustem prosto z działu bujnych dziewczyn wyglądały lepiej w czerni, na przykład w czarnych satynowych spodniach i długiej jedwabnej bluzie.

Oczywiście wtedy nie myślała, że wygląda źle. Była przekonana, że czarna satyna maskuje tłuste wałki i wydłuża figurę, więc wygląda w niej całkiem dobrze, choć trudno by ją uznać za materiał na supermodelkę. I Alex podzielał jej zdanie - w przeciwieństwie do innych chłopaków z collegeu.

To niesamowite, jak bycie wielką dziewczyną czyni cię niewidzialną. Powinno być odwrotnie: jeśli jesteś wielka, jest cię więcej i ludziom trudno cię unikać. Ale unikali. Odwracali oczy w sposób, w jaki średniowieczni pasterze musieli odwracać wzrok na widok trędowatych, krzycząc przy tym „nieczysty”.

Alex Kenny, wysoki, szczupły, ciemnooki, ze stalowymi bicepsami niekoronowanego króla klubu wioślarskiego, nie odwrócił wzroku.

- Nie nosisz obłąkanych rzeczy jak inne wariatki z projektowania - stwierdził z rozbawieniem, kiedy się poznali. - Wyglądasz normalnie. - Wyciągnął rękę i leniwie pokręcił frędzlem jej różowego jedwabnego szala, przez co sprawił, że twarz Daisy przybrała dokładnie ten sam odcień.

Siedzieli w Shamans Armchair, przypominającym labirynt pubie, który szczególnie upodobali sobie wioślarze. Paru z nich wpadło w oko Jules i Fay, koleżankom Daisy, i pewnej niedzieli pod wpływem impulsu ustalono, że po regatach całą paczką pójda do pubu. Cóż, wyjście miało być spontaniczne, ale Daisy na własne oczy widziała, ile czasu zajęły Jules i Fay przygotowania.

Uzyskanie efektu stroju skompletowanego w ostatniej chwili było szalenie czasochłonne.

Daisy ze swej strony nie poświęciła zbyt wiele uwagi makijażowi, za to jak zwykle dołożyła szczególnych starań, żeby wyglądać szczupło. Szczupły wygląd był jej życiową misją, chociaż wiedziała, że nigdy tak naprawdę go nie osiągnie.

Podczas gdy Jules i Fay flirtowały z rozkoszą, Daisy siedziała w kącie, oszczędnie popijając małe piwo. Znowu była kompletnie splukana. Stypendium prawie się skończyło, a w pizzerii położonej niedaleko mieszkania, które wynajmowała do spółki z dziewczętami, nie potrzebowali jej na wieczorną zmianę. Obserwowała rytuał zalotów i myślała, jak by to było miło, gdyby była podobna do Jules i Fay: pewna siebie i swobodna w kontaktach z mężczyznami. Ona radziła sobie z mężczyznami, gdy ich pytała, czy chcą pizzę z dodatkową mozzarella, w innych sytuacjach - lepiej nie mówić. A potem przyszedł Alex, przyjrzał się osobom przy stole i z bezczelną miną usiadł koło Daisy. Alex Kenny, do tego stopnia atrakcyjny, że nawet Jules i Fay nigdy do głów nie wpadło, żeby zagiąć na niego parol.

- Sama to zrobiłaś? - zapytał, wskazując jej poncho, także czarne, z cekinami znaczącymi rąbek.

- Taka jestem dobra w robieniu na drutach jak w wiosłowaniu - roześmiała się Daisy. - Ale za to przyszyłam wszystkie paciorki.

- Naprawdę? - zdziwił się Alex i przyciągnął do siebie poncho, żeby bliżej mu się przyjrzeć.

Ten intymny gest sprawił, że serce Daisy zatrzepotało gwałtownie.

- Ale jest ich tu chyba z milion - dodał Alex. - Przyszywałabyś je w nieskończoność.

- Szycie jest częścią projektowania ubrań - poinformowała go Daisy z powagą. W oczach Alexa - barwy kawy albo płynnej czekolady, Daisy nie potrafiła się zdecydować - zamigotały iskierki.

- Żartujesz sobie ze mnie, Pani Projektantko? Myślisz, że jestem burakiem z załogi wiosłarskiej, który dostał sportowe stypendium i ma dwucyfrowe IQ?

- Dwucyfrowe? - powtórzyła z udawanym zdziwieniem. A potem zepsuła cały efekt, bo się przestraszyła, że go urazi, i dodała: - Przepraszam, tylko żartowałam... Alex jednak tylko bardziej wyszczerzył zęby i chciał się dowiedzieć, ile czasu zajmuje przyszywanie takiej ilości cekinów.

- Szyję, kiedy oglądam telewizję - wyjaśniła Daisy.

- Jak możesz równocześnie oglądać i szyć? Nie, nie mów. W taki sposób dostajesz się do Carnegie Hall: poprzez ćwiczenie.

- To jak wiosłowanie - dodała Daisy, patrząc na jego muskuły, wyraźnie zarysowane pod grubym, obszernym swetrem.

- Nie jestem w formie - stwierdził Alex ponuro. - Muszę ją odzyskać, nim zacznie się sezon.

- Dużo trenujesz? - zapytała z wahaniem. - Nie mam zielonego pojęcia o wiosłowaniu.

- To dobrze. Nienawidzę dziewcząt, które podrywają wiosłarzy. Dyskutują z tobą o wiosłowaniu jak zawodowcy, choć w życiu nie siedziały w łodzi.

I mówił dalej, opowiadając jej o godzinach spędzonych z wiosłami i w sali gimnastycznej, a potem zmienił temat. Zaczął wypytywać o nią i o to, co trzeba zrobić, żeby się dostać na projektowanie mody.

Nieśmiałość Daisy wyparowała. Oczywiście Alex nie interesował się nią jako dziewczyną - nikt nigdy się nie interesował - ale że najwyraźniej rozmowa z nią sprawiała mu przyjemność, ona nabrała nietypowej dla siebie odwagi.

Nie był po prostu uprzejmy, rozmawiając z pulchną nieśmiałą dziewczyną, ponieważ tak naprawdę spodobała mu się jedna z jej przyjaciółek, szalona Fay albo elegancka Jules, która miała w sobie coś z Grace Kelly. Należał do tych pięknych ludzi, którzy lubili rozmawiać ze wszystkimi. Daisy już wcześniej doszła do wniosku, że niektórzy studenci collegeu mają skalę, według której ustalają, czy mogą z kimś rozmawiać. Daisy, niezbyt dobra w projektowaniu ubrań i dość ładna, ale za gruba, znajdowała się poniżej tego poziomu. Atrakcyjne i popularne dziewczęta ignorowały ją, a atrakcyjni i popularni chłopcy jej nie zauważali. Ale bogowie życia, tacy jak Alex, stali ponad wszelkimi zasadami i mogli obdarzyć łaskami każdego ze śmiertelników. Daisy była pewna, że jak tylko Fay albo Jules skierują uwagę Alexa, ten przestanie z nią rozmawiać i odwróci spojrzenie swych urokliwych oczu. Na razie jednak cały był jej: wąski nos nad rzeźbionymi ustami, lekka opalenizna, która świadczyła o jakichś egzotycznych wakacjach poza granicami Irlandii, leniwy uśmiech mężczyzny, który wie, że nie musi nadmiernie wyęźać sił.

Sobotnie popołudnie zmieniło się w sobotni wieczór wszyscy poczuli głód. W pubie podawano tradycyjne irlandzkie placki ziemniaczane zwane „boxty”, zamówili więc wielkie talerze placków i kolejne drinki. Zrobiło się tłoczno: do trzech dziewcząt i czterech wiosłarzy dołączyli inni studenci. Zajęli całą jedną część pubu, śmiejąc się, żartując i wymieniając historyjki o swoim kompletnym nieprzygotowaniu do sesji. Alex wciąż siedział obok Daisy

Rozgrzana dwiema whisky na gorąco, które postawił jej Alex, kiedy skończyła swoje małe piwo, powiedziała mu, że uwielbia stroje, ale doszła niestety do bolesnego wniosku, że projektowanie nie za dobrze jej wychodzi. Dotąd zwierzyła się z tego tylko Fay i Jules.

- To straszne - mówiła. - Tyle pracy mnie kosztowało dostanie się na ten kierunek, a teraz, kiedy mi się to udało, widzę, że to był błąd. - Wyobraziła sobie twarz matki, gdyby to usłyszała. Matka namawiała Daisy na zrobienie kursu dla

sekretarek w Carrickwell, bo taka posada zapewni jej stały dochód. Daisy odmówiła i była to jedna z niewielu potyczek z matką, na które się odważyła. Była najlepsza w klasie z rysunku i marzyła o projektowaniu, odkąd tylko się dowiedziała, że coś takiego istnieje. Niewiele marzeń znajdowało się w zasięgu Daisy - na przykład nie te o byciu piękną, szczupłą, podziwianą przez matkę - i nie mogła zrezygnować z tego jednego, na którego realizację mgliste szanse jednak istniały.

- Naprawdę, Denise, rozczarowujesz mnie - oznajmiła wtedy matka, tonem dającym do zrozumienia, że czuje się zdradzona. Zwykle zwracała się do córki „Denise”, rzadko „Daisy”. To ojciec mówił: „moja mała Daisy” i nadane przez niego przezwisko jakoś do niej przylgnęło. - Po tym wszystkim, cośmy przeszły, chyba widzisz potrzebę rozsądnej pracy, a nie ryzykownej, takiej jaką miał twój ojciec. Myślałam, że przynajmniej tego cię nauczyłam. Ale zrobisz, jak zechcesz. Co cię obchodzi moje zdanie.

Nan Farrell, szczupła jak długie papierosy, które odpalała jeden od drugiego, wyjęła papierośnicę. Była srebrna i grawerowana - jedyny wysokiej jakości przedmiot, który jej pozostał po poprzednim życiu członka elity Carrickwell. To życie skończyło się, kiedy zaszła w ciążę, urodziła Daisy - nigdy nie przestała przypominać o tym córce - i trafiła do prawdziwego świata jako żona człowieka, który uwielbiał dobrze się bawić i nie myślał ani o zapuszczaniu korzeni, ani o ciężkiej pracy.

- Moje zdanie nigdy nie miało dla ciebie najmniejszego znaczenia.

Gdyby tylko tak było, myślała Daisy. Zdanie matki było niczym piramidy dla Kairu: potężne, nieustępliwe, możesz ich nie widzieć, ale zawsze wyczuwasz ich obecność.

Wspomnienie o tamtej awanturze i wciąż trwającym lodowatym stosunku matki odebrało Daisy całą rozkoszną przyjemność rozmowy z Alexem. Zapominając na moment, że siedzi obok tego cudownego chłopaka i że sam ten fakt powinien wprawić ją w potężne zakłopotanie, oparła głowę na dłoniach leżących na podrapanym stole pubu Shaman.

- Jak to możliwe, żeby w wieku dwudziestu lat zmarnować sobie szanse na karierę? - wymamrotała.

- Ludzie robią, co mogą - powiedział Alex, klepiąc ją po ramieniu. Jego palce powędrowały na jej kark, gdzie delikatnie pogładził miękkie rude loki, które wymknęły się z końskiego ogona. To było wspaniałe: takie seksowne. Daisy przełknęła głośno ślinę i usiadła prosto, zmuszając Alexa do zabrania dłoni. Mogłaby tak siedzieć w nieskończoność, ale nie potrafiła sobie radzić z męskimi

zalotami - czymś, co regularnie przytrafiało się dziewczętom w rodzaju Jules i Fay. Alex najwyraźniej nie dostrzegł, że jest roztrzęsiona.

- Przynajmniej wiesz, co chciałaś robić. Ja nie wiedziałem, dalej nie wiem.

Dyplom z biznesu wydał mi się najbardziej oczywistym wyborem, choć wcale mnie to nie pociąga. Żadne dziecko nie umieszcza go na liście dziesięciu najwspanialszych zawodów, no nie? „Synu, co chcesz robić, jak dorośniesz? ”.

„Och, tato, chcę siedzieć za biurkiem i w nieskończoność podliczać arkusze”.

Powiedział jej, że często nachodzi go ochota, żeby zrezygnować z collegeu, ale zdaje sobie sprawę, że po jego ukończeniu ma zagwarantowaną dobrą pracę.

Pieniądze miały dla niego znaczenie. Daisy odniosła wrażenie, choć zachowała je dla siebie, że dom Kennych nigdy nie opływał w luksusy. Rozumiała to doskonale.

U niej było podobnie. Mieszkały w małym wiktoriańskim domku w centrum Carrickwell, fizycznie całkiem blisko wielkiego domu, w którym matka się wychowała, choć pod względem towarzyskim setki mil dalej. Daisy nauczono nie rozmawiać o pieniądzach.

Nikt nie powinien się dowiedzieć, że gazowy grzejnik włączano z rzadka, a niedzielne mięso może wystarczyć do środy, jeśli człowiek wysili wyobraźnię.

- Mamy naszą dumę - twierdziła z naciskiem Nan. Pomimo to Daisy nie wierzyła, że pieniądze mogą dać jej szczęście. Matka pochodziła z bogatej rodziny, a nie istniał najmniejszy dowód, że kiedykolwiek doświadczyła szczęścia w życiu rodzinnym, aczkolwiek przypuszczalnie była bardziej nieszczęśliwa bez pieniędzy niż z nimi.

Daisy czuła, że w życiu ważna jest miłość, nie pieniądze.

Kiedy Alex szedł do baru, żeby kupić jej drinka, Daisy śledziła go wzrokiem i zdawała sobie sprawę, że musi wyglądać jak spaniel, który smutnymi oczami wodzi za panem. Największym problemem Daisy była świadomość tego, jak widzą ją inni. Kiedy wchodziła do pokoju, zawsze się zastanawiała, czy ludzie uważają, że wygląda jak wieloryb w tym, co akurat ma na sobie, a kiedy się odzywała na zajęciach, dobierała słowa tak starannie, jakby odmierzała jedwab do skrojenia. Dzisiaj jednak nie zważała na słowa ani nie układała nóg pod określonym kątem, dzięki któremu wyglądały szczupłej. Taki wpływ miał na nią Alex.

Od tamtej pory zaczęli się umawiać. Sprawiali wrażenie niedobrej pary: przystojny, lubiany Alex, który mógł poderwać każdą dziewczynę, i Daisy, bardzo miła i bez wątplenia ładna, ale czy nie powinna zrobić czegoś ze swoją tuszą?

Ludzie nie rozumieli, że łagodna i serdeczna Daisy dawała Alexowi poczucie bezpieczeństwa. Opanowana, ciepła, przywodząca na myśl gorącą herbatę pitą przy kominku, Daisy sprawiała, że dynamiczny Alex Kenny czuł się, jakby wrócił do domu.

Daisy założyła naszyjnik od Tiffany'ego. Srebro dobrze pasowało do jej karnacji. Wiedziała, że złoto może nadać rudzielcom wygląd cokolwiek wyzywający.

Matka, która miała naturalne blond włosy, często powtarzała jej tę przestrożę.

- To jest piękne - szepnęła Daisy, odwracając się do Alexa, żeby znowu go przytulić.

- Cieszę się, że ci się podoba - odparł drewnianym tonem, ze znużeniem siadając na łóżku.

- Och, kochanie, nie bądź taki. Wiem, że jesteś zdenerwowany, ja też jestem, ale to bardzo ważna sprawa.

- Daisy.. - zaczął.

- Możemy to zrobić - przerwała mu. Przez długi czas ukrywała, jak ważne jest dla niej dziecko, teraz musiała go o tym przekonać. - Alex, tak bardzo pragnę dziecka. Nie mówię o tym, ale to mnie dręczy - Usiadła obok niego i ujęła go za ręce. - Kiedy w pracy widzę Paulę, ciężarną i szczęśliwą, cierpię. I nie chodzi o to, że zazdroszczę jej tego szczęścia, ale sama też chcę je przeżyć, chcę przeżyć je z tobą. Gdzie się obejrzyysz, pełno jest dzieci, wiedziałeś o tym? - Ścisnęła jego rękę, szukając wsparcia. - W sklepach, na ulicy, w Mo's Diner, gdzie siedzą na wysokich krzeselkach i rozglądają się dokoła wielkimi oczami. Nigdy nie sądziłam, że będę kiedykolwiek się tym dręczyła, bo jako młoda dziewczyna wcale nie marzyłam o potomstwie, nie poświęcałam każdej wolnej chwili na opiekę nad cudzymi dziećmi - mówiła Daisy gorączkowo. - Gdybym miała rodzeństwo, pewnie zyskałabym jakieś doświadczenie z maluchami, ale byłam jedynaczką, więc nie myślałam, że jestem typem macierzyńskim. A potem nagle mnie to trafiło. - Roześmiała się nerwowo. - Alex, myślę o dziecku przez cały czas. Co miesiąc, kiedy pojawia się miesięczka, czuję się, jakbym zawiodła. Staramy się o dziecko od pięciu lat - to znaczy, że ponad sześćdziesiąt razy miałam to poczucie klęski. Czuję... - szukała odpowiedniego słowa - czuję się pusta, czuję, że nie jestem prawdziwą kobietą. Jestem taka samotna i smutna, patrzę na kobiety w ciąży i mam wrażenie, że pochodzę z innej planety. One są częścią cudownego cyklu życia i macierzyństwa, a ja nie. Ja jestem inna, wyłączona z ich grona. Nie mają pojęcia, że pragnę do nich dołączyć. Pewnie myślą, że nienawidzę dzieci! Ale ja pragnę dziecka tak bardzo, że aż mnie to boli. Boże, jak bardzo boli.

Umilkła, uświadomiwszy sobie, że on nie odezwał się ani słowem.

Przypuszczalnie zaskoczyła go tymi zwierzeniami. Daisy nigdy nikomu, nawet Alexowi, nie mówiła wszystkiego. Przypuszczała, że może dlatego, iż jako jedynaczka nie przyzwyczaiła się do zwierzeń. Zazdrościła ludziom, którzy potrafili swobodnie opowiadać o swych najgłębszych uczuciach. Teraz jednak, kiedy sama to zrobiła, stwierdziła, że ujawnienie tak wielu emocji jest równocześnie wyzwalające i przerażające.

- Nie miałem pojęcia, że tak to odczuwasz - wymamrotał Alex, nie patrząc na nią. - Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałaś?

- Staraliśmy się o dziecko - odparła Daisy lekko. - I dlatego chyba mi się wydawało, że wiesz, jak bardzo mi na tym zależy. - Przez cały ten czas Daisy zaciskała kciuki i modliła się przed terminem miesiączki, nawet podczas choroby Alexa, kiedy kochali się rzadko. Jak mógł o tym nie wiedzieć?

- Nie wiedziałem.

- To tylko wizyta - błagała. - Nic złego się nie stanie, jeśli pójdziemy i zobaczymy, co nam powiedzą. Proszę cię, Alex, zrób to dla mnie. Tyle przeszliśmy przez ostatnich kilka lat, wszyscy ci lekarze i testy. Wiem, że tego nie znosisz. - Tak samo jak ona. Przy każdej próbie krwi, którą oddawał do zbadania, Daisy dałaby sobie odciąć rękę, żeby mu oszczędzić tego koszmaru. Towarzyszyła wtedy Alexowi, była przy nim. Może teraz jego kolej?

Alex sprawiał wrażenie człowieka w potężnym stresie.

- Pójdziemy - powiedział wreszcie. - Jeśli tak bardzo ci na tym zależy.

Rozdział czwarty

Mel żałowała, że nie miała więcej czasu na przygotowanie się do balu dobroczynnego urządzanego przez Lorimar w końcu lutego. Oficjalne spotkanie, na którym cały starszy personel firmy musiał się stawić pod groźbą śmierci, wywoływało ożywione dyskusje przez cały ubiegły miesiąc.

Jedna grupa - sobowtór Samantha z Seksu w wielkim mieście z działu marketingu, trzy asystentki dyrektorów i szefowa sprzedaży telefonicznej -planowała styl jak z serialu: niebezpiecznie wysokie obcasy, mocny makijaż i niesamowicie współczesne kreacje.

- Podstawą jest gruba warstwa czerwonej szminki - stwierdziła kobieta z marketingu, do której obowiązków należały przygotowania do balu zajęcie doprawdy gigantyczne, między innymi musiała bowiem dopilnować, żeby setki czerwonych balonów Lorimaru spadły z sufitu, kiedy Edmund Moriarty ogłosi przekazanie stu tysięcy euro na fundację zajmującą się rozwojem kardiochirurgii. Edmund wpadnie w bojowy nastrój, jeśli jego wielka chwila zostanie zepsuta, więc większość osób zatrudnionych w dziale marketingu i sporą część pracowników działu reklamy przesunięto do prac związanych z balem.

Inna grupka kobiet planowała sztuczną opaleniznę, wizytę u fryzjera oraz włożenie starych, przyzwoitych czarnych sukien, bo żadna nie miała ochoty wykosztować się na nową kreację z powodu jakiejś imprezy w firmie. Vanessa pożyczyła wystrzałową suknię wieczorową z czerwonej satyny od siostry. Spodziewała się, że Hilary dostanie ataku serca na jej widok.

- Choć z drugiej strony, na sali będzie mnóstwo kardiologów... - dodała wesoło. A Mei... Mei planowała kilka zabiegów upiększających, żeby wyglądać jak najlepiej w ten ważny wieczór. Może nową suknię. Albo modną fryzurę. Coś, co udowodniłoby światu i zarządowi firmy, że Mei Redmond trzyma rękę na pulsie. Tymczasem jakimś cudem do wyjścia z domu na bal pozostał kwadrans, a Mei gorączkowo próbowała ożywić swoje włosy lakierem. Na jej makijaż składał się starty już nieco cień nałożony tego dnia o dziewiątej rano, a cera przypominała bardziej Mokry Weekend na Grenlandii niż rozkoszny Brąz Malibu, który był celem większości kobiet. Adrian dochodził do zdrowia po grypie, a Mei z udręką uświadomiła sobie, że nawet on wygląda lepiej od niej. Wyczerpana po pełnym zajęć dniu i jeszcze bardziej zabieganym miesiącu, marzyła wyłącznie o tym, żeby się wsunąć do łóżka i zasnąć.

Terminarz miała zapełniony imprezami na cały luty. W drugi piątek miesiąca młodszy brat Adriana, Eddie, skończył czterdzieści lat i na przyjęcie z okazji tej

przełomowej rocznicy zaproszono całą rodzinę do ulubionej restauracji solenizanta.

- Mój braciszek ma czterdziestkę... - powtarzał Adrian ze zdumieniem. - To taki podeszły wiek. Pamiętam, że się zastanawialiśmy, jak to będzie, kiedy skończymy czterdzieści lat.

- Choć wtedy to równie dobrze mogło być milion lat - odparł z namysłem Eddie. - Takie to się wydawało odległe. Właściwie miałem nadzieję, że skończę czterdziestkę przed tobą, bo miałem po dziurki w nosie tego, że jestem o dwa lata młodszy i ty wszystko robisz pierwszy

- Żebyś mógł pierwszy skończyć czterdziestkę, Adrian musiałby umrzeć - zauważyła ich matka, Lynda.

- Cieszę się, że nie umarł - stwierdził Eddie z powagą. - Choć często miałem straszną ochotę cię ukatrupić, wielki bracie.

W następny weekend ciotka i wuj Mel obchodzili pięćdziesiątą rocznicę ślubu. Z tej okazji ich dzieci zaprosiły całą rodzinę na uroczysty obiad w hotelu w Dublinie. Podczas posiłku zespół śpiewał piosenki Jima Reevesa, na ścianach wisiały powiększone fotografie ukazujące szczęśliwą parę w różnych etapach małżeńskiego życia, a stoły ozdobiono bukietami jasnoróżowych różyczek. Ponieważ tamto wesele sprzed pół wieku z braku funduszy było bardzo skromne, teraz postarano się odtworzyć stosowną atmosferę, czemu służyło błogosławieństwo udzielone przez księdza, toasty szampanem i przemowy.

- To takie wzruszające, prawda? - z rozmarzeniem zwrócił się do Mel jeden z gości, kiedy cała sala zalała się łzami po oświadczeniu wuja Dermota, że nie chce żyć ani dnia dłużej, jeśli nie będzie przy nim jego Angeli.

- No tak, bardzo wzruszające - odparła Mel, czując, jak pot rujnuje jej fryzurę. Zmęczyła się, biegnąc za Carrie, która zaczęła szaleć w chwili, gdy sobie uświadomiła, że hotel to idealne miejsce do chowania się przed matką. Zdażyła już się "ukryć w kabinie damskiej toalety, pod udrapowanym obrusem stołem, na którym królował majestatycznie tort, oraz za wahadłowymi drzwiami do kuchni.

- Usiądź i odpocznij, a ja zajmę się Carrie - powiedziała matka Mel, widząc córkę przebiegającą obok.

Mel zatrzymała się. Rozmyślała o tym, jak bardzo bołą ją stopy w wieczorowych pantofelkach na wysokich obcasach, i o tym, że ludziom, którzy organizują takie imprezy i zapraszają dzieci, nigdy jakoś do głowy nie wpadnie, żeby zaplanować zajęcia dla najmłodszych. „Dzieci mile widziane” było zwrotem pustym, nie oznaczało oddzielnej sali dla pociech, w której rodzice na zmianę mogliby pełnić dyżury, a na wideo wyświetlano by na okrągło Największą przygodę Barneya i 101 dalmatyńczyków. A skoro tak, to

gospodarze powinni mieć zapas środków uspokajających, wydawanych rodzicom na żądanie. Kieliszki z czerwonym winem stojące zapraszająco na krawędzi stołu działały jak magnes na dziecko w wieku Carne.

- Jesteś zmęczona, Mei. Usiądź koło Adriana, zjedz kawałek tortu. Będę miała na nią oko. - Karen wstała, żeby ruszyć za fioletowym wirem, w który zamieniła się Carrie.

- Nie, mam, nic mi nie jest. Dość już zrobiłaś - odparła Mei stanowczo. Jeśli stopy będą ją boleć, to po prostu zdejmie buty Kto to zauważy? - Jeszcze trochę, a Carrie zacznie myśleć, że ty jesteś jej matką, a nie ja! - Gorzki śmiech, który towarzyszył temu stwierdzeniu, nie umknął uwagi Karen, która ścisnęła córkę za ramię.

- Nie pomyśli tak, nie bądź niemądra.

- Jasne, że nie. To był żart! - Na twarzy Mei pojawił się jej najlepszy zawodowy uśmiech. Obie wiedziały, że jest nieszczerzy

- W takim razie do zobaczenia później, kochanie - odparła Karen. I chociaż nigdy nie pracowała w reklamie, udała jej się wiarygodna imitacja uśmiechu córki. W biurze także nie było chwili wytchnienia. Mei utonęła w nawale pracy, bo firmowy magazyn, który otrzymywali wszyscy klienci, zamiast co dwa lata, zaczęto wydawać co kwartał i cały dział reklamy musiał zostawać po godzinach. Sprawy jeszcze bardziej się skomplikowały: po firmie krążyły złowrogie plotki o poważnych cięciach finansowych. Więcej pracy i mniej pieniędzy - zdaniem Mei to nie była najlepsza kombinacja.

Vanessa żyła w podobnym stresie i mogły porozmawiać tylko rano, kiedy spotykały się w damskiej toalecie i wymieniały uwagi o ponurych nastrojach i pomysłach, w jaki sposób firma może zaoszczędzić pieniądze.

- Niedawno czytałam w gazecie artykuł o tym, że większość kobiet pracujących tak wiele rzeczy robi rano, że kiedy w końcu docierają do pracy, siedemdziesiąt pięć procent z nich jest kompletnie wykończonych - powiedziała pewnego dnia Vanessa, myjąc ręce i dochodząc do wniosku, że nie ma sił na żaden inny rodzaj zabiegów upiększających.

Mel, która malowała rzęsy czarnym tuszem, żeby nadać zmęczonym oczom niejaką wyrazistość, o mało się nie roześmiała.

- Tylko siedemdziesiąt pięć procent? A jakie leki bierze te pozostałe dwadzieścia pięć procent?

Wyczerpanie Mel pogłębiał jeszcze fakt, że Sara nie spała dobrze. Przez kilka tygodni nie chciała się położyć, póki nie padała ze zmęczenia, a potem spała

niespokojnie i kilka razy w nocy budziła się z płaczem. Mel przedyskutowała to z Dawną, kierowniczką przedszkola.

- Chyba już wiem, o co chodzi - oznajmiła wreszcie Dawna w piątek przed balem, kiedy Mel nie wiedziała, w co ręce włożyć. - Nie chce, żeby ominął ją czas, kiedy jesteś w domu. Kiedy mamusia jest cały dzień w pracy, tęsknimy za mamusią, prawda?

Sara z powagą pokiwała głową.

- I to wszystko. Nie chce iść do łóżka, bo w ten sposób omija ją czas, kiedy wieczorami jesteś w domu - ciągnęła Dawna, nie zdając sobie sprawy, że aplikuje w serce Mel kolejny zastrzyk wyrzutów sumienia. - Założę się, że zasypia jak złoto w weekendy, kiedy jesteś z nią nieustannie.

Mel pokiwała głową. To była prawda: w piątek i sobotę Sara zawsze spała dobrze i Mel próbowała przekonać samą siebie, że w weekendy zawsze robią dużo różnych rzeczy, więc mała jest zmęczona. Powinna wiedzieć, że chodzi o coś innego.

Zamiast znowu zwrócić się do swojej matki o pomoc, Mel poprosiła teściową o zaopiekowanie się dziećmi w sobotę, kiedy oni pójdą na bal. Lynda zawsze bardzo się cieszyła, że może zostać z wnuczkami, choć nie zdarzało się to często.

Częściowo dlatego, że Mel nie chciała jej wykorzystywać, przede wszystkim jednak odnosiła wrażenie, że Lynda nie do końca ją akceptuje.

Lynda należała do pokolenia kobiet, które zostawały w domu z dziećmi, i chociaż nigdy wprost nie powiedziała synowej, co sądzi o jej pracy - nie należała do osób doprowadzających do konfrontacji - Mel i tak to wyczuwała.

Młodzięcza sześćdziesięcioparolatka ze szczupłą figurą, którą zawdzięczała grze w badminton, i jasnymi jak u syna włosami, Lynda wydawała się idealnym materiałem na teściową. Mieszkała na tyle daleko, żeby bez przerwy nie wpadać do syna i synowej, a chociaż kilka lat temu owdowiała, miała własne towarzystwo i nie wisiła na Adrianie. Z rzucanych od czasu do czasu uwag Mel wywnioskowała jednak, że Lynda nie chce, żeby jej ukochane wnuczki wychowywali obcy ludzie, i podejrzliwie odnosi się do drugiej babci-rywalki.

- Melanie, w głowie mi się nie mieści, jak doskonale dziewczynki radzą sobie z obcymi. Zwłaszcza Carrie. Kiedy moi chłopcy byli w tym wieku, rzadko spotykali obcych i na ich widok chowali się za moją spódnicą - wspominała z rozczuleniem Lynda. - Ale dziewczynki to po prostu małe dorosłe! Pewnie dlatego, że przez cały dzień są w przedszkolu.

Słyszając to, Mel zgrzytnęła zębami.

- Nie miała na myśli nic złego - protestował Adrian. - Mówiła tylko...

- Wiem - odparła krótko Mel. Wciąż brzmiała jej w uszach ostatnia uwaga teściowej: „Wy, kobiety pracujące! Nie mam pojęcia, skąd bierzecie energię. Nie byłabym w stanie zająć się rodziną i równocześnie zarabiać na życie, tyle ci mogę powiedzieć!”. Jeśli Lynda tylko mówi, to dlaczego tak to boli?

O wpół do siódmej Mel zrobiła wszystko, co w jej mocy, żeby fryzura jakoś wyglądała, i zdecydowała, że pomaluje się w samochodzie. Dzień upłynął jej na zrobieniu zakupów na cały tydzień, zabranii dziewczynkę na basen i przygotowaniu wszystkiego dla Lyndy na wieczór.

Sara martwiła się wyjściem rodziców i przez cały spędzony z matką czas była nieszczęśliwa. Z maleńką buzią w kształcie serca, ogromnymi niebiesko-fioletkowymi oczami i blond lokami miała wygląd uroczonego małego aniołka. Ale za tą anielską buzią kryła się determinacja, żeby zawsze postawić na swoim, i w wieku czterech lat i trzech miesięcy Sara prostą drogą zmierzała do objęcia cesarskiego tronu w domu Redmondów. Mel przeczytała wszystkie książki o radzeniu sobie z upartymi dziećmi, by dojść do wniosku, że żaden z tych ekspertów od wychowania nigdy nie spotkał nikogo podobnego do jej córki. Przynajmniej zmęczyła się pływaniem, pomyślała Mel, pośpiesznie wciągając czarną wieczorową suknię, która właściwie sama mogła pójść na bal, na tylu imprezach w pracy była bowiem już wcześniej. Stanie w basenie i podtrzymywanie Carrie wykończyło też samą Mel. Na parterze kasetka z Piękną i Bestią czekała w odtwarzaczu. Na blacie stał garnek z dwiema piersiami z kurczaka w czosnku i sosie z leśnych grzybów oraz miska z małymi ziemniaczkami, które Lynda miała odgrzać na kolację. W lodówce udo jagnięcia marynowało się w świeżym rozmarynie i oliwie z oliwek na jutro, ponieważ jeśli Lynda opiekowała się dziećmi, zostawała do wieczora dnia następnego i należał jej się porządny niedzielny obiad. Mel wciągnęła na pościel w pokoju gościnnym poszwy barwy bzu i zdołała nawet uprasować kopertę na kołdrę, czego dla siebie i Adriana nigdy nie robiła. Zmieniła też pościel w łóżeczkach córek i poukładała porządnie zabawki. Termometr i paracetamol dla dzieci na wszelki wypadek zostawiła na szafce w łazience, za wysoko, żeby dziewczynki mogły tam sięgnąć. Numery telefonu do lekarza i do sali balowej wypisała wielkimi literami - Lynda bez okularów była prawie ślepa - i oparła kartkę o aparat.

Z całą pewnością Lynda nie znajdzie powodu do stwierdzenia, że praca Mel fatalnie się odbija na jej rodzinie.

- Będziemy cudownie się bawić dzisiaj wieczorem - zagruchała Lynda do wnuczek, które siedziały przytulone do niej na sofie, w piżamkach i gotowe do zabawy z babcią.

Lynda przyniosła słodczyce, zrobione właściwie z samego cukru, które w domu były zakazane, ponieważ dziewczynki robiły się po nich nadmiernie pobudliwe. Mel wiedziała jednak, że nic nie może powiedzieć.

Adrian, który teraz wyglądał mniej blado, wszedł do pokoju, kończąc herbatnika. W programie balu była kolacja, ale przyjęcie zaczynało się od drinków - kto wie, kiedy dostaną coś do przegryzienia. Adrian ubrał się w garnitur z doskonałej czarnej wełny i srebrnoszarą koszulę, która podkreślała błękit jego oczu. Wyglądał wspaniale.

- Będiesz tęskniła za tatusiem? - zapytał, szybkim ruchem podnosząc Sarę z sofy i odwracając ją głową w dół: tę zabawę uwielbiała od małości.

- Tak - zachichotała, próbując odsunąć długie jasne włosy z buzi.

- Naprawdę? - dopytywał się Adrian, podrzucając córeczkę.

- Tak!!! - pisnęła z zachwytem, bo uwielbiała podrzucanie. Mel wiedziała, że Sara nie zna uczucia strachu.

- Ja, ja! - domagała się Carrie. Jej pulchne policzki były różowe z podniecenia.

Wyglądała jak pomniejszona wersja siostry, acz pozbawiona podbródka znamionującego upór.

Bardziej przypomina naszą rodzinę, mówiła czasem Lynda - a zdaniem Mel miało to znaczyć, że upór jest cechą, którą Sara odziedziczyła po matce, a tym samym niepożądaną.

- Musimy iść - powiedziała Mel mechanicznie. Radość na moment znikła. Sara, wciąż do góry nogami, spojrzała na Mel tym wszechwiedzącym wzrokiem, jakby chciała zapytać, dlaczego mama zawsze wszystko musi psuć.

Bo w ciągu dnia nigdy nie ma dość czasu - taki okrzyk cisnął się Mel na usta. Ktoś musi dbać, żeby wszystko przebiegało według planu. Wyobraźmy sobie, co by się stało, gdyby nie pilnowała, żeby wszyscy byli gotowi na czas.

Adrian postawił Sarę na ziemi i dla zachowania spokoju kilka razy podrzucił Carrie, po czym posadził ją na kanapie.

- Bądźcie dobre dla babci - przykazał córkom, które uśmiechnęły się do niego z uwielbieniem, jakby chciały powiedzieć, że nie znają znaczenia wyrazu „niegrzeczne”.

- Dobranoc, Carrie. - Mel nachyliła się, żeby ją pocałować, i została nagrodzona dwiema tłustymi rączkami zarzuconymi na szyję i mokrym całusem w policzek.

Ona tak szybko rośnie, pomyślała Mel z bolesnym skurczem serca. Wydaje się, że zaledwie wczoraj była małą, kruchą istotką, która leżąc wygodnie w ramionach matki, różowymi usteczkami ssła jej pierś.

- Dobranoc, mamusiu - zaszczębiotała Carrie swym zdyszczanym głosikiem. Mel znowu ją pocałowała.

- Kocham cię - szepnęła łagodnie.

Sara, która siedziała z drugiej strony babci, na kolanach trzymała torebkę pełną zakazanych słodczy.

- Pocałujesz mnie na do widzenia? - zapytała Mel drżącym głosem.

- Dobranoc - powiedziała Sara, ignorując prośbę i nie odrywając wzroku od swojego skarbu.

- Ty mały nicponiu, pocałuj mamusię - poleciała Lynda czule, wicherząc wnuczce włosy.

- Och, one wszystkie czasami tak się zachowują - odparła Mel lekkim tonem. W żadnym razie nie da po sobie poznać, że ma ochotę wybuchnąć płaczem, bo czuje się zdradzona i rozgoryczona. - Nowa osoba zawsze jest dla nich bardziej interesująca niż nudna stara mama.

- Daj mamusi całusa - nalegała Lynda.

Rozkosznie nieświadoma bólu, jaki przesywa serce jej matki, Sara nie podnosiła głowy.

- No, dalej. - Lynda roześmiała się krótko. - Ale z niej mały łobuziak, prawda? Nie chce, żebyś wychodziła, Mel.

Nieoczekiwanie Sara uniosła głowę. Jej buzia rozjaśniła się zapierającym dech uśmiechem i posłała mamie całusa, machając przy tym dłonią.

- Grzeczna dziewczynka - pochwaliła ją Lynda. - A teraz dajcie mi pilota i obejrzymy sobie film.

- Bawcie się dobrze - powiedział Adrian, ruszając do wyjścia.

- Tak, bądźcie grzeczne, słoneczka - dodała Mel. Mechanicznym krokiem szła za mężem, odczuwając rozczarowanie niczym fizyczny ból. Sara nie chciała jej pocałować. Posłanie buziaka się nie liczy, to nie jest właściwy pocałunek. Sara zawsze całowała mamę na pożegnanie, zawsze...

- Mel, twoja torebka - przypomniał Adrian, podając ją żonie. - Jak mogłaś zapomnieć?

- Głuptas ze mnie - powiedziała Mel i wyszła z domu.

- Jesteś wyczerpana, prawda? - zapytał Adrian, otwierając samochód.

Mel zgarbiła się na siedzeniu. Kiedy samochód pędził ku centrum miasta, uświadomiła sobie, że kosmetyczka została na stoliku w holu. Przy sobie miała wyłącznie jasny błyszczący do ust i tusz do rzęs. Z przyklapniętymi włosami i niemal nagą twarzą wyglądała, jakby sama właśnie przeszła gripę. Ale tak była przygnębiona, że po raz pierwszy w jej doskonale uporządkowanym życiu zupełnie jej to nie obeszło.

Impreza odbywała się w sali balowej snobistycznego pięciogwiazdkowego hotelu o nazwie McArthur i kiedy Mel i Adrian wreszcie tam dotarli, wszyscy

goście dobrze już się bawili, popijając drinki. Z wdzięcznym uśmiechem na twarzy, choć zdawała sobie sprawę, że musi wyglądać jak nosicielka zarazy, Mel trzymała Adriana za rękę, kiedy przedzierali się przez tłum. Wreszcie trafili na Tony'ego Steilmana i jego żonę Bonnie. Przyjaźnili się z nimi także poza firmą, a Tony był człowiekiem, któremu Mel ufała bez zastrzeżeń.

- Hej, cieszę się, że was widzę - powiedział Tony, całując ją w policzek. - Wyglądasz okropnie.

Bonnie, która objęła Adriana na powitanie, spojrzała na męża znacząco.

- W pośpiechu zostawiłam kosmetyczkę w domu - wzruszyła ramionami Mel.

- Mam ze sobą niewiele - powiedziała Bonnie, podnosząc miniaturową wieczorową torebkę - ale jeśli chcesz, możesz skorzystać.

Zostawiły obu mężczyzn i ruszyły w kierunku toalet, ale skręcając za róg, dosłownie wpadły na Hilary i prezesa firmy, Edmunda Moriarty'ego: ostatnich ludzi, których Mel chciała spotkać w swoim obecnym stanie.

- Ojejku, Mel, jesteś chora? Jakiś wirus? - zapytała Hilary, robiąc krok do tyłu, bo cokolwiek to było, nie miała ochoty się zarazić.

- Nie, to skutek tego, że się jest pracującą mamą i wszystko trzeba robić w pośpiechu - roześmiała się Bonnie. Dwa kieliszki szampana wyraźnie rozwiązały jej język. - Naprawdę, Hilary, nie mam pojęcia, jak ona to robi. Nasza Mel to prawdziwa bohaterka. Zawsze powtarzam Tony'emu, że ma

"Szczęście, bo jestem cały dzień w domu, więc nie musi wracać z pracy i zajmować się praniem jak Mel. To wspaniałe, że w Lorimarze pracujące matki znajdują tak silne wsparcie. - Słodka, okrąglą twarz Bonnie jaśniała dumą z przyjaciółki. Sądziła, że powiedziała to, co trzeba, ponieważ Mel była niesamowita, naprawdę. Bonnie nie miała pojęcia, czy zdołałaby tak ciężko pracować jak Tony i Mel, a równocześnie prowadzić dom.

Odpowiedziało jej milczenie.

Mel uśmiechnęła się z wysiłkiem. Zdawała sobie sprawę, że Bonnie nic gorszego nie mogła powiedzieć. Edmund nie lubił, gdy mu przypominano, że Mel jest matką i ma swoje obowiązki. On i Hilary chcieli, żeby jej pierwszym i najważniejszym obowiązkiem był Lorimar, i naprawdę guzik ich obchodziło, jakie przeszkody musi pokonać, żeby dobrze wykonywać swoją pracę. Edmund, człowiek bezdzielny, kapryśny i wymagający, który łatwo popadał w znudzenie, domagał się, żeby podwładnych interesowała wyłącznie jego osoba.

Szukając w myślach jakiegoś wytłumaczenia, które zadowoliliby wszystkich i pozwoliło zachować nietknięty wizerunek Superkobiety Pracującej, Mel nagle wyciągnęła asa z rękawa.

- Prawdę mówiąc, byłam w siłowni i musiałam śpieszyć się do domu. Wiecie, jak przy treningu mija czas.

Bonnie zamrugła.

- Minimaraton - ciągnęła Mel. - Lorimar ma grupę biegaczy i chcę do niej należeć. Wizja kobiet odzianych od stóp do głów w logo Lorimaru i biegnących koło tłumu fotoreporterów najwyraźniej przypadła do gustu Edmundowi Moriartyemu.

Zdrowie, dobroczynność i świetna reklama: idealna kombinacja.

- Doskonale - stwierdził. - Nie wiedziałem, że sponsorujemy biegaczy, ale pomysł jest doskonały. Naszym celem jest zdrowie i sami jesteśmy zdrowi. Podoba mi się Hilary, która nie uwierzyła w ani jedno słowo Mel, obrzuciła ją spojrzeniem bez wyrazu.

- Wspaniale - powiedziała. - Porozmawiamy o tym w poniedziałek. - I poprowadziła Edmunda ze sobą w poszukiwaniu innych rozmówców. Przez resztę wieczoru Mel zdołała zachować dobrą minę do złej gry, dopiero kiedy wsiadła do samochodu, przestała się kontrolować.

- To było straszne - jęknęła, kiedy wyjeżdżali z hotelowego podziemnego parkingu. - A żeby zredukować straty, powiedziałam, że trenuję do minimaratonu, co oznacza, że faktycznie będę musiała to zrobić.

- Żartujesz, prawda? - Adriana cała ta sytuacja szczerze rozbawiła. Co z tego, że Mel wyglądała na zmęczoną? Nie zatrudniono jej, żeby wyglądała jak supermodelka przez cały czas: była przecież normalną kobietą.

- Nie - warknęła, zła na cały świat, a ponieważ świata tu nie było, wystarczyć musiał Adrian.

- Nie musisz biegać w minimaratonie tylko dlatego, że na przyjęciu wyglądałaś na zmęczoną - ciągnął.

- Tak, będę musiała, ponieważ powiedziałam to w obecności szefa, a szef to szef, więc nie mam innego wyjścia i to moja cholerna wina, że wyglądałam jak straszdyło. Rozumiem teraz, dlaczego kobiety robią sobie makijaż permanentny. Wtedy przynajmniej zawsze wyglądają na przygotowane.

Adrian się roześmiał.

- Daj spokój, kochanie, to naprawdę nie jest takie ważne. W pracy jesteś rewelacyjna, oni o tym wiedzą. Cała reszta to bzdury Kogo obchodzi twój wygląd?

- Nie powinien się liczyć, ale się liczy - syknęła z furią Mel. - To, jak wyglądam, jest ważne, ponieważ mam dzieci i jestem na cenzurowanym. Ty tego nie rozumiesz. Jesteś mężczyzną, więc nikt nie obserwuje cię jastrzębim

wzrokiem i nie wypatruje oznak, że rodzina liczy się dla ciebie bardziej niż praca, a w dodatku wpływa też na twój wygląd. Wszystko jest ważne! Kiedy Carrie ma czterdzieści stopni gorączki, nikt nie zakłada, że weźmiesz zwolnienie. Jeśli uda ci się przyjść na przedstawienie z okazji Bożego Narodzenia do przedszkola, wszyscy myślą, że jesteś kandydatem na Tatusia Roku. Jeśli ja idę na to przedstawienie, migam się od pracy, a jeśli nie idę, podpadam jako matka. Więc tak, mój wygląd ma znaczenie.

- Zostawałem z dziewczynkami, kiedy chorowały - zauważył Adrian.

- Ale w wypadku mężczyzn traktuje się to jako wyjątek - powiedziała Mel z desperacją. - Zupełnie inaczej jest z kobietami. To przypomina cholerny maraton. I wcale nie minimaraton.

- W Lorimarze nie może panować seksizm, bo Hilary jest kobietą - stwierdził Adrian z powątpiewaniem.

- Trudno to zauważyć - westchnęła Mel. - Jest poślubiona firmie i nigdy byś nie pomyślał, że ma dzieci. Innymi słowy: idealna kobieta na wysokim stanowisku. Albo trzeba sobie podwiązać jajniki, albo wynająć kogoś, kto wychowa twoje dzieci, tak że ty nie musisz na oczy ich oglądać, a dostaniesz pracę na samym szczycie.

- Ale ty to kochasz - upierał się Adrian. - Przypominasz elektrownię, Mel. Wszyscy uważają, że doskonale sobie radzisz. Ja uważam, że jesteś wspaniała. To, jak godzisz pracę i dzieci, żonglując wszystkim...

- Nienawidzę, kiedy nazywają to „żonglowaniem” - powiedziała Mel cicho. - Żonglowanie nie może być aż tak trudne, ale to... to jest jak... - przez chwilę szukała odpowiedniego słowa - to jak żonglowanie ręcznymi granatami.

- Aż takie złe? Mel zamknęła oczy.

- Tak - odparła. - To cholerny koszmar, przypominający koło dla chomika w horrorze, a ja nie potrafię z niego zejść.

Rozdział piąty

Cleo sprzątała ulubioną sypialnię w Willow: Apartament Królowej Piratów. Nazwany tak na cześć enigmatycznej Grace OMalley, pięknej i ognistej piratki, która w siedemnastym wieku grasowała na morzach opływających Irlandię, apartament miał mahoniowe łóżko z baldachimem, okryte puszystym niegdyś aksamitem barwy pruskiego błękitu, otwarty kominek z tendencjami do dymienia oraz wannę na czterech łapach, która zajmowała centralne miejsce w przyległej łazience z drewnianą podłogą.

Panny młode uwielbiały Apartament Królowej Piratów. Być może wyobrażały sobie - jak często robiła to Cleo - że oddają się swoim wybrancom na łóżku z baldachimem jak siedemnastowieczna heroina, igrająca z przystojnym kapitanem piratów w wykrochmalonej białej pościeli. Cleo często myślała, że jeśli wyjdzie za mąż - a to „jeśli” było przeogromne, ponieważ, spójrzmy prawdzie w oczy, nie spotkała na razie odpowiedniego mężczyzny i wolałaby raczej iść przez życie samotnie niż godzić się na kompromisy - noc poślubną spędzi w apartamencie Grace OMalley.

Pokój miał tylko jeden defekt - trudno go było wysprzątać. Skomplikowane rzeźbienia na łóżku niełatwo się czyściło i podczas gdy pozostałe sypialnie w Willow Cleo mogła sprzątać z zamkniętymi oczami, Apartament Królowej Piratów wymagał wysiłku. Musiał wyglądać doskonale. Cleo była perfekcjonistką. Odkąd Cleo nauczyła się chodzić, dreptała za mamą i pomagała jej, teraz więc mogły rozprawiać się z każdym wolnym pokojem, odkurzając, polerując, porządkując i zmieniając pościel w błyskawicznym tempie.

Była to jednak ciężka praca, a od dnia, kiedy nastał Trevor, supersprzątac, który zaczął pracować w hotelu, gdy Cleo studiowała w college'u, Sheila nie powinna już się tym zajmować. Tylko że Trevor i jego pierwszorzędną ekipa -dwie siostry i kuzynka - nagle zapadli na tajemniczą gripę, która przykuła ich do łóżek. Cleo zauważyła, że zdarzyło się to, gdy w pobliskim Fairy house odbywały się wyścigi. W dodatku po raz drugi w tym miesiącu.

Aż się prosiło, żeby Trevorowi nagadać do słuchu, ale jakoś nikt nie miał na to ochoty.

- On naprawdę jest dobry - stwierdziła Sheila w piątek rano, kiedy Trevor zadzwonił z informacją, że wciąż jest słaby, ale wreszcie pokonał gripę. Cleo, Sheila i Doug, kucharz ze zmiany śniadaniowej, pili herbatę.

- Pokazałabym mu słabość - burknęła Cleo. - Czy kiedy nie było go w pracy, choć raz przyniósł zwolnienie od lekarza? Albo ktoś z jego ekipy, skoro o tym mowa?

- Nie - sprzeciwiła się Sheila - ale my nie działamy w systemie zwolnień lekarskich, kochanie. Wiem, że uczyłaś się o tym, tylko że prowadzenie Willow nie przypomina prowadzenia wielkiego hotelu. Musimy uważać, żeby nie zranić uczuć naszych pracowników, Cleo. Gdybyśmy, twój ojciec albo ja, zasugerowali, że Trevor nie jest naprawdę chory, mógłby zrezygnować z pracy u nas.

- A on, nie przychodząc do pracy przez dwa tygodnie w miesiącu z powodu mitycznej grypy, uważa, żeby nie zranić waszych uczuć, tak, mamó? - Cleo płonęła gniewem na Trevora, który niewątpliwie był miłym człowiekiem, ale tak bardzo kochał konie, że zasługiwał, by jego imieniem nazwać bieg z przeszkodami. - I co z tego, jeśli odejdzie? My i tak same to robimy.

- Jest tani - argumentowała matka, wstając z krzesła.

- Nie jest tani, skoro same musimy sprzątać pokoje i płacić mu chorobowe, w dodatku bez dowodu w postaci zwolnienia lekarskiego. Jeśli on rzeczywiście leży chory w łóżku, a nie jedzie na jakiś tor wyścigowy, to ja jestem Naomi Campbell!

- Robisz się twarda, dziewczusko - powiedział z aprobatą Doug, kiedy Sheila odeszła od stołu. - Więc jednak czegoś cię nauczyli w tym collegeu.

- Nie wszyscy tutaj myślą tak jak ty - westchnęła Cleo.

Na stole leżała lokalna gazeta i Cleo przysunęła ją ku sobie. Potrzebowała czegoś, żeby oderwać myśli od Trevora, gdy będzie kończyła herbatę. W gazecie podawano zwykle informacje: firma budowlana starała się o pozwolenie na budowę wielkiego osiedla mieszkaniowego w Carrickwell od strony Kilkenny, dziewczęta z Mercy Convent zebrały dwa tysiące euro na hospicjum, wystawiając w walentynki w auli szkolnej Jak wam się podoba. Uwagę Cleo przykuła wielka reklama ośrodka spa Wzgórze Obłoku.

Cleo wiedziała, że jakaś Amerykanka przez cały ubiegły rok prowadziła prace remontowe w starym domu Delaneyów, przekształcając go w nowoczesną farmę piękności. Sieć szpiegowska Carrickwell nie była w stanie zdobyć żadnych informacji o tajemniczej właścicielce, chociaż robili, co w ich mocy. A teraz się okazało, że ośrodek jest już otwarty.

„Ośrodek spa Wzgórze Obłoku: przywraca siły witalne”.

Slogan brzmiał dość banalnie, ale zdjęcie było dobre. Ośrodek wyglądał na kosztowny, elegancki i stanowił kolejną konkurencję dla Willow. Cleo już

wcześniej miała zamiar obejrzeć go na własne oczy. Teraz, po otwarciu, pora była odpowiednia.

Po śniadaniu Sheila i Cleo, wciąż zirytowana na nieobecnego Trevora, ruszyły do sprzątnięcia. Gdyby to Cleo prowadziła Willow, skończyłyby z takimi sztuczkami. Gotowa była postawić ostatni grosz, że kobieta, która zarządza Wzgórzem Obłoku, nie musi szorować sauny ani prać puszystych płaszczy kąpielowych.

Cleo nie pozwalała już matce sprzątać łazienek, całe to pochylanie się nie służyło zdrowiu Sheili przy jej artretyzmie. Tego ranka w Apartamencie Królowej Piratów Cleo czuła kropelki potu pokrywające jej czoło. Gniew sprawił, że była szybsza niż zwykle. Szorowała, szorowała, szorowała. Przesuwała gąbką po wielkiej starej wannie, jakby miała zamiar usunąć wszystkie zarazki.

Dziesięć minut później weszła do sypialni i zobaczyła, że matka siedzi na łóżku i wygląda na wyczerpaną.

- Mamo - uklękła przed nią. - Co się stało? Źle się czujesz?

- Nic mi nie jest. - Sheila machnęła dłonią. - Muszę tylko złapać oddech. Ojciec znowu chrapał w nocy. Ciągle go szturchałam, ale to nie pomagało, więc prawie nie zmrużyłam oka.

- Idź na dół i odpocznij - poleciła Cleo z ulgą, że nie chodzi o nic poważniejszego. Chrapanie ojca mogło obudzić umarłego.

- Nie muszę odpoczywać - upierała się Sheila. - Kto posprząta resztę pokoi?

- Nie potrzebuję pomocy - oznajmiła Cleo stanowczo. - Idź już, sio.

- Jesteś moim największym skarbem, córeczko - powiedziała Sheila Malin z uczuciem.

- Mamo, nie opowiadaj głupstw - odparła Cleo, równocześnie zakłopotana i wzruszona. - Jesteś okropnie sentymentalna.

- Myślałam, że zaczniesz wywijać batem, kiedy rozmawialiśmy o telefonie od Trevora - zażartowała matka.

- Dla obcych jestem poganiaczem - uśmiechnęła się Cleo. - Wszyscy dobrze wiecie, że jestem apodyktyczna. W collegeu nauczyli mnie, jak mówić tonem zdecydowanym, bo tylko wtedy personel cię słucha i masz rezultaty. Gdybyście pozwolili mi zamienić słówko z Trevorem, mamo, to... pracowałby wydajniej - dodała z zapalem. - Musimy myśleć o Willow i o was. Po co utrzymywać psa, skoro sami szczekamy? Trevor powinien przyłożyć się do roboty albo wylatuje. Zgadzasz się ze mną? Matka zmusiła się do uśmiechu.

- Oczywiście, kochanie. Masz rację, jestem wyczerpana. Na chwilę się położę.

Po wyjściu matki Cleo zabrała się do sprzątanania ze zdwojoną energią. Sił dodawała jej przemowa, którą wygłosi do obiboka Trevora, kiedy wreszcie dorwie go w swoje ręce.

- Nie uwierzysz, właśnie miałam wysłać ci esemesa. To chyba telepatia! - oznajmiła Trish z zachwytem, kiedy po południu Cleo do niej zadzwoniła.
- Raczej psychopatia - odparła Cleo. - Co do telepatii, nie mam pewności.
- Ale ja mam - zaprotestowała Trish. - Dzisiaj jestem pełna cudownych wibracji i mistycznej energii, a esemesa chciałam ci wysłać, bo jutro urządzamy imprezę w domu, z didżejem i w ogóle. Przyjedziesz do miasta? - Trish uważała, że to ostatni krzyk mody. Fakt, że didżej był przyjacielem przyjaciela, przyjaciela, znaczył niewiele. Na pewno będzie miał więcej płyt kompaktowych niż jej współlokatorzy. Nie pozwalali jej puszczać płyt Beyonce i Christiny Aguilery, T)na w rewanżu nie chciała słuchać rapu, jedynym wspólnym gruntem pozostawała więc nastrojowa kolekcja Barryego. Nieważne, jak bardzo uwielbiasz REM, podkreślała Trish, tańczyć do ich utworów się nie da.
- Przykro mi, nie mogę. - Cleo z ochotą poszłaby w sobotę na imprezę, ale przyjeżdżał autokar turystów z Finlandii. W piątek i w sobotę jedli kolację w hotelowej restauracji, co oznaczało, że potrzebna będzie każda para rąk. - Mamy pełną rezerwację na weekend, a mama nie czuje się najlepiej. Muszę zostać.
- Przynajmniej macie pełny hotel.
- Tak - mruknęła Cleo z powątpiewaniem.
- Nie bądź taką starą zrzędą - powiedziała Trish z desperacją. - Ciagle opowiadasz, że połowa pokoi stoi pusta, a jak macie tyle gości, że szpilki nie wetkniesz, to ty dalej narzekasz.
- Dzięki za tę niezwykle głęboką uwagę, kobieto z cudownymi wibracjami i mistyczną energią - odparła sarkastycznie Cleo.
- Przepraszam.
- Przeprosiny przyjęte. Chodziło mi o to, że pełna rezerwacja w ten weekend wcale nie jest taką dobrą rzeczą, jak może się wydawać na pierwszy rzut oka.
- Dlaczego?
- Rezerwacji dokonano rok temu, a wszystkie pokoje mamy zajęte pierwszy raz od mniej więcej... - Cleo dokonała obliczeń w myślach - ...ośmiu miesięcy.
- Rozumiem. Impreza poprawiłaby ci humor - uznała Trish, jak zwykle pełna entuzjazmu. - Niewykluczone, że poznasz Pana Na Jakiś Czas. Żeby wypełnił ci okres oczekiwania na Pana Doskonałego.
- Pan Doskonały nie istnieje, ale dziękuję - odparła Cleo. - Dzwonię do ciebie dlatego, że chciałam ci zaproponować, żebyś przyjechała. Poszłybyśmy obejrzeć ośrodek spa, który został otwarty w starym domu Delaneyów. W gazecie było

ogłoszenie i nie mogę się doczekać, kiedy go zobaczę, bo mogłabym skorzystać z pomysłów na gabinet odnowy biologicznej, który chciałabym otworzyć u nas. Nie chcę iść z nikim z rodziny: znowu by powiedzieli, że mam jakieś idiotyczne pomysły.

- Nie mogę przyjechać do Carrickwell - powiedziała Trish przepraszająco - bo wiesz, jest ta impreza. A co z Eileen? - Eileen należała do ich trzyosobowej szkolnej paczki i pracowała jako pielęgniarka w miejscowym szpitalu.

- W sobotę ma dyżur. Będę musiała pójść sama.

- Zrobisz sobie wszystkie zabiegi?

- Pełny masaż ciała w wykonaniu tego holistycznego eksperta sprowadzonego z Australii. On jest po prostu piękny. Nurek, surfer, brzuch jak sześcioopak, a może ośmiopak?...

Trish bardzo się to spodobało.

- Ty krowo... Błagam, nie idź w ten weekend. Poczekaj, aż będę mogła przyjechać.

- Akurat!

- Suka.

- Idiotka. Skąd mam wiedzieć, jaki tam jest personel?

- No, jeśli się okaże, że faktycznie jest tam przystojniak z Australii, zadzwoń i natychmiast się zjawię - powiedziała Trish. - Znając moje szczęście, na tej imprezie będą głównie typy z kategorii „OK, jeśli jesteś naprawdę zdesperowana”.

- Myślałam, że wyłącznie takich facetów zapraszasz na swoje imprezy - zauważyła niewinnie Cleo.

- Poczekaj, a zobaczysz. Jak kiedyś znajdę prawdziwego nurka i surfera z Australii z posągowym ciałem, to będzie ci przykro.

- Wcale nie. Zapytam go o numer telefonu do jego brata - odparła Cleo. - Nigdy nie trać nadziei, oto moje motto.

Dysponując ograniczonymi funduszami, Cleo pomyślała, że w spa zamówi coś niezbyt drogiego, na przykład manikiur, potem jednak wpadła na lepszy pomysł: po prostu wpadnie tam po południu, żeby się rozejrzeć i zabrać foldery.

Pożyczyła od matki starego rozklekotanego austina. Samochód służył rodzinie od piętnastu lat, a wciąż unosił się w nim lekki zapach owczarków, które hodował poprzedni właściciel. Ruszyła wyboistą drogą prowadzącą do Wzgórza Obłoku. Kiedy zaparkowała przed ośrodkiem, natychmiast ogarnął ją głęboki niepokój. Zdjęcie w miejscowej gazecie nie oddało sprawiedliwości temu miejscu.

Bez góry pieniędzy Willow nigdy nie zdoła konkurować z tym ośrodkiem. Dom był elegancki, pięknie odrestaurowany i emanował powściągliwym luksusem. Śliczne ogrody, w których pojawiły się już wiosenne pączki, były wcieleniem doskonałości. Nawet wielkie kamienne donice ze stefanotistem przy masywnych frontowych drzwiach wyglądały dobrze: kamień był stary, ale nie na tyle, by sprawiać wrażenie, że rozpadnie się na kawałki przy pierwszym przymrozku. Donice przed wejściem do Willow chyliły się ku ziemi i kruszyły - Cleo była pewna, że każda firma ubezpieczeniowa uznałaby je za element ryzykowny. Kiedy weszła do przestronnej recepcji, westchnęła z zachwytu i zazdrości. Zupełnie jakby wkroczyła do pięknego i zarazem przytulnego domu. Podłogę wyłożono wielkimi kremowymi kafelkami, wszędzie stały wygodne niskie kanapy, jedną ścianę zajmowały regały z książkami, na przeciwległej pysznił się wielki otwarty kominek i wisiały akwarele o tematyce kwiatowej. Panowała tu miła, ciepła atmosfera bez cienia wystawnej pretensjonalności. Pieniądze wydano z głową, a Cleo, przyglądając się wnętrzu okiem hotelarza, dostrzegała, jak zrecznie wszystko zrobiono.

Serce jeszcze bardziej się jej ścisnęło, kiedy zobaczyła recepcjonistkę. Piękna dziewczyna o orientalnej urodzie i porcelanowej cerze, ubrana w uniform barwy oliwkowej zieleni - koloru dominującego w ośrodku - powitała Cleo ciepłym uśmiechem. Uśmiechem!

Cleo pomyślała o naburmuszonej Tamarze w recepcji w Willow. Tamara nie była w stanie zmusić się do uśmiechu, chyba że cała obsada Ocean's Twelve przyjechałaby na orgię i brakowałoby im jednej partnerki.

- Czym mogę pani służyć? - zapytała recepcjonistka. Serdeczność przepelniała każdą sylabę wypowiedzianą z lekkim obcym akcentem.

- Chciałam wziąć parę folderów - oznajmiła Cleo stanowczo. Jest tutaj, więc równie dobrze może zrobić to, po co przyszła. To miejsce należało do zupełnie innej ligi niż Willow, ale czegoś może się nauczyć.

- Tyle ludzi przyszło dzisiaj z powodu tego ogłoszenia w gazecie, że zabrakło nam folderów - odparła recepcjonistka z radosnym zaskoczeniem. - Zadzwoń, żeby przyniesiono folder dla pani.

- To miejsce jest cudowne - powiedziała Cleo w rewanżu za tak przyjacielskie potraktowanie. - Nie miałam pojęcia, że będzie tu tak luksusowo. I pani uniform też jest śliczny. Zresztą pani nawet w worku wyglądałaby rewelacyjnie - dodała szczerze.

- Naprawdę tak pani myśli? Moim zdaniem w tym kolorze nie jest mi do twarzy - odparła dziewczyna swoją staranną angielszczyzną. - A pani myśli, że jest mi dobrze?

- Bardzo dobrze - stwierdziła Cleo z entuzjazmem. - Ale pani jest piękna. Niech pani tylko na siebie popatrzy! Jestem pewna, że połowa klientek będzie przychodziła tu na zabiegi w nadziei, że po nich będzie wyglądać jak pani.

- Nie - zaprotestowała dziewczyna, zalewając się rumieńcem barwy peonii. - Moja siostra jest ładna, ja nie. Pani ma śliczne włosy. Bardzo mi się podobają te loki.

- To przekleństwo mojego życia - westchnęła Cleo. - Zabiłabym za proste włosy jak u pani. - A potem się roześmiała, bo nigdy do głowy by jej nie przyszło, że ktoś tak piękny jak stojąca przed nią dziewczyna może mieć w sobie choć gram - samokrytycyzmu. A ona miała. - Kobiety! Jesteśmy dziwne, prawda? Każda uważa, że jest brzydka jak noc.

- Mam nadzieję, że żadna z was tak o sobie nie myśli - powiedziała cicho kobieta, która wyszła z biura za recepcją ze stosem folderów w ręce.

- Dziękuję, pani Meyer - odparła piękność.

Pani Meyer wręczyła folder Cleo, która miała wrażenie, że na jej czole nagle pojawił się napis „oszustka”.

- Dzień dobry, jestem Leah Meyer.

- Cleo Malin. - Cleo wyciągnęła do niej rękę. - Wpadłam, żeby się rozejrzeć.

Trudno byłoby kłamać przyjacielskim oczom Leah Meyer. Wysoka i szczupła, miała w sobie coś królewskiego, a równocześnie należała do osób, którym można powiedzieć wszystko, zamiast coś przed nimi ukrywać.

- I co pani sądzi?

- To, co widziałam, jest fantastyczne.

- Mogę panią oprowadzić, jeśli pani chce - zaproponowała Leah. - Co panią interesuje? Mamy mnóstwo różnych zabiegów, ale przez pierwszy miesiąc oferujemy wstępny pakiet relaksacyjno-rewitalizujący.

Cleo jej własna historyjka wydała się jeszcze bardziej naciągana, więc zaczęła improwizować:

- Moja rodzina ma hotel w mieście i chciałam na własne oczy zobaczyć, jak tu jest, bo dzięki temu mogłabym polecać pani ośrodek naszym gościom.

- Partnerstwo - powiedziała Leah ciepło. - W takim razie proponuję darmowy zabieg, żeby się pani przekonała, co tu robimy.

- Nie, dziękuję - odparła Cleo zakłopotana. - Naprawdę, nie powinnam przyjmować takiej oferty.

- Może pani i przyjmie. Yazmin, mogę zająrzeć do księgi wizyt?

Leah pośpiesznie przekartkowała gruby terminarz.

- Półgodzinny hinduski masaż głowy? - zasugerowała. - A potem gorąca kąpiel? Dziesięć minut w wannie sprawia, że znowu czuję się człowiekiem, niezależnie od tego, co działo się w ciągu dnia, i lubię towarzystwo.

Odmowa wydawała się grubiaństwem.

Cleo pierwsze dziesięć minut masażu spędziła na zamartwianiu się, że okłamała Leah. Potem poddała się uczuciu wszechogarniającej rozkoszy, które polegało na tym, że mogła o niczym nie myśleć. Ani o hotelu i rodzinnych kłopotach finansowych, ani o braku mężczyzn w swoim życiu - po prostu o niczym.

- Nie wierzę, że wcześniej tego nie spróbowałam - oznajmiła trzy kwadransy później, kiedy ubrana w pożyczony strój kąpielowy i kremowy szlafrok szła za Leah kolejnym subtelnie oświetlonym korytarzem. W głowie jej się kręciło, tak czuła się zrelaksowana. - To znaczy - poprawiła się zaraz - mogę uwierzyć, dlaczego wcześniej tego nie spróbowałam. Nigdy nie robiłam sobie nawet jednej czwartej zabiegów, które tu macie.

- Będziemy musiały to zmienić - powiedziała Leah, wprowadzając ją do pokoju, z którego rozciągał się niesamowity widok na jezioro i leżące w dole Carrickwell. Większość miejsca zajmował ogromny basen z podgrzewaną wodą. Okna dawały się odchylić, przez co można było siedzieć w gorącej kąpielni na świeżym powietrzu.

- Fiu, fiu - tylko tyle Cleo zdołała z siebie wykrztusić.

- Całkiem ładne fiu - uśmiechnęła się Leah. - Cokolwiek ekstrawaganckie, ale niezbędne. Gorąca kąpiel jest ważnym elementem procesu wyciszenia. Musisz o siebie zadbać, Cleo. Jesteś bezcenna. Nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo jesteś spięta, dopóki nie zwolnisz tempa. - Zsunęła z ramion płaszcz i weszła do basenu. Jej szczupłe, posmarowane oliwką ramiona sprawiły, że przez porównanie Cleo poczuła się bardziej niż zwykle jak dzikuska.

Śladem Leah pośpiesznie zanurzyła się w gorącej wodzie. " - Cudownie - mruknęła, gdy nad powierzchnią pozostała jej tylko głowa.

Przez chwilę leżały w przyjacielskim milczeniu. Cleo myślała, jak to miło milczeć w czyimś towarzystwie. Gdyby była tu Trish, usta by jej się nie zamykały:

paplałyby o wspaniałej ochrowej mozaice, o widoku z okna albo pytałyby, gdzie w Ameryce mieszkała Leah, bo jej akcent jest taki śpiewny i miękki. Cleo jednak uznała, że Leah wcale tego nie potrzebuje - leżała z zamkniętymi oczami i lekkim uśmiechem.

- Opowiedz mi o waszym hotelu - powiedziała wreszcie.

I Cleo opowiedziała jej - prawdziwą wersję. Jak bardzo kocha swój dom, ale martwi się, że jeśli nie stanie się coś nieoczekiwanego, Willow zbankrutuje. Leah okazała zainteresowanie, zadawała pytania we właściwych momentach i nie skrzywiła się nawet, kiedy Cleo nabrała głęboko powietrza i przyznała, że wcale nie przyszła do ośrodka, żeby się przekonać, czy będzie mogła polecać go gościom.

- Nienawidzę kłamać - podkreśliła - i nie miałam zamiaru pani oszukiwać, kiedy powiedziałam, że chciałam się tylko przekonać, czy będę mogła przysyłać tu naszych gości.

- Nie oszukałaś. Sprawdzałaś konkurencję, co oznacza, że masz głowę do interesów.

- Więc nie jest pani zła?

- Chętnie bym cię zatrudniła. Przydałaby się nam taka sprytna osóbką jak ty. Cleo poczuła dziwną radość.

- Dzięki, ale mam obowiązki w Willow.

- Rozumiem - odparła Leah. - Rodzina jest najważniejsza. Cleo pokiwała głową.

- Nie wszyscy to rozumiem - powiedziała.

- Co zrobisz, jeśli hotel zostanie zamknięty? Pytanie poruszyło Cleo.

- Nie wiem - odrzekła wolno. - To byłoby straszne, bo nie tylko stracilibyśmy dom, ale nieodwołalnie przeszedłby w ręce obcych. Okropne. - Zadrzała, choć woda była ciepła.

- Ale poradzilibyście sobie jakoś, prawda?

Cleo pomyślała o swoich najbliższych, o wielu chudych latach, których nie oszczędził im los. Tyle osób było nieszczęśliwych we własnych rodzinach. Rodzina Trish na przykład zasługiwała na własne reality show: mogliby się wtedy wściekać i jeszcze dostaliby za to pieniądze. W porównaniu z nimi Malinowie kłócili się jak bohaterowie familijnego serialu o Waltonach.

- Poradzilibyśmy - potwierdziła. - Zawsze sobie radzimy. Godzinę później wracała do domu, wyczerpana, choć intelektualnie odświeżona. Tej nocy w snach nie nawiedzały jej widma konkurencyjnych hoteli. Leah miała rację, mówiąc o odświeżeniu ciała i umysłu. Jeśli brakuje im środków na wybudowanie własnego gabinetu odnowy biologicznej w Willow, to przecież mogą się połączyć ze Wzgórzem Obłoku. To byłby sprytny plan.

Następnego dnia Cleo nie mogła się powstrzymać od opowiedzenia rodzinie o Leah Meyer. Barney wpadł do hotelu w drodze na piłkę nożną, tak więc on, Cleo i rodzice mieli rzadką okazję posiedzieć razem w kuchni.

- Jest piękna jak postać z filmu, bardzo łagodna i spokojna. A gdybyś zobaczyła ten ośrodek, mamó. To jak świątynia relaksu. Bajeczna - mówiła, czując smutek, że musi przekazać im takie wieści.

- Cleo, przestań się torturować. To moja robota! - zażartował Barney. Cała czwórka wybuchnęła śmiechem.

Cleo pomyślała czule, że Barney o wiele bardziej przypomina brata, z którym się wychowała, kiedy Sondry nie ma w pobliżu. Musi być dla niego miłsza. Była głupia, pozwalając, żeby wrogość Sondry zepsuła jej stosunki z bratem.

- Ośrodek doskonały, elegancki - dodała. - Nie wiem, jak możemy z nim konkurować.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał ojciec lekko. - Że powinniśmy sprzedać hotel i wyemigrować stąd, bo nie przypominamy Wzgórza Obłoku?

- Tato - jęknęła Cleo. - Nie w tym rzecz. Oni świadczą inne usługi niż my. Oferty naszego hotelu i ich ośrodka adresowane są do zupełnie innych segmentów rynku.

- Niemal sama w to wierzyła. W gruncie rzeczy to miało sens.

W poniedziałek rano Cleo pojechała do banku z czekami i gotówką z całego weekendu i wróciła do domu o jedenastej.

Mama, drobna i schludna w czarnych dżinsach i miękkim swetrze z angory, siedziała w kuchni, rozdzielając pocztę na staranne stosy.

- Cleo, kochanie, mogłabyś nastawić wodę? Ojciec ma gościa w biurze, a ja nie chcę posyłać tam Douga z herbatą, bo może coś podsłuchać.

Cleo porzuciła myśl o wypiciu filiżanki kawy, pośpiesznie ustawiając na srebrnej tacy serwis do herbaty i zastanawiając się, kim też jest ten tajemniczy gość.

- Nie bierz tego imbryka - powiedziała matka. - Zaczyna przeciekać. I nie zapomnij o dobrych łyżeczkach. I och, potrzebne są cztery filiżanki, nie dwie - dodała.

- Cztery?

- Dla Barneya i Jasona.

Cleo postawiła na tacy dwie dodatkowe filiżanki.

- Chłopcy są tam z tatą? A z kim się spotykają? - zapytała. Jason i Barney mieli bardzo mało wspólnego z Willow.

- Och, z księgowym, panem Stavi.

Cleo poczuła, jak ogarnia ją znajomy gniew, ale dołożyła starań, by go stłumić.

- Dlaczego tatuś mnie też nie poprosił? - zapytała drżącym głosem. - Mówiłam mu, że chcę porozmawiać z panem Stavi.

- Ojciec potrafi sam to załatwić - odparła krótko i spokojnie Sheila. Cleo z trzaskiem rzuciła łyżeczki na tacę.

Ojciec uśmiechnął się, kiedy weszła do biura, i mimowolnie odpowiedziała mu tym samym. Dżentelmen w każdym calu, wstał i wziął tacę od córki. Cleo poczuła niepokój na widok jego zmęczonej twarzy.

- Dziękuję, kochanie - powiedział Harry - ale dzisiaj rano pan Stavi nie ma czasu na herbatę. Musi już iść.

Księgowy już pośpiesznie zbierał dokumenty.

- Niestety, mam następne spotkanie - oznajmił, unikając wzroku Cleo. Barney i Jason z rozkoszą rzucili się na ciasteczka domowej roboty. Można by przysiąc, że w życiu nic nie jedli, pomyślała Cleo z przekąsem. Stavi uściśnęła dłoń Harry'emu Malinowi i ruszył ku drzwiom. Cleo przytrzymała je otwarte, patrząc mu prosto w oczy.

- Wszystko w porządku, panie Stavi? - zapytała lekko.

Księgowy spojrzał na nią ze smutkiem. Pomimo trzydziestu lat spędzonych w branży nie posiadał umiejętności ukrywania złych wiadomości. Miał je wypisane na twarzy.

- Czasy są trudne - powiedział łagodnie i wymijająco. - Muszę iść. Do widzenia.

- Idzie gdzie indziej przekazywać żałobne wieści - odezwał się Barney z pełnymi ustami, kiedy Stavi wyszedł. - Księgowi wszyscy są tacy sami: zawsze mówią o nieszczęściu, nigdy nie przynoszą dobrych nowin. Można by przysiąc, że ten hotel jutro zbankrutuje. - Połknął kolejny herbatnik, dopił herbatę, uśmiechnął się na pożegnanie i już go nie było. Cały Barney, pomyślała jego siostra, innymi słowy: Speedy Gonzales. Barney zarabiał na życie, sprzedając samochody, i twierdził, że współcześni ludzie lubią we wszystkim szybkie tempo. Cleo się z nim nie zgadzała. Musi być czas na odpoczynek i luz, to właśnie wszyscy lubili w hotelach: iluzję spokoju, nawet jeśli pod schodami personel uwijał się jak w ukropie.

Cleo poczuła na ramieniu dłoń ojca.

- Wszystko będzie dobrze, kotku - powiedział. - Poradzimy sobie z tym, zawsze sobie radzimy. - I posłał córce tłśmiech, który ogarnął całą jego twarz Cleo odziedziczyła go po nim.

Cleo skoczyła na pełną wodę.

- To nie wystarczy, tatusiu. Nie poradzimy sobie, jeśli tylko będziemy liczyć i modlić się o cud. Musimy ulepszyć hotel, pożyczyć pieniądze z banku, znaleźć kogoś, kto u nas zainwestuje, coś zrobić. W przeciwnym razie będziemy musieli zamknąć Willow. Nie widzisz tego?

Jason uprzedził ojca.

- Cleo, natychmiast przestań, słyszysz? Mamy po dziurki w nosie twojego narzekania i wytykania nam, że coś robimy źle. Powinnaś była pojechać do Donegal i zostawić nas w spokoju. Jak sądzisz, dlaczego ja i Barney bierzemy udział w naradach, a ty nie? Bo doprowadzasz nas do szaleństwa swoimi pytaniami. Wszystko jest w porządku. Denerwujesz mamę, mówiąc inaczej. Daj temu spokój!

- Nie dam - odparła Cleo zapalczywie, wzorem brata przyjmując ton uczniowskich kłótni.

- Cleo, Jason ma rację. Daj temu spokój - wtrącił ojciec ostro. - Na wszystko jest odpowiedni czas i pora. Ta chwila nie jest odpowiednia. Mam swoje plany.

- Więc mi o nich opowiedz. - Cleo czuła, jak twarz jej płonie z frustracji. - Przecież też jestem członkiem tej rodziny, prawda? Nie jestem godna wiedzieć, co się dzieje? W college'u byłam najlepsza na roku, a to chyba coś znaczy.

- Kilka lat w college'u nie czyni cię Billem Gatesem - warknął Jason. - Nie jesteś wszechwiedząca, Cleo.

- Nie będę więcej o tym mówił - oznajmił stanowczo Harry. Takim samym głosem w przeszłości nakazywał: „Idź do swojego pokoju, Cleo”, kiedy pokłóciła się z braćmi. - Wiem, że uważasz się za jedyną osobę w tym domu z doświadczeniem w branży hotelarskiej, ale jesteś w błędzie. Zostaw hotel mnie.

W poniedziałek Trish zadzwoniła do Cleo, żeby opowiedzieć jej o imprezie, mężczyznach i o tym, jak długo nazajutrz musieli sprzątać mieszkanie. Wciąż niewyspana, ponieważ goście rozeszli się dopiero o czwartej rano w niedzielę, ziewając, mówiła, że nie poznała żadnego interesującego faceta, za to znalazła bratnią duszę, dziewczynę imieniem Carol, która tak samo jak ona miała bzika na punkcie tańca. Obie przez całą noc szalały po salonie, w którym meble odsunięto pod ścianę. Carol bardzo się podobały wszystkie ulubione piosenki Trish, a ponieważ wpadła w oko didżejowi, grał wyłącznie utwory, o które prosiła.

- Polubiłabyś ją, jest fantastyczna - mówiła Trish. - Ta dziewczyna potrafi tańczyć... ho, ho. I lubi tę samą muzykę co ja. Zastanawia się nad wyjazdem do pracy na rok do Australii, jest fizjoterapeutką, i pytała, czy chciałabym pojechać z nią.

Cleo poczuła się wykluczona. Z Trish robiły wszystko razem, odkąd niemal osiemnaście lat temu spotkały się w klasie panny Minton. Nie planowała podróży, dopóki nie rozwiąże problemów w domu, ale liczyła, że kiedy przyjdzie jej na to ochota, Trish z chęcią będzie jej towarzyszyć.

- Ona wie wszystko o pozwoleniach na pracę i takich tam - ciągnęła Trish, nieświadoma efektu swoich słów. - Och, Cleo, ona jest najlepsza. Na pierwszy rzut oka wydaje się cicha jak myszka, ale nie, ma szalone pomysły.

- Skąd wzięła się na imprezie? - zapytała Cleo, czując się jak ciotka - stara panna, która wypytuje o pozycję społeczną wielbiciela młodej siostrzenicy.

- Znasz Pata, przyjaciela Sammyego? Ona jest najlepszą przyjaciółką jego siostry. Miały iść razem na koncert, ale ta siostra zachorowała i Pat jej zaproponował, żeby poszła z nim na imprezę. Wydaje mi się, że Carol jemu też się podoba - wyjaśniła Trish.

- Naprawdę?

Pat funkcjonował na peryferiach dublińskiego kręgu przyjaciół Trish, obie z Cleo już dawno uznały go za atrakcyjnego faceta. Rzecz w tym, że nigdy nawet nie spojrział na żadną z nich. Wszyscy doskonale wiedzieli, że umawia się z modelkami, a to znaczyło, że Carol jest materiałem na modelkę.

Telefon Trish zapikał, sygnalizując inną rozmowę.

- Dzwoni Carol - powiedziała Trish. - Idziemy dzisiaj na festiwal komedii. Ty chyba nie możesz przyjechać?

- Przykro mi, ale nie - odparła Cleo oschle.

- Muszę kończyć. Zadzwoń do ciebie jutro. Cześć.

Po części dlatego, że czuła się samotna jak palec, po części zaś dlatego, że była zdenerwowana kłótnią z ojcem, Cleo zgodziła się, kiedy godzinę później zadzwonił Nat Sheridan i zaprosił ją na weekend do Galway na sześćdziesiąte urodziny swojej matki. Przyjęcie odbywało się w rodzinnym hotelu o nazwie Railway Lodge, którego prowadzenie miał przejąć Nat. Zwykle Nat kontaktował się za pomocą esemesów, kiedy więc dzwonił, Cleo od razu wiedziała, że sprawa jest poważna. Doszła do wniosku, że esemesy są idealnym wyjściem dla osób nieśmiałych oraz takich, które boją się zaangażować. Możesz utrzymywać łączność ze światem bez konieczności odzywania się do ludzi.

- Pomyślałem, że byłoby miło, gdybyś przyjechała... jako przyjaciółka - wyjąkał Nat. - Tylko jako przyjaciółka. I oczywiście pod warunkiem, że masz na to ochotę. Ale byłoby miło. Wiem, że już późno. Nie chciałem sprawiać ci kłopotu.

Myślałem, że masz coś innego do roboty...

Rozmowy z Natem zawsze przebiegały w taki sposób: do sedna dochodził szalenie określną drogą. Nat przyjaźnił się z Cleo od pierwszego dnia w collegeu i przyjaźni tej nie zaszkodziło nawet to, że kiedy Nat chciał się umówić z Cleo na randkę, odmówiła i powiedziała, że będzie lepiej, jak zostaną przyjaciółmi.

Nat wciąż miał nadzieję, a Cleo dokładała starań, by w żaden sposób go nie zachęcać.

Nie chodziło o to, że jest nieatrakcyjny. Wręcz przeciwnie: miał ruchliwą, inteligentną twarz, miłe oczy, które czasami spoglądały żałośnie, i szczupłe wysportowane ciało, ponieważ jego pasją było bieganie. Po prostu nie był w typie Cleo.

- On jest... za bardzo sympatyczny? - powiedziała kiedyś w rozmowie z Trish. - Czy facet może być za bardzo sympatyczny?

- Ja takich nie spotykam - burknęła Trish. Zgodziła się jednak, że jest coś niesamowicie pocziwego w Nacie Sheridanie, a dla kobiet, które czekają, żeby w głowie zawrócił im przystojny drań, pocziwość jest dziwnie niepociągającą cechą.

- Chciałbym ci pokazać nasz hotel - dodał Nat. - A przyjęcie zapowiada się na świetną zabawę.

- Jasne, chętnie przyjadę - odparła Cleo, myśląc o swoim nieistniejącym życiu towarzyskim. A poza tym wyrwie się na kilka dni. Od kłótni z ojcem w domu wiało lodowatym chłodem. Cleo nigdy, przenigdy nie kłóciła się z tatą, tym bardziej więc było to straszne i dziwne.

W sobotę rano Cleo wsiadła do samochodu matki. W Railway Lodge interesy szły dobrze, hotel bowiem położony był w pięknym Oranmore niedaleko Galway. W ten weekend jednak zapełniali go krewni Nata i przyjaciele rodziny, którzy zebrali się, żeby uczcić sześćdziesiąte urodziny jego matki. Wykorzystano każdy pokój, a dwie kuzynki Nata musiały spać w izdebce na strychu, która od lat nie widziała odkurzacza.

Kiedy Cleo stwierdziła, że dostała obszerny pokój z podwójnym łóżkiem zarzuconym poduszkami, a na stoliku pod oknem znalazła wielką bombonierkę, wiedziała, że ma kłopoty. Co prawda Nat się zarzekał, że kieruje nim wyłącznie przyjaźń, ale to musiała być jedna z najlepszych sypialni w hotelu. Dla kogoś, kto nie ma pojęcia o hotelarstwie, nic to by nie znaczyła. Ale Cleo jako profesjonalistka doskonale rozumiała język sypialni i orientowała się, że w ten sposób Nat przesyła jej romantyczną wiadomość.

Wbrew jej życzeniom na lunch do Galway pojechali we dwoje. Nat zapytał, co Cleo sądzi o Railway Lodge. W rzeczywistości do szczęścia wystarczało mu to, że siedzi obok niej w barze z widokiem na Eyre Square i uśmiecha się do niej niemądrze.

- Są jakieś nowe wiadomości o planach sieci Roth? - zapytała wreszcie Cleo, mając już dość długich chwil milczenia. Ludzie z Roth Hotels mogli zniszczyć Willow, gdyby pojawili się jako konkurencja w Carrickwell. Wielkie złote „R”, logo sieci, straszło ją w wielu koszmarach sennych.

Nat pokręcił głową.

- Niewykluczone, że gazeta się pomyliła. Korporacja może wcale nie ma takich zamiarów. W końcu ich hotele są na całym świecie. Z jakich powodów mieliby się interesować naszym krajem?

- Bo Europa się otwiera, a w Irlandii jest mnóstwo nowych możliwości -odparła Cleo z irytacją. Naprawdę, Nat nie miał za grosz wycucia biznesowego.

- Nie buduje się multimiliardowego imperium bez zdobywania nowych terytoriów, Nat.

- Masz rację, Cleo. - Nat sprawiał wrażenie dostatecznie skruszonego. - Masz świetne pomysły, powinnaś wykładać w collegeu. Nie, powinnaś prowadzić własny hotel - poprawił się z uśmiechem.

Cleo nie odwzajemniła tego uśmiechu. Wiele razy rozmawiała z Natem o poglądzie swoich bliskich na temat oddania hotelu w ręce zadziornej dwudziestotrzylatki z mnóstwem nowych pomysłów i nie chciała, by po raz kolejny jej przypominano, że trwają w swym przekonaniu.

- Mogłabyś kompletnie zmienić nasz, to znaczy Railway Lodge. - W psich oczach Nata błyszczało przywiązanie pomieszane z podnieceniem.

Cleo wiedziała, że Nat podaje jej siebie i swój hotel na tacy. Ona mogłaby mieć swoje imperium, gdzie nikt by jej nie mówił, że czegoś nie może robić, a on miałby ją. Biedny Nat. Bardzo było jej go żal.

- Nie rozmawiajmy teraz o tym - oznajmiła rzeczowo. Zdawała sobie sprawę, że atmosfera na przyjęciu urodzinowym pani Sheridan nie będzie taka, na jaką liczyła jubilatka, jeśli Nat wpadnie w rozpacz z powodu złamanego serca. Zdaniem Cleo lepiej będzie, jeśli tę trudną dyskusję przeprowadzą po przyjęciu.

- Do dzieła, Nat. Mówiłeś, że nie kupiłeś jeszcze prezentu dla mamy. Powinniśmy iść na zakupy, nie mamy wiele czasu.

Kiedy wrócili do hotelu ze srebrną ramką na zdjęcie, goście wciąż przybywali. Nat został w recepcji, podczas gdy jego matka poszła do biura napić się herbaty

- Chodź ze mną, Cleo, dotrzyмай mi towarzystwa - powiedziała. - Musisz pilnować, żebym nie zbliżała się do ciastek z kremem, w przeciwnym razie wieczorem nie zmieszczę się w suknię.

Z panią Sheridan, która odznaczała się poczuciem humoru i bezpośredniością, rozmawiało się przyjemnie. Railway Lodge wymagał trzykrotnie większych inwestycji niż Willow, ale plusem było to, że matka Nata doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

- Bardzo bym się cieszyła, gdyby ktoś chciał kupić nasz hotel - wyznała, nalewając herbaty do filiżanek.

- Naprawdę? - zapytała Cleo. - Moi rodzice nie dopuszczają takiej możliwości.

- Oni sami stworzyli swój hotel - odparła pani Sheridan rozsądnie. - Ja za nasz wyszłam za męża. Jak mawiała stara ciotka mojej matki, do ołtarza poszłam z bukietem, a od ołtarza wracałam z hotelem. - Rozejrzała się po ciasnym biurze z poszarzałymi ze starości szafkami na dokumenty i czarno-białymi fotografiami na ścianach, przedstawiającymi Railway Lodge w dawnej chwale. -Przypuszczam, że dlatego nie jestem tak emocjonalnie zaangażowana. Gdybym nie próbowała zachować hotelu dla Nata, już wiele lat temu by mnie tu nie było. Hotel to sposób życia, Cleo, i musisz to kochać, bo dobry Bóg wie, że pieniędzy na tym nie zarobisz.

- Ja to kocham - stwierdziła Cleo z prostotą.

Pani Sheridan spojrzała przenikliwie na swojego gościa.

- Kochasz, prawda. Podobnie jak Nat. On bardzo cię lubi, Cleo, wiesz o tym. Nie sądzę, że... Nie.

Wyraz twarzy Cleo nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości, że odpowiedź istotnie brzmi: „Nie”.

- Bardzo się cieszył na twój przyjazd.

Podwójna tortura w jeden dzień. Cleo wiedziała, że to nie jest pora na owijanie w bawełnę.

- Jestem szalenie przywiązana do Nata, ale nie w taki sposób. I nigdy go nie zwodziłam.

- Nawet przez myśl mi to nie przeszło - odparła pani Sheridan. - Widzę, że nie należysz do tego rodzaju dziewcząt. Ale byłabyś dla niego wspaniałą partnerką. Cleo pokręciła głową.

- Nieprawda. Nat zasługuje na kogoś, kto odwzajemni jego miłość. A ja próbowałabym go zmienić.

- Nawa, ołtarz, hymn - westchnęła pani Sheridan. - Wiele małżeństw rozbija się o tę skałę. Nie trzymaj go długo w niepewności, dobrze?

Tort, na którym płonęło tylko dwadzieścia jeden świeczek - pani Sheridan powiedziała, że nie chce, żeby podczas zdmuchiwania zaalarmowano straż pożarną - został podzielony i przyjęcie trwało w najlepsze, kiedy Cleo miała wreszcie okazję porozmawiać z Natem.

- Zatańczysz? - zapytał, wyciągając ku niej dłoń ze staroświecką kurtuazją. Zespół grał Glenna Millera. Cleo lubiła ten rodzaj muzyki, choć nigdy przy niej nie tańczyła. Walc nie był jej mocną stroną.

- Ciągłe chcesz prowadzić, musisz przestać to robić - mawiał ojciec, kiedy oboje wchodzili na parkiet. - Prowadzi mężczyzna.

Kto tak ustalił? - myślała za każdym razem Cleo.

- Zgoda, ale ten rodzaj tańca niezbyt dobrze mi wychodzi - ostrzegła Nata, podając mu rękę.

Klan Sheridanów doskonale się bawił, choć nie wszystkie pary nazbyt udatnie wirowały do wtóru In the Mood. Wszyscy byli szczęśliwi, a zwłaszcza Nat.

- Ślicznie dzisiaj wyglądasz - powiedział, kiedy trzymając się za rękę, też próbowali się pokręcić.

Cleo wybrała fryzurę, w której było jej bardzo dobrze: upięła włosy w luźny węzeł, a kilka kasztanowych loków puściła wolno, żeby okalały jej twarz. Postarała się i włożyła suknię, którą kupiła na ubiegłoroczne bożonarodzeniowe przyjęcie w Willow. Uszyta z zielonego szyfonu, miała krótkie wąskie rękawy i powłóczystą spódnicę, kołyszącą się wokół kostek przy każdym ruchu. Suknia była delikatna i tak też Cleo się w niej czuła.

- Och, Nat, nie musisz prawić mi komplementów - rzuciła lekkim tonem.

- Muszę - odparł poważnie.

Rytm muzyki zwolnił, gdy zespół zaczął grać nastrojową Serenadę księżycową: piosenkę wręcz stworzoną dla kochanków Nat był za bardzo nieśmiały, żeby przytulić mocno Cleo, choć zbliżył się nieco i położył dłoń na jej talii. Serce jej się ścisnęło.

To była piękna piosenka i cudownie byłoby poruszać się do jej taktu z równie pięknym mężczyzną. Cleo zamknęła oczy i przez chwilę o tym marzyła.

Kiedy je otworzyła, twarz Nata była tak blisko jej twarzy, że niemal jej dotykała.

Cleo instynktownie się cofnęła i patrzyła, jak jego rysy zalewa rozczarowanie.

- Nat, musimy porozmawiać - oznajmiła, wyprowadzając go z sali na pusty korytarz.

Z nieszczęśliwą miną oparł się o ścianę. Cleo wzięła głęboki oddech.

- Kocham cię, ale nie w taki sposób - zaczęła i to była jedna z najtrudniejszych rzeczy, jakie w życiu zrobiła. Nat patrzył na nią niespokojnie, ale musiała powiedzieć mu prawdę, całą prawdę. Zachowałaby się nie w porządku, gdyby między nimi pozostały jakieś niedomówienia. - Jesteś moim przyjacielem i tylko przyjaźni od ciebie oczekuję. Nie możesz myśleć, że kiedykolwiek to się zmieni, bo się nie zmieni. Bardzo, bardzo mi przykro. - Ujęła jego dłonie. Z sali dobiegały stłumione dźwięki muzyki i śmiechy.

Cleo wpadła do głowy irracjonalna myśl: gdyby należał do mężczyzn, w których mogłaby się zakochać, nie pozwoliłby jej na to pocieszanie, kiedy dopiero co go odrzuciła. Wręcz przeciwnie: wyrwałby dłonie i odszedł, powiewając połami płaszcza.

Ale Nat nie należał do takich mężczyzn i dlatego nigdy by się w nim nie zakochała.

- Nie powinnam była tu przyjeżdżać - dodała. - W żadnym razie nie chciałam podsycać twoich nadziei.

- Łudziłem się, że spojrzysz na mnie innymi oczami, kiedy zobaczysz mnie w moim domu - powiedział. - Tutaj nie jestem taki nieśmiały jak w college'u. Mogę spełnić wszystkie twoje oczekiwania, Cleo. Mogę być energiczny i zajmować się firmą, możemy razem pracować i... - rozejrzał się niespokojnie. - Cleo, tworzymy dobry zespół. Kocham cię. To powinno wystarczyć.

- Nie wystarczy, Nat - odparła z desperacją. - Jedna zakochana osoba nie może stworzyć związku. Nie chcę, żebyś się zmieniał, i nie potrafię inaczej na ciebie patrzeć. Przyjaźnimy się, to wszystko. Nasza przyjaźń może być wspaniała, ale nigdy nie stanie się niczym więcej.

- Cieszę się, że jesteś wobec mnie szczerą - szepnął.

- Nat! - jęknęła Cleo. - Rozgniewaj się na mnie, zrób coś. Przestań być taki bierny!

- Dobrze. - Szarpnięciem uwolnił dłonie, a w jego oczach błysnęły łzy. - Idź stąd, Cleo. Nie dam sobie rady, jeśli tu będziesz. Wyjedź.

Chociaż pod jej powiekami także wezbrały łzy, jego gniew przyjęła niemal z ulgą.

- Przykro mi, nie miałam zamiaru cię skrzywdzić.

Nat nic nie powiedział. Nie musiał - jego oczy mówiły wszystko. Odwrócił się i odszedł korytarzem, zostawiając Cleo samą z okropnym poczuciem, że dopuściła się okrucieństwa.

Zycie jest niesprawiedliwe. Zależało jej na własnym hotelu, ale nie mogła go mieć, podczas gdy Nat pragnął wyłącznie jej i dawał jej szansę zrealizowania marzeń. Cleo jednak łaknęła namiętności, ognia i burzliwego związku z mężczyzną, który zabiłby każdego, kto krzywo by na nią spojrzał. Nie chciała Nata z jego błagalnymi oczami szczeniaka i ślepym przywiązaniem. Hotel niczego w jej uczuciach nie zmieniał.

W biurze zostawiła list do matki Nata z podziękowaniem za gościnę i wyjaśnieniem, że musi wyjechać. Nie wspomniała o tym, co zaszło między nią a Natem. Pani Sheridan sama się domyśli, a Nat zasługuje na to, żeby wyjaśnić jej to po swojemu.

Spakowała rzeczy, wygładziła pościel na łóżku, nie zostawiając zbyt wiele do roboty pokojówce, po czym wymknęła się na parking. Jazda powrotna zajmie jej co najmniej trzy godziny, ale dzisiaj wieczorem pragnęła ukojenia, jakie daje rodzinny dom.

W radiu kończyły się wieczorne wiadomości, kiedy zaparkowała samochód na tyłach Willow. Dobrze było być w domu, choć czuła się podle, nigdy w życiu tak się nie czuła. Nie można zmusić się do miłości, prawda? Ta myśl dręczyła ją przez całą podróż.

W sypialni przebrała się w nocną koszulę i sięgnęła po najlepszą pociechę, jaką знаła: powieści sióstr Rodriguez, które przed laty kupiła na kościelnej wyprzedaży.

Była to seria składająca się z pięciu powieści o trzech zadziornych siostrach: Odelicie, Gracieli i Beilorosie, żyjących w Hiszpanii w osiemnastym wieku. Ich romantyczne przygody budziły w Cleo dreszcz podniecenia, odkąd jako nastolatka po raz pierwszy przeczytała wszystkie tomy. Lektura przypominała jedzenie herbatników w łóżku, ale bez sypania okruszka - Trii: była cudowna i kojąca.

- Dlaczego czytasz ten chłam? - zapytała Trish, kiedy po raz pierwszy zobaczyła książki noszące ślady częstego używania książki. Sama była wielbicielką krwawych dreszczowców.

- Są interesujące, a ja lubię powieści historyczne - wyjaśniła Cleo z godnością. Trish złapała jedną, otworzyła na chybił trafił i przeczytała kilka akapitów. Otworzyła szeroko usta.

- Powieść historyczna, a niech mnie - roześmiała się z zachwytem. - To historyczne porno.

- To wcale nie jest porno - broniła się Cleo.

- „Rzucił miecz na podłogę i z szacunkiem położył twardą dłoń na jej staniku. Jedwabisty pączek jej piersi ożył pod jego dotykiem...” - przeczytała na głos Trish.

- No dobra, trochę w tym erotyki. To była romantyczna epoka, co wcale nie znaczy, że to od razu musi być porno. Nie jest obleśne, rozumiesz?

- Więc facet dotykający sutka kobiety to pornografia, jeśli rzecz ma miejsce w windzie w rzeźnickiej dzielnicy Manhattanu, a jeśli bohaterowie mają na sobie kostiumy z epoki, to już nie? - zachichotała Trish.

- Nie ma sensu ci tego wyjaśniać - powiedziała Cleo z gniewem, urażona sugestią, że w jej ulubionej historycznej sadze mogą być jakieś brudne elementy. Fakt, czasami ze staników zostawały strzępy, ale wszystko było w jak najlepszym guście. Bohaterowie nie wskakiwali do łóżka dla samej przyjemności - w tych książkach robili to ludzie, którzy się kochali. Ważna była moralność, przyzwoitość, honor. Wielka szkoda, że współczesny świat nie jest taki.

Cleo, zwinięta w kłębek na łóżku, zaczęła czytać pierwszą część serii: Podboje Gracieli.

Znajdowała jakieś ukojenie i zapomnienie w tej opowieści o czasach, kiedy mężczyźni byli mężczyznami, a kobiety to uwielbiały. Chociaż Cleo wpadała w okropne przygnębienie na myśl, że tacy prawdziwi mężczyźni dzisiaj już chyba nie istnieją.

Otworzyła książkę i zanurzyła się w świecie Gracieli, w którym niedługo miał się odbyć zaaranżowany z góry ślub ze stalowookim księciem, mimo że Graciela przysięgła, iż raczej umrze niż wyjdzie za niego.

Dopiero kiedy wyobraziła sobie, że jest na miejscu bohaterki, że na łóżku leży suknia ślubna, a jej namiętne serce wyrywa się ku innemu, Cleo zdołała wreszcie zapomnieć o nieszczęsnym Nacie.

Rozdział szósty

Mary wywiesiła na drzwiach tabliczkę z napisem „Przepraszamy, przyjęcie towaru”, zamknęła sklep na oba zamki i poszła do samochodu, w którym z włączonym silnikiem czekała na nią Daisy.

- Jaka jest szansa, że dzisiaj rano pojawi się dziesięć rozgorączkowanych klientek, które natychmiast muszą sprawić sobie coś nowego, i pocałują klamkę? - zapytała Mary, sadowiac się na siedzeniu pasażera.

- Nikt nie przyjdzie - roześmiała się Daisy. - We wtorki rano jest cicho jak w grobie. A nam potrzeba czasu na babskie odprężenie i integrację. - Wyjechała z parkingu i włączyła się do ruchu.

- Masz rację. - Mary przyjrzała się sobie uważnie w lusterku na zasłonie przeciwsłonecznej i skrzywiła się. - Nie wspominając o liftingu twarzy.

- Wątpię, żeby robili to w ośrodku spa - odparła Daisy wesoło. Była w cudownym nastroju. Odżywiła się zdrowo, zgodnie ze wskazówkami swojej najnowszej biblii zatytułowanej Podręcznik płodności współczesnej kobiety, i czuła, że cała promienieje oczekiwaniem na nagrodę: na dziecko, które wkrótce zacznie żyć pod jej sercem. Alex był ostatnio zręczliwy, ale w banku przeprowadzano audyt, a wtedy zawsze trochę się denerwował. Bez oporów pił poranny koktajl owocowy przygotowany przez Daisy, ona nie wspominała jednak, że oprócz jagód i jogurtu napitek zawiera zioła, które rewelacyjnie wpływają na męską płodność.

- Prawda. - Mary przeglądała folder Wzgórza Obłoku. Był przepięknie wydany: na oliwkowo-waniliowym papierze wypisano zabiegi i rodzaje masaży, zamieszczono zdjęcia ośrodka utrzymanego w tych samych kolorach oraz przesłanie właścicielki, które bardzo rozbawiło Mary. Leah Meyer napisała, że ma nadzieję, iż jej ośrodek zapewni „spokój, odpoczynek i wewnętrzne piękno”.

- Czy to ma znaczyć, że na zewnętrznym pięknie wcale tak bardzo im nie zależy? - zastanawiała się Mary. - Piękno wewnętrzne brzmi jak idea jakiejś supermodelki, która je wyłącznie właściwe potrawy, rano godzinami stoi na głowie i wygląda jak bogini. To tacy ludzie zawsze opowiadają o wewnętrznym pięknie. A niestety, niektórzy z nas potrzebują pomocy przy zewnętrznej powłoce.

- Wyglądasz wspaniale - stwierdziła Daisy lojalnie. - Jesteś piękną kobietą u szczytu możliwości seksualnych i szukasz nowego kochanka, najlepiej nowoczesnego młodego mężczyzny, który wie, jak podziwiać dojrzałą kobietę.

- Chciałabym - prychnęła Mary - Nie mam sił na szczyt możliwości seksualnych, a jedyjni młodzi faceci, których spotykam, pracują na stacjach

benzynowych i zupełnie mnie nie zauważają, za to pożądlivym wzrokiem obrzucają laleczki dwadzieścia lat ode mnie młodsze.

- Przestań. Kobieta słabej wiary nigdy nie zdobędzie miłego i przystojnego młodego partnera - upierała się Daisy.

- A poza tym wcale nie chcę faceta. - Mary pogardliwie machnęła ręką. - Jako kobieta samotna mogę siedzieć w łóżku z maseczką na twarzy i przez cały wieczór oglądać Chcę być piękna w telewizji, jedząc przy tym czekoladę, a nie słysząc żadnych narzekań. Z młodym kochankiem to by było wykluczone, prawda? Nie, codziennie woskowałabyś całutkie ciało, żyłabyś wyłącznie grejpfrutami, a krem przeciw cellulitis wychodziłby ci uszami. Nie, serdecznie dziękuję. Komu potrzebne takie kłopoty?

U Pauli najpierw musiały podziwiać pokój dziecinny. Dawna pakamera, którą Enrico, mąż Pauli, świeżo pomalował na różne odcienie żółci i ozdobił rysunkami Beatrix Potter, zmieniała się w raj dla dziecka. Było tam łóżeczko, wiklinowy koszyk, cały ogród zoologiczny przytulank i szafa pełna ubranek poskładanych z tak niezwykłą starannością, jakby zrobił to personel Benettona.

- Och - westchnęły równocześnie Mary i Daisy, gdy we trzy stłoczyły się w pokoju, wdychając zapach kosmetyków dla niemowląt.

- Jest cudowny. - Daisy uściskała Paulę. Pomyślała, jak miło jest szczerze cieszyć się ze szczęścia przyjaciółki. Gdyby nie umówiła się na wizytę w klinice, a stanęła w progu pokoju dziecinnego, serce pękłoby jej na kawałki niczym szkło.

Kiedy wszystkie wsiadły do samochodu, Paula wróciła do idei piękna wewnętrznego. Jej zdaniem przesłanie właścicielki ośrodka było wspaniałe.

- To, kim jesteśmy, jest ważniejsze od tego, jak wyglądamy - oznajmiła z zapalem. Mary, która przeniosła się do tyłu, żeby Paula mogła usiąść z przodu, ryknęła śmiechem.

- I to mówi kobieta z podgrzewaną lokówką do rzęs!

- To było moje dawne wcielenie - oznajmiła Paula z patosem. - W nowym zamierzam być lepszą osobą, która nie będzie tak bardzo się przejmować głupstwami w rodzaju włosów albo rozstępów.

- Boisz się, że dziecko urodzi się z uszami Enrica, prawda? - zapytała nieoczekiwanie Mary.

Wszystkie słyszały opowieści o tym, że biednego Enrica w szkole nazywano Dumbo.

Daisy siłą powstrzymała uśmiech. Mary jak zwykle nie owijała w bawełnę.

- Masz rację. Bardzo by mi się podobało dziecko z oczami, karnacją, włosami, jakąkolwiek cechą Enrica...

- Ale nie z jego uszami.

- Z uszami nie - zgodziła się Paula. - To takie płytkie, że trudno nawet o tym rozmawiać. - Poklepała się po brzuchu, prosząc go o wybaczenie.

- Możesz kogoś kochać i nie lubić jego uszu - stwierdziła Mary. - A nie ma nic płytkiego w tym, że chcesz dla swoich dzieci wszystkiego, co najlepsze. Świat jest płytki, bo zwraca uwagę na odstające uszy i z ich powodu dzieci wyśmiewają się z kolegów. Ty po prostu chcesz tego uniknąć. Obawiam się, że wracamy do Chcę być piękna. Nikt nie traciłby dwudziestu pięciu kilo, nie prostował sobie zębów i nie odsysał tłuszczu z brody, gdyby wygląd nie miał znaczenia. Świat jest okropny, musimy jakoś się do niego dostosować.

Były już na drodze wyjazdowej z Carrickwell, minęły skręt do Willow, park Abrahama i zmierzały ku tak zwanej Górskiej Drodze, trzypasmowej, wysadzonej drzewami szosie, która po trzech krętych milach docierała do małej wioski i Wzgórza Obłoku.

Wszędzie widniały oznaki wiosny: drzewa i żywopłoty obsypane były jaskrawozielonymi pączkami. Na przydrożnej trawie połyskiwały krople deszczu, powietrze wypełniał zapach świeżej roślinności, w dolinie szumiało od budzącego się po zimie życia.

Daisy czuła, jak jej nastrój się poprawia. Z czasów młodości doskonale знаła tę okolicę i często odwiedzała stary dom Delaneyów.

- Moja matka mieszka w pobliżu - rzuciła od niechcienia.

- Może do niej wpadniemy? - zaproponowała Paula, która niewiele wiedziała o rodzinie Daisy.

- Nie - odparła przestraszona Daisy - No wiesz... może jej nie być w domu - dokończyła bez przekonania.

Mary pomogła jej jakoś wybrnąć.

- Moja rodzina też taka jest - stwierdziła. - Wolą, żeby uprzedzać wizyty gości, na wypadek gdyby wciąż pałętali się po domu w piżamach.

- Właśnie - dodała Daisy z wdzięcznością, jakby potrafiła sobie wyobrazić, że w ciągu dnia może zobaczyć niekompletnie ubraną matkę. Ulubionym słowem Nan Farrell była kontrola, a chodzenie w nocnym stroju po siódmej rano oznaczało jej brak. Daisy uświadomiła sobie, że Mary zachowała się bardzo taktownie, ponieważ widywała matkę Daisy przy tych rzadkich okazjach, gdy ta przekraczała próg Georgia's Tiara.

Przy pierwszej wizycie Nan Farrell przesunęła palcami po półkach, jakby leżała na nich tandeta, a nie piękne stroje dobrane przez jej utalentowaną córkę. Mary

nie potrzebowała dyplomu z psychologii, żeby się domyślić, dlaczego Daisy tak beznadziejnie obstaje przy przekonaniu, że kompletnie do niczego się nie nadaje.

- A poza tym byśmy się spóźniły - dodała Mary wesoło. - Mamy być na górze Carraig o dziesiątej, czyli za pięć minut. Gaz do dechy, Daisy.

- Cudownie tu, prawda? - westchnęła Paula, gdy pędziły drogą, z lewej podziwiając błyszczące wody Lough Enla, z prawej łąkę, na której pasły się owce.

- Przepięknie - zgodziła się Mary. - Pamiętam, jak wiele lat temu zastanawialiśmy się z Bartem nad domem w tej "okolicy, ale za daleko stąd do miasta i dzieci miałyby kłopot z dojazdem do szkoły. Dom był bardzo ładny, o wiele większy od naszego, w dodatku z dwuakrowym ogrodem. Moglibyśmy kupić kucyka dla Emer. Choć dobrze się stało, że tego nie zrobiliśmy. Jak można podzielić kucyka? Jedna połowa dla mnie, jedna dla Barta. Założę się, że ja dostałabym tę część z ogonem.

Mary i Paula zaczęły rozmawiać o szkołach i Daisy wyłączyła się, pogrążona we własnych myślach. Miała szesnaście lat, kiedy razem z matką wyprowadziły się z centrum Carrickwell do domu niedaleko Górskiej Drogi. Był śliczny jak z obrazka ze swym dachem z czerwonej dachówki, rabatkami i pokrytym mchem murem od frontu, ale Daisy nie mogła się doczekać, kiedy się stamtąd wyniesie. Matka też wydawała się zadowolona, kiedy Daisy wyjechała do collegeu w Dublinie. Teraz, jako osoba dorosła, Daisy rozumiała, że jej matka nigdy nie chciała mieć dzieci. Dziwne, że największą tragedią w życiu Daisy było to, że nie ma dzieci, podczas gdy urodzenie dziecka - Daisy - w wieku siedemnastu lat okazało się największą tragedią w życiu jej matki. Smutne. Gdyby Daisy była z matką blisko, mogłaby jej powiedzieć, jak bardzo pragnie dziecka i jak jest szczęśliwa teraz, kiedy wreszcie postanowiła coś z tym zrobić. One jednak od czasu do czasu prowadziły przez telefon wstrzemięźliwe rozmowy, w czasie których nie poruszały żadnych ważnych tematów.

Mary mówiła, że jej trzynastoletnia córka Emer bardzo lubi szkołę. Daisy pozwoliła sobie na przyjemność, snując marzenia o tym, jak wybiera szkołę dla swojego dziecka. Oczywiście z Alexem wszystkie odwiedzą, porównają możliwości, sporządzą listy za i przeciw i dopiero wtedy podejmą decyzję. Alex w młodości uprawiał sport, więc przypuszczalnie będzie chciał, żeby syn poszedł w jego ślady i został wioślarzem. Dobra do tego celu wydawała się St. Cillians School. Ale Daisy w głębi serca pragnęła małej dziewczynki, żeby mogła naprawić wszystkie krzywdy, które jej w dzieciństwie wyrządzono. Nikt nigdy jej córeczce nie będzie mówił rzeczy w rodzaju: „Trzymaj się z daleka od

lodówki, Daisy. Zmieniasz się w prawdziwego prosiaka z nosem w korycie". Z drugiej strony zdawała sobie sprawę, że to nie w porządku urodzić dziecko tylko po to, żeby na nowo przeżyć własne dzieciństwo.

Nagle pojawił się przed nimi znak informujący o ośrodku spa Wzgórze Obłoku i Daisy otrząsnęła się z rozmyślań.

- Popatrzcie tylko - powiedziała Mary, kiedy przejechały przez wielką żelazną bramę i zobaczyły stary dom. - Chyba umarłam i jestem w niebie.

Zniknął stary zapuszczony ogród, który Daisy pamiętała z przeszłości. W jego miejsce pojawiły się najpiękniej zaprojektowane trawniki i rabaty, jakie w życiu widziała. Dom stał w połowie zbocza, z podjazdu rozciągał się widok na miasto ze strzelającymi w niebo iglicami katedry Św. Canice i ze starożytną osadą druidów w oddali.

Sam dom nie był już sypiącą się ruiną w stylu georgiańskim, ale ślicznie odrestaurowanym budynkiem, za nim zaś wznosiły się z równą starannością adaptowane stajnie.

- Sprzedam sklep i będę tu mieszkała do końca życia - oznajmiła Mary z podziwem.

- Nie wystarczy ci pieniędzy - zauważyła Paula.

- Sprzedam też dzieci. Chętnie spędziłabym tu całe życie.

- Jak w eleganckim domu opieki? - zażartowała Daisy.

- Tak, bardzo proszę.

Zaparkowały na wysypanym żwirem dziedzińcu. Mary stwierdziła, że powinny były zajechać czterokonnym powozem, żeby dostosować się do wspaniałości tego miejsca.

- Chyba jestem nieodpowiednio ubrana - mruknęła Daisy, gdy szły do wejścia.

Miała na sobie szary sportowy dres.

- Tylko to jeszcze na mnie pasuje - odmruknęła Paula, wskazując na swój obszerny niebieski T-shirt i spódnicę wielkości markizy - więc jeśli jestem nieodpowiednio ubrana, będą musieli to przełknąć.

- W środku zobaczyły oazę spokoju. Wszystkie trzy podały recepcjonistce swoje nazwiska i zaprowadzono je do wielkiej przebieralni wyłożonej włoskimi kafelkami. Stamtąd przeszły do pokoju relaksacyjnego, który okazał się biblioteką z widokiem na ogród. Były tam książki, czasopisma, dzienniki, lodówka pełna soków, taca z owocami, a także miękkie sofy i fotele. W powietrzu unosiły się dźwięki łagodnej muzyki, które sprawiły, że Daisy natychmiast zapragnęła położyć się i zasnąć.

- Teraz wiem na pewno, że mogłabym tu mieszkać - powtórzyła Mary, kiedy opadły na sofy, żeby oddać się lekturze najnowszych kolorowych magazynów. - Wyobrażacie sobie, że kiedyś mieszkała tu rodzina?

W tym momencie otworzyły się drzwi i do pokoju weszła wysoka kobieta z włosami upiętymi w kok.

- Jestem Leah Meyer. Witam we Wzgórzu Obłoku - powiedziała. Nagle zadzwonił telefon. - Spokój przysł - dodała ironicznie, wyjmując komórkę z kieszeni. - Problemy z personelem. Muszę się tym zająć. - Wyszła na moment. Po powrocie jeszcze raz przeprosiła. - Zwykle nie noszę komórki ze sobą. W pewnym sensie psuje atmosferę.

- Nie, nic się nie stało - odparła Mary. - Wszystko jest tu dopracowane do perfekcji i gdyby nie telefon, dalej rozmawiałybyśmy przyciszonymi głosami i w życiu byśmy się nie odprężyły. Denerwuję się, kiedy mam za dużo spokoju i śpiewu wielorybów.

Leah się roześmiała.

- Nie mamy śpiewu wielorybów, za to mamy delfiny, gdyby to pani odpowiadało - powiedziała. - Trzymamy te nagrania na specjalne okazje. Co godzinę zmieniamy rodzaj muzyki, bo osiem godzin słuchania odgłosów wydawanych przez delfiny każdego wpędziłoby w szaleństwo. Mamy jazz, muzykę klasyczną, pop, Toma Jonesa.

- Nie ma wielorybów? - zapytała Daisy, od pierwszej chwili czując sympatię do tej wysokiej i pięknej kobiety - Żądam zwrotu pieniędzy.

- Mieliśmy płytę z wielorybami - odparła Leah - ale zawsze kiedy ją włączałam, ktoś się podkradał do wieży, zmieniał na Toma Jonesa, a wieloryby chował w głębi szafki. Przypuszczam, że miał to być wymowny znak dla mnie, więc nie próbowałam szukać tego krążka.

Wszystkie wybuchnęły śmiechem. Leah zaproponowała coś do picia i wkrótce potoczyła się ożywiona rozmowa na różne tematy, od pracy począwszy, a skończywszy na ciąży Pauli i cudownym wpływie, jaki na samopoczucie wywiera dziesięciominutowa gorąca kąpiel.

- I robisz to codziennie? - zapytała Daisy z zazdrością.

- Codziennie. Łagodzi bóle i skurcze - przyznała Leah. - W moim wieku to normalne dolegliwości.

- W twoim wieku! A to dobre - roześmiała się Mary. - Kiedy będziesz w moim wieku, to pogadamy o bolących stawach.

- Na pewno jestem starsza od ciebie - uśmiechnęła się Leah szeroko.

- Wykluczone! - zawołała Mary.

- Więc według ciebie ile mam lat? Wszystkie trzy uważnie przyjrzały się Leah.

Jakieś czterdzieści sześć, siedem lat, pomyślała Daisy, ale nie powiedziała tego głośno. A co, jeśli się myli i Leah bliżej ma do czterdziestki niż pięćdziesiątki?

- Ja mam czterdzieści osiem lat, a ty wyglądasz młodziej, na czterdzieści trzy - stwierdziła Mary, przez zmrużone powieki przyglądając się Leah. - Nie, nie, czterdzieści - po chwili zmieniła zdanie.

- Blisko - odparła Leah. - Jak powiadała moja babcia, jestem dwudziestojedynką z czterdziestoletnim doświadczeniem.

Mary i Paula gapily się na nią z niejaką konsternacją, za to Daisy od razu zrozumiała sens jej słów.

- Sześćdziesiąt jeden lat? - zapytała bez tchu. - Niemożliwe.

- Za kilka miesięcy kończę sześćdziesiąt dwa - przyznała Leah. Trzem kobietom mowę odjęło ze zdumienia.

Leah wygląda niesamowicie, pomyślała Daisy. Niektóre piękne kobiety mają twarze jak puste płótna, które czekają, aż ktoś inny namaluje na nich uczucia. Leah do nich nie należała. Lśniące piwne oczy lśniły ożywieniem, kości policzkowe wyglądały, jakby stały się takie gładkie i wysokie od częstych uśmiechów, a przyczyną zmarszczek na twarzy była po prostu ekspresja Leah.

- Musisz nam zdradzić swój sekret albo wychodzimy - zażartowała Mary.

- Urodziłaś się piękna i masz młode geny w rodzinie - powiedziała Daisy, ponieważ tylko to przyszło jej do głowy. Jak bowiem inaczej wyjaśnić, że ktoś wygląda tak zjawiskowo i emanuje zadowoleniem?

- Powiem wam, jeśli później weźmiecie ze mną gorącą kąpiel - obiecała Leah. - A ty, przyszła mamó, będziesz musiała siedzieć na brzegu i moczyć sobie ręce - dodała, zwracając się do Pauli.

Terapeutka w białym stroju wsunęła głowę przez uchylone drzwi, żeby się przywitać i zapytać, jakie zabiegi wybrały klientki.

- Wszystkie, z których korzystała Leah - odparła Mary. - A dla mnie każdy podwójnie.

Zjadły razem lunch, a potem spotkały się dopiero późnym popołudniem, kiedy Daisy i Mary jako jedyne moczyły się w gorącej wodzie, wpatrzone w panoramę Carrickwell rozciągającą się w dole.

- To był rewelacyjny pomysł - westchnęła Mary, zadowolona.

- Prawda? Czuję się taka odprężona - odparła Daisy z zamkniętymi oczami.

- To dobrze, bo trochę się o ciebie martwiłam. Daisy usiadła prosto.

- Martwiłaś się o mnie?

- Od jakiegoś czasu wyglądasz na mocno zestresowaną...

- No wiesz, Alex często podróżuje.

- Myślałam, że może macie problemy - dodała Mary. - No, skoro powiedział, że nie chce się żenić.

Wykazała nietypowy dla siebie brak wrażliwości, co Daisy uzmysłowiło, że wypaplała o wiele za dużo, kiedy tamtego dnia narzekała na Alexa.

- Już to sobie wyjaśniliśmy - powiedziała szybko. - Wtedy dokuczało mi napięcie przedmiesiączkowe.

- Och, OK.

Daisy pokiwała głową.

- Hormony to koszmar - ciągnęła, dla siebie zachowując tajemnicę związaną z hormonami. Za dwa tygodnie, dokładnie mówiąc za trzynaście dni, mają wizytę w klinice płodności. Jeśli ich związek nie jest trwały, to jak trwały wygląda? Chętnie opowiedziałyby o tym Mary, ale oboje z Alexem uzgodnili, że to ich sekret.

- Leah jest miła, prawda? - Mary zmieniła temat. - Dziwne, ale mam wrażenie, że gdzieś ją już widziałam.

- Śmieszne, wiem, o co ci chodzi.

- Może była na okładce „Forbes” jako milionerka. Musi mieć pieniądze, skoro wyremontowała ten dom, choć ci milionerzy rzadko sami harują.

- Nie znam tylu milionerów, żeby wiedzieć, czy to robią, czy nie - uśmiechnęła się Daisy - Ale ona jest piękna, prawda?

- Wspaniałe rysy twarzy. Ciekawe, czy będzie kupowała w naszym sklepie.

- Jestem tego pewna - odparła Daisy z namysłem - choć nie wiem, czy należy do kobiet, które interesują się modą. Wygląda tak, że nie potrzebuje superciuchów. Mogłaby chodzić w łachmanach i nikt nie zauważyłby łachmanów, tylko patrzyłby na nią.

- Ma styl - zgodziła się Mary. - Niewykluczone, że całą energię wkłada w wystrój wnętrza, a nie w ubrania. To miejsce jest bardzo stylowe, a nie ulega wątpliwości, że Carrickwell potrzebuje odrobiny luksusu. Willow jest w porządku, ale daleko mu do czterogwiazdkowego hotelu.

- Nie mów tak, jest urocze - zaprotestowała Daisy. W czasach, gdy mieszkała z matką, przekonała się, że bożonarodzeniowy lunch w Willow był właściwie jedynym sposobem na przetrwanie tego dnia. Ułatwiały to serdeczność i ciepło Malinów.

- Pan Malin jest taki miły i myślę, że matce dość się podoba, choć nigdy się do tego nie przyznała.

- Harry? Jest kochany - zgodziła się Mary. - Jego żona też jest sympatyczna, choć biedactwu zawsze brakuje pieniędzy na stroje. Córkę też mają śliczną: wysoka dziewczyna, rzuca się w oczy. Będzie dobrą klientką. Nogi ma po pachy.

- I znowu mowa o mnie - powiedziała Paula, wolno wtaczając się do sali. Za nią szła Leah, na tacy niosąc dzbanek soku pomarańczowego i cztery szklanki. Paula usadowiła się na leżaku, pozostała trójka leżała w wodzie. Dziewczęta z Georgias i Tiara porównywały wrażenia z zabiegów. Masaż dla przyszłych mam okazał się cudowny, ponieważ w ośrodku był specjalny stół dla kobiet w ciąży.

- Leżenie na brzuchu to coś, co uważasz za oczywistość, póki nie zajdziesz w ciążę - westchnęła Paula. Poza tym zafundowała sobie manikiur, pedikiur i łagodną maseczkę. Była przekonana, że Enrico jej nie pozna. Mary zdecydowała się na sławny masaż gorącymi kamieniami, który bardzo jej przypadł do gustu. Zastanawiała się, czy nie zainstalować sobie czegoś takiego w domu.

- Kto by pomyślał, że gotowany bazalt może być taki przyjemny w dotyku? - pytała radośnie.

- Kto by pomyślał, że siedzenie w czymś, co w gruncie rzeczy jest wielką wanną, może sprawiać tyle przyjemności? - pytała Daisy, wprawiona w stan rozkosznego odprężenia przez okłady aromaterapeutyczne oraz manikiur parafinowy, po którym jej dłonie stały się gładsze od jedwabiu. - Chciałabym robić to cały dzień. Leah, powinno się przy tym medytować, czy też po prostu leżeć w wodzie i się relaksować?

- Możesz medytować, jeśli ci to odpowiada - odparła Leah. - Ja tego nie robię. Leżę i myślę o dobrych i złych momentach dnia, i za wszystko dziękuję.

- Więc na tym polega twój sekret? - zapytała Mary chytrze. - Nie na specjalnych zabiegach upiększających, ale na dziękowaniu?

Leah uśmiechnęła się enigmatycznie.

- Nie, poważnie - wtrąciła Paula błagalnie. - Co robisz, że tak rewelacyjnie wyglądasz?

Opór Leah zaczął się kruszyć.

- Wychowałam się w Los Angeles, gdzie wygląd jest sprawą najwyższej wagi. Zawsze dbałam o figurę i cerę. Moja matka zestarzała się pięknie, więc pewnie mam to też w genach. Ale dałam się wciągnąć w cały ten proces walki z objawami starości. W Los Angeles jest tak, że kiedy kończysz trzydziestkę, przestajesz się liczyć. Jakbyś stała się niewidzialna.

- Nie trzeba po to jechać do Los Angeles - burknęła Mary

- Podejrzewam, że w innych częściach świata następuje to jednak później - odparła Leah - najczęściej po pięćdziesiątce, ale w Los Angeles takim przełomowym wiekiem jest trzydziestka. Żywisz tę próżną nadzieję, że w twoim

wypadku będzie inaczej, bo czujesz się młodo, i co tam, kilka zmarszczek nic nie znaczy, kochana, ale pewnego dnia wychodzisz na ulicę i nikt na ciebie nie patrzy. Stałaś się niewidzialna.

- Nie wierzę w to - odezwała się Daisy. - Jesteś piękna, ostrzeżono by cię wszędzie.

- Dziękuję - uśmiechnęła się Leah. - Nigdy nie miałam wątpliwości co do swojej urody, bo byłam bardzo podobna do matki, a za nią oglądali się wszyscy. Ale w mieście, do którego zjeżdżają najpiękniejsi ludzie świata, uroda jest rzeczą powszednią. Facet na stacji benzynowej może być modelem, dziewczyna, która podaje ci kawę, może na wybiegu prezentować bieliznę Victoria's Secret. Każdy jest piękny. Więc wpadasz w panikę.

- I co? - zapytała Mary bez tchu.

Leah roześmiała się niskim, chropawym śmiechem, który byłby całkiem na miejscu w nocnym barze o północy.

- Idziesz prosto do chirurga plastycznego i prosisz, żeby cię trochę odświeżył.

- Wiedziałam! - wykrzyknęła Mary.

- Ale tylko trochę - powiedziała z naciskiem Leah, klepiąc się po czole. -Lifting czoła, odsysanie tłuszczu spod szczęki, drobna korekta kształtu brody. Cała reszta jest moja. Nie robiłam liftingu twarzy Jeśli zaczynasz za wcześnie, musisz zbyt często powtarzać zabieg i potem wyglądasz, jakbyś przybyła z planety, gdzie ludzie mają uszy na czubku głowy.

- Wcale nie potrzebujesz liftingu twarzy - oznajmiła Daisy stanowczo.

- To dobrze, bo nie mam zamiaru nic więcej robić. Ta twarz będzie ze mną do samego końca. W LA ludzie są zaszokowani, kiedy to mówię, a zwłaszcza mój chirurg, który większość pieniędzy zarabia na powtarzanych operacjach. Ale gdybym mogła cofnąć czas, zrezygnowałabym w ogóle z zabiegów.

Pozostałe kobiety przetrwały tę informację.

- Dlaczego? - zapytała wreszcie Daisy.

- Bo tyle czasu spędziłam, martwiąc się o wygląd zewnętrzny, że zupełnie zapomniałam o wnętrzu, a ono wymaga o wiele więcej pracy.

- Zgadza się - oznajmiła Mary.

W normalnych okolicznościach Daisy nic by nie powiedziała, tylko pokiwałaby głową, jakby ona też się zgadzała. Zawsze śmiała się z puent, których nie dosłyszała, i z dowcipów, których nie rozumiała. Dzisiaj jednak chciała zrozumieć. W jaki sposób człowiek zaczyna czuć się dobrze ze swoim wyglądem? Jeśli powierzchowność jest w porządku, to wtedy chyba masz czas i energię na pracę nad wnętrzem?

- Co właściwie przez to rozumiesz? - zapytała.

- Wierzyłam, że wszystko, co o mnie stanowi, znajduje się na powierzchni -odparła Leah po prostu. - Jeśli miałam piękną twarz i mężczyźni wciąż się za mną oglądali, to znaczyło, że w niebie jest Bóg, a w moim świecie wszystko układa się dobrze. To fałsz, jak powiedziałby mój syn, kiedy fascynował się przygodami Billa i Teda*.

Wspaniała przygoda Billa i Teda, film dla młodzieży prod. amerykańskiej z 1989 r., w reżyserii S. Hereka (przyp. tłum.).

Tego, kim jesteś, nie widzisz w lustrze.

- Masz absolutną rację - poparła ją Paula z entuzjazmem. - Naprawdę - dodała, kiedy Mary wykrzywiła się do niej.

- Wiem, ale trudno tak żyć - wzruszyła ramionami Mary

- Potrzeba ważnego wydarzenia, żeby człowiek się obudził i zorientował, skąd wieje wiatr - przyznała Leah. - Teraz jednak jestem ze sobą szczęśliwa. Lubię swój wiek, choć niekoniecznie odpowiada mi strzykanie w kościach i budzenie się w nocy z uczuciem, że plecy mi pękają, ale lubię dojrzałość.

- Naprawdę? - zapytała Daisy z powątpiewaniem. Rozpoznała elementy, dzięki którym Leah jest szczęśliwa: jest matką, ma dziecko, należy do klubu. Zdaniem Daisy największa nawet dojrzałość nie może tego zastąpić.

- Tak. Nie chciałabym znowu być taka, jaka byłam w wieku dwudziestu lat, nawet gdyby to znaczyło, że wyglądałabym i czuła się taka sprawna i piękna jak wtedy

- To musi być miłe, czuć się tak z siebie zadowoloną - powiedziała Daisy z zadumą.

Paula, Mary i Leah spojrzały na nią.

- Trzeba nad tym pracować - wyjaśniła Leah. - Musisz myśleć o tym, co daje ci szczęście, i zamiast powtarzać sobie, że nie da się tego osiągnąć, trzeba sobie mówić, że jednak jest to możliwe. I robić wszystko, żeby to zrealizować. Marzenia i nadzieje wcale nie są tak odległe, jak nam się wydaje. Czego ty pragniesz, Daisy? Pamiętaj, to gorąca wana prawdy Tutaj nie możesz oszukiwać. W przeciwnym razie dostaniesz nieprzyjemnej wysypki - zagroziła.

Pozostała trójka wybuchnęła śmiechem.

- Mówię poważnie. Dostałam ten proszek od kobiety, która ma sklep z kartami do tarota i kryształami. Dosipany do wody sprawia, że człowiek musi mówić prawdę.

- To Mistyczne Ognie - powiedziała Daisy. - Nie wiem, czy handlują wodą zmuszającą do mówienia prawdy, ale mają ładne kartki z aniołami. Kupujesz paczkę i codziennie wyjmujesz jedną, żeby się przekonać, jaką wiadomość mają dla ciebie aniołowie. - Miała nadzieję, że na karcie z aniołem za każdym razem

znajdzie się przesłanie: „Urodzisz piękne dzieci”, chociaż nie była pewna, czy taka karta w ogóle istnieje.

- Jaką wiadomość najbardziej w świecie chciałabyś przeczytać? Dzięki czemu byłabyś szczęśliwa? - zapytała Leah.

Daisy przygryzła wargę. Szczerłość to trudna sprawa. Nie czuła się dobrze, opowiadając ludziom o bardzo prywatnych sprawach i odczuciach. Powiedzenie, że pragnie dziecka i rodziny, brzmiałoby głupio, skoro Leah pewnie pyta o to, czy zależałoby jej na większych ustach, bardziej płaskim brzuchu albo czymś w tym rodzaju.

- Chcę być szczęśliwa i jeść tyle czekolady, ile zechcę.

- Zajdź w ciążę - zażartowała Paula - wtedy to ci się spełni. Uśmiech Daisy pozostał tak samo szeroki.

- Doskonały pomysł!

- A ty? - Leah zwróciła się do Pauli.

- Chcę urodzić zdrowe dziecko - odpowiedziała prosto. - Chłopiec, dziewczynka, wielkie uszy - tu wyszczerzyła zęby do Mary i Daisy - to bez znaczenia. Jeśli będzie zdrowe, to niczego więcej z Enrikiem nie oczekujemy.

- A ty? - Teraz przyszła kolej na Mary.

Daisy właściwie się spodziewała, że Mary ze śmiechem udzieli lekkiej, żartobliwej odpowiedzi, bo zwykle tak robiła, kiedy rozmowa schodziła na zbyt poważne tematy.

- Nie chcę być sama - powiedziała Mary cicho. - I nie chodzi mi o wielką namiętność, o kogoś, kto ciągle kupowałby mi róże i zapraszał do eleganckich lokali. Nie, ja mówię o drugiej osobie, o uczuciu. Uścisk rano. Ktoś, do kogo mogłabym się uśmiechnąć, kiedy jedno z dzieci powie coś śmiesznego. Ciepłe ciało, do którego mogłabym się przytulić w łóżku, kiedy jest zimno. Daisy milczała.

- Przyjaźń - podpowiedziała Leah.

- Właśnie. - Mary zanurzyła się głębiej w bulgoczącej gorącej wodzie. - Mam po dziurki w nosie historii o starszych kobietach, seksownych młodych mężczyznach i robieniu tego o każdej porze dnia i nocy

- Przesadzone - zgodziła się Leah.

- Właśnie. I co z tego, że znajdziesz młodego ogiera, który nie zmęczy się do rana? On nie będzie umiał połaskotać cię w to miejsce u podstawy karku, gdzie skóra jest wrażliwa, i wywołać wspomnienia o chwili, gdy wiele lat temu zrobił to po raz pierwszy.

- Masz rację.

Leah i Mary zapatrzyły się przed siebie. Daisy poczuła wyrzuty sumienia. Nie ulegało wątpliwości, że Leah obecnie jest samotna, tak jak Mary. Miały ze sobą coś wspólnego, podczas gdy Daisy i Paula należały do wybranek losu. Paula była zadowolona ze swojego życia, Daisy natomiast powinna bardziej doceniać dobre rzeczy. Może zbyt wiele wymaga. Czy mając przy boku wspaniałego Alexa i pracę, którą kocha, powinna chcieć więcej? Czy można zbyt chciwie pragnąć szczęścia?

Rozdział siódmy

Leah uwielbiała spokój panujący w Carraig Hill pod koniec dnia, przed godziną podania kolacji dla ewentualnych gości. Lubiła samotność, lubiła własne towarzystwo i okazję do zastanowienia się nad wydarzeniami dnia, kiedy wędrowała po cichym starym domu. Nie musiała sprawdzać, czy wyłączono światła i urządzenia - tym zajmowali się pracownicy. Leah lubiła spacerować po domu i rozmyślać. Czasami wracała w przeszłość, ale niezbyt często, bo wciąż sprawiało jej to ból. Czas leczy rany, choć zawsze pozostanie blizna: głęboka do kości blizna po utracie ukochanego Jessego. Łatwiej było rozważać mijający dzień niż żyć przeszłością. Tego przynajmniej nauczył ją czas.

Tak więc myślała o dniu i wielu interesujących ludziach, którzy przekroczyli próg Wzgórza Obłoku. Codziennie pojawiał się ktoś nowy, a wrażenie zagubienia, które wokół siebie roztaczał, sprawiało, że Leah pragnęła podbiec i przytulić go do siebie.

Na przykład Billy i Pearl, urocze małżeństwo, które przyjechało do ośrodka na trzydniowy odpoczynek, kiedy planowany wyjazd na Cypr z inną parą bez wyjaśnień został odwołany. Dotknięci i pełni niedowierzania, Pearl i Billy powiedzieli Leah, że zawsze jeździli na wakacje z Agnes i Ianem.

- Ona była moją druhną, ja byłam jej świadkiem - zwierzyła się Pearl przy kawie w pokoju relaksacyjnym, kiedy omawiali zabiegi, na które chce się zdecydować. - Wyjeżdżaliśmy razem przez dwadzieścia lat. Malta, Cypr i mój ulubiony Rodos. - Powiedzieli, że w tym roku nie chcą się zapisać - dodał Billy. - Po prostu. Bez żadnych ważnych powodów. Jadą za to do siostry Iana, Marie, która mieszka w Torquay.

- Nasza córka wykupiła pobyt tutaj, żeby nam wynagrodzić to rozczarowanie - powiedziała Pearl. - Fiona ma świetną pracę i jest dla nas bardzo dobra.

Pearl najbardziej spodobały się zabiegi refleksologiczne.

- Agnes i ja spróbowałyśmy dawniej kilku rzeczy, ale teraz tego nie robimy.

Myślałam, że odkąd jesteśmy na emeryturze, będziemy mieć więcej czasu, ale oni nie mają ochoty. Nie potrafię tego zrozumieć.

- Przyjaciele też są emerytami? - zapytała Leah delikatnie. Jej goście kiwnęli głowami.

Leah pomyślała o dobrej córce, która rodzicom zafundowała pobyt w ośrodku spa i przypuszczalnie płaciła za wyjazdy na wakacje, żeby podziękować za wszystko, co oni dawali jej przez lata. Na głos zastanowiła się, czy Fiona zawsze była taka szczodra.

Billy kiwnął głową.

- Mówi, że my ją utrzymywaliśmy, kiedy studiowała, a teraz jej kolej.

- A może problem polega na tym, że Ian i Agnes nie mogą sobie pozwolić z emerytury na wyjazd? - zasugerowała Leah. - Nie mają dziecka, które chce im podziękować?

Pearl i Billy byli wstrząśnięci, że wcześniej sami o tym nie pomyśleli. Pieniądze. One stanowiły problem. Jak mogli nie zdawać sobie z tego sprawy? Dlaczego Ian i Agnes po prostu im o tym nie powiedzieli?

Wieczorem zadzwonili do przyjaciół.

- Jedziemy razem do Torquay - powiedziała Pearl następnego dnia. - Agnes bardzo się z tego cieszy, bo - tu zniżyła głos - tak między nami, nie układa jej się z siostrą Ianą, tylko że tego nie może powiedzieć, prawda? Wszyscy zamieszkamy w domu Marie, ale w czwórkę będzie nam łatwiej. Możemy sami razem chodzić w różne miejsca i Marie nie będzie czuła, że musi nas zabawiać.

Pearl i Billy wyjechali we wtorek. Tego samego dnia przyjechała Stephanie. Stephanie zbliżyła się do trzydziestki i należała do najpiękniejszych kobiet, jakie Leah w życiu widziała. Ale była blada i wyglądała mizernie. Dopiero teraz, po dwóch dniach, potrafiła się uśmiechnąć bez wymownego błysku łez w oczach.

- Uświadomiłaś mi, że nie muszę czuć się głupio - wyznała, kiedy rano spotkały się na basenie. Stephanie miała twarz jak gazela: ogromne oczy, cudowne rysy, obłok kasztanowych włosów. - Miałaś rację, kiedy powiedziałas, że jeśli wierzymy ludziom, którzy nas okłamują, to nie znaczy, że jesteśmy głupi.

Jej kochanek Ralph kazał jej wierzyć, że jest nieszczęśliwy w małżeństwie. Był zręcznym kłamcą.

- Prawda zależy od twojej sytuacji - stwierdziła Leah mądrze. - Przypuszczalnie chciał wierzyć, że jego małżeństwo się nie układa, bo dzięki temu mógł być z tobą... I dlaczego nie? Jesteś serdeczna, dobra i piękna.

- W twoich ustach brzmi to tak wiarygodnie - westchnęła Stephanie. - Wolę myśleć, że nie potrafił się powstrzymać, a nie że chciał mnie skrzywdzić.

- Nic nie wskazuje na to, że chciał cię skrzywdzić - zauważyła Leah. - Siebie też skrzywdził. Ty przynajmniej możesz rozmawiać z przyjaciółmi o cierpieniu, które sprawił ci ten związek, i zająć się własnym życiem, Ralph musi przed wszystkimi ukrywać swoje uczucia, zwłaszcza teraz, kiedy jego żona spodziewa się dziecka.

Więc ty jesteś w lepszej sytuacji. Możesz się zwierzyć i iść dalej.

- Masz rację - odparła zaskoczona Stephanie.

Leah wiedziała, że ludzie często nie dostrzegają tego, co mają tuż przed nosem. Stephanie szczerze wierzyła, że jest całkiem ładną, ale przeciętną dziewczyną, i nie widziała, że zadurzony żonaty kochanek sprzedałby duszę diabłu, byle tylko być z nią. Im dłużej Leah żyła, tym wyraźniej sobie uświadamiała, że ludzie są ślepi na wiele rzeczy. Tajemnica przetrwania, jak sama odkryła, polega na tym, żeby otworzyć oczy i zobaczyć świat i siebie takimi, jakimi naprawdę są.

Dzisiaj widziała, że Mary Dillon tak postąpiła. Leah była przekonana, że Mary należy do tych, co sobie poradzą. Choć potrafiła się śmiać ze swojego byłego męża, równocześnie przyznawała, że głęboko go kochała i trudno jej samotnie wychowywać wspólne dzieci. Leah jednak wiedziała, że i z tym sobie poradzi. To Daisy, słodka, ufna Daisy wymagała pomocy.

Leah miała intuicję, która jej podpowiadała, że ktoś kiedyś poradził Daisy, że nie powinna okazywać uczuć. Na pytanie, czego najbardziej w świecie pragnie, Daisy zrobiła unik i odpowiedziała półprawdą: „Być szczęśliwa i jeść tyle czekolady, ile zechcę!”.

„Więc zajdź w ciążę, będziesz to miała” - tak brzmiała riposta Pauli.

Tylko Leah dostrzegła wyraz smutku, który przemknął po ślicznej twarzy Daisy. Czy w rzeczywistości nade wszystko pragnęła dziecka? To możliwe.

Leah miała nadzieję, że będzie mogła jakoś pomóc Daisy. Zawsze czuła wielką sympatię do młodszych kobiet. Choć tyle w życiu miała - partnera, pracę, ładny dom - Daisy jednak łaknęła czegoś więcej, a Leah była przekonana, że dziecko stanowi tylko część tych pragnień. Czas pokaże.

Zbliżała się pora kolacji. Leah zostało tylko jedno pomieszczenie: pokój kąpielowy. Weszła do środka i spojrzała na światła Carrickwell, połyskujące niczym kryształki na aksamitnym tle.

Uwielbiała widok miasta i otaczających je wzgórz. Wysoko na swojej pięknej górze miała wrażenie, że pełni straż nad Carrickwell, gotowa w każdej chwili ruszyć mu na pomoc.

Oczywiście rozwiązywanie cudzych problemów zawsze jest łatwiejsze od rozwiązywania własnych.

Minęło niemal dziesięć lat od dnia, kiedy Leah zmieniła swoje życie i wydostała się z piekła. Co ludzie mówią o piekle? Religia jest dla tych, którzy boją się piekła, a duchowość dla tych, którzy już w nim byli? Ona w nim była, ale wiele się nauczyła w trakcie podróży tam i z powrotem.

Rozdział ósmy

Mel siedziała oparta o poduszki na łóżku w pokoju gościnnym i rytmicznie kołysała drobne ciało Carrie. Ostatni atak kaszlu był najgorszy i Mel chętnie oddałaby rok własnego życia, byle tylko z oczu córeczki zniknął ten wyraz przerażenia. Mała obudziła się z płaczem zaraz po drugiej i przez prawie trzy kwadranse szlochała i rozdzierająco kaszłała. Mel traciła już zmysły. Kiedy zaczęła myśleć, że musi coś zrobić - zadzwonić po lekarza, zadzwonić po kogokolwiek, bo obmywanie gąbką i lekarstwo nie zbiło temperatury ani nie uspokoiło Carrie - dziewczynka niespodziewanie zasnęła w ramionach matki.

" To było dziesięć minut temu, ale Mel wciąż delikatnie ją fełysała, ciesząc się, że mała nie jest już tak rozpalona. Wiedziała, że Carrie potrzebuje odpoczynku, więc nie ośmielała się położyć jej do chłodnej pościeli, dopóki nie nabierze pewności, że córeczka głęboko zasnęła. Dlatego kołysała małą, nie zważając na skurcz w ramieniu i zmęczenie, które ogarnęło ją od stóp do głów. Zmęczenie było drobiazgiem w porównaniu ze strachem, że dzieje się coś bardzo złego.

Widząc, że najgorsze chyba minęło, Mel nieco się uspokoiła. Przyrzekła sobie w duchu, że zaraz z rana pojedzie z Carrie do lekarza. Będą w przychodni punktualnie o dziewiątej. Nie, wcześniej. Wszystko inne, łącznie ze środową naradą przy śniadaniu, jest nieważne. Liczy się tylko jej dziecko. Jej dzieci. Kto powiedział, że dzieci są jak twoje serce biegające na własnych małych nóżkach? To takie trafne.

Stanowiły sens jej życia, a mimo to zawsze musiała się starać, żeby znaleźć dla nich czas. Jaki sens ma praca na cały etat, żeby zapewnić dziewczynkom lepszą przyszłość, skoro w terażniejszości pozbawione są matki? Od kłótni z Caroline Mel nie potrafiła odpędzić do siebie myśli o rezygnacji z pracy. Wspomniała nawet o tym Adrianowi, ale zaraz tego pożałowała, bo wyglądał na totalnie zaszokowanego.

- No... z finansowego punktu widzenia moglibyśmy oszczędzić na opłatach za Małe Tygryski - powiedział, dokładając wszelkich starań, by otrząsnąć się z pierwszej reakcji, którą było: „Żartujesz!”.

- Zapomnij, że o tym mówiłam. - Mel była zła na siebie, że poruszyła ten temat. Gdyby zrezygnowała z pracy, trudno by im było związać koniec z końcem. Jej premia na Boże Narodzenie pozwalała im utrzymać się na powierzchni przez wiele miesięcy. Co prawda pensja Adriana wzrośnie, kiedy zrobi magisterium, ale nie aż tak. Nie wystarczy na utrzymanie czteroosobowej rodziny i spłatę hipoteki domu przy Goldsmith Lawn, to nie ulegało wątpliwości. - To był głupi

pomysł - dodała pośpiesznie. - Przepraszam, że o tym wspomniałam. Bez pracy zaraz bym oszalała, wiesz o tym.

- Nie, to ja przepraszam za to, co powiedziałem - sprzeciwił się Adrian. - To był szok, i tyle. A poważnie, Mel: jeśli chcesz zrezygnować z pracy, jakoś sobie poradzimy.

Mel zwichrzyła mu włosy.

- Śniłam na jawie. Możesz sobie wyobrazić, że rezygnuję ze wszystkiego, na co pracowałam w Lorimarze? To mało prawdopodobne.

Następnego dnia rano Sara bardzo się zdziwiła, znajdując matkę i młodszą siostrzyczkę śpiące w gościnnym pokoju.

- Dlaczego jesteś w łóżku babci? - zapytała, śliczna w piżamce z Kubusiem Puchatkiem i jednej skarpetce z Tygrysiem blond włosy miała zmierzwiłone po nocy

Mel spojrzała na nią zamglonym wzrokiem. Było dobrze po czwartej, kiedy po raz ostatni sprawdzała czas na małym budziku. Teraz minęło wpół do ósmej i wszystkie zasnęły. Obok Mel leżała Carrie, pogrążona w spokojnym śnie.

- Carrie była chora w nocy i nie chciałam, żeby jej płacz cię obudził - wyjaśniła.

- Ja też mogłam się z tobą położyć - powiedziała Sara. Miała żal, że wyłączono ją z wyjątkowej okazji, i zaraz wgramoliła się do łóżka, żeby to naprawić. Przytuliła się do matki i zaczęła ssać kciuk. Mel jedną ręką obejmowała Sarę, drugą gładziła Carrie, żeby ją obudzić. Na szczęście dziewczynka czoło miała chłodne, a z policzków zszedł chorobliwy rumieniec. Ziewając lekko, otworzyła oczy i ucieszyła się na widok mamy.

Pomimo zmęczenia i czekającego ją nieprzyjemnego dnia - dnia, w którym będzie musiała zonglować jak szalona, żeby zwolnić się z pracy - Mel zalała falą ogromnego szczęścia. Oto jej właściwe miejsce. Nie w firmie, gdzie martwiłaby się o swoje dzieci, ale w domu, gdzie ma je przy sobie i może się nimi opiekować. Być dla nich matką. To w końcu najbardziej podstawowy z ludzkich instynktów. Nikt nie może otoczyć - Sary i Carrie taką opieką jak ona. Dla swoich dzieci jest naprawdę niezastąpiona.

Choć było dopiero za dziesięć dziewiąta, w poczekalni panował ścisk i Mel, która przyjechała tu z Carrie, wpięrow podzuciwszy Sarę do Małych Tygrysków, zaczęła rozumieć, że jej szanse na dotarcie do pracy koło dwunastej zaczynają maleć.

O jedenastej przychodziła jej matka, żeby zaopiekować się Carrie, ale Mel nie była pewna, czy uda im się do tej pory wyjść z przychodni, nie wspominając już o powrocie do domu. Popatrzyła na innych pacjentów, w przeważającej

większości kobiety z małymi dziećmi, i zadała sobie pytanie, czy gdyby stanęła na środku pokoju i oznajmiła, że musi iść do pracy, w której pełni ważną funkcję, to przepuściliby ją bez kolejki? Przypuszczalnie ukamienowaliby ją egzemplarzami „GolfPro” i „Hello!”.

Trzymając w objęciach Carrie, która ścisnęła swoją fioletowo-zieloną owieczkę, Mel na oczach całej poczekalni zajęła się delikatnym zadaniem ustawienia na nowo planu dnia.

Najpierw zadzwoniła do Sue, sekretarki działu reklamy, w której telefonie z niewiadomych przyczyn wciąż się włączała poczta głosowa.

- Jeśli jesteś przy telefonie, Sue, odbierz, bardzo proszę. To pilne. Nie mogłam być na naradzie o wpół do dziewiątej, bo musiałam pójść z Carrie do lekarza.

Zadzwoniłam wprawdzie do Vanessy z marketingu z prośbą, żeby mnie usprawiedliwiła, ale z nią nie rozmawiałam, tylko nagrałam się na jej komórkę i nie wiem, czy to zrobiła, bo się ze mną nie skontaktowała. Czy mogłabyś pójść to sprawdzić i oddzwonić do mnie? Następna sprawa: musisz odwołać moje spotkanie o jedenastej. Sama bym to zrobiła, ale nie mam przy sobie palm pilota. Idiotka... Mel oczami wyobraźni zobaczyła go na ładowarce. Zapomniała o nim, gdy jak zwykle gorączkowo wybiegała z pracy poprzedniego wieczora.

- Mamusiu, chcę do domu - grymasiła Carrie. - Tu mi się nie podoba. Utuliwszy córeczkę, do czego przyczyniła się też porcja soku, Mel ponownie zaatakowała telefon.

- I czy mogłabyś poprosić Anthonyego, żeby poprowadził spotkanie ze studentami? Powinam być w pracy około... - zawahała się. O dwunastej? Wpół do pierwszej? A może iść na całość i powiedzieć, że po lunchu? - Około pierwszej - zdecydowała.

Pozostali pacjenci, nie mając innej rozrywki poza lekturą czasopism, z całą pewnością przysłuchiwali się, jak Mel coraz bardziej gorączkowo próbuje skontaktować się z Sue.

W oczach żadnej z matek Mel nie dostrzegła nawet cienia kobiecej solidarności.

Pomyślała, że gdyby była na ich miejscu, na znak siostrzanej jedności uśmiechnęłyby się ze współczuciem do kobiety, która tak się zмага.

Niewykluczone jednak, że te kobiety widziały w Mel, ubranej w elegancki kostium ze śliwkowej krepy i kontrastujący z nim naszyjnik z ametystów, wyłącznie szorstką i żądną władzy jędzę, istotę z innej planety, dla której nie ma miejsca w ich świecie chorych, marudnych dzieci i wiecznych kolejek w przychodniach.

Chciała krzyknąć, że się mylą. Ona też należy do ich świata. Świata marudzących kilkulatków. Tylko że one nie widziały nic poza kostiumem.

Mel przekroczyła próg Lorimaru prawie o wpół do pierwszej, akurat na czas, żeby spotkać Hilary - odzianą w czerwień, kolor władzy, z ustami umalowanymi szminką w dobranym odcieniu - wychodzącą z budynku w towarzystwie jednego z dyrektorów finansowych. Wszyscy ci faceci w oczach Mel wyglądali identycznie: mina człowieka, który na barkach dźwiga świat, oraz garnitury nazbyt nachalnie przypominające Michaela Douglasa w Wall Street.

Wiedząc, że jest niewybaczalnie spóźniona, Mel uśmiechnęła się powściągliwie, za co szefowa nagrodziła ją dość lodowatym spojrzeniem.

- Szukałam cię wcześniej - powiedziała Hilary tonem, który domagał się wyjaśnień.

Mel wzięła głęboki oddech.

- Moja młodsza córka zachorowała i musiałam pójść z nią do lekarza - odparła spokojnie.

- Och. - Nikt nie potrafił zawrzeć w tym krótkim westchnieniu takiej głębi co Hilary. Mówiło ono: „Och, wpadałaś po uszy w takie kłopoty, że trudno w to uwierzyć”.

Mdłości z powodu spóźnienia, które towarzyszyły Mel przez cały czas jazdy pociągiem, teraz zmieniły się w burczenie w brzuchu.

- Martwiłam się, bo bardzo źle się czuła w nocy - dodała Mel.

Facet od finansów wyglądał na nieporuszonego. Zapewne miał dzieci. Mel była pewna, że widziała je wożone w wózkach na firmowym grillu przez jego udręczoną żonę: kobietę, która nie musiała pracować w godzinach od do, za to potrafiła doskonale wyprasować koszule w paski i wiedziała, jak położyć dzieci spać, kiedy on wychodził na integracyjne drinki z ważniakami z Lorimaru. Ale historie o chorych maluchach wcale do niego nie trafiały. Tak samo zresztą jak do Hilary

- Wiesz, jakie to okropne, kiedy małe dzieci chorują - spróbowała raz jeszcze Mel, licząc, że w szefowej odezwą się jakieś macierzyńskie instynkty. - Serce ci pęka, kiedy mają takie wielkie, smutne oczy i tylko mamusia może im pomóc.

Hilary pokiwała głową.

- Do zobaczenia po lunchu - warknęła. Wtedy coś w Mel pękło.

- Carrie chodzi do przedszkola, Hilary, a kiedy jest chora, zwykle zajmuje się nią moja matka. Ale wczoraj w nocy tak strasznie kaszlała i chciałam sama pójść z nią do lekarza. - Mel mówiła szybko, nie tym spokojnym głosem, którego zawsze używała w biurze. Pan Facet od Finansów nagle szalenie zainteresował się swoim zegarkiem. - Prawdę mówiąc, dawno nie byłam z nią u lekarza, bo muszę śpieszyć się tutaj, do pracy w firmie sprzedającej ubezpieczenia zdrowotne. „Lorimar się troszczy” - śpiewnie powtórzyła nowe motto

przedsiębiorstwa - chyba że chodzi o chore dziecko pracownicy, bo wtedy guzik to firmę obchodzi. To śmieszne. Tutejsza etyka jest bardzo powierzchowna, za to zarozumiałstwo i podłość dotykają do żywego. Rzecz w tym, Hilary, że Lorimaru może to nie obchodzi, ale mnie tak. Pewnego dnia nie będę już tu pracować i nikt nie będzie mnie pamiętał, bo jako pracownicy nie jesteśmy niezastąpieni - patrzyła z gniewem na szefową, która nawet nie mrugnęła okiem. - Natomiast jako matka jestem niezastąpiona. I kiedy wreszcie wyczołgam się z tego obozu pracy po raz ostatni, będzie za późno i nie zdołam wynagrodzić Carrie i Sarah wszystkich tych okazji, przy których mnie nie było, bo siedziałam przykuta do biurka. Proszę was tylko o jedno: żebyście to zrozumieli. To, że chcę wszystkich zadowolić, czyni mnie lepszym, a nie gorszym pracownikiem.

- To nie jest miejsce ani pora do prowadzenia takiej rozmowy - stwierdziła Hilary obojętnie. - Widzę cię w moim biurze o wpół do trzeciej.

- Zapowiada się długi lunch? - rzuciła Mel, nie mogąc się powstrzymać od uszczypliwości.

- Planujemy redukcje - dodała Hilary szorstko.

- Ciekawe, kto jest pierwszy na liście - odrzekła Mel i wmaszerowała do budynku. W chłodnym wykafelkowanym holu przystanęła i na moment oparła się o ścianę. Serce jej waliło, z trudem łapała oddech. Co ona najlepszego zrobiła? Powiedzenie prawdy Hilary i Facetowi od Finansów może i sprawiło jej wielką przyjemność, ale będzie musiała za nią zapłacić.

Podczas przerwy na lunch Mel nie zajmowała się zaległą pracą. Zignorowała e-maile, zostawiła stos wiadomości telefonicznych i raportów na biurku i poszła na zakupy. Kupiła jakiś magazyn i przejrzała go przy kanapce i kawałku bardzo tuczącego sernika w kawiarni koło domu towarowego. Potem pochodziła po sklepie, rozmyślając i oglądając ubrania dla dzieci, modną bieliznę i wielobarwne poszwy na kołdry. Redukcje. Słyszała plotki o planowanych zwolnieniach, ale pomyślała, że sama mogłaby się zwolnić, nigdy wcześniej nie przyszedł jej do głowy. Zwolnienia były dla tych, którzy mają po dziurki w nosie swojej dotychczasowej pracy, tych, którzy chcą ją zmienić, oraz dla kobiet, które nie radzą sobie z byciem pracującą matką i potrzebują ratunku w postaci odprawy. Nie dla niej. Tylko że teraz nieoczekiwanie się okazało, że może jednak dla niej.

Jej kariera utknęła w miejscu, to nie ulegało wątpliwości. Urodzenie dzieci wpłynęło fatalnie na jej szanse awansu.

Potem jednak spojrzała na swoją karierę z innego punktu widzenia. Jeśli masz dzieci, liczą się dla ciebie także inne sprawy. To nie było tak, że Mel mniej

pracowała - w rzeczywistości pracowała więcej niż kiedykolwiek w życiu, bo oprócz obowiązków zawodowych miała też obowiązki związane z opieką nad Sarą i Carrie, ale była gorzej przygotowana na cały ten brud związany z robieniem kariery.

Intrygi, dramat z powodu niepochlebnego artykułu w gazecie, zaciśnięte usta, kiedy się spóźniała, chociaż potem próbowała nadrobić to z nawiązką - wszystko to ją nużyło. Nie wiedziała, jak do tego doszło, ale macierzyństwo nauczyło ją, że w życiu liczą się też inne rzeczy. Była pewna, że teraz wie, co jest dla niej najważniejsze. Wielka szkoda, że Hilary i Lorimar tego nie rozumieli.

- Czym mogę pani służyć? - zapytała śliczna młoda kobieta, która obsługiwała stoisko makijażu w dziale kosmetyków.

- Chodzi mi o zupełnie nowy wygląd - odparła Mel, obejmując spojrzeniem złoto-białe kontuar z kuszącym wyborem słoiczków, słoików i tubek ze szminkami i cieniami w każdym możliwym cudownym kolorze. - Od lat nie zmieniałam kremu nawilżającego i sądzę, że najwyższy czas to zrobić. Krem nawilżający, tonik, środek do demakijażu, wszystko, co pani zdaniem jest mi potrzebne. Ale chciałabym też makijaż, jeśli może mi go pani zrobić w pół godziny.

Olśniewający, piękny, inny, niż mam teraz - dodała z żalem. Dzisiaj rano makijaż zajmował ostatnie miejsce na jej liście priorytetów. Dziewczyna wskazała fotel obok siebie.

- Nie ma sprawy. Na specjalną okazję dzisiaj wieczorem? Mel usiadła na fotelu i oparła się o miękki podglówek.

- Odchodzę z firmy - odparła.

- A jak długo pani tam pracowała?

Mel wiedziała, że dziewczyna pyta z uprzejmości, doświadczonym okiem oceniając karnację i braki urody klientki, żeby się przekonać, jakich cudów może dokonać za pomocą szczotek i słoików.

- Czternaście lat. Czas ruszać dalej.

- Też tak zawsze mówię - uśmiechnęła się dziewczyna, odkręcając słoik z kremem nawilżającym. - Trzeba iść naprzód i w górę.

Szata może i nie czyni człowieka, ale jasne jak słońce, że makijaż poprawia kobiecie nastrój. Mel wróciła do biura energicznym krokiem, z torbą pełną drogich kremów i jaśniejącą nowym makijażem twarzy. W końcu może minąć długi czas, zanim będzie sobie mogła pozwolić na coś innego poza kremami z supermarketu. Sprawiała sobie prezent z okazji zwolnienia.

- Hilary sprawiała wrażenie nieco zaskoczonej, kiedy o wpół do trzeciej Mel wkroczyła do jej gabinetu spokojna i odświeżona.

- Sernik i terapia zakupami - wyjaśniła, siadając na jednym ze skórzanych foteli, choć jej tego nie zaproponowano. - Absolutnie najlepsze. A więc zwolnienie. O to chodzi? Jak rozumiem, po dzisiejszej scysji znalazłam się na twojej liście.

- Rozwazałam twoje zwolnienie już wcześniej - powiedziała Hilary szorstko. Mel poczuła, jak pocisk trafia do celu, ale nawet się nie skrzywiła. Tak czy owak odchodziła z firmy, teraz musiała tylko dopilnować, żeby dostać tyle pieniędzy, ile się da. Nagadanie Hilary do słuchu będzie premią.

- Dzięki za ten dowód zaufania, Hilary - odparła równie szorstko. - Zawsze ciężko pracowałam i nie jest miło przekonać się, że moje wysiłki nie zostały docenione.

- Wcześniej były doceniane, to się zmieniło kilka lat temu.

- Próbujesz zasugerować, że ostatnio gorzej pracowałam?

- Nie zawsze byłaś dyspozycyjna, miałaś inne sprawy na głowie, Mel, i to wpłynęło na jakość twojej pracy. Kiedy cię poznałam, byłaś bardzo ambitna i zmotywowana. To się zmieniło.

- Kiedy mnie poznałaś, miałam dwadzieścia siedem lat, więc to oczywiste, że się zmieniłam. Powiedziałabym, że ty też się zmieniłaś. Życie nas zmienia. Urodzenie dzieci nas zmienia. - Ostatnie zdanie Mel wymówiła z naciskiem.

Po raz pierwszy Hilary straciła swoje legendarne opanowanie.

- Byłaś moją protegowaną, Mel - powiedziała. - Popierałam cię i chciałam, żebyś została moją zastępczynią. Mogłaś być szefem reklamy, gdybyś nad tym pracowała.

- Chcesz powiedzieć: gdybym nie urodziła dzieci. Albo gdybym była taka jak ty, Hilary, i udawała, że ich nie mam. - odparła Mel. - Zdecydowałam się na dzieci, kiedy zdobyłam pozycję w pracy. - Nie chciała nazwać córek po imieniu, jakby uczynienie tego w obecności Hilary mogło je skazić. - Śmieszne, ale myślałam, że nie grozi mi dyskryminacja matek pracujących, ponieważ moją szefową jest kobieta, która też ma dzieci. Myślałam, że lepiej zrozumiesz. Ale ty nie jesteś tak samo zła jak szef-mężczyzna, ty jesteś gorsza. Powinnaś rozumieć, ale podkreślasz na każdym kroku, że nie rozumiesz.

- Nie opowiadaj mi o dzieciach - syknęła Hilary. - Przez całe swoje życie zawodowe udawadniałam, że posiadanie dzieci nie oznacza, że różnię się od mężczyzn, z którymi pracuję. Jeśli wykorzystujesz rodzinę jako wymówkę, szkodzisz wszystkim kobietom. Mężczyźni lubią myśleć, że nie jesteśmy w stanie pracować tak dobrze jak oni tylko dlatego, że mamy jajniki.

- Ale ty się od nich różnisz - powiedziała Mel zdesperowana. - Ty, ja i Vanessa jesteśmy inne. Mamy dzieci, i to nas odróżnia od każdego faceta, który może

zadzwoń do domu, jeśli najdzie go taki kaprys, i powiedz, że się spóźni. A ty możesz tak zrobić, nie dzwoniąc w pięć różnych miejsc, żeby wszystko ustalić? Bo ja nie mogę. Czy to znaczy, że jesteśmy gorszymi pracownikami? Nie sądzę.

- Ależ tak, jesteśmy - odparła Hilary gwałtownie. - Jeśli nie możesz poświęcić się bez reszty, to w ogóle nie powinnaś brać udziału w tej grze.

- Przeciwnieństwo feminizmu? - zapytała Mel. - Kiedy byłam młoda, patrzyłam na moją mamę i chociaż ją uwielbiałam, nie chciałam być taka jak ona. Po ślubie zrezygnowała z pracy i do końca życia była zależna, całkowicie zależna od mojego ojca. Nie chciałam taka być. Mówiłam ci to wcześniej, Hilary. Rzecz w tym, że chciałam pracować i równocześnie być matką. Wydawało mi się, że dam radę to pogodzić. Ale to niemożliwe, jeśli ludzie tacy jak ty nie rozumieją, że bycie matką zmienia kobietę i zmienia sposób jej pracy. Potrzebowałam tylko odrobiny elastyczności, a z nawiązką odpłaciłabym tobie i firmie. - Umilkła. Powiedziała wszystko. Kto wie, czy Hilary nie powtórzy tego zarządowi?

- Przykro mi, że tak to odczuwasz, Mel. Ze względu na długi okres, jaki u nas przepracowałaś, proponujemy ci warunki, które naszym zdaniem są bardzo korzystne. - Hilary otworzyła szufladę i wyjęła jakieś papiery

Mel patrzyła na oprawne w srebrną ramkę zdjęcie dzieci Hilary, które stało na błyszczącym biurku. Trzej roześmiani chłopcy na zalanym słońcem pokładzie łodzi z palmami w tle. Byli dość mali: najmłodszy miał sześć, najstarszy chyba dziesięć lat. Czyli zdjęcie zrobiono kilka lat temu. Mel wiedziała, że teraz są prawie dorośli, najstarszy studiuje na uniwersytecie. A jednak było to najbardziej aktualne zdjęcie, jakie Hilary miała w swoim gabinecie. Dlaczego? I nagle w ułamku sekundy zrozumiała.

Hilary wyjeżdżała na standardowe firmowe wakacje, większość weekendów spędzała w pracy i nigdy nie wychodziła z biura przed siódmą. Jak często miała okazję namówić dorastających synów, żeby ustawili się do fotografii? Mogła sobie myśleć, że nic nie straciła, zachowując się jak mężczyzna w męskim świecie, ale to nieprawda. Ominęło ją dorastanie dzieci i Mel współczuła jej z całego serca.

Kiedy Mel wreszcie opuściła gabinet Hilary, w dłoni ściskając warunki i zasady zwolnienia, czekała na nią Vanessa. Ukradkiem schowały się w pokoju gospodarczym, żeby porozmawiać.

- Co się dzieje? - zapytała zatroskana Vanessa.

- Gdybyśmy tylko mogli zatrudnić w dziale reklamy wszystkich biurowych plotkarzy, nie mielibyśmy najmniejszych problemów z rozpowszechnianiem

informacji - roześmiała się Mel. Zaraz dodała: - Co nie znaczy, że sprawy działu reklamy Lorimaru nadal mnie dotyczą. Wstrząśnięta Vanessa przycisnęła dłonie do piersi.

- Och, Mel, nie mogę w to uwierzyć. Stacey z księgowości zadzwoniła do mnie zaraz po lunchu i powiedziała, że Nylonowy Nigel prosił o twoją teczkę. A on się zajmuje zwolnieniami.

- Tak jest. Hilary właśnie zaproponowała mi zwolnienie. - I powtórzyła rozmowę z szefową oszołomionej Vanessie.

- Ta wredna suka - powiedziała, kiedy Mel skończyła - chce, żebyśmy wszystkie były dla firmy jak te żony ze Stepford, bo sama taka jest. Pracujemy sto razy ciężiej niż kiedykolwiek wcześniej. Cholera, nie wiedziałam, co znaczy pracować, póki nie urodziłam Conalą, bo kiedy musiałam zadbać, żeby miał co jeść, bez reszty poświęciłam się karierze. Jak ona śmie mówić ci takie rzeczy? Ty nigdy nie zwalniasz,

Mei. Nikt nie wie, jak ci się to udaje. Masz wysoką pozycję, masz wspaniałe dzieci i w dodatku świetnie wyglądasz. Mel uściskała przyjaciółkę.

- Dziękuję - powiedziała trochę płacząco, bo szok zaczynał ustępować.

- Dokąd pójdziesz? - zapytała Vanessa. - Założysz własną agencję z pieniędzy z odprawy? Słyszałam, że KBK szuka partnera. Prowadzą kilka poważnych farmaceutycznych kont, rzucają się na okazję zatrudnienia kogoś z twoim doświadczeniem w tym sektorze.

- Mam zamiar zostać w domu i zająć się wychowaniem dzieci - odparła Mel lekko.

- Koniec z przedszkolem, koniec z proszeniem mamy w sytuacjach kryzysowych, koniec z chwytniem wszystkich srok za ogon.

Vanessa po raz drugi w ciągu dziesięciu minut przeżyła szok.

- Zostaniesz w domu?

- Dlaczego nie? Wypróbowałam, jak to jest być pracującą matką, może teraz dobrze będzie sprawdzić drugą opcję, przejść na drugą stronę.

- Fatalne jest to - zazartowała Vanessa - że kobiety po drugiej stronie nie aprobują takich jak ty i ja i uważają, że jesteśmy bez serca, korzystając ze żłobków i przedszkoli.

- Nie rób tego - powiedziała błagalnie. - Potrzebuję przyjaciółki, która mnie rozumie. Moja mama ciągle mi powtarza, jaką krzywdę robię Conalowi, pracując na pełny etat. Jakbym mogła pracować na pół etatu i wciąż spłacać hipotekę, wyjeżdżać na wakacje, kupować mu nowy rower górski i ciągle nowy strój do piłki nożnej. Akurat! Tylko pod warunkiem, że resztę czasu pracowałabym, leżąc na plecach. Och, Mel, nie odchodź. Co ja zrobię bez mojej zgryźliwej partnerki? Z kim porozmawiam tak jak z tobą?

Mel się roześmiała, ale poczuła, jak przyciąga ją to jedyne życie, które dotąd знаła. Czy będzie mogła zostawić to wszystko? Motywacje, podniecenie, napięcie związane z rozwiązywaniem problemów, dzwoniące telefony, piszczące modemy...

A potem pomyślała o fotografii w srebrnej ramce na biurku Hilary i o tym, jakie to jest smutne.

- Kobieta musi robić, co do niej należy, Vanessa

- Będziemy za tobą tęsknić - powiedziała Vanessa ponuro. - Władzę przejmą szefowe ze Stepford, które nie będą zwalniać się z pracy z powodu dzieci. Urodzą je w porze lunchu w jakiejś snobistycznej klinice i do biura wrócą o trzeciej.

Dziecko: skreślić z listy. Nania: skreślić. Następne zebranie: skreślić. Odsysanie tłuszczu i masaż wiotkich części: skreślić.

Mel znowu się roześmiała.

- Trzymaj się tego, a tobie też zaproponują zwolnienie.

- Mam nadzieję, że nie - zadrżała Vanessa. - Gdybym musiała przespać się z Nylonowym Nigelem, żeby zostać w firmie, przespałabym się. Potrzebuję tej pracy. Ty przynajmniej masz Adriana, który będzie harował na wasze utrzymanie.

- Tak, przynajmniej mam jego - zgodziła się Mel.

- A co on o tym myśli?

- To najbardziej zabawne w tej sprawie. Nie mogłam mu o tym powiedzieć. Przez całe popołudnie miał szkolenie i nie byłam w stanie się z nim skontaktować.

- Czyli nie wie?

- Ożenił się ze mną na dobre i na złe - zażartowała Mel, starając się, by jej głos brzmiał lekko, choć serce jej się ścisnęło na myśl o przekazaniu wieści Adrianowi.

- To jest ta część umowy „na złe”.

Poczekala, aż dzieci pójda do łózek, i dopiero wtedy otworzyła butelkę wina - z wina będą musieli zrezygnować w ramach oszczędności - i wstawiła do mikrofalówki zamrożone indyjskie dania. Kazała Adrianowi usiąść i oznajmiła:

- Mam dla ciebie nowiny. Adrian usiadł.

- Mam się martwić? - zapytał, choć wcale nie wyglądał na zmartwionego. Mel sprawiała wrażenie spokojnej, w dobrym nastroju, i to pomimo nieprzespanej nocy z powodu Carrie, która po dniu spędzonym pod czułą opieką babci była w doskonałej kondycji. - Wygraliśmy rejs w losowaniu związkowej kasy pożyczkowej?

- Nie. Nawet nie ciepło.

- Wygraliśmy wyjazd na narty.

- Wciąż zimno.

- Dostałaś awans?

- Lodowato.

. W tym momencie Adrian zrezygnował z zabawy.

- Co się stało, Mel?

- Hilary mnie zwolniła - odparła szybko. - Wściekła się, że tak bardzo się spóźniłam, a ja, no cóż, straciłam panowanie nad sobą.

- Mów dalej.

Adrian jest po mojej stronie, pomyślała z ulgą. Nie należał do mężczyzn, którzy rozgniewaliby się na nią z powodu jej głupoty

- Zdecydowałam się na szczerą rozmowę. Bo wiesz - dodała, widząc, że mąż się krzywi - byłam niewyspana, a poza tym co za firma karze człowieka, bo zabrał chore dziecko do

?dekarza? To szaleństwo. Objął ją.

- Zgadzam się, Mel.

- Więc powiedziała, że planują redukcje i było jasne, że chce, żebym się zwolniła. Wiem, że nie musiałam. Gdyby chciała się mnie pozbyć, musiałyby udzielić mi pisemnych nagan i tak dalej, ale i tak by do tego doszło. Jestem tym zmęczona, a ona o tym wie.

Adrian przytulił ją mocno.

- Pomyślałam, że zostanę z dziewczynkami przez kilka lat, dopóki nie pójdą do szkoły. Część odprawy możemy wykorzystać na spłatę paru rat hipoteki. Jakoś damy sobie radę, choć będziemy musieli obciąć wydatki... - Popatrzyła na męża, bo wiedziała, że dla nich obojga oznacza to poważną zmianę. Adrian będzie jedynym żywicielem rodziny, standard ich życia na pewno się obniży przy jednej tylko pensji.

- Gdybyśmy mieli karnet na siłownię, moglibyśmy z niego zrezygnować na początek - powiedział Adrian, odginając palec.

- Oczywiście. - Mel wpadła w jego ton. - Ciągłe słyszę opowieści o ludziach, którzy mają karnet na siłownię i nigdy z niego nie korzystają. To strata pieniędzy.

- Właśnie. Moim zdaniem każde pójście na basen kosztuje ich trzydzieści funtów, bo w najlepszym razie chodzą kilka razy w miesiącu. Więc tutaj już zaoszczędziliśmy.

- Jedzenie.

- Komu potrzebne jedzenie? - zapytał Adrian. - Przecież możemy hodować własne warzywa, no nie? Wyhodowanie puszki fasoli nie może być aż tak trudne.

Oboje się roześmiali.

- Kocham cię - powiedziała Mel, siadając mężowi na kolanach i opierając głowę na jego ramieniu.

- Ja też cię kocham.

- Ale mówiąc poważnie, z wielu rzeczy będziemy musieli zrezygnować. Na przykład z wakacji. - Spojrzała na stół, na którym stały puste naczynia i butelka wina. - I z wina.

- Z kolacji na mieście. - Adrian przez moment minę miał żalostną, zaraz jednak pokręcił głową. - Nie cofamy się, tylko idziemy naprzód i w górę!

- Śmieszne, ale to samo powiedziała mi dziewczyna z działu kosmetycznego w domu towarowym.

- To prawda. Nie możemy oglądać się za siebie, tylko patrzeć w przyszłość. Dla Carrie i Sary to będzie wspaniałe.

- I dlatego jestem pewna, że postąpiłam właściwie, Adrianie. Nie mogę znieść, że codziennie je zostawiam, i niezależnie od tego, co mówią ludzie, to mnie boli i tak bardzo się boję, że robię im przez to krzywdę. Teraz jest okazja, żebym została w domu, w każdym razie przez jakiś czas. Większość kobiet nie ma takiej szansy. Chcę być mamą jak moja mama. Adrian delikatnie ją pocałował.

- Jesteś cudowną mamą - powiedział łagodnie. - Kiedy pracujesz i kiedy zostajesz w domu. Hej - dodał z przewrotnym uśmiechem - czy to znaczy, że co wieczór będę miał niewiarygodne domowe potrawy, a ty wystrojona jak laleczka będziesz czekała na mnie z moimi papuciami, gazetą i ogrzanym łóżkiem?

Mel z uczuciem pogładziła go po policzku.

- Jeszcze czego. Chcę być mamą jak moja mama, ale nie chcę się w nią zmienić.

Rozdział dziewiąty

Po dwóch tygodniach ciężkiej pracy z matką Cleo była w stanie zepchnąć na dno świadomości incydent z Natem. Miała hotel do odnowienia, nie było czasu na rozczulanie się nad sobą, że nikogo nie kocha.

Kilka razy wysłała esemesa do Nata, ale nie odpowiadał, więc dała sobie spokój. - Otrząśnie się z tego - stwierdziła Trish lekko. - Zapomnij o nim. Cleo pomyślała, że Trish potrafi być bardzo twarda.

Trish wciąż wiele czasu spędzała z nową przyjaciółką, Carol, i za każdym razem, kiedy o niej opowiadała, Cleo uświadamiała sobie dziecięcą zazdrość wobec tej nieznanej intruzki. Starła się to uczucie stłumić, ale czasami okazywało się silniejsze. To, że nie mogła się ruszyć z Carrickwell, bo robiła co w jej mocy dla rodziny i hotelu, nie oznaczało jeszcze, że nie miała ochoty bywać z Trish w mieście.

Kiedy Cleo coś dręczyło, rzucała się w wir pracy, i to był powód, dla którego postanowiła, że trzeba się zająć pokojami na poddaszu. Widok podobnych pomieszczeń w hotelu Nata, kompletnie nieużywanych poza tym, że składowano tam stare graty i roiło się od owadów, uświadomił jej, że Willow też ma taką niewykorzystaną przestrzeń, która dojrzała do zmian.

Po wielu godzinach szlifowania, malowania i szorowania trzy pokoje na poddaszu ze skośnymi sufitami zmieniły się nie do poznania. Paznokcie Cleo nigdy nie będą wyglądały jak przedtem, ale to jej nie przeszkadzało.

Rzecz polegała na wysprzątaniu, pomalowaniu na biało i dodaniu stosownych akcesoriów. Jeden pokój zyskał charakter morski dzięki bibelotom i drobiazgom wygrzebanym w hotelu i sklepie ze starzyzną. Drugiemu nadała charakter wiejskiego ogrodu, dekorując motywami kwiatowymi, a trzeci stanowił kombinację bieli i różu. Z własnej kieszeni zapłaciła za kosztowną pościel, bo nie chciała prosić ojca o pieniądze.

Gdyby tylko z równą łatwością dało się zmienić atmosferę panującą w rodzinie.

Od wizyty księgowego ojciec był przygnębiony, choć nadal nie chciał o przyczynach swojego nastroju rozmawiać z córką. Obejrzał odnowione przez nią pokoje ze smutnym uśmiechem, powiedział, że są bardzo ładne, ale na tym koniec. Cleo po tej harówce czuła się kompletnie wykończona.

Mamie wciąż dokuczały bóle, ale na szczęście Trevor z ekipą wrócili do pracy, więc nie musiała męczyć się sprzątaniem. Uzyskawszy jej niechętną zgodę, Cleo na osobności zamieniła słówko z Trevorem, chwalać go za zalety, jak uczono ją

w collegu, ale z całą stanowczością podkreślając, że w przyszłości każda nieobecność w pracy bez zwolnienia "chorobowego oznaczać będzie kłopoty. Prócz pracy na poddaszu i tej rozmowy nie pozwolono jednak Cleo wtrącać się do prowadzenia hotelu.

- Dalej się dąsasz, co? - zapytała Trish w środku długiej rozmowy telefonicznej o tym, jakie to wszystko jest przygnębiające.

- Nie - odparła Cleo. - Ja wcale się nie dąsam. Ze wszystkimi rozmawiam, ale chciałabym, żeby przestali mnie uważać za dziecko i tak traktować.

- Więc jesteś nadąsaną dorosłą?

- Całe szczęście, że znamy się nie od dzisiaj, Trish, bo przerwałabym tę rozmowę - powiedziała spokojnie Cleo.

- Ja tylko próbuję cię rozśmieszyć. A poza tym nie rozumiem, czemu tak cię to dręczy. Dlaczego ich nie zostawisz i nie znajdziesz sobie pracy w Dublinie?

Mogłabym się wyprowadzić z tej piekielnej nory i zamieszkałybyśmy razem.

Trish dzieliła dom z sześcioma innymi osobami i kłótnie o to, kto ma sprzątać łazienkę albo kupić papier toaletowy, czasami przybierały burzliwy charakter.

- Nie chcę wyjeżdżać z Carrickwell - oznajmiła Cleo z uporem, jeszcze bardziej

tym zirytowana, bo od trzech tygodni nie spotkała się z Trish i przez cały czas nie słuchała o niczym innym prócz „Carol to” i „Carol tamto”. - Chcę tu pracować. To

kwestia zasady - dodała z gniewem, słysząc, jak przyjaciółka wzdycha teatralnie. - Zrobiłam dyplom z hotelarstwa, bo mamy hotel i chcę go prowadzić. Dlaczego się

przejmuję, że rodzice doprowadzili do kompletnego zastoju? Bo nie chcą

wypróbować nowych pomysłów, a ja je wszystkie znam -dodała sfrustrowana. - To

jest najgorsze, Trish. Tata mógłby zapytać mnie o radę, ale w życiu tego nie robi.

Zamiast tego snuje intrygi z Jasonem i Barneyem, choć żaden z nich nie ma o

niczym pojęcia. Nawet Sondra ma więcej do powiedzenia w sprawach hotelu niż

ja. Napomknęłam, że ta okropna Tamara powinna rzadziej pracować, bo jest

beznadziejna jako recepcjonistka, a mama mi powiedziała, że w zasadzie Tamara

ma pracować więcej. Ale co ja tam wiem?

- Więc wyjedź.

- Jadę do Bristolu na dwa tygodnie - poinformowała Cleo. - Hotel, w którym

pracowałam w zeszłym roku, ma problemy z personelem. Zapłacą mi za samolot,

jeśli przez dwa tygodnie będę pracowała na nocną zmianę. Potrzebuję pieniędzy,

wydałam fortunę na tę kwiatową toaletę w trzeciej sypialni, ale na nich moja

ciężka praca nie zrobiła najmniejszego wrażenia.

- Wszystko może się zmienić, kiedy wrócisz - powiedziała Trish wesoło.

- Tylko pod warunkiem że Sondra zrobi sobie transplantację głowy, a moi rodzice wygrają na loterii.

Dwutygodniowa przerwa sprawiła przyjemność Cleo, mimo że nie spotkała Laurenta. Miło było stanowić część młodego zespołu w wielkim, dobrze zarządzanym przedsiębiorstwie. Kiedy po długiej podróży wróciła do domu, był deszczowy i ponury wieczór. Uznała, że to nie najlepsza pora na docenienie uroków Willow. Hotel potrzebował letniego światła, które wydobywało miodowy kolor kamieni i śliczne kremowe róże pnące, zwisające nad wejściowymi drzwiami.

Cleo współczuła parze, która weszła do holu tuż przed nią. Oboje się rozglądali, próbując jakoś się znaleźć.

W recepcji nikogo nie było, więc chociaż Cleo była zmęczona po podróży z Bristolu, natychmiast przejęła obowiązki gospodyni. Rzuciła swoją torbę w ką, zdjęła wilgotny płaszcz i powitała gości.

- Dobry wieczór. Jestem Cleo i witam w hotelu Willow. Czy państwo chcą wynająć pokój?

Dziesięć minut zajęło zameldowanie państwa Barkerów z Somerset. Wyglądało na to, że spodobał im się Pokój Różany na tyłach domu. Cleo była mniej zadowolona, ponieważ wyczuła wyraźny zapach środka dezynfekującego w łazience, a tego nie znosiła. Mottem hotelu był zapach świeżości, nie chemii.

Zainstalowawszy Barkerów, zbiegła po schodach, ciesząc się, że jest w domu. O wiele większą satysfakcję dawało witanie gości w hotelu, którego czujesz się częścią, niż witanie ich w wielkim hotelu, gdzie jesteś zaledwie maleńkim trybikiem w maszynie.

Dwa tygodnie poza domem dobrze jej zrobiły. Zaczynała myśleć, że może zbyt niecierpliwie odnosiła się do rodziny. Muszą trzymać się razem w tym trudnym okresie, a ona powinna postępować bardziej dyplomatycznie.

Na dole recepcja nadal świeciła pustkami i Cleo zastanawiała się, gdzie wszyscy się podzieli. Dochodziła szósta, był piątkowy wieczór: zwykle o tej porze panował ożywiony ruch. Zamiast tego było upiornie cicho, w powietrzu nie wyczuwało się zapachu gotowania.

Cleo weszła do kuchni, żeby sprawdzić, czy piece w końcu wysiadły, i przy stole zobaczyła rodzinę. Elegancko ubrani, pili szampana. Matka miała na sobie najlepszy granatowy kostium i broszkę w kształcie stokrotki. Jason i Barney byli w niedzielnych garniturach, choć krawaty zdążyli poluzować. Ojciec, także w garniturze, swój krawat z żółtego jedwabiu miał wciąż idealnie zawiązany.

- Cześć, Cleo - uśmiechnęła się Sondra, tym razem w różowej tunice ciążowej, która nadała jej anielski wygląd gwiazdki MTV ze słodką miną patrzącej do kamery.

- Wspaniale mieliśmy nadzieję, że niedługo przyjedziesz - powiedziała matka, wstając od stołu, by uściskać Cleo.

- Cześć, mamó. Co się dzieje?

- Świętujemy - wyjaśniła Sondra wesoło.

Cleo spojrzała na ojca, ale on był zajęty otwieraniem następnej butelki i rozmyślnie nie patrzył w jej kierunku.

- Co świętujecie?

- Sprzedajemy Willow - powiedział Jason. - I dostaliśmy rewelacyjną ofertę.

Dwadzieścia procent więcej, niż przewidywał agent handlu nieruchomościami.

Dwadzieścia procent - powtórzył z triumfem.

Cleo usłyszała słowa brata, ale brzmiały tak, jakby pochodziły z jakiegoś koszmarne go snu, którego wspomnienie zachowała w pamięci.

- Co? Dlaczego? - zadała pierwsze pytania, jakie przysły jej do głowy.

- Tata i ja myślimy o kupieniu domu za granicą. Może we Francji albo w Grecji.

Gdzieś, gdzie jest gorąco - powiedziała Sheila Malin przeprasza jąco, aczkolwiek gładziła się po łokciu, jakby już grzała swoje dotknięte artretyzmem kości w słońcu. - W gruncie rzeczy nie przechodzimy na emeryturę. Może otworzymy pensjonat. Jeszcze nie wiemy, sporo spraw trzeba załatwić. Wiem, że to się wydaje

dość nieoczekiwane, Cleo, ale...

- Wielka decyzja została podjęta i nie ma od niej odwrotu - wtrącił Jason na wypadek, gdyby siostra sądziła, że jest inaczej. - Właściciel firmy budowlanej węszył koło nas, a jak tylko się dowiedział, że być może sprzedamy hotel, natychmiast skorzystał z okazji. Dzisiaj po południu podpisaliśmy umowę u notariusza.

Cleo zignorowała brata, patrząc na ojca, który wciąż majstrował przy butelce szampana. Zupełnie jakby czekał na reakcję córki, zanim zacznie mówić.

Cleo w myślach prosiła go, żeby powiedział, że to pomyłka, że tak naprawdę nie podjęli decyzji o sprzedaży jej domu. On jednak milczał.

- Nie dostaniemy takiej sumy, na jaką liczyliśmy - odezwał się Barney. -

Dostalibyśmy, gdyby hipoteka nie została tak potwornie zadłużona, ale to dobre posunięcie. Dla nas wszystkich. - Posłał zadowolony uśmiezek Sondrze, która sprawiała wrażenie, że za chwilę zemdleje z radości, bez wątpienia marząc o tym, co będzie mogła kupić za swoją część.

- Tato? - Cleo znowu odwróciła się do ojca. Po raz pierwszy spojrział jej prosto w oczy.

- To prawda, Cleo - powiedział cicho. - Traciliśmy tyle pieniędzy, że utrzymanie hotelu stało się niemożliwe. Doprowadziłby nas do bankructwa. To

było jedyne wyjście i w gruncie rzeczy nie mieliśmy innego wyboru. Żebracy nie mogą grymasić.

- Zawsze jest jakiś wybór - szepnęła Cleo.

- Jestem zmęczony - Ojciec mówił tak, jakby byli sami w kuchni. - Mama i ja jesteśmy zmęczeni, chcemy trochę spokoju.

- Ale po to nie musieliście sprzedawać hotelu - powiedziała Cleo. - Ja mogłabym go prowadzić. - Nie dodała: „Gdybyście tylko we mnie wierzyli”, ale to miała na myśli.

- Ty byś go prowadziła? - wybuchnął Jason, jak zawsze, gdy dochodziło do konfliktu. - Zejdź na ziemię, Cleo. Dopiero skończyłaś college. Jaka jest szansa na to, że zmienisz sytuację hotelu? A poza tym umowa została podpisana. To najlepsze posunięcie dla nas wszystkich. Firma budowlana chce tu zbudować dziesięć wielkich domów, to było do przewidzenia od dawna. Moim zdaniem ten kawałek ziemi jest zbyt cenny, żeby zajmował go hotel. Postąpiliśmy słusznie.

- Wszyscy widzieliśmy znaki - dodał Barney. - Tylko ty nie, bo głowę miałaś nabitą nierealnymi pomysłami. My patrzymy trzeźwo na życie. Lepiej, że ciebie tu nie było. Wszyscy wiedzieliśmy, że byś tego nie zrozumiała. W takich sprawach nie można kierować się emocjami, siostrzyczko.

Cleo uświadomiła sobie, że bracia mówią prawdę. Umowę podpisano. Willow został sprzedany. Tak po prostu.

Mogła sobie poradzić z tym tylko w jeden sposób: zajmując myśli czymś innym. Pomyśl o innym miejscu, powiedziała sobie, szczęśliwym miejscu albo powtarzaj w myślach jedno słowo. Nigdy jednak nie należała do osób uprawiających medytację i w jej głowie panował zbyt wielki zamęt. To było straszne siedzieć w milczeniu, podczas gdy rodzina przyglądała się jej z niepokojem.

Jej szczęśliwe miejsce znajdowało się pod jabłonią, a to jedno słowo brzmiało „dom”. Wszystko to teraz jej zabrano, żeby Barney i Sondra mogli jeździć jeszcze większym samochodem i imponować sąsiadom, żeby Jason mógł wreszcie powiedzieć całemu światu, że w gruncie rzeczy nie lubi pracować i o wiele bardziej mu odpowiada siedzenie w domu z pilotem w jednej i piwem w drugiej ręce.

Gorycz podeszła jej do gardła niczym żółć.

- Dlaczego podjęliście tę decyzję, kiedy mnie nie było w domu? - zapytała tak ostro, że wszyscy z wyjątkiem Sondry, która ze wzrokiem skierowanym przed siebie uśmiechała się z zadowoleniem, spojrzeli na nią zaskoczeni. - Powiedziałam, że wieczorem wracam, mogliśmy to przedyskutować.

- Dyskutowaliśmy o tym od długiego czasu - odparł Harry Malin. - Tylko to robimy: rozmawiamy. Podczas gdy bank ciągle do mnie wydzwania, a ja się szarpie, żeby co tydzień zapłacić pracownikom.

- Tato, co to znaczy, że przez długi czas o tym rozmawialiśmy? Gdzie ja byłam, kiedy „my” się tym zajmowaliśmy? - zapytała Cleo z twarzą czerwoną jak burak. - Gdzie byłam, kiedy jednogłośnie podejmowaliście decyzję, która dotyczy także mnie? Czy komuś wpadło do głowy, żeby zapytać mnie o zdanie? Po to męczyłam się kilka lat w collegeu, studiując hotelarstwo, żebyście za moimi plecami sprzedali hotel? Mogliście mi o wszystkim powiedzieć, kiedy był tu księgowy. Musieliście wtedy o tym rozmawiać!

- Uspokój się, siostrzyczko - odezwał się Barney, próbując rozładować jej gniew. Cleo odwróciła się ku niemu jak tygrysica. Oczy jej płonęły.

- Nie traktuj mnie protekcyjnie, ty obiboku.

- Jak śmiesz tak do niego mówić? - Sondra otrząsnęła się z rozmyślań o zakupie błyszczących kosztownych rzeczy i próbowała wzrokiem zgromić szwagierkę. - Barney ciężko pracuje i ma dość oleju w głowie, żeby rozumieć, że to miejsce jest kamieniem młyńskim u szyi, bo nie da się na nim zarobić ani grosza.

- Pieniądze! - Cleo wypluła to słowo ze wstrętem. - Tylko o tym myślisz, Sondro. Pieniądze, jeszcze więcej pieniędzy. Chętnie rezygnujesz z pracy całego życia moich rodziców, bo teraz będziesz mogła kupować, aż padniesz z wyczerpania, w dodatku nie ruszając choćby palcem. Tylko do tego się nadajesz, tak samo jak Barney. Jesteście parą pasożytów.

Cleo w gniewie była przerażająca. Ojciec patrzył na nią wstrząśnięty.

- Nie mów tak do brata - błagała Sheila. - Proszę cię, kochanie. To nie jest warte tej kłótni. To tylko biznes. Nie możemy pozwolić, żeby nas zniszczył. A to by nas zabiło, gdybyśmy musieli zamknąć hotel, bo bank wszedłby na hipotekę.

Wyobrażasz sobie, jak byśmy się czuli, gdyby wszyscy wiedzieli o naszym bankructwie? To byłby koszmar. Tak jest lepiej, zgodzisz się chyba?

- Nie rozumiesz, mam, prawda? Tatuś rozumie, ale tego nie powie. Dla mnie to więcej niż hotel, ja mam to we krwi.

- Nie dramatyzuj - warknęła Sondra. - Wybrałaś hotelarstwo, bo wiedziałaś, że po skończeniu collegeu czeka na ciebie ciepła posadka. Gdybyś naprawdę chciała pracować, nie odrzuciłabyś tej doskonałej propozycji w Donegal. Ale ty wolałaś zostać tu, pławić się w luksusie i być córeczką szefa. Nie myśl, że nie wiem, jaka jesteś, szanowna pani. Moja biedna siostra Tamara też cię przejrzała. Traktujesz nas z góry, bo my nie mamy dyplomów. - Całe to tłumione rozgoryczenie teraz znajdowało ujście.

- Zrezygnowałam z tamtej posady, żeby móc być tutaj i wprowadzić zmiany. -Cleo zostawiła idiotyczne zarzuty bratowej bez odpowiedzi. - Chciałam, żeby było inaczej. Naprawdę myślisz, że nie widziałam, jak hotel chyli się ku upadkowi, tato? - Spojrzała na ojca i z jej twarzy zniknęła zapalczywość. Jej miejsce zajęło poczucie klęski. - Kocham cię i podziwiam, ale równocześnie widzę, że popełniasz błędy, i to mnie zabija.

Harry patrzył na nią ze smutkiem.

- Kocham cię. - Teraz mówiła tylko do ojca. - Szanuję cię i chciałam, żebyś ty też mnie szanował, ale na próżno. Gdybyś mnie szanował, uwierzyłbyś, że mogę poprawić sytuację hotelu, ale ty mnie nie szanowałeś. Jestem tylko dzieckiem - dodała z goryczą.

- Teraz rzeczywiście zachowujesz się jak dziecko - warknął Jason.

- Jeśli dziecinnym zachowaniem jest mówienie prawdy, to tak, zachowuję się dziecinnie - odparła Cleo.

- Posłuchaj, Cleo, jak ci się to nie podoba, to wynoś się do diabła! - krzyknął Barney.

Cleo nawet na niego nie spojrzała.

- Czy tego właśnie chcecie? - zwróciła się spokojnie do rodziców.

Ojciec wyglądał na roztrzęsionego, jak zawsze podczas rodzinnych awantur.

- Chcemy, żebyś wzięła za siebie odpowiedzialność - powiedział Barney, który najwyraźniej poczuł się odważniejszy, bo ojciec nie ugiął się przed tą cholerną Cleo.

Cleo miała wrażenie, że waży na dłoni swoje życie jak mały paciorek.

Przechylając go delikatnie w jedną stronę, wiedziała, że rodzice muszą wyjechać, dać sobie trochę spokoju. Pracowali ciężko i byłoby wspaniale, gdyby troje dzieci mogło przejąć hotel. Jeśli przechyliła paciorek w drugą stronę, dostrzegą, że Jason i Barney w równej mierze ponoszą odpowiedzialność za to, co się stało.

Gdyby stanęli po stronie Cleo, wspólnie mogliby uratować hotel. Obawiała się jednak, że bracia są zbyt leniwi i głupi, że chodzi im o szybkie i łatwe zyski.

Najwyższy czas przywrócić równowagę. Jej marzenie zostało rozbite w puch, ale rzecz się dokonała i muszą iść dalej. Cleo może i miała ognisty temperament babki, ale miała też cechę, której Evelyn Malin zawsze brakowało: poczucie lojalności. Musi wspierać rodziców. „Bardzo mi się nie podoba to, co zrobiliście, ale stanę po waszej stronie” - zdanie to brzmiało jej w głowie. Już miała je na języku, kiedy Sondra dołała oliwy do ognia.

- Cleo, zabierasz swoją część pieniędzy czy zostajesz przy swoich przekonaniach i odchodzisz? - zapytała.

Cała rodzina Malinów popatrzyła najpierw na nią, później na Cleo, która czekała, aż ktoś każe Sondrze cofnąć te słowa, bo oni w taki sposób nie załatwiają spraw, a Cleo przeżyła wielki szok. Lojalność obowiązuje w obie strony.

Cleo myślała, że mama powie coś w rodzaju „jakoś to rozwiążemy”, a potem każe komuś nastawić czajnik i postawi na stole krusze ciasteczka z tajnych zapasów Jacąui. A tata przytuli córkę i powie, że mu przykro, ale może by pomogła otworzyć ten pensjonat? I przynajmniej sprzedali hotel miejscowej firmie, a nie sieci w rodzaju Roth Hotels, bo tego Cleo by nie zniosła. Spodziewała się, że nawet bracia zaczną mrużyć pod nosem, że cała ta awantura była niepotrzebna, że temperament Malinów to okropna rzecz, więc może Cleo napije się szampana i uspokoi?

Ale nikt słowem się nie odezwał.

Do tej chwili miała nadzieję, którą teraz zabiło straszne milczenie rodziny - nikt nie próbował pocieszyć Cleo ani podtrzymać przy życiu tej znikającej nadziei.

Nikt. Wszystkim zależało na czymś zupełnie innym.

- Oczywiście pozostanę przy swoich przekonaniach - oznajmiła Cleo stanowczo, zdecydowana nie okazać, jak bardzo czuje się dotknięta. - Nigdy nie myślałam, że zrobicie coś takiego za moimi plecami. Sądziłam, że jestem częścią rodziny, ale widzę, że się myliłam. Więc nie pozostaje mi nic innego jak odejść. - Trzęsła się ze zdenerwowania, choć z całej siły próbowała to ukryć. - Nie zniósłabym oglądania, jak mój dom się rozpada. Nie dałabym rady. Wszyscy popełniacie ogromny błąd. Kiedy Trish odebrała telefon pięć minut po awanturze, była wstrząśnięta i oszołomiona. Jej rodzina zawsze żyła jak pies z kotem, ale rodzina Cleo była inna. Rodzice Cleo szczerze lubili spokój i zgodę i zawsze dokładali starań, by tłumić w zarodku potyczki. Jeśli doszło do konfliktu, to powodem musieli być Sondra, Barney albo Jason, którzy jakimś głupstwem zdenerwowali Cleo.

- Nie - wyjaśniła Cleo ze smutkiem - nie chodzi o żadne z nich. - To prawda, mieli swój wkład, ale nie tylko oni. Nie potrafiła się zmusić, by powiedzieć swojej najlepszej przyjaciółce, że tak naprawdę zdradził ją ojciec. Człowiek, którego wielbiła, podziwiała i idealizowała przez całe swoje życie, na którym chciała zrobić wrażenie, kończąc studia jako jedna z najlepszych na roku. Człowiek, który postanowił sprzedać rodzinny hotel, jej dziedzictwo. Człowiek, który nie stanął u boku córki, choć wiedział, jak bardzo ona cierpi.

To było zbyt bolesne, żeby opowiadać o tym nawet najlepszej przyjaciółce.

- I nie cofniesz tego, co powiedziałaś? - zapytała Trish, której wciąż cała ta historia nie mieściła się w głowie. - Nie zmienisz zdania?

- Nie - odparła Cleo.

- Wyobraź sobie: wyrzucona z rodzinnego domu jak jakaś osiemnastowieczna heroina, co zhańbiła rodzinę namiętnym romansiem z przystojnym synem wieśniaka, który nie dość, że zaręczony był z inną, to jeszcze pochodził z niższej sfery - zażartowała Trish, próbując nadać sytuacji lżejszy wymiar.

- Nikt mnie nie wyrzucił. Sama odchodzę czy raczej odejdę, jak tylko przyjedzie taksówka - oznajmiła Cleo, przez chwilę znowu przypominając dawną siebie.

- W naszym domu nie ma wolnego pokoju, ale możesz się przekimnąć na podłodze w mojej sypialni. - Trish próbowała być praktyczna.

- Dzięki, ale nie. Nie zniosłabym dzisiaj następnej podróży autobusem. Mogłabyś w moim imieniu zadzwonić do Eileen i zapytać, czy pozwoli mi pomieszkać u siebie przez kilka dni? - poprosiła Cleo. - Jeśli jeszcze raz będę musiała opowiadać o tej sprawie, to się rozplaczę.

Eileen mieszkała na niewielkim osiedlu w Carrickwell. Jej mieszkanie dysponowało spiżarką, którą agent handlu nieruchomościami entuzjastycznie nazwał drugą sypialnią, choć jak dotąd nie udało się znaleźć chętnego do jej wynajęcia.

- Jest dopiero środa, więc nie mogę urwać się z pracy, za to w piątek na pewno przyjadę i zaszalejemy - przyrzekła Trish. - To niczego nie rozwiąże, ale przynajmniej się zabawimy.

- Mnie to pasuje - odpowiedziała Cleo mechanicznie.

- Daj spokój, Cleo - Trish próbowała rozweselić przyjaciółkę. - To minie. Zobaczysz, zmienią zdanie.

- Oni może tak, ale ja nie - odparła Cleo stanowczo.

Taksówkarz wielokrotnie kursował do Willow w trakcie swojej kariery, ale po raz pierwszy musiał upchnąć w swojej taksówce siedem worków na śmieci pełnych ubrań. Pasażerką była córka Malinów. Ta wysoka, długonoga dziewczyna o figurze Amazonki sama bez trudu dałaby sobie radę z bagażem, ale wyglądała tak żałośnie, że postanowił jej pomóc.

Kiedy ostatni worek znalazł się w samochodzie, zapytał:

- To wszystko?

Przyjął ton beztroski, zdecydował bowiem, że nie będzie próbował odwiecznego „rozchmurz się, to może nigdy się nie zdarzy”. Najwyraźniej właśnie się zdarzyło.

- Tak. - Usiadła na miejscu pasażera. - Proszę jechać.

- Wyprowadza się pani? - zapytał, gdy samochód potoczył się po zwirowanym podjeździe. Same dziury, pomyślał. Powinni zrobić coś z tym podjazdem, bo ktoś zostawi tu podwozie.

- Tak. - Cleo jak żona Lota koncentrowała się na tym, żeby nie obejrzeć się za siebie.

Śmieszny sposób na wyprowadzkę, pomyślał taksówkarz i powiedział to głośno:

- Nie macie walizek, skoro... hmm... mieszkacie w hotelu?

Dawna Cleo posłałaby mu swój promienny uśmiech i może wesoło odpowiedziała: „Tak, mamy całe góry walizek, ale trochę się śpieszyłam, wie pan...”.

Nowa, zmieniona Cleo, twardsza wersja, która miała nadzieję, że nigdy, przenigdy nikomu już nie zaufa, odparła:

- Prawdę mówiąc, mam alergię na walizki. Dlatego się stąd wynoszę. Trudno pracować w hotelu, jeśli człowiek nie jest w stanie chwycić walizki.

- Jasne - przyznał taksówkarz. - To na pewno trudne. Chociaż znałem kiedyś dziewczynę, która pracowała u fryzjera i nie mogła przebywać w pobliżu płynu do trwałej. Miała alergię na pracę.

- Tak jak ja - zgodziła się Cleo. - Mam alergię na pracę.

Eileen całkiem dobrze przyjęła pojawienie się Cleo i siedmiu worków na śmieci.

- Trish mówiła, żeście się pokłócili - powiedziała, otwierając szeroko drzwi, żeby worki mogły się zmieścić.

Cleo, która nagle stwierdziła, że w obecności przyjaciółki trudno jej wykrztusić słowo, kiwnęła głową.

- Lody z podwójną mokką posypane czekoladą czy czekoladowo-waniliowy budyń od Mo? - zapytała Eileen.

Dolna warga Cleo niebezpiecznie zadrzała.

- Myślę, że jedno i drugie - stwierdziła Eileen. - I to natychmiast. W mieście takim jak Carrickwell nowiny rozchodzą się szybko.

Nazajutrz do południa wieść o wyjeździe Cleo została tajemniczo powiązana z informacjami o wielkiej firmie budowlanej, która chce kupić Willow. O wpół do piątej najnowsza wersja wydarzeń brzmiała następująco: Cleo Malin uciekła wczoraj wieczorem z domu po tym, jak wyznała bliskim, że jest w ciąży, rodzina zaś postanowiła sprzedać hotel podejrzanym osobnikom z zagranicy, którzy zamierzali otworzyć tam klub nocny z dziewczynami tańczącymi na rurze...

- I ojciec dziecka zostawił ją samą? - zapytała wstrząśnięta pani Maguire, kiedy usłyszała plotki w kolejce po wieczorne wydanie gazety. Lubiła Cleo: miła z niej

była dziewczyna. Ale miała okropnego pecha, skoro wdała się w romans z facetem, który ją porzucił na wieść o ciąży. Te dzisiejsze czasy... To po prostu skandal.

- Sama nie wiem - odparła pani O'Gorman, wciągając policzki w sposób, który przywołał na myśl próby wyciśnięcia soku z wysuszonej cytryny. - Ponoć płakała w taksówce, a to zawsze jest zły znak. Chociaż w głowie mi się nie mieści, że Harry i Sheila ją wyrzucili. To do nich zupełnie niepodobne.

- Nigdy w to nie uwierzę - wtrąciła pani Hanley, która wszystko słyszała i była zdeglustowana plotkarkami. - To najbardziej zżyta rodzina, jaką znam. Musi być w tym coś więcej.

Do piątku Cleo trzeci dzień z rzędu jadła waniliowo-czekoladowy budyń od Mo i wiedziała, że będzie jej trudno zmieścić się w wyjściowej dżinsy i połyskliwą obcisłą bluzkę, które zdaniem Eileen doskonale się nadawały do szaleństw na mieście.

- Nie chcę nigdzie iść - powiedziała Cleo smętnie, kiedy czekały na Trish. - Chcę zostać tutaj, oglądać telewizję i rozczulać się nad sobą.

- Rozczulanie się szkodzi twojemu zdrowiu - oznajmiła Eileen.

- Tak samo jak zjadanie wiadrami budyniu od Mo - westchnęła Cleo.

- To jest lekarstwo, więc się nie liczy

- Może pójdziecie we dwie z Trish, a ja zostanę w domu? - błagalnie zapytała Cleo. - Nie będziecie miały ze mnie żadnego pożytku. Nie jestem w nastroju do imprez.

I rzeczywiście nie była. Ani Eileen, ani Trish nie uświadamiały sobie, jak bardzo zraniona czuje się Cleo. Obie uznały cały incydent za zwykłą rodzinną sprzeczkę. Ale w rodzinie Malinów nie było sprzeczek. I chodziło o rzecz bardzo poważną. Sprzedano Willow, dom rodzinny Cleo. To nie był drobiazg. Jednym gestem zniszczono jej dzieciństwo i rodzinę. I ojciec nie próbował jej zatrzymać - to było najgorsze.

- Musisz się wyciszyć. - Eileen podchodziła do sprawy z optymizmem. - Godzina z nami na mieście i od razu poczujesz się lepiej.

O wpół do dziewiątej Cleo, Trish i Eileen zebrały się w małej, ale bardzo nagrzejonej łazience, żeby zrobić się na bóstwa. Wysoki koszt używania grzejników akumulacyjnych oznaczał, że w pozostałej części mieszkania zwykle było chłodno, za to niewielką łazienkę wystarczyło nagrzać, a ciepło w niej już zostawało.

Eileen zajęła honorowe miejsce na sedesie, skąd mogła się widzieć w ogromnym lustrze przysłaniającym połowę ściany. Każdy, kto brał prysznic, przy odsuwaniu zasłonki widział swoje przerażające nagie odbicie.

- Gdybym ja tu mieszkała, to lustro musiałyby zniknąć - oznajmiła Trish stanowczo ze swego miejsca na podłodze, gdzie przeglądała imponujący zbiór samoopalaczy, którymi zamierzała nadać swojej piegowej skórze barwę złota. - Kto chce oglądać siebie wychodzącą z kąpieli?

- Cameron Diaz? - zasugerowała Cleo, która przysiadła na skraju wanny z kosmetyczką na kolanach i kredką do ust w dłoni. - Halle Berry? - Od kazania, które wygłosiła jej Eileen, starała się zachowywać weselej, ale to były tylko "pozory

- A mnie nie przeszkadza oglądanie siebie - oznajmiła zaskoczona Eileen. Cleo i Trish na moment odebrało mowę. Cleo pomyślała o swoich bardzo wyraźnych waleczkach na biodrach i o tym, jak piersi dominują w całej jej figurze, o ile nie ujarzmi ich podwójnie wzmocniony stanik. Trish myślała o piegach, które miejscami jakby się łączyły i wbrew oczekiwaniom nadawały skórze odcień zielonkawy zamiast koloru złocistej opalenizny.

- Ale poważnie... bez wyszczuplających majtek, stanika podnoszącego biust i całej reszty? - zapytała Trish.

- Nagość jest naturalna - wzruszyła ramionami Eileen. - Ludzkie ciało jest piękne.

- Musisz przestać uprawiać jogę - powiedziała Trish, kręcąc głową. - Przez nią przestajesz być neurotyczką, którą znamy i kochamy. Nie wiem, jak wy, ale ja miałam taki tydzień, że muszę porządnie odreagować.

Hammerhead Jacks, najmodniejszy klub w mieście, był zatłoczony, kiedy trójka przyjaciółek o dziewiątej przekroczyła jego próg. Zarówno Eileen, jak i Trish zamierzały świetnie się bawić, ale na różne sposoby. Po pierwsze, Cleo i Eileen nie przepadały za piciem. Cleo pomagała ojcu uspokajać zbyt wiele napędzanych alkoholem kłótni w Willow, żeby teraz interesowała ją rola imprezowego zwierzęcia. Dla Trish natomiast wieczór nie był udany, jeżeli nie wypła kilku piw oraz co najmniej jednego koktajlu, przez co czuła się elegancka i światowa.

Wyznawany przez Eileen ideał dobrej zabawy polegał na spotkaniu się z tłumem przyjaciół ze szpitala i pokręceniu się po parkiecie, kiedy didżej zamiast nastrojowej muzyki włączy kilka przyzwoitych przebojów. Eileen nie była utalentowaną tancerką, za to świetnie jej wychodziło wyrzucanie rąk na boki i wirowanie jak derwisz, za dobrze się jednak przy tym bawiła, żeby się przejmować.

Trish lubiła polować na przystojnych mężczyzn i flirtowała jak opętana. W tym celu włożyła spodnie odsłaniające brzuch i obcisły biały T-shirt, który wyglądał,

jakby pochodził z działu dziecięcego w sklepie Oxfamu. Strój zapewniał jej pełny sukces.

Cleo zdawała sobie sprawę, że zachowuje się nietypowo cicho, ale taniec i zagadywanie chłopaków wydawały się zajęciami całkowicie pozbawionymi sensu w porównaniu z tym, co się wydarzyło. Nie miała nawet ochoty na kieliszek wina, ponieważ wiedziała, że poczuje się po nim jeszcze gorzej. I trudno jej było ekscytować się muzyką i obecnymi w klubie mężczyznami.

Trish ze swej strony bardzo się nimi ekscytowała.

- W głowie mi się nie mieści, że od tak dawna nie byłam w Hammerheads - powtarzała zaskoczona. - Usunęłam Carrickwell z radaru i popełniłam błąd. Są w tym mieście przyzwoici faceci. Wysoki współczynnik PM. Skąd oni się biorą? Przywożą ich tu czy hodują gdzieś na uboczu jako dzieci kosmitów? Och, popatrz - okrzykiwała się na siedzeniu wpatrzona w chłopaka niczym mewa wbijająca paciorkowate oczka w kuter rybacki. - A niech mnie: PM8, co najmniej.

Trish dysponowała długą litanią skrótów, które stosowała w polowaniu na Tego Jedynego. Żadna dziewczyna nie chciała, by słyszano, jak głośno mówi: „Och, on jest boski!”, bo obiekt pożądania mógłby to zauważyć i skrzywić się, co wszystko by zepsuło, więc z koleżankami z college'u doszły do wniosku, że lepiej będzie mówić PM6 albo PM7, a nawet, choć bardzo rzadko, PM10. Skrót oznaczał Prawdziwego Mężczyznę, w skali od jednego do dziesięciu. Idealem był PM10, który obiecywał, że jutro do ciebie zadzwoni i faktycznie dzwonił. Na nieszczęście ideały, o czym na własnej skórze przekonały się Trish i Cleo, należały do rzadkości. PM10 z dobrymi manierami wybierali inne dziewczęta, podczas gdy - Cleo i Trish odczuwały magnetyczny pociąg do S, FzZND "oraz BP/NFKBSTW, co oznaczało Świrów, Facetów ze Zobowiązaniami Następnego Dnia oraz Bardzo Pijanych Nieprzytomnych Facetów, Którzy Bawią Się Twoimi Włosami.

Eileen, która nigdy nie chciała grać w tę grę, zaczęła w końcu gubić się w nomenklaturze.

- Ojej, PM8 na siódmej godzinie - mruknęła Trish, prawie nie otwierając ust. - Bardzo wysoki odczyt BM, przypuszczalnie NŻ, a już na pewno nie TNTK. Nie ma śladu po obrączce, widzisz?

- Co ona gada? - Zdumiona Eileen zwróciła się do Cleo.

- Prawdziwy Mężczyzna, osiem punktów, stoi przy barze na lewo od Trish. Daje mu bardzo dużo na bzykometrze i mówi, że chyba nie jest żonaty, bo nie widzi śladów po zdjętej obrączce, więc jej zdaniem jest OK i nie okaże się jednym z tych facetów, którzy dają ci tylko numer telefonu komórkowego.

- Jesteście chore - warknął ktoś za ich plecami. - Nic dziwnego, że jesteście tu same.

Trish pokazała mu środkowy palec i poszła do toalety.

- Był tu tajemniczy autobus - powiedziała z rozmarzeniem po powrocie. - Od razu czuję się lepiej.

Cleo przetłumaczyła jej słowa Eileen:

- Trish mówi, że tajemniczy autobus pojawia się wtedy, kiedy po kilku drinkach idziesz do kibelka i alkohol ma czas uderzyć ci do głowy, a po powrocie widzisz, że wszystkich brzydkich facetów wywiózł gdzieś tajemniczy autobus i zostali sami przystojniacy.

- Tajemnicza taksówka to z kolei taki przypadek, kiedy następnego dnia rano budzisz się koło brzydala, a nie tego przystojniaka, z którym wróciłaś do domu - zachichotała Trish. - Tajemnicza taksówka zabiera przystojnego i zostawia jakiegoś neandertalczyka, który powinien ogolić sobie plecy.

Koło jedenastej Cleo poczuła, że dłużej tego nie znieśie, poza tym miała po dziurki w nosie dietetycznej coli. Chciała być już w domu na prowizorycznym łóżku w spiżarni Eileen i w samotności uzalać się nad sobą.

- Trish, chodźmy już. Rano mi podziękujesz - powiedziała do przyjaciółki, która układała plany pójścia do innego nocnego klubu, gdzie podpierają ściany jeszcze atrakcyjniejsi faceci.

- Ale z ciebie podła świnią - protestowała Trish, która wprawdzie lubiła pić, ale odznaczała się niską tolerancją na alkohol. - Nie chcę wracać. Nie psuj mi zabawy.

- Trish, przepraszam, ale nie jestem w nastroju. No, chodźmy już. Trish objęła przyjaciółkę.

- Przepraszam, przepraszam - wymamrotała. - Przepraszam za wszystko, bardzo przepraszam. - I wybuchnęła płaczem.

- Wracamy do domu - zarządziła Eileen, równie trzeźwa jak Cleo.

- Bez dwóch zdań.

Pozbierały torebki, płaszcze i wielkie wełniane szale, chociaż Trish miała syndrom alkoholowego ciepła, co oznaczało, że fizycznie i psychicznie było jej gorąco i pomimo chłodnego wieczoru uważała, że włożenie płaszcza na skąpy top jest rzeczą absolutnie zbędną.

- Złapie zapalenie płuc - jęknęła Cleo, razem z Eileen wyprowadzając Trish z klubu.

- Wcale nie tak łatwo złapać zapalenie płuc - stwierdziła Eileen prozaicznie, gdy doszły do postoju taksówek. - I klatkę piersiową Trish ma w porządku.

- Twoja klatka piersiowa też jest w porządku, kochanie - wrzasnął ktoś z przodu kolejki do Cleo, która załapała się ciemnym rumieńcem i mocniej otuliła płaszczem.
- Pewnego dnia uszczęśliwisz jakiegoś mężczyznę. Niech to będę ja, prooszę... !
- Ach, spieprzaj - ryknęła w odpowiedzi Trish.

Z pobliskiej eleganckiej restauracji wyszli czterej mężczyźni i kobieta i skierowali się na postój. Cleo przyjrzała im się i poczuła zażenowanie. Na oko było widać, że nie należą do stałych bywalców nocnych lokali w Carrickwell. Cleo spojrzała w oczy najwyższemu z tej grupy, ubranemu w ciemny płaszcz mężczyźnie z krótkimi włosami, kamienną twarzą, patrzącymi wyniośle oczami nad zakrzywionym nosem i brodą, która mówiła: „Chcę to NATYCHMIAST”. Był przystojny, jeśli ktoś lubił Samców Alfa, ale miny wcale nie miał przyjacielskiej.

- Sama spieprzaj - wrzasnął głos z przodu kolejki. - Mówiłem jej tylko, że mi się podoba.
- Ona nie chce tego wiedzieć, więc się odpieprz... - zaczęła Trish. Cleo próbowała ją uciszyć. Nie chciała awantury. Dostatecznie fatalne było to, że miały widownię, bez wciągania w to jakichś nastawionych negatywnie turystów.
- Urocze miasteczko, szkoda, że takich ma mieszkańców - przemówił męski głos. - Pewnie babski wieczór. - To był ten wysoki Samiec Alfa. Patrzył na Cleo, Trish i Eileen z niesmakiem.

Rozgniewana Cleo odpowiedziała mu tym samym. Jak śmie z góry zakładać, że ona bierze udział w jakiejś obrzydliwej pijatyce?

- To nie jest babski wieczór - warknęła, potrząsając lokami i rozdymając nozdrza. Ale ma tupet ten facet.
 - Nie jesteście zameżne? Żadna z was nie jest zameżna? - wybełkotał pijak, który zaczął cały ten incydent. - Więc jest jeszcze dla nas jakaś nadzieja.
- Jedyna kobieta w grupie, która wyszła z restauracji, mocniej otuliła się płaszczem z wielbłądziej wełny. Wysoki mężczyzna położył jej dłoń na ramieniu.
- Muszę przeprosić - powiedział.

Cleo zadarła królewskim gestem brodę, przygotowując się na ciąg dalszy.

- Przepraszam za zachowanie tutejszych mieszkańców - mężczyzna zwrócił się do swoich towarzyszy. - Samcza kultura sprawia, że kobiety upijają się w lokalach. Zobaczyliście niezbyt idealny obraz Carrickwell, ale zapewniam was, że poza tym miasto jest urocze. Przypuszczam, że każde piękne miejsce ma swoje braki.

Gniew na moment odebrał Cleo siły. Ręka podtrzymująca Trish zwiotczała i tak samo zwiotczała też Trish. Upadła na chodnik, rozpaczliwie chwytając się nóg Cleo. Na nieszczęście Cleo była w butach na najwyższych z posiadanych przez siebie obcasów. („Musisz je włożyć - nalegała wcześniej Eileen. - Wysokie obcasy dodają znaczenia”). Na wilgotnym chodniku, z przyjaciółką, która ją szarpała, obcasy Cleo nie dodawały już znaczenia, tylko wręcz przeciwnie, ciągnęły w dół. Przewróciła się niezgrabnie, obcierając dłoń o bruk.

- Auuu! - jęknęła na poły z bólu, na poły z szoku. Zawsze praktyczna Eileen strażackim chwytem podniosła

Trish, która trochę chwiała się na nogach po upadku.

Jakiś nieznajomy podał Cleo rękę i pomógł jej wstać gestem dość uprzejmym, choć niezbyt delikatnym. Gdy wstrząśnięta, ze łzami w oczach wracała do pionu, miała wrażenie, że widzi miękki ciemny płaszcz. To był Samiec Alfa, tuż obok. Przewyższał ją wzrostem i odznaczał się wielką siłą - tak przynajmniej wywnioskowała ze sposobu, w jaki ją trzymał: jakby była kruchą istotką. I był niesamowicie męski z tą krótką fryzurą odsłaniającą twarz z ostrymi rysami, w której dominował nos Medyceuszy i przysłonięte powiekami piwne oczy.

- Moim zdaniem - mruknął, a jego oddech muskał ją w twarz - nie powinna pani tyle pić.

- Czas na imprezę! - zachichotała Trish, przysuwając się do Cleo, żeby ją objąć. Nieznajomy puścił Cleo, która wyciągnęła rękę i mocno złapała Trish, po czym odwróciła głowę, szukając swej ofiary. Zaraz mu się dostanie tak, jak nigdy w życiu. Z nosa polecą mu krew, takim szokiem dla niego będą jej słowa...

Ale jego już nie było. Dostrzegła tylko połyskliwą czarcia głowę znikającą w równie połyskliwym czarnym samochodzie, a potem cicho trzasnęły drzwiczki.

- Jak śmiesz? - krzyknęła ile sił w płucach za odjeżdżającym autem. - To nie jest babski wieczór, a ja nie jestem pijana. Nie wypiałam ani kropli alkoholu, ani kropli, ty, ty... podła świni!

- Och, moja głowa - jęknęła Trish, niezręcznie zasłaniając uszy. - Nagle poczułam się dziwnie. Cleo, proszę cię, nie krzycz tak.

- Właśnie - zawtórował jej bełkotliwie pijak. - Nie krzycz. Jak przyjedzie policja, wszyscy będziemy mieć kłopoty.

- W domu jest czekolada - powiedziała Eileen dyplomatycznie. - Te nowe batony Nestle i lody Magnum w zamrażarce. Och, i czekoladowe bułeczki z Mo's Diner, ale są sprzed kilku dni, więc mogły stwardnieć i nie będą ci smakować.

Wspólnymi siłami zaczęły prowadzić Trish do domu.

- Nigdy nie mów nigdy, jeśli chodzi o bułeczki Mo. - Tyle tylko mogła z siebie wyrzucić Cleo, nie wpadając w gniew. Spotka się znowu z tym facetem i powie mu, co o nim myśli, nawet gdyby była to ostatnia rzecz, którą zrobi w życiu.

Rozdział dziesiąty

Daisy siedziała, na odzianych w czerń kolanach trzymając torebkę - z różowej wełny, ręcznie wykonane dzieło sztuki, ponieważ dzisiaj chciała wyglądać jak najlepiej - i starała się nie patrzeć na wielki zegar wiszący na beżowej ścianie poczekalni.

Było dziesięć po dziesiątej, a wizytę u lekarza w Klinice Płodności Avalon mieli umówioną na wpół do dziesiątej. Poza nimi czekały inne pary, niektóre sprawiające wrażenie odprężonych, w większości jednak spięte, i wszyscy usiłowali ignorować zegar. Nikt nie podchodził do biurka młodej i świeżej recepcjonistki, żeby narzekać na długie czekanie. Tutaj nie było takiego zwyczaju. Wręcz przeciwnie: wszyscy sprawiali wrażenie, jakby gdzieś w budynku spoczywał święty Graal, i niespokojnie wyczekiwali, aż zostaną w to miejsce wezwani. Powietrze składało się w dwudziestu pięciu procentach z azotu, w dwudziestu pięciu z tlenu i w pięćdziesięciu z nadziei.

Wszyscy niespokojnie się prostowali, kiedy ubrana w biały strój kobieta wywoływała nazwiska, po czym znowu garbili się na twardych ławkach, gdy okazywało się, że nie chodzi o nich.

Alex nie znośił czekania i Daisy widziała, jaki jest zdenerwowany. Siedział z nogą założoną na nogę, uosobienie nonszalancji, ale kręcił stopą, jakby występował w filmie instruującym, jak uniknąć trombozy żył. Oczy miał spuszczone, jakby się bał, że spotka kogoś znajomego. Daisy popatrzyła na niego.

- Wszystko w porządku? - zapytała po raz chyba dziesiąty od śniadania.

- Tak - odparł z tą samą szorstkością, co za każdym poprzednim razem.

To nerwy, tylko nerwy. Daisy ujęła go za rękę. Jego palce splotły się z jej palcami mocno, w geście pociechy. Zamknęła oczy, starając się myśleć o rzeczach przyjemnych i spokojnych. Za dwa dni leciała do Dusseldorfu na targi mody i w zwykłych okolicznościach siedziałaby w domu, dobierając garderobę na wyjazd. Dzisiaj nie obchodziło jej, w co ubierze się w Dusseldorfie. Wizyta w klinice była najważniejsza.

Po raz kolejny wstała, żeby przejrzeć czasopisma rozłożone na niskim stoliku do kawy. Było tam mnóstwo prasy kobiecej, kilka magazynów żeglarskich oraz stary numer „National Geographic” z krajobrazem peruwiańskim na okładce.

- Popatrz, Alex - powiedziała wesoło. - Peru. Zawsze chcieliśmy tam pojechać. -

Podając mu magazyn jak kapłan Inków składający w ofierze serce, uśmiechnęła się optymistycznie.

Ledwo Alex wziął magazyn, kiedy wysoka ciemnowłosa kobieta w białym fartuchu otworzyła drzwi gabinetu i powiedziała:

- Daisy Farrell i Alex Kenny, zapraszam. Daisy skoczyła na równe nogi jak sprężyna.

- To my - oznajmiła bez tchu.

Pomyślała, że wizyta przypomina zwykłą wizytę u lekarza, jedyna różnica polega na tym, że wysoką kobietę, doktor Makim, interesuje historia płodności pary. Pytała o rodzeństwo, o to, czy Daisy lub Alex mieli już dzieci, czy Daisy wcześniej zachodziła w ciążę, o operacje i przebyte choroby.

Trwało to dość długo. Daisy odprężyła się, nabrała bowiem przekonania, że sytuacja jednak jest całkiem normalna i nie ma potrzeby tak się denerwować. Doktor Makim odłożyła długopis i zaczęła opowiadać o działalności kliniki. Obojgu podała kartki papieru.

- Ma pani trzydzieści pięć lat, a w tym wieku obserwujemy spadek płodności u kobiet - zwróciła się do Daisy, która poczuła zwykłe wyrzuty sumienia, że to wszystko jej wina. - Płodność jest jednak sprawą złożoną i może zależeć od obojga partnerów. W przypadku, gdy problemem jest jakość spermy, można skorzystać z wielu metod, począwszy od oczyszczania plemników, przez nowoczesne techniki IVF, na dawcy skończywszy.

Daisy bała się spojrzeć na Alexa, który nie odrywał kamiennego wzroku od lekarki. Dla mężczyzn stwierdzenie, że są bezpłodni, może okazać się doświadczeniem traumatycznym, odbierającym im męskość - tak w każdym razie wynikało z biblii Daisy, Podręcznika płodności współczesnej kobiety. Daisy naprawdę nie miałyby nic przeciwko temu, żeby to ona okazała się winna problemów, bo w ten sposób Alexowi oszczędzono by przekonania, że winny jest on. Dla dobra dziecka przyjęłyby to bez słowa. Czy to ważne, kto jest winny, skoro zaszłyby w ciążę? Położyła dłoń na kolanie Alexa, dodając mu otuchy, ale on był tak skoncentrowany na słowach lekarki, że nie zareagował.

Następnie doktor Makim wyjaśniła im szczegółowo, na co się decydują: długotrwałą terapię hormonalną, która czasem może przynieść fatalne skutki uboczne, ogromne napięcie emocjonalne, a często porażkę.

- Różne kliniki mają różny odsetek przypadków zakończonych pomyślnie. W Avalonie, generalnie rzecz biorąc, odsetek dzieci, jak to nazywamy, zabranych do domu - mówiła, spoglądając ze współczuciem na Daisy, która skrzywiła się na brutalność tej definicji - wynosi około dwudziestu procent.

- A ludzie mówią, że dzięki nauce można rodzić dzieci w nieskończoność - powiedziała Daisy żartobliwie, by ukryć zdenerwowanie. Równocześnie modliła się w duchu, by samej znaleźć się w tych dwudziestu procentach.

- Nauka jest nauką, a nie Bogiem. - Doktor Makim wzruszyła ramionami z miną człowieka, który na własne oczy przekonał się o prawdziwości tych słów. - Nie ma żadnych gwarancji. Najważniejszy krok to zrozumienie. Wbrew temu, co pani czytała, to nie jest łatwa droga.

Daisy i Alex w milczeniu przetrawiali te informacje.

- Zaczniemy od zbadania obojga partnerów - ciągnęła lekarka. - Badanie spermy mężczyzny, badanie krwi obojga, test postkoitalny, a wreszcie laparoscopia u kobiety. Jest to zabieg, w czasie którego przez nacięcie w pępku wsuwamy mikrokamerę, żeby stwierdzić, czy nie cierpi pani na endometriozę albo inne dolegliwości jajników, macicy czy jajowodów. Wymaga on pełnej narkozy oraz dobowego pobytu w szpitalu. Nie ma pani uczulenia na narkozę, prawda? - Notowała, zadając pytanie.

- Nie - odparła Daisy. Zrobi to, z narkozą czy bez.

- Operacja? - wtrącił Alex. - Z narkozą? Nie wiedziałem, że testy oznaczają też operację.

Tym razem to Daisy skrzywiła się z irytacją. Tydzień temu dała mu do przeczytania Podręcznik płodności współczesnej kobiety i wszystkie opcje były tam opisane. Czyżby w ogóle nie zajrzał do książki?

- Kliniki leczenia bezpłodności często są oskarżane o stosowanie terapii wobec osób, które wcale jej nie potrzebują - oznajmiła doktor Makim ze stalową nutą w głosie. - To nie dotyczy kliniki Avalon. Nie rozpoczynamy leczenia, dopóki jednoznacznie nie ustalimy przyczyn bezpłodności danej pary, o ile takie przyczyny są możliwe do wykrycia. Do tego potrzebne są wszechstronne badania. Jeśli zdecydują się na terapię, będą musieli wysłuchać wykładu o leczeniu bezpłodności wygłoszonego przez dyrektora kliniki, a następnie wziąć udział w dwóch sesjach z psychologiem.

- Nie chcemy przez to powiedzieć, że sami nie wiecie, na czym wam zależy, albo że decyzja o podjęciu leczenia nie została podjęta właściwie - dodała lekarka. - Chodzi o to, żebyście poznali wszystkie fakty i dobrze sprawę przemyśleli. Daisy kiwała głową, w duchu marząc, by mogli ominąć wszystkie wstępne procedury i zacząć leczenie natychmiast. Ona i Alex pragną dziecka, po co zwlekać?

Wyszli z gabinetu ze stosem folderów dotyczących kliniki, formularzami zgody oraz pamiętnikiem opisującym przeżycia pary, która poddała się leczeniu. Lekarka powiedziała, że lektura tego pamiętnika często pomaga pacjentom.

Daisy usiadła na miejscu pasażera w samochodzie Alexa, do piersi tuląc stos papierów. Z podniecenia brakowało jej tchu. Wreszcie przystąpili do działania. Szczęśliwym trafem może się okazać, że Daisy jest płodna i wystarczy kilka tabletek, żeby zaszła w ciążę. Ciągle przecież słyszy się takie historie, prawda? - Dochodzi wpół do pierwszej - powiedziała, spoglądając na zegarek. - Może zjemy jakąś kanapkę, a potem podrzucisz mnie na parking, gdzie zostawiłam samochód, i pojedziesz do pracy?

Ponieważ klinika znajdowała się w Dublinie, rano przyjechali do miasta swoimi samochodami, żeby Daisy mogła wrócić do Carrickwell.

- Jasne - odparł Alex z roztargnieniem.

W restauracji zostawił Daisy przy stoliku i poszedł do łazienki.

- Dla mnie zupa, kanapka z kurczakiem i kawa z mlekiem - powiedział przed odejściem.

Daisy złożyła zamówienie, po czym z dreszczem podniecenia otworzyła pamiętnik. Prawdziwy osobisty opis całego procesu wydawał jej się bardziej sensowny od suchych medycznych tekstów.

Autorką była kobieta podpisująca się inicjałem E We wstępie nie powiedziano wprost, czy ona i jej partner T doczekali się w końcu dziecka.

Nie mogę uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Oszczędzaliśmy na terapię od dawna i T jest prawie tak samo podekscytowany jak ja. Przez ostatnie cztery lata nie rozmawialiśmy o dzieciach, a teraz pozwalamy sobie od czasu do czasu na takie wzmianki. W domu mamy pokój, który nazywaliśmy pokojem dziecięcym do dnia, gdy zdiagnozowano u mnie cysty jajników. Później nazywaliśmy go pokojem gościnnym.

Wczoraj wieczorem T powiedział, że powinniśmy odnowić pokój dziecięcy. To były jego słowa. Kiedy je usłyszałam, zalała mnie fala miłości do niego. On wierzy, że nam się uda.

Daisy przerzuciła kilka kartek, pragnąc się dowiedzieć, co było dalej.

Zastrzyki są okropne. To tak, jakby wpychano ci do brzucha długopis. Takich igieł używają diabetycy. T musi mi je robić, bo ja zupełnie nie radzę sobie ze strzykawkami, nawet jeśli nazywa się je długopisami. Brzuch mam wzdęty, czytałam, że niektóre kobiety naprawdę czują wszystkie dodatkowe jajeczka produkowane przy przyjmowaniu hormonów. Nazywają je pęcherzykami. To brzmi śmiesznie - pęcherzyki są w płucach. T mówi, że jestem stuknięta, ale ja wolę czuć całe jajeczka, żeby poczęło się nasze dziecko, a nie pęcherzyki!

Znowu przerzuciła kilka kartek.

Najgorsze jest czekanie. Lekarz nas uprzedzał, ale mu nie wierzyłam. Okazało się, że ma rację. To piekło na ziemi. Czy normalne kobiety też tak czekają, żeby się przekonać, czy są w ciąży?

Daisy ogarnęło współczucie do nieznannej E Proszę, niech jej się uda! Alex podszedł do stolika równocześnie z kelnerką, która przyniosła jedzenie. Apetyt Daisy, nieobecny przy śniadaniu, wrócił ze zdwojoną mocą. Energicznie rzuciła się na kanapkę i sok, podczas gdy Alex nie tknął jedzenia. Mieszał tylko kawę, wpatrując się w nią tak, jakby kryła tajemnice wszechświata.

- Uda nam się! - szepnęła Daisy z oczami jaśniejącymi szczęściem. - Będziemy mieć dziecko!

- Daisy, myślę, że powinniśmy zrobić sobie przerwę - odparł pośpiesznie. - To wszystko jest zbyt intensywne, całe to leczenie.

Daisy zamruwała. Ogórek w kanapce nagle zaczął smakować jak guma.

- Co... co ty mówisz? Przerwę od czego? Przecież dopiero zaczęliśmy

- Nie chodzi mi o klinikę, tylko o nas. O separację na próbę. - Skoro raz zaczął, słowa popłynęły strumieniem. - Nie odpowiada mi ta terapia... - Wymówił to z niesmakiem, jakby sam wyraz napawał go wstrętem. - Stresuje mnie i ciebie też. Popatrz tylko na siebie: masz obsesję na tym punkcie. O niczym innym nie mówisz.

- To bardzo ważna sprawa - odparła Daisy niespokojnie - i dam sobie z tym radę, przyrzekam. Oboje sobie poradzimy, Alex. Wizyta nie była łatwa, ale lepiej poznać wszystkie fakty, prawda? Możemy dać sobie z tym radę. Pokręcił głową.

- Nie możemy, ja nie mogę. Cała ta sprawa zaczyna zajmować za wiele miejsca. W życiu musi być coś więcej niż ta mania na punkcie dzieci. Dzieci, dzieci, dzieci, o niczym innym nie słyszę.

- To nie w porządku. - Daisy wiedziała, że nie mówi bez przerwy o dziecku. Do diabła, gdyby mówiła o tym równie często, jak myślała, w ogóle o niczym innym by nie rozmawiali. Ale ona tego nie robiła. Pilnowała się, nieustannie cenzurując poruszane tematy.

- Przykro mi, Daisy, ale nie jestem w stanie tego zrobić. Bardzo, bardzo mi przykro.

Wpatrywał się w nią niespokojnie swymi piwnymi oczami, a jego przystojna twarz, którą tak dobrze znała, nigdy dotąd nie była tak udęczona.

- Nie mówisz poważnie. - Kiedy wypowiedziała te słowa, uświadomiła sobie, że jednak to miał na myśli. Naprawdę chciał odpocząć od związku z nią. Trudno jej było przyjąć to do wiadomości. Alex i Daisy nie będą razem. Świat stawał na głowie.

- Mówię - odparł przygnębiony. - Musimy przez jakiś czas pobyć oddzielnie.

- Nie możesz tak myśleć. - Tym razem w jej głosie pojawiło się naleganie. - Kocham cię, od zawsze jesteśmy razem powinniśmy się pobrać i mieć dziecko... a nie to.

- Musimy przez jakiś czas pobyć oddzielnie - powtórzył jak mantrę. - Tak będzie najlepiej, Daisy. Proszę, zrób to dla mnie. To rozsądne wyjście.

- Jak może być rozsądne?

- Jest, zaufaj mi.

Pamięć zupełnie niestosownie podsunęła jej stary dowcip: co robi kłamca, kiedy chce powiedzieć: „Mam cię gdzieś”? Mówi: „Zaufaj mi”.

- Nie chcę cię skrzywdzić, Daisy. - Znowu wpatrywał się w kawę i było to bardzo niepokojące. - Tyle razem przeszliśmy...

- Przez to też możemy przejść - przerwała mu gwałtownie. - Nie rób tego, Alex, bardzo cię proszę. Kocham cię, nie możesz mnie zostawić, nie możesz...

- Muszę - rzucił ostro i z taką siłą odsunął filiżankę, że kawa chlapnęła na stół, tworząc mleczną kałużę.

- Cholera. - Daisy równocześnie zaczęła się trząść i płakać. Po jej twarzy płynęły wielkie łzy. Nie potrafiła opanować dreszczy i kiedy z niedowierzaniem spojrzała na swoje dłonie, widziała, jak dygoczą. Wyglądały, jakby należały do kogoś innego. - Proszę, nie odchodź. - Nie dbała o to, czy jest żalosna, każda cząstka jej ciała pragnęła, by Alex z nią został. Jeśli czegoś tak bardzo pragniemy, to to może się stać, prawda? - Zostań, proszę - szepnęła. - Nie potrafię żyć bez ciebie, Alex. Cokolwiek jest nie tak, potrafimy to naprawić.

- Przestań. - Nie prosił. Był szorstki, zirytowany na nią za jej słabość, pragnienia. - Dajże spokój, Daisy, wszystko będzie dobrze. Wiele par rozchodzi się na trochę, żeby uporządkować sprawy.

Rzeczywiście, wiele par tak robi. Chwyciła się kurczowo tego dowodu świadczącego o tym, że to rodzaj czkawki, jakiś okropny rytuał, po którym znowu będą razem.

- Wszystko będzie dobrze? - Nie obchodziło jej, że zachowuje się jak małe dziecko płaczące za mamusią.

W odpowiedzi poklepał ją przyjacielsko po ramieniu.

- Dzisiaj zatrzymam się u Davida. Tak będzie lepiej. Zabiorę parę rzeczy, jak będziesz w pracy, a po twoim powrocie z Niemiec wszystko omówimy, dobrze?

- Dobrze - powtórzyła Daisy. A potem coś przyszło jej do głowy. - Alex, czy jest inna kobieta?

Przez ułamek sekundy sądziła, że potwierdzi.

- Jasne, że nie - powiedział swobodnie. - Zamówię ci taksówkę na parking. - Wstał i dodał: - Muszę lecieć do biura. I tak za długo to już trwało.

Zachowywał się rzeczowo, wzywając kelnerkę, prosząc o rachunek i o wezwanie taksówki. Wsunął banknot pięćdziesięcioeurowy w dłoń Daisy, która siedziała zgarbiona bezsilnie na krześle.

- Na taksówkę - wyjaśnił, całując ją przyjacielsko w czoło.

Jakaś jeszcze funkcjonująca część mózgu Daisy powiedziała jej, że to o wiele za duża kwota na taksówkę. Parking znajdował się półtora kilometra dalej, Alex mógł ją tam podrzucić, nie tracąc za wiele czasu.

- Pogadamy, jak wrócisz z Niemiec. Szczęśliwej podróży i dbaj o siebie. Nie szalej z zakupami!

Zawsze tak mówił. Karta kredytowa paliła Daisy w palce, kiedy przestawała się pilnować, a za granicą tym bardziej. Dzisiaj jego przestroga brzmiała płytko.

- Wszystko będzie dobrze, Daisy. Najbardziej lubisz targi w Dusseldorfie, prawda? Porozmawiamy później.

Alex podniósł dłoń do ucha, jakby trzymał w niej telefon. W taki sposób dawał znać przelotnemu znajomemu na drugim końcu zatłoczonej sali, że do niego zadzwoni. „Straszny dupek - mruczał do Daisy, która śmiała się cicho - ale może się przydać. Ma wiele kontaktów”.

Teraz ona się czuła jak okropny dupek, ktoś, kogo Alex chce zbyć machnięciem ręki.

- Cześć - powiedział i odszedł, nim zdążyła zareagować. W barze panowało ożywienie, jak zwykle w porze lunchu, a ona siedziała odrętwiała, modląc się w duchu, żeby nie przyszła kelnerka z wiadomością o czekającej taksówce. Nie wiedziała, jak zdoła wstać i wyjść, nie zwracając na siebie uwagi całej sali.

Powrócił strach, przygniótł ją jak ogromny ciężar.

Kiedy była otyłą nastolatką - nigdy później tyle nie ważyła - Daisy przeszła przez etap, w którym nikogo nie chciała spotykać. Tamtego lata przeprowadziły się z matką do domu, nie widywała więc znajomych z miasta i łatwo było jej popaść w rodzaj agorafobii.

Ukrywała się przed listonoszem, który podjeżdżał furgonetką pod furtkę, pragnąc nawiązać znajomość z nowymi mieszkańcami. Idąc po sprawunki dla matki, chowała się za bramy przed mijającymi ją samochodami, w sklepie natomiast starała się zajmować jak najmniej przestrzeni i miała nadzieję, że ludzie jej nie widzą.

Nie czuła się tak od lat, odkąd poznała Alexa, a teraz wszystko to wróciło: strach, wstręt, pogarda do siebie. Najlepsi przyjaciele otyłej dziewczyny.

- Taksówka dla pani Farrell! - ryknął ktoś.

Czując na sobie oczy wszystkich obecnych, Daisy jakoś dowlokła się do drzwi. Miała wrażenie, że musi zmagać się z huraganem. Czy tak czuł się Alex, kiedy

miał Epsteina-Barra: wyczerpany, każdy krok okupujący straszliwym wysiłkiem? Po pięciu minutach taksówka zawiozła ją na parking. Daisy wsiadła do swojego samochodu i długą chwilę wpatrywała się w deskę rozdzielczą, jakby nigdy wcześniej jej nie widziała. W ciągu kilku minut w jej świecie zamiast radości zapanowało przerażenie i czuła się kompletnie zagubiona. Kim jest bez Alexa? Nikim. On był jej kompasem i źródłem siły. Bez niego nie da sobie rady. Trzy dni później w eleganckim pokoju hotelowym, w którym wszystko było kremowe albo z drewna tekowego, Daisy spojrzała na ubrania starannie rozwieszane w szafie i westchnęła. Nie mówiła po włosku ani japońsku, ale miała wrażenie, że zna te języki, ponieważ na metkach widniały nazwy Fendi, Miu Miu, Missoni, Yamamoto, Matsui, swobodnie toczące się po języku. Daisy poznała dogłębnie język mody, za to kompletnie nie potrafiła się porozumieć w prawdziwym świecie.

Dzisiaj musiała się zdecydować na jeden z dwóch kostiumów, oba oczywiście czarne. Wybrała komplet z kolekcji Comme de Garçons, do tego czarne zamszowe kozaczki i srebrzyste perły, które za grosze kupiła na targu w Paryżu. Z lustra patrzyła na nią wysoka, elegancka kobieta z burzą czerwonych włosów, uosobienie miejskiego wyrafinowania. Daisy wyglądała dobrze, ale dlaczego czuła się tak fatalnie? Czy powodem były cztery wódki z barku, które wypiła wieczorem po zameldowaniu się w hotelu, valium, które świsnęła z sekretnego zapasu Mary w pracy, czy może po prostu to, że całe jej życie waliło się w gruzy?

Ludzie, którzy chcieli wiedzieć, w jaki sposób Daisy kupuje ubrania do sklepu z półrocznym wyprzedzeniem, pytali też, czy na pokazach szampan leje się strumieniami, kokaina dostępna jest na każdym kroku, a wszędzie widać przerażające redaktorki od mody z tipsami przyklejonymi do paznokci i okularami przeciwsłonecznymi przyklejonymi do nosa. Daisy zwykle się śmiała i mówiła, że nigdy nie trafiła na kokainę, ale może po prostu nie zna odpowiednich ludzi.

Szampana od czasu do czasu można się napić, za to przerażające redaktorki bywają jedynie na międzynarodowych tygodniach mody w Londynie i Paryżu, a nie na pokazach pret-a-porter, na których Daisy dokonuje większość zakupów. Pokazy w Londynie, Paryżu i Mediolanie były najważniejsze w branży, przyciągały dziennikarzy z najrozmaitszych wydawnictw zajmujących się modą, a modelki prezentujące kreacje zwykle oglądały świat wyłącznie z okładek „Vogue'a Daisy uwielbiała pokazy w Londynie i Paryżu, ale nie co roku na nie jeździła, bo były bardzo kosztowne.

Poza tym jeśli brał w nich udział jej ulubiony projektant, ubrania mogła kupić u jednego z jego agentów.

Wspominała swój pierwszy pokaz mody wiele lat temu. Jej mentorka, też rudzielec, gościnnie wykladała w collegeu i zawsze na złość blondynkom brała pod swoje skrzydła dziewczęta o marchewkowych włosach. Powiedziała Daisy, że zasada numer jeden brzmi: nie sprawiać wrażenia, że coś na tobie zrobiło wrażenie.

- Nawet jeśli modelki są boskie, stroje takie, jakby zaprojektował je Pan Bóg, a ty masz ochotę złapać projektanta i wydrzeć mu z głowy mózg, zachowaj obojętność - mówiła Diana. - Miej taką minę jak wtedy, kiedy pięć minut po wyjściu od manikiurzystki wydaje ci się, że złamał ci się paznokcie: poważnie zatroskana. Tylko nowicjusze okazują zachwyty, złotko.

Słowa Diany, obecnie dostępne za pięć dolarów dziewięćdziesiąt pięć centów dla czytelników sławnej wyroczni w sprawach mody pod tytułem „Et tu, Beaute”, były drogie i Daisy zrobiła co w jej mocy. Choć nie było to łatwe.

Uwielbiała stroje i tak ją podniecał udział w pokazie, że trudno jej było zachować obojętną minę.

Dzisiejszy pokaz w Dusseldorfie różnił się zasadniczo od teatralnej perfekcji pokazów Galliano. Po pierwsze, trzeba się było ciężko napracować, żeby wszystko zobaczyć i zamówić we właściwym czasie. Kupcy w rodzaju Daisy zapewniali przestronne sale konferencyjne i oglądali piękne wyroby z całego świata. Ubrania, dodatki, buty, kapelusze, paski oferowano w setkach stoisk. Kilka razy dziennie odbywał się pokaz, na którym prezentowały kreacje oszałamiające dziewczyny z wklęsłymi brzuchami i kręgami na plecach sterczącymi jak abecadło. Trudność polegała na tym, że strój, który podziwiano się na wieszaku lub na modelce, mógł wyglądać beznadziejnie na mniej lub bardziej proporcjonalnie zbudowanej kobiecie i odwrotnie, co oznaczało częste zmiany zamówień.

Do obowiązków Daisy należało odwiedzanie stałych dostawców i wybór modeli, które jej zdaniem mogły się sprzedać w Georgia's Tiara. Równocześnie jednak stale szukała nowych marek, które trafią w gusta jej klientek. W targach brali udział kupcy z najrozmaitszych sklepów na całym świecie, a ponieważ zwykle trwały one trzy, cztery dni, nie było czasu na odpoczynek.

Projektanci wydawali wprawdzie wspaniałe przyjęcia, ale nie było sensu na nie chodzić, jeśli się nie dysponowało najlepszymi przepustkami do miejsc dla VIP-ów. W przeciwnym wypadku człowiek krążył wśród szaraczków i na sto procent trafiał na kogoś, kogo serdecznie nie cierpiał, a kto ostentacyjnie wymachiwał taką przepustką.

Pokazy mody przeznaczonej do sklepów odbywały się z mniejszą pompą. Daisy знаła grupę kobiet, które tak samo jak ona przyjeżdżały co roku na każde targi i razem wychodziły co wieczór, żeby poplotkować i porównać wrażenia.

Tego roku firma Jazzy z okazji swojego dziesięciolecia wydawała huczne przyjęcie w pięciogwiazdkowym hotelu, co było chyba najlepszym sposobem na spędzenie pierwszego wieczoru. Jazzy prezentowało cztery linie: eleganckie stroje dla puszystych, ubrania dla kobiet pracujących, ubrania ciążowe oraz modne ciuszki dla nastolatek.

W taksówce Daisy siedziała ściśnięta obok pięknej Beaty z Polski.

Beata zawsze wyglądała, jakby sama zeszła z wybiegu, a nie zasiadała w rzędach dla kupców. Dzisiaj miała na sobie czerń z lazurowym błękitem, fantastycznie podkreślającą jej kruczoczarne włosy. Naprzeciwko siedziały dwie Szkotki, sprawiające wrażenie, jakby sama Coco Chanel ubrała je dwie minuty temu. Miejsce po drugiej stronie Daisy zajmowała oszałamiąca rudowłosa dziewczyna z Cork. Ona ubrała się najbardziej ekscentrycznie - komu żółtozielony? - ale wyglądała w tym stroju rewelacyjnie.

- Daisy, taka jesteś szczupła - powiedziała Beata, biorąc Daisy za rękę, by z podziwem przyjrzeć się bransoletce pasującej do naszyjnika. - Dieta, tak? W zeszłym tygodniu przytyłam dwa kilo. Dzisiaj nic do ust nie wezmę.

Obecne w taksówce kobiety wybuchnęły śmiechem. Diety typu „wszystko albo nic” stanowiły powszedni chleb w ich świecie.

- Wyglądasz wspaniale, Daisy - dodała ciepło wiotka jak trzcina kobieta z Cork imieniem Sorch. - Co u ciebie?

Daisy zastanawiała się, czy nie powiedzieć prawdy. Mój chłopak chce rozłąki na próbę, a wczoraj w nocy zasnąłam tylko dzięki koktajlowi z wódki i valium, którym popiłam całą czekoladę z minibarku. Wyobraziła sobie szok wywołany taką nieskrępowaną szczerością. Wszystkie byłyby wstrząśnięte, choć dobrze ukryłyby swoje uczucia. Od tej chwili Daisy stanowiłaby przykład tego, jak się nie postępuje.

- Fantastycznie - odparła, zdobywając się na uśmiech. - Sklep ma wielkie powodzenie i wiecie, nie ma chwili na odpoczynek. i

Kobiety uśmiechnęły się ze zrozumieniem. Ciągły pośpiech był im bliski. Jeśli Daisy miała otwarte oczy i skupiała się na czymś znajomym, jak jasnoniebieska torebka od Marca Jacobsa, która stała na siedzeniu obok, to mogła niemal uwierzyć, że świat wciąż jest normalny. Dopiero kiedy przymykała powieki, koszmar powracał. W jej świecie nie było już Alexa. Jakby znowu miała siedemnaście lat i wielka jak słoń bała się wyjść, bała się zostać. Była sama i przerażona.

W ostatni poranek w Dusseldorfie Daisy wcześniej zjadła śniadanie i pojechała taksówką na lotnisko. Energicznym krokiem minęła sklepy wolnocłowe i usiadła w poczekalni. Alex byłby z niej dumny, że oparła się pokusie zakupów.

Alex. Czekał samotnie na twardym krzeselku, zamknęła oczy i pozwoliła sobie na luksus myślenia o nim. Przez kilka ostatnich dni usiłowała wymazać go z pamięci alkoholem. Próbowwała, choć ponosiła sromotną porażkę, przekonać samą siebie, że wszystko jest w porządku i jeśli dalej będzie w to wierzyć, tak się stanie. Wracając do realnego życia, musiała stawić czoło faktom.

Alex chciał separacji i Daisy doszła do wniosku, że powodem musi być kwestia bezpłodności. Pytanie brzmiało: co powinna zrobić?

Bezsenne noce w Dusseldorfie poświęciła wyłącznie na - rozmyślenia o tym.

Mogliby przecież na jakiś czas odłożyć całą tę sprawę z kliniką. W pewnym sensie czas był po ich stronie. Może na to właśnie liczył Alex - że Daisy powie:

„Zapomnijmy o terapii i testach”, a wtedy znajdą się w punkcie wyjścia. Razem. Razem, ale bez dziecka.

I to właśnie najbardziej ją przerażało. Ze będzie musiała dokonać takiego wyboru. Jeśli Alex wcale nie chciał dziecka, jeśli się bał, to czy ona będzie mogła żyć z nim, wiedząc, co poświęciła dla jego miłości? Będzie mogła żyć w zgodzie ze sobą? Daisy nie umiała znaleźć na to odpowiedzi.

Jej uwagę zwrócił starszy mężczyzna, który wolno szedł przez halę. Postawę miał wyprostowaną, ale musiał podierać się laską i z trudem ciągnął małą walizkę na kółkach. Nikt mu nie pomagał, nikt go nie podtrzymywał. Jak straszne musi być samotne życie. Życie bez miłości. Daisy zadrzała. To najgorszy sposób życia.

Daleko od domu, w samotnej pustce lotniska Daisy podjęła decyzję. Lepiej mieć ukochanego Alexa bez dzieci niż dzieci bez Alexa. On był jej skarbem, talizmanem, on nadawał sens jej życiu. Niewiele osób ma taką miłość. Brak dzieci przestaje być wielkim poświęceniem w obliczu takiego uczucia.

A więc rozwiązanie jest proste. Powie mu: „Zapomnijmy o terapii”.

Nic więcej nie musi robić i ta straszna separacja się skończy

Celnicy na lotnisku w Dublinie musieli myśleć, że Daisy przewozi coś niezwykle toksycznego albo nielegalnego, tak szybko przebiegła przez odprawę do hali przylotów. Pragnienie, by jak najszybciej zobaczyć Alexa, porozmawiać z nim i się pogodzić, sprawiało, że krew krążyła jej szybciej w żyłach. Jeśli mu wyjaśni, co rozumiała - że są sobie przeznaczeni i że ona wie, jak bardzo musi go przerażać myśl o dziecku - wszystko znowu będzie dobrze. Ona go kocha i tylko to się liczy. Nie potrafiłaby żyć bez niego, a jeśli ma to oznaczać, że w ich domu nie będzie dziecka, to jej to wystarczy.

Podniecona, że rozwiązała problem, Daisy wskoczyła do samochodu i popędziła autostradą ku miastu, na cały głos śpiewając razem z radiem.

Dostrzegła Alexa przed imponującym szklanym budynkiem banku. Przechodził przez ulicę z Louise, swoją asystentką. Prowadzili ożywioną rozmowę, jak ludzie, którzy doskonale się znają. Daisy ogromnie podziwiała Louise, samotną matkę dziesięcioletniego chłopca. Nikt nigdy nie podał jej niczego na tacy. To, co miała, zdobyła ciężką pracą. Jak mówił Alex, była dokładnym przeciwieństwem typowej bankowej asystentki, bo nie dała sobie w kaszę dmuchać i doskonale wyczuwała każdą brednię. Uchodziło jej to na sucho, częściowo dlatego, że była inteligentna, a częściowo, tak podejrzewała Daisy, z powodu urody. Na pewno więcej wybacza się tym, którzy mają idealnie wykrojona owalną twarz, pełne usta i długie ciemne włosy, wyglądające, jakby je umyto w płynnym jedwabiu. Sprawiała jednak wrażenie, że mężczyźni jej nie interesują. „Mam syna, nikogo więcej nie potrzebuję” - stwierdziła pewnego razu, kiedy Daisy bawiła się myślą, by z kimś ją zeswatać.

- Tak, Louise to nie interesuje - oznajmił Alex ostro. Daisy doszła do wniosku, że chyba miał rację: nie ma nic gorszego niż przyjaciele, którzy kierowani dobrymi intencjami próbują cię zeswatać z kimś, kogo sami uważają za idealnego partnera dla ciebie, a kto twoim zdaniem jest kompletnym świrem. Jeśli kogoś zna się od lat, przestaje się zauważać cuchnący oddech, wystający brzuch i skłonność do ciągłego opowiadania o wysokości zarobków. Czasami ludzie nie bez powodu są samotni.

- Cześć - powiedziała Daisy, kiedy wreszcie dogoniła Alexa i Louise przed Coffee Bank Restaurant, lokalem, do którego w porze lunchu chodziła połowa banku. Louise się wzdrygnęła i Daisy położyła jej dłoń na ramieniu, uśmiechając się przepraszająco.

- Przykro mi, nie chciałam się do was podkraść. Muszę porozmawiać z Alexem. - Spojrzała na niego promiennie, przekonana, że mimo próbnej separacji ucieszy się na jej widok. Ale on wyglądał na równie wstrząśniętego jak Louise. - Idziecie na lunch? - zapytała nieprzejęta tym Daisy Zaskoczyła go, to wszystko.

- Tak - wydukał Alex.

- To jakieś spotkanie na wysokim biznesowym szczeblu czy każdy może się przyłączyć? - zażartowała Daisy.

- Ja muszę już iść - powiedziała Louise pośpiesznie i bez pożegnania zawróciła w stronę banku.

Daisy patrzyła na nią ze zdumieniem.

- Posłuchaj, Daisy... - zaczął Alex.

- Przepraszam - powiedziała automatycznie. Dlaczego tak wiele rozmów zaczyna od „przepraszam”? - Powinnam była zadzwonić, ale pomyślałam, że od razu z lotniska przyjadę do ciebie. Chciałam ci powiedzieć, że powinniśmy się pobrać, Alex. Zrobmy to. I przestańmy się martwić o dziecko. Wiem, jak bardzo się tego boisz, i dlatego nie musimy mieć dziecka. Bo jeśli nawet nigdy nie będziemy mieć dziecka, to zawsze będziemy mieć siebie, prawda?

Zawahała się. Nagle cała ta sytuacja nie wydawała się takim dobrym pomysłem. Alex wyglądał na zakłopotanego. Tam samo jak przed chwilą Louise.

- Powinnam była zadzwonić - powtórzyła Daisy, zastanawiając się, co właściwie powiedziała źle. - Przepraszam. Zjawiłam się w niewłaściwym czasie. Ja i mój pan Spock. - To był taki ich żart: teoria, że Spock ze Star Trek musi mieć wielkie spiczaste stopy, które by pasowały do wielkich spiczastych uszu. Dzisiaj jednak twarz Alexa nie rozciągnęła się w uśmiechu rozbawienia. Daisy poczuła lekki dreszcz. Coś było nie tak. - O co chodzi? - zapytała.

- Nie możemy rozmawiać tutaj - odparł Alex.

- Więc może w Coffee Bank?

- Chryste, nie - mruknął. - Tam nie da się prowadzić prywatnych rozmów. Daisy poczuła gęsią skórę na całym ciele. Wcześniej w tej restauracji prowadzili prywatne rozmowy. Raz siedzieli we wnęce blisko kuchni i Alex całował ją tak, że z podniecenia cała drżała.

- Pójdziemy do Rio Lounge.

Rio Lounge, pub usytuowany przy niewielkiej uliczce, był tak oddalony od słonecznych plaż Rio de Janeiro jak to tylko możliwe: mroczny, dość obskurny, wybierany przez ludzi rozważających pomysł zainwestowania w następną porcję haszu, ponieważ w marnie oświetlonym wnętrzu nikt nie zwracał uwagi na dokonywane transakcje. Turyści też go odwiedzali, bo urządzony był w starym irlandzkim stylu i przyciągał każdego, kto lubił zakamarki, prawdziwe trociny i dziwne rolnicze sprzęty.

Daisy posłusznie weszła za Alexem do środka.

Pomimo wrażenia brudu Rio Lounge w porze lunchu najwyraźniej zbijał kokosy, tak było tam tłoczno. Alex i Daisy nie znaleźli wolnych stołków i musieli stanąć przy barze. Alex zamówił coś do picia, nie pytając Daisy, na co ma ochotę, i z uporem nie odwracał twarzy od barmana, dopóki ten nie zrealizował zamówienia. Daisy wzięła bez słowa swoje białe wino i patrzyła, jak Alex wylewa prawie całą małą butelkę czerwonego wina do kieliszka, po czym upija wielki łyk. Cokolwiek chciał jej powiedzieć, bez wątpienia było ważne.

Jak człowiek, który ma zeskoczyć z platformy na sześćdziesięciometrowej linie, Alex spojrział na Daisy i rzucił się w otchłań.

- Louise jest w ciąży.

Więc dlaczego wyglądała tak żałośnie? Może dopiero co się dowiedziała i była w szoku. A może nie chciała tego dziecka.

- I nie chce dziecka? - zapytała Daisy. Mało brakowało, a dodałaby: „Weźmiemy je!”. Dziecko, którego nikt nie chce, dziecko, które ona i Alex mogliby kochać.

- Oczywiście, że chce.

- Och... Więc na czym polega problem? - Przez chwilę umysł Daisy wypełniał obraz jej i Alexa z tym małym dzieckiem. - Ojciec się nie przyznaje? O to chodzi? Och, biedna Louise.

- Nie w tym rzecz. - Alex nie wyglądał już jak człowiek, który zaraz ma skoczyć na bungee. Wyglądał, jakby już skoczył, ale lina się przerwała.

- Jest żonaty, tak? - Daisy przestała uważać się nad sobą, bo nagle ogarnęło ją współczucie dla Louise. - Ojciec dziecka jest żonaty. - Mężczyźni mają wszystko, pomyślała ponuro. Mogą mieć romans, ale nie na nich spadają konsekwencje.

- Niezupełnie.

- Więc o co chodzi?

Alex najpierw spojrział w swoje wino, a potem z ociąganiem w szeroko otwarte, niewinne oczy Daisy. Patrzył w nie wiele razy przez te lata, które spędzili razem, ale nigdy w taki sposób: nigdy z taką bezgraniczną litością. Nawet wtedy, kiedy wyrzynał jej się zęb mądrości i szczeka jej spuchła, dwukrotnie powiększając swoje rozmiary, tak że Daisy wyglądała jak chomik po dniu spędzonym w fabryce bułeczek z kremem. Wtedy litość zmieszana była z miłością. Dzisiaj to była czysta, naga litość.

- Daisy, czy ty nie rozumiesz... ?

I w jednym momencie zrozumiała. Mogła być tylko jedna przyczyna tego kamiennego wyrazu twarzy Alexa.

Dziecko było jego. Alex miał romans z Louise, dlatego zażądał próbnej separacji. I Louise była z nim w ciąży. Przypuszczalnie w ciąży była już wcześniej, a separacja stanowiła coś w rodzaju aktu miłosierdzia: „Nie mówmy Daisy wszystkiego od razu, bo się kompletnie załamie”. Wiadomości należało dawkować. Najpierw separacja, potem informacja o Louise. A na końcu dziecko. Tylko że ona zepsuła cały plan, pędząc z lotniska z własnym planem.

- To twoje dziecko.

- Tak, moje.

- Nigdy nie chciałeś dziecka - powiedziała Daisy, niemal z niedowierzaniem.

- Nie, ale tak się stało i nie ma odwrotu.

- Myślałam, że ty w ogóle nie chcesz dzieci! Tak myślałam. Miałam zamiar zrezygnować z dziecka, żeby być z tobą. To by mnie zabiło, ale chciałam tak postąpić. Jak możesz mi to zrobić?

Jej niewinne plany na wspólne życie, na ślub, na usłaną różami przyszłość rozpadały się w proch.

- Kiedy zamierzałeś mi o tym powiedzieć? - Daisy była dumna z tego pytania. Nie wiedziała, skąd wzięła siły na zadanie go, nie szlochając przy tym rozdzierająco.

- Nie wiem. Louise chciała, żebyśmy od początku postawili sprawę jasno. Nie planowaliśmy tego, uwierz mi.

„My”. Byli jacyś „my” i teraz nie oznaczali już Daisy i Alexa.

- Nie chciałem cię zranić. To było niemal zabawne.

- Ale zraniłeś - odparła Daisy cicho.

- Wiem. Gdyby istniał jakiś sposób na uniknięcie tego, skorzystałbym z niego. -

Alex mówił żarliwie. - Gdyby istniał jakiś sposób, Daisy, uwierz mi...

Wciąż była zbyt odrętwiała, żeby płakać.

- Wierzyć ci? Ale to właśnie robiłam i zobacz, dokąd mnie to zaprowadziło, Alex.

- Czuję, że jeszcze chwila, a przestanie nad sobą panować. - Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie: jak długo to trwa?

Lina bungee cudem się naprawiła i Alexowi wróciła pewność siebie.

- Kilka miesięcy - odparł swobodnie, nazbyt swobodnie. Daisy pomyślała o ubiegłym roku, kiedy ogarniał ją coraz większy niepokój, bo nie zachodziła w ciążę. I pomyślała o Aleksie, chłodno odsuwającym się od niej, przez co czuła, że właściwie nie może powiedzieć o swych pragnieniach. Martwiła się, że sama jest temu winna, bo wpadła w obsesję na punkcie dzieci, a teraz się okazało, że on miał romans.

- Kłamiesz - powiedziała obojętnie.

- Nie - zaprotestował.

- Nie kłam. Powiedz mi prawdę. Z jego oczu zniknęła wola walki.

- Od konferencji w Kerry w zeszłym roku.

Kwiecień, przypomniała sobie, wielka konferencja, którą poprzedzało mnóstwo wypraw do pralni, bo przygotowywała dla niego ubrania. Podczas jego nieobecności złapała okropną gripę. Kiedy wrócił, był cudowny: podawał jej gorącą wodę z cytryną na złagodzenie kaszlu, kupował ulubione żurnale i co wieczór przygotowywał kolację, dopóki nie wyzdrowiała. To był fatalny okres dla biednej Mary i Daisy pamiętała swoje poczucie winy, że ma kochającego

partnera, podczas gdy jej przyjaciółka i współpracowniczka jest sama. A przez cały ten czas kochający partner i cudowny związek były szopką.

- Kiedy dziecko ma się urodzić?

- Za pięć miesięcy.

Daisy poczuła się jałowa. Nie po prostu bezdzietna, ale jałowa jak jakaś potężna pustynia, na której nigdy nie wykiełkuje żadne ziarno, choćby nie wiem ile deszczu wsiąknęło w grunt. Była pusta i miała płaski brzuch, podczas gdy Louise nabrzmiewała od nowego życia. Życia z maleńkimi paluszkami jak u rozgwiazdy, ogromnymi ciemnymi kałużami oczu i ciałkiem usadowionym w macicy, dopóki cudem nie wydobędzie się na świat.

Choć tak naprawdę wcale jej na tym nie zależało, Louise zabrała dwie najważniejsze rzeczy w życiu Daisy: Alexa i jego dziecko. Louise nawet ich nie potrzebowała. Miała już dziecko, syna, którego mogła pielęgnować i kochać.

Zawsze bądźcie matką. Zawsze.

W przeciwieństwie do Daisy

Nie uświadamiała sobie, że płacze, dopóki nie zobaczyła udęconej miny Alexa. Nie znosił jej łez, nienawidził takiego okazywania emocji. Widywała taki wyraz jego twarzy, gdy płakała - napięte mięśnie wokół ust, błaganie w oczach: „Proszę, przestań”.

- Tak bardzo mi przykro - powiedział. - Gdybym mógł cofnąć czas i sprawić, żeby to się nie stało... - urwał. - Nigdy, przenigdy nie chciałem cię zranić. Tyle razem przeszliśmy.

Daisy ledwo go słyszała.

- Czy naszyjnik od Tiffanyego był dla mnie? - zapytała, nagle przesuwając palcami po pięknym serduszku, które dawało jej taką pociechę.

Nabrał głęboko powietrza.

- Tak - odpowiedział. - Chciałem ci powiedzieć tamtego wieczoru, kiedy wróciłem z Londynu. Myślałem, że naszyjnik pomoże, udowodni ci, że cię kochałem i nigdy nie chciałem cię skrzywdzić.

- Dlaczego nie powiedziałeś? Ukrył twarz w dłoniach.

- Sam nie wiem. Byłaś taka podniecona tą kliniką płodności, chciałaś iść na wizytę... Nie wiedziałem, co zrobić. Jak mogłem powiedzieć, że między nami skończone, skoro byłaś taka szczęśliwa?

Łzy wciąż płynęły po jej twarzy. Daisy starła je dłonią.

- Ale pozwoliłeś mi marzyć i mieć nadzieję - szepnęła. - To było takie okrutne, to było bardziej niż okrutne.

- Jak mogłem ci powiedzieć? - powtórzył. Frustracja sprawiła, że zaczął się złościć. - Byłaś taka tym przejęta. Zerwanie było niemożliwe. Ty tego nie rozumiałaś, Daisy, prawda?

- Czego nie rozumiałam?

- Ze pewnego dnia spotkamy właściwe osoby Oboje wiedzieliśmy, że czekamy na stosowny moment. Kto całe życie spędza z osobą, z którą umawiał się w collegeu? Oboje oglądaliśmy się przez ramię, prawda? Ja szukałem wyjątkowej kobiety. Bądź szczerą, przyznaj, że ty też szukałaś wyjątkowego mężczyzny...

- Nie - odparła płacząco, głęboko wstrząśnięta myślą, że on w taki sposób patrzył na ich miłość. - Nie próbuj mnie do tego mieszać! Nigdy nie czekałam na nikogo innego, ty byłeś tym jedynym. Dla mnie jesteś jedynym.

- Musiałaś wiedzieć. Kiedy mówiłem, że małżeństwo nie ma sensu, nie domyśliłaś się? - zapytał przygnębiony.

- Nie - odparła niemal niedosłyszalnie.

- Próbowałem dać ci do zrozumienia, Daisy - upierał się Alex.

- Nasz związek niczym się nie różnił od małżeństwa - odparła. - Mieliśmy wspólne mieszkanie, mieliśmy plany, razem spędzaliśmy Boże Narodzenie, Nowy Rok i każde wakacje. I to nie był trwały związek? Skąd miałam wiedzieć?

Na to pytanie Alex nie znalazł odpowiedzi. Po chwili znowu się odezwał:

- Myślałem, że rozumiałaś, kiedy rozmawialiśmy o małżeństwie. Dlatego nie potrafiłem ci powiedzieć, że wszystko skończone, kiedy umówiłaś nas na tę wizytę w klinice. Cholera, Daisy, dlaczego jesteś taka ufna, taka cholernie naiwna?

- Bo cię kocham.

- Przykro mi. Przykro mi, że mnie kochasz, ale między nami wszystko skończone, Daisy. Skończone. Nie da się tego powiedzieć w żaden miły sposób, OK?

Pokręciła głową.

- To nie jest OK. Jak dam sobie radę bez ciebie?

- To nie mój problem. Sama musisz jakoś to rozwiązać - odparł i poszedł. Stojąc przy barze w zatłoczonym Rio Lounge, Daisy nigdy w życiu nie czuła się bardziej samotna.

Kozaki na wysokich obcasach wcale nie poprawiły jej samopoczucia, podobnie jak obcisły czarny kaszmirowy kardigan z uwodzicielskim dekoltem w kształcie litery V, mimo to je kupiła. Seksowne jedwabne figi z zalotną kokardą na pupie - nieprzyzwoicie drogie - były szaleństwem, ale kupiła dwie pary: jedną kremową, drugą śliwkową w jasne grochy Następnie kupiła lody i pojechała do Carrickwell, jedząc je plastikową łyżką, gdy stała w korkach.

Zakupy leżały na siedzeniu obok. Czasami dotykała toreb, jakby widok kosztownych, dodających otuchy rzeczy mógł załatać czarną dziurę w jej wnętrzu. Jak komputer z przepełnionym twardym dyskiem i zwolnionymi reakcjami, jej głowa odmawiała otwarcia nowego pliku o nazwie „Alex i Louise”. Jeśli nie będzie o tym myślała, to może się okazać, że to nieprawda.

W Carrickwell przejechała przez znajomy most i zobaczyła starego człowieka, który czasami grał na akordeonie. Był kruchy, okutany w obszerny płaszcz. Obok na ziemi leżał kapelusz na drobniaki. Daisy nie znosiła smutnych melodii, które grał, ale zawsze wrzucała drobne do kapelusza, kiedy go mijała.

Czy on jest szczęśliwy? - zadała sobie teraz pytanie. Czy jego życie jest lepsze od jej życia? Przypuszczała tak. W mieszkaniu mechanicznie schowała nowe rzeczy, rozpakowała walizki i posortowała ubrania na dwa stosy: pranie i pralnia chemiczna. Schludnie i starannie. Zdjęła strój, który z takim zapalem włożyła rano w Dusseldorfie, i przebrała się w starą koszulę i powyciągane brązowe sztruksy, w których lubiła chodzić po domu.

Kiedy wszystko było tak jak powinno być, Daisy wyjęła z lodówki butelkę wina i usiadła po turecku na sofie, na ekranie telewizora szukając pociechy. To nie może być prawda. Alex nie mógł jej porzucić. A może mógł?

A potem płakała tak długo, aż twarz ją zaczęła boleć, a w butelce pokazało się dno.

Rozdział jedenasty

W pierwszy poniedziałkowy poranek nowego życia Mel zapomniała wyłączyć budzik, który jak zwykle rozdzwonił się o szóstej piętnaście. Swoim zwyczajem chwilę leżała, ciesząc się ciszą przed burzą. Adrian zrobił to co zwykle: jęknął przez sen i przewrócił się na drugi bok, żeby jeszcze kilka minut pograć się w zapomnieniu.

W myślach przejrzała porządek dnia: co musi zrobić, co powinna była zrobić wczoraj, co może się jej uda przełożyć na jutro. A potem z cudownym uczuciem przypominającym wsunięcie się pod chłodną pościel po męczącej bieżącej uświadomiła sobie, że przecież dzisiaj nie idzie do pracy. Od teraz zostaje w domu. Jej praca to wychowywanie dzieci.

„Gospodyni domowa”. Zastanowiła się nad tym określeniem. Niepracująca matka. Czy się zmieniła? W słabym świetle poranka, które przesączało się przez kremowe zasłony, wyciągnęła rękę i przyjrzała się jej dokładnie. Jest taka sama jak wczoraj. Dłonie ma takie same, z lekko odstającymi skórkami i niepomalowanymi paznokciami. Może teraz będzie miała czas na rzeczy w rodzaju manikiuru. Nie, nie będzie ich na to stać. Sama się tym zajmie. Wystarczy jej czasu. No i pieczenie - tak, będzie piekła. Bułeczki z książki kucharskiej dla dzieci, którą miała od lat, ale nigdy z niej nie skorzystała. Upiecze własny chleb. Albo nie, to chyba nazbyt ambitny plan. W sklepach pełno jest gotowych ciast, wypróbuje je.

Z rozkoszą pograżając się w planach na przyszłość, Mel przekręciła się na drugi bok i przytuliła do ciepłego ciała męża, zapadając w półsen. Czy ma jakiś fartuszek? Przypuszczalnie tylko jeden, ten, który kilka lat temu dodawano za darmo do puszek z fasolą. Chciałaby coś kwiecistego, w stylu lat pięćdziesiątych. Porządne mamy mają porządne fartuszki.

Godzinę później była w kuchni, wyjmując dwanaście złotych bułeczek z folii. Do Carrie nie dotarło jeszcze, że nie idą do przedszkola ani dzisiaj, ani nigdy więcej. To nie jest weekend, bo tatuś jak zwykle wyszedł do pracy.

- Mam wziąć kurtkę? - pytała raz po raz z nadzieją.

- Nie, Carrie, dzisiaj mamusia będzie się wami opiekować. Zobacysz, czeka nas świetna zabawa.

Carrie wsadziła łyżkę w kubeczek z serkiem, a potem mocno ją podważyła, rozpryskując różową packę po całej kuchni. Zachichotała wesoło, a mama odpowiedziała jej tym samym. Nie ma sensu płakać nad rozprysniętym serkiem. Sara siedziała przy stole i wpatrywała się w pudełko z płatkami, zagubiona w świecie fantazji. Robiła tak co rano i zwykle Mel musiała ją poganiać, bo te sny

na jawie sprawiały, że mała poruszała się wolno, a wtedy nie wychodziły z domu na czas i Mel groziło, że ucieknie jej pociąg. Dzisiaj nie było takiego problemu. Rozkoszując się czekającym ją dniem bez ostatecznych terminów i spotkań, Mel usiadła obok Sary i pogładziła ją po głowie.

- Co będziemy dzisiaj robić? - zapytała, odczuwając ogromną przyjemność z tych słów. Dzisiaj nie musiała mówić: „Jedź śniadanie, Saro, bardzo cię proszę, bo się spóźnimy”.

- Może przyjdź Lily? - zapytała Sara. Lily ostatnio zastąpiła Tabithę w roli najlepszej przyjaciółki Sary w przedszkolu, choć Mel nie znała zbyt dobrze jej matki. Zajmowała ona jakieś wysokie stanowisko i odbierała Lily jeszcze później niż Mel swoje córki. Mel poczuła głęboką ulgę na myśl, że te dni należą już do przeszłości. Dopiero teraz, kiedy nie musiała więcej tego robić, mogła szczerze przyznać, jak bardzo to było stresujące i jak głębokie wywoływało poczucie winy.

- Lily jest przez cały dzień w Małych Tygryskach - odparła Mel. - Teraz, kiedy mamusia nie chodzi do pracy, wy też tam nie będziecie chodzić. Poznamy nowych przyjaciół, ale Lily możemy zaprosić kiedyś na wieczór albo na weekend.

- Chcę teraz spotkać się z Lily. - Dolna warga Sary zaczęła drżeć.

- Później zadzwonimy do jej mamy i porozmawiamy o tym - powiedziała Mel. Na szczęście miała numer na jakimś starym zaproszeniu.

- Nie później, tylko teraz - nalegała Sara ze smutkiem. - Ona jest moją wyjątkową przyjaciółką.

Tej jednej rzeczy Mel głupio nie przewidziała: że córeczki będą tęsknić za swoimi koleżankami. Przedszkole nie przyjmie dziewczynek na kilka przedpołudniowych godzin poza tym rodzina nie może sobie teraz pozwolić na opłaty, a w całym mieście nie było wolnych miejsc w przedszkolach Montessori. Zapelniały się momentalnie, a Mel nawet o tej możliwości nie myślała, ponieważ miała Małe Tygryski. Będzie musiała znaleźć inne zajęcia dla córek.

- Myślałam, że chcesz, żeby mamusia była z tobą przez cały czas? Przecież będzie bardzo miło, prawda? Nie będę więcej pracować. Za to będziemy sobie chodzić do zoo, do parku i na farmę.

- Dzisiaj i jutro, i potem? - zapytała Sara podejrzliwie.

- Tak jak ci mówiłam - odparła Mel łagodnie.

- Dobrze. - Sprawa została załatwiona jednym słowem. - Mogę zjeść bułeczkę, mamusiu? Nie lubię już płatków.

Po śniadaniu Mel wykorzystwała swoje umiejętności zawodowe do zlokalizowania miejscowych grup dla matek z kilkulatkami. Musiała wykonać

pięć telefonów, żeby się dowiedzieć, że w poniedziałkowe przedpołudnia spotkania odbywają się w auli szkoły Św. Symeona.

- Czeka nas przygoda - powiedziała dziewczynkom, odkładając słuchawkę. - Idziemy w miejsce, gdzie spotkacie mnóstwo nowych przyjaciół! Teraz pobiegnijmy na górę umyć ręce i wyszczotkować włosy.

Kiedy Carrie i Sara pędziły po schodach, Mel zadała sobie pytanie, dlaczego nie pomyślała o rezygnacji z pracy kilka lat temu. W porównaniu z presją, którą odczuwałyby o tej porze w zwykły poniedziałkowy poranek, to był kompletny luz.

Wzięła bułeczkę i zaczęła ją jeść, idąc na górę. Nieźle jak na pierwszy raz.

Dwie inne kobiety także szły na zajęcia do szkoły koło kościoła. Mel je rozpoznała, kiedy wysiadły z samochodów. Jedna z nich, wysoka i z gęstymi, kręconymi czarnymi włosami, które nosiła rozpuszczone, była w ciąży. W powiewnej fioletowej koszuli, spodniach i wysadzanej kamykami opasce na szyi, odwracającej uwagę patrzących od wydatnego brzucha, wyglądała bardzo egzotycznie. Mel widywała ją prowadzącą samochód, ale nigdy dotąd nie rozmawiały, nawet się sobie nie kłaniały. Druga z kobiet była mniejsza, drobna .. i przypuszczalnie starsza, choć może taki wniosek się nasuwał, bo miała pięcioro dzieci - tylu przynajmniej doliczyła się Mel. Mieszkała kilka domów dalej i Mel kiedyś widziała, jak donośnym głosem każe dzieciom wsiadać i zakazuje wszelkiego bicia. Obie przywitały się w drzwiach jakby dobrze się znały.

To tak, jakbym znowu miała piętnaście lat i szła do nowej szkoły, pomyślała Mel, podążając za nimi. Nikogo nie znała i wszyscy przyglądali się jej z ciekawością. W auli kilka kobiet siedziało na krzesłach, na drewnianej podłodze leżały zabawki i plastikowe autka. Na wysokim, niedostępnym dla kilkulatków stole stały filiżanki, nieotwarta paczka herbatników oraz domowe ciasto. Ja też mogę upiec ciasto, postanowiła Mel. Teraz, gdy pokonała pierwszą przeszkodę i zrobiła bułeczki, ciasto też jej się uda.

Uśmiechnęła się na powitanie i postawiła wypchaną torbę na krzesło koło drzwi. Miała nadzieję, że tym gestem dała znać obecnym, że jest nowa, ale dobrze o tym wie. Sara i Carrie nie okazały cienia nieśmiałości i natychmiast rzuciły się w wir zabawy.

- Pierwszy raz tu jesteś? - zapytała inna kobieta w zaawansowanej ciąży, z maluchem czepiającym się jej jak miś koala.

Mel usiadła obok niej i kiwnęła głową.

- My byliśmy tu wiele razy, ale Cormac wciąż jest nieśmiały. - Kobieta popatrzyła na Carrie i Sarę, które szalały z innymi dziećmi. - Twoje dziewczynki świetnie się wpasowały Są bardzo towarzyskie.

- Chodziły do przedszkola, odkąd były bardzo małe - wyjaśniła Mei, a potem złapała się na tym, że za to przeprasza: - Niedawno rzuciłam pracę, żeby z nimi być.
 - W przedszkolu robią się odważniejsze - westchnęła kobieta. - Mieszkamy kilka kilometrów za miastem i Cormac właściwie nigdy nie spotyka się z innymi dziećmi. Dopiero ostatnio sobie uświadomiłam, że trzeba to zmienić, zwłaszcza że niedługo będzie miał rodzeństwo.
 - Jestem Mel. - Nie wyciągnęła dłoni, bo kobieta nie byłaby w stanie jej uściskać. - Kiedy termin?
 - Za sześć tygodni. Już się nie mogę doczekać. Jestem Elaine.
 - Astrid.
 - Sylvia.
 - Bernie.
 - Lizanna. - To była kobieta w powiewnych fioletach i z długimi czarnymi włosami.
 - Claire.
 - Ria. - Mieszkająca niedaleko matka pięciorga dzieci.
- Kobiety przedstawiały się pośpiesznie i Mel odpowiadała każdej uśmiechem, nagle czując, że to jednak wcale nie jest pierwszy dzień w szkole. One witały ją serdecznie. Niektóre wyglądały modnie, wręcz oszałamiająco, choć Mel takiego efektu nie udawało się osiągnąć nawet w weekendy. Sama miała dwa zestawy: jeden do pracy (kostiumy i wysokie obcasy), jeden do domu, składający się ze starych dzinsów i bluzy, braku makijażu i byle jakiej fryzury.
- Astrid (w każdym razie Mel sądziła, że to Astrid) ze związanymi w koński ogon blond włosami, w kremowych sztruksach i jasnobrązowej zamszowej koszuli wyglądała jak z błyszczącej fotografii w magazynie, przedstawiającej zajętą młodą mamusię, która odbiera dzieci ze szkoły.
- Elaine znajdowała się w ostatnim stadium odzieżowego piekła ciąży: na sobie miała czarne spodnie od dresu i koszulę w paski, przypuszczalnie pożyczoną od męża. Wyglądała na rozgrzaną, zmęczoną i spoconą.
- Podśledzałam, że niedawno zrezygnowałaś z pracy - zwróciła się do Mel atrakcyjna brunetka z niemowlęciem na kolanach. Mel się wydawało, że ma na imię Claire. - A gdzie pracowałaś?
 - W Lorimar Health Insurance - odparła Mel z wahaniem, nie chcąc wydać się kobietą sukcesu, która czuje, że rezygnacja z kariery w pewnym sensie ją zdegradowała.
 - Tak? - wtrąciła inna. Sylvia? - Ja przez jakiś czas pracowałam w BUPA.

Szybko też zaczęły wymieniać się opowieściami o branży ubezpieczeń zdrowotnych i odkryły, że każda krótko pracowała z przystojnym specem od komputerów, który został wielką szycią w informatyce.

Synek Sylvii wrzasnął, że chce soku.

- Shane, poproś ładnie - zgaśniła go matka, nie wypadając z rytmu. - Brakuje ci tego? No wiesz: biura, pracy, szumu?

Mel się zawahała.

- To mój pierwszy dzień. Jeszcze nie wiem, jak to jest. Ale nie brakuje mi biegania wcześniej rano na pociąg ani chodzenia przez cały dzień na wysokich obcasach.

- Wolny czas... - westchnęła Bernie, kobieta w znoszonych dżinsach, z małym chłopcem bawiącym się u jej stóp. - Byłam księgową... Jestem księgową - poprawiła się. - Nie masz dla siebie wolnej chwili, jak jesteś w domu.

- Ty to powiedziałaś - jęknęła Sylvia. - Jeśli nie zarabiasz, masz wyrzuty sumienia, kiedy chcesz trochę czasu dla siebie. Od dwóch lat nie byłam w moim dawnym salonie fryzjerskim, bo trudno mi tam wjechać z wózkiem. Chodzę do malutkiego salonu w centrum handlowym, bo mają szerokie drzwi.

- A jeśli wydajesz na siebie pieniądze, to czujesz się, jakbyś kradła je z cudzego konta - dodała Claire.

- Ale tak nie powinno być - powiedziała Mel, poruszona. - Przecież wykonujecie ważną pracę: opiekujecie się dziećmi. Jeśli partner albo mąż płaciłby wam za wszystko, co robicie, zarabiałobyście więcej niż on. Mam rację?

Kobiety wymieniły znaczące uśmiechy.

- Poczekaj miesiąc i zobaczymy, jak się będziesz czuła - odezwała się Sylvia. - To nie jest takie proste. Nigdy więcej nie kupisz sobie drogiej szminki dla samej przyjemności takiego zakupu.

- Może i kupisz, ale będziesz się z tym ukrywać - dodała Claire.

- Albo powiesz, że była za darmo w jakimś czasopiśmie - roześmiała się któraś z kobiet.

- Och, dajcie spokój - zaprotestowała rozbawiona Mel. - Mój mąż nie zauważyłby drogiej szminki, nawet gdyby go pogryzła.

- Mój też nie - przyznała Sylvia. - To twoje wyrzuty sumienia. Jego to nie obchodzi, ale ciebie tak. Nie zarabiasz pieniędzy, więc czujesz się źle, kiedy je wydajesz, a za te piętnaście euro mogłaś kupić nowe ubranka, buty albo coś innego, czego twoim zdaniem pozbawiasz dziecko.

Carne przybiegła do matki, szukając pociechy, i Mei wzięła ją na kolana.

- Myślałam, że to pracujące matki ciągle mają wyrzuty sumienia.

- Wszystkie matki je mają - odparła Claire. - Pojawiają się z rozstępami i - tu
zniżyła głos - brakiem seksu.

Kobiety wybuchnęły śmiechem.

- Mów za siebie! - oznajmiła Sylvia.

- Ja miałam potężne poczucie winy wywołane intrygami w biurze - dodała Bernie.

- Pracowałam w banku - wyjaśniła, zwracając się do Mei. - Nie miałabym nic
przeciwko pracy, ale nigdy w banku.

- Cóż, to mój najlepszy poniedziałkowy poranek od dłuższego czasu -oznajmiła
Mei - więc nie chcę wracać.

I to była prawda: poniedziałek zwykle był najtrudniejszym dniem tygodnia -czuła
zmęczenie po dwóch dniach intensywnych zabaw z dziećmi i zdążyła przywyknąć
do ich obecności. Poniedziałek przypominał tamten pierwszy dzień w pracy po
powrocie z urlopu macierzyńskiego.

- Chciałabym wrócić do pracy - stwierdziła nagle Lizanna. - Gdybym mogła
równocześnie pracować i być z dziećmi, zachowując przy tym chociaż część
dawnego statusu, byłabym szczęśliwa.

- Czym się zajmowałaś? - zapytała Mei zaciekawiona.

- Byłam dyrektorem finansowym w wydawnictwie prasowym. Wydawaliśmy
„Style”, „House Perfect”, każdy magazyn, jaki tylko przychodzi wam na myśl.
Uwielbiałam tę pracę, ale kiedy urodziłam Theo - tu spojrzała na chłopczyka, który
popychał autko na baterie po podłodze, mrużąc przy tym: „Brum, brum” -
zrezygnowałam. Pomyślałam, że osiągnęłam wszystko, dotarłam na szczyt, a teraz
mogę odpocząć i być mamusią. Tylko że to nie do końca tak wygląda.

- Lizanno, przecież uwielbiasz prowadzić dom - upierała się Sylvia. - Nie mam
pojęcia, jak wcześniej dawałaś sobie radę. Teraz masz czas cieszyć się swoim
dzieckiem.

- Czas spędzony z Theo jest cudowny, wcale nie przeczę - odparła Lizanna
ostrożnie - ale nie zawsze może mi wynagrodzić zmianę w moim życiu. Byłam
dumna z tego, co robiłam i co osiągnęłam. Ludzie mnie podziwiali. Nikt tak
naprawdę cię nie podziwia, kiedy zostajesz w domu z dziećmi - dodała żałośnie. -
Twoja pozycja spada poniżej zera. Przedtem jako dyrektorkę zapraszano mnie na
wino i na kolacje, fundowano wycieczki. Redaktorka „Style” i ja jako pierwsze
dostawałyśmy najnowsze torebki od znanych projektantów. A to nie wszystko.
Tak, wiem, że to strasznie płytkie, ale świetnie się bawiłam i ciężko pracowałam,
żeby to osiągnąć. Teraz... - urwała na chwilę. - Sama nie wiem, może to dlatego, że
jestem na dwa tygodnie przed terminem i nie mogę się doczekać porodu, ale trochę
się boję. Drugie dziecko oznacza, że moja kariera znowu odsuwa się w czasie.
Strasznie pragnę tego dziecka - dodała. - Nie

zrozumcie mnie źle, ale mam wrażenie, że znikam. Czy któraś wie, o co mi chodzi?

- Wiemy - odparła Elaine z zapalem. - Rozumiemy. Boże, rozumiemy aż za dobrze. Możesz kochać swoje dzieci, a mimo to uświadamiać sobie, że odbierają ci twoje życie. Jesteś mamusią, zamiast być kimś, kim byłaś wcześniej.

Lizanna pokiwała głową. Sprawiała wrażenie, jakby żałowała, że zaczęła tę rozmowę.

- To brzmi okropnie, jeśli tak to ujmiesz... Kocham moje dzieci. - Położyła wypielegnowaną dłoń na brzuchu. - Oboje.

- Możesz wrócić do pracy, kiedy pójdą do szkoły - odezwała się Ria.

- To dość odległa perspektywa - zauważyła Sylvia. - Ja bym się bała. Wszyscy sądziliby, że już się nie nadaję. I co bym włożyła? Jak matki to robią, że wychodzą wcześniej z domu i są ubrane do pracy? Jeśli idziemy na jakieś oficjalne przyjęcie, wyszykowanie się zabiera mi dwie godziny, bo zapomniałam, jak to się robi.

- To jest trudne - przyznała Mei. - Wróciłam do pracy, kiedy Sara miała trzy miesiące. Miałam wrażenie, że tak jak chomik wечно biegam po kole, ale donikąd nie docieram.

- Za to założę się, że na przyjęciach ludzie nie zaczynali cię ignorować, kiedy odpowiadałaś na pytanie: „Czym się zajmujesz?” - odparła Bernie.

Mel uświadomiła sobie, że Bernie wcale nie żartuje.

- O tak, sama zobaczysz - dodała Lizanna. - Oczy dosłownie mają szkliste.

Mężczyźni bywają nieprzyjemni, ale kobiety robiące karierę są jeszcze gorsze.

- Nie - powiedziała Mel, czując się niezręcznie, ponieważ sama miała chyba tę zbrodnię na sumieniu. - One czują się winne, bo nie są ze swoimi dziećmi w taki sposób jak wy. To poczucie winy.

- To litość - upierała się Lizanna. - Myślą, że mózg ci wyszło w chwili, kiedy wyszłaś za próg biura. I modlą się do Boga Cudownych Butów, żeby nigdy nie zająć w ciążę.

Godzina zmieniła się w dwie, podczas gdy dzieci pogrążone były w zabawie - czasem nawet w grupkach - a kobiety rozmawiały. Tematy zmieniały się jak w kalejdoskopie, gdy któraś wstawiała, żeby uspokoić lamentującą pociechę albo zmienić pieluszkę. Mel zafascynowała otwartość, z jaką mówiły o swoim życiu.

Nigdy nie prowadziła takich szczerych rozmów z koleżankami z pracy, wyjątkiem była Vanessa. Te kobiety jednak bez zahamowań mówiły absolutnie o wszystkim.

Żadna nie udawała, że wie dzie wspaniałe życie - w przeciwieństwie do wielu pracujących matek, które Mel знаła. Ona wiedziała, że żyją w wiecznym

gorączkowym pośpiechu, one też to wiedziały, ale przyznanie się na głos do tego faktu byłoby czymś na kształt porażki.

Dla kontrastu kobiety w szkole śmiały się ze swojego życia, z jego braków i zalet. Zajęcia skończyły się o dwunastej i Mei wyszła z auli z dwiema szczęśliwymi dziewczynkami i mnóstwem numerów telefonów zapisanych w swojej komórce. Rozmowa o byciu matką bez poczucia, że jest się oszustką, była bardzo odświeżająca.

I równie odświeżające było odkrycie, że kobiety, które zostają w domu z dziećmi, także mają problemy. Więc to nie tylko ja i Vanessa się martwimy, myślała Mei. Wszystkie matki się martwią, nawet te, które z pozoru mają wszystko pod kontrolą. Ta myśl dodawała otuchy.

Po lunchu, kiedy Carrie spała, a Sara oglądała film na wideo, Mei postanowiła zająć się pracami domowymi, które odkładała z miesiąca na miesiąc. Najpierw wyszorowała podłogę w kuchni, potem zabrała się za pokój gospodarczy. W kątach wykafelkowaną podłogę pokrywała warstwa brudu, więc wzięła godną zaufania butelkę wybielacza marki Domestos i tak długo szorowała, aż zapach amoniaku przytłumił wszystko inne.

Doszła do wniosku, że sprzątanie daje niesamowitą satysfakcję.

- Jak ci leci? - zapytał Adrian, dzwoniąc do niej z pracy.

- Cudownie - odparła Mei. - Chociaż tyle czasu spędziłam na czyszczeniu wybielaczem pokoju gospodarczego, że jestem boginią Domestosa, a nie domową.

- Lepiej być w domu niż w Lorimarze? - w głosie Adriana pobrzmiwał niepokój.

- O niebo lepiej - stwierdziła Mei, z dumą rozglądając się po swoim królestwie. W piątek przed południem Karen zastąpiła ją przy dziewczynkach, żeby Mei mogła odpocząć. Zdecydowana nie tracić kontaktów z dawnym życiem, Mei umówiła się z Vanessa na lunch.

- Tęsknię za moimi dziewczynkami - przyznała Karen na powitanie.

- Wiem, mam - odparła Mei, czując wyrzuty sumienia z jeszcze innego powodu.

Przez długi okres jej matka była nieodłączną częścią życia Sary i Carrie.

Odsunięcie na drugi plan musiało być dla niej trudne. - Przykro mi... - zaczęła, ale matka ją powstrzymała.

- Nie mów nic więcej, Mei - oznajmiła stanowczo. - Tęsknię za dziewczynkami, ale nigdy nie byłam szczęśliwsza niż wtedy, kiedy zrezygnowałaś z pracy.

Zabijałaś się, próbując łapać wszystkie sroki za ogon. Tata i ja martwiliśmy się o ciebie, ale nigdy tego nie mówiłam, bo mogłabyś pomyśleć, że się ciebie czepiam.

- Chyba tak bym pomyślała - przyznała Mei. Wcześniej takie zdanie nie przeszłoby jej przez gardło. Pobyt w domu bez dwóch zdań dobrze jej robił: była bardziej otwarta, bardziej zrelaksowana.

- Tego rodzaju posady nie są dla matek i taka jest prawda - ciągnęła Karen. - Dopóki ktoś nie wymyśli, co zrobić, żeby kobiety mogły pracować, nie zaniedbując rodzin, one będą męczyć się tak jak ty: biegając jak oszalałe i codziennie czując się rozdarte.

- Mogę wrócić do pracy, kiedy Carrie pójdzie do szkoły - dodała Mei.

- Właśnie. Jestem przekonana, że nie mogą się doczekać, kiedy wrócisz do Lorimaru. Ta stara czarownica Hilary pewnie przeklina dzień, w którym pozwoliła ci odejść!

Vanessa spóźniła się pięć minut.

- Przepraszam - powiedziała, wpadając do Oriental Pałace w obłoku perfum. - Pracujemy nad cholernymi grupami fokusowymi w związku z usługą „pielęgniarka na telefon”, żeby sprawdzić, na czym naprawdę zależy ludziom, i realizacja tego programu zaczyna się dzisiaj. Przepraszam - zreflektowała się - nie chcesz chyba o tym słuchać.

- Wręcz przeciwnie - odparła Mei. - Jeszcze nie usunęłam sobie Lorimaru chirurgicznie. Wciąż jestem w rodzinie, niechaj Bóg mi pomoże!

- Wspaniale. Bałam się, że już całkiem zmasusiałaś. Nie uwierzyłyabyś, co się wyprawia. - Vanessa w błyskawicznym tempie przebiegła wzrokiem menu, unosząc brew. Spojrzała na kelnera, który natychmiast się pojawił, w dłoni trzymając notes na zamówienia. Zrobił więcej niż przez cały ten czas, kiedy Mei tu siedziała. Ona sama musiała wziąć kartę ze stolika koło drzwi, bo najwyraźniej straciła swój niewidzialny klawisz włączający uwagę kelnera.

- Wołowina i bocznik z pak Choi - zamówiła Vanessa - a także pół butelki numeru dwunastego. U ciebie wszystko w porządku, Mel?

- Jasne. Dla mnie kurczak w orzechach cashew. I woda.

- Wiesz, wybuchła wojna z powodu problemu ze składkami, bo ludziom naliczano dodatkowe dwanaście procent, jeśli płacili kartami kredytowymi. Błąd w oprogramowaniu, choć nie z naszej winy, tak mówią spece od komputerów. Ale Hilary przez cały tydzień stawiała na głowie, żeby uciszyć burzę. Och, i nie uwierzysz, z kim widziano Shaznay, tę wysoką dziewczynę ze składek...

Dziwnie było słuchać o tym wszystkim z dystansu. Mel sądziła wcześniej, że chce poznać wszystkie nowiny, ale trudno jej było ekscytować się z powodu romansu, który Shaznay ze składek ma z Peterem z reklamacji. Plotki firmowe stanowiły krwiobieg Lorimaru. Z zewnątrz wydawały się dość banalne.

Uświadomiła sobie, że chce usłyszeć, że bez niej firma się wali i że dwa razy w ciągu jednego dnia widziano, jak Hilary z rozpaczy wyłamuje sobie palce w damskiej toalecie i mówi: „Nie docenialiśmy pani Redmond. Sprowadźcie ją z powrotem, koszty nie mają znaczenia”. To sprawiłoby jej wielką przyjemność. Tymczasem nikt nie wyłamywał sobie palców z powodu nieobecności Mel. Jej następczyni, dwudziestopięcioletnia Chinka imieniem Kami, zauroczyła wszystkich i teraz Vanessa z nią chodziła na lunch.

- Ona wie, jak radzić sobie z Hilary, to nie ulega wątpliwości - stwierdziła Vanessa z aprobatą, pożerając swój posiłek. - Kiedy Hilary wpada w furję, Kami wpatruje się w nią z kamienną twarzą. Hilary nie potrafi sobie z tym poradzić. Nie możesz stracić panowania nad sobą przy kimś, kto nigdy tego nie robi.

- Pewnie nie - zgodziła się Mel, odkrywając, że jest głodna jak wilk, choć poza swoim śniadaniem skończyła też płatki po Carrie. Trudno nie jeść, kiedy się jest w domu przez cały dzień: dzieciom ciągle trzeba dawać zdrowe przekąski, a kiedy Mel otwiera lodówkę, żeby wyjąć sok albo serek, łapie się na tym, że skubie ser albo wrzuca w usta kolejną oliwkę w zalewie z oliwy i czosnku.

- Więc co u ciebie? Chodzisz rano na kawki?

- Eee... tak, jutro idę - przyznała Mel, czując się momentalnie jak uosobienie stereotypowej, rozpieszczonej niepracującej żony, chociaż rzeczywistość z tym obrazem nie miała nic wspólnego. - Ale wszystkie chodzimy na zajęcia dla kilkulatków, więc to właściwie jest jak spotkanie grupy, tylko że w czyimś domu.

- To znaczy, że poznasz ludzi?

Z ustami pełnymi kurczaka - ten sos jest wyśmienity! - Mel kiwnęła głową.

- Zostaliśmy zaproszeni na kolację w przyszłą sobotę. Do Astrid. Mieszka niedaleko nas, ale ma jeden z tych wielkich snobistycznych domów

- Widzisz? Już wkręciłaś się do Mafii Mam z Carrickwell - zażartowała Vanessa. - A co z kuponami do ośrodka spa, wykorzystywałaś je? - W prezencie pożegnalnym od Lorimaru Mel dostała dwa kupony na zabiegi w nowym ośrodku spa Wzgórze Obłoku.

- Jeszcze nie, oszczędzam je na specjalną okazję - odparła Mel.

- Żałuję, że nie mam czasu wybrać się z tobą, ale to zwariowany okres - powiedziała Vanessa, kończąc wino. Była dopiero za dziesięć drugą. - Lepiej już polecę, Mel. Muszę wpaść do supermarketu i kupić coś Conalowi na obiad.

Mei wciąż była głodna, kiedy więc pożegnała się z Vanessa, pokręciła się trochę po mieście, a potem wybrała do centrum handlowego, gdzie wypła kawe i zjadła ciastko z kremem. W sklepach sporo było ślicznych rzeczy. Zakochała się w zamszowych sandałach barwy cynamonu, które pięknie wyglądały na

nodze. Ale kosztowały zawrotną sumę, a teraz, kiedy nie pracowała, nie mieli pieniędzy na takie luksusy.

W następną sobotę Mei pożałowała, że nie kupiła któregoś z tych cudownych ciuchów, które widziała po lunchu z Vanessa. Wieczorem odbywała się kolacja u Astrid i Mei uświadomiła sobie, że jej stroje wieczorowe składają się z ubrań wkładanych na imprezy w firmie (rozsądne czarne i granatowe suknie), dwóch połyskliwych obcisłych bluzek, które miała od wieków, a które wyszły z mody razem z Abba, przezroczystej czarnej koszuli wymagającej starannie dobranej bielizny, kilku sukienek z czasów, gdy chodziła po klubach, oraz nieuchronnych czarnych spodni.

Ubrania weekendowe bez wyjątku były sportowe i nadawały się wyłącznie na kolację u Ronalda McDonalda. Do wyboru pozostały jej jeszcze kostiumy kobiety sukcesu. Mei nie interesowała się przesadnie strojami, ale zaczynała dostrzegać, że pod względem odzieżowym jest fatalnie przygotowana do swojego nowego życia. A potem na dnie szafy odkryła starą fioletową sukienkę na ramiączkach, którą kupiła na wakacjach we Włoszech, kiedy dopiero zaczęli się spotykać z Adrianem. Stylem mgliście przypominała lata trzydzieste, ale była ponadczasowa i co dziwne, wciąż pasowała. Dzisiaj wieczorem, kiedy nie musi być panią Redmond z reklamy, sukienka nada się idealnie.

Dom Astrid usytuowany był przy jednej z bardziej wytwornych i kosztownych ulic Carrickwell. Okazał się wolno stojącym wielkim budynkiem z czerwonej cegły w rzędzie innych, nieco się różniących wielkich budynków z czerwonej cegły. Od Goldsmith Lawn dzieliło go pięć minut pieszej przechadzki, ale znajdował się w innym świecie, jeśli chodzi o ceny

- Obracamy się w snobistycznych kręgach - zauważył Adrian, gdy szli krętym, obsadzonym iglakami podjazdem.

- Tak - zgodziła się Mei. - Jak sądzisz, będzie im odpowiadało spaghetti bolognese w naszej jadalni-pokoju zabaw? Mogłabym nawet odsunąć niektóre zabawki, żeby nogi gości zmieściły się pod stołem.

- Nie ma potrzeby wykonywać aż tak radykalnych działań. Przydepnięcie piszczącej gumowej maskotki może być cudownym sposobem na przełamanie lodów.

Pomimo imponującej fasady, dom Astrid i Mikea wewnątrz odznaczał się przytulnym, przyjaznym dzieciom wyglądem. Mei z ulgą zobaczyła, że Astrid też nie jest zwolenniczką oficjalnych przyjęć, bo na stole nie było śladu kosztownych sreber ani kieliszków z ciętego szkła. Panowała swobodna atmosfera.

Mike stał u szczytu stołu i tak kierował gości, żeby pary nie siedziały razem. Mei znalazła się pomiędzy dość młodym facetem w spodniach khaki i niebieskiej bluzie oraz starszym mężczyzną w śnieżnobiałej koszuli ze spinkami z monogramem. Na imię miał Colin i mieszkał obok Astrid.

- Czym się zajmujesz? - zapytał, kiedy wszyscy zasiedli na swoich miejscach.

- Pracuję w dziale reklamy... - zaczęła Mei i zaraz się roześmiała z własnej pomyłki. - Pracowałam w dziale reklamy Lorimaru.

W oczach Colina błyszczało zainteresowanie i Mei uznała, że jest niezły jak na swój wiek. Seksowny w charyzmatyczny sposób.

- Brzmi interesująco. - Odrobinę przysunął ku niej łokieć.

- Należałam do zespołu zajmującego się stroną internetową. Internet jest niezwykle ważną częścią naszej branży. No, w każdym razie był, kiedy pracowałam.

- A czym się teraz zajmujesz?

- Zrezygnowałam z pracy, żeby wychować dzieci.

Jak światło w wyłączonej żarówce, tak błysk zainteresowania zgasł w oczach Colina.

Mel wiedziała, że sobie tego nie wyobraziła.

- Mam dwie dziewczynki: jedna ma dwa i pół, druga prawie pięć lat - ciągnęła.

Colin usiadł prosto, łącząca ich miła intymność przysła jak bańka mydlana.

- Masz dzieci? - zapytała, ponieważ musiała mieć całkowitą pewność, że zniechęciła go informacja, iż ma do czynienia z gospodynią domową, a nie wzmianka o dzieciach.

- Tak, teraz są prawie dorosłe. Kosztują mnie fortunę. Muszę pracować dniami i nocami na ich kieszonkowe.

I temat został zamknięty Colin napił się wina i rozejrzał po stole, jakby nagle dopadł go głód i zastanawiał się, gdzie jest jedzenie.

Mel uświadomiła sobie, że to nie dzieci są tematem tabu. To niepracująca matka.

Lizanna wygrałaby zakład. Colin miał szkliste oczy.

Astrid i Mike byli dobrymi gospodarzami. Pilnowali, by przy stole toczyła się ożywiona rozmowa i by nikt nie czuł się pominięty. Obserwując Adriana pogrążonego w ożywionej rozmowie z sąsiadką, podczas gdy Colin z rozmysłem unikał patrzenia w jej stronę, Mel była wdzięczna Astrid, że ta od czasu do czasu wciąga ją do ogólnej dyskusji.

Piłka nożna, ceny domów, szkoły, prace drogowe na moście, mądrość wyrażająca się w dawaniu dzieciom telefonów komórkowych i nowy Bond: wszystko to zostało ze śmiechem omówione.

Drugi sąsiad Mel, facet w błękitnej bluzie, nie zwracał na nią uwagi, ale nie miała mu tego za złe, ponieważ nie ulegało wątpliwości, że został zaproszony z myślą o dziewczynie, która siedziała po jego drugiej ręce. Astrid okazała się dobrą swatką, to było jasne jak słońce. Para pograżyła się w dyskusji, co oznaczało, że Mei może dokładnie się przyjrzeć plecom sąsiada.

W końcu, czemu dopomogło kilka kieliszków wina i brandy, Colin uznał, że Mei jest jednak interesującą partnerką do rozmowy.

Przez jakiś czas słuchała, jak opowiada o swojej pracy (firma telemarketingowa), ulubionym sporcie (miał łódź motorową) oraz poglądach na aktualny sezon Formuły Pierwszej (byłoby świetnie, gdyby wreszcie pojawiła się jakaś nowa krew, no nie?).

Mei nie chciała zachować się niegrzecznie na cudzym przyjęciu, uśmiechała się więc i obserwowała, jak wskazówki jej zegarka w ślimaczym tempie zbliżają się do jedenastej. To chyba odpowiednia pora na wyjście? Przez cały ten czas oczy Colina, które do cna straciły dla niej atrakcyjność, błądziły po jej piersiach opiętych fioletową sukienką. Przed wyjściem nie potrafiła nigdzie znaleźć stanika bez ramiączek, więc poszła bez stanika. Mei rozbawiona pomyślała, że Vanessa zdrowo by się uśmieła, gdyby zobaczyła, że wstawiony facet podziwia biust, który zdaniem właścicielki jest zupełnie beznadziejny.

W końcu jednak zaczęło ją to irytować. Colin nie wiedział i nic go to nie obchodziło, że przez całe swoje dorosłe życie była ambitną kobietą wspinającą się po szczeblach kariery - widział wyłącznie gospodynię domową wychowującą dzieci, w obcisłej sukience, bez pracy i bez stanika.

Seksizm nie był sprawą nową dla Mei i zawsze potrafiła sobie z nim radzić, ponieważ czuła się czymś więcej niż sumą części ciała. Jeśli facet zagwizdał na widok jej nóg, ignorowała go. Była o wiele mądrzejsza niż on, pewna swoich umiejętności. Niech sobie gwizdże. I co z tego? Jeśli współpracownik rzucał jakąś bystrą uwagę o kobietach, Mei potrafiła osadzić go w miejscu. Wiedziała, że jest warta więcej niż jakikolwiek mężczyzna zajmujący równorzędne stanowisko. Tylko że jej miejsce pracy się zmieniło. Pewność siebie, którą dawała kariera, wyciągnięto jej spod nóg, jak magik wyciąga obrus spod filiżanek. A zażawione, pijane oczy Colina doprowadzały ją do furii.

Założyła ręce na piersi, tam gdzie jego wzrok spoczywał już od kilku sekund.

- Czemu nie zrobisz zdjęć? Wystarczyłoby na dłużej - powiedziała.

Może i myśli Colina skupione były na dość pierwotnych kwestiach, ale aluzja do niego dotarła.

- Przepraszam, ja tylko... - wybąkał, unosząc wzrok, choć za bardzo był zakłopotany, żeby spojrzeć jej w oczy.

Mel złapała ponad stołem spojrzenie Adriana i energicznie odsunęła krzesło.

- Astrid, Mike, cudowne przyjęcie - powiedziała wesoło. - Jedzenie było fantastyczne, ale jest już jedenasta i musimy iść. Opiekunka do dzieci, rozumiecie!

- O tak - potwierdził Adrian, który czytał z twarzy Mel jak z książki. -Dziękujemy. Wołowina była rewelacyjna.

Po gorących podziękowaniach wyszli na ulicę i Mel opowiedziała mężowi całą smutną historię.

- Nie wiem, czemu go nie walnęłam - wściekała się, gdy wracali do domu.

- Powinnaś była - zgodził się Adrian, trzymając ją za rękę.

- Był taki niegrzeczny. Jak tylko usłyszał, że siedzę w domu z dziewczynkami, to pstryk! Stałam się nudną gospodynią domową, z którą nie miał o czym rozmawiać.

- Pewnie ma małego ptaszka - dodał Adrian.

- Nie próbuj mnie rozbawić! Był po prostu niegrzeczny i zasłużył na to, żeby go upokorzyć na oczach wszystkich gości. Nie mam pojęcia, czemu tego nie zrobiłam! - Mel maszerowała szybko, jak zawsze kiedy była zła, i nie przeszkadzały jej w tym wysokie obcasy. - Gdybym skłamała i powiedziała, że wciąż pracuję w Lorimarze, flirtowałby ze mną przez cały wieczór. Znam ten typ. Podniecają go kobiety biznesu.

- Nie podobałoby mi się, gdyby z tobą flirtował - oznajmił Adrian. - Nie żebym był zazdrośnikiem, ale wolę, żeby faceci nie flirtowali z tobą tuż pod moim nosem.

Myślę, że odziedziczyliśmy to po jaskiniowcach - dodał z namysłem. -Mężczyźni nie lubią samców, którzy podrywają ich kobiety - coś w tym rodzaju. Musiałbym walnąć go maczugą w łeb albo wyzwać na pojedynek na równinie z dinozaurami gotowymi ruszyć do ataku.

- Dinozaury i ludzie nie żyli w tym samym czasie - przerwała mu Mel.

- Naprawdę? - zapytał Adrian z udawanym zaskoczeniem. Objęła go w pasie.

- Doskonale wiesz, że nie, ale właściwie zareagowałeś. W takich jak ta chwilach wiem, dlaczego za ciebie wyszłam.

- Dzięki za ten dowód zaufania, pani Redmond. I ja cię kocham.

Rozdział dwunasty

Problem z wielkimi weselami polega na tym, że zawsze wybuchają na nich awantury - taki wniosek wysnuła Cleo, kiedy o drugiej w nocy stała z przyklepionym do twarzy uśmiechem w recepcji hotelu Mc Arthur, położonego w bogatym pasie dublińskich ambasad. Zawsze. Nawet w najbardziej wytwornym hotelu, gdzie butelki Chateau Petrus lały się strumieniami, a zwykłe pokoje bez żadnych specjalnych bajerów kosztowały trzysta euro za noc.

Cleo przypuszczała, że niezależnie od tego, jak wytworne albo skromne jest wesele, wszystkie rodziny mają te same powody do kłótni.

- Kiedy zaczęła się ta chryja? - zapytał portier Jean-Paul, jeden z kilku pracowników, którzy tak jak Cleo nie spali. Cleo często zaskakiwało, że wielkie hotele nocami są puste: na piętrach śpią goście, na dole garstka personelu stoi na straży, a ekipa sprzątająca snuje się po przybytku niczym duchy.

- W każdej chwili pójdą w ruch pięści - odparła Cleo energicznie, jakby wcale nie padała z nóg z wyczerpania. - Przed chwilą dzwonił Luigi z baru i mówił, że ojciec panny młodej strasznie się kłóci z wujem pana młodego. Luigi sam nie da rady tego opanować, bo Vincent znowu poszedł do piwnicy. Chcą napoleona. Po butelce dla każdego.

O czwartej po południu stylowe grono gości weselnych złożone z członków rodzin Smith i O'Hara pozowało do zdjęć fotoreporterom z działów towarzyskich magazynów: jaśniejące radością twarze, wciągnięte brzuchy, wytworne kreacje w żywych barwach i złote roleksy na przegubach z opalenizną z Riwiery. Dziesięć godzin później najbardziej wytrwali wciąż byli w barze i wyglądali znacznie gorzej. Twarze, brzuchy i ubrania jakoś się wymięły, a chociaż wszyscy patrzyli na swoje roleksy, żeby sprawdzić czas i pokazać innym, jak niesamowicie są bogaci, skoro mają taki zegarek, nikt nie chciał przyznać się do porażki i iść do łóżka.

Rodzice panny młodej wydali fortunę na to przyjęcie weselne sezonu w McArthurs Hotel i choćby nie wiem co, zamierzali dostać wszystko, za co zapłacili.

Wyrzucenie ich z baru mogłoby okazać się cokolwiek trudne, zwłaszcza że rachunek nie został jeszcze uregulowany.

- Dwustuletnia brandy? - prychnął Jean-Paul. - Na tym etapie moglibyśmy podać im bimber, a nie zauważyliby różnicy.

Do holu weszli trzech bogaci arabscy biznesmeni. Na sobie mieli eleganckie zachodnie garnitury i byli zupełnie przytomni mimo tak późnej pory. Śniadanie zjedli w południe, lekki lunch o czwartej po południu, obiad w prywatnym klubie

o dziesiątej. Teraz zamierzali zakończyć wieczór partyjką kart i rozmową o interesach w barze.

Jean-Paul, który wiedział, co mu się opłaci (Arabowie dawali wysokie napiwki), wyszedł zza biurka i grzecznie poprowadził dżentelmenów do Library Bar, sali za głównym barem, gdzie nie będzie im przeszkadzał hałas weselnego przyjęcia.

Cleo znowu została sama w wielkiej recepcji, czego nie znosiła, bo miała wtedy czas na rozmyślanie. Przez ten miesiąc, który upłynął od dnia, gdy ze wszystkimi swoimi rzeczami opuściła rodzinny dom, miała aż za wiele czasu na rozważania: zastanawiała się, czy sprzedaż hotelu została zakończona, dokąd przeprowadzi się jej rodzina, jak mieszą się rodzice, czy ktoś za nią tęskni?

Mama Trish przekazała jej większość nowin. Dzięki siatce informacyjnej, działającej w Carrickwell na zasadach żywcem zapożyczonych z Interpolu, dowiedziała się, że hotel istotnie został sprzedany, ale Malinowie jeszcze się nie wyprowadzili. W mieście mówiono, że Harry i Sheila kupują mały dom w Bretanii. Nikt nie wspominał, czy Malinowie tęsknią za córką, a Cleo była zbyt dumna, żeby o to zapytać.

Wciąż uważała, że sama nie zrobiła nic złego, w przeciwieństwie do reszty rodziny. Dała to jasno do zrozumienia matce, gdy ta zadzwoniła do niej po tygodniu od awantury Sheila pytała, kiedy Cleo wróci rozsądek.

- Ta głupia kłótnia trwa za długo, Cleo - oznajmiła matka stanowczo. - Nie jesteś już dzieckiem. Wróć i przeproś za swoje zachowanie, żebyśmy mogli wreszcie zapomnieć o całej tej sprawie.

- Ja mam przeprosić! - Cleo ucieszyła się bardzo, widząc na ekranie komórki domowy numer, bo była przekonana, że matka dzwoni, żeby przeprosić za zachowanie pozostałych członków rodziny. - Nie zrobiłam nic złego, mamo - powiedziała. Pod powiekami wezbrały jej gorące łzy. - Wszyscy mówili mi okropne rzeczy, czuję się odizolowana, zraniona... - A najbardziej zranił ją ojciec. Wiedział, że dla córki jest idolem. Jak to możliwe, że nie zadał sobie nawet trudu, żeby do niej zadzwonić? Dlaczego nie chciał z nią porozmawiać?

- Och, Cleo, na litość boską...

Zniecierpliwienie w zwykle łagodnym głosie matki sprawiło, że Cleo znowu dała się ponieść gniewowi.

- Jesteście moją rodziną i kocham was wszystkich - powiedziała gwałtownie - ale nie jestem już dzieckiem i nie pozwolę tak się traktować. Powinnam była brać udział w dyskusjach o przyszłości mojego domu, zasłużyłam na to. Dopóki ktoś mnie nie przeprosi za to, że zostałam pominięta, nie mogę wrócić do domu.

- Jak chcesz - odparła matka ze znużeniem. - Do widzenia.

Cleo była przekonana, że ma rację, że to rodzice i bracia powinni przyjść do niej i przeprosić. Dopóki to nie nastąpi, ona jest Malinówną tylko z nazwiska.

To nie dzięki nazwisku zdobyła upragnione przez wielu zastępstwo w prestiżowym McArthurze. Pomogły jej w tym referencje z francuskiego chateau oraz opinia z collegeu. McArthur był ostatnim krzykiem hotelowej mody. Jego zarząd chwalił się, że połączono w nim urok pensjonatu z wielkopańskim wyrafinowanym stylem, co oznaczało, że kanapka w restauracji kosztuje tyle, co pokój w tanim motelu na lotnisku. Wszystko chodziło tu jak w doskonałym szwajcarskim zegarku, a gościom zapewniano prywatność w stylu innej wielkiej gałęzi szwajcarskiego przemysłu: bankowości. Z tego też powodu hotel wybierały gwiazdy rocka, gwiazdy filmowe i bajecznie bogaci ludzie.

- Chyba lepiej pracować w Dublinie niż w jakiejś zapadłej dziurze? -powtarzała Trish, wiedząc, jak przygnębiona jest Cleo, i próbując jakoś ją pocieszyć. - Pomyśl, kogo tam spotkasz: aktorów, zespoły, ludzi z telewizji. To będzie niesamowite.

- Nie spotyka się wielkich tego świata o drugiej w nocy - zauważyła Cleo. - A jeśli nawet pojawią się o takiej porze, to nie będą patrzeć na mnie, tylko marzyć o położeniu się do łóżka.

- Takie zastępstwo to krok do pracy na pełnym etacie - powiedziała Trish zachęcająco.

- Prawda. - Cleo starała się nadać głosowi entuzjastyczne brzmienie. Zastępstwo oznaczało nocną zmianę, a ona już wcześniej doszła do wniosku, że nie znosi takiej pracy. Była strasznie monotonna. Mózg jej drętwiał od patrzenia na poruszające się w ślimaczym tempie wskazówki zegara. O trzeciej nad ranem czuła się kompletnie rozbita i tylko kilka puszek dietetycznej coli mogło postawić ją na nogi. Kiedy o siódmej kończyła pracę i mogła iść do domu się wyspać, była całkiem wyczerpana i wiedziała, że długo będzie się rzucała w pościeli, nim na kilka godzin zapadnie w przerywany, pełen koszmarów sen. Mieszkała u Trish, a nie było to idealne miejsce na wypoczynek w ciągu dnia. Obok biegła linia kolejowa i koszmary Cleo często potęgowane były głośnym jak grzmot warkotem pędzącego ekspresu.

Nie miała nic przeciwko samemu brakowi snu, chociaż trudno było co wieczór wychodzić do pracy po paru zaledwie godzinach wypoczynku, ale kiedy leżała i nie mogła zasnąć, przed jej oczami jak w MTV ciągle przewijały się powtórki tamtej kłótni i rozważania, jak każdy z jej uczestników mógł się zachować. Gdyby tylko tatuś zrobił albo powiedział to czy tamto - ścieżka dźwiękowa szła bez przerwy.

- Zapomnij o tym. Oni też zapomną i za kilka lat będziecie się zastanawiać, o co właściwie poszło - radziła Trish. - Ludzie nas zawiodą, Cleo. Musisz się z tym pogodzić i iść dalej.

Tylko że Cleo nie była taka jak Trish i nie sądziła, by potrafiła iść dalej. Rodzina wiele dla niej znaczyła. Mogła ruszać na poznawanie świata, jeśli za sobą niczym tratwę ratunkową miała Willow i Malinów. Bez nich świat wydawał się bardziej przerażający. A jeszcze gorsze było uczucie, że ją zawiedli. Niezależnie od tego, co Trish mówiła, rodzina powinna być po twojej stronie. Mogą cię zawieść mężczyźni, ale nie rodzice. Cleo nie potrafiła sobie z tą myślą poradzić.

Paige, atrakcyjna dziewczyna z włosami związanymi w koński ogon, która pochodziła z Missisipi i pracowała od połowy zmiany, żeby pomóc w załatwianiu gości opuszczających hotel wczesnym rankiem, przyszła o piątej, ziewając i niosąc dwa kubki z kawą oraz kilka dzienników świeżniętych z biurka Jean-Paula.

- Dla ciebie bez cukru, tak?

- Dzięki. - Cleo z wdzięcznością przyjęła kawę.

Paige, która mimo nieludzkiej pory wyglądała świeżo jak spod igły, usiadła i zaczęła kartkować gazetę.

- Co się działo?

- ...więc Luigiemu udało się wyprawić gości weselnych do łóżka, nim połała się krew. - Cleo relacjonowała wypadki nocy. - Aha, i Vincent jest szczęśliwy jak skowronek, bo dostał pięć stów napiwku od tych facetów z Ameryki Południowej z ostatniego piętra.

- Dla kogoś zabrakło miejsca?

Wszystkie hotele dokonują więcej rezerwacji, niż mają pokoi. Praca kierownika rezerwacji tradycyjnie polega na delikatnym i nieustannym balansowaniu, którego celem jest zapewnienie kompletu gości na każdą noc. Zawsze znajdzie się ktoś, kto odwoła rezerwację, dlatego lepiej mieć paru chętnych w zapasie. Ale kiedy jest tysiąc pokoi i tysiąc czterech gości, kogoś trzeba odprawić. Zwykle pada na samotnego biznesmena zjawiającego się późnym wieczorem.

- Tak, dla kilku osób. - Cleo stuknęła w ekran. - Wysłaliśmy ich do Beau Regard.

Był jeszcze Greg Junior. Bardzo mi pomógł, kiedy ten facet, który przyleciał z Londynu, zaczął się rzucać. - To Greg Junior i jego ojciec Greg Senior, dwaj portierzy, w rzeczywistości zarządzali hotelem - tak przynajmniej twierdzili wtajemniczeni. Dyrektor mógł nie wiedzieć, który z ważnych biznesmenów spędza noc z prostytutką albo która z bogatych dam próbowała owinać się wokół zdumionego kelnera, przynoszącego jej o północy przekąskę

złożoną z szampana i białego. Ale Gregowie wiedzieli. Przy swoim zwodniczo skromnym biurku ustawionym na lewo od wielkich obrotowych drzwi trzymali rękę na pulsie całego hotelu.

- Greg Junior jest fajny, prawda? - zauważyła Paige. Cleo zastanowiła się chwilę: Greg był wysportowany i schludnie ostrzyżony.

- Jest miły, ale nie w moim typie.

W typie Cleo był wysoki brunet o złych skłonnościach. Dziwne, ale w tym momencie przed jej oczami pojawił się wysoki brunet z fryzurą na jeża. Paige dopiła kawę i znowu ziewnęła.

- Jeszcze pięć minut i zabieram się do roboty - oznajmiła, podając Cleo pierwszą gazetę, a sama biorąc drugą. Pośpiesznie ją przekartkowała. - O, ten jest w moim typie

- powiedziała z rozmarzeniem, przerzucając nudne strony o biznesie. - Tyler Roth.

- Paige zakręciła końskim ogonem.

- Cudowne ciało i cudowna twarz.

- Daj, niech popatrzę. - Cleo przechyliła się do koleżanki.

Ze zdjęcia uśmiechał się do niej mężczyzna, który wyglądał, jakby właśnie został następcą tronu Brunei. Ten sam, co nawiedzał jej koszmary senne od tamtego wieczoru w Carrickwell. Samiec Alfa, który pomógł jej wstać z chodnika, obraził ją i zniknął.

- Jak słowo daję... - zaczęła. - Co?

- Nic. - Cleo jeszcze chwilę przyglądała się zdjęciu. Tyler Roth został sfotografowany przed miejscem budowy nowego potężnego hotelu. Króciutkie włosy nadawały mu lekko niebezpieczny wygląd. Pomimo pięknego garnituru, jedwabnego krawata i aury wyrafinowania ten człowiek miał w sobie coś z drapieżcy

- To chodzące konto bankowe - powiedziała Paige. - Jego ojciec jest prezesem Roth Hotels, a on zajmuje się rozbudową sieci. - Przesunęła pomalowanym na różowo paznokciem w dół kolumny. - Tu go nazywają gorącym młodym biznesmenem. „Twardy, bezkompromisowy, ambitny i podobno bezwzględny, jest nieodrodnym synem swego ojca”. Piszą, że szuka hoteli albo miejsc pod budowę hoteli w tych okolicach.

Tyler Roth z Roth Hotels. Co za ironia, pomyślała Cleo. Teraz, kiedy znała jego nazwisko, będzie umiała go znaleźć, ponieważ wciąż miała mu coś do powiedzenia, a on tak czy owak tego wysłucha.

Paige złożyła gazetę, posprzątała i podeszła do swojego monitora.

- Chętnie bym się u niego zatrudniła. No wiesz, gdybyś poderwała takiego faceta jak on, nie musiałabyś pracować do końca życia.

Cleo zirytowała się. Dlaczego taka inteligentna i ładna dziewczyna jak Paige w ogóle rozważa wydanie się za bogatego faceta jako drogę kariery życiowej? Dlaczego nie rozumie, że zdobycie fortuny własną pracą daje o wiele większą satysfakcję? Tak właśnie zamierzała postąpić Cleo. Jeśli uda się jej zbudować własne imperium, nikt nigdy jej go nie odbierze. Nikt.

Wszyscy wiedzieli coś o Tylerze Rocie. Greg Senior ponad dwadzieścia lat temu pracował w pierwszym hotelu Rotha.

- Manhattan Roth - westchnął, kiedy Cleo z udawaną obojętnością wyciągała z niego szczegóły. - To dopiero był hotel! Wszystkie najsławniejsze gwiazdy się w nim zatrzymywały. Lunch w Roth Grill był największą atrakcją w mieście. Tyler był wtedy dzieckiem, jest najmłodszy, z drugiego małżeństwa Leviego. Oprócz niego było kilka dziewcząt, prawdziwych piękności: małych księżniczek, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Cleo pokiwała głową.

- Tatuś dawał im wszystko. Jedna nagrała album, druga była modelką, ale żadna nie zrobiła kariery. Bawiły się, wydając pieniądze tatusia i czekając, aż trafi im się coś lepszego. Mały Tyler był zupełnie inny. - Greg Senior uśmiechnął się. - Ostry jak brzytwa. Jeśli okaże się taki jak jego ojciec, to wiele dokona.

Wendy, szefowa administracji, poznała Leviego wiele lat temu, kiedy dopiero uczyła się fachu. Był twardy, ale sprawiedliwy. Tyler jest taki sam, tak przynajmniej twierdzi jej stara przyjaciółka, która pracowała w wielu hotelach Rotha.

Szef barmanów, Ruby Jack, pracował wcześniej w New Orleans Roth.

- Tyler? Jasne, znam go. - Gwizdnął przez zęby - Pies na kobiety. Umawiał się z dwiema dziewczynami, kiedy go znałem, a miał dopiero osiemnaście lat.

- Naprawdę? - Cleo coraz mniej lubiła Tylera Rotha. Ze wszystkich tych opowieści wynikało, że straszny z niego mądrała, któremu się wydaje, że dzięki fortunie ojca może sobie pędzić przez życie, na każdym kroku obrażając ludzi.

- Wiedziały o sobie - dodał Ruby. - Te dziewczyny, wiesz. Ale im to nie przeszkadzało.

Kolejne cholerne idiotki, które gotowe były zgodzić się na wszystko, byle zdobyć bogatego faceta. Dokładnie tak jak Paige. Czy współczesne dziewczyny nie mają za grosz poczucia własnej wartości?

Ponieważ o Rothach często mówiono w związku z planami rozszerzenia sieci na Irlandię, nie trzeba było nadmiernej pomysłowości, żeby odkryć, że kiedy Tyler Roth przyjeżdża do Dublina, zatrzymuje się w McArthurze. Bo gdzież by indziej?

- pomyślała Cleo z przekąsem. Cóż, będzie gotowa na jego przybycie.

Tyler na pewno rezerwuje pokój ze sporym wyprzedzeniem, więc ona zrobi wszystko, żeby go powitać. Nie wiedziała jeszcze, w jaki sposób się na nim zemści, ale pracuje nad tym.

I rzeczywiście, nie musiała długo czekać. Rozeszła się wieść, że Rothów zainteresowało historyczne miejsce pod Galway, aukcja działki odbywała się pod koniec tygodnia. Tyler i jego ekipa mieli spędzić w McArthurze pięć dni. Cleo pozostało tylko zamienić się z kimś dyżurami.

Geena, wiotka dziewczyna z Clare, która mówiła czterema językami i pracowała na dziennej zmianie w recepcji, wystawiła na tablicy ogłoszeń prośbę, żeby ktoś się z nią zamienił, bo chce wyjechać z chłopakiem na długi weekend do Paryża. Ostatniego zdania oczywiście nie było w notatce. Zarząd hotelu niechętnie patrzył na zamiany i zgadzał się na nie tylko z poważnych powodów. Oficjalnym powodem Geeny był chrzest w rodzinie.

- Zastąpię cię - zaproponowała Cleo. - Potrzebuję forsy.

- Chętnie bym się zgodziła - odparła Geena z żalem - ale to się nie uda. Wracam do pracy we wtorek rano, więc nie będę w stanie przez cały tydzień pracować na nocnej i dziennej zmianie. Ludzie z nocnej zmiany nigdy nie zamieniają się z tymi z dziennej. Ale bardzo miło z twojej strony, że zaproponowałaś.

- Wcale nie chcę, żebyś odrabiała moje zmiany - nalegała Cleo. - W ten weekend mam wolne, więc cię zastąpię, skończę w poniedziałek wieczorem i wrócę na wtorkową nockę.

- Będiesz wykończona - powiedziała Geena.

- Dam radę - odparła Cleo. Wyrównanie rachunków z Tylerem Rothem było tego warte.

Tyler Roth pojawił się w McArthurze w piątek wieczorem. Cleo stała za kontuarem, gotowa na wszystko. Nie była pewna, czy Tyler ją pozna. Przecież to niemożliwe. Incydent w Carrickwell trwał krótko, w dodatku był późny wieczór. Tylerowi towarzyszył drugi mężczyzna. Czy on kiedykolwiek podróżuje samotnie, zastanawiała się Cleo kwaśno, czy też zawsze ma goryla?

- Dwie rezerwacje na nazwisko McKenzie i Roth - powiedział ten drugi, przystojny i wysoki, choć przy cokolwiek mrocznym Tylerze Rocie wydawał się nazbyt zwyczajny i blady.

Tyler nie patrzył na recepcję i Cleo. Trzymał przy uchu telefon komórkowy, choć nie mówił, tylko słuchał w dziwnym bezruchu, jakby całkowicie skupiony był na tym, co miała mu do powiedzenia osoba po drugiej stronie.

- Witam w hotelu McArthur - powiedziała Cleo, robiąc co w jej mocy, by przywołać na twarz minę Tamary pod tytułem: „Żadnych uśmiechów, bardzo proszę, chyba że jesteś Bradem Pittem”. - Zaraz sprawdzę rezerwacje panów. Zręcznie postukała palcem po ekranie, znalazła nazwiska, wręczyła Larry emu McKenzie kartę do wypełnienia i zameldowała go. Kartę dla Tylera zostawiła na kontuarze.

- Ja to zrobię - powiedział Larry, biorąc kartę.

- Pan Roth musi ją podpisać - odparła Cleo. Z jej twarzy zniknęła ponura mina Tamary. Musiała się uśmiechnąć: to było jej druga natura.

Larry patrzył na nią z podziwem. Tego nie było w planie, pomyślała Cleo. Wiedziała, że przesadziła z wyglądem irlandzkiej dziewczyny, zakładając maleńkie złote kolczyki w stylu claddagh i pociągając oliwkowym cieniem powieki, żeby uwydatnić zielone plamki w orzechowych oczach.

- Tyler - zawołał Larry, widząc, że jego towarzysz wyłącza telefon.

Tyler Roth okręcił się gładko w butach z włoskiej skóry i gdy jego piwne oczy spojrzały w oczy Cleo, przez ułamek sekundy wydawało jej się, że próbuje gdzieś ją umiejscowić, zaraz jednak to wrażenie minęło. Wyciągnął do Larry ego dłoń po pióro - człowiek, który melduje się w hotelu w podróży służbowej. Dlaczego miałby pamiętać Cleo? W obecności dwóch świadków obraził ją w jej rodzinnym mieście, to wszystko. Kto by to pamiętał? Cleo gotowała się z oburzenia na taką niesprawiedliwość.

- Dzięki. - Pismo miał ciężkie, zamasyście wznoszące się i opadające, niczym szkic górskiego łańcucha. Cleo oglądała kiedyś program, w którym grafolodzy analizowali ludzkie charaktery na podstawie podpisów. Ciężkie z zamasytymi szczytami oznaczało egoistę, opętanego manią władzy niewdzięcznika, prawda? Tyler wykonał gest, jakby zaraz machinalnie miał schować pióro do kieszeni, potem przypomniał sobie, że nie należy do niego, więc położył je na kontuarze, skąd szybko zabrała je Cleo. Zgadza się: opętany manią władzy.

- Dziękuję, Cleo - powiedział, znacząco spoglądając na jej identyfikator. Zupełnie nieoczekiwanie Cleo uświadomiła sobie istnienie krągłości swoich piersi pod odznaką.

- Dziękuję, panie Roth. Witam w hotelu McArthur - odparła, próbując dokonać trudnej sztuczki polegającej na połączeniu uśmiechu z lodowatym spojrzeniem.

- Jestem przekonany, że pobyt tutaj sprawi nam wielką przyjemność - powiedział, spoglądając na nią porozumiewawczo, co upewniło Cleo, że jednak ją pamięta. - Proszę przysłać nasz bagaż do pokoiów - dodał.

Cleo jakimś cudem zapanowała nad chęcią, by odpowiedzieć: „Och, chce pan bagaż do pokoju? Ojej, dobrze, że mi pan o tym mówi. Miałam zamiar wysłać go

do Four Seasons". Nie wątpiła, że takie przemądrzalstwo byłoby dotkliwą obrazą.
- Oczywiście, panie Roth. Życzę miłego pobytu. I panu także, panie McKenzie -
dodała, wyłączając efekt lodowej zamieci i oślepiając biednego Larry'ego
McKenzie firmowym uśmiechem na pełne sto watów.

Jeśli McKenziego zdumiała ta nagła zmiana temperatury, nic nie dał po sobie
poznać, choć przelotnie zerknął na Tylera. Przypuszczalnie przywykł, że kobiety
zachowują się dziwnie w obecności jego szefa, pomyślała Cleo gniewnie. Kobiety,
które mają nadzieję, że odrobina magii Rothów - oraz pieniędzy - spłynie także na
nie. Cóż, z tą kobietą tak nie będzie. W żadnym razie. Tyler spotkał godną siebie
przeciwniczkę.

Musiała czekać do wieczora, nim znowu go zobaczyła. Erie, pracujący razem z nią
na tej zmianie, cierpliwie rozmawiał ze starszą panią, która zgubiła klucz do
pokoju.

Tyler wszedł przez frontowe drzwi i odruchowo spojrzał w kierunku Cleo, która
momentalnie spuściła wzrok na ekran monitora i przywołała na usta służbowy
uśmiech.

- Znowu się spotykamy - powiedział. Otaksował ją spojrzeniem ciemnych oczu.
Zauważyła, że akcent ma neutralny.

Nie nowojorski, lecz łagodniejszy - typowy dla człowieka, który wychował się,
podróżując po całym świecie i ze swobodą potrafi przystosować się do odmian
obowiązujących w innych krajach. Ten artykuł, który przeczytała jej na głos Paige,
nie kłamał: wyglądał na bezwzględny. Jakby zawsze stawiał na swoim.

- Witam, panie Roth. Czym mogę panu służyć? Pokój panu odpowiada? Och,
przepraszam: apartament. - Drobnym sarkazm zawsze się przydawał. - Wszyscy
uwielbiają ten apartament na ostatnim piętrze. Przestronny, wielkie okna. Chociaż
daleko do ziemi. - Uśmiechnęła się niewinnie.

- W takim razie muszę się pilnować, żeby nie wychodzić na balkon, jak za dużo
wypiję - odparł beznamiętnie.

Pozory spokoju opuściły Cleo. Jej oczy stwardniały, zmieniając się w
szmaragdowe kamyki. Więc jednak pamiętał ich pierwsze spotkanie.

- Wiedziałem, że to ty. - Tyler oparł się łokciem o kontuar i nachylił ku niej o
wiele za blisko. Tak blisko, że widziała ciemny cień zarostu na jego brodzie i czuła
zapach wody kolońskiej. Z bliska był bardzo niepokojący. Za dużo władzy i
charyzmy w jednym. Cleo instynktownie zrobiła krok do tyłu. Uświadomiła sobie,
że Erie, który skończył już ze starszą panią, obserwuje tę drobną sprzeczkę z
ciekawością. - Te oczy poznałbym wszędzie - ciągnął Tyler. - Jaka mityczna istota
potrafiła zabić mężczyznę jednym spojrzeniem? Hydra? Meduza?

- Cleo - zażartował Erie.

Rzuciła mu spojrzenie, które nawet jeśli nie zabijało, to z pewnością zmuszało do zamknięcia ust. Nagle Erie bardzo zainteresował się ekranem monitora.

- I twój uśmiech - mówił Tyler, ignorując Erica.

- Jaki uśmiech? - warknęła Cleo, porzucając wszelkie pozy

- Ten, którym się uśmiechasz, kiedy nie wiesz, że ktoś cię obserwuje, kiedy zachowujesz się miło, a nie jak Ubersuka - odparł Tyler jedwabście. - Nie ten plastikowy, tylko prawdziwy. Od jak dawna tu pracujesz? Ostatnio często tu bywam, a ciebie bym zauważył. Z całą pewnością.

- Nie wyszła ta sprawa z babskimi wieczorami i tańcem na rurze - powiedziała ostro, zdecydowana go zaszokować. - Pieniędzy było z tego mniej niż się spodziewałam. A ludzie, to znaczy mężczyźni, nabierali na mój temat mylnych poglądów. To śmieszne, ale kiedy masz na sobie, powiedzmy, strój króliczka, wszyscy myślą, że jesteś łatwa. Nie mają pojęcia, jakim człowiekiem naprawdę jesteś, ale wyciągają pochopne wnioski. Czy to wydaje się panu znajome? Irytujące było to, że na Tylerze jej jadowite uwagi nie zrobiły wrażenia. Widziała, że obserwuje ją leniwie, oceniając, podziwiając.

Świadoma też była, że Erie przysłuchuje się pilnie ich rozmowie, a Greg Senior obserwuje całą scenę zza swego biurka przy drzwiach.

Dzięki Bogu, pojawił się następny gość i zaczął omawiać z Erikiem formalności niezbędne do opuszczenia hotelu.

- Panie Roth, czy jeszcze czymś mogę panu służyć? - zapytała Cleo, znowu wcielając się w rolę idealnej recepcjonistki.

- Wypijesz ze mną drinka?

- Nie wolno nam spoufalać się z gośćmi - odparła Cleo słodko. - Tak samo jest w branży tańców erotycznych. Zarząd traktuje takie sprawy z wielką stanowczością.

- Więc spoufalałaś się z niektórymi klientami w klubie erotycznym? - zapytał Tyler niewinnie.

- Tylko z bardzo aroganckimi - odparła. - Tymi, którzy mnie obrażali. Uwielbiam mężczyzn, którzy mnie obrażają. To prosta droga do serca dziewczyny, nie wiedział pan o tym?

- Ach, rozumiem.

- Dobrze, bo niczego więcej ode mnie pan nie usłyszysz - rzuciła ostro Cleo.

- Chyba wtedy wyciągnąłem pochopne wnioski - przyznał Tyler.

- I dlatego jest pan multimilionerem-biznesmenem, panie Roth, prawda? To nie ma nic wspólnego z urodzeniem się w mającej rodzinie, ale wynika z pana

skłonności, żeby najpierw strzelać, a dopiero potem zadawać pytania, prawda? Lubi pan robić głupków z innych, no nie?

Erie i jego klient słuchali z otwartymi ustami, ale Cleo przestało to już obchodzić.

- Gdyby nie przyjął pan wtedy takiego okropnego założenia, oszczędziłby mi pan upokorzenia, bo obraził mnie pan, nieznajomy, w moim rodzinnym mieście na oczach zafascynowanego tłumu!

- Teraz też obserwuje nas całkiem spory tłumek - uśmiechnął się Tyler, najwyraźniej świetnie się bawiąc. - Skreślamy drinki, zamieniamy na kolację. Zaproszę cię na kolację i pogodzimy się. Naprawdę bardzo przepraszam.

- Powinien był pan przeprosić wtedy i tam - powiedziała z furją. - Wysłałam przez pana na kompletną idiotkę! Nie wiem, z jakiej zapadłej dziury pana wyciągnęli, ale w Carrickwell mężczyźni nie obrzucają obelgami kobiet na ulicy... - Urwała, nie chcąc powtarzać jego słów. „Pijacki babski wieczór”, rzeczywiście. - A poza tym nie jadam obiadów z nieznajomymi.

- W takim razie śniadanie? Pijesz kawę ze śmietanką?

Dokładnie w tym momencie Greg Senior postanowił podejść do recepcji. Jego wędrówka po holu sprawiała wrażenie pozbawionej celu, choć w rzeczywistości była równie zaplanowana jak lądowanie samolotu.

- Och, Greg - powiedziała Cleo, uosobienie samego wdzięku - właśnie ciebie szukałam. Pan Roth ma nietypową prośbę, ale niestety ani ja, ani reszta personelu nie możemy mu pomóc. Chodzi mu o informacje... - zniżyła głos - na temat sklepu dla mężczyzn ze specjalnymi potrzebami. - Jeszcze bardziej zniżyła głos. - Dla mężczyzn, którzy pragną zbadać kobiecą część swej natury. Za pomocą ubrań. Damskich ubrań.

Na plus trzeba zapisać Gregowi, że nawet nie mrugnął. A skoro o tym mowa, Tyler także zachował kamienną twarz.

- Gdyby zechciał pan podejść do mojego biurka, panie Roth. Zobaczymy, co da się zrobić - powiedział Greg energicznie, jakby mieli uciąć sobie męską pogawędkę o zaletach cygar Monte Christo i Romeo y Julietta.

Tyler obrzucił Cleo ostatnim spojrzeniem, na które odpowiedziała triumfującym uśmiechem, jakby rzucała mu wyzwanie: niech tylko spróbuje narobić jej kłopotów!

- To delikatna kwestia - zwrócił się do Grega. - Przyjeżdża do mnie przyjaciel i interesowałby go taki sklep.

- Przyjaciel. - Greg kiwnął głową. - Oczywiście, oczywiście. Byłby pan zdumiony, słysząc, jakie sprawy załatwiamy dla przyjaciół.

Nazajutrz Cleo zaczynała zmianę o siódmej rano. Była zmęczona, bo we śnie prześladowały ją niepokojące obrazy jej samej i kogoś jeszcze - mężczyzny o muskularnym, szczupłym ciele, krótkich włosach i ciemnych, bardzo ciemnych oczach - rzucających się w pościeli. Obudziła się o czwartej i nie mogła zasnąć, leżała więc do wpół do szóstej, kiedy to budzik zaczął piszczeć.

Trish stanowała wzniesienie po drugiej stronie łóżka i nawet nie drgnęła, kiedy Cleo odsunęła pościel. Cleo zdawała sobie sprawę, że niedługo musi znaleźć sobie jakieś lokum. Nie mogła wiecznie dzielić z przyjaciółką ciasnego pokoju, choć Trish mówiła, że miło jest mieszkać we dwie. To jak nocowanie u kogoś w dzieciństwie, powiedziała. Rozmawiały o wynajęciu mieszkania, ale uznały, że ich na to nie stać.

W recepcji panował ruch, sporo gości opuszczało hotel, dlatego do czworga pracowników ustawiały się kolejki. Tyler stanął na końcu tej, którą obsługiwała Cleo. Przez dziesięć minut świadoma była jego wzroku utkwionego w jej zmęczonej twarzy. W końcu została przed nim tylko jedna osoba. Nora, recepcjonistka obok Cleo, załatwiła ostatniego gościa i była wolna.

- Mogę panu w czymś pomóc? - uśmiechnęła się promiennie do Tylera. Pokręcił głową, obdarzając Norę zabójczym uśmiechem z rodzaju tych, które niezależnie od pory dnia wywołują drżenie pod kobiecą bielizną.

- Nie, dziękuję. Muszę porozmawiać z Cleo.

Nora posłała koleżance znaczący uśmieszek, który mówił: „Mam cię, mała!”. Pod pretekstem pożyczenia od niej zszywacza, nachyliła się i szepnęła:

- Łączy cię coś z tym przystojniakiem?

Tyler obserwował je ze złośliwym rozbawieniem. Cleo poczuła, że gorąco zalewa ją od piersi po cebulki włosów.

- On mnie denerwuje - syknęła do Nory.

- Mnie może denerwować, kiedy tylko chce - szepnęła Nora zmysłowo w dość udanej parodii Mae West.

- Tak, wszystko chyba się zgadza - powiedział wyglądający na udęczonego mężczyzna, którego obsługiwała Cleo. Podpisał rachunek i odszedł.

Przed kontuarem stanął Tyler.

- Czym mogę panu służyć? - zapytała Cleo. - Chce się pan wymeldować?

- Nie. Chciałem zapytać o coś, o co prosiłem, a czego jeszcze nie dostałem. Muszę przyznać, że jestem cokolwiek zdziwiony. Hotel o takiej randze powinien zaspokajać wszystkie potrzeby gości.

- Och, a o co chodzi? - Cleo natychmiast przyjęła profesjonalny ton, zastanawiając się, czego hotel nie dopełnił.

- Prosiłem o butelkę szampana, którego chciałem wypić z wyjątkową osobą, a w minibarku nie ma mojego ulubionego gatunku. Co gorsza, wyjątkowa osoba z hotelu się nie pojawiła. - Uśmiechnął się znacząco do Cleo. Aluzja była oczywista. Nora znowu miała gościa: elegancko ubranego starszego dżentelmena z kompletem ręcznie wykonanych skórzanych walizek i czarującymi manierami. Spojrzał na Cleo z rozbawieniem.

Cleo poczuła przypływ irytacji.

- Cóż, w sprawie szampana powinien pan skontaktować się z barem. Mamy większość gatunków, a jeśli jakiegoś akurat brakuje w naszej ofercie, sprowadzimy go dla pana. Zasadniczo jednak nie umawiamy gości na randki. Pięciogwiazdkowe hotele nie świadczą tego typu usług, chociaż w hotelach sieci Roth może panują inne zwyczaje.

Nora stłumiła chichot, a starszy dżentelmen roześmiał się głośno.

- Wygląda na to, że ta pani każe ci spadać, synu - zwrócił się do Tylera.

- Ciągłe mu powtarzam, że mnie nie interesuje, ale do niego jakoś to nie dociera - zauważyła Cleo. - Ten pan nie jest zbyt bystry.

- Trudno go winić, że próbuje - stwierdził starszy pan. - A mnie wygląda na wystarczająco bystrego.

- Udaje niedostępną - powiedział Tyler do mężczyzny, ignorując Cleo. - Co jest w tych kobietach?

- Moja druga żona taka była - stwierdził starszy pan z namysłem. - Nie, chwileczkę, taka była trzecia.

- A aktualna pani... - Nora zerknęła na ekran, żeby sprawdzić nazwisko, po czym uśmiechnęła się olśniewająco - ...pani Lewis?

- Nie ma aktualnej - odparł gość z uśmiechem. - Cztery żony wystarczą każdemu.

- Cztery?

- Cztery. Dla niektórych to nieszczęśliwa liczba.

- Dla niektórych nieszczęśliwą liczbą jest trzynastka - rzuciła Nora wesoło. Lewis był czarujący.

- W moim wypadku to czwórka - oznajmił sucho. - Życzę szczęścia z tą młodą damą - kiwnął głową Tylerowi. -

Skorzystaj z mojej rady i każ jej podpisać intercyzę, zanim się z nią ożenisz. Bez obrazu - zwrócił się do Cleo. Cleo eksplodowała.

- Pogardzam kobietami, które próbują obedrzeć mężczyznę do ostatniego grosza przy rozwodzie - oznajmiła gniewnie. - Zawsze zarabiałam na życie i to

by się nie zmieniło tylko dlatego, że się rozwiodłam. A poza tym i tak nie ma o czym mówić. Nie mogę znieść tego człowieka. - Spojrzała z furią na Tylera.

- Nie może mnie znieść - zgodził się Tyler. - Jestem najbardziej irytującym facetem, jakiego w życiu poznała, ale to dobry początek, bo lubię iskrzenie. Co ciekawego może cię spotkać, jeśli kobieta patrzy w ciebie jak w obrazek? Cleo i ja moglibyśmy poszaleć.

Sposób, w jaki powiedział „poszaleć”, sprawił, że puls Cleo przyspieszył.

- To mi przypomina żonę numer dwa - przestrzegł pan Lewis. - Iskrzenie jest dość seksowne, ale niebezpieczne. Chociaż - zreflektował się zaraz - wciąż ją kocham. Muszę do niej zadzwonić.

- Niech pan tak robi - powiedział Tyler. Przechylił się nad kontuarem, co ze względu na wzrost nie sprawiło mu najmniejszej trudności, i musnął łagodnie dłoń Cleo, nim ta zdążyła ją cofnąć. Nie dotykał jej od tamtej okropnej nocy w Carrickwell, kiedy podniósł ją z ziemi, i Cleo poczuła iskrzenie, o którym mówił. Szarpnęła się do tyłu.

- Kolacja? Odbiorę cię o siódmej, dobrze? Znam wspaniałą małą restaurację, do której możemy pójść - powiedział Tyler, rzucając jej płomienne spojrzenie.

- Kończę pracę o siódmej - poddała się, choć zdecydowana była nie stracić panowania nad sobą. - I nie wychodzę w stroju roboczym. Spotkamy się tutaj o wpół do ósmej i zaprowadzę pana do mojej ulubionej małej restauracji. Zgoda?

- Władcza - westchnął Lewis. - Zona numer cztery.

- Lubię władcze - wyszczerzył zęby Tyler. - Poskramianie jest świetną zabawą. - I poszedł, na pożegnanie posyłając Cleo całusa.

- Jest dopiero wpół do ósmej rano, a ty już umówiłaś się na wieczór - westchnęła Nora.

- Jest piękna - stwierdził Lewis, patrząc z podziwem na Cleo. - Ten facet to Tyler Roth. Moja matka mówiła o takich „dobra partia”.

- Wcale nie mam zamiaru łapać go na męża - odparła Cleo, wciąż naburmuszona z powodu wzmianki o umowie przedmałżeńskiej.

- To widać gołym okiem - zgodził się Lewis. - A on należy do mężczyzn, którzy nawet by na panią nie spojrzeli, gdyby było inaczej.

Gdyby tylko wiedział, pomyślała Cleo. Nie szła na randkę z Tylerem dla jego milionów, chciała go upokorzyć tak, jak on ją upokorzył. Dopiero wtedy będzie szczęśliwa.

- Można by przysiąc, że ci się podoba, tak się martwisz, co włożysz na tę randkę - burczała Trish, siedząc na podłodze wspólnej sypialni. Łóżko zarzucone było wszystkimi ubraniami Cleo, większością ubrań Trish i paroma rzeczami Dianę, kolejnej lokatorki domu, która miała oko do markowych ciuchów.

- Jasne, że go nie cierpię - odparła Cleo. - Nie bądź śmieszna. A to nie jest randka.

- Stanęła bokiem, żeby pod innym kątem zobaczyć w lustrze powiewną spódnicę z czarnej koronki, pożyczoną od Dianę. Tamta powiedziała, że zwykle nosi ją z wiązaniem na szyi topem w kolorze pastelowego różu, ale Cleo nie była pewna, czy w różu jej do twarzy. Miała długie nogi, więc na niej spódnica była krótsza niż na Dianę i sięgała tylko do koli. - Nie jestem przekonana do tej spódnicy, a poza tym czy top nie jest za bardzo wycięty? - Wyciągnęła szyję, przyglądając się uważnie, jak prezentuje się rowek między piersiami.

- Za bardzo? Za mało, jeśli chcesz znać moje zdanie - powiedziała Trish. - Chyba nie masz wyglądać, jakbyś dopiero co wysiadła z autobusu z Zadupia.

- Ale nie mam też wyglądać jak ostatnia zdzira. - Cleo wciąż okręcała się przed lustrem. - Tak pomyślał za pierwszym razem.

- Och, nie wracaj do tego - jęknęła Trish. Tamto zdarzenie stanowiło kość niezgody między nimi. Trish była wtedy strasznie pijana i o to samo podejrzewano jej towarzyszkę. - To nie była moja wina. Ja tylko świętowałam. A poza tym kogo to obchodzi?

- Mnie to obchodzi - oznajmiła Cleo. - To nie jest idealne przesłanie, które jako kobiety powinnyśmy przekazywać światu: że się zalewamy w trupa, przewracamy na ulicy przed klubem i urywa nam się film. - A już na pewno nie jest to przesłanie do przekazania przystojnym facetom, na których w innych okolicznościach chciałoby się zrobić dobre wrażenie.

- Mężczyźni tak robią - zaprotestowała Trish. - Dlaczego my nie możemy?

- Gdyby to było gdziekolwiek indziej, nie w Carrickwell... Ludzie gadają i moja rodzina spali się ze wstydu, jak usłyszy, że siedziałam pijana w rynsztoku. Pomyśleć o tych okazjach, kiedy z tatą pomagaliśmy wychodzić z baru zalanym gościom...

- Czy któryś członek twojej drogiej rodziny zadzwonił, żeby z tobą o tym porozmawiać? - zapytała Trish złośliwie.

- Nie. - Nikt z rodziny do niej nie dzwonił. To gryzło ją jeszcze bardziej. - Zgoda?

- Zgoda. Przepraszam. To było wredne - powiedziała Trish żałośnie.

- Zapomnij o tym. Co myślisz? - Cleo okręciła się na pięcie. Do czarnej koronkowej spódnicy włożyła prostą białą bluzkę. ,

- Z klasą - skomentowała Trish. - Szczerze, Cleo, każdy powie, że masz bzika na punkcie tego faceta.

- Nie lubię go - upierała się Cleo.

- Więc dlaczego z nim wychodzisz?

Cleo sama zadawała sobie to pytanie przez cały dzień.

- To zemsta.

- Żeby się zemścić, nie musisz się z nim umawiać - zauważyła Trish. - Podłącz mu do pokoju kanał pornograficzny na wiele godzin, to dostanie najbardziej żenujący rachunek na ziemi. Dodaj mu środka przeczyszczającego do śniadania. Zarezerwuj budzenie co piętnaście minut od trzeciej w nocy - istnieje nieskończenie wiele sposobów na zemstę.

- Jesteś okropna - stwierdziła Cleo ze zdumieniem.

- Dzięki - uśmiechnęła się Trish.

- To wszystko jest zbyt podstępne. - Cleo nie lubiła podstępów. - A ja chcę, żeby wiedział, kto mu to robi.

Kiedy weszła do McArthur'a i w lobby zobaczyła Tylera siedzącego w wystudiowanej pozie z głową pochyloną nad „Newsweekiem”, pragnienie zemsty na moment w niej osłabło. Ubrany był w ciemne spodnie, sweter, który ładnie się układał na jego muskularnych ramionach, i przyciągał pełne podziwu spojrzenia dziewcząt z recepcji. Cleo uznała, że . - to jednak był zły pomysł spotykać się z nim w centrali plotek: wszyscy będą o tym gadali.

Tyler uniósł wzrok i szczerze się ucieszył na jej widok, jakby to była najzwyczajniejsza w świecie randka. Do diabła, pomyślała Cleo. Takie oszukiwanie było trudniejsze, niż przypuszczała.

- Wyglądasz pięknie - powiedział, wstając z fotela. Pochylił się i cmoknął ją w policzek.

Cleo wiedziała, że w pożyczonym stroju, z włosami spadającymi na ramiona i makijażem, który podkreśla jej oczy, wygląda bardzo pociągająco.

- Dziękuję - odparła zgodnie z nakazami artykułów w czasopiśmie, dotyczącymi przyjmowania komplementów. Wyznanie: „Tę spódnicę pożyczyłam, a włosy mam trochę tłuste” byłoby głupie. - Ty też ładnie wyglądasz - dodała. Była w końcu nowoczesną kobietą, nie uważała, że komplementy są wyłącznie przywilejem mężczyzn. A on rzeczywiście świetnie się prezentował.

- Dziękuję. - Kiwnął głową zadowolony. - Więc jaki jest plan, Cleo?

Trochę ją to zaskoczyło, bo spodziewała się całej bitwy o to, co będą robili, i właściwie nie mogła się jej doczekać. Niewykluczone, że Tyler bezwzględność prezentował wyłącznie w interesach.

- Plan jest taki, że nie ma planu - odparła, chociaż niezgodnie z prawdą. Cały dzień się nad tym zastanawiała, przez co jej praca w recepcji pozostawiała wiele do życzenia. - Zabieram cię na spacer po tych częściach Dublina, których turyści zwykle nie oglądają. Nie żebym krytykowała szlaki turystyczne, ale nie chcę, żebyś myślał, że wszyscy nosimy geansais i wełniane czapki.

- Co to jest dżinsej? - Tyler nie dosłyszał wyraźnie.

- Dżenzi. To znaczy dżersej, bluza, sweter.

- Możesz mnie nauczyć innych słów? - poprosił entuzjastycznie.

Cleo uśmiechnęła się pod nosem. Nie ulegało wątpliwości, że bezwzględność zostawił w swoim apartamencie.

Spacerowali po mieście, rozkoszując się ciepłym letnim zmierzchem i bez przerwy rozmawiając. Spacer ułatwia rozmowę, przekonała się Cleo. Jeśli nie patrzyła na Tylera, mogła zachowywać się normalnie, kiedy jednak zwracała wzrok na jego twarz, łapała się na idiotycznych posunięciach. Jak jakaś głupia smarkuła, która dostała bzika na punkcie chłopaka. To było strasznie żenujące.

W końcu weszli do wybranej przez Cleo francuskiej restauracji. Oboje umierali z głodu, szybko więc złożyli zamówienie. Cleo wybrała przegrzebki, Tyler krewetki z Zatoki Dublińskiej. Grupa dziewcząt w zalotnych sukniach odsłaniających nogi minęła ich stolik, kilka z nich bez skrepowania przyglądało się Tylerowi.

- Co za szmira - skomentowała Cleo ostro.

Tyler wygiął brwi w sposób, który okropnie ją irytował. Wyglądało na to, że sobie z niej kpi.

- Za dużo złota, za dużo ciała i za bardzo tlenione włosy - wyjaśniła szorstko.

- Więc nie pochwalasz odsłaniania ciała? - zapytał Tyler jedwabistym głosem. - To chyba kwestia religii. Jesteś katoliczką, prawda? Chodziłaś do szkoły prowadzonej przez siostry zakonne, nawet nie marzyłaś o seksie przed ślubem i spowiadasz się z grzechów, mam rację?

Kiedy naukowcy wymyślą lasery w oku do zabijania jednym spojrzeniem, Cleo natychmiast sobie taki sprawi.

- Dla pańskiej informacji, panie Roth, choć rzeczywiście chodziłam do szkoły prowadzonej przez zakonnice... - Tyler skwitował te słowa złośliwym uśmiechem - to przede wszystkim uważam się za chrześcijankę. Niektórzy opisują to jako bycie katolikiem a la carte: wybieramy z menu to, co nam odpowiada. W ten sam sposób ty jesteś żydem a la carte - dodała słodko, wskazując jego talerz. - Gdybyś był ortodoksem, nie jadłbyś krewetek.

Tyler nadział na widelec kolejną krewetkę i ugryzł ją swymi bardzo białymi zębami.

- Mój pierwszy chłopak był żydem - dodała w charakterze wyjaśnienia. - Bardzo go interesowały żydowskie obyczaje.

- Już wtedy się buntowałaś, co? I on też, skoro chodził z sziksą.

- Szanował moje kulturowe dziedzictwo, tak samo jak ja szanowałam jego - warknęła Cleo, znowu rozgniewana.

- Ja też szanuję twoje dziedzictwo, Cleo - oznajmił Tyler przyjacielsko. - Tylko cię wkręcą, bo to świetna zabawa. Jesteś taka wkręcalska. Istnieje w ogóle takie słowo? Wy, Irlandczycy, jesteście podobno literackimi geniuszami, więc powinnaś wiedzieć.

- Jeśli Irlandia jest sławna z literackich geniuszów, to z czego sławny jest Manhattan? - burknęła. - Z dupków, którzy powinni zabrać swój tyłek i pilnować własnego nosa?

- Przypomniała mi się druga rzecz, z której słynie Irlandia: życzliwość - dodał uszczypliwie Tyler.

Cleo zmieniła zdanie: może być bezwzględny i irytujący, kiedy tylko mu się podoba.

- To ta druga wielka irlandzka sztuczka, prawda? - ciągnął Tyler. - Sto tysięcy powitań. Cead mile failte - zacytował bezbłędnie. - Uwielbiam te irlandzkie frazy. Jaka jest ta druga...? „Bogu niech będą dzięki”. Świetna. Jak to jest po gaelicku? Znowu ją wkręca, powiedziała sobie Cleo.

- Buiochas le Dia - przetłumaczyła.

- Cudowne. - Tyler kiwał głową z zadowoleniem. Gdyby nie był taki irytujący w swoim przemądrzalstwie, uznałaby, że jest bardzo przystojny.

Nawet uszy miał w porządku. Nie odstawały mu jak innym krótko ostrzyżonym mężczyznom. Nie. Uszy Tylera Rotha były małe i ładnie wykrojone, przylegały ściśle do idealnie ukształtowanej czaszki i nie psuły linii szczęki. Boże, dlaczego ona zauważa takie rzeczy?

- Irlandzkie zwroty są słodkie. Jak dziewczyny. Bez obrazy. - Uniósł dłonie. - Nie chciałbym cię obrazić, Cleo, sugerując cokolwiek tą uwagą. W Roth Hotels przestrzegamy równości płci. To jedna z naszych podstawowych zasad. Cleo kiwnęła głową. Właśnie przyszedł jej na myśl wspaniały pomysł.

- Widzę, że równość jest dla ciebie bardzo ważna - powiedziała z powagą. - Wiesz, właśnie sobie przypomniałam następny słodki irlandzki zwrot.

- Naprawdę?

- Tak. Spodoba ci się. Bardzo do ciebie pasuje. Pog mo thoin. - Przecież osoba, od której nauczył się tych kilku zwrotów, na pewno nie powiedziała mu, jak po irlandzku mówi się „pocałuj mnie w dupę”.

- Co to znaczy? - zapytał.

- Znaczy: życzę szczęścia, powodzenia. - Cleo uśmiechnęła się szeroko. - To jedno ze starszych powiedzeń, pochodzi z eee... czasów Briana Boru, tak mi się wydaje. - Odrobina historycznego bełkotu na pewno zrobi na nim wrażenie. - A ponieważ jest takie stare, uważa się je za kwintesencję irlandzkości, bogatą w

znaczenia. „Niechaj cudowne szczęście Irlandczyków i błogosławieństwo Boga towarzyszą ci przez cały czas” to dłuższe, przypuszczalnie dokładniejsze tłumaczenie.

- Taki krótki zwrot aż tyle znaczy?

- Irlandzki to język liryczny i niezwykły - zauważyła Cleo. - Proste słowa mają wiele znaczeń.

- Rozumiem. Powtórz, żebym mógł zapamiętać - polecił.

Cleo musiała przygryźć sobie policzek, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

- Poug... mmo ho-in, tylko powiedz to szybko. Ho-in. Hojn.

- Pog mo thoin - powtórzył. - Złapałem.

Tak, uśmiechnęła się w duchu Cleo. Złapał. Nie potrafiła się doczekać, kiedy zobaczy, jak Tyler po irlandzku mówi ludziom, żeby pocałowali go w dupę. Rozmawiali o pracy. Kierowana dumą, Cleo rozmyślnie nie powiedziała mu o Willow ani o swoim pośpiesznym wyjeździe z rodzinnego domu. Nie wątpiła, że słyszał o jej ukochanym hotelu, skoro węszył wokół Carrickwell, szukając działki do kupienia, a z jakiegoś powodu nie chciała, żeby wiedział, iż była jedną z tych osób, które doprowadziły Willow do ruiny. Z tego samego powodu przedstawiła się jako Cleo Malley. „Malin” nie było zbyt popularnym nazwiskiem.

Tyler mówił, jak w rodzinnej firmie zaczynał od samego dołu.

- Ludziom się wydaje, że dzięki nepotyzmowi osiągniesz wszystko. Pomaga ci to wsadzić stopę w drzwi, ale musisz pracować, żeby iść dalej. Mój tata uważa, że każdy powinien ciężko pracować, a ja najciężej. Mówi, że zmuszał się do dwukrotnie większego wysiłku niż cała reszta, ponieważ szmał go blokował, i ja też muszę tak robić.

Cleo z przyjemnością opowiedziałaby o swoim wychowaniu, ale tego nie zrobiła. Powiedziała tylko, że jej rodzice prowadzili małą firmę, a teraz są na emeryturze. Było jej przykro, że go okłamuje, i nie lubiła siebie z tego powodu.

Tyler mieszkał na Manhattanie - dla Cleo brzmiało to jak inny świat.

- A ty gdzie mieszkasz? - zapytał.

- Z moją przyjaciółką Trish - odparła Cleo, nim zdążyła się porządnie zastanowić. Dzielenie pokoju z przyjaciółką i spanie na niekoniecznie wygodnym futonie nie pasowało do wizerunku młodej i odnoszącej sukcesy pracownicy hotelu.

- Mieszkanie w mieście? - zapytał Tyler.

- Eee, nie, dom, dom na wsi. Wynajmujemy go z jeszcze jedną koleżanką - dodała Cleo. Było to kompletne łgarstwo. Wprawdzie Trish faktycznie mieszkała w domu, i to z koleżanką, ale nie z jedną. W sumie lokatorów było sześcioro. Z

drugiej strony nic nie wskazywało na to, że Tyler kiedykolwiek postawi tam nogę.

- Jesteśmy za miastem, bo wolimy spokojniejsze życie. Wiesz, w mieście panuje wieczny ruch. - Mieszkania w mieście znajdowały się poza finansowymi możliwościami paczki.

- Jasne. - Tyler ze zrozumieniem kiwnął głową. Zgodnie z planem, wieczór miał się skończyć w pubie

Shepard, w którym Trish i Cleo spędziły wiele godzin, kiedy studiowały w collegeu. Umówiły się, że Trish z kilkoma znajomymi już tam będzie. A ponieważ Cleo nie wysłała esemesa, który by oznaczał: „Pomocy, to koszmar, zadzwoń i wydostań mnie stąd!", Trish nie mogła się doczekać, żeby zobaczyć Tylera. Musiał pomyślnie przejść jakiś test, skoro Cleo wciąż z nim była, i to bez konieczności wzywania ochroniarzy albo policji.

- Cześć, Cleo, kopę lat! - zaświergotała na cały pub Trish, kiedy w drzwiach pojawili się Cleo i Tyler.

Wszyscy obecni odwrócili ku nim głowy, z aprobatą przyglądając się urodziwej parze.

- Nie miałem pojęcia, że spotkamy twoich przyjaciół. - Tylko tyle powiedział Tyler, idąc za nią do stolika w rogu.

- Nie miałam pojęcia, że tu będą - odparła Cleo, pewna, że zabrzmiało to mało przekonująco.

- Co za niespodzianka! - ciągnęła Trish z afektacją, jak trzeci halabardnik w amatorskim przedstawieniu teatralnym.

Sadowiąc się na krześle koło przyjaciółki, Cleo szturchnęła ją w żebra, żeby wreszcie zamknęła buzię.

- Ktoś się czegoś napije? - zapytał Tyler.

Jakimś cudem cała ośmioosobowa grupa właśnie skończyła poprzednie drinki i chętnie skorzystała z propozycji. Tyler nawet okiem nie mrugnął na wielkość zamówienia.

- Dwa guinnessy, jeden paddy, dwie dietetyczne cole, heineken, sok pomarańczowy dla ciebie... - Diane, której spódnicę Cleo miała na sobie, uśmiechnęła się uroczo - ...dzin z tonikiem... - Trish zatrzepotała powiekami -oraz wodę gazowaną dla Cleo.

Kiedy poszedł do baru, Cleo obrzuciła paczkę gniewnym spojrzeniem.

- Nie macie za grosz przyzwoitości? - zapytała ostro. - Umówił się ze mną, nie jest Bankiem Irlandii!

- Przepraszam - mruknęło kilkoro.

- Tak, bardzo przepraszam - powiedział Barry, właściciel cennych kompaktów REM.

- Nie chcieliśmy wyjść na pasożytów - mruknął Ron. Trish mówiła, że nigdy nie opuszcza pokrywy sedesu.
 - Umówiłaś się z nim, tak? - zapytała cicho Trish. - Myślałam, że to miała być zemsta, która najlepiej smakuje na zimno.
 - Zamknij się - syknęła Cleo, choć na twarzy miała uśmiech. - Pracuję nad tym.
 - Moim zdaniem jest cudowny - powiedziała Carol, nowa przyjaciółka Trish. Rzeczywiście była materiałem na modelkę. Smukła jak trzcina, jasnowłosa, bardzo w typie Gwyneth Paltrow.
- Cleo milczała.
- Tyler doskonale wpasował się w grupę, ponieważ miał talent do rozmawiania z każdym. Zwłaszcza Carol ciągle do niego coś mówiła, a Tyler, ku ogromnej irytacji Cleo, odpowiadał.
- I właśnie kiedy Carol zaproponowała, że pokaże mu miasto - jak w ogóle śmiała? - Tyler powiedział, że wypróbuje kilka irlandzkich zwrotów, żeby się przekonać, czy dobrze je zapamiętał. Wszyscy oklaskami nagrodzili jego cead mile fdlite i raibh maith agat. Za to o mało nie pospadali ze śmiechu z krzeseł, kiedy zwrócił się do Trish słowami „Pog mo thoin”.
- Cleo, łobuzie, założę się, że to ty go tego nauczyłaś! Co za paskudna sztuczka! - powiedziała, klepiąc Tylera po ramieniu bardzo intymnym gestem.
 - Więc to znaczy zupełnie coś innego, niż mówiłaś? - spytał nieporuszony Tyler. Cleo spurpurowiała z upokorzenia, że jej złośliwość tak szybko się wydała.
 - Tak! - pisnęła Carol, wciąż klejąc się do Tylera i wyjaśniając mu prawdziwe znaczenie.
 - Cleo lubi żartować sobie ze mnie - powiedział Tyler. - Prawda, Cleo? I popatrzył na nią. Serce Cleo zaczęło bić szybciej.
 - On jest miły, no nie? - powiedziała Trish ze zdziwieniem, kiedy godzinę później całą paczką siedzieli w nocnym autobusie, który powszechnie nazywano imprezowym, jako że wracali nim do domu ludzie po wieczorze spędzonym na mieście. Nikt nie miał kasy na taksówkę, choć Cleo przed Tylerem udawała, że po nią dzwoni. Wsiadanie do autobusu jak za szkolnych czasów wydawało się mało dorosłe: on przecież jechał taksówką.
 - Jest uroczy - odparła Cleo siadając w tyle autobusu, w rozmarzeniu ignorując spaliny. Bardziej niż uroczy.
 - Oczywiście to nie ma przyszłości - ciągnęła Trish. - Facet ciągle podróżuje, jest bogaty, ma bogatego tatusia: typowy playboy. Pewnie milion dziewcząt leci na każde jego skinienie. Ci faceci tak mają.
 - Jasne. - Cleo poczuła przygnębienie.

Wiedziała, że ktoś taki jak Tyler bez problemu może mieć każdą dziewczynę, ale przez cały wieczór rozmawiał z nią tak, jakby była jedyną osobą we wszechświecie, i to pomimo Carol, która ciągle próbowała się go czepiać. Z przyjemnością rozmawiał ze wszystkimi, oczywiście, choć równocześnie należał do tych ludzi, przy których czujesz się tak, jakby byli tu wyłącznie dla ciebie. To bardzo pochlebiło Cleo.

- Ach, to tylko zabawa - powiedziała i zaraz uświadomiła sobie, że kłamie. Nigdy przedtem nie okłamała Trish. Nie wolno okłamywać najlepszych przyjaciółek, a one wiele razem przeszły. Tylko że Trish wybuchnęłyby śmiechem, gdyby Cleo jej powiedziała, że przestała pragnąć straszliwej zemsty na Tylerze Rocie. Zmieniła zdanie. Zamiast tego chciała poczuć, jak ją mocno do siebie przytula. Jak do tego doszło?

Następnego dnia rano na jej stanowisku w recepcji leżała koperta z napisem „osobiste”. To znowu było ekstrawaganckie pismo Tylera. Śmieszne, że teraz wcale nie wyglądało na pismo tyrana. Pełne siły, tak powiedziałyby Cleo, gdyby poproszono ją o scharakteryzowanie autora tej krótkiej wiadomości.

Jak na człowieka gadatliwego Tyler w piśmie był zwięzły: „Druga randka? Co chciałabyś robić? Wolałbym niczego ci nie narzucać”.

Przez jedną rozkoszną chwilę Cleo wyobrażała sobie Tylera Rotha w wysokich butach i ostrogach, gotowego rzucić ją na siodło. Potem zmusiła się do powrotu do obecnego stulecia. Weź się w garść, Cleo!

- Pan Roth zostawił to dla ciebie - powiedział Stan, jeden ze starych znajomych Cleo z nocnej zmiany. - Ale pomylił twoje nazwisko. Na kopercie napisał „Malley”, nie „Malin”.

- Zwróciłeś mu uwagę? - zapytała Cleo niespokojnie.

- Nie, śpieszył się. Szedł na śniadanie z jakąś kobietą, nie, powinienem powiedzieć: ze ślicznotką! - odparł Stan z uznaniem.

- Ślicznotką? - Cleo wymówiła to słowo takim tonem, jakim snobistyczna lady Bracknell w sztuce Oskara Wilde’a mówiła: „Torebka”.

Stan, który sprzątał swoje rzeczy, żeby zrobić miejsce dla dziennej zmiany, kiwnął głową.

- Niektórzy faceci to mają szczęście - mruknął.

Myśl o tym kołatała się w głowie Cleo przez następne półtorej godziny. Kogo właściwie Stan uważałby za „ślicznotkę”? Oszłamiającą piękność czy raczej dziewczynę z sąsiedztwa? Dręczyło ją to pytanie.

Nie potrafiła się skoncentrować na gościu, który opuszczał pokój numer 172.

Upierał się, że nie korzystał z mini-baru, choć poprzedniego wieczoru podczas uzupełniania zapasów obsługa wystawiła mu rachunek za dwie whisky, trzy

wódki i baton Toblerone. Cleo pracowała razem z Norą, Paige i uroczym Włochem imieniem Nero. Obsłużyła Pana Łgarza z pokoju 172, po czym zwróciła się do pracującej obok Paige:

- Idę do toalety, dobra? - szepnęła i zniknęła. Rzeczywiście poszła do toalety, żeby zerknąć na swoją zarumienioną twarz, a stamtąd do sali jadalnej, gdzie serwowano śniadanie. Było dopiero wpół do dziewiątej, ale większość biznesmenów mieszkających w hotelu albo już wyszła, albo kończyła spotkania przy śniadaniu. Ludzie, którzy zatrzymali się tu dla rozrywki, zaczęli dopiero schodzić do jadalni, a ich swobodne stroje i wolny krok kontrastowały ostro z mężczyznami w garniturach i kobietami w garsonkach, którzy mieli wiele spraw do załatwienia i nie mogli sobie pozwolić na jeszcze jedną porcję duńskiego ciasta.

Cleo starała się sprawiać wrażenie, że przyszła tu w sprawie służbowej, a nie po to, żeby szpiegować cholernego Tylera Rotha. Rozejrzała się po przestronnej sali jadalnej, jakby szukając konkretnego gościa, dla którego ma ważną wiadomość. Zaraz też dostrzegła Tylera. Przy miłym, zapewniającym intymność stoliku, bez swego przybocznego Larryego McKenzie. Towarzyszyła mu kobieta, którą istotnie można było opisać jako ślicznotkę. Bardzo zadbana, w czerni, miała mahoniowe włosy, których Cleo od razu jej pozazdrościła. Lśniące, wołały: „Nie potrzebujemy odżywki!”. Cleo odwróciła się z furją i wybiegła z restauracji. Jak on śmiał?! To nie było spotkanie z kobietą przy śniadaniu - ta kobieta była śniadaniem!

- Dobrze się czujesz? - szepnęła Paige, kiedy Cleo wróciła do recepcji.

- Świetnie - syknęła Cleo. Paige rozważnie kiwnęła głową.

- Możesz mi powiedzieć w czasie przerwy.

Kiedy Tyler pojawił się późnym popołudniem, Cleo gotowała się ze złości. Rodzina Malinów wiedziałaby, że kiedy oczy Cleo połyskują, a jej zwykle uśmiechnięte usta zaciśnięte są w wąską i twardą jak beton linię, należy się mieć na baczności.

Tyler nie miał o tym pojęcia.

- Cześć. - Oparł się o kontuar i obrzucił Cleo seksownym leniwym spojrzeniem, od którego wczoraj roztopiłaby się jak masło. Dzisiaj była niczym hartowana stal.

- Witam - odparła lodowatym tonem. Nagle się zorientował, że coś jest nie tak.

- Zły dzień? - zapytał, unosząc brew.

Cleo pomyślała o tym, jak wczoraj nie próbował nawet zniechęcić Carol, jak dzisiaj jadł śniadanie z oszałamiającą ślicznotką, która od Carol różniła się tylko

kolorem włosów. Przypuszczalnie miał dziewczynę w każdym mieście - na świecie.

- Och, zostaw mnie w spokoju - warknęła.

- Co się z tobą dzieje, Cleo? - zapytał łagodnie.

- Jutro idę na wczesne śniadanie w interesach. Muszę wrócić do domu, żeby zająć się włosami, makijażem i paznokciami.

Aha, wreszcie załapał, w czym rzecz.

- Masz szpiegów w całym hotelu?

- To nie szpiegzy, tylko przyjaciele i mówią mi o różnych rzeczach. Na przykład o tym, że facet, który się mną interesuje, nagle spotyka się na intymnym śniadaniu z inną.

- Rozumiem. Masz na myśli plotki?

- Nie mam na myśli plotek!

- A gdybym ci powiedział, że to lesbijka, zmieniłoby to coś?

- Ona jest lesbijką? - zapytała Cleo. - Ta dziewczyna, z którą byłeś na śniadaniu? - To faktycznie sprawę cokolwiek zmieniało. Tylerowi nie mogło zależeć na ślicznotce, jeśli istotnie była lesbijką, choć z drugiej strony niektórzy mężczyźni lubią wyzwania. - Naprawdę?

- Nie - przyznał Tyler. - Pomyślałem tylko, że sprawdzę, jak na to zareagujesz.

- Ty draniu, jesteś strasznie irytujący. Czemu umówiłam się z tobą wczoraj wieczorem?

- Bo mnie lubisz?

- Nie lubię - odparła Cleo. - Nie lubię facetów, którzy jadają śniadania z obcymi kobietami, a potem wyśmiewają się ze mnie, opowiadają bzdury, że ta kobieta jest lesbijką i...

- No cóż - przerwał jej - gdybym powiedział, że to spotkanie w interesach, nie uwierzyłabyś, pomyślałabyś, że próbuję zamydlić ci oczy. A to rzeczywiście było spotkanie w interesach. Tak się przypadkiem składa, że moja znajoma jest niezwykle uroczą kobietą. - Cleo była pewna, że ostatnie zdanie sprawiło mu przyjemność. - Ja uważam ją za niezwykle uroczą. - Cleo powstrzymała chęć, by go uderzyć. - Rzecz w tym, że ona jest szczęśliwą mężatką i wcale się mną nie interesuje, co nie znaczy, że kiedykolwiek czegoś z nią próbowałem, na wypadek gdybyś chciała wiedzieć. Rozmawialiśmy o interesach, to wszystko. Według ciebie to niemożliwe, żeby kobieta odnosiła sukcesy w pracy i była piękna? W twoim wypadku to prawda.

- Nie myśl, że się wywiniesz pochlebstwami - rzuciła ostro Cleo, aczkolwiek musiała przyznać, że jego słowa sprawiły jej przyjemność. To wszystko brzmiało dość wiarygodnie, choć z drugiej strony niewykluczone, że Tyler należy do tych

facetów, którzy zawsze mają wiarygodne wytłumaczenie dla swojego zachowania. Doszła do wniosku, że nie zamierza zostać jedną z jego zdobyczy.

- Przykro mi - powiedziała oficjalnym tonem, wstając z krzesła. - Wiesz, że to był błąd. Ty i ja pochodzimy z różnych światów. Musiałam stracić rozum, że poszłam z tobą na kolację. Dziękuję za miły wieczór, ale teraz żegnam.

Złapał ją za przegub delikatnie, acz stanowczo.

- Proszę, nie bądź taka.

- Mam krzyknąć i domagać się przybycia policji, bo trzymasz mnie wbrew mojej woli?

- Jeśli chcesz, możesz odejść - powiedział łagodnie, nie odrywając ciemnych oczu od jej twarzy - ale wolałbym, żebyś tego nie robiła. Chcę cię poznać, Cleo. Nie mogę? Może i pochodzimy z innych światów, ale co z tego? Czy Manhattan i Carrickwell nie mogą się połączyć?

Brzmiało to tak dziwacznie, że musiała się roześmiać. Na powrót usiadła.

Wiedziała, kiedy czas złożyć broń.

- OK, wygrałeś, jesteś wielki eejit, ale wygrałeś.

- Co to jest to eejit? Wszyscy ciągle to powtarzają.

- Hmm - mruknęła Cleo z namysłem - oznacza cudowną i mądrą osobę...

- Bzdury - roześmiał się Tyler. - Znowu robisz mnie w konia, jak z tym tłumaczeniem z irlandzkiego, prawda? Drugi raz mnie nie nabierzesz, panno Malley.

Cleo wzdrygnęła się, że Tyler wciąż nie zna jej prawdziwego nazwiska. Nie potrafiła powiedzieć mu teraz. Zrobi to później.

Umówili się na niedzielny wieczór. Tym razem poszli do kina, chociaż Cleo nie zapamiętała z filmu: całą jej uwagę pochłaniało to, że siedzi obok Tylera i trzyma go za rękę. To było cudowne.

Wiedziała, że to nie jest wyłącznie fizyczny pociąg: lubiła go, lubiła, jak się śmieje, to, że z niej kpi, że się nią interesuje. Dziwne, ale miała wrażenie, że zna go od lat. Może i w interesach był bezwzględny, ale istniała też inna strona osobowości Tylera Rotha, która Cleo bardzo się podobała.

W poniedziałek rano leciał do Galway na przetarg nieruchomości i Cleo ze smutkiem zdała sobie sprawę, że ich krótki romans dobiega końca. Tyler wróci do swojego świata i dziewcząt w każdym mieście, ona pozostanie w swoim.

Czy będzie jego dublińską dziewczyną? Nie, Cleo nie chciała być tylko kolejnym numerem w jego komórce. To jej nie wystarczało. Im więcej czasu z nim spędzała, tym bardziej była w nim zakochana.

Kochała go. Była tego pewna. Nie uwierzyłaby, że można tak szybko w kimś się zakochać, gdyby jej samej to się nie przytrafiło.

Po filmie Tyler zaproponował, żeby poszła do jego apartamentu na strzebiennego. Wbrew własnemu rozsądkowi Cleo się zgodziła.

- Chcę porządnie się z tobą pożegnać - powiedział.

- Mam nadzieję, że nie oznacza to podskakiwania na łóżku - zganiła go surowo, żeby ukryć, jak bardzo jej smutno.

- Hej, czy ja wyglądam na takiego faceta? - zażartował Tyler, zatrzymując taksówkę.

Cleo nigdy nie była w żadnym z czterech apartamentów na ostatnim piętrze, bo kiedy oprowadzano ją po hotelu, tę jego część pominięto. Apartament Tylera był w każdym calu tak elegancki i luksusowy, jak sobie wyobrażała. Dumą McArthurs Hotel był prosty, ale szalenie gustowny wystrój wewnątrz. Stopy zapadały się w dywanie, ciało w ogromnych aksamitnych sofach oraz - jak domyślała się Cleo - w miękkiej pościeli.

- Miły pokój - powiedziała nonszalancko, podziwiając białe róże w prostym kwadratowym wazonie na niskim stoliku do kawy.

- Tak, jest śliczny - potwierdził Tyler. - Naprawdę piękny. I za to go lubiła: że nie przywykł tak bardzo do bogactwa i luksusu, żeby uważać to za rzecz normalną. Gdyby tylko zobaczył zagracony pokój, który Cleo dzieliła z Trish...

- Czego się napijesz? - zapytał Tyler, zdejmując marynarkę i kładąc ją na oparciu fotela. Koszula odpięta pod szyją ujawniała niewielki trójkąt ciemnej skóry. Czy jest coś bardziej seksownego niż ten mały fragment mężczyzny? Cleo zwilżyła usta.

- Hmm, chętnie napiłabym się herbaty Najlepiej rumiankowej. - Rumianek pomoże jej zasnąć, a podejrzewała, że może mieć z tym kłopoty, kiedy po tak ekscytującym dniu wróci do domu.

Przysiadł na krawędzi fotela i zadzwonił do obsługi. Zamówił dwie herbaty rumiankowe, co było urocze z jego strony. Większość mężczyzn nienawidziła rumianku. Nat mawiał, że smakuje jak śmieci z podwórza, chociaż starał się sprawić przyjemność Cleo. Jakże różni się od Tylera, pomyślała. Nat wiecznie chce zadowolić innych, jest jak szczeniak, podczas gdy Tyler to chłodny i agresywny lew, na pierwszy rzut oka sprawiający wrażenie, że nikogo nie będzie zadowalał prócz samego siebie. A jednak ten Samiec Alfa próbuje teraz ją zadowolić. Było w tym coś niewiarygodnie pociągającego i uwodzicielskiego. Tylko że Tyler niedługo wyjeżdża. Cleo poczuła, że serce jej się ściska.

- A więc - powiedział, siadając na końcu sofy. Ona siedziała na drugim. To była wielka sofa.

- A więc - odparła, uśmiechając się do niego.

- Czy wyglądam na takiego, co gryzie? - zapytał, wskazując dzielącą ich przestrzeń.

- Chcesz powiedzieć, że nie gryziesz? Uśmiechnął się i przysunął do niej.

- Chyba idziemy trochę na skróty, ale wiesz, że jutro lecę do Galway, a potem do Nowego Jorku, więc...

- Tak, wiem - odparła z powagą. - Musisz zdobyć pierwszą bazę, nim wyjedziesz.

- To nie tak. - Naprawdę wyglądał na urażonego. - Ty nie jesteś taką dziewczyną, Cleo, a ja nie jestem takim facetem.

- Słyszałam coś innego - powiedziała, nagle poważniejąc. Nie miała zamiaru pozwolić się skrzywdzić, nie Tylerowi. Nie chciała być Natem w tym związku: ufną i naiwną, ślepą na rzeczywistość, która potem będzie cierpiała.

- Zapomnij o wszystkim, co słyszałaś - odpowiedział Tyler szorstko. - Ludzie o mnie gadają, o tobie będą gadać, to nic nie znaczy. Nie romansuję z kobietami i nie oszukuję kobiet. - Minę miał tak poważną, że Cleo ogarnęła nieprzeparta ochota, by przesunąć dłonią po jego twarzy i wygładzić bruzdy. - O czym myślisz? - zapytał, nachylając się ku niej niepokojąco blisko. ,

Cleo wybuchnęła śmiechem.

- Myślę, że obsługa w tym hotelu jest straszna. Zamówiłeś herbatę co najmniej pięć minut temu, a wciąż nie ma po niej śladu.

- Kobieta z twoimi zdolnościami przydałaby się w hotelach sieci Roth -stwierdził Tyler.

- I dlatego mnie tu przyprowadziłeś?

- Nie. - Przysunął się jeszcze bliżej, objął ją, a Cleo znowu poczuła podniecenie. Siedzieli tuż obok siebie, wyczuwała ciepło jego ciała. - Nie dlatego cię tu przyprowadziłem, a jeśli tak sądzisz, to musisz uważać, że to najdziwniejsza z możliwych rozmowa o pracę.

- Myślałam, że zaprosiłeś mnie, bo mnie lubisz, a ja przyszłam, bo lubię ciebie.

- Cieszę się - powiedział cicho. Zaraz potem jego usta znalazły jej usta, obejmowali się, jego dłonie przesuwali się po jej ciele. To było zupełnie inne od wszystkiego, czego Cleo dotąd doświadczyła, w niczym nie przypominało niezgrabnych pieszczot z Laurentem w Bristolu ani pocałunków z innymi chłopakami. Ten żar, to podniecenie było czymś nowym, wyjątkowym, całkowicie związanym z Tylerem. Wyszepiała jego imię i przyciągnęła go do siebie, podczas gdy jego usta delikatnie wędrowały po jej policzku ku wrażliwemu miejscu za uchem, a potem na szyję.

Nagle Cleo pojęła, że pragnie zedrzyć z Tylera ubranie, pragnie, żeby on zdarł ubranie z niej, żeby kochali się dziko i gwałtownie. Żeby jej dotykał, pieścił, szeptał jej imię...

- Nie powinniśmy - powiedział, z trudem łapiąc oddech.

- Wiem - przyznała, choć w tej samej chwili jego palce szarpały się z wiązadłami jej swetra, a jej odpinały guziki jego koszuli.

- Popęlniamy błąd, jeszcze jest za wcześnie - mówił Tyler, czule przesuwając dłońmi po jej skórze, jakby nie potrafił się nią nasycić.

- Wiem, za wcześnie, za wcześnie... - dodała Cleo z twarzą ukrytą w jego włosach, dotykając jego muskularnej klatki piersiowej.

- Naprawdę powinniśmy poczekać.

- Masz całkowitą rację - przyznała Cleo, pod dłonią czując bicie jego serca.

Zadzwonił telefon: przeraźliwie i głośno. Cleo aż do tej chwili nie miała pojęcia, że telefony w McArthurze dzwonią tak donośnie.

- Cholera - zaklął Tyler, odrywając się od niej.

- Cholera. - Cleo pośpiesznie zawiązała sweter. Tyler podniósł słuchawkę.

- Cześć. Tak, jasne, nie ma sprawy. Tutaj jest dopiero jedenasta, więc przypuszczam, że w domu jest koło piątej, czwartej?

Usiadł za biurkiem, przysunął do siebie notatnik i zaczął pisać, posyłając Cleo przeproszające spojrzenie i bezgłośnie mówiąc: „To ważne”.

Uniosła dłoń w geście znaczącym „nic się nie stało”, po czym poszła do łazienki, żeby doprowadzić się do porządku. W lustrze jej usta wyglądały na obrzmiałe, źrenice miała powiększone, włosy zmierzwiłone. Tak, wyglądała, jakby przed chwilą całowała się namiętnie na sofie.

Skorzystała z płynu do ust Tylera i palcami przeczesła włosy, żeby jakoś je ujarzmić. Nigdzie nie było grzebienia. Przy swojej krótkiej fryzurze Tyler pewnie go nie potrzebował. Zerknęła do jego kosmetyczki, żeby zobaczyć, jakich kremów i płynów po goleniu używa. To było dość intymne, ale przecież się całowali, więc chyba jest to zachowanie do przyjęcia.

Kiedy wyszła z łazienki, Tyler wciąż rozmawiał. Spojrzał na nią i przewrócił oczami.

- Przepraszam - powiedział bezgłośnie. Zakrył dłonią słuchawkę. - Kryzys w głównym biurze, muszę się tym zająć.

- Nie ma sprawy.

Oczywiście wtedy przyniesiono rumianek, w dodatku zrobiła to osoba, którą Cleo знаła. Xi, piękna Chinka, uśmiechnęła się zaskoczona, kiedy Cleo otworzyła drzwi.

- Cześć - powiedziała Xi.

- Cześć. - Cleo poczuła, że się rumieni. - Dziękuję, Xi. Tak, ja to wezmę. - Nie miała pieniędzy na napiwek, a poza tym to chyba byłoby grubiaństwo, gdyby członek personelu, który niestosownie przebywał w pokoju gościa, dawał napiwek innemu członkowi personelu? Kto wie? Podręczniki etykiety nie przewidywały takiej sytuacji.

Nalała herbaty dla siebie i dla Tylera, postawiła filiżankę na biurku, po czym zaczęła krążyć po apartamencie, przyglądając się przedmiotom. Na stoliku do kawy pośród dokumentów i czasopism stała szachownica z przerwaną w połowie partią. Cleo zastanawiała się, kto jest jego przeciwnikiem. Usiadła i zaczęła przerzucać czasopisma. Pod magazynem znalazła folder z wykonanym przez architekta kolorowymi kredkami i tuszem rysunkiem frontonu jakiegoś budynku. Był do góry nogami, wzięła go więc do ręki, by dokładniej mu się przyjrzeć. Budynek wydawał się dziwnie znajomy. A potem to do niej dotarło: to był Willow. Architekt narysował jej dom, ale o wiele piękniejszy i większy. Jedyne fasada pozostała niezmieniona, choć bez glicynii pnącej się chaotycznie po portyku, bez popękanych kamiennych donic przy - drzwiach. Efekt był oszałamiający.

Cleo oparła się o poduszki i przejrzała luźne karty w folderze. Nie obchodziło jej, czy Tyler ją widzi, czy nie, aczkolwiek wydawał się zbyt pochłonięty rozmową telefoniczną, żeby cokolwiek zauważyć. Było tam kilka zdjęć wykonanych z powietrza, szkice architektoniczne oraz trójwymiarowe komputerowe wydruki przedstawiające Willow, kiedy stanie się wspaniałym hotelem Roth, bo tak napisano starannym, eleganckim pismem pod rysunkiem frontonu: Carrickwell Roth. O wiele większy, bardziej imponujący, piękniejszy niż przedtem. Jej dom rodzinny, jej dziedzictwo - zawsze wiedziała, że Willow może tak wyglądać.

Tylko że tym razem ona nie będzie miała z tym nic wspólnego.

Dłonie jej drżały, kiedy wsuwała karty do koszulki i odkładała ją na stolik pod stos czasopism. Tyler przebywał w innym świecie, mówiąc, pisząc, gestykulując. Nie tknął nawet swojego rumianku. Cholernie typowe: powiedział, że chce się napić tego co ona, bo miał zamiar zaciągnąć ją do łóżka. Była tego pewna. Oszust i korporacyjny spekulant, pomyślała z gniewem. Właściciel miejscowej firmy budowlanej, który rzekomo kupił Willow, był podstawiony przez Roth Hotels. - Rodzina zdradziła Cleo, w ogóle decydując się na sprzedaż, ale wielka sieć zdradziła ich wszystkich, kupując pod przykrywką. Cleo była pewna, że ojciec niezależnie od okoliczności wolałby raczej zatrzymać Willow niż sprzedać go innej firmie z branży. Czy w taki sposób Roth kupował cenne nieruchomości: udając, że jest kimś innym, a nie przedstawicielem niezwykle bogatej sieci? Czy

zakup działki w Galway miał odwrócić uwagę od innej transakcji, kupna innego hoteliku na skraju bankructwa, którego właściciel mógł się zdecydować na przyjęcie oferty miejscowej firmy budowlanej, ale nigdy, przenigdy nie sprzedałby swej własności Rothom? Tyler zakrył dłonią słuchawkę.

- Jeszcze chwilka, Cleo, to już nie potrwa długo. My, nowojorczyacy, nie mamy pojęcia, że reszta świata żyje w innych strefach czasowych - zażartował.

Nawet na niego nie spojrziała. Nie była w stanie, nie w tej chwili. Bo lubiła Tylera Rotha, bardzo go lubiła.

Dzięki Bogu nie powiedziała mu, że naprawdę nazywa się Malin. To byłoby zbyt wielkim upokorzeniem, gdyby się dowiedział, że Cleo należy do rodziny właścicieli Willow, że przyczyniła się w pewien sposób do bankructwa hotelu. Nie da mu tej satysfakcji. Upiła wielki łyk rumianku, żeby się uspokoić, pozbierała swoje rzeczy i wyszła.

Tyler był tak zajęty rozmową, że nie zauważył, jak Cleo opuszcza jego pokój.

Rozdział trzynasty

Przez tydzień po tamtej rozmowie z Alexem Daisy siedziała w domu, kupując żywność przez Internet i co jakiś czas wyskakując do sklepu na rogu po rzeczy w rodzaju czekolady.

Nie wpadła tam na żadnych znajomych, zresztą i tak by jej nie poznali. Z baseballówką naciągniętą na nieumyte włosy i w starej bluzie Alexa, która wciąż zachowała jego zapach, była nie do poznania. Alex zabrał prawie wszystkie swoje ubrania, kiedy była w Dusseldorfie, a także mnóstwo innych rzeczy. Zostawił tylko wielkie przedmioty, jak telewizor, który razem kupili, i kilka obrazów. Mieszkanie wyglądało ponuro bez drobiazgów, które czyniły z niego dom Alexa.

Pogrążona w nieszczęściu, Daisy nie odbierała telefonu, chociaż podskakiwała za każdym razem, gdy dzwonił, w nadziei, że to Alex. Ale na próżno. Automatyczna sekretarka rejestrowała wszystkie wiadomości: od Mary, która pytała, jak „grypa”, od Pauli, od Fay, starej przyjaciółki Daisy, a raz od matki z informacją, że jedzie na wakacje do Pragi z siostrą, która dochodzi do zdrowia po operacji.

Matka lubiła zostawiać wiadomości na sekretarce i mówiła z większym ożywieniem niż wtedy, gdy rozmawiała z Daisy osobiście. Sekretarki automatyczne nigdy nie wyrażały własnych opinii, tylko cierpliwie słuchały.

- Nie miałam zamiaru jechać, bo ciotka Imogen myślała, że nie będzie czuła się dobrze, ale odzyskała siły, więc ruszamy. Brendan z sąsiedztwa będzie tu zaglądał i odbierał pocztę. Do zobaczenia po powrocie. Mam nadzieję, że u was wszystko dobrze. Serwus.

Skulona na sofie z kołdrą na ramionach, otoczona opakowaniami po batonikach, Daisy ze smutkiem wpatrywała się w telefon. Serwus? Czy tak mówi matka do córki? Żadnego „Kocham cię, słoneczko, będę za tobą tęsknić”. Ale jak Nan Farrell może tęsknić za córką, skoro rzadko się widują?

Daisy planowała, że swoje dziecko otoczy większą serdecznością i miłością. Żadnych bzdur w rodzaju, że dzieci należy widzieć, ale nie słyszeć, tak ulubionych w rodzinie Nan. Nie wysłałaby go do przedszkola, żeby podwieczorek jadało z dala od rodziców, ani do szkoły z internatem. Takie postępowanie uczyniło z jej matki osobę, którą teraz była.

Dzieci Daisy byłyby kochane i rozpieszczane. Przytulone do mamy na kanapie, razem oglądałyby Potwory i spółkę, śmiejąc się wesoło.

W kredensie wciąż był baton karmelowy na sytuacje kryzysowe. Daisy poszła do kuchni, potem włączyła telewizor na cały regulator. Dzięki temu nie słyszała własnych myśli.

Po tygodniu spędzonym w domu, w czasie którego dziwnym trafem nie zadzwonił żaden ze wspólnych przyjaciół, Daisy pojawiła się w realnym świecie cięższa o parę kilo i z twarzą pokrytą plamami. Najchętniej zostałaaby w swoim kokonie na zawsze, ale wiedziała, że to niemożliwe. Musi wrócić do pracy, bo kto wie, czy przebywanie wśród ludzi nie okaże się mniej bolesne? Ale jak komukolwiek powie o swoim nieszczęściu?

W końcu jednak nie musiała nic mówić. Kiedy przyszła do Georgias Tiara o dziesiątej rano, Mary tylko na nią spojrzała i już wiedziała, że powodem nieobecności Daisy wcale nie była grypa.

- Co się stało? - zapytała, odkładając marker, którym zaznaczała pozycje na zamówieniu.

- Alex zakochał się w Louise i ona jest w ciąży - szepnęła Daisy. Tak powinna zwierzać się matce.

- Louise?

- To jego asystentka. Moje życie to banal czy co? Żadna się nie roześmiała.

- Nie wiem, co powiedzieć, Daisy. Albo nie: wiem. Zamknijmy sklep i chodźmy do Mo na późne śniadanie.

- Ale nie wszystkie. Nie chcę mówić Pauli - powiedziała błagalnie Daisy. Nie potrafiłaby znieść jej współczucia.

- Nie musisz - odparła Mary. - Powiemy tylko, że idziemy pogadać, a ja nie chcę zostawiać jej sklepu na głowie w ostatnim tygodniu pracy.

- Zapomniałam, że bierze urlop macierzyński - powiedziała Daisy zduszonym głosem. W tym tygodniu zaplanowały w domu Mary wręczenie prezentów dla dziecka i przyjść miały wszystkie przyjaciółki Pauli. Daisy nie ośmieliła się zapytać, czy to wciąż aktualne. Sama kupiła już prezent: dwie pary mięciutkich śpioszków - jedno białe, drugie z żółtego weluru. Poprosi Mary, żeby w jej imieniu wręczyła to Pauli. Nie dałaby rady sama tego zrobić.

Mary objęła przyjaciółkę.

- Niedawno widziałam książkę o tym, jak rzucić zły urok na byłego. Może powinniśmy ją kupić i zastosować rady w praktyce? Jestem pewna, że Zara z Mistycznych Ogní ma przybory do białej magii na zapleczu sklepu. Rzuci zły urok na Alexa.

Wbrew sobie Daisy się roześmiała, chociaż nie wiedziała, czy z pomysłu, że słodka Zara rzuca urok na kogokolwiek, czy też na myśl, że Alex będzie zwijał się z bólu.

- Czemu nie zrezygnować z pośrednika i po prostu go nie zastrzelić?

Mos Diner istniał dopiero od kilku lat, a mimo to zdawał się od zawsze stanowić część Carrickwell. Urządzony w stylu amerykańskich barów z lat pięćdziesiątych, miał miniaturowe szafy grające na stolikach z blatami z formiki, wiśniowe kanapy w boksach i na ścianach mnóstwo zdjęć Elvisa, idola Mo. Obsługa ubrana była jak w amatorskim przedstawieniu Grease: dziewczęta w rozkołysanych spódnicach i w skarpetkach, z włosami uczesanymi w koński ogon chłopcy w stylu Jamesa Deana: w wąskich spodniach i koszulach z rękawami podwiniętymi do bicepsów.

Mo był bardzo amerykański, chociaż pochodził z hrabstwa Clare. Spędziwszy pół życia w Memphis, wrócił do Irlandii, przywożąc ze sobą odrobinę Tennessee. W swoim lokalu serwował płatki owsiane, kawę, burgery i lody z wodą sodową, a za jego babeczki z jagodami ludzie daliby się zabić. Praca w jego lokalu była bardzo ceniona, wielu studentów z Carrickwell dorabiało sobie, obsługując u Mo w weekendy.

W barze panowały pustki, bo ci, którzy jedli wczesne śniadania, już poszli. Mary i Daisy usiadły w boksie w głębi. Z głośników płynęły romantyczne nuty Love Me Tender. Mary nie powiedziała: „No to wal”, jak zwykle mawiała, kiedy chodziło o najnowsze plotki. Poczekała, aż kelner przyjmie zamówienie, po czym położyła obie dłonie na blacie i pochyliła się do przodu, inicjatywę oddając Daisy.

- Przed moim wyjazdem do Dusseldorfu Alex powiedział, że musimy na jakiś czas się rozstać.

- Rozstać, phi! - prychnęła Mary. - A jaką podał wymówkę? Pewnie mało przekonującą.

Daisy westchnęła.

- Byliśmy w klinice płodności. Stwierdził, że potrzebuje czasu, żeby to przemyśleć.

- Och... - Mary była zaskoczona. - Nie miałam pojęcia.

- Nie mogłam ci powiedzieć, Mary. To było zbyt bolesne, żeby o tym mówić. Ty masz dzieci, Paula jest w ciąży, nie sądziłam, że mnie zrozumiecie.

Przypuszczałam, że powiecie, że dramatyzuję albo...

- Mam nadzieję, że tak bym nie zareagowała - odparła Mary żarliwie. - To, że mam dzieci, nie oznacza, że nie potrafię wczuć się w sytuację kogoś, kto ich pragnie. Moje dzieci to najcudowniejsza rzecz, jaka mi się przydarzyła - dodała z prostotą. - Gdybym nie mogła ich mieć, bardzo bym cierpiała. Zawsze marzyłam o dzieciach, więc nie, nie pomyślałabym, że dramatyzujesz. Przykro mi, że to przede mną ukryłaś. Mam wrażenie, że cię zawiodłam.

Daisy wzruszyła ramionami.

- Nie zawiodłaś. Zawiodły mnie moje jajniki albo inny organ. Kto to wie?

Staraliśmy się o dziecko, odkąd skończyłam trzydzieści lat, w każdym razie ja się starałam, i w końcu postanowiłam coś z tym zrobić, zamiast ciągle kupować testy ciążowe i płakać, że znowu się nie udało. Zadzwoiłam do kilku klinik, umówiłam nas na wizytę, ale kiedy powiedziałam o tym Alexowi, nie ucieszył się... widziałam, że się nie ucieszył.

Mary wyciągnęła rękę nad stołem i uściśnęła dłoń Daisy.

- Myślałam, że tempo jest za szybkie i on się boi - ciągnęła Daisy. - W końcu to typowy koszmar każdego mężczyzny: masturbować się do pojemnika, oddawać własną spermę do analizy, kto by się nie bał. Ale po tych udrękach mogliśmy mieć dziecko, a ja zrobiłabym absolutnie wszystko, żeby zajść w ciążę.

Bardzo młody kelner z pierwszymi kiełkami bokobrodów przyniósł im kawę i bułeczki.

- A potem? - ponagliła Mary, kiedy zostały same. Daisy przełamała bułeczkę, ale nie zaczęła jeść.

- Powiedział, że musimy od siebie odpocząć.

- A ty zapytałaś, dlaczego?

- Właśnie - potwierdziła Daisy. - Potrzebował czasu dla siebie czy coś w tym rodzaju.

- Kłamca. - Mary wrzuciła pięknym łukiem kostkę cukru do filiżanki.

- Wierzyłam mu.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Pojechałaś do Dusseldorfu, wiedząc o tym wszystkim. Chryste, Daisy, mogłaś powiedzieć. Odwołałybyśmy wyjazd. Jak mogłaś pracować, kiedy coś takiego wisiało ci nad głową?

- Gdybym nie pojechała - zauważyła Daisy - nie popędziłabym z lotniska prosto do jego biura, żeby mu powiedzieć, że nie musimy mieć dzieci, bo nasza miłość wystarczy, i nie odkryłabym prawdy.

Mary wzdrygnęła się.

Daisy łamała bułeczkę na coraz mniejsze kawałki.

- Wyjazd był katalizatorem. W Niemczech olśniło mnie, że cała ta sprawa z kliniką martwi Alexa, i powinniśmy dać sobie z tym spokój. No bo czym jest dziecko w porównaniu z naszą miłością, prawda? Dziecko wszystko by zepsuło. Wyobraź sobie Alexa w naszym idealnym mieszkaniu z chorym dzieckiem i rozrzuconymi wszędzie zabawkami! No więc prosto z lotniska pobiegłam do banku, żeby mu to wszystko powiedzieć, i zobaczyłam go na ulicy z Louise. Wiesz, od razu wiedziałam, że coś jest nie tak, bo ona uciekła, a on był po prostu wstrząśnięty, że mnie widzi. A potem mi powiedział. Więc jednak chciał dzieci,

tylko że nie ze mną. Z Louise. Czuję się jak ostatnia idiotka, że się nie domyśliłam. Teraz to już udowodnione: jestem głupia. Mary zignorowała ostatnie zdania.

- Od jak dawna to już trwa?

- Od kilku miesięcy, prawie od roku. Nie wiem, co jest gorsze: że oszedł czy że jest z inną kobietą, która nosi jego dziecko. - Daisy uniosła wzrok. - Myślę, że wciąż jestem w szoku, szczerze mówiąc. To mi się wydaje... - położyła dłoń na sercu - ...nierzeczywiste. Nie mogę uwierzyć, że to naprawdę się dzieje. To tak, jakby przytrafiło się to komuś innemu, ja o tym słucham i współczuję, ale to nie dotyczy mnie, mnie i Alexa.

- Cieszy się z powodu dziecka z Louise, prawda? To nie był przelotny romans? Nie jest z nią z poczucia obowiązku? Bo wiesz, on może równocześnie wychowywać dziecko i być z tobą. Będziesz musiała jakoś mu wybaczyć, niewykluczone, że ci się to uda - powiedziała Mary niepewnie.

- Och, bardzo się cieszy - odparła Daisy cicho. - Rozumiesz, ja nie byłam tą „jedyną”. Wygląda na to, że pary, które poznają się w college'u, nie zostają razem. Zawsze oglądaliśmy się przez ramię i szukaliśmy tej właściwej osoby. Mary patrzyła na nią, nic nie rozumiejąc.

- Tak powiedział mi Alex - stwierdziła Daisy z goryczą. - Ja też szukałam tego „jedynego”, prawda? Czekaliśmy na odpowiednią okazję. I tak się złożyło, że on swojej doczekał się szybciej niż ja. - Uświadomiła sobie, że to była jedna z najbardziej bolesnych rzeczy w całym tym bałaganie. Ona kochała Alexa bez reszty, a on odczuwał zupełnie inaczej.

- Jasne, że nikogo nie szukałaś.

- Tak mu powiedziałam, ale on się upierał, że nie mam racji. Czemu do mnie nie docierało to, co próbował przez cały czas dać mi do zrozumienia? To, że nie chciał się zenić, było najwyraźniejszą aluzją, jaką mógł zrobić, i nie potrafił pojąć, dlaczego jestem taka ufna i nie załapałam tego od razu. Gdyby chciał ze mną być, ożeniłby się ze mną. Więc powinnam była sama się domyślić i nie reagować takim szokiem, kiedy zakochał się w Louise.

- Więc to twoja wina? Bo nie rozumiałaś, że po prostu razem czekacie na odpowiednią okazję?

- W sumie tak to wygląda - potwierdziła Daisy. Wsunęła w usta kawałek rozgniecionej bułeczki. Wyśmienita. Czy bułeczki mogą być lekiem na złamane serce?

- Ze wszystkich podłych kłamliwych kanałii, o których słyszałam, Alex Kenny jest najgorszy! - oznajmiła z furją

Mary. - Bart przynajmniej miał odwagę powiedzieć, że już mnie nie kocha, zamiast wypierać się, że w ogóle kiedykolwiek mnie kochał! Pocięchą było to, że Mary tak wstrząsnęła podłość Alexa.

- Co chcesz dalej robić?

Daisy dokładnie wiedziała, czego chce: żeby Alex wrócił. Mary by tego nie pochwaliła.

- Chcę, żeby wszystko było jak dawniej - powiedziała.

- Nigdy nie będzie jak dawniej. Nigdy. Bo nigdy nie będziesz w stanie zapomnieć o tym, co zrobił i powiedział. Pamiętaj, co mówiłam wcześniej o przyjęciu go z powrotem: on na to nie zasługuje.

- Ale ja bym go przyjęła, gdyby wrócił.

- Nie, nie zrobiłabyś tego. Wiem, że mówiąc źle o twoim facecie, łamię zasadę przyjaźni, której absolutnie nie powinno się łamać, ale Alex to dwulicowy drań i nie zasługuje na ciebie.

- Ja przez to nie przestaję go kochać.

- Odezwał się od tamtego czasu? Daisy pokręciła głową.

- Jeszcze się odezwie, wiesz o tym?

Fala nadziei zalała serce Daisy. Gdyby tylko znowu zobaczyła się z Alexem, na pewno potrafiłaby wszystko naprawić.

- Będzie próbował pogodzić się z tobą, żeby móc spokojnie zasypiać. Nie da się jednym gestem wyrzucić czternastu lat na śmietnik. Postara się sprawę załagodzić, dzięki czemu będzie mógł mówić waszym znajomym, że rozstaliście się w przyjaźni, że teraz właściwie jesteście jak brat i siostra. Wszystko jest w jak najlepszym porządku, zawsze będziecie traktować się z sympatią i wzajemnie sobie pomagać, i takie tam bzdury.

Chociaż wiedziała, że nie powinna, Daisy kurczowo uchwyciła się tej myśli.

Przyjaciele. Gdyby pozostali przyjaciółmi, wówczas wciąż miałyby Alexa: przychodziłby czasem, wszystko dobrze by się ułożyło. Głaz przygniatający jej serce byłby lżejszy, gdyby wiedziała, że Alex wciąż jest w jej życiu. Potrafiła zrozumieć kobiety, które dzieliły się mężczyzną, wiedziały o rywalce i zgadzały się na to, ponieważ ten akurat mężczyzna był tego wart. Daisy dzieliłaby się Alexem, gdyby było trzeba.

Bo w przeciwnym wypadku wcale by go nie widywała, a to by było tak, jakby umarł, tylko gorzej, zdecydowałaby się bowiem przebywać na ziemi, ale z dala od Daisy.

- Każde dziecko wie, że pozostanie przyjaciółmi to nie jest żaden wybór - odezwała się Mary - Jeśli chcesz zamknąć ten związek, musisz zerwać

nieodwołalnie, a udawanie, że tak jest najlepiej, to po prostu chowanie głowy w piasek.

Odkąd Mary po rozwodzie chodziła na terapię, ciągle psychologizowała. Jej ulubionym słowem było „zamknięcie” i zawsze chciała poznać wersję każdej strony. Oprócz wersji Alexa.

- Mary, ja nie chcę, żeby się skończyło - powiedziała Daisy. - Chcę zamknąć oczy, chcę, żeby wszystko było tak jak przedtem.

- Nie chcesz - odparła Mary energicznie. - Chcesz pójść do jego nowego domu, poukrywać krewetki w rąbkach zasłon Louise, a potem nawiązać gorący i bardzo publiczny romans z jakimś dwudziestoczterolatkiem, który ma brzuch jak tarę. A tymczasem mam dla ciebie parę książek. Zwłaszcza rewelacyjna jest Kobiety, które kochają drani. Spodoba ci się.

Mary miała rację, choć Alex wrócił dopiero po sześciu tygodniach. Daisy zobaczyła go, nim on zobaczył ją. Zmagając się z torebką, zakupami i reklamówką z księgarni z dwiema następnymi książkami o tym, jak poradzić sobie z cierpieniem i wyjść na prostą, dostrzegła go siedzącego w samochodzie na parkingu dla gości przed ich domem. Choć minęło już sześć tygodni, Daisy wciąż uważała, że to ich wspólny dom. Sześć tygodni bez telefonów, bez żadnego znaku. Sześć tygodni, w czasie których Daisy przeszła drogę do piekła i z powrotem. Rzeczywiście w pewnym sensie jakoś sobie radziła. Udawało jej się przetrwać kolejny dzień i zasypiała z nadzieją, że następny będzie lepszy. Alex przyjechał sam.

Obok niego nie siedziała Louise, więc chyba nie była to wizyta, na której Alex miał zamiar zaproponować, żeby wszyscy troje zostali przyjaciółmi. Zobaczył Daisy na chodniczku prowadzącym do drzwi wejściowych.

- Cześć, Daisy. - Stał obok niej, gdy wstukiwała kod cyfrowy. Wyczuwała zapach jego wody po goleniu, otaczającej go zmysłowym obłokiem, i zapragnęła przytulić się do niego tak, jak robiła to dawniej.

- Cześć, Alex. Co u ciebie? - Miała nadzieję, że nie zabrzmiało to zbyt żałośnie. Gdyby mu pokazała, jak bardzo za nim tęskni, natychmiast by uciekł. Musi rozegrać to na chłodno.

Alex przytrzymał jej drzwi.

- W porządku. Dobrze wyglądasz, Daisy.

Przytyła parę kilo - rezultat nocnych wypraw do lodówki. Ludzie, którzy twierdzą, że wino i czekolada nie pasują do siebie, nigdy nie zostali porzuceni. Była zła, że nie mieści się w swoich szczupłych ubraniach, ale Mary ją pocieszała, że zaokrąglona wygląda lepiej.

- Teraz jest modna figura na klepsydrę - odparła. - Faceci to uwielbiają. Zależy mi wyłącznie na uwielbieniu Alexa, myślała Daisy, kiedy pełne krągłości ciała, którego przez całe dorosłe życie nienawidziła, zaczęło powracać.

- Dlaczego przyjechałeś? - zapytała go przy windzie.

- Zobaczyć się z tobą, pogadać.

Wchodząc do windy, Daisy uderzyła się torbą z książkami w łydkę. Poczuj ból i żyj dalej, przypomniała sobie.

- A o czym chcesz rozmawiać? - spytała rzeczowo.

- O nas, o tobie, o wszystkim. - Zawahał się. Alex nigdy się nie wahał, należał do osób zdecydowanych. - Martwię się o ciebie, Daisy. Nie mogę patrzeć, jak cierpisz.

Punkt dla Mary. Daisy była wdzięczna przyjaciółce, że przygotowała ją na taki początek rozmowy.

Winda zawiozła ich na czwarte piętro. Kiedy weszli do mieszkania, Alex podał jej elegancką zielono-złotą torebkę z prezentem.

- To dla ciebie - powiedział.

W środku był bukietik żółtych róż i butelka wina. W Daisy wstąpiła nadzieja. Nikt nie przychodzi do byłej dziewczyny z winem i różami, jeśli nie planuje powrotu i oznajmienia, że odejście było błędem. To znak.

Mary się myliła. Alex chciał wrócić do Daisy. Wiedziała o tym.

- Masz ochotę na kieliszek wina? - zapytała, próbując ukryć podniecenie.

- Tak, z przyjemnością. - Alex krążył, oglądając mieszkanie bez swoich rzeczy.

Tyle drobiazgowo przez lata razem kupowali, że trudno było nawet sobie wyobrazić, jak ustalać, co do kogo należy, tak powiedział.

„Załatwimy to później” - napisał w liście, który jej zostawił, kiedy Daisy była w Dusseldorfie. „Nie chciałbym kłócić się o meble”.

Zabrał swoje kompakty i książki, i ogromny plakat Blues Brothers, wiszący nad sofą. Zostawił natomiast wielki telewizor z plataniną kabli i resztę sprzętów.

Daisy wzięła pilota i rzuciła w stronę Alexa.

- Kanał sportowy zdradza symptomy wygłodzenia - powiedziała. - Pomóż nieszczęśnikowi i włącz go, kiedy pójde po wino.

Proszę, to chyba zabrzmiało dostatecznie wesoło, prawda? Bez napięcia, ironicznie, spokojnie. Alex najwyraźniej tak pomyślał, sądząc po szerokim uśmiechu, którym ją obdarzył.

Daisy pobiegła do sypialni i pośpiesznie zdjęła czarne spodnie i marynarkę. Nucając pod nosem, przerzuciła szufladę z bielizną w poszukiwaniu włoskiego stanika barwy koralu i fig, które były czymś pośrednim pomiędzy stringami a pełnymi majtkami dla tłuścioszek.

W spodniach, jedwabnej bluzeczce i seksownej świeżej bieliźnie poczuła się lepiej: miała wrażenie, że odzyskuje panowanie nad sytuacją. W dodatku nic nie wskazywało na to, że zrobiła coś więcej poza wyszczotkowaniem włosów.

Bo jeśli się myli - dobry Boże, nie pozwól, żeby się myliła - i on nie chce do niej wrócić, to przynajmniej nie wyjdzie na idiotkę.

Nalała wina do kieliszków, upiła ze swojego wielki łyk, uzupełniła ubytek i poszła do salonu.

Telewizor nie był włączony na kanał sportowy, ale na jedną z telenoweli, które Daisy uwielbiała, a których Alex nie znosił. Kolejny znak.

Teraz, kiedy już tu był, jakoś nie wykazywał ochoty na rozmowę o czymś konkretnym. Usiadł w fotelu, który zwykle zajmował, swoim zwyczajem postawił kieliszek na oparciu i pytał o codzienne sprawy. Jak tam w sklepie? Czy interesy idą dobrze? Co u Mary?

Najchętniej zobaczyłaby cię rozdartego na strzępy, pomyślała Daisy.

- U Mary wszystko w porządku.

- Podejrzewam, że chciałaby mnie usmażyć na żywym ogniu - powiedział Alex.

- Blisko, blisko - roześmiała się Daisy.

- Dobra z niej przyjaciółka - stwierdził z aprobatą.

- Nigdy nie polubiliście się z Mary - powiedziała Daisy, nie potrafiąc się powstrzymać. Od pierwszego dnia znajomości między Mary a Alexem panowało chwiejne zawieszenie broni, co zawsze ogromnie irytowało Daisy. Tyle przecież zawdzięczała Mary Dillon.

- Co nie znaczy, że nie widzę, jaka jest dla ciebie dobra - odparł Alex spokojnie. - Jest twarda jak kamień, po prostu nie mój typ kobiety.

W powietrzu zawisło milczenie. Mary nie była w jego typie, za to Louise, śliczna, ciemnowłosa i w ciąży, tak. Alex napił się wina.

- A co u Pauli? - Kolejna gafa.

- Urodziła dziecko, dziewczynkę.

Emma Marie, którą rozradowana Paula wydała na świat po krótkim i szczęśliwie łatwym porodzie, skończyła już tydzień i ważyła trzy i pół kilograma. Mary powiedziała, że ma idealne uszka.

- Ach, jasne.

To było takie trudne. Daisy czuła, jak żołądek jej się ściska, kiedy zastanawiała się, co powinna powiedzieć. Nie chciała się wydać rozpaczliwie stęskniona czy rozgoryczona. A równocześnie nie mogła przyjąć nazbyt obojętnej miny, bo wtedy Alex pomyśli, że powrót jest niemożliwy. Drzwi będą szeroko otwarte,

jeśli on tego chce. Czy istnieje jakiś sposób, żeby dać mu to do zrozumienia, a jednocześnie zachować spokój?

Oboje gorączkowo szukali tematu, który nie zawierałby wybuchowej treści.

Bank.

Skonsumowali butelkę wina i całe ogromne opakowanie serowych nachos podczas długiej opowieści o banku, w której ani razu nie padło imię Louise.

Daisy odprężyła się trochę dzięki kilku kieliszkom i pustym kaloriom z nachos i teraz uznała, że może powinna niefrasobliwie wspomnieć o Louise i dziecku. Jak znosi ciężę? Kiedy ma następne badanie USG? Nie potrafiła się jednak na to zdobyć.

Nie stać jej było na aż taką wyrozumiałość.

- Masz więcej wina? - Alex już podnosił się z fotela.

Kiwnęła głową, patrząc na niego jaśniejącym wzrokiem. Wiedział, gdzie jest wino.

W końcu to był jego dom. Wykorzystując chwilę przerwy, poszła do łazienki.

Patrząc na swoje odbicie, uznała, że wino dobrze jej robi. Po alkoholu włosy lepiej się układały, a twarz nie wyglądała na tłustą: zaokrąglone policzki sprawiały miłe wrażenie. Różana Madonna z dzieckiem. Och nie, daj sobie z tym spokój.

Wyszczotkowała włosy, rozpyliła perfumy nad sobą i pociągnęła usta truskawkowym błyszczkiem. Kiedy wróciła, Alex siedział w fotelu z pełnym kieliszkiem wina.

- Uwielbiam ten fotel - powiedział, wyciągając długie nogi.

- Zawsze możesz z niego korzystać - odparła Daisy Usiadła zwinięta w kłębek w rogu sofy, blisko niego.

- Wiem. - Alex położył rękę na jej udzie, więc rzeczą zupełnie naturalną było nachylić się w jego stronę. - Jesteś zadziwiająco kobietą, Daisy - westchnął. Ciepło, które ją zalało, nie miało nic wspólnego z winem.

- Brakuje mi ciebie i naszego życia. Wszystko się zmieniło i trudno się z tym pogodzić. - Oczy zasnuła mu mgiełka, kiedy wpatrywał się w drewnianą plemienną maskę, która wisiała nad regałem z książkami. - Pamiętasz nasz wyjazd do Portoryko? Tam ją kupiliśmy. I właściwie zostaliśmy bez grosza, a sprzedawca powiedział, że szczęściarz ze mnie, bo on chętnie by cię kupił.

- Tak - odparła Daisy. - Pamiętasz te fotografie robione na plaży, kiedy słońce mnie poparzyło, bo zasnęliśmy?

- Masz na nich jeden policzek czerwony, a drugi biały - skończył Alex. - To były rewelacyjne wakacje. Niewiele wtedy zwiedziliśmy, no nie?

To był ich pierwszy wspólny wyjazd poza Irlandię i oboje się splukali. Mieszkali w maleńkim białym pokoju w tanim hotelu, gdzie wina było pod

dostatkiem, słońce przez cały dzień tańczyło na ich balkonie, a łóżko było na tyle miękkie, że leżeli w nim godzinami po tym, jak się kochali. Często się kochali na tych wakacjach. Krągłości złotego ciała Daisy w białym bikini, które Alex jej kupił, dotyk promieni słońca na nagiej skórze sprawiały, że uprawianie miłości wydawało się jedynym rozsądnym sposobem na spędzanie długich gorących dni.

- Pamiętasz białe...

- ...bikini - skończyła za niego i uśmiechnęła się. - Wciąż je mam. ,

- Teraz wyglądałabyś w nim jeszcze lepiej - odparł z uśmiechem. Wiedziała, że naprawdę tak myśli, bo jego ciemne oczy pełne były miłości.

- Alex...

- Wiem, Daisy, wiem - powiedział. Wstał z fotela i pociągnął ją za sobą na dywan. Ich usta się odnalazły i Daisy mogłaby się rozplakać, czując znów znajomy smak jego warg.

- Daisy - jęknął, ściągając z niej bluzkę i odsłaniając włoską koronkę w pełnej chwale. Jego usta muskały i ssaly, dłonie wędrowały po ciele. - Masz taką gładką skórę - mruknął. Przesuwał palcami po kremowym jedwabistym ciele z delikatną siateczką niebieskich żyłek znaczącą pełne piersi.

A Daisy czuła, że zmienia się w płynny miód w ramionach mężczyzny, który wprowadził ją w arkana seksu i realnego świata. Alex był jej pierwszym i jedynym kochankiem, doskonale wiedział, co robić, żeby ją podniecić.

Jakimś sposobem pozbyli się ubrań, wciąż przywierając do siebie, a potem na miękkim jasnym dywanie Alex wszedł w nią i Daisy miała wrażenie, że wróciła do domu. Usadowiona w bezpiecznym objęciu jego ramion, czując jego zapach w powietrzu i jego oddech na swojej skórze, przytuliła się do niego w ekstazie.

To nie miało nic wspólnego z seksem. Chodziło o poczucie bezpieczeństwa, które dawały jego ramiona, a kiedy osiągnął szczyt, jak zawsze wołając ją po imieniu, Daisy się rozplakała. Słone łzy wezbrały w jej oczach, szybko więc je wytarła, bo nie chciała, żeby pomyślał, że jest smutna. To nie były smutne łzy: to były łzy radości. Nie przypuszczała, że jeszcze tego zazna, tej radości trzymania Alexa w objęciach, i teraz tuliła się do niego mocno.

- Kocham cię - szepnęła w jego muskularny bark. Na chwilę oparł się o nią całym ciężarem, potem z jękiem z niej wyszedł. Daisy nie chciała, by się odsuwał, wtuliła się więc w niego, kiedy opadł na dywan.

Ta chwila, to miejsce na podłodze, wszystko to było idealne. Daisy nie chciała, by kiedykolwiek się skończyło. Alex poruszył się i niespokojnie spojrział na zegarek.

- Lepiej już pójdę. Wiesz... trudno to wytłumaczyć. Daisy kiwnęła głową. Miał rację. Potrzebował czasu, żeby powiedzieć Louise, że wszystko między nimi skończone. To na pewno nie było łatwe, musiało więc potrwać. Wracał do niej i tylko to się liczyło.

- Rozumiem - powiedziała.

- Jesteś jedną kobietą na milion, Daisy - odparł z uczuciem.

Pośpiesznie cmoknął ją na pożegnanie, ubrał się i wyszedł. Daisy leniwie przygotowała się do snu, wciąż ogarnięta ekstazą po kochaniu się z Alexem. Odłożyła książki z serii „poczuj ból i zajmij się swoim życiem” na dno stosu koło łóżka, wzięła błyszczący magazyn i zabrała się do lektury. Wszystko będzie w porządku.

Następnego dnia rano Mary zauważyła energiczny krok Daisy.

- Świetnie wyglądasz - powiedziała z aprobatą.

- Dobrze spałam - odparła Daisy z poczuciem winy. Rzeczywiście dobrze spała, chociaż nie taki był powód jej szczęśliwego wyglądu.

- Co myślisz o Kobietach, które kochają drani. Niezłe, prawda?

- Tak - powiedziała z rozmarzeniem Daisy. - Całkiem dobre.

Kiedy minął tydzień i Alex nie zadzwonił, nie przysłał emaila ani zabawnego esemesa z terminem następnej randki, Daisy w końcu ogarnęła panika.

Żółte róże zwiędły, ale Daisy z uporem wciąż trzymała je w wazonie. Żołądek kurczył się jej boleśnie za każdym razem, kiedy patrzyła na to miejsce na podłodze, gdzie się kochali. Była wtedy taka szczęśliwa, a teraz dywan kpił sobie z niej. Miała ochotę się stąd wyprowadzić, żeby uciec od wspomnień.

To jednak byłoby głupie. Musi poczekać i przekonać się, co będzie dalej. Nie miała się kogo poradzić. Na pewno nie mogła zwrócić się z tym do Mary. A wielu przyjaciół było ich wspólnymi przyjaciółmi. Nie jej czy jego. Wspólnymi. Nie miała pojęcia, kto jest po czyjej stronie.

Byłoby o wiele łatwiej, gdyby przy rozstaniu pary dzieliły się przyjaciółmi w taki sam sposób, w jaki dzielą się kompaktami: „Możesz wziąć Gerryego i Michelle, ale pod warunkiem, że ja biorę Sheryl i lana”. Wtedy Daisy wiedziałaby, że może zadzwonić do Michelle i poszukać u niej wsparcia, nie bojąc się przy tym, że po skończonej rozmowie koleżanka powie komuś: „To było okropne. Nie miałam serca powiedzieć jej, że w piątek przychodzą do nas Alex i Louise. Biedna Daisy! Louise martwiła się, jak Daisy sobie z tym poradzi, a Alex mówi, że jest trochę nieźrównoważona...”.

- Nie bądź takim tchórzem - mówiła sobie Daisy ostro. - Musisz sprawdzić, co się dzieje. Zadzwon do niego, zadzwon do kogokolwiek.

Zostawiła wiadomość w jego telefonie komórkowym: „Alex, muszę z tobą porozmawiać. Niepokoję się, czy wszystko jest OK. Myślałam, że po tym, co było w zeszłym tygodniu...”. Cholera, co dalej?

Szybko usunęła tekst, po czym zaczęła od nowa.

„Alex, to ja. Zastanawiałam się, czy u ciebie wszystko OK. Możesz do mnie zadzwonić? Musimy jeszcze omówić parę spraw”. Uznała, że to proste i konkretne.

„Ciągłe myślę o tym, co się stało na podłodze w salonie”, dodała jakby po namyśle. Tego nie zamierzała usuwać.

Nazajutrz Daisy pojechała do miasta pociągiem, żeby nie martwić się o miejsce do zaparkowania. Dostała zaproszenie na pokaz nowej kolekcji biżuterii i Mary namówiła ją, żeby z niego skorzystała. Do pomocy w sklepie miała nową pracownicę, która przysłała na miejsce Pauli, a Daisy przyda się trochę rozrywki.

- Wrócę po południu - odparła Daisy. - To nie potrwa długo.

- Nie musisz się śpieszyć. - Mary machnęła dłonią. - Niewykluczone, że poznasz tam jakiegoś przystojniaka.

Daisy się roześmiała. Nie miała takich planów.

Na ulicach Dublina widać było pierwsze zapowiedzi lata: ludzie pozbywali się zimowych ubrań, na pokazie kilka najodważniejszych kobiet demonstrowało modnie gołe nogi.

Kolekcja była niezła - Daisy uznała, że doskonale nadaje się do ich sklepu - a po kilku kieliszkach szampana wypitych ze stylistką, z którą od dawna się przyjaźniła, Daisy nie czuła bólu.

- Co u Alexa? - zapytała Zsa Zsa.

- Cóż... - Daisy zająknęła się. Przez cały dzień czekała, aż zadzwoni jej komórka, chociaż na sam pokaz musiała ją wyłączyć. Przecież Alex na pewno niedługo się odezwie. - Rozstaliśmy się na trochę.

Zsa Zsa szybko otrząsnęła się ze zdziwienia.

- W morzu jest wiele ryb. Możesz pójść łowić ze mną.

- Jasne. - Daisy wyjęła z torebki komórkę. Dlaczego wszyscy chcą, żeby spotykała się z mężczyznami? Ona jest kobietą jednego mężczyzny A poza tym każdy związek przechodzi trudny okres, prawda?

Na ekranie telefonu widniała informacja: „Jedno połączenie nieodebrane”. Kiedy włączyła odpowiednią opcję, wyświetlił się numer Alexa. Nie zostawił wiadomości, więc do niego zadzwoniła. Jeśli nawet jest na zebraniu, to co z tego.

- To ja - powiedziała, zupełnie niepotrzebnie. Kiedy dzwoniła, jego telefon pokazywał jej uśmiechnięte zdjęcie. Przynajmniej tak było dawniej.

- Poczekaj chwilę - odparł Alex oficjalnym tonem. Usłyszała kroki i wyobraziła sobie, że idzie gdzieś na ubocze, żeby znaleźć się z dala od ludzkich uszu. To dobrze. Miał jej coś do powiedzenia.

Upiła łyk szampana i uśmiechnęła się do Zsa Zsy, która z ożywieniem mówiła coś do osoby po swojej lewej ręce. Obecni w sali wciąż komentowali pokaz. Daisy czuła się pewnie: wiary w siebie dodał jej zarówno alkohol, jak i wydarzenia dnia. Doskonale radziła sobie w pracy, miała dobre oko. I ludzie cieszyli się na jej widok. W końcu jednak nie była kompletnie beznadziejna. Alex też to zrozumie.

- Daisy, nie mogłem rozmawiać. Byłem na naradzie.

Dawniej Daisy przeprosiłaby za wyciągnięcie go z narady, tym razem tego nie zrobiła. Książki uświadomiły jej, że to ona zawsze przepraszała, przez co ustaliła się norma w ich związku. Ona przepraszała, a on przeprosiny przyjmował, niezależnie od tego, co aktualnie sam spieprzył.

- Niepokoiłam się, że nie mam wiadomości od ciebie - powiedziała, obracając w palcach kieliszek z szampanem.

- Niepokoiłaś się? Dlaczego?

- Po tamtym wieczorze - wyjaśniła, po czym, zniżając głos, dodała: - Kiedy się

- A o co chodzi?

Daisy ogarnęło to dawne wrażenie, że roztapia się w wielką kałużę niczego.

- O to, co to znaczyło, o twoje słowa - szepnęła. Wstała i wyszła do holu, gdzie było spokojniej.

- Niczego nie mówiłem - warknął Alex.

- Mówiłeś. Powiedziałeś, że jestem cudowna i...

- Bo byłaś. Dałaś do zrozumienia, że mi wybaczasz, i to wszystko, Daisy. Nie wracam do ciebie ani nic w tym rodzaju. To był tylko seks.

- Nie mówisz poważnie - wyjąkała oszołomiona.

- Ależ tak, Daisy Chryste, nie rób tego za każdym razem. Między nami wszystko skończone i musisz się z tym pogodzić.

- Ale dlaczego kochałeś się ze mną? - zapytała ledwo dosłyszalnie.

- Tak wyszło. - Teraz w jego głosie brzmiała irytacja. - » Seks czasem zdarza się między ludźmi, ale nie musi nic znaczyć. Jestem teraz z Louise, Daisy. Nie dręcz mnie.

- Ale czemu to zrobiłeś? - zapytała znowu. Jak mogło chodzić wyłącznie o seks?

- Byłaś tam, zdarzyło się i co z tego? Więcej się nie zdarzy. Myślałem, że o tym wiesz. Powiedziałaś, że rozumiesz - dodał niemal błagalnie.

kochaliśmy.

- Nic nie rozumiałam poza tym, że się kochaliśmy i musiało to znaczyć, że wracasz do mnie. Tak to rozumiałam, a potem nie zadzwoniłeś...

- OK, Daisy - przerwała jej jedna z organizatorek pokazu. - Mamy taksówki, które odwiozą wszystkich z powrotem do pracy...

Daisy pokręciła głową i uniosła dłoń, dając do zrozumienia, że nie może teraz rozmawiać.

- Posłuchaj - mówił Alex - niech wreszcie to do ciebie dotrze, Daisy. Między nami wszystko skończone. Myślałem, że możemy być przyjaciółmi i widywać się od czasu do czasu, ale chyba się myliłem. Tamten wieczór był pomyłką, zapomnij o nim. Ja zapomnę.

- Bo to mogłoby zranić Louise - szepnęła Daisy

- Nie musi o niczym wiedzieć, a jeśli myślisz, że narobisz mi kłopotów, mówiąc jej o tym, to wredna z ciebie suka - syknął.

I dopiero wtedy pojęła, że Alex mówi poważnie. Nigdy wcześniej się tak do niej nie zwracał, a to znaczyło, że między nimi nic już nie będzie. Była jego przeszłością, kimś, kogo wolałby wyrzucić z pamięci, kimś, z kim nigdy już nie będzie nic go łączyło, bo mogłoby to dręczyć jego i Louise.

- Nigdy bym tego nie zrobiła... - zaczęła, ale mówiła do siebie: Alex się rozłączył. Daisy poczuła, jak wypełnia ją pustka. Była pusta, do tego stopnia pusta, że nigdy więcej nie będzie w stanie odczuwać ciepła ani życia. Jeśli człowiek jest wydrażony, to jak może żyć?

Nigdy więcej nie mieć Alexa, nigdy nie tulić się do niego, nie czuć jego skóry i oddechu, gdy delikatnie ją całuje? On już jej nie kocha, ona wciąż kocha jego. I choćby nie wiadomo jak bardzo pragnęła się z nim kochać, nie będzie mogła. Była bezsilna. Patrzyła w przyszłość i widziała wyłącznie ponure i samotne pustkowia. Obudziła się rano, czując tępe pulsowanie bólu w głowie. Przed oczami migwały jej strzępy poprzedniego wieczoru.

Impreza zaczęła się od koktajli w Diamond Bar, lokalu położonego blisko sali, w której odbywał się pokaz biżuterii. Kiedy wskazówki zegara zbliżały się do dziewiątej, ktoś rozsądny zaproponował, żeby poszli gdzieś na kolację.

Podniesiona na duchu przez co najmniej sześć martini, z których każde dawało kopa jak muł, Daisy ile sił w płucach wrzasnęła:

- Nie!

Kolacja jest nudna i normalna, a jeśli coś zje, niewykluczone, że wytrzeźwieje i znowu poczuje ból. Kolacja w towarzystwie ludzi, z których nikt nie był Alexem i nigdy nim nie będzie, zepsułaby wieczór.

Towarzystwo - Daisy i Zsa Zsa, zblazowany fotograf KC, kilka charakterizaterek, rzecznik firmy kosmetycznej Ricardo oraz awangardowy dekorator wnętrz - rozważyło opcje.

- Chodźmy na kolację - błagała Sita, jedna z charakterizaterek, która była na nogach od piątej rano, bo brała udział w kręceniu filmu reklamowego, i teraz umierała z głodu. - Przecież wszystkie nie jesteście na diecie.

- Ale to może zepsuć atmosferę - przerwała jej Zsa Zsa, dorównująca kroku Daisy w liczbie wypijanych martini. - A my już jadłyśmy. Popatrz, sześć oliwek - dodała, machając ostatnią na srebrnej wykałaczce. - To jest jedzenie. Nie jesteście wszystkie na diecie. - Do głowy wpadł jej błyskotliwy pomysł, jak Michałowi Aniołowi, kiedy sobie uświadomił, że najlepsze będą sufity, bo ściany wyszły już z mody. - Dajmy sobie spokój z kolacją. Chodźmy do Pilgrimage i zacznijmy wieczór wcześniej.

Pilgrimage był najmodniejszym aktualnie klubem - do tego stopnia modnym, że w ogóle nie wyglądał jak klub, miał zastrzeżony numer telefonu i bramkarzy, którzy w selekcji chętnych ustępowali jedynie wolnomularzom. Oczywiście zawsze panował w nim tłok i trzeba było rezerwować miejsca co najmniej dwa dni z góry. Gwiazdy rocka, najbogatsi przemysłowcy i osoby ze świata mody jako jedyni mieli szansę dostać się do środka bez wcześniejszej rezerwacji.

- Pilgrimage to taka niesamowita nazwa - westchnęła Zsa Zsa. Wszyscy się z nią zgodzili.

Daisy oddała swoją oliwkę przyjaciółce. Po raz pierwszy od wielu tygodni nie była głodna.

- W takim razie głosujmy - zaproponowała, w duchu licząc na to, że pójdą do klubu, gdzie kolejnymi cudownymi martini będzie mogła zabić ból. Pragnęła zapomnienia.

Wszyscy z wyjątkiem Sity, która najpierw chciała coś zjeść, opowiedzieli się za klubem.

- Więc idziemy do Pilgrimage! - zawołała radośnie Zsa Zsa i gestem poprosiła kelnera o rachunek, nim ktokolwiek zdążył zamówić następne drinki.

W bezpiecznym kokonie kołdry Daisy składała w całość strzępki wieczoru. Samo przejście do klubu pamiętała dość mglście, choć wyraźnie sobie przypominała, jak siedzieli na bardzo niskich sofach z brązowej skóry, a przed nimi na stole stały skandynawskie w stylu kieliszki z przezroczystym płynem. I muzykę... Pamiętała, jak wiwatowała z radości, kiedy didżej włączył We Are Family Sister Sledge. Uwielbiała tę piosenkę. Zobaczyła siebie, jak wiruje nawet nie na parkiecie, tylko koło sofy, jak zdejmuje cienki jak pajęczyna sweterek od Lainey Keogh, bo tak było gorąco, a w uszach zabrzmiał jej głos Ricarda, który

mówił, żeby jednak włożyła go z powrotem, bo szefostwo klubu uważa zapewne, że stanik, nawet od Elle Macpherson, ze ślicznego kompletu w dzikie róże, nie stanowi odpowiedniego stroju.

- Ale on pasuje do fig - upierała się Daisy ze smutkiem, takie to było ważne. Kobietom, które zwracają uwagę na takie szczegóły, zawsze udaje się zatrzymać przy sobie mężczyzn, była o tym przekonana. Porzucane są te, które guzik obchodzi bielizna i wprawianie partnerów w dobry nastrój. A nie te, które potrafią rozpieszczać i dbać.

A Daisy w tym akurat była dobra. Regularnie zanosila ubrania Alexa do pralni, nigdy nie musiał jej o tym przypominać. Pamiętała, którą pastę do zębów lubi najbardziej, i tylko taką kupowała. Zawsze składała jego koszule, kiedy wyjeżdżał służbowo. I całowała go w szyję, tak jak radziły dodatki do czasopism. Męskie jabłko Adama to niezwykle erogenne miejsce: mężczyzna całowany w grdykę może oszaleć z pożądania. Daisy wszystko to robiła i popatrzcie, dokąd ją to zaprowadziło.

Ricardo trzymał ją w ciepłym, miłym uścisku. Był szalenie przyjemny w dotyku, odnosiło się wrażenie, że obejmowanie Daisy przychodzi mu naturalnie. Był od niej wyższy i szczuplej, pod wieloma względami podobny do Alexa. W rozpiętym sweterku wtuliła się w jego ramiona i wciągnęła w nozdrza aromat białej lnianej koszuli i wody kolońskiej o zapachu wetiwerii. Cudownie było znowu znaleźć się w czyichś objęciach. Czy nikt nigdy nie będzie jej obejmował? Na tę myśl Daisy wybuchnęła płaczem i przysunęła się bliżej do Ricarda. Czy ją lubi? Było jej dobrze przy nim, tęskniła za męskimi ramionami.

Ricardo delikatnie uwolnił się z uścisku i posadził Daisy na sofie. Jakby ubierając manekin, zdołał zapiąć sweterek, ani razu nie dotykając jej skóry.

- Nie podobam ci się? - zapytała. Była tak pijana, że nie dbała o to, jak żalosna może się wydać. - Jestem teraz szczuplejsza niż pięć lat temu. - To była prawda. Przekonywało ją o tym odbicie w lustrze, chociaż resztki szacunku do siebie nie chciały w to uwierzyć.

Ricardo usiadł obok niej i spojrzał w jej zamglone oczy.

- Nie pasujemy do siebie - powiedział łagodnie.

- Chcesz powiedzieć, że nie jestem w twoim typie - mruknęła Daisy. Nigdy nie była w niczym typie. Zawsze była wyłącznie w typie Alexa.

Ujął jej twarz w dłonie z wielką łagodnością, jak ojciec, który całuje dziecko na dobranoc.

- Nie, ale jesteś śliczna - odparł. Z jego bardzo jasnoniebieskich oczu wyczytała, że się wycofuje.

Przecież jest gejem, pomyślała teraz zażenowana. Pragnęła schować się pod kołdrą i nie wychodzić, dopóki wszyscy nie zapomną, jak bardzo była pijana.

W gruncie rzeczy nie знаła Ricarda i jak przez mgłę przypominała sobie, że Zsa Zsa coś takiego jej mówiła. Ale sama powinna się była domyślić, chociaż Ricardo nie afiszował się ze swoim homoseksualizmem.

Kartka - wyśle mu kartkę z przeprosinami.

Aż się skrzywiła, gdy pojawiły się następne obrazy. KC, fotograf. Och nie, co ona z nim robiła? Nikt właściwie nie wiedział, jakie poglądy wyznaje KC, chociaż Mary Dillon, która kiedyś zatrudniła go na sesję w Georgia's Tiara, stwierdziła, że jest niezły, bo był seksowny w ten trochę zaniedbany, nieogolony sposób. Nosił dżinsową koszulę, która wyglądała jak przyklejona do ciała, i palił jak komin, ale to nie czyniło go mniej pociągającym, a gdyby firma Marlboro szukała nowego, seksownie niechlujnego kowboja, on mógłby nim zostać.

W pewnym momencie usiadł obok Daisy.

- Życie jest wredne - powiedział, zapalając papierosa.

- Tu nie można palić. - Pomimo wypitych martini Daisy była wstrząśnięta. Palenie w klubach i restauracjach było zakazane, dlatego też producenci ogromnych zewnętrznych popielniczek robili kokosy. Zsa Zsa, która nie paliła, mówiła, że często wychodzi z palaczami, bo można tam spotkać wiele interesujących osób.

- I co z tego? - KC wydmuchał obłok dymu.

Jakaś od dawna uśpiona część osobowości Daisy obudziła się do życia.

- Masz rację - oznajmiła. Do czego doprowadziło ją bycie grzeczną dziewczynką?

- Poczęstuj mnie - zażądała energicznie. Nigdy nie paliła wiele, chociaż jej matki nikt nie widział bez papierosa w wypielegnowanej dłoni.

Zaciągnęła się i poczuła, jak nikotyna zaczyna krążyć jej w żyłach. To działa, pomyślała. Dymek ją odprężał, a może to rezultat tych wszystkich martini?

- Łamiecie prawo - rozległ się ponury głos. Daisy uniosła wzrok i ujrzała niepokojąco potężnego bramkarza, który pochylał się nad nią i KC. - Muszę was prosić o opuszczenie klubu. Surowo przestrzegamy zakazu palenia.

Oczy KC, już przymrużone ze zmęczenia i dymu, teraz zmieniły się w szparki boa dusiciela. Rzucił na wpół wypalony papieros na podłogę, rozgniół kowbojskim butem i jednym haustem opróżnił kieliszek.

Daisy, nagle czując się jak rozbrykana uczennica, która dyrektorze szkoły mówi: „Odpieprz się”, zrobiła to samo.

- I tak wychodzimy - burknął KC, ciągnąc ją za sobą.

Daisy poruszyła się niespokojnie w swoim gniazdku z poduszek. Wyszła z KC, ciąg dalszy był bardzo niejasny, ale mgliście pamiętała, że zabrała go do domu, siedzieli przed kominkiem, całowali się, a potem... Błagam, nie...

Otworzyła oczy i odwróciła się na bok, ale w łóżku oprócz niej nie było nikogo. - Dzięki - odetchnęła z ulgą. Cokolwiek jeszcze się zdarzyło, przynajmniej nie poszła z nim do łóżka. To by było niewybaczalne, idiotyczne, kompletnie kretyńskie, nie wspominając już o tym, że nielojalne wobec Alexa. Jak mogłaby mu o tym powiedzieć? Ale przecież nie musiała. Alex opuścił jej życie, nie miał prawa do zazdrości.

Głęboko zawstydzona własnym zachowaniem, skuliła się w sobie, próbując czerpać pociechę z faktu, że jednak nie wylądowała w łóżku z KC.

Musiała być niewiarygodnie pijana. Wciąż miała na figach bardzo nieseksowne obciskające czarne majtki. Zbyt zalana, żeby się rozebrać. Urocze.

Ostrożnie wstała, bo w głowie jej huczało. Zatoczyła się lekko i uznała, że może jej pomóc herbata. Sięgnęła po szlafrok, jak zwykle wiszący na drzwiach szafy, i wtedy je zobaczyła: kowbojskie buty koło łóżka, niedbale postawione tam przez właściciela, i zawartość męskich kieszeni rozrzuconą wokół nich. Wstyd, wyrzuty sumienia, żal i mnóstwo innych określeń z działu Wielka Pomyłka przemknęło Daisy przez głowę.

Wciąż była na wpół ubrana, co dowodziło, że do niczego nie doszło. Była to jednak mała pociecha w porównaniu z zażenowaniem.

Dwa środki przeciwbólowe - cholera, są świetne, musi kupić następne opakowanie, bo poprzednie z jakiegoś powodu szybko się skończyło - i po pięciu minutach spędzonych na szczotkowaniu zębów Daisy poczuła, że znowu staje się ludzką istotą. A potem zaryzykowała spojrzenie w lustro. Nie wiedziała, co napawa ją większą odrazą: odór alkoholu wydzielany wszystkimi porami przez jej ciało czy pokryta piamami, szara twarz. Znow ogarnął ją potężny wstyd. Otulając się mocniej szlafrokiem, poczłapała do kuchni.

Ubrany w dżinsy i T-shirt, KC siedział przy stole i z papierosem w ustach oglądał wiadomości w telewizji. W porannym świetle wpadającym przez okno, na którym wieczorem nie zaciągnięto zasłon, wyglądał starzej i z pewnością mniej pociągająco. Choć nie tak źle jak Daisy. Pił coś, co podejrzenie przypominało Krwawą Mary, aczkolwiek Daisy nie potrafiła sobie wyobrazić, jak człowiek może przełknąć alkohol po tej ilości, którą skonsumowali wczoraj wieczorem.

- Hej, Daisy.

To dwuwyrazowe powitanie jeszcze sprawę pogorszyło.

Daisy wzdrygnęła się przed koniecznością prowadzenia rozmowy. Przynajmniej znał jej imię. To chyba o czymś świadczyło?

- Hej, ty - odparła, siląc się na nonszalancję. - Jak się dzisiaj czujesz? - Coś takiego zdarzyło jej się po raz pierwszy, więc nie była pewna, jak należy się zachować.

- Fatalnie. To pomaga. - Wskazał szklanę i wypił do końca. - Też chcesz?

- Soku pomidorowego? Leciutko uniósł brew.

- Jak myślisz?

- Pochoruję się, jeśli wypiję Krwawą Mary - odparła Daisy

- To ci pomoże.

Ta rozmowa bardziej intymna chyba być już nie mogła.

- Nie, dzięki. - Daisy zaparzyła kawę, dodała mnóstwo cukru i powoli wypiała.

Uświadomiła sobie, że ręce się jej trzęsą. Piekło kaca.

- Przepraszam, że w nocy nie... no wiesz - powiedział KC. - Nigdzie się nie śpieszę. - Zgasił papierosa w prowizorycznej popielniczce (ślicznej misce z niebiesko-białą mozaiką, Daisy wygrzebała ją na targu staroci) i zapalił

następnego. Od zapachu dymu zrobiło jej się niedobrze.

- Muszę lecieć... - Pobiegła do łazienki. Zdażyła w ostatniej chwili. Wymiotowała, aż zaczął ją boleć brzuch, i dopiero wtedy mdłości minęły. Klęcząc na podłodze koło ubikacji, ogarnięta przemożnym obrzydzeniem, Daisy potoczyła wokół siebie zaczerwienionymi oczami.

Dwa miesiące temu dzielili z Alexem tę łazienkę, rozmawiali, czyszcząc zęby nicią dentystyczną, sięgając do oszklonej szafki nad umywalką. Alex bardzo lubił zamasyście klepać ją w pupę, kiedy wchodziła pod prysznic. Mówił przy tym: „Pośpiesz się, laleczko. Jesteś mi potrzebna”.

A ona się śmiała i pytała: „To obietnica czy czcza pogróżka?”. Ze swego miejsca przy sedesie widziała teraz, że od odejścia Alexa całkiem przestała dbać o dom. Za podstawą umywalki zebrały się wielkie kłęby kurzu, z wiklinowego kosza wysypywały się śmieci, a ona nie miała siły, żeby go opróżnić. Przedtem nigdy się to nie zdarzyło. Daisy nie potrafiła spokojnie usiąść wieczorem, dopóki nie posprzątała po kolacji i nie doprowadziła każdej powierzchni do stanu lśnienia. Bałagan nie leżał w jej naturze.

Ale co było jej naturą? Nie wiedziała. Zupełnie jakby Alex, odchodząc, zabrał jej tożsamość. Daisy rozpaczliwie próbowała odnaleźć samą siebie, ale nie było nic do odnalezienia. Bez Alexa była niczym.

- Dobrze się czujesz? - ryknął KC.

Była niczym, z obcym mężczyzną w swoim mieszkaniu po pijackiej nocy.

Niczym, które w dodatku było dziwką - nie, byłoby dziwką, gdyby tak się nie

upiło. Choć KC proponował, że nadrobią straconą okazję. Na samą myśl znowu ogarnęły ją mdłości i musiała pochylić się nad ubikacją. Jej życie się skończyło, pomyślała z rozpaczą, targana torsjami. Nikogo nie obchodzi, więc dlaczego miała obchodzić samą siebie?

Dziesięć minut minęło, nim zebrała się na odwagę i powiedziała KC, że powinien wyjść, a następne dwie godziny, nim poczuła się na tyle dobrze, żeby udać się do pracy. Postanowiła się przejść, bo uznała, że świeże powietrze dobrze jej zrobi. Po drodze kupiła w kiosku papierosy, chociaż nie paliła, wielką tabliczkę czekolady i butelkę wody

- Cześć - powitała wesoło dziewczynę za ladą w Georgia's Tiara, wtaczając się do sklepu straszliwie spóźniona: było już wpół do dwunastej.

Przyjęta na miejsce Pauli Carla była bardzo młoda, bardzo oddana sprawom mody i bardzo zaszokowana. Daisy nie poświęciła zbyt wiele czasu na makijaż i jej twarz miała śmieszny szary odcień. Co gorsza, miała na sobie niezwykle dziwaczną kombinację: markową jedwabną spódnicę w śliwkowym kolorze, czarne rajstopy, obszerną szarą męską bluzę, a na stopach coś, co wyglądało na zamszowe papucie.

- Oj, Mary...? - zawołała nerwowo Carla. Mary wystawiła swoją blond głowę z biura.

- Matko Boska - powiedziała na widok Daisy. - Co się stało?

- Sama chciałabym wiedzieć. - Daisy wciąż wyglądała na pijaną. Opadła na parapet za manekinem ubranym w szykowny letni kostium. - Wszystko skończone, Alex do mnie nie wróci. Skończone, definitywnie i raz na zawsze!

Mary złapała garść banknotów z kasy i rzuciła w stronę - Carli.

- Bułeczkę i dwie kawy od Mo. Mocne i z mlekiem. Carla wybiegła. Daisy nie zwróciła na to uwagi.

- Nie rozumiem jednego, Mary, a mianowicie jak mogłam nie wiedzieć.

- Szufladkowanie, moja droga - oznajmiła Mary. Przekręciła wywieszkę na drzwiach na „Zamknięte” i usiadła obok przyjaciółki. - Mężczyźni potrafią powsadzać swoje życie w mnóstwo małych pudełek, chociaż włożenie skarpet do odpowiedniej szuflady wykracza poza ich zdolności. My tymczasem, chociaż wiemy, w których szufladach należy poukładać pranie, nie jesteśmy w stanie podzielić na fragmenty życia. Jeśli kogoś kochamy, to kochamy i wszyscy o tym wiedzą.

- Nie sądziłam, że z Louise to jest miłość - powiedziała Daisy. - Miałam chyba nadzieję, że to przelotny romans i Alex do mnie wróci.

Mary rzuciła jej pełne współczucia spojrzenie.

- Nie powinnaś rezygnować z nadziei - odparła łagodnie.

Daisy wzięła głęboki oddech i wyznała wszystko: od zgody na uprawianie miłości z Alexem do tego okropnego incydentu z KC.

- Och, Daisy, kotku, to nie jest sposób, żeby zapomnieć o facecie - powiedziała Mary, próbując objąć przyjaciółkę.

Daisy odsunęła się.

- Nie musisz tego powtarzać - wyjąkała przez łzy. - To okropne, straszne. Nigdy w życiu nic takiego nie robiłam, a teraz, dzień po tym, jak się dowiedziałam, że wszystko skończone, sprowadziłam do domu obcego faceta i nie pamiętam, co było dalej. Jestem do niczego.

- Wcale nie - Mary usiłowała jakoś ją pocieszyć. - Jesteś dobrą przyjaciółką, utalentowaną osobą. Popatrz, co sama osiągnęłaś. Masz udziały w zyskach ze sklepu! To nie ma nic wspólnego z Alexem. Sama na to zapracowałaś, bo jesteś mądra i utalentowana.

- To nie ma najmniejszego znaczenia - oznajmiła Daisy nagle. - I co z tego? Jaki sens ma to wszystko - gestem wskazała wiszące na wieszakach ubrania. - Te śmieci?

- To nie są śmieci - zaprzeczyła Mary cierpliwie - ale ubrania, które w życiu się przydają.

- Mnie na nic się nie przydały. Myślałam, że to coś znaczy, jeśli ubiorę się odpowiednio do okazji, że będę wtedy pasowała do świata, ale się myliłam. Ubrania nic nie znaczą. Słowa nic nie znaczą. Ja nic nie mam. - Wpatrywała się w Mary błagalnie.

- Masz wiele - odparła Mary, pragnąc odnaleźć właściwe słowa. Ale jak one brzmiały?

- Nie mam. - Daisy wygrzebała paczkę papierosów Pragnęła wypalić je wszystkie, potem pić tak długo, aż w głowie zacznie się jej kręcić, i wyjeść wszystko z lodówki pełnej ciast, herbatników i śmietany. - Całe swoje dorosłe życie spędziłam z mężczyzną, który już mnie nie kocha i nie chce ze mną być. Myślałam, że wszystko ze mną w porządku, bo on jest przy mnie, i teraz mi się wydaje, że bez niego jestem nikim. Jestem pusta, po prostu pusta. Kiedy mnie porzucił, od razu spieprzyłam sobie życie. - Spojrzała na spódnicę, którą miała na sobie, ze ślicznego śliwkowego jedwabiu z kwiatowymi aplikacjami, i zaczęła ją metodycznie drzeć. - Widzisz, to jak ze wszystkim na świecie: śmieci, które rozchodzą się w palcach. - Daisy szarpała i darła, nie słysząc nic poza odgłosem rozrywanego materiału.

Mary nie zareagowała. Jeśli Daisy uszczęśliwiało podarcie całkiem dobrej spódnicy, nie będzie jej przeszkadzać. Mary miała za sobą własną wersję darcia ubrań. Kiedy rozstała się z Bertem, podarła na strzępy jego zbiór magazynów

motocyklowych: nie zostawiła ani jednego. Musiała wyprawić się na wysypisko śmieci z torbami pełnymi papieru, bo nie chciała, żeby sąsiedzi się dowiedzieli, że odjęło jej rozum, a tak by pomyśleli, gdyby zostawiła je przy furtce. Może i mąż ją porzucił, ale nie zamierzała dawać sąsiadom powodu do litości.

Biedna Daisy przekroczyła tę granicę. Nie obchodziło jej, kto się nad nią lituje. I to właśnie było przerażające. Ponieważ przez wszystkie lata ich znajomości Daisy zawsze nadmiernie się przejmowała, co pomyślał sobie inni ludzie. Taka kompletna obojętność świadczyła, że Daisy jest w głębokiej depresji.

- Powinnaś wziąć sobie wolne - powiedziała Mary ostrożnie. - To znaczy, jeśli chcesz. Niewykluczone, że wolisz pracować jak szalona, i jeśli tak, możesz liczyć na nasze wsparcie. Ale trochę wolnego mogłoby ci pomóc.

Daisy uniosła przekrwione oczy na przyjaciółkę.

- Wracam do domu.

- Dobrze - odparła Mary z ulgą. - Podrzucę cię.

- Nie do mieszkania, tylko do mojego starego domu: domu matki. Nie chcę sama siedzieć w mieszkaniu. W ogóle nie chcę tam wracać - powiedziała Daisy. - Nie ma tam nic, na czym by mi zależało.

Złapała torebkę z lady i wyszła ze sklepu. Dzwonek zabrzączał słodko, gdy trzasnęła drzwiami. Mary wybiegła za nią i zobaczyła, jak Daisy niezgrabnie wsiada do taksówki.

- Cholera! - zaklęła Mary, gdy taksówka z piskiem odjechała. W Carrickwell mijają wieki, nim zdołasz złapać taksówkę, ale kiedy ci nie zależy, zaraz jakaś podjeżdża i wywozi zdesperowanych ludzi nie wiadomo gdzie.

Mary pobiegła do sklepu i złapała za telefon. Miała dość doświadczeń z mężczyznami, żeby wiedzieć, że Alex Kenny nie przyjmie w biurze telefonu od szefowej swojej byłej dziewczyny, zwłaszcza że nigdy za tą szefową nie przepadał. Mary musi podszyć się pod jego matkę.

O ile pani Kenny nie przeszła radykalnej zmiany od czasu, kiedy Mary ostatnio ją widziała, to na pewno wciąż bardzo lubi Daisy i mało prawdopodobne, żeby od razu przyjęła Louise na łono rodziny. Co oznaczało, że Louise raczej nie gawędzi zbyt często z przyszłą teściową i nie zorientuje się, że dzwoni ktoś zupełnie inny. Tylko dzięki kłamstwu Mary osiągnie cel.

Drżący, słodki głos „pani Kenny” sprawił, że Alex znalazł się przy telefonie po dokładnie trzydziestu sekundach.

- Mamo... - zaczął zadyszany głosem, jakby biegł.

- Mówi Mary Dillon i nie rozłączaj się. Jest problem.

- Z Daisy?

- Nie, z Julią Roberts i dalejlamą. Jasne, że z Daisy - warknęła Mary. - Wiem, że nie potrafisz utrzymać fiuta w jednym miejscu, ale nie przypuszczałam, że mózg też masz nie w porządku. - Mówiła szybko, nie dając mu czasu na odpowiedź. - Daisy przeżywa coś w rodzaju załamania i martwię się o nią. Przed chwilą wyszła ze sklepu i powiedziała, że jedzie do matki, a to, o czym nawet ty wiesz, jest dość nietypowe. Nie rozmawiają ze sobą, więc czemu miałyby teraz ją odwiedzać? I nie pojechała do siebie po rzeczy. Musisz z nią porozmawiać, musisz coś zrobić. Po chwili ciszy Alex zapytał:

- Co mogę zrobić?

- Jedź za nią, pogadaj z nią. Zrób coś! - odparła Mary z furją.

Samochód matki stał na zwirowanym podjeździe, ale nikt nie otworzył drzwi, kiedy Daisy nacisnęła dzwonek. Przecież matka nie może wciąż być na wakacjach, pomyślała otepiała. A potem przypomniała sobie wiadomości na automatycznej sekretarce - na żadną oczywiście nie odpowiedziała. Wśród nich znalazła się też jak zwykle radosna informacja od matki o podróży za granicę, „żeby pomóc Imogen dojść do siebie po operacji”. Jakiej operacji? Daisy nie miała pojęcia i nic jej to nie obchodziło. Matka pobięła opiekować się siostrą, zostawiając córkę samą sobie.

Taksówkarz ciągle spoglądał na zegarek.

- Mam następny kurs, kochana - ryknął przez uchylone okno. - Na lotnisko. Nie mogę się spóźnić. Zostaje pani czy wraca ze mną do miasta?

Daisy już miała powiedzieć, że nie wie, kiedy nad żywołotem pojawiła się czyjaś głowa.

To był Brendan, starszy wiekiem sąsiad matki, któremu zawsze zostawiała klucze, kiedy wyjeżdżała. Daisy powitała go zmęczonym uśmiechem.

- Brendan - powiedziała, odnajdując jego imię w odległym zakątku mózgu. -

Zapomniałam kluczy - wyjaśniła przekonana, że teraz wszystko będzie dobrze.

Kiedy wreszcie namówiła Brendana, żeby już poszedł - niespodziewane pojawienie się Daisy bardzo go zaniepokoiło i ciągle powtarzał, że jej matka nie wspomniała o takiej możliwości - Daisy zamknęła pomalowane na biało drzwi i z ulgą się o nie oparła. Spokój i cisza, nareszcie.

W przeciwieństwie do pierwszego domu, wiktoriańskiego szeregowca w Carrickwell, chata była spokojnym miejscem. W centrum zawsze panował hałas, tak też było w małym zaułku, w którym mieszkały Nan i Daisy. Chata natomiast sąsiadowała z sześcioma innymi wolno stojącymi zabudowaniami wiejskimi z poprzedniej ery, a wokół rozciągały się pola. Z wyjątkiem ostatniej, którą kupiło młode małżeństwo, pozostali mieszkańcy dawno już skończyli pięćdziesiątkę i osiedle było spokojne.

Chata była mała, ale śliczna jak z obrazka, z miniaturowym salonikiem o ścianach pomalowanych na ten sam odcień błękitu co pokój poranny we dworze, w którym Nan się wychowała, i częścią rodowej srebrnej zastawy w orzechowym kredensie. Na ścianach wisiały akwarele namalowane przez matkę. Kuchnia, najczęściej używane pomieszczenie, była najprzytulniejsza. Stał tam wielki piec - niestety, nie aga, jak zawsze powtarzała Nana pod oknem znajdowała się wyłożona żółtymi poduszkami ławka, na której Daisy czytała, kiedy w jej pokoju było za zimno. Poszła po krętych schodach do swojego pokoju, chociaż teraz to nie był już jej pokój. Zniknęła narzuta, którą uszyła na maszynie, kiedy miała szesnaście lat, zniknęły wszystkie rzeczy, które zostawiła przy wyprawadźce. Matka nie należała do tych, co przechowują sentymentalne pamiątki.

Ale łóżko było to samo. Na tym łóżku marzyła o przyszłości.

Daisy położyła się, zsunęła z nóg papucie, w których poszła do pracy, i zapadła w pozbawiony marzeń sen.

Kiedy się obudziła, zaparzyła herbatę i włączyła telefon. Było kilka wiadomości, głównie od Mary, wyraźnie zaniepokojonej, choć starającej się to ukryć, i jeden od Alexa.

„Dzwoniła do mnie Mary. Martwi się o ciebie. Mówi, że pojechałaś do matki... Przepraszam, Daisy". Tu nastąpiła krótka przerwa, jakby Alex zdawał sobie sprawę, że powiedział nie to, co trzeba. „Zadzwoń do mnie, żebym wiedział, że wszystko u ciebie w porządku".

Tak, chcesz wiedzieć, że nic mi nie jest, bo wtedy będziesz mógł spokojnie spać z Louise, kłaść rękę na jej brzuchu i czuć kopanie twojego dziecka, pomyślała Daisy z goryczą. Gorycz w tym wszystkim była najgorsza. Dusila ją, podchodziła do gardła, zalewała każdą część ciała i teraz Daisy, nawet patrząc na słońce, czuła wściekłość i rozgoryczenie, że takie jest złote, podczas gdy w jej świecie panuje półmrok.

Rozejrzała się w kuchni za czymś do picia, choć wiedziała, że marnuje czas. Matka mogła najwyżej mieć jakąś butelkę sherry dla gości, nic więcej.

Będzie musiała pojechać do sklepu. Matka nigdy nie zostawiała samochodu na lotnisku, a kluczyki trzymała w koszyku przy drzwiach.

Najbliższy sklep znajdował się na dość trudnym skrzyżowaniu, skąd droga w górę prowadziła na starą farmę Delaneyów, a droga w dół do Lough Enla. Stało tam kilka domów, kapliczka i jaskrawozielony pawilon z wypisaną na drzwiach wielkimi błyszczącymi literami nazwą: „Slattery's Grocery and Draper".

Wyglądał tak samo jak wtedy, kiedy Daisy mieszkała z matką, i należał do tego rodzaju przybytków, w których można było kupić wszystko, począwszy od oliwy

z oliwek, na oleju silnikowym skończywszy. Sztuczki marketingowe, które wiodły klientów ku właściwym regałom, jakimś cudem tu nie trafiły. Towary leżały na półkach bez ładu i składu: konserwy obok wybielaczy, worki na śmieci przy herbatnikach, a klapki dla dzieci w jaskrawych barwach i okulary słoneczne wyglądały dziwnie nie na miejscu obok specjalnej oferty tygodnia: litrowych butelek chilijskiego pinot noir.

Daisy wzięła koszyk i włożyła do niego dwie butelki chilijskiego wina. A do diabła, lepiej wziąć jeszcze jedną. Dołożyła więc trzecią, chleb, ser, opakowanie sałatki coleslaw i ogromną paczkę czekoladowych herbatników.

- Parapetówka - wyjaśniła nastolatce przy kasie, wyjmując z koszyka swój podejrzenie wielki zapas alkoholu.

- Och, jasne - odparła dziewczyna, skanując cenę sałatki.

- Kilkoro przyjaciół przyjeżdża z Dublina - dodała Daisy, zastanawiając się, dlaczego się usprawiedliwia.

Kasjerka kiwnęła głową.

- W takiej sytuacji trzeba mieć coś do picia, prawda? - Daisy wiedziała, że musi sprawiać wrażenie szalonej. Zapłaciła i trochę zbyt serdecznie podziękowała.

Wychodząc, pomyślała: nie ma co, nieźle przedstawia się ludziom - kompletna wariatka, która tłumaczy się z każdego kroku.

Wróciwszy do chaty, włączyła piec i usiadła przy kuchennym stole, popijając wino. Matka miała zajmujący całą ścianę zbiór kompaktów z operami. Daisy znalazła swoją ulubioną, Toscę, i pokój rozbrzmiał dźwiękami pasującymi do jej melancholii.

Zastanawiała się nad zrobieniem kanapki, ale przy piątym kieliszku wina doszła do wniosku, że nie ma sensu się tym przejmować. Po co w ogóle czymkolwiek się przejmować?

Rozdział czternasty

W poczekalni były te same czasopisma: numery „Hello!” i „GolfPro” z oślimi uszami. Mei uznała, że ludzie też się nie zmienili: wciąż były to głównie matki, syczące na dzieci: „Przestań!”. Dzisiaj mały chłopiec z nieszczęśliwie odętą dolną wargą usiłował wyrwać fokę z okładki „National Geographic”, żeby zrobić kolaż z modą na Boże Narodzenie w zniszczonym numerze „Vogue'a”. Matka, zmęczona kobieta w sztruksach i dzinsowej kurtce, usiłowała przyciągnąć jego uwagę różnymi zabawkami.

Mei, która trzymała na kolanach chorą Carrie (znowu migdałki), doszła do wniosku, że największą zmianą w poczekalni jest ona sama. Przestała być Panią Robiącą Kariere, "która pasowała tu jak kwiatek do kozucha. Teraz niczym się nie wyróżniała, ubrana w spłowiałe dzinsy z wystrzępionymi brzegami, sandały i prosty biały T-shirt. Włosy jej podrosły, a cera miała zdrowy odcień dzięki chwilom spędzonym z dziewczynkami w ogrodzie.

- Wyglądam jak hippiska na festiwalu muzycznym Summer of Love -powiedziała poprzedniego ranka do Adriana, zerkając na swoje odbicie w lustrze, kiedy wciągała dzinsy. - „Make love, not war”, nie przejmuj się makijażem, nie czesz się nawet. - Uderzyło ją, że wygląda młodziej niż kiedykolwiek dzięki zadowoleniu na piegowatej twarzy i jasnym lokom zawijającym się za uszami. Teraz rano poświęcała sobie żenująco mało czasu. Mycie twarzy, szczotkowanie zębów, prysznic, trochę balsamu do ciała, wciągnięcie dzinsów, bluzy albo T-shirta.

- Ale seksownie - odparł Adrian, przysuwając się do niej z wilgotnym ręcznikiem przewiązany w pasie. - Do twarzy ci w tym stroju. Wyglądasz na niegrzeczną dziewczynkę. Jak wtedy, kiedy cię poznałem. - Ręcznik opadł na ziemię.

- Adrian! - Mel ze śmiechem przytuliła się do męża. - Dziewczynki zaraz wstaną. - Dochodziła siódma.

- Ja już wstałem - mruknął z twarzą w jej włosach.

- Nie mamy czasu, prawda? - zapytała, czując, że reaguje na jego pieszczoty.

- Spróbujmy - odparł. - Potrzebujemy paru minut.

- Och, a gra wstępna? - zażartowała Mel, ale odwróciła się i pocałowała go mocno. Oboje przewrócili się na łóżko.

Dobrze, że to nie było dzisiaj, pomyślała teraz. Po bezsennej nocy spędzonej przy łóżku córki z całą pewnością nie miałyby ochoty na seks.

- Jak się czujesz, kochanie? - zapytała, całując Carrie w czubek głowy.

W odpowiedzi mała uwolniła się z objęć mamy i poszła sprawdzić, co jest w pudełku z zabawkami. Sara przez chwilę mierzyła ją pełnym wyższości wzrokiem, potem przyłączyła się do młodszej siostry.

- Dawaj - powiedziała, łapiąc książeczkę Mr Happy, którą Carrie wyjęła z pudła.

- To moje. - Carrie wyrwała książkę. Nie pozwalała sobie dmuchać w kaszę.

- Co dolega pani córeczce? - zapytała kobieta w dżinsowej kurtce. Jej synek, Rozpruwacz „National Geographic”, przekonał się w końcu, że telefon komórkowy matki świetnie nadaje się do ssania, co skutecznie powstrzymało go od destrukcji.

- Zapalenie migdałków - westchnęła Mel. - Ostatnio miałyśmy szczęście: nie dokuczały jej od dawna. Ale wczoraj w nocy czuła się bardzo źle. Boję się, że trzeba będzie je usunąć.

- Mojej córce usunięto - odparła kobieta, najwyraźniej mając ochotę na pogawędkę. - Mogą odrosnąć.

- Żartuje pani! - wykrzyknęła ze zdumieniem siedząca naprzeciwko młoda kobieta z niemowlęciem na kolanach.

- To nie zdarza się często - wyjaśniła pani Dżinsowa - ale wyobraźcie sobie przechodzenie przez to wszystko, żeby znowu je mieć! Mojej córce usunięto migdałki, kiedy miała pięć lat, teraz nic jej nie dolega. Choć trudno zrozumieć dzieci... - Urwała, przypominając sobie tamten okres. - Siedziałam z nią całą noc. Nie mogłam jej zostawić: płakała, kiedy musiałam iść do toalety. Powiedziałam mężowi, że zostanę, nawet jeśli będę musiała spać na krześle. Następnego dnia wróciłyśmy do domu i zachowywała się, jakby nic się nie stało. Dzieci są takie odporne, prawda?

- Tak - zgodziła się młoda kobieta, tuląc mocno niemowlę, jakby chciała je ochronić.

Mel zadrżała na myśl, że jej córeczka musiałaby iść do szpitala. Końmi by jej nie odciągnęli od łóżka Carrie. Zastanawiała się nad taką ewentualnością, kiedy pracowała, i nie miała pojęcia, jak dałaby sobie radę, bo przecież musiałaby zwolnić się z pracy. Teraz mogła się martwić tylko o chore dziecko i nie przejmować się, że czymś zirytuje Hilary. " - Migdałki - potwierdził lekarz, kiedy zbadał Carrie. - Chyba trzeba je usunąć. Ile razy miała zapalenie w tym roku?

- Cztery - odparła Mel.

- Zgadza się. - Lekarz studiował kartę Carrie. - Ciężko, kiedy dziecko nie śpi przez całą noc, pani robi wszystko, co się da, a ono ciągle płacze, prawda?

Lekarz był mniej więcej w wieku Mel, może trochę starszy, z pasemkami siwizny we włosach. Najwyraźniej też miał dzieci, skoro wiedział, czym są noce nieprzespane z powodu choroby malucha. Mel po raz pierwszy poczuła do niego sympatię. Zastanawiała się, czemu uważała go za wyniosłego albo protekcyjnego, kiedy jej matce mówił, żeby Mel wpadła do niego, jak znajdzie chwilę czasu. Miała wyrzuty sumienia, dlatego założyła, że źle ją ocenia. Poczucie winy - cóż za bezsensowna emocja. Ile godzin swojego życia zmarnowała na wyrzutach sumienia z powodu spraw, nad którymi i tak nie miała kontroli?

Teraz przynajmniej nie musi czuć się winna wobec dziewczynek. Jakaż to ulga. O czwartej po południu ulga była dawno zapomnianą emocją w domu Redmondów. Carrie była rozpalona i nieszczęśliwa. Mel przez całe popołudnie musiała ją nosić na biodrze.

- Mamusiu, nie! - lamentowała za każdym razem, kiedy Mel sądziła, że córeczka lepiej się czuje i próbowała posadzić ją na kanapie, żeby obejrzała swój ulubiony program telewizyjny. - Nie, nie, nieeee!

- Mnie też weź na ręce! - domagała się Sara. Na sobie miała strój wróżki z Halloween - z takim wrzaskiem się go domagała, że w końcu Mel uległa - i teraz ze złością tupała różową stopką, wyglądając bardziej jak rozgniewany goblin niż wróżka. - Mnie, mnie, mnie!

Trudno zachować spokój, zwłaszcza kiedy człowiek odczuwa nieprzepartą chęć na filiżankę herbaty, a równocześnie natychmiast musi iść do toalety.

- Wszystko dobrze, Carrie - Mel starała się mówić jak najspokojniej - mamusia cię nie posadzi. Mamusia cię kocha. I ciebie też, Saro. Tylko że ty jesteś duża dziewczynką, a Carrie jest chora, więc mamusia musi nosić Carrie. Może byśmy wszystkie poszły do kuchni, a ty, skoro jesteś już dorosła, nalejesz sobie mleka i potem obejrzymy Gdzie jest Nemo?

Anielska buzia Sary wykrzywiła się gniewnie w obliczu tak wyraźnej manipulacji.

- Nie! - odparła płacząco. - Nie cierpię Nemo. Nienawidzę Nemo! Chcę na rączki!

Nie wypuszczając Carrie, Mel kucnęła i spróbowała przytulić też Sarę. Ale oczywiście ten plan nie spotkał się z aprobatą żadnej z zainteresowanych. Carrie chciała, żeby mama tylko ją przytulała. Tego samego chciała Sara. Rozległy się ogłuszające wrzaski, w dodatku w stereo.

- Włączymy Shreka - oznajmiła Mel zdesperowana. Brat Adriana, Eddie, podarował mu wideo, a chociaż Mel była przekonana, że są za małe na ten film,

dziewczynkom strasznie się podobały fragmenty, które widziały, i ciągle domagały się obejrzenia całości.

- Nie! - ryknęła Sara, podnosząc poziom decybeli i równocześnie bijąc siostrzyczkę w próbie wyeliminowania jej jako rywalki do objęć mamy.

Spokojnie, powiedziała sobie Mel. Myśl o czymś spokojnym.

Telewizja i wideo odpadły, co następne? Przebiegła w myślach tak zwaną Listę Przekupstw Złej Matki.

Zwykle kartą atutową była elektroniczna niania i czekolada. Jeśli zawiodła czekolada, do akcji wchodziły Kosmetyki Mamusi, po nich Granie na Automacie z Kubusiem Puchatkiem w supermarkecie, a wreszcie argument: „Tatuś będzie bardzo zły, jak się dowie, że jego dziewczynki były niegrzeczne” jako ostatnia próba podjęcia rozmów pokojowych. Trzeba było dwóch opakowań czekoladowych pastylek, żeby Carrie Sarze poprawił się humor. Mel udało się zagotować wodę kiedy wrzucała torebki z herbatą do czajnika, uświadomiła sobie, że zaraz się zsika, jeśli nie pójdzie do toalety.

- Idziemy na wycieczkę - oznajmiła wesoło, biorąc Carrie na ręce i ujmując dłoń Sary.

- Nie chcę - zaprotestowała Sara, której podobało się tam, gdzie była.

- Na górze zjemy jeszcze czekoladowe pastylki - błagała Mel, przeklinając fakt, że wciąż nie zebrali dość pieniędzy na urządzenie toalety na parterze.

Sara pokręciła głową.

- Mamusiu, źle się czuję - jęknęła Carrie, przyciskając pulchną łapkę do głowy.

- Możemy się bawić kosmetykami mamusi - powiedziała Mel w desperacji. Sara zerwała się na nogi i pobiegła po schodach, nawet Carrie poczuła się na tyle dobrze, żeby wejść na górę samodzielnie.

- Szminka jest moja! - wrzasnęła Sara.

- Moja! - odwrzasnęła Carrie, zakręcając na podeście z wielką prędkością.

Przynajmniej wygląda na to, że migdałki Carrie są w lepszym stanie, pomyślała Mel ze znużeniem. A ponieważ ostatnio nie używa za wiele szminki, to nie ma żadnego znaczenia, czy zniszczą wszystkie, które ma. Byle tylko mieć chwilę spokoju.

Kiedy Adrian o siódmej wrócił do domu, dziewczynki były spokojne i zadowolone po popołudniu spędzonym na beztroskim malowaniu się wzajemnie cieniami do powiek i różem. Beżowy dywan w pokoju Mel i Adriana nigdy nie będzie taki jak przedtem, to samo dotyczyło też kosmetyczki Mel.

O mało nie wyszła z siebie, kiedy Carrie znalazła drogi krem, który Mel kupiła na ostatnich szalonych zakupach przed zwolnieniem, i prawie do połowy opróżniła starannie racjonowany kosmetyk na wełniany łepiek swojego misia.

- Carrie, oczom nie wierzę! Zachowałaś się bardzo niegrzecznie, naprawdę! - krzyknęła Mel. - Nie możesz brać wszystkich rzeczy mamusi!

Utrata panowania nad sobą nie dała właściwych rezultatów, bo obie dziewczynki wybuchnęły płaczem na widok tej rozgniewanej wersji mamy.

W końcu Mel udało się pójść do toalety i wypić filiżankę herbaty, a także uszczknąć coś z kolacji dzieci i zjeść cztery czekoladowe herbatniki. Bycie matką na pełnym etacie nie wpływało fatalnie wyłącznie na nerwy, ale psuło też talię.

- Wykapały się i są po kolacji - wydusiła przez ściśnięte gardło do Adriana, witając go w holu z uśmiechniętą Carrie na biodrze. Gdyby spróbowała powiedzieć coś więcej, musiałyby wykrzyknąć, że nerwy ma napięte jak postronki i dlaczego nie wrócił wcześniej, żeby jej pomóc? Niech sobie nie myśli, że skoro zaproponował pójście w sobotę na kolację do chińskiej restauracji, to uda mu się uniknąć wszelkich rodzicielskich obowiązków, o nie...

- Mamusia. - Carrie wtuliła buzię w szyję Mel i zaczęła ssać kciuk. Nie przy dzieciach, napomniała się Mel. Głęboko nabrała powietrza.

- Carrie wzięła lekarstwo, obie są gotowe do spania. Makijaż możesz zetrzeć nasączanymi chusteczkami. Carrie chciała dłużej go mieć. - Zdjęła kluczyki z haczyka na ścianie. - To było koszarne popołudnie, Adrian. Mam zamiar się przejechać. - Podała mężowi Carrie, która odwróciła ku ojcu buzię, żeby mógł podziwiać srebrzysty cień do powiek i placki różu na policzkach w stylu cioci Sally.

Adrian był wyraźnie zaniepokojony.

- Wszystko w porządku? - zapytał niepewnie, wodząc spojrzeniem od mocno umalowanej córki do białej jak kreda żony.

- Tak - odparła Mel szorstko. Jeśli natychmiast nie wyjdzie z domu, eksploduje. - Potrzebuję chwili samotności. - Sięgnęła po torebkę. - Niedługo wrócę. Chyba wybiorę się do Mo na kawę.

Nie zrobiła tego ani razu przez wszystkie te lata, kiedy mieszkali w Carrickwell. Mos Diner to był lokal, do którego całą rodziną chodzili w weekendy, a nie o siódmej wieczorem w roboczy dzień, kiedy zbliża się pora snu.

Adrian przyjął jej słowa spokojnie.

- Damy sobie radę. Jedź.

Mel siedziała w samochodzie dobrych pięć minut, nim przekreśliła kluczyk w stacyjce. Pojechała do centrum Carrickwell, zaparkowała w pobliżu Mos Diner i weszła do środka.

Mieszając cukier w bezkofeinowej kawie ze śmietanką, Mel nagle uświadomiła sobie, że od bardzo dawna nie rozmawiała z Caroline. Mówiąc ściśle, od tamtej wielkiej kłótni po styczniowym wieczorze na mieście, kiedy to Lorna dokuczała jej, że nie jest świadkiem dorastania Sary i Carrie, bo w tym czasie siedzi za biurkiem w pracy. Następnego dnia Caroline była bardzo zdenerwowana, a choć Mel zostawiła jej kilka wiadomości, nie oddzwoniła.

Dzisiaj po raz pierwszy Mel naprawdę zrozumiała punkt widzenia przyjaciółki. Nikt nie daje nagród kobietom, które zostają w domu z dziećmi. Nie ma premii za gotowanie i sprzątanie, szef nie klepie z uznaniem po ramieniu za wieczne pranie, nie wręcza się odznaczeń za opanowanie i czułość przy łóżku chorego dziecka. Nic - wszyscy tylko oczekują, że następnego dnia znowu to wszystko zostanie zrobione. Nic dziwnego, że tym kobietom puszcza nerwy.

W tej chwili Mel zabiłaby za babski wieczór na mieście, bo mogłaby śmiać się z myślącymi jak ona kobietami, rozpuścić włosy i być kimś innym niż tylko mamusią. Kiedy pracowała, nie rozumiała tego. Dopiero teraz.

Wyłowiła komórkę z torby i wystukała numer Caroline.

- Cześć - powiedziała ciepło, kiedy przyjaciółka odebrała. - Przepraszam, że tak długo nie odzywałam się do ciebie, i przykro mi z powodu tamtej kłótni. - Nie ma sensu owijać w bawełnę. - Rzuciłam pracę, żeby być w domu z Sarą i Carrie, a jak sama wiesz, oznacza to, że nie miałam chwili dla siebie.

- Rzuciłaś pracę? - zapytała zdziwiona Caroline. - Myślałam, że jesteś zrośnięta z firmą i pochowają cię z czterema telefonami stacjonarnymi, dwoma komórkowymi, laptopem i BlackBerry.

Mel roześmiała się, zapomniała, jak czarny może być humor Caroline.

- Blisko. Tylko że firma w żadnym razie nie dałaby takim niższym rangą pracownikom jak ja takich wykwinnych gadżetów. Mieszczące się w dłoni urządzenia do wysyłania e-maili dostają wyłącznie najgrubsze ryby. Posłuchaj, co byś powiedziała na wieczór na mieście, tylko my dwie?

- Teraz to niemożliwe - odparła Caroline z wyraźną goryczą. - Graham pracuje do późna. A może jutro zjemy razem lunch? Nie mogę nigdzie wyjść, bo przychodzi facet wycenić malowanie okien, od lat z nimi nic nie robiliśmy. Ale ty mogłabyś przyjść do mnie...

Mel od dawna nie była w domu Caroline.

- Z przyjemnością. Carrie i Sara też się ucieszą. O ile migdałki Carrie będą w lepszym stanie.

- Oczywiście. Biedna Carrie.

Dom Caroline nie trafiłby na karty magazynów o wystroju wnętrz: za dużo tu było odrapanych listew i brudnych plam na murze, znaczących miejsca, gdzie

dziesięcioletni Ryan, ośmioletni Fionn i sześciolatek Luka doskonalili swoje piłkarskie umiejętności. Ogród za domem także świadczył o manii futbolowej trójki chłopców, bo na trawniku był suchy pas, na którym najwyraźniej codziennie grali, krzaki wyglądały na połamane. Ale dom emanował przytulnością i ciepłem, począwszy od dzikich kwiatów w donicach na parapecie, skończywszy na zapachu gotowania stale obecnym w kuchni, bo Caroline wiecznie napełniała zamrażarkę zupami, lazaniami i swoją specjalnością: zapiekanką z warzywami i parmezanu. Upiekła też ciasteczka polane dziewczęcym różowym lukrem i w każde wetknęła cukierek Smartie.

Sara i Carrie, która dzisiaj czuła się o wiele lepiej, były zachwycone ciasteczkami.

- Mam za sobą etap pieczenia bułeczek - przyznała Mel, siadając przy kuchennym stole, podczas gdy Caroline podała dziewczynkom ciasteczka na talerzykach w kwiatki. - Wyrosłam z tego.

- To normalne - zgodziła się Caroline. - Pieczenie bułeczek to jak napięcie przedmiesiączkowe: przychodzi falami. Kiedy czuję, że fala się zbliża, piekę dużo i większość zamrażam. Przez pozostały czas chodzę do pobliskiej piekarni. Po co się męczyć i piec własne ciasta, skoro taniej jest je kupić? Poza tym teraz jestem na diecie, więc nawet nie kupuję. Oszczędność pieniędzy i kalorii.

- Myślałam, że pieczesz przez cały czas.

- Czułam się lepiej, jeśli ludzie tak myśleli - odparła Caroline. - W przeciwnym wypadku chcą wiedzieć, co przez cały dzień robię. Protekcyjnie pytali: „Czym zapełniasz sobie dzień?”. Jeśli podajesz wyśmienity cordon bleu, to wyobrażają sobie, że spędzasz czas, rozbijając bazylię w mózdzierzu, i szanują cię.

Mel pomyślała, że Caroline jest bardzo przygnębiona.

- Może zjemy lunch w ogrodzie - zaproponowała Caroline. - Zrobiłam kanapki, a dziewczynki mogą się pobawić starymi zabawkami chłopców.

- Doskonale.

Usiadły na leżakach przy zniszczonym drewnianym stole, podczas gdy Sara i Carrie ruszyły na odkrywanie nowego ogrodu.

Caroline dość szybko zwierzyła się z tego, co ją gryzie. Wyglądało na to, że jej małżeństwo z Grahamem przechodzi trudny okres.

- Doświadczam własnego małego kryzysu wieku średniego - wyjaśniła. Karnet na siłownię był jedną z pierwszych rzeczy, z których zrezygnowała, kiedy rzuciła pracę, by zająć się wychowaniem dzieci, a niezależnie od tego, co ludzie mówią o zbawiennym wpływie spacerów na kondycję, trudno zebrać siły na spacer w zimowy wieczór. Zaczęła tyć.

„Każdemu z wiekiem przybywa kilka kilo” - tak odpowiedział Graham, kiedy Caroline wyznała, że czuje się tłusta, źle ubrana i stara.

- A cóż to za odpowiedź? - mówiła teraz. - Osiągnęliśmy taki punkt, w którym rozmawialiśmy jak przez krótkofalówki z problemami przekazu. - Ona mówiła, ale Graham jej słów nie odbierał. Ona chciała odbierać, ale Grahama nie interesowało nadawanie. - Dawniej powtarzał, że pięknie wyglądam -powiedziała Caroline ze smutkiem. - Teraz przez cały dzień mogę chodzić w piżamie, a on nawet tego nie zauważy

Mel pamiętała Caroline z okresu, kiedy razem pracowały: szczupła i seksowna, przechodząc przez biuro, przyciągała pełne podziwu męskie spojrzenia. Teraz się zmieniła, choć wciąż wyglądała dobrze: twarz miała ożywioną i inteligentną, figurę bardziej zaokrągloną niż dawniej. Ale z oczu zniknął błysk.

- Graham powiedział, że kobiety jęczące na temat diet są okropnie nudne i on nie chce o tym więcej rozmawiać.

Wtedy Caroline wstąpiła do Strażników Wagi. Straciła sześć kilo, choć jeszcze musiała stracić następne sześć, żeby osiągnąć zamierzoną wagę.

- Ludzie ze Strażników Wagi cieszyli się ze mną, ale Graham nawet nic nie zauważył - znowu w jej głosie brzmiała gorzkość. - Zawsze zauważał moje osiągnięcia w pracy, ale teraz nic, co osiągnę, nie ma dla niego wartości, po prostu nic.

Mel serce się ścisnęło ze współczucia dla przyjaciółki. Poszukała w myślach odpowiednich słów.

- Pamiętasz, jak pokłóciłyśmy się o Lornę? - zapytała z żalem. - Powiedziałaś, że nikt nie docenia, że prowadzenie domu jest natrudniejszą pracą na świecie. Miałas rację, a ja się myliłam, Caroline. To takie trudne - przyznała. - Adrian mnie wspiera i przez cały czas mówi, że jestem wspaniałą, ale to nie to samo. Nie da się tego porównać z sytuacją, kiedy ktoś ci dziękuje za raport w pracy albo kiedy czujesz satysfakcję z zakończenia jakiegoś projektu. Wszyscy najwyraźniej uważają, że każda istota ludzka z dwucyfrowym IQ powinna umieć gotować, sprzątać i wychowywać dzieci. Poświęcasz cały czas na opiekę nad dziećmi, żeby wyrosły na mądrych, dostosowanych społecznie ludzi i może ci się wydawać, że to wyjątkowa, bardzo ważna praca, ale nikt poza tobą tak nie sądzi.

- To prawda, nikt tego nie docenia. - Caroline zacisnęła usta. Wzięła jedno z różowych ciasteczek i zjadła drażetkę z wierzchu. - Nikt nie uważa, że opieka nad dziećmi to coś trudnego. Mój mąż na pewno tak nie myśli, i o ile nie jestem poważnie opóźniona w rozwoju, a on nie zaczął spryskiwać się Obsession dla kobiet, to ma romans.

Mel otworzyła i zamknęła usta jak ryba. Taka była wstrząśnięta, że nie potrafiła wydobyć głosu.

- Znam oznaki - mówiła Caroline, biorąc następne ciastko i zjadąc smartie. - Co piszą w czasopiśmie: nosi nową bieliznę? Częściej bierze prysznic? Chociaż najwyraźniejszym dowodem jest zapach perfum. Nie o to chodzi, ja wiem, bo znam Grahama. To ten sposób, w jaki na mnie patrzy. Jesteśmy małżeństwem od dwunastu lat, pociąg z nieokiełznaną żądzą już dawno odjechał, ale on patrzy na mnie ze zdziwieniem, jakby pytał: „Jak to się stało, że ożeniłem się z tą kobietą? Skąd się tu wziąłem?”.

- Caroline, tak bardzo mi przykro... - zaczęła Mel. Przyjaciółka jej przerwała. Skoro raz zaczęła tę smutną opowieść, chciała ją skończyć.

- Widzę, jak patrzy na mnie i zadaje sobie pytanie: „Jak to się stało, że ona zmieniła się w tę babę w tanich dzinsach, z wyszorowanymi lśniąco policzkami?”. Widzę to wypisane na jego twarzy. Ożenił się z kobietą, która robiła karierę w reklamie, i nie sądził, że wylądaje z nudną mamuszką.

- Jesteś pewna, że on ma romans? - zapytała Mel. - To może być trudny okres, ty czujesz się źle...

- Jestem pewna, na dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Nie przyłapałam go w łóżku z sąsiadką ani nic takiego, ale ma romans. Wiem, to rzuca się w oczy. Nigdy nie kupował ubrań, Mel, a ostatnio sprawił sobie kilka nowych krawatów. A te dwudniowe podróże służbowe, na które nagle zaczął wyjeżdżać, to czysta fikcja. Kiedyś zadzwoniłam do niego do biura i dowiedziałam się, że wziął wolny dzień. Mnie powiedział, że musi w pilnej sprawie wyjechać do Londynu i prawdopodobnie spędzi tam noc.

Mel westchnęła. To brzmiało jednoznacznie.

- I co chcesz z tym zrobić? Nie bądź bierna, Caroline. Ty się zmieniłaś, ale on też i musi wziąć odpowiedzialność za swoje czyny. Kiedy wychodziłaś za Grahama, nie brałaś pod uwagę, że może cię zdradzić - powiedziała Mel z ożywieniem, tworząc w myślach scenariusz, tak jak robiła, kiedy miała problemy w biurze.

- Chyba nie - zgodziła się Caroline - ale nie stać mnie, żeby tak na to patrzeć. On pracuje, ja siedzę w domu. Bez niego nie dalibyśmy sobie rady. To zawęża pole wyboru.

- Nieprawda, Caroline - upierała się Mel. - Nie możesz się zgodzić na rolę drugoplanową tylko dlatego, że Graham płaci rachunki. To jest małżeństwo, układ partnerski. Bycie rodzicem to zupełnie coś innego. Możecie być rodzicami, nie będąc małżeństwem. Masz wybór, możesz się rozwieść.

- Mówisz tak, bo nigdy się nie zastanawiałaś, co by się stało, gdybyście się rozstali
- powiedziała Caroline szorstko. - To nie jest Bel Air, gdzie każde kończy z połową dziesięciomilionowej fortuny, gdzie kobieta dostaje willę z dziesięcioma sypialniami dla dzieci, a on dom na plaży. To prawdziwy świat, a ja nie chcę, żeby moje dzieci ucierpiały finansowo.

- Jeszcze możesz odejść - odparła Mel. - Nie musisz być z nim i cierpieć w milczeniu.

- W teorii tak. W praktyce nie.

- Wiesz co, Caroline - powiedziała Mel sfrustrowana. - Kiedy cię poznałam, byłaś twarda i podziwiałam cię bardziej niż inne kobiety, z którymi pracowałam. Mówiłaś, co myślałaś, nie chodziłaś na paluszkach jak my. Byłaś szczerą, otwartą i wierzyłaś w siebie. Teraz o tym wszystkim zapomniałaś, jakby to, że jesteś w domu, całkiem odebrało ci siły

- To nie siedzenie w domu odebrało mi siły... - zaczęła Caroline ze smutkiem. - No cóż, może troszeczkę. Dokonał tego Graham, dzieci, życie. Czuję się tak, jakby Caroline zniknęła, została pogrzebana pod płaszczem mamusi.

- Jesteś pewna, że on ma romans? - zapytała ponownie Mel. - Bo wiesz, na wszystko może być całkiem niewinne wytłumaczenie. Istnieje taka możliwość. Może on jest w depresji, pomyślałaś o tym? A... - Mel przerwała, bo wchodziła na niebezpieczny obszar - ...a co z seksem?

Czytała, że mężczyźni, którzy zdradzają żony, często próbują im to wynagrodzić cudownym życiem seksualnym, a nie kompletną z niego rezygnacją, jak głosił popularny mit.

- Seks nie widnieje ani w moim, ani jego planie zajęć - odparła Caroline obojętnie.

- Kładziemy się do łóżka, zwykle o różnych porach, całujemy się cnotliwie w policzek, potem on przekręca się na bok i czyta najnowszy thriller, a ja przeglądam swoje katalogi. Na szczęście usunęłam spiralę, bo cała by zardzewiała.

Mel ogarnęło wielkie współczucie.

- Tak mi przykro. Mam wrażenie, że nie byłam dla ciebie dobrą przyjaciółką.

- Nie powstrzymałabyś Grahama przed romansowaniem - zauważyła Caroline. -

Tak mi się wydawało, że jeśli będę trzymać się mojego dawnego życia, wciąż choć w drobnej części będę sobą z przeszłości: tą Caroline, w której się zakochał. Dzięki spotkaniom z tobą wydawało mi się to możliwe.

Mel pomyślała o lunchu z Vanessa. Próbowała sobie wmówić, że związek z dawnym życiem i Lorimarem pomoże urozmaicić jej obecną egzystencję. Tak się nie stało. To były dwa różne etapy.

- W żadnym razie nie powinniśmy czepiać się towarzystwa z pracy - oznajmiła stanowczo. - Tę linię musimy przeciąć i poszukać nowych sposobów na zdefiniowanie siebie, na poprawienie sobie samopoczucia. Najpierw jednak musisz stawić czoło Grahamowi i dowiedzieć się, czy twoje małżeństwo jeszcze istnieje. Jesteś to winna sobie i dzieciom. Nie możesz przed tą prawdą uciekać, musisz uzyskać jednoznaczną odpowiedź i jeśli zajdzie taka potrzeba, rozstać się z Grahamem. Ale musisz mieć stuprocentową pewność, Caroline. Możesz zniszczyć wasze małżeństwo, jeśli zarzucisz mu zdradę, a nie będziesz miała racji. Caroline zadrżała.

- Czy fakt, że wieczorem przychodzi do mojego łóżka, cuchnąc perfumami obcej kobiety, nie jest dość destrukcyjny?

- Masz rację. Tylko nie rób niczego pochopnie.

- Od lat nie zrobiłam niczego pochopnie - powiedziała Caroline z goryczą. - Romans Grahama przypuszczalnie trwa od kilku miesięcy, a ja słówka nie pisnęłam. Grałam rolę dobrej żony. Nie słyszeć nic złego, nie widzieć nic złego i tak dalej.

- Potrzeba ci wakacji, czasu z dala od rodziny, żebyś mogła wszystko sobie przemyśleć - stwierdziła Mel. - Odrobiny spokoju w miejscu, gdzie chłopcy nie będą ciągle się ciebie czepiali. Wtedy poczujesz się jak dawna ty i przekonasz się, co naprawdę myślisz.

- Nie ma najmniejszej szansy, żebym wyjechała gdzieś sama - odparła Caroline. - Bardzo bym chciała, ale czas dla siebie znajduje się nisko na liście priorytetów. Graham „pracuje” do późna, a nie stać nas na opiekunkę do dzieci, żebym wyjechała na tydzień. Żałuję.

- A długi weekend udałoby ci się wygospodarować?

- Nie. Godzina u fryzjera to właściwie wszystko, co dla siebie mogę wytargować. Mel wpadła do głowy pewna myśl. Karnety do ośrodka spa! Dotąd nie miała okazji ich wykorzystać i bardzo dobrze: to była idealna pora.

- Na pożegnanie od firmy dostałam dwuosobowy karnet na dzień we Wzgórzu Obłoku, tym nowym luksusowym ośrodku spa. A może wybierzemy się tam we dwie? Zostaniesz u mnie na noc i wieczorem, umalowane i zadbane, wpadniemy do najmodniejszych lokali w Carrickwell. Graham może zająć się dziećmi, a ty zastanowisz się nad innymi opcjami.

Twarz Caroline rozjaśniła się, choć tylko na moment.

- Jakimi opcjami?

- No, jedna to powiedzenie Grahamowi, żeby zabierał swoją zdradliwą dupę z domu, bo ty idziesz do swojego prawnika. OK, możesz wcale tego nie chcieć, ale on o tym nie wie, a taki wstrząs dobrze mu zrobi. Musi wiedzieć, że mówisz poważnie.

- A jeśli mi odpowie, że tylko czekał na odpowiedni moment, żeby ode mnie odejść? - zapytała Caroline.

- To nie wyświadczysz sobie przysługi, zostając z nim, skoro on nie chce być z tobą.

- To byłby koszmar - zadrzała Caroline.

- On zaczął ten koszmar, ty musisz go skończyć. Masz prawo wiedzieć, czy twoje małżeństwo jeszcze istnieje, czy on chce spróbować od nowa, czy tylko czekał, aż sama się dowiesz, bo nie potrafił sam ci powiedzieć.

Caroline przetrawiała słowa Mel, jedząc kolejne ciastko.

- Zastanawiam się, jaka ona jest. Młodsza, szczuplejsza, pewnie nie nosi dzinsów z Tesco.

Mel wiedziała, że snucie takich myśli nie jest dobre dla Caroline.

- Zróbmy tak: pojedziemy do Wzgórza Obłoku, tam spokojnie będziesz mogła podjąć jakąś decyzję.

W drodze powrotnej do domu dziewczynki z wyczerpania zasnęły w swoich fotelikach, co dało Mel czas do rozmyślań. Głęboko współczuła Caroline, a równocześnie cieszyła się, że sama ma szczęście, bo mąż ją kocha. Dopiero teraz zrozumiała, jak bardzo się myliła, przez lata zazdroszcząc przyjaciółce, sądziła bowiem, że Caroline ma wszystko. Siedzenie w domu wcale nie było takie proste, jak Mel się kiedyś wydawało.

Przyjemność sprawiało jej przygotowywanie lepszych niż przedtem posiłków dla rodziny oraz to, że w domu jest czysto jak nigdy. Prawdę mówiąc, łatwo można było zrozumieć, dlaczego kobiety wpadają w obsesję na punkcie sprzątanania i zapominają, że poza środkiem do mycia okien istnieje jeszcze coś w życiu. Jeśli przez cały dzień nie widzisz nic innego, to staje się twoim celem. Porządki i dzieci. Tyle radości dawały jej zabawy z Sarą i Carrie: przebieranie się, modelowanie zwierzątek z ciasta, układanie puzzli i bawienie się lalkami Barbie. Pracując w Lorimarze, Mel unikała czytania artykułów o zaletach zabaw twórczych i pomysłowych. Wiedziała, że brakuje jej na to czasu i stawało się to kolejnym powodem do wyrzutów sumienia. Teraz ze zdumieniem przekonała się, że to ciężka praca, a nie leżenie na kanapie z magazynem w rękę i pozwalanie, żeby dzieci zajęły się sobą. Kiedy się bawisz, naprawdę bawisz z maluchami, zużywasz całą energię. To strasznie wyczerpujące.

„Dlaczego niebo jest niebieskie?”.

„Co słonie mają w trąbach?”. „Czy tatusiowie rodzą chłopców, a mamusie dziewczynki?”.

Musisz mieć za sobą dobrze przespaną noc, mnóstwo energii i cierpliwość Hioba. Mel pamiętała, jak irytowały ją ogromne sumy, które co miesiąc płacili Małym Tygryskom. Obecnie podziwiała personel przedszkola bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

Lubiła wszystko to robić, a równocześnie rozumiała punkt widzenia Caroline: nie chcąc wydać się nazbyt samolubną, wciąż pragnęła być czymś więcej niż tylko mamusią.

W najpopularniejszej chińskiej restauracji w Carrickwell, noszącej nazwę Dragon Palace, wszystkie miejsca były zajęte.

Gwar rozmów, śmiechy, szcęk prostych naczyń z białej porcelany zmusiły także Mel i Adriana do podniesienia głosów. Pomimo to naprawdę dobrze się bawili.

Tak spędzali sobotnie wieczory wiele lat temu, zanim urodziły się dzieci. Mel myślała, że to nigdy już nie powróci. Kiedy pracowała, zbyt była zmęczona, żeby bywać na imprezach innych niż firmowe, a poza tym tak się przejmowała dezaprobatą teściowej, że wołała zbyt często nie prosić jej o opiekę nad dziewczynkami. Teraz, gdy była z dziećmi w domu, czuła się swobodniej w towarzystwie Lyndy.

- Zaslugujesz na trochę rozrywki - stwierdziła Lynda stanowczo, kiedy Mel do niej zadzwoniła. - A poza tym wiesz, że lubię zostawać z wnuczkami.

I Mel jej wierzyła. To śmieszne, jak bardzo jej własne rozterki i wątpliwości nadawały w przeszłości każdemu słowu Lyndy więcej znaczenia niż w rzeczywistości.

- Od wieków nie mieliśmy takiego wieczoru - powiedział zadowolony Adrian. - Nie musimy uważać na maniery, jak na imprezach z pracy, ani martwić się, że powinniśmy być w domu z dziećmi, tylko po prostu odpoczywamy!

Mel jego słowa poruszyły. Nie zdawała sobie sprawy, że Adrian tak doskonale się orientuje, co ona czuje, kiedy w poprzednim okresie wychodzili w weekendy.

Teraz wyglądało na to, że on czuł podobnie. Jej poczucie winy było zaraźliwe.

- Przepraszam - odparła. - Nie chciałam wywierać na ciebie presji. Miałam wrażenie, że zdradzam dziewczynki, jeśli w weekendy nie spędzam z nimi każdej sekundy.

- Wiem, ale teraz jest dobrze. Nie jesteś już taka nabuzowana.

- Co to znaczy: nie jestem nabuzowana?

- Żartuję - powiedział Adrian. - Nie mówiłem poważnie. Chyba jednak jest w tym ziarno prawdy, pomyślała Mel.

A niech to, wcina ostatnią sezamową grzanekę z krewetkami, chociaż przysięgała sobie, że będzie dbała o zachowanie figury i starała się nie zjadać z talerza wszystkiego, łącznie ze wzorem.

- Nie jestem taka nabuzowana, masz rację - stwierdziła, gryząc grzanekę.

- Ty jesteś spokojniejsza, ja jestem spokojniejszy. Wszyscy jesteśmy spokojniejsi.

- Ale splukani - zauważyła Mel. - Spójrzmy prawdzie w oczy: kiedy następnym razem wyjedziemy na wakacje, dziewczynki przypuszczalnie będą chciały zabrać ze sobą chłopaków.

- Nie jest tak źle - argumentował Adrian. - Radzimy sobie i jesteśmy szczęśliwsi. Miło jest co wieczór wracać do domu i wiedzieć, że ty tam jesteś.

- Masz na myśli: „Jestem w domu, kobieto, idź do sypialni, żebym mógł cię zniewolić” - roześmiała się Mel.

- Właśnie tak - uśmiechnął się w odpowiedzi Adrian. - Kiedy stoję w korku na skrzyżowaniu, myślę przede wszystkim o tym, że po powrocie do domu będę cię niewolił, a potem ewentualnie usiądę sobie i spokojnie poczytam gazetę.

- Pod warunkiem, że zachowasz odpowiednią kolejność: najpierw ja, potem odpoczynek - powiedziała Mel z powagą.

Kelner podał główne dania.

- Powinniśmy robić to częściej - oznajmił Adrian.

- Masz na myśli obżeranie się do nieprzytomności?

Jak zwykle oczy zjadłyby więcej, niż mieściło się w brzuchu, i zamówili za dużo. Stół jęknął pod ciężarem skwierczących dań.

- Nie, wychodzić we dwoje - odparł Adrian.

Mel ścisnęła jego dłoń. Opowiedziała mu o Caroline i Grahamie, a on rozumiał, że przygnębiły ją małżeńskie kłopoty przyjaciółki.

- Tak, ale to właśnie jest główny problem z dziećmi - roześmiała się Mel. - Jak tylko pojawiają się na świecie, dokładają wszelkich starań, żeby nie było kolejnych, bo rodzice nie mają czasu na romantyczne, intymne chwile. Dzieci to najlepszy środek antykoncepcyjny na świecie.

- Nic nie mówiłem o robieniu dzieci - przerwał jej Adrian - ale później możemy postarać się o chwilę intymności...

Nad parującym pilawem i skwierczącą wołowiną Mel uśmiechnęła się do męża.

- Praktyka czyni mistrza - powiedziała.

Rozdział piętnasty

Cleo przez dwa straszne dni ukrywała się przed Tylerem u Trish. Potem pojechała do Carrickwell. Kiedy wysiadła z pociągu, z ulgą przekonała się, że przed dworcem stoi wolna taksówka. Poleciała kierowcy jechać do ośrodka Wzgórze Obłoku, ale kiedy zbliżali się do skrzyżowania, z którego prowadził zjazd do Willow, uległa pokusie i powiedziała kierowcy, żeby skręcił.

- Nie chce pani podjeżdżać pod sam hotel, tylko przyjrzeć mu się z podjazdu? - powtórzył z niedowierzaniem taksówkarz.

- Chcę tylko popatrzeć, nic więcej - odparła Cleo zirytowana, myśląc w duchu, że facet powinien pilnować własnego nosa. Ostatnimi czasy ciągle była poirytowana, mówiąc ściśle: od czterdziestu ośmiu godzin.

Kiedy wyszła od Tylera, zadzwoniła do hotelu i powiedziała, że jest chora. Nie była w stanie iść do pracy, gdzie musiałaby się z nim spotkać i odpierać jego zarzuty, a chociaż takie wykrety były niezgodne z jej naturą, nic innego jej nie pozostało.

A poza tym rzeczywiście czuła się chora: bolał ją brzuch, bolało serce, robiło jej się niedobrze na myśl, że ufała Tylerowi, a on podstępnie kupił jej rodzinny dom. Zresztą nawet gdyby dokonał zakupu otwarcie, jak miałyby być z człowiekiem, który planował zburzenie jej rodzinnego domu i zbudowanie na tym miejscu wielkiego, pozbawionego duszy hotelu? Z całą pewnością podnosił na duchu swój personel, mówiąc, jak fatalnie prowadzono do tej pory Willow i jak teraz jako część sieci Rothów stanie się przykładem idealnie zarządzanej firmy. Nie potrafiła poradzić sobie z tą myślą.

Kiedy wieczorem wróciła do mieszkania Trish zrozpaczona i przygnębiona tym, co w jej oczach było ze strony Tylera zdradą, przyjaciółka próbowała przemówić jej do rozsądku:

- Przecież nie mógł wiedzieć, kim jesteś. To zbieg okoliczności, że kupił Willow. Nawet jeśli założymy, że znał twoje prawdziwe nazwisko, choć wciąż nie wiem, skąd miałby to wiedzieć, skoro nigdy mu o tym nie powiedziałaś, co zyskałby, umawiając się z tobą? Twoja rodzina już sprzedała hotel, więc nie mógł liczyć, że zdobędzie jakieś poufne informacje, tarzając się z tobą po kanapie.

- Nie poszłam do jego apartamentu, żeby się tarzając po kanapie - odparła Cleo z furią. - Mieliśmy wypić strzemiennego.

- Tak - mruknęła Trish - a czek wysłano pocztą. Dwa największe kłamstwa świata. Nikt nie idzie na strzemiennego. Musiałaś zdawać sobie sprawę, że wylądujesz z nim w łóżku.

- Nieprawda! - Teraz Cleo naprawdę zaczynała się złościć. Nawet najlepsza przyjaciółka nie chciała spojrzeć na sprawę z jej punktu widzenia.

- Nie, Cleo, poważnie - upierała się Trish. - Miałby umawiać się z tobą tylko dlatego, że do twojej rodziny należał hotel, który właśnie kupił? I co by z tego miał?

Cleo obrzuciła przyjaciółkę kamiennym spojrzeniem.

- Nie mów o tym jak o interesie - powiedziała z goryczą. - Chodzi o emocje, o to, jak bym się czuła, gdybym się z nim związała, wiedząc o tym wszystkim...

- Aha, więc naprawdę masz bzika na punkcie tego faceta i denerwuje cię, że on nie wie, kim jesteś? Ale byłabyś na niego zła, gdyby wiedział.

- Trish! - wrzasnęła Cleo tak głośno, że ta musiała ją uciszyć.

- Wszystkich pobudzisz! Przecież wiesz, że te ściany są cienkie jak papier.

- Przepraszam - burknęła Cleo. - Jestem zdenerwowana. Wszystko tak dobrze szło, a teraz...

- Nie ufasz mu i tyle - zauważyła trzaskiem Trish. - Gdybyś mu ufała, nie miałyby najmniejszego znaczenia to, kim jesteś ty, kim jest on albo co hotele Roth robią z Willow. Ale ty myślisz, że on będzie się z tobą bzykał, a potem o tobie zapomni i zostaniesz kolejnym nacięciem na ramie jego łóżka. Mam rację?

- A skąd nagle zebrało ci się na takie walenie prawdy prosto z mostu? - zapytała Cleo podejrzliwie.

- To ty ciągle mi powtarzasz, żebym mówiła, co myślę, więc się staram.

- Chodziło mi o to, żebyś facetom mówiła, co myślisz - odparła Cleo z irytacją - a nie mnie. Powinnaś mnie pocieszać, mówić to, co chcę słyszeć: że on jest podłym kłamcą i draniem, że na mnie nie zasługuje i tak dalej, i tak dalej.

- Świetnie. - Trish położyła się. - To podły kłamca i drań, nie zasługuje na ciebie i tak dalej, i tak dalej. Czy teraz możemy już spać?

Nazajutrz Cleo doszła do wniosku, że nie czułaby się aż tak źle, gdyby pojechała do domu do Carrickwell, tylko że już nie było tam domu, do którego mogłaby wrócić. Do tej pory rodzice na pewno wyprowadzili się z Willow.

I nawet nie dali mi znać, dokąd wyjechali, pomyślała z gniewem. Jeśli jednak tak chcą, ona nie będzie się im narzucać - ani braciom. Potrafi być tak samo uparta.

A potem przypomniała sobie Leah ze Wzgórza Obłoku, która powiedziała, że w jej ośrodku zawsze będzie praca dla Cleo. To byłoby prawie jak powrót do domu.

Kiedy zadzwoniła do Leah, ta przerwała jej w połowie wyjaśnień.

- Oczywiście, że mówiłam poważnie. Nigdy nie mówię tego, czego nie myślę. W każdym razie już nie - dodała cokolwiek tajemniczo. - Z przyjemnością przyjmemy cię do naszego grona. Mam odpowiednią pracę dla ciebie. Chcesz, żebym odebrała cię z dworca, czy wolisz przyjechać taksówką?

- Przyjadę taksówką - odparła wtedy Cleo, gorączkowo wycierając łzy, które zaczęły jej płynąć, gdy słuchała łagodnego głosu Leah.

Taksówkarz posłusznie zatrzymał samochód w połowie podjazdu.

- Tutaj jest dobrze? - zapytał cierpiętniczym tonem.

- Doskonale, dziękuję.

Spojrzała przez szybę na swój dawny dom. Wyglądał, jakby stał pusty od dłuższego czasu, taki był zaniedbany, otoczony bujną roślinnością. W holu nie było gości uginających się pod ciężarem waliz, w pokojach nie niósł się gwar rozmów, nie brzmiał śmiech. W kuchni piec był zimny, Jacqui, szefowa, nie krzyczała, że truskawkowy suflet nagle opadł albo że zabrakło jej soli akurat w chwili, kiedy stolik numer dziewięć zamówił cztery porcje.

Ukochany dom wyglądał rozpaczliwie, smutno i samotnie - dokładnie tak, jak czuła się Cleo.

- Hotel kupiła jakaś wielka firma budowlana - poinformował taksówkarz. -

Podobno chcą postawić tu eleganckie bloki. Nie wiem, czy dostaną pozwolenie na zburzenie takiego ładnego starego budynku, ale taki mają zamiar.

Cleo już otworzyła usta, żeby go poprawić, powiedzieć: nie, w rzeczywistości hotel kupiła sieć Rotha i wcale nie zamierza budować bloków, ale zabrakło jej sił.

- A pani jest chyba Malinowną? - dodał taksówkarz, zerkając ciekawie na Cleo we wsteczne lusterko.

- Nie - odparła i to było straszne: czuła się, jakby mówiła prawdę. Nie należała już do rodziny Malinów, bo bliscy odwrócili się do niej plecami. - Kiedyś tu mieszkałam, to wszystko. Byłam ciekawa, co się stało z tym miejscem.

Taksówkarz pokiwał głową.

- Chce pani już jechać do Wzgórza Obłoku? Bo wie pani, licznik tyka.

- Jasne, jedziemy - powiedziała Cleo. Nie było sensu siedzieć tu i wpatrywać się w przeszłość.

Zastanawiała się, gdzie są rodzice i co robią. Brak kontaktu z nimi bolał ją bardziej niż potrafiłaby wypowiedzieć. Nie przysłali nawet esemesa po tym pierwszym gniewnym telefonie, kiedy mama powiedziała, że jeśli Cleo przeprosi, wszystko wróci do normy.

Tylko że Cleo cierpiała zbyt mocno, żeby to zrobić. Duma by jej na to nie pozwoliła.

Trish powiedziała, że nie dzwoni, bo teraz ruch należy do Cleo.

- Dzieci zawsze przepraszają pierwsze. Taka zasada obowiązuje w rodzinach. Nie pytaj mnie dlaczego, ale tak jest.

Myśląc teraz o tym, co mówiła Trish, Cleo poczuła, jak ogarnia ją wielka tęsknota. Pragnęła znowu zobaczyć się z rodziną, pragnęła, by wszystko było jak dawniej. Kiedy jednak obrzuciła ostatnim spojrzeniem zniszczoną fasadę swojego dawnego domu, zrozumiała ostatecznie i bez cienia wątpliwości, że to niemożliwe. Willow rozpoczął następny etap swojej historii, tak samo jak rodzina, choć bez Cleo, której zawsze już będzie z tego powodu towarzyszył ból i cierpienie. Wspomnienie ostatniej kłótni w kuchni wciąż ją gryzło.

Najpierw rodzina, teraz Tyler. Jaki ma sens bycie szczerą, otwartą i uczciwą, skoro w zamian dostajesz od ludzi wyłącznie zdradę i ból? Zamierzała postąpić zgodnie z radami Trish i zająć się własnym życiem. Co powiedziała jej przez telefon Leah? „W końcu wszystko się ułoży, choć może nie tak, jak sobie planowałaś”.

Pomiędzy filozofowaniem Leah a radami Trish, jak wziąć sprawy w swoje ręce, Cleo zaczynała się gubić.

Z rozmyślań wyrwał ją potężny wstrząs, kiedy taksówka wjechała w ogromną dziurę.

- Jezu - mruknął taksówkarz - mam nadzieję, że ten, kto kupił hotel, naprawi tę cholerną drogę, co tu więcej gadać.

Kiedy Cleo wreszcie wysiadła przed Wzgórzem Obłoku, • usłyszała głośny śmiech. Wlokąc pożyczoną od Trish walizkę, okrążyła budynek. Na tarasie siedziała Leah z kilkorgiem gości, w promieniach zachodzącego słońca popijali mrożoną herbatę i gawędzili wesoło.

- Cleo, tak się cieszę, że cię widzę - Leah wstała z krzesła z uśmiechem na pięknej twarzy. Podeszła do Cleo i objęła ją.

Cleo po raz kolejny poczuła ten wspaniały różany aromat. Cudownie było znaleźć się w matczynej objęciach Leah. Od dawna nikt tak jej nie przytulał. Ścisłej rączki biorąc, od dnia, gdy opuściła dom. A teraz była tutaj, wróciła do Carrickwell, ale zupełnie nie obchodziła własnej rodziny Leah nie wyglądała na zaskoczoną, kiedy Cleo wybuchnęła płaczem.

- Podróżowanie to udręka - powiedziała wesoło, machając na pożegnanie towarzystwu przy stole i prowadząc Cleo w kierunku domu. - Zostaw tutaj bagaż, kochanie, zabierzemy go później.

- Pani tak serdecznie mnie przywitała - wyjąkała Cleo.

- Powrót do domu bywa przeżyciem bardzo emocjonalnym - odparła Leah mądrze.
- A kiedy się przekonujesz, że jakieś miejsce przestało być twoim domem, jest jeszcze gorzej.
- Właśnie. - Cleo szlochała coraz głośniejsze. - Kazałam taksówkarzowi podjechać pod Willow. Dom wygląda tak samotnie i smutno, nie mogę tego znieść. I nie wiem, gdzie są rodzice, co robią - nic nie wiem.
- Chyba na parę pytań mogę ci odpowiedzieć. Czy twoja mama zna panią Hanley?
- Tak, Irenę Hanley - ożywiła się Cleo.
- Irenę Hanley powinna pracować w CIA - stwierdziła Leah - ponieważ wie absolutnie o wszystkim, co dzieje się w miasteczku. Nie chcę przez to powiedzieć, że jest plotkara, ona po prostu dostarcza wiadomości tam, gdzie jej zdaniem mogą się przydać. Bardzo mi się spodobała.
- Ja też ją lubię. - Cleo pociągnęła nosem. - Co mówiła?
- Twoi rodzice wyjechali na wakacje za granicę, bo bardzo przygnębiło ich to, co się stało. Twoja mama strasznie się martwiła, że nie przyjechałaś do domu, kiedy do ciebie dzwoniła. Pani Hanley mówi, że bardzo to przeżyła.
- Cleo poczuła, że zaraz znów się rozpłaczę.
- Głęboko mnie zranili, a mama powiedziała, że muszę przeprosić. To było tak, jakby woleli Barneya, Jasona i Sondrę ode mnie. Nie potrafili dostrzec, jak bardzo cierpię, że podjęli wszystkie decyzje, mnie w nic nie wtajemniczając.
- Przypuszczam, że wszyscy cierpieli - ciągnęła Leah. - Gdyby mama zadzwoniła kilka tygodni później, pewnie byś już ochłonęła, mam rację?
- Cleo kiwnęła głową.
- Twoi rodzice bali się, że nie chcesz mieć z nimi nic wspólnego, a ponieważ wiedzieli, że postąpili źle, przed wyjazdem poprosili Barneya i Jasona, żeby z tobą porozmawiali. Mieli być mediatorami.
- Och, Jason i Barney - warknęła Cleo - nie potrafiliby nawet napisać poprawnie słowa „mediator”, a co dopiero pełnić taką rolę.
- Pani Hanley była tego samego zdania - zgodziła się Leah. - To mądra kobieta.
- Bracia się ze mną nie skontaktowali - powiedziała Cleo z gniewem. Teraz wszystko nabrało sensu. Wiedziała, że rodzice nie wyjechaliby, nie dając jej znać, dokąd się udają.
- Pani Hanley słyszała od córki, która jest dobrą znajomą najlepszej przyjaciółki Sondry, że Jason i Barney uważają, że dobrze ci zrobi, jeśli przez jakiś czas rodzina nie będzie się z tobą kontaktować.
- Założę się, że Sondra maczała w tym palce! Ona nigdy mnie nie lubiła. Moi bracia są za słabi, żeby samodzielnie podjąć taką decyzję.

I znowu zalała się łzami, bo bez względu na to, kto sterował braćmi, w głowie jej się nie mieściło, że mogli chcieć tak dotkliwie ją zranić.

Leah zaprowadziła Cleo do jednej z najśliczniejszych sypialni w starym domu: alkowy z różowymi zasłonami i kołdrą, która sprawiała wrażenie, jakby rozsypano na niej płatki.

- Urocze - westchnęła Cleo. - Nikt już tak nie urządza sypialni. Zawsze chciałam zrobić taką w Willow, ale się nie zgodzili. Uważali, że to za bardzo kobiece, że żaden mężczyzna nie będzie chciał mieszkać w takim pokoju, chociaż...

- Rozumiem - powiedziała Leah. - Kobiety czasem potrzebują falbanek.

- Chyba powinnam mieszkać w części dla personelu? - zapytała Cleo. W końcu przyjechała tu do pracy. Wzgórze Obłoku zyskiwało coraz większy rozgłos i Leah potrzebowała drugiej recepcjonistki. Cleo cieszyła się na miłą, pozbawioną stresów pracę.

- Tak, mamy ładny pokój dla ciebie, ale jeszcze nie jest gotowy - odparła Leah. Co nie było prawdą. Pokój był gotowy, ale Leah uważała, że Cleo dobrze zrobi kilka dni rozpieszczania. - Może pójdziesz wcześniej spać? - zaproponowała, zaciągając zasłony. - Przyślę ci kolację do pokoju i będziesz mogła być sama.

- To by było cudowne - powiedziała Cleo. Mieszkając w gwarnym domu Trish, rzadko miała czas dla siebie. A tyle spraw musiała przemyśleć. - Dziękuję, Leah - dodała z wdzięcznością.

Leah znowu ją uściskała.

- Nie ma za co. Każdy czasami potrzebuje, żeby ktoś się nim zaopiekował.

Po dwóch rewelacyjnych dniach, w czasie których Leah nalegała, żeby Cleo nie pracowała, tylko w praktyce poznała wszystkie oferowane zabiegi, dzięki czemu będzie mogła ze znanstwem o nich mówić, Cleo poczuła się lepiej. Z pewnością lepiej wyglądała.

- A to zawsze poprawia humor, prawda? - Obie z Leah moczyły się w gorącej kąpiel i podziwiała pięknie wymanikiurowane dłonie Cleo. - Mogłabym się przyzwyczaić do takiego nicnierobienia - dodała, wyciągając się z rozkoszą w gorącej wodzie.

- Mogłabyś? - zapytała Leah. - Nie sądzę. Gdyby ktoś mnie pytał, powiedziałabym, że należysz do tych energicznych osób, które nie potrafią usiedzieć w miejscu.

- Masz rację - przyznała Cleo - choć w tej chwili tak właśnie czuję. Nicnierobienie jest miłe, ale jako odpoczynek od pracy, zwłaszcza stresującej. Leah, powinnaś być guru albo czymś w tym rodzaju. Jesteś niesamowita: tyle wiesz.

Leah uśmiechnęła się.

- Wiem tyle co inni ludzie, nic więcej. Po prostu ufam własnej intuicji.

- Ja próbowałam - powiedziała Cleo z goryczą. - Zaufałam intuicji, jeśli chodzi o Tylera, i to był błąd. - Po raz pierwszy od przybycia do Wzgórza Obłoku czuła się dość silna emocjonalnie, żeby o tym mówić, i zwierzyła się Leah. Nawet teraz w chłodnym, jasnym świetle tego cudownego miejsca wspomnienia bolały.

- To nie był błąd - stwierdziła Leah.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Lubiłaś go, ale między wami nie ułożyło się tak, jak chciałaś, i tyle. To nie był błąd.

- Aha - mruknęła z wahaniem Cleo. - Mówisz, że powinnam wyciągnąć jakieś wnioski z tego, że między mną a Tylerem się nie ułożyło, tak? Mam po dziurki w nosie wyciągania wniosków - powiedziała ponuro. - Nauka zawsze boli. Dlaczego nie można zdobywać doświadczeń bez bólu? Ostatnio dowiedziałam się, że rodzina ma mnie dość, a mężczyźni nas wykorzystują... - Zdawała sobie sprawę, że to nie była do końca prawda. Tyler jej nie wykorzystał, właściwie nie. Ani Nat, drogi Nat - on też jej nie wykorzystał. Jaka szkoda, że nie jest w jej typie.

- Tym właśnie jest ufanie intuicji - odparła Leah stanowczo. - Co intuicja mówiła ci o rodzicach?

Oczy Cleo znowu wypełniły się łzami.

- Nie mogłam uwierzyć, że nigdy więcej się do mnie nie odezwą. Po prostu nie mogłam w to uwierzyć.

- Więc sama widzisz: twoja intuicja się nie myliła. Skontaktowali się - powiedziała Leah. - Za pierwszym razem byłaś zbyt zdenerwowana, żeby przyjąć gałązkę oliwną, a za drugim twoi bracia nie przekazali ci wiadomości.

- Leah, myślenie o tym jest takie trudne. Nie mogłybyśmy spokojnie sobie posiedzieć i poleniuchować?

- Leniuchuj sama - powiedziała Leah, wdzięcznie wychodząc z wody. - Ja muszę iść. Mam sprawy do załatwienia.

Cleo doszła do wniosku, że Leah postąpiła bardzo mądrze, zostawiając ją w wannie, żeby mogła w samotności się zastanowić. Chociaż niedobrze jej się robiło od myślenia. Rodzice chcieli się z nią skontaktować: to była cudowna wiadomość, chociaż bolała myśl, że Jason i Barney w swym rozgoryczeniu ukryli to przed nią. Cleo poczuła wyrzuty sumienia, że dawno temu nie zadzwoniła do rodziców... Ale może zadzwonić na komórkę taty, żeby się przekonać, jak to przyjmie. Od razu humor jej się poprawił. Zachowa się odważnie i jak dorosła osoba załagodzi rodzinny spór.

Wciąż jednak pozostała jedna chmura: Tyler i Roth Hotels jako nabywcy Willow. Tej sytuacji nie da się łatwo rozwiązać. Nawet gdyby Tyler na klęczkach prosił o przebaczenie, Cleo nie mogłaby więcej się z nim spotykać. On i Roth Hotels byli wrogami: ojcu pękłoby serce, gdyby wiedział, komu sprzedał swój hotel. Nie, Tyler może gnić w piekle. Zresztą on też nie próbował się z nią kontaktować. W jego wypadku intuicja całkowicie ją zawiodła, nieważne, co mówi Leah. Cleo westchnęła, wychodząc z wanny i sięgając po ręcznik: nigdy więcej go nie zobaczy!

Rozdział szesnasty

Przez ten tydzień spędzony w domku matki Daisy prawie wcale nie opuszczała swojego kokonu. Rozkład jej dni nie znalazłby uznania u autorów książek o zdrowym stylu życia i prawidłowym odżywianiu. Rano siedziała w piżamie przed telewizorem, jadła oblane cukrem płatki i oglądała powtórki programów, których oglądanie wcześniej do głowy by jej nie przyszło. Popołudniami jeździła do sklepu na skrzyżowaniu, żeby uzupełnić zapasy jedzenia (czekolada, płatki, pizza) i kupić wino ze specjalnej oferty. Wieczorami włączała na cały regulator opery matki i pogrążała się w nieszczęściu, podczas gdy kolejne heroiny śpiewały o utraconej miłości, czuła, jak talia jej się powiększa, i za jednym zamachem wypijała tyle wina, ile przedtem przez cały tydzień.

Następnego dnia powtarzała cały cykl. Nie odpowiadała na telefony. Tylko raz zadzwoniła do Mary, żeby jej powiedzieć, że czuje się dobrze i niedługo wróci do pracy. Oba te stwierdzenia całkowicie mijają się z prawdą.

- Strasznie się o ciebie martwię - powiedziała Mary. - Zadzwoniłam do tego cholernego Alexa i kazałam mu się z tobą skontaktować. Zrobił to?

- Tak. - Daisy nie dodała, że Alex zostawił tylko wiadomość w poczcie głosowej. Powoli dochodziła do wniosku, że gdyby Alex mógł ją rzucić tą drogą, na pewno by z niej skorzystał.

- Nagadałam mu do słuchu, możesz mi wierzyć - ciągnęła Mary. - Gnida. Nie miał pojęcia, co mi odpowiedzieć.

Daisy poczuła ponurą satysfakcję, wyobrażając sobie, jak Mary słowami rozrywa Alexa na strzępy. Ale niewiele jej to dało. On odszedł i nic tego nie zmieni.

- Musisz wrócić do pracy, Daisy - powiedziała Mary. - Wierz mi, wiem, co to znaczy złamane serce, ale nie uleczysz go ukrywaniem się przed światem. Alex był częścią twojego życia, zapomnij o nim i myśl o przyszłości. Przecież posiadanie mężczyzny nie jest ostatecznym i jedynym celem?

Kiedy Mary kogoś pocieszała, stanowiła siłę, z którą trzeba było się liczyć, Daisy jednak miała wrażenie, że przyjaciółka nie dostrzega jednego istotnego aspektu: dla Daisy Alex rzeczywiście był wszystkim.

Próbowała jej to wytłumaczyć.

- On dawał mi pewność siebie. Kiedy byłam z nim, lubiłam siebie, a kiedy go przy mnie nie było, też siebie lubiłam, ponieważ mnie kochał.

Nieważne, jakich słów by użyła, i tak brzmiałyby głupio, świadcząc o jej głębokiej niechęci do samej siebie. Czy osoba pokroju Mary, wzorzec silnej, pewnej siebie kobiety interesu, może pojąć, jaka była Daisy, nim poznała Alexa?

Nieśmiała, przerażona, lękająca się świata. On to wszystko zmienił. A co najważniejsze, sprawił, że Daisy polubiła siebie.

- Nie możesz... Nie powinnaś... - Mary szukała odpowiednich słów. - To nie Alex uczynił cię tym, kim jesteś - zaczęła wreszcie. - Gdyby faktycznie wszystko zależało od niego, nie potrafiłabyś poradzić sobie, kiedy byłas sama. Odpowiedz mi! Jak ci się udawało jeździć do Paryża, Londynu i Dusseldorfu, wspaniale wykonywać swoją pracę i zdobywać powszechną sympatię, skoro Alexa przy tobie nie było? Zawdzięczasz to sobie, nie jemu!

Logika takiego rozumowania może i była oczywista dla Mary, ale nie dla Daisy.

- Kiedy był ze mną, byłam szczęśliwa, bo wiedziałam, że mnie kocha. Jego obecność w moim życiu oznaczała, że wszystko ze mną w porządku, że ktoś mnie kocha. Nie miałam pierścionka zaręczynowego ani obrączki, żeby powiedzieć o tym światu, ale to nie było ważne, bo wiedziałam, że mam Alexa. Byłam z siebie zadowolona. A kiedy odszedł, to się rozleciało. Mój wygląd się nie zmienił, ale zmieniły się moje odczucia. Czułam się, przepraszam: czuję się niekochana, dziwna...

- Bycie osobą samotną wcale tego nie oznacza - sprzeciwiła się Mary - Daisy, nie możesz mówić, że nic nie masz i jesteś niczym, bo Alex odszedł.

- Ale tak czuję - odparła Daisy ponuro. - To tak, jakbym się obudziła z cudownego snu i przekonała się, że znowu mam siedemnaście lat, jestem gruba i samotna. Przy Aleksie byłam inna.

- Sama tego dokonałaś - upierała się Mary. - Skąd dzwonicz? Od matki?

- Nie, mama wróciła, więc przeniosłam się do przyjaciół - odparła Daisy. Nie znosiła kłamać, ale nie chciała, żeby Mary ją znalazła i zmusiła do powrotu do realnego świata.

- Może zamieszkaż u mnie? - zaproponowała Mary.

- Nie, dziękuję. - Daisy nie pragnęła niczyjego towarzystwa, chciała być sama. - Niedługo wrócę do pracy, obiecuję.

Rozłączyła się, po czym bez celu zaczęła krążyć po chacie. Zjadła już wszystkie czekoladowe herbatniki, które kupiła poprzedniego dnia, w lodówce nie było nic na kolację i została tylko jedna butelka wina.

Szukanie w barku matki nie miało sensu. Nan Farrell od czasu do czasu na przyjęciach wypijała dżin z tonikiem albo kieliszek sherry, i to wszystko.

Tata Daisy stanowił przeciwieństwo żony: wylewny i otwarty, gotów pójść na piwo z każdym, kogo spotkał na ulicy. Nie miał czasu dla rodziny znacznie bardziej wolał towarzystwo nieznajomych w pubie.

Dlatego Daisy cieszyła się, że tata mieszka za granicą. Gdyby był blisko, musiałaby się zastanawiać, dlaczego ojciec przedkłada obcych nad żonę i córkę. Kochała go za jego poczucie humoru i bez troskę, tak silnie kontrastujące z ponurym nastawieniem do życia matki. On jednak nie chciał zostać z rodziną. Wyglądało na to, że mężczyźni nie zostają z Nan i Daisy.

Och, musi się napić: alkohol przytłumi ból. Wypije tylko jeden kieliszek. Zaraz jednak po pierwszym nastąpił drugi i jakimś cudem w ostatniej butelce wina pokazało się dno.

Cholera. Jeszcze jeden kieliszek i zapomni o Aleksie, Louise, pięknym dziecku... ciepłym aksamitnym ciałku, które tuliłoby się do Daisy. Zaczęła śnić na jawie o sobie jako matce: ona, Alex i niemowlę, dziewczynka - Daisy była przekonana, że jej pierwsze dziecko będzie dziewczynką. Wszyscy troje leżeli w ogromnym łóżku, nie tym z mieszkania, ale wielkim łożu z puchatymi poduszkami, przytulankami i miękką kołdrą, a Alex z uwielbieniem patrzył na żonę i córkę. Sen był idealny, ponieważ Daisy wreszcie miała dziecko, a tylko tego pragnęła. Czy jest coś złego w takim pragnieniu? Czy jest coś nie tak z nią, że nie może mieć dziecka? Bo to była jej wina, teraz o tym wiedziała. Louise zaszła z Alexem w ciążę. Więc to Daisy była bezpłodna, nie on. Zrobiła coś strasznego w przeszłości i teraz płaciła za to niezdolnością utrzymania przy sobie żywych, dziecka albo mężczyzny?

Książki i czasopisma przekonują, że jeśli kobieta nie może mieć dziecka, to nie z własnej winy, ale Daisy wiedziała, że to kłamstwo.

Przypomniała sobie anonimową kobietę z pamiętnika, który dostała tamtego strasznego dnia w klinice Avalon.

Czy to moja wina? Nie mogę zapytać T, bo usłyszę, że nie, ale się zastanawiam. Czy to kara za to, że nie byłam dość dobrą córką, siostrą, przyjaciółką, żoną? Bepłodność wydaje się chorobą, którą sama na siebie sprowadziłaś. Seks z niewłaściwą osobą, zepsute jajniki, niekompletność. Czujesz, że sama jesteś winna, nieważne, co mówią inni.

Cudowny sen Daisy o macierzyństwie zbladł. Pamiętnik symbolizował koniec jej szczęścia. W dniu, w którym zaczęła go czytać, Alex zażądał próbnej separacji. Jakże była naiwna, nie dostrzegając, na czym naprawdę mu zależy. Nienawidziła siebie, że tamtego dnia była taka łatwowierna i pełna nadziei. Dwa marzenia rozwiały się równocześnie. Straciła Alexa i nie była w stanie urodzić dziecka, którego tak bardzo pragnęła.

Ogarnęła ją wielka rozpacz i Daisy płakała tak długo, aż twarz zaczęła ją szczypać, góra od piżamy całkiem namokła, a z nosa ciekło.

Musiała zdrzemnąć się na sofie, bo kiedy otworzyła oczy, okazało się, że minęło półtorej godziny i zbliża się wieczór. Przez zasłonięte tiulowymi firankami okno wpadały ostatnie promienie zachodzącego słońca, a w oddali Daisy widziała łagodnie muczące krowy, dostojnie wracające do obory na dojenie.

Wciąż czuła się lekko wstawiona, ale musiała jeszcze się napić, żeby wymazać wszelkie myśli. Nie mogła jednak pojechać do sklepu. Ukryty gdzieś na dnie świadomości instynkt samozachowawczy doszedł do głosu. Nigdy nie prowadziła samochodu po pijanemu. Jeszcze tak nisko nie upadła, a poza tym do sklepu wcale nie było tak daleko: zaledwie pół mili krętą drogą. Przechadzka dobrze jej zrobi, może będzie lepiej spała, nie zrywając się co chwila na równe nogi, złana potem. Daisy nie zadała sobie trudu, żeby obmyć opuchniętą od płaczu twarz, schowała ją tylko pod matczynym kapeluszem z szerokim rondem i pod okularami przeciwsłonecznymi. Szła poboczem, a w głowie wirowały jej natrętne myśli. Tego właśnie nie chciała.

Kolacja - musi się zastanowić, co zje na kolację. Może domowej roboty szarlotkę ze śmietaną, którą sprzedawali w sklepie, i wielki kieliszek czerwonego wina do popicia i zapomnienia o wszystkim.

Tak się koncentrowała na niemyśleniu, że na skrzyżowaniu weszła prosto na ruchliwą szosę, zmuszając kierowcę przejeżdżającego akurat samochodu do gwałtownego skrętu z piskiem opon.

- O mój Boże! - jęknęła Daisy, przyciskając dłonie do piersi.

Samochód stanął przed sklepem, zostawiając na asfalcie ślady opon. Szok przykuł Daisy do miejsca. Odrętwiała wpatrywała się w auto, niezdolna płakać, bo zabrakło jej łez. Z samochodu wysiadła wysoka ciemnowłosa kobieta w dżinsach i różowej koszuli i podbiegła do Daisy.

- Jest pani ranna?

- Nie. Tak. Nie - wyjąkała Daisy. - Szłam do sklepu, nie chciałam...

- Może odwiozę panią do domu? - zapytała nieznajoma łagodnie. - A może do lekarza?

- Do domu - odparła Daisy. - To niedaleko.

- Nie powinna pani iść sama. O mało pani nie zginęła.

- Muszę zrobić zakupy - oznajmiła nagle Daisy. Potrzebowała jedzenia i co ważniejsze, wina.

- Pójdziemy do sklepu, a potem odwiozę panią do domu - oznajmiła stanowczo nieznaną. - Mieszka pani z kimś?

Daisy pokręciła głową.

- Ty jesteś Daisy, prawda? - zapytała kobieta, wpatrując się w nią uważnie. Po raz pierwszy Daisy przyjrzała się kobiecie. Wydawała się znajoma.

- Jestem Leah Meyer ze Wzgórza Obłoku - dodała kobieta. - Spotkałyśmy się kilka miesięcy temu. Pracujesz w sklepie z markową odzieżą, prawda? Nie widziałam cię na tym zakręcie śmieci. To cud, że cię nie potrąciłam.

Daisy obejrzała się na skrzyżowanie i poprzedzający je ostry zakręt. Bezmyślnie weszła na jezdnię i leżałaby teraz nieprzytomna na asfalcie, gdyby Leah jechała szybciej.

- Przepraszam - wymamrotała. Nogi się pod nią trzęsły. - Muszę usiąść.

Obok sklepu znajdowała się mała staroświecka stacja benzynowa z jedną tylko pompą z olejem do diesla. Przed budką sprzedawcy stała drewniana ławka, na którą teraz osunęła się Daisy.

- Poczekał tutaj - poleciła Leah. - Pójdę po samochód i odwiozę cię do domu.

Wróciła po kilku minutach i pomogła Daisy wsiąść.

- Prosto drogą - powiedziała Daisy, całkiem niepotrzebnie. - Druga chata pół mili stąd.

- Urocze miejsce - zachwyciła się Leah, kiedy dotarły do celu.

- Dom mojej matki - wyjaśniła Daisy, szukając w kieszeniach kluczy. - Wyjechała, więc zatrzymałam się tu na parę dni.

- Pokaż mi, gdzie jest kuchnia, zaparzę ci herbaty - powiedziała Leah, kiedy weszły do środka.

W domu właściwie panował porządek: Daisy całe dni spędzała zwinięta w kłębek na kanapie w małym salonie i co wieczór sprzątała kieliszki i talerze ze stolika.

Kuchnia jednak to co innego. Nan Farrell trzymała pod zlewem rzeczy do ponownego wykorzystania i Daisy z przyzwyczajenia tam właśnie stawiała puste butelki po winie, żeby je zabrać, kiedy będzie wychodzić. Patrząc na kuchnię oczami Leah, uświadomiła sobie, że zgromadziła wstydliwą liczbę butelek.

- Miałam zamiar oddać butelki do skupu, dlatego taki tu bałagan. - Daisy machnęła ręką w kierunku zlewu. Już chciała wykorzystać wymówkę o przyjęciu, ale zrezygnowała.

- Mieszkasz tu sama? ? . Daisy kiwnęła głową.

- Przeżyłaś szok - stwierdziła Leah. - To chyba nie jest dobry pomysł, żebyś została sama na noc. Zabieram cię do Wzgórza Obłoku.

- Nie mogłabym... - zaczęła Daisy.

- Daj spokój - Leah uniosła dłonie. - To normalne wśród sąsiadów, a ty wyświadczysz mi przysługę, jeśli się zgodzisz.

- No cóż...

- Doskonale. Spakuję ci rzeczy. - Z prędkością mistrza pobiegła na górę. Do torby, którą znalazła na podłodze, wrzuciła kilka rzeczy i zeszła do kuchni. -Sprawdź, czy to wszystko - powiedziała wesoło. - Czekam na ciebie w samochodzie.

Daisy w swojej dawnej sypialni nie dostrzegła niczego, co jeszcze chciałaby wziąć. Leah spakowała wszystko. Równie dobrze może z nią pojechać. Dlaczego nie?

Następnego dnia rano obudził ją zapach róż. Otwierając oczy, pomyślała, że umarła i popłynęła do nieba łodzią wypełnioną płatkami. Nad sobą zobaczyła fałdy muślinowego baldachimu, błękitnego jak skorupki kaczych jaj. Głowę otulały jej jasnobłękitne poduszki w drobne kwiatki, ciało przykrywała kołdra w adamaszkowej poszwie z niebieskim haftem. Cały pokój był jasnoniebieski: ściany pomalowano na "barwę nieba w letni poranek. Uniósłszy się na łokciu, Daisy dostrzegła źródło aromatu: bukiet aksamitnych purpurowych róż w miedzianej misie koło łóżka.

Daisy w gruncie rzeczy nie miała pojęcia, gdzie jest, ale czuła się bezpieczna.

Opadła na poduszki i znowu zasnęła. Po raz pierwszy w tym tygodniu był to sen głęboki i spokojny. Kiedy obudziła się po raz drugi, dochodziło wpół do dziesiątej i była głodna jak wilk.

Ubrania wciąż spoczywały starannie poukładane w torbie spakowanej przez Leah. Daisy wzięła prysznic, umyła dokładnie włosy, później szybko się ubrała i wyszła z pokoju.

Koło jej drzwi znajdowały się schody, zeszła więc po nich i znalazła się w białym korytarzu, ascetycznym jak w klasztorze, z kamienną podłogą i wysokimi wąskimi oknami nieprzysłoniętymi firankami. Domyśliła się, że to część starego domu Delaneyów przeznaczona dla służby

Korytarz prowadził do obszernej kuchni z taką samą kamienną podłogą i białymi ścianami, służącej przypuszczalnie personelowi, bo przy wyszorowanym długim stole siedziała kobieta i jadła śniadanie. Miała świeżą twarz i ubrana była w oliwkowozielony uniform. Na widok Daisy wyraźnie się ucieszyła.

- Dzień dobry, Daisy, jestem Jane. Nalej sobie kawy. Powiem Leah, że już wstałaś.

- Dzięki - wymamrotała Daisy, cokolwiek zbity z tropu faktem, że nieznajoma zna jej imię.

Popijała drugą filiżanką kawy owoce i grzanekę, kiedy przyszła Leah.

- Dobrze spałaś? - zapytała, nalewając gorącej wody do kubka.
- Tak, dziękuję, bardzo dobrze. To śliczny pokój.
- Pokój Błękitny jest piękny - zgodziła się Leah. Wyjęła z szuflady herbatę ekspresową i zanurzyła w kubku. Natychmiast w powietrzu rozszedł się zapach malin.
- Ja najbardziej lubię Pokój Różowy - powiedziała Jane.
- Zajmuje go Cleo - odparła Leah, po czym dodała: - Polubisz Cleo. Chodź teraz ze mną do biura, porozmawiamy

Usytuowane blisko recepcji biuro Leah naznaczone było osobowością właścicielki. Ściany zapełniały obrazy, fotografie i książki, na małym stoliku pomiędzy dwoma fotelami obok delikatnej białej orchidei także stały zdjęcia w ramkach. Na i idealnie uporządkowanym blacie biurka znajdował się tylko j staroświecki czarny telefon. I

Usiadły w fotelach. Daisy w dłoni trzymała filiżankę kawy.

- Próbowałaś się zabić? - zapytała Leah, w smukłych palcach trzymając sznurek ekspresowej herbaty.

- Co? - Daisy była szczerze zdumiona.

- Chodzi o wczoraj. Próbowałaś popełnić samobójstwo czy to był wypadek?

- Wypadek - wyjąkała Daisy. - Dlaczego sądzisz, że mogło być inaczej?

- Ponieważ nie ulega wątpliwości, że sporo wypijaś. Daisy z oburzeniem zaprotestowała przeciwko takiej sugestii:

- Wypiłam tylko trochę wina.

- Raczej bardzo dużo wina - sprostowała Leah łagodnie. - Widziałam butelki, a mówiłaś, że jesteś tam dopiero od tygodnia. I o ile twoja matka nie przyjmuje ciągle gości, piłaś dużo. Kilka butelek dziennie?

Zabrzmiało to tak kompromitujące że Daisy oblała się rumieńcem.

- Byłam w depresji i chciałam poprawić sobie nastrój.

- Alkohol nie poprawia nastroju - oznajmiła Leah. - To depresant, a każdy, kto uważa dwie butelki wina dziennie za rozsądną ilość, ma problem z nadużywaniem alkoholu.

Daisy już chciała powiedzieć, że nie ma problemu, ale wstrząśnięta nie potrafiła wydobyć głosu, bo w ustach Leah zabrzmiało to niezwykle przekonująco.

- Tam, skąd pochodzę, ludzie w taki sposób nie piją - mówiła Leah. - Jeśli w Los Angeles ktoś spożywa koktajl do lunchu, reszta towarzystwa daje mu numer do Anonimowych Alkoholików. Tutaj natomiast... To jeden z problemów, jakie dostrzegam w Europie. Pijecie i palicie za dużo.

- Tak jak z obżeraniem się? - zapytała Daisy.

- To z kolei amerykański problem - odparła Leah. - Myjemy za dużo, wy pijecie za dużo i życie niebezpieczne. Żadne z tych wyjść nie jest dobre.

- Znam wiele kobiet, które piją tyle co ja - upierała się Daisy.

- I dlatego to jest słuszne?

Nagle Daisy ogarnął gniew. Jak ta obca kobieta śmie ją wypytywać o ilość wypijanych kieliszków? Daisy doświadczyła straszliwej straty, a Leah nie ma pojęcia, co człowiek wtedy czuje.

- Ktoś umarł i przekazał ci opiekę nad mną? - zapytała wrogo. Łagodna twarz Leah nie uległa zmianie.

- Nikt. Prowadzę ośrodek holistyczny. Byłabym głupia, gdybym nie posiadała wiedzy o tym, co należy, a czego nie należy dawać ciału. Jest jak silnik: jeśli o nie dbasz, będziesz miała z niego pożytek. Jeśli nie dbasz, to tak, jakbyś tankowała najgorszą benzynę, więc nie powinnaś być zdziwiona, kiedy silnik odmawia posłuszeństwa.

- Nie lubię swojego ciała - wypaliła Daisy i zaraz zamilkła.

- To widać gołym okiem. Ale nawet jeśli chcesz skończyć ze sobą... to nie musisz przy okazji niszczyć życia innemu człowiekowi. Jeżdżę dość wolno, ale gdyby ktoś na tym zakręcie dodał gazu i potrącił cię?

Daisy znowu się zarumieniła.

- Wiem, ciągle o tym myślę.

- W wypadku mogli także zginąć ludzie z tego samochodu, nie tylko ty. Daisy pragnęła, żeby Leah przestała już mówić.

- Partner mnie opuścił - powiedziała, pochylając się naprzód i chowając twarz w dłoniach. - Zostawił mnie dla innej, która jest w ciąży. Teraz rozumiesz?

Opowiedziała Leah o wszystkim: o latach poprzedzających poznanie Alexa, o tym, jak ją uratował, jak głęboko go kochała, o nadziei na dziecko, o klinice leczenia bezpłodności i jego odejściu. Biorąc to wszystko pod uwagę, Daisy czuła, że ma całkowite prawo do zrobienia tego, na co przyjdzie jej ochota: może się upić albo rzucić z mostu.

- Więc chcesz, żeby Alexowi było przykro, że cię opuścił i dlatego próbujesz zniszczyć sobie wątrobę albo zginąć pod kołami samochodu? - zapytała Leah.

- Nie... - W takim ujęciu brzmiało to głupio. - Chciałam nie czuć takiego smutku, to wszystko.

- I ukarać go, robiąc sobie krzywdę?

- Daj mi spokój!

- Ale to właśnie robiłaś.

- Nieprawda - w głosie Daisy zadźwięczały obronne nuty. - Ludzie muszą się rozładować, kiedy cierpią.

- Taki sposób rozładowania się nie jest skuteczny - stwierdziła Leah.
- Wszystko wiesz, cholera! Jesteś ekspertem od emocjonalnego bólu? - zapytała Daisy ostro, zła na siebie, że jest taka beznadziejna i zła na Leah, że ta wie, który guzik nacisnąć. Przed chwilą wylała wszystko, co leżało jej na sercu, a w odpowiedzi rzucono jej to w twarz.

Leah milczała. Napiła się malinowej herbaty, usiadła wygodnie w fotelu. Minęły dwie minuty, może trzy, ciszę przerywał jedynie dzwonek telefonu w recepcji i wesoły głos pytający:

- Tu Wzgórze Obłoku, czym mogę służyć?

- Skoro o tym wspomniałaś, to rzeczywiście jestem ekspertem od psychicznych cierpień - powiedziała wreszcie Leah cicho. - Chociaż nie jest to wiedza, której pragnęłam. Bo widzisz, umarł mi syn.

Daisy zeszywniała.

- Nie wiedziałam, że masz syna - wyjąkała. Przypomniała sobie, że razem z Mary założyły, iż Leah jest bogatą rozwódka bez żadnych zobowiązań i z mnóstwem pieniędzy.

- Już nie mam - odparła Leah. - Jestem matką, która nie ma dziecka.

Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu Daisy zawstydzila się swojego zachowania. Jej nadzieja na własnego syna lub córkę umarła, ale przecież nie umarło żadne prawdziwe dziecko. Śmierć osoby, którą wydałaś na świat, jest o wiele gorsza od śmierci nadziei na urodzenie dziecka.

Nikt jej nie powiedział, że nigdy nie będzie miała dziecka. Wciąż istniała nadzieja. Może spotka wspaniałego mężczyznę, będzie z nim ekstatycznie szczęśliwa i w ciągu tygodnia zajdzie w ciążę. Ale syn Leah zawsze już będzie martwy. Zawsze.

- Jak to się stało? - zapytała cicho.

- Nie lubię o tym mówić.

- Przepraszam.

- Nie masz za co przepraszać. Miałam na myśli, że nie lubię mówić o śmierci Jessego, ale wciąż to robię. Żal niszczy cię od środka, a mówienie pomaga, tak twierdzą mądrzy ludzie.

- Nie chciałam budzić wspomnień...

- Wspomnienia wracają od czasu do czasu - odparła Leah - a ja o Jessem myślę codziennie. Towarzyszy mi ciągle, nie jest wspomnieniem. - Dotknęła sznura ametystów na szyi. - Kupił mi je na wakacjach. Schowałam te ametysty i nie nosiłam zbyt często, dopóki żył. Przynoszą mi spokój.

- Jak możesz czuć spokój? - zapytała Daisy ze zdumieniem.

- Coś w rodzaju spokoju - poprawiła się Leah. - Coś, co daje świadomość, że nie jesteś w stanie niczego zmienić, choćbyś nie wiem jak często budziła się w nocy z krzykiem. Spokój pogodzenia się z faktami. Uczysz się, jak z nimi żyć. - Uśmiechnęła się niewesoło. - Chyba jednak stare banały są najlepsze.

- Tak mi przykro.

- Skończyłby w tym roku trzydzieści trzy lata. Polubiłabyś go, Daisy Był wysoki, przystojny, choć może jestem stronnicza - powiedziała z uśmiechem. - W każdym razie moim zdaniem był przystojny. Miał mnóstwo dziewcząt, więc chyba nie tylko ja tak uważałam. Zabawny, mądry, dobry, kochał swojego psa. Wydaję ci się mamusią zakochaną do szaleństwa w swoim synku, prawda? Był doskonały, przynajmniej i dla mnie. Lubił niebezpieczeństwo i to była jego wielka wada. Jazda na nartach po lodowcu, wspinaczka na skały w Utah, wszystko to, co firmom ubezpieczeniowym zapiera dech. Motocykle - dodała na koniec. - Zabił go motocykl.

- Jak sobie z tym radziłaś? - Daisy nie potrafiła sobie wyobrazić, że po takiej stracie człowiek może dalej żyć. Ona by siebie zniszczyła.

- Musiałam się nauczyć polegać na sobie - odparła Leah. - Patrzyłam na siebie i nie podobało mi się to, co widziałam. Z mojego życia odszedł Jesse, a obok mojego męża Sola był jedną z dwóch dobrych rzeczy, jakie mi się przytrafiły. Chciałam ze sobą skończyć, ale nie miałam odwagi połknąć tabletek. Przebywałam w przerażającym miejscu.

Daisy w milczeniu słuchała.

- Przez pierwsze lata egzystowałam z dnia na dzień - ciągnęła Leah. - Moje małżeństwo się rozpadło, to dość powszechne po śmierci dziecka, tak mi mówiono. Potem zaangażowałam się w działania grupy, której celem było uświadomienie ludziom konieczności noszenia przy sobie zgody na oddanie organów. Dla pewnych ludzi to bardzo ważna sprawa. Większość z nas nie zastanawia się nad tym. W moim domu nie rozmawiano przy obiedzie o tym, co stanie się z organami po naszej śmierci. Praca w organizacji dobroczynnej bardzo mi pomogła, czułam, że przyczyniam się do poprawy losu ludzi na świecie, ale to nie wystarczało. Byłam jak... - chwilę szukała odpowiednich słów na opisanie swojego stanu - ...jak narkoman, który wyszedł z odwyku, ale wciąż jest narkomanem, jeśli rozumiesz, co mam myśli. Taki człowiek nie rozwiązał swoich problemów, on tylko na razie nie bierze.

Daisy pokiwała głową. Rozumiała to doskonale.

- I ja to właśnie robiłam - mówiła dalej Leah. - Pozornie żyłam, takie przynajmniej wrażenie sprawiałam na zewnątrz, ale to nie była prawda. W

środku byłam martwa, nie próbowałam się uporać ze swoim żalem. Wszystko potoczyło się źle, rozumiesz. Żadna matka nie powinna przeżyć swojego dziecka.

- Tak mi przykro - powtórzyła Daisy bezradnie. - I tak bardzo wstyd. Myślałam, że to, co mi się przytrafiło, jest najgorszą na świecie, ale się myliłam. Ty przeżyłaś najgorszą rzecz.

- Bezpłodność też jest nieszczęściem - odparła Leah. - Nosisz w sobie wielki żal i nie da się tego naprawić. To tak, jak kobiecie, która poroniła, ludzie głupio mówią: „Urodzisz sobie następne dziecko”, jakby to nowe miało sprawić, że zapomni o tym umarłym. Rodzice wciąż płaczą po małym dziecku, które stracili, jak ty płaczesz po dzieciach, których nie urodziłaś. Rozumiem to. Ale dla ciebie jeszcze nie wszystko stracone, Daisy. Owszem, związek z Alexem jest skończony, ale nikt ci nie powiedział, że nie możesz zająć w ciążę, a gdyby rzeczywiście było to wykluczone, to przecież nikt nie mówi, że nie możesz adoptować dziecka albo stworzyć rodziny zastępczej. Jedynymi ograniczeniami są te, które sama sobie nakładasz. Gdybyś adoptowała dziecko, czy ono nie byłoby twoje?

- Nie. W gruncie rzeczy jeszcze o tym nie myślałam. Założyłam, że najpierw spróbujemy terapii w klinice i zobaczymy, jaki będzie skutek. To był dopiero początek. A przez cały ten czas mój ukochany, który był miłością mojego życia, zdradzał mnie. Inna kobieta zaszła z nim w ciążę. Jestem idiotką.

- Nie jesteś idiotką - zaprotestowała Leah stanowczo. - Kiedy ktoś cię skrzywdzi, czujesz się głupio, bo myślisz, że powinnaś była wcześniej się domyślić. Ale gdybyśmy z góry wiedzieli, co nam się przydarzy, wcale byśmy nie wstawali rano z łóżek. Mówię przez to, że należy otworzyć umysł i serce na wszelkie ewentualności. - Leah spojrzała na zegarek. - Muszę wracać do pracy, Daisy. Mamy dzisiaj bardzo miłych gości, powinnaś się do nich przyłączyć, wziąć kilka zabiegów i gorącą kąpiel.

- Poprzednia nie zrobiła mi najlepiej - powiedziała Daisy, myśląc o pierwszym pobycie w ośrodku. Kilka dni później ona i Alex poszli na wizytę do kliniki i od tego wszystko zaczęło się rozpadać.

- Wtedy nie byłaś jeszcze gotowa.

Daisy stanął przed oczami jakiś mglisty obraz, ale nie potrafiła sobie przypomnieć, o co właściwie chodzi.

- Tylko że nie zrobiłam rezerwacji.

- Zawsze mamy miejsce dla kogoś w wielkiej potrzebie - uśmiechnęła się Leah.

Rozdział siedemnasty

Tego samego dnia o ósmej rano Mel pojechała na stację po Caroline. Obie zamierzały spędzić czas na zabiegach we Wzgórzu Obłoku.

Przed południem dziewczynki zostawały z Lyndą po południu zastępowała ją Karen. Synów Caroline ze szkoły odbierała siostra Grahama.

- Dyplomatycznie - ocenił Adrian, kiedy Mel przedstawiła mu plan opieki nad córkami.

- Wczoraj udoskonaliłam swoje umiejętności mediatorskie, kiedy Carrie i Sara z niewyjaśnionych powodów równocześnie chciały się bawić tym samym Teletubisiem. Prawie doszło do wojny, a ja ją zażegnałam.

- Jak?

- Zabrałam Tinky Winky, włączyłam Dorę odkrywczynię w telewizji i sprawiedliwie rozdzieliłam mleko i herbatniki.

- Na twoim miejscu kandydowałbym na prezydenta - wyszczerzył zęby Adrian. - Masz mój głos.

Mel wciąż się uśmiechała, kiedy zobaczyła idącą peronem Caroline z małą walizką w dłoni.

- Cześć! - zawołała Mel wesoło i zaraz zamilkła. Zamiast podniecenia czekającymi ją przyjemnościami, na twarzy Caroline malowało się znużenie. Oczy miała czerwone, jakby płakała przez całą drogę z Dublina.

- Co się stało? - Mel przez głowę przemknęła wizja wielkiej kłótni Caroline z Grahamem, co zniweczyłoby ewentualne dobroczynne skutki zabiegów w ośrodku.

- Wszystko jest w porządku, jak najlepszym porządku - odparła Caroline zduszonym głosem. - Graham jest bardzo zadowolony z mojego wyjazdu. Jego siostra zajmie się dziećmi i już uprzedził, że chyba będzie pracował do późna. - Roześmiała się ponuro, w jej oczach zaszklily się łzy - Chciałabym wiedzieć, dokąd pójdzie dzisiaj wieczorem. Do jakiejś fantastycznej restauracyjki, w rodzaju tych, do których mnie dawniej zabierał, albo do eleganckiego hotelu... z nią. A jego siostra niczego nie będzie podejrzewać. Powie jej, że idzie z klientami na drinka.

- Nie wiesz na pewno, że ma romans - powiedziała Mel. Okoliczności na to wskazują, ale to jeszcze nie znaczy, że tak było naprawdę.

- Wiem, ale...

- Porozmawiamy w samochodzie. - Mel objęła i uściskała przyjaciółkę. Biedna Caroline.

- Wiem, że nie powinnam płakać, ale nie potrafię się powstrzymać - łkała Caroline.
- Jestem beznadziejna, prawda? Nie mogę w tym stanie iść do luksusowego ośrodka spa.

- Nikt nie zauważy - odparła Mel. - A nawet jeśli, powiesz, że wyciskałaś sobie wągry przed maseczką. To każdego doprowadziłoby do łez.

Nie pamiętała, jak dojechały do Wzgórza Obłoku, tak była zajęta pocieszaniem przyjaciółki. Caroline, skoro już raz zaczęła mówić, nie mogła przestać.

- Czuję się kompletnie niepotrzebna - szlochła. - Jakby to była moja wina. Wiem, zmieniłam się, ale co mogę na to poradzić? Najważniejsze są dzieci. Graham ma dość lat, żeby zadbać o siebie i zrobić sobie kanapkę, jeśli jest głodny, więc się nim nie zajmuję. Ale irytujące jest to, że on się tego domaga. Chce, żebym jemu też matkowała, a ja mam w sobie tyle macierzyńskich uczuć, że wystarcza akurat dla dzieci. On chce, żebym była matką, boginią seksu, kobietą sukcesu, którą kiedyś byłam, a ja nie potrafię...

- Oczywiście, że nie potrafisz - powiedziała Mel energicznie. - Zmieniłaś się. Ja też się zmieniłam, kiedy rzuciłam pracę i zostałam w domu. To wymaga przystosowania się i Graham musi to zrozumieć. - W duchu zmówiła modlitwę dziękczynną, że Adrian należy do mężczyzn rozumiejących. Zmianę w jej życiu przyjął bez problemów. Kocha ją, a nie rolę, którą w danym dniu odgrywa. To prawda, że jeśli ktoś naprawdę szczerze cię kocha, możesz przy nim być sobą. Nigdy nie będzie mogła powiedzieć tego Caroline - zabrzmiałoby to tak, jakby była z siebie ogromnie zadowolona. A ona tylko uważała, że ma wielkie szczęście.
- Uroczo tutaj, prawda? - powiedziała wesoło, parkując przed Wzgierzem Obłoku.

Usytuowany na górskim zboczu ośrodek rzeczywiście prezentował się wspaniale: luksusowy, elegancki i emanujący dziwnym spokojem.

- Pamiętasz, jak wiele lat temu oszczędzałyśmy na zabiegi w Beauty Sessions naprzeciwko biura? - zapytała Caroline tęsknie.

Na początku kariery zawodowej imprezy i czynsz za wspólne mieszkanie pochłaniały większość ich zarobków, ale wciąż udawało im się znaleźć pieniądze na depilację i zabiegi oczyszczające.

- To był cudowny okres - dodała Caroline. - Myślałam, że ułożyłam sobie życie.

- I znowu tak będzie - powiedziała Mel. Miała nadzieję, że się nie myli.

Po trzech dniach spędzonych we Wzgierzach Obłoku Cleo czuła się naprawdę odprężona. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że przyjechała tutaj napięta jak cięciwa. Chodziła na długie spacer, bo przyjemność sprawiało jej wspinanie się

na Carraig i spoglądanie w dół na rozciągające się w oddali Carrickwell. Pozostali członkowie personelu przyjęli ją bardzo miło. Wszyscy szaleli za Leah.

Niall, który pracował przy remoncie jako murarz, a teraz pełnił funkcję złotej rączki w ośrodku, powiedział Cleo, że pani Meyer udzieliła mu najlepszej rady, jaką w życiu słyszał. Chodziło o to, że jego matka i dziewczyna, z którą chciał się ożenić, nie przepadały za sobą. Wiedział, że kiedy powie matce o swoich planach, ta wpadnie w gniew. Skoro teraz obie pały do siebie taką wyraźną niechęcią, to na co mógł liczyć w przyszłości?

Pani Meyer powiedziała, że wygląda na to, iż każda z nich, matka i dziewczyna, chce być jedyną kobietą w życiu Nialla. A to nie w porządku.

- Poradziła mi, żebym je zaprosił na rozmowę i powiedział, że obie kocham i dłużej nie będę znosił ich dziecinnych zachowań, i że mają się pogodzić, bo obie są dla mnie ważne - mówił z ulgą Niall. - I to podziałało! Nie wiem jak, ale podziałało!

- Rozumiem - odparła Cleo, myśląc o długich rozmowach z Leah. Nie była pewna, jak Leah to się udaje, ale tak długo delikatnie naciskała, aż człowiek sam znajdował rozwiązanie swoich problemów, w dodatku takie, o którym od dawna wiedział. Cleo zaczynała układać plany na przyszłość. Najpierw "porozmawia z Jasonem i Barneyem, później zadzwoni do rodziców. Kocha ich i musiała stracić rozum, skoro pozwoliła, żeby między nimi stanęła ta rodzinna kłótnia.

- Musisz przyjechać do Wzgórza Obłoku, spodoba ci się tu, zobaczysz - powiedziała w czasie rozmowy telefonicznej z Trish. - Załatwię ci rabat. Znowu miałam hinduski masaż głowy i...

- Hinduski masaż głowy jest nieważny - przerwała jej Trish. - Tyler dzwonił do domu. Szukał cię.

- Co? - Cleo nie wierzyła własnym uszom. - Skąd miał numer?

- Podejrzewam, że z hotelu. Mają przecież twoje dane, a każdą informację można kupić, jeśli naprawdę się chce - oznajmiła Trish ze znanstwem. - Już wcześniej mówiłam, że niczyja tożsamość nie jest bezpieczna. Z chwilą gdy twoje dane znajdą się w jakimś komputerze, każdy może się włamać i wszystkiego się o tobie dowiedzieć.

- Trish, musisz przestać czytać sensację - westchnęła Cleo. - Co powiedział Tyler?

- Poczula dreszcz podniecenia na wieść, że próbował się z nią skontaktować.

Obchodziła go! Nie traktował jej jako kolejnej dziewczyny w kolejnym mieście. A może powodem było to, że nie uprawiał z nią seksu, a nie potrafił rozstać się z żadną dziewczyną, dopóki jej nie bzyknął?

- Ja z nim nie rozmawiałam, tylko Ron - wyjaśniła Trish.

- Odebrał Ron? - Cleo mogła sobie wyobrazić wnioski, które wyciągnął Tyler, kiedy jej domowy telefon odebrał mężczyzna.

- Poznał Rona, kiedy przyszliście do Shepard, więc domyślił się, że wszyscy mieszkamy razem.

I tyle zostało z roztoczonej przed Tylerem eleganckiej wizji domu za miastem, wynajmowanego z przyjaciółką. - I co dalej?

- I Ron mu powiedział, że wróciłaś do Carrickwell, jakby cię kto gonił, a poza tym byłaś wściekła, bo jakiś okropny drań kupił hotel należący do twojej rodziny i chce go zburzyć, a ty postanowiłaś rzucić się pod buldożery, żeby go powstrzymać.

- Nie! - Cleo miała tylko nadzieję, że zdaniem Trish to niezły żart.

- Niestety, to prawda - odparła Trish przepraszająco. - Ron nie należy do bystrzaków. Nagadałam mu ile wlezie, mówiłam, że nigdy nie powiedziałaś, że rzucisz się pod buldożery, ale on twierdzi, że jego zdaniem jesteś do czegoś takiego zdolna.

- A potem co? Co jeszcze powiedział Tyler?

- Zapytał, czy chodzi o hotel Willow, a Ron, jak ostatni kretyn, potwierdził i dodał, że sprzedano go za twoimi plecami.

- Nie chcę dłużej tego słuchać - jęknęła Cleo. - Nie, chcę. Jak zareagował Tyler?

- Ron nie należy do facetów nastawionych na odbiór niuansów emocjonalnych innych ludzi - zauważyła Trish. - „Pogadajmy” w ustach kobiety to według niego szyfr oznaczający: „Mam poważny wewnętrzny problem i chcę, żebyś wyłączył mecz, bo zaraz cię zadreczę szczegółami”.

- Prawda - zgodziła się Cleo. - Czy Tyler powiedział, że wybiera się do Carrickwell, żeby się ze mną zobaczyć? - Miała nadzieję, że tak.

- Nie, za to obaj wybierają się na mecz Aussie Rules, kiedy Tyler znowu tu przyjedzie.

- Cudnie. Po prostu cudnie. Męska przyjaźń w najbardziej pierwotnym wydaniu. Wciąż ponuro o tym rozmyślała, kiedy przez frontowe drzwi weszły dwie kobiety. To był pierwszy poranek Cleo w recepcji i praca sprawiała jej wielką przyjemność. Ludzie cieszyli się z pobytu tutaj, spodziewając się dnia wypełnionego czystym relaksem. Nikt nie wbiegał, zirytowany spóźnionymi lotami i korkami, przez które nie mógł zdążyć na ważne spotkanie.

- Dzień dobry - powiedziała wesoło. - Witamy we Wzgórzu Obłoku. Czym mogę paniom służyć?

- Mel Redmond i Caroline Casey, mamy rezerwację - odparła niższa z kobiet, z twarzą w kształcie serca i ogromnymi niebieskimi oczami. Była śliczna i pełna życia, z jasnymi włosami układającymi się niesforne na głowie. Cleo chętnie wypróbowałaby taką fryzurę u siebie, gdyby nie wiedziała, że jej włosy się temu sprzeciwią.

Przyjaciółka blondynki, sprawiająca wrażenie, że przed chwilą dostała straszną wiadomość, oparła się o biurko, jakby nie potrafiła utrzymać się na własnych nogach. Cleo szybko odszukała rezerwację.

- Proszę tu podpisać... - zwróciła się do blondynki. - Za dwadzieścia minut mają panie pierwszy zabieg. Może teraz pójdą panie do saloniku i odprężą się, a ja przyślę kawę i ciastka? - zaproponowała uprzejmie.

- Dziękuję - odparła Mel z wdzięcznością.

- Pani ma rezerwację najpierw na aromaterapię twarzy z Li-Chan, a pani Casey na holistyczną terapię całego ciała przy użyciu glinek.

- Brzmi cudownie - stwierdziła Mel.

- I jest cudowne - powiedziała Cleo. - A niech pani tylko poczeka, jak zrobią pani refleksologię. Miałam ją wczoraj, jest niesamowita. Wyfrunie pani z pokoju.

Potem przyjdzie kolej na masaż i manikiur parafinowy.

Mel uśmiechnęła się szeroko. i

- Nie mogę się doczekać - westchnęła.

O piątej po południu Leah była zmęczona. Nie miała już tyle sił co dawniej, w czasach, kiedy Jesse był dzieckiem.

Od rozmowy z Daisy wiele myślała o synu. Co nie znaczy, że codziennie nie był z nią, w jej myślach i sercu. Ale to był dorosły Jesse, ten, który umarł. Słuchając, jak Daisy opowiada o swej tęsknocie za dzieckiem, przypominała sobie syna jako małego chłopca i zadziornego nastolatka. Wspominała te szczęśliwe lata, kiedy ona, Sol i Jesse jeździli na narty nad jezioro Tahoe. Wstawali wcześnie, cały dzień spędzali na stoku, wieczorem wracali do domu szczęśliwi i wyczerpani. Siedzieli w gorącej kąpieli, patrzyli na jezioro i rozmawiali.

Jesse uwielbiał jazdę na nartach. Niczego się nie bał. Jako sześciolatek był już wytrawnym narciarzem.

- Mamusiu, patrz! - krzyczał, a jego brązowe oczy wesoło połyskiwały, kiedy wykonywał manewr, którego Leah nie odważyłaby się powtórzyć.

Zatrzymywali się w przestronnym i wygodnym domku należącym do matki Leah, Vanny. Sama nie była w nim od lat, ponieważ wolała upaść Los Angeles, chociaż nigdy nie wystawiała twarzy do słońca.

Słońce strasznie przyspieszało starzenie. Vanna, niegdyś gwiazda filmów klasy B, która została królową popołudniowych telenoweli, uczyła córkę, jak chronić twarz przed słońcem.

- Twarz jest twoją fortuną - mówiła i wierzyła w to z religijną żarliwością. - Rób wszystko, żeby zachować młodość, bo kiedy ona minie - przesunęła palcami po swojej twarzy z wysokimi kośćmi policzkowymi i blaknącą urodą - wszystko się kończy.

Niewykluczone, że Leah stałaby się taka jak matka, dla której najważniejsze były pozory i świat rzeczy materialnych, gdyby nie Sol i Jesse.

Sol Meyer był właścicielem sieci sklepów meblowych. Leah poznała go, kiedy miała dwadzieścia pięć lat.

- Więc nie jest z branży? - zapytała matka przerażona, kiedy dowiedziała się, że Leah spotyka się z tym mężczyzną. „Branża” to był przemysł filmowy. Ktoś, kto nie należał do branży, zupełnie się nie liczył.

- Ja też nie jestem z branży - zauważyła wtedy Leah. - I kocham go. Matka teatralnie machnęła idealnie wypielegnowaną dłonią.

- Zobaczymy. Szybko wróci ci rozum.

Ale Leah rozum nie wrócił. Wyszła za Solą, a kilka lat później urodził się Jesse. Mieszkali na przedmieściach Carmel. Jesse chodził do miejscowej szkoły, firma Soli kwitła.

Stali się bogaci, ale nie wpłynęło to na ich życie: wciąż było ciepłe, dobre, miłe. Jesse w collegeu studiował inżynierię lotniczą. Interesował go program badania kosmosu i wiele razy brał udział w wyprawie Mission Control w ośrodku NASA w Houston.

- Popatrz, mamó - mówił w bezchmurne noce, kiedy stali na tarasie. - Spójrz na gwiazdy. Oto świat, który musimy zbadać. Ludzkość poznała zaledwie ułamek kosmosu. Tak wiele jeszcze przed nami.

Leah, pod którą uginały się nogi na ruchomych schodach, na myśl o ukochanym synu w kosmosie zadrżała. Trzeba jednak pozwolić innym żyć tak jak chcą.

Telefon zadzwonił wcześniej rano. Ze szpitala dzwonił przyjaciel Jessego, Carl. Jacyś smarkacze w kradzionym samochodzie zajęchali Jessemu drogę, musiał skrócić i rozbił się o mur.

Personel w szpitalu cudownie odnosił się do Leah i Solav

Technicznie rzecz biorąc, Jesse wciąż żył. Na tym polegał problem. Jego mózg przestał funkcjonować. Jesse nigdy nie wróci do zdrowia, nigdy nie będzie Jessem - nigdy. Pytanie brzmiało: czy rodzice pozwolą lekarzom wykorzystać

organy syna? Porażający wybór. Twój syn nie żyje, ale może pomóc innym ludziom. Przeszczep rogowki, przeszczep wątroby, płuca, skóra - lista ciągnęła się bez końca. Leah dowiedziała się później, że personel szpitala nazywa motocyklistów dawcami organów, ponieważ tak wielu z nich ginie w wypadkach. Uginając się pod ciężarem żałoby, oboje z Solem próbowali odpowiedzieć sobie na pytanie, czego od nich oczekowałyby Jesse. Nie był to temat rodzinnych rozmów. W końcu pomógł im Carl. Chociaż był w szoku, nie chciał wracać do domu, bo państwo Meyerowie potrzebowali wsparcia. W pewnym momencie wspomniał o darowiznie, którą niedawno przekazał Jesse na cele dobroczynne.

- Dziesięć patyków dla dzieci chorych na raka. Naprawdę się w to zaangażował. Przypuszczam, że oddałby organy, gdyby to od niego zależało. Wie pani, dalej by żył, jego duch pozostałby w ciele innego człowieka...

Jesse z sympatią powtarzał, że Carl mówi jak hippis.

Leah i Sol zgodzili się przekazać organy Jessego oczekującym biorcom. Carl objął Leah, trochę tak jak Jesse mógłby ją objąć, i ze łzami w głosie powiedział:

- Zyskał więcej czasu.

Dwanaście osób skorzystało na śmierci Jessego Meyera, która okazała się początkiem dla nich i dla Leah. Kiedy Jesse umarł, musiała sama na nowo nauczyć się żyć, a nie miała pojęcia, jak to zrobić. Nie wiedziała, kim jest, gdzie przebywa, czym się zajmuje.

Oboje z Solem zamieszkiwali oddzielne, wypełnione cierpieniem światy. Nim minął rok, rozstali się po dwudziestu sześciu latach małżeństwa, ponieważ nie radzili sobie z bólem własnym i tej drugiej osoby. Za każdym razem, kiedy Leah siadała z mężem do kolacji, myślała, że powinien z nimi być także Jesse, i wybiegała z jadalni, żeby się wypłakać.

Nie przypuszczała, że nauczy się na nowo żyć. Próbowwała wszelkiego rodzaju terapii, uzdrawiających diet, rekolekcji prowadzonych przez telewizyjnych kaznodziejów - wszystkiego. W końcu przyjaciółka zabrała ją do ośrodka spa w Arizonie, znajdującego się w odległym, spalonym słońcem miejscu, które sprawiało wrażenie, jakby Bóg stworzył je na samym końcu: nietknięte przez cywilizację, piękne w swej dzikości. Tam, w kurzu i upale, daleko od pułapek dawnego życia, Leah wrócił spokój.

Wiele różnych osób przyjeżdżało na Wzgórze Obłoku - bo tak brzmiała stara indiańska nazwa tego małego, skalistego skrawka ziemi - żeby odzyskać siły po chorobie albo emocjonalnym dramacie. Właścicielka, Indianka imieniem Sequoia, kobieta bez wieku, miała różnych klientów: od bardzo bogatych, którzy

lądowali na prywatnym lotnisku własnymi odrzutowcami, po bardzo biednych, których nie byłoby stać na pobyt, gdyby Sequoia nie zarządzała ośrodkiem w taki sposób, że ci pierwsi płacili za tych drugich. Pierwszy tydzień Leah spędziła z dwiema nastolatkami ze Wschodniego LA, które walczyły o powrót do zdrowia po zerwaniu z narkotykami, a na spacerach chodziła z komikiem z Nowego Jorku, uzależnionym od jedzenia po śmierci ukochanej matki. Sequoia powiedziała, że Wzgórze Obłoku magiczną sztuczką nie zlikwiduje problemów tych ludzi, ale wszystko wskazywało na to, że pobyt tutaj pomagał.

- Dobrze radzisz sobie z ludźmi - dodała Sequoia. - Jesteś miła, dobra, poznałaś cierpienie. Nie wyciągniesz ludzi z otchłani, jeśli sama w niej nie byłaś.

Chciałabyś zostać tutaj i pracować?

W rezultacie Leah pozostała na Wzgórzu Obłoku przez dwa lata. Nauczyła się, że pomaganie innym pomaga jej samej, dowiedziała się też, że ma talent do pomagania innym. Wiedziała, że cierpienie nigdy jej nie opuści, a gdyby miała skłonność do nałogów jak Daisy i wiele innych ludzi, których spotkała przez te dwa lata na Wzgórzu Obłoku, uciekłyby się do leków albo alkoholu. Potrafiła zrozumieć potrzebę zablokowania bólu, ale on wciąż był, kiedy człowiek budził się rano. Trzeba znaleźć inny sposób na poradzenie sobie z nim.

Pewnego dnia powiedziała Sequoi, że pragnęłaby otworzyć własny ośrodek spa w innym uzdrawiającym miejscu.

Wiele czasu zajęło jej znalezienie odpowiedniego miejsca: spokojnego i emanującego uzdrawiającymi fluidami. Stary dom Delaneyów na górze Carraig okazał się idealny. A w końcu i nazwa stała się oczywista: Wzgórze Obłoku.

- Wzgórze Obłoku w Arizonie i Wzgórze Obłoku w Irlandii - powiedziała Sequoi.

- Mogę wykorzystać tę nazwę?

- Oczywiście. Oba miejsca będą jak bliźniacze gwiazdy na niebie, oświetlające ludziom drogę - odparła Sequoia.

Leah przypomniała sobie o miłości Jessego do gwiazd i tym, co znajdowało się za nimi, i pomyślała, że Sequoia trafiła w sedno. Rozległo się pukanie do drzwi biura.

- Leah - powiedziała Cleo - weźmiesz gorącą kąpiel?

- Tak. Pytałam już Daisy, czy się do nas przyłączy.

- Doskonale - odparła Cleo, która poznała Daisy ubiegłego wieczoru przy kolacji. - Zostały jeszcze dwie klientki, Mel Redmond i Caroline Casey. One też wezmą tę kąpiel. Przed chwilą spotkałam Mel w przebieralni.

- Do zobaczenia o piątej - odparła Leah.

Pokój kąpielowy skierowany był na południowy zachód, kiedy więc wieczorne słońce chowało się łagodnie za horyzont, jego promienie wpadały przez wielkie

przesuwane drzwi. Drzwi były otwarte, wpuszczając wieczorny upał, który mieszał się z ciepłą parą unoszącą się z gorącej wody.

Mel z rozkoszą zanurzyła się w wodzie. Czuła się doskonale, chociaż nie była pewna samopoczucia Caroline. Obie spędziły cudowny dzień, wzięły mnóstwo zabiegów, ale Caroline wciąż była przygnębiona.

Podczas lunchu Mel uznała, że dość już tego i postanowiła rozweselić Caroline. Potem jednak zobaczyła, jak przyjaciółka z roztargnieniem obraca na palcu obrączkę, i poczuła wyrzuty sumienia z powodu własnego zniecierpliwienia. Caroline pragnęła uratować swoje małżeństwo i nie zamierzała wyciągać pochopnych wniosków: Mel wiedziała, że to bardzo odważna postawa.

Teraz Caroline siedziała naprzeciwko niej, opierając głowę na krawędzi wanny.

Oczy miała zamknięte. - Była z nimi jeszcze jedna kobieta. Młodsza od Mel, ponętna i seksowna, z kremową skórą i naturalnymi rudymi lokami zwiniętymi w węzeł na głowie.

Obdarzyła Mel i Caroline nieśmiałym uśmiechem, kiedy weszły do wanny, potem oparła się i także zamknęła oczy.

Zamknięte oczy to bardzo łatwy sposób na uniknięcie rozmowy w tak ciasnej przestrzeni.

- Ktoś ma ochotę na sok? - Wysoka dziewczyna, która rano pracowała w recepcji, weszła z tacą z dzbankami i szklankami. Mel wydawało się, że na imię ma Cleo.

- Pomarańczowy, mango i - Cleo wyszczerzyła zęby - dla tych, które potrzebują dreszczu podniecenia: sok z męczennicy.

Pozostałe trzy kobiety roześmiały się.

- To jedyny dreszcz, jaki ostatnio mi się trafia - ciągnęła Cleo, odstawiając tacę.

- W życiu w to nie uwierzę - powiedziała Mel sucho. - Założę się, że jestem tu najstarsza. Takie młode dziewczyny jak wy powinny mieć mnóstwo dreszczy.

- Niemożliwe, żebyś była najstarsza - zdumiała się Cleo. Mel wyglądała najwyżej na trzydzieści pięć lat. Całą sobą dawała do zrozumienia, że nie zamierza przedwcześnie się postarzeć.

- Owszem, jestem - odparła Mel. - Skończyłam czterdziestkę. A ty masz ile... dwadzieścia cztery?

- To aż takie oczywiste? - roześmiała się Cleo. - W pracy staram się wyglądać na dojrzałą. Mam dyplom z zarządzania hotelami i sprawianie wrażenia starszej pomaga.

- W takim razie to jedyna praca, w której tak jest - powiedziała Caroline. - Mogę prosić o sok z męczennicy?

- Ja też - odezwała się Daisy. - Mylisz się - zwróciła się do Mel. - Na nic innego nie mogę liczyć, więc proszę o wielką szklanę, Cleo.

Cleo podała kobietom sok i sama weszła do wanny. Zapadło przyjemne milczenie, które po dłuższej chwili przerwała Caroline:

- Nie zdawałam sobie sprawy, że gorąca kąpiel może być taka odprężająca. Nigdy wcześniej nie wydawała mi się pociągająca, ale koi nerwy, prawda?

- Wiem, co masz na myśli - odparła Daisy. - Kiedy byłam tu pierwszy raz, Leah powiedziała, że to specjalna kąpiel, Gorąca Kąpiel Prawdy. Albo Szczerości?

- Mnie powiedziała, że Prawdy - odezwała się Cleo.

- Woda sprawia, że mówisz prawdę? - roześmiała się Caroline. - W takim razie ta wanna musiała słyszeć sporo sekretów. Nie sądzę, żeby interesowały ją moje.

- Trzeba było szczerze powiedzieć, czego najbardziej na świecie się pragnie - wyjaśniła Daisy. Myślała o swoim niewinnym kłamstwie, kiedy była tu z Mary i Paulą. Powiedziała, że najbardziej chciałaby jeść tyle czekolady, na ile ma ochotę.

- Pamiętacie grę w prawdę, kiedy byliście nastolatkami? - zapytała Cleo.

- Nie znosiłam jej - wzdrygnęła się Mel. - Ludzie starali się podstępem skłonić cię do ujawnienia różnych intymnych rzeczy. Nie miałaś nad tym żadnej kontroli.

- Nigdy w to nie grałam - odezwała się Daisy. Tłustych dziewcząt nie zapraszano do zabaw z tak wyraźnie seksualnymi podtekstami. Pod wodą dotknęła wałka tłuszczu na brzuchu. Ciągle przybierała na wadze. Będzie musiała wymienić całą garderobę.

- Och, Daisy, na pewno grałaś - powiedziała Cleo. Daisy pokręciła głową.

- Mel, pamiętasz naszą wersję tej gry? - zapytała Caroline, po czym wyjaśniła pozostałym: - Pracowałyśmy razem i świetnie się bawiłyśmy. Teraz jesteśmy nudne i stateczne. Mam troje dzieci i jestem pełnoetatową matką. - Spojrzała wyzywająco na Cleo i Daisy, jakby prowokując je do negatywnych uwag o kobietach zostających w domu z dziećmi.

- Ja też niedawno zrezygnowałam z pracy - wtrąciła Mel pośpiesznie. Zauważyła, że Caroline nie wspomniała, że jest mężatką. - Mam męża i dwie małe córeczki, Sarę i Carrie.

Powstrzymała się od dodania: „Pracowałam w Lorimarze”. Tego rodzaju uzasadnienia należały do przeszłości. To, kim dawniej była, nie miało znaczenia. Liczy się to, kim jest teraz. Nie potrzebuje pracy, żeby się samookreślić.

- To musi być cudowne: poświęcić się wyłącznie wychowaniu dzieci - powiedziała Daisy z zazdrością. - Kocham dzieci, ale... - przerwała. O mało nie użyła wymijającego zwrotu w rodzaju „jakoś się nie trafiło”. Po co kłamać?

Dokąd doprowadziły ją kłamstwa? - Niedawno rozstałam się z partnerem, akurat kiedy mieliśmy rozpocząć terapię w klinice leczenia bezpłodności, bo nie mogłam zajść w ciążę, więc aktualnie dzieci nie wchodzi dla mnie w grę.

- Biedactwo - powiedziała Mel ze współczuciem.

- Co się stało? - Po raz pierwszy tego dnia Caroline sprawiała wrażenie, że zapomniała o własnych problemach.

- Powiedział, że musimy od siebie odpocząć.

- A tak, już to słyszałam - stwierdziła Cleo ze złością.

- Typowe dla facetów, cholera - dodała Caroline. Daisy wzruszyła ramionami i zsunęła się tak, że tylko głowa wystawała jej ponad powierzchnię.

- Myślałam, że przeraziła go terapia, ale okazało się, że zakochał się w koleżance z pracy. Była w ciąży. Jest w ciąży.

Caroline wstrzymała oddech.

- To straszne - powiedziała Mel.

- Okropne. - Cleo zbladła jak ściana. - Nie miałam pojęcia, Daisy. Wczoraj przy kolacji Leah powiedziała, że musisz odzyskać siły po przejściach, ale do głowy by mi nie przyszło, że to taka poważna sprawa. Taka zdrada!

Sądziła, że kiedy bliscy odwrócili się do niej plecami, popełnili najgorszy rodzaj zdrady. Myliła się. Pokłócili się, ale droga do zgody pozostała otwarta. To Cleo uznała, że rodzina musi się poddać, w przeciwnym razie będzie to znaczyło, że jej nie kochają. A gdyby tak na zimno odsunęli się od niej, jak zrobił partner Daisy?

- Co zrobisz? - zapytała. - On mieszka z tamtą, tak? Daisy kiwnęła głową.

- On ją kocha.

- Tak mi przykro - powiedziała Mel współczująco. - To musi być dla ciebie bardzo trudne. - Daisy była śliczna, bardzo seksowna i ponętna, ale też krucha i bezbronna. Mel sądziła, by wielu kobietom udało się wyglądać seksownie w gorącej kąpieli z upiętymi włosami, a Daisy jakoś ten efekt osiągnęła.

- I tak nie chciałabyś, żeby wrócił - oznajmiła Cleo. Kilka dni temu Daisy dokładnie wiedziała, czego pragnie.

- Zanim tu przyjechałam, przyjąłabym go z powrotem - przyznała. - Niezależnie od okoliczności. - Dobrze było powiedzieć to na głos, przypomnieć sobie, jak beznadziejnie uzależniona była od Alexa.

- Nie mogłabyś go przyjąć - zaprotestowała Cleo żarliwie. Sama w żadnym razie nie zgodziłaby się na rolę tej drugiej. Miłość powinna być stuprocentowa albo nie ma najmniejszego sensu. - A tamta kobieta i dziecko? Oboje przecież zawsze by byli.

- Głupio myślałam, że mogłaby gdzieś się przeprowadzić, chociaż on brałby udział w wychowaniu dziecka, bo tak należałoby postąpić - odparła Daisy. - Ale mielibyśmy nasze dziecko, a on wciąż byłby mój. Stworzylibyśmy rodzinę i to byłoby najważniejsze.

- I nigdy nie patrzyłabyś na niego w środku nocy i nie zastanawiałabyś się, z jakiego powodu uśmiecha się przez sen? - zapytała Cleo. - Bo ja tak.

Mel chciała zadać to samo pytanie, ale uznała je za nazbyt osobiste, zwłaszcza że siedząca naprzeciwko Caroline była bliska łez.

- Byłby ze mną - powiedziała Daisy, jakby to wystarczało. - Tak przynajmniej myślałam - dodała zaraz. - Wiem, że nic by z tego nie wyszło. To z mojej winy nie mogliśmy mieć dziecka. Alex właśnie to udowodnił. Zresztą i tak nie mogłoby być tak jak dawniej. Gdyby Alex chciał spróbować ponownie, pewnie byśmy spróbowali, ale nie chce, więc sprawa załatwiona. - Znowu coś jej się kojarzyło, ale nie wiedziała, o co chodzi.

- Myślisz, że mogłabyś spróbować od nowa, gdyby on tego chciał? - zapytała drżącym głosem Caroline.

- Może. Kto wie? - odparła Daisy.

- Rzecz w tym... - Caroline sięgnęła po leżący na brzegu ręcznik, żeby wytrzeć oczy. - Myślę, że mój mąż ma romans, i nie wiem, co z tym począć.

Mel wstrzymała oddech.

- Myślisz? - Cleo pochyliła się ku niej. - Ja zażądałabym, żeby powiedział mi prawdę. Gdyby się okazało, że ma romans, wyleciałby w jednej chwili na ulicę razem ze wszystkimi swoimi rzeczami! I zabrałabym mu portfel, żeby nie miał grosza przy duszy i musiał żebrać u przyjaciół. Niech sam zobaczy, jak smakuje upokorzenie!

Mel wybuchnęła śmiechem. Nie mogła się powstrzymać. Cleo była zabawna i z ogniem wyrażała swoje przekonania.

- Przepraszam, Cleo - powiedziała. - To błyskotliwy plan, ale mógłby się nie powieść. A co, jeśli... - Spojrzała na Caroline i przyszło jej na myśl, jak bardzo są różne. Cleo, młoda i impulsywna, wyrzuciłaby swojego mężczyznę na ulicę, podczas gdy Caroline gotowa była za wszelką cenę utrzymać małżeństwo dla dobra dzieci. - A jeśli miałabyś dzieci i wciąż byś go kochała?

- To by zależało od jego uczuć do ciebie - powiedziała Daisy z namysłem. - Gdyby chciał zacząć od nowa i ty też byś tego chciała, mogłabyś się zgodzić. Wasz związek byłby inny i minęłoby wiele czasu, zanim znowu byś mu zaufała, ale mogłabyś to zrobić. - Uświadomiła sobie, że gdyby Alex do niej wrócił, wiele rzeczy w ich związku musiałyby ulec zmianie. Gdyby pozostała biernym, mniej ważnym partnerem, natychmiast wróciłiby do punktu wyjścia: Alex

sprawowałby władzę, a ona na każdym kroku starałaby się go zadowolić, bo tak rozpaczliwie pragnęła być kochana.

- Nie wiem, czy Graham jeszcze mnie kocha ani czy chce być moim mężem - odparła Caroline cicho.

- Zapytaj go! - Cleo cała sprawa wydawała się oczywista. - Nie marnuj czasu, po prostu go zapytaj.

- Masz całkowitą rację - stwierdziła Caroline. - Zapytam. Jutro, jak tylko wrócę do domu. - Spojrzała na Mel, szukając u niej potwierdzenia, że to dobry pomysł.

Mel współczująco kiwnęła głową.

- Jesteś winna samej sobie prawdę, Caroline. Problem nie zniknie, jeśli będziesz go ignorowała. Wiem, że chcesz zrobić to, co najlepsze dla dzieci, ale przymykanie oczu też nie jest dla nich dobre. - Postanowiła mówić szczerze i miała tylko nadzieję, że nie obrazi przyjaciółki. - Dzieci są bardzo wrażliwe, czują, jeśli w małżeństwie rodziców źle się dzieje. Więc nie tylko sobie, ale im też jesteś winna prawdę. Jesteś wspaniałą matką i bardzo cię podziwiam... - Powiedziała już dość, chyba nawet za dużo.

Caroline przygryzła wargę, ale dzielnie kiwnęła głową i cichutko szepnęła:

- Dziękuję.

- Nie rób czegoś, czego nie chcesz, tylko dlatego, że ja tak mówiłam - odezwała się Cleo skruszona, widząc zdenerwowanie Caroline. - Jestem typem, co to wszystko albo nic, a ostatnio ciągle dokonuję złych wyborów. W ciągu kilku ubiegłych miesięcy strasznie pokłóciłam się z rodziną i zostawiłam jedyne go mężczyznę, na widok którego serce biło mi szybciej, ponieważ wtedy wydawało mi się, że inaczej nie mogę postąpić. Cleo Superbohaterka! Jednym gestem niszczy związek!

- Nie może być aż tak źle - powiedziała Mel, zadwołona ze zmiany tematu.

- Ale jest - westchnęła Cleo. - Widzicie, poznałam cudownego faceta - zaczęła, po czym opowiedziała im całą historię. - Myślałam, że Tyler mnie okłamał, a moja przyjaciółka Trish ciągle mnie pytała: po co miałyby to robić? Jest absolutną mistrzynią w snuciu teorii spiskowych, więc jeśli uważała, że był szczerzy, powinnam była jej słuchać. Ale tak się rozgniewałam, kiedy zobaczyłam plany przebudowy Willow w hotel sieci Roth, że po prostu od niego wybiegłam.

- I od tego czasu z nim nie rozmawiałaś? - zapytała Daisy. Cleo pokręciła głową.

- Nie dałam mu numeru mojej komórki, bo widywaliśmy się codziennie, zawsze mógł mnie złapać w recepcji, a ja znałam numer do jego pokoju. Tak czy owak wszystko zepsułam. Teraz na pewno go nie interesuję. To już przeszłość - oznajmiła stanowczo. - A ja nie oglądam się za siebie.

- A co z twoją rodziną? - zapytała Daisy.

- Zadzwońię do nich - odparła Cleo. - Ale najpierw muszę porozmawiać z braćmi. Żeby oczyścić atmosferę.

Caroline kiwnęła głową.

- Ja też muszę oczyścić atmosferę. - Spojrzała na Mel przez łyży. - Tak mówiłaś, prawda?

- Caroline, to musi być twoja decyzja i musisz czuć się z nią dobrze - powiedziała Mel, starannie dobierając słowa. - Musisz wszystko przemyśleć i zdecydować, czy to słuszne wyjście. Wiesz przecież, że nie jestem w tych sprawach ekspertem. Popatrz, ile czasu zajęło mi podjęcie najważniejszej decyzji w życiu.

- Dokonałaś słusznego wyboru - powiedziała Caroline. - Jesteś teraz szczęśliwsza.

- Co się stało? - zapytała Cleo. Musiała się dowiedzieć: te kobiety tak wiele przeszły w życiu.

- Stało się to, że byłam pracującą matką, i to mnie przerosło - wyjaśniła Mel sucho.

- Pracowałam w dziale reklamy Lorimaru, agencji ubezpieczeniowej, i uwielbiałam to. Ale wszystko się skomplikowało, kiedy urodziłam Sarę i Carrie. Każdy dzień to była prawdziwa harówka, a ja już nie wyrabiałam. Wiedziałam, jaką chcę być matką i jak ma wyglądać moja kariera zawodowa, ale te dwie sprawy nie pasowały do siebie. To was znudzi - zwróciła się do dwóch młodszych kobiet. - Nie chcecie o tym słuchać.

- Chcemy - nalegała Daisy.

- Tak, mów dalej - poparła ją Cleo.

- Wiele firm nie jest gotowych na zatrudnianie matek - ciągnęła Mel. - Nie dostrzegają, że dzielenie się obowiązkami albo elastyczny czas pracy byłby korzystny dla wszystkich. Widzą jedynie, że matki wychodzą z biura punkt piąta i muszą brać wolne, kiedy dzieci chorują, dlatego też faceci w garniturach są przekonani, że brak im odpowiedniego zaangażowania. Firmom zależy na „graczach zespołowych”, a to oznacza, że odchodzisz od biurka później niż inni, zawsze możesz wyskoczyć do pubu z szefem, udajesz, że poza pracą nie masz życia i oczywiście jutro też zostaniesz na późnej naradzie, ponieważ firma to całe twoje życie. Co jest kompletną bzdurą. Wszyscy mamy życie poza pracą, tylko że kobiety z większą szczerością to przyznają. - Mel coraz bardziej się rozpałała. - A najbardziej sprawę utrudniają kobiety zajmujące wysokie stanowiska kobiety, które myślą, że jedynym sposobem na zrobienie kariery w świecie biznesu jest upodobnienie się do mężczyzn, i pogardzają tymi kobietami, które nie chcą być takie jak one. Miałam taką szefową i nie mogłam oskarżyć jej o

seksizm. Ludzie by mówili: „Jak to możliwe, że kobieta traktuje seksistowsko inną kobietę?”.

- Nie wiedziałam, że tak to wygląda - odezwała się Cleo. Myślałam, że prawo chroni pracujące kobiety. - Usiadła w wannie, poruszona taką niesprawiedliwością.

- Kobiety we wszystkim dorównują mężczyznom -oznajmiła z żarem. - Nie musimy już tego udowadniać. Mamy za sobą feministyczne walki. Nie musimy przykuwać się do torów jak sufrażystki, żeby uzyskać należne nam prawa. Mel westchnęła.

- Pokolenie mojej mamy musiało udowodnić, że dorównuje mężczyznom. Teraz bitwa toczy się o to, że dorównujemy im, ale jesteśmy od nich różne, ponieważ rodzimy dzieci. Na ogół dziećmi opiekują się kobiety i nikt nie próbuje im tego ułatwić.

- Nigdy w taki sposób o tym nie myślałam. - Daisy wyobrażała sobie, że posiadanie dziecka to część szczęśliwego życia, w którym nie będzie żadnych problemów, a ona zabierałaby je do pracy. - Jestem współwłaścicielką sklepu z ubraniami, Georgias Tiara. Przypuszczam, że z tego powodu wychowanie dzieci sprawiłoby mi mniej kłopotów.

- Ale gdybyś nie była współwłaścicielką, tylko pracowałabyś w sklepie, to co wtedy? - zapytała Mel. - Czy przeciętny szef byłby bardziej wyrozumiały, gdybyś musiała wziąć parę dni wolnego, żeby na przykład pójść z dzieckiem do szpitala na operację?

- Nie wiem.

- Mel, jesteś bardziej szczęśliwa teraz, kiedy rzuciłaś pracę? - zapytała Cleo. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że siedziałaby w domu, ale z drugiej strony zawsze zakładała, że wychowa swoje dzieci w Willow, tak jak ją samą wychowano. Teraz to nie wchodziło w grę.

Mel chwilę się zastanawiała.

- Nie muszę poświęcać dzieciom cennego czasu, co oznacza, że próbujesz zmieścić cały dzień w godzinie i wciąż czujesz się winna, podczas gdy twoje dziecko idzie spać zmęczone, zastanawiając się, czemu mama jest taka zdenerwowana - odparła.

- Kiedy pracowałam w Lorimarze, wracałam do domu wieczorem, próbowałam bawić się z córkami, roztrzęsiona kładłam się spać późno i wciąż miałam wrażenie, że wszystko robię źle. Więc tak - uśmiechnęła się - jestem szczęśliwsza. Ale to nie zawsze jest łatwe. Kiedy pracowałam, ciągle czułam się winna. Teraz, kiedy jestem w domu, czuję się winna, podnosząc głos na Carrie i Sarę. Nie mam wolnej chwili, nawet żeby pójść do toalety. I czuję się winna, że nie dołożyłam więcej starań, żeby jednak utrzymać pracę, bo trudno

związać koniec z końcem przy jednej pensji i dziewczynkom może czegoś zabraknąć pod tym względem. Poczucie winy wciąż jest górą.

- Ale - ciągnęła Cleo, chciała bowiem poznać wszystkie fakty - gdyby udało ci się połączyć pracę i dzieci w sposób, który bardziej by ci odpowiadał, chciałabyś dalej wykonywać dawną pracę?

To było pytanie za sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów.

Mel musiała przyznać, że ciągle czegoś brakuje w jej życiu. Tak, ona i Adrian są bardzo szczęśliwi, mają czas dla siebie, ich rozmowy nie ograniczają się wyłącznie do zdawkowych: „Cześć, jak ci minął dzień, w lodówce jest pizza”. I dziewczynki świetnie się rozwijają. Ale... Mel pomyślała, że chyba wie, czym jest ów brakujący składnik: to równowaga.

Nie chciała znowu wskakiwać w koło chomika. Ale chciała wrócić do pracy, tylko że tym razem na własnych warunkach.

- Chcę być przy swoich dzieciach, a równocześnie pracować. Wiele kobiet tak robi, więc musi to być możliwe. Nie wiem tylko, jak to zrobić.

- Ale gdybyś była własną szefową, mogłabyś pracować i być z dziećmi -oznajmiła Cleo z triumfem. - Pracowałabyś w godzinach, które ci odpowiadają, i rozumiałabyś kobiety, które potrzebują elastycznego czasu pracy, żeby właściwie wykonywać swoje obowiązki.

- Dlaczego tego nie zrobisz? - wtrąciła Caroline z zapalem. - Mogłabyś zarządzać firmą z domu i zatrudniać kobiety, którym zależy na pracy na pół etatu.

- Tak - poparła ją Cleo. - To odpowiednia droga.

- I wciąż mogłabyś piec bułeczki, gdyby przyszła ci na to ochota - zauważyła Caroline.

- O jednym zapominacie, dziewczyny: jaką firmę miałabym otworzyć?

- Och - Cleo machnęła lekceważąco ręką - coś wymyślimy

- A może najpierw spróbuję pracy na pół etatu - zastanawiała się Mel - i przekonam się, czy uda mi się połączyć ją z wychowaniem dzieci, a dopiero potem rozpocznę walkę o to, żeby zostać przedsiębiorcą?

- To lepszy pomysł - stwierdziła Daisy rozsądnie. - Możemy spotykać się co miesiąc i sprawdzać, jak sobie radzisz.

- Jak wszystkie sobie radzimy z realizacją naszych planów - dodała Caroline.

- Myślę, że nad swoimi planami zastanowię się jutro - powiedziała Daisy. - Dzisiaj chcę się odprężyć. - Myśl czająca się na obrzeżach świadomości wreszcie nabrała jasności. - Ciągle coś mi się kojarzyło, ale nie potrafiłam sobie przypomnieć, o co chodzi, a teraz już wiem! - oznajmiła podniecona. - Mistrz się pojawi, kiedy uczeń będzie gotowy. Słyszałam to dawno temu i przedtem

myślałam, że to znaczy, że jestem gotowa na urodzenie dziecka, ale teraz sędzę, że chodzi o gotowość do zmian w życiu. Wiem: wyprowadzę się z mieszkania.

Myślałam o tym, bo mieszkanie przypomina mi o Aleksie, ale się bałam. Teraz się nie boję. Jestem gotowa! Gotowa na zmiany.

Pozostałe uniosły prawie puste szklanki z sokiem, o - Za gotowość -powiedziała Mel.

Leah była w ogrodzie, siedziała na małej, rzeźbionej drewnianej ławce tuż pod oknem. Było otwarte, ciszę przerywało jedynie bzyczenie owadów w zachodzącym słońcu, słyszała więc prawie całą rozmowę. Wyszła, żeby naścinać kwiatów, ale postanowiła, że zrezygnuje z wieczornej kąpieli i zostanie w ogrodzie. Cała czwórka doskonale radziła sobie bez niej.

Rozdział osiemnasty

- Jesteś silna, pewna siebie, piękna, mądra... Gadasz do lustra, ty idiotko. I popatrz na ten pryszcz. Daisy westchnęła.

Pomysł, żeby co rano przed lustrem pozytywnie się wzmacniać, w teorii brzmiał wspaniale. W praktyce Daisy czuła się trochę głupio, a co więcej, miała doskonałą okazję przyjrzeć się z bliska swojej twarzy bez makijażu. Jak to możliwe, że wcześniej nie widziała tych porów? Są ogromne. Jak kratery.

Rezygnacja z wina i wypijanie morza wody nie wywarło pożądanego skutku na jej cerę. Nerki i wątroba z pewnością odetchnęły z ulgą, kiedy korkociąg Daisy przeszedł na emeryturę, za to zalewany strumieniami wody pęcherz był w szoku, a wszystkie nieczystości wydostawały się przez skórę na czole. Już zwalczyła trzy wielkie pryszcze, które tam się pojawiły, oraz mniejsze wypryski na brodzie, a teraz kolejny potwór zbierał się tuż nad brwiami. Życie w czystości fatalnie wpływało na jej wygląd. I wciąż miała nadwagę. Wieczorami zamiast butelki wina konsumowała pudełko czekoladek. Minął tydzień od powrotu ze Wzgórza Obłoku i pomimo pryszczu oraz wzmożonego spożywania czekolady Daisy czuła się lepiej. Kupiła kilka nowych ubrań pasujących do jej krągłych obecnie kształtów, rozglądała się też za domami i mieszkaniami na sprzedaż w Carrickwell, zdecydowała bowiem opuścić to, które dzieliła z Alexem.

W centrum Carrickwell było kilka uroczych mieszkań, które wydawały się idealne dla jej potrzeb, ale chociaż Daisy powtarzała agentowi, że domy w gruncie rzeczy jej nie interesują, wciąż myślała o znaku „Na sprzedaż”, który widziała przed chatą w drodze ze Wzgórza Obłoku.

Leah dzwoniła niemal codziennie rano, nim Daisy wyszła do pracy.

- Wciąż jestem smutna - powiedziała jej pewnego razu' Daisy - ale potrafię sobie z tym poradzić. Wiem, że potrafię, wiem też, że ból nie odejdzie, ale wierzę w siebie. Czy to brzmi głupio? - zapytała niespokojnie.

- Wcale nie. Doskonale sobie radzisz, Daisy. Stawiasz czoło przerażającym aspektom swojego życia, a to dodaje sił. Przedtem próbowałaś zagłuszyć emocje, teraz jesteś jak bokser, który mówi: „No, uderz mnie!”.

- I rzeczywiście ciągle obrywam - odparła Daisy szorstko. - Nie wyobrażasz sobie, ile wczoraj wieczorem było w telewizji reklam pieluszek. Gaworzące niemowlęta. To łamie mi serce. A potem był film o matce, której porwano dziecko. Płakałam przez pierwsze pół godziny, bo czułam się tak, jakby moje dziecko także zabrano.

- Rozumiem - powiedziała Leah łagodnie. - Kiedy umarł Jesse, miałam wrażenie, że liczba dwudziestotrzyletnich mężczyzn w Kalifornii czterokrotnie

się zwiększyła. Byli wszędzie: nalewali benzyny do mojego auta, wydawali resztę w sklepie, chodzili po ulicy - szczęśliwi, zdrowi i żywi. To było jak ciągle przypominanie o mojej stracie. Myślałam wtedy: dlaczego żaden z nich nie umarł zamiast mojego syna?

- Leah, nie będę ci się skarżyć. Za wiele przeszłaś, żeby jeszcze słuchać mojego marudzenia. Przykro mi.

- Twoje zwierzenia mi pomagają - odparła Leah z prostotą. - Z większością osób nie potrafię rozmawiać o tym, co czułam po śmierci Jessego. Ale kiedy opowiedziałas mi o Aleksie i smutku, że odebrano ci marzenie o dziecku, wiedziałam, że z tobą to możliwe. Pomagamy sobie wzajemnie.

- Nie będę więcej narzekać - obiecała Daisy. - Kiedy wczoraj wieczorem nie mogłam już dłużej oglądać tego filmu, przełączyłam na wiadomości. Nadawali reportaż o dzieciach w Afryce osieroconych z powodu HIV i AIDS. Wiesz, wtedy zrozumiałam. Ja tu szlocham nad czekoladkami, a tam są te piękne dzieci z najsmutniejszymi oczami, jakie w życiu widziałam, które nie mają nikogo, kto by je kochał, i które musiały patrzeć na śmierć rodziców. Takie rozczulanie się nad sobą jest egoizmem, prawda?

Leah uśmiechnęła się.

- Podziwiam cię, Daisy.

- Podziwiasz mnie? - pisnęła Daisy, uradowana.

- Masz takie dobre, czułe serce. Pewnego dnia będziesz cudowną matką. A nawet jeśli tego dziecka nie urodzisz, i tak będzie twoje.

Daisy ze wzruszenia ścisnęło się gardło.

- Mam taką nadzieję, Leah - odparła wreszcie.

Już z lepszym samopoczuciem, Daisy wróciła do pracy. Zbliżała się pora letniej wyprzedaży w GeorgiasTiara i codziennie zajmowały się wybieraniem towarów do przeceny, oznaczało to ciężką pracę, ponieważ równocześnie rozwieszały najnowsza jesienno-zimową kolekcję. Ubrania, buty i dodatki, które Daisy kupiła w lutym, dostarczano przez cały czas i trzeba je było rozpakować, wpisać do ksiąg i wycenić.

Pracowały nad dostawą pięknych francuskich dzianin, kiedy Daisy mimochodem wspomniała, że postanowiła się przeprowadzić.

- Dlaczego? - zapytała Mary ze zdumieniem. - Masz śliczne mieszkanie, chyba oszalałaś, jeśli chcesz się go pozbyć!

- Przez cały czas przypomina mi o Aleksie - wyjaśniła Daisy, spokojnie odpakowując swetry w subtelnych kolorach i halki z aksamitnymi obszyciami.

Bardzo jej się podobały, kiedy w styczniu zobaczyła je w Paryżu, i teraz cieszyła się, że nie zmieniła zdania. Bywało, że kupowała rzeczy, które zachwyciły ją na

pierwszy rzut oka, a później, po dostarczeniu do sklepu, przestawały się jej podobać.

- Bzdury - oznajmiła Mary zwięźle. - Mój dom też przypomina mi Barta, ale się nie wyprowadzam.

- To co innego - odparła Daisy ze śmiechem. Mary zawsze potrafiła ukazać jej zabawną stronę każdej sytuacji. - Ty masz dzieci. Alexa i mnie nic nie łączy, jeszcze nawet nie rozmawialiśmy o mieszkaniu.

- Mam nadzieję, że przy pomocy jakiegoś prawniczego rekina dobijesz korzystnego targu - przerwała Mary. - Dam ci nazwisko mojego adwokata, jest rewelacyjny. Wciąż jest mi winien przejażdżkę tym porsche, za które zapłaciłam.

- Nie chcę rekina - odparła Daisy - Chcę to zostawić za sobą i iść dalej. - Od pobytu we Wzgórzu Obłoku nie myślała o niczym innym. Za długo koncentrowała się na przeszłości, wdzięczna Alexowi, że ją uratował.

- Ale zamknięcie jakiegoś etapu nie oznacza, że musisz jak kompletna idiotka rezygnować z cennych rzeczy - zauważyła Mary. - Wasze mieszkanie warte jest kupę pieniędzy, a ty chyba chcesz coś mieć po tych czternastu latach z Alexem.

- Och, nie możesz mówić, że nic mi nie zostawił - zakpiła Daisy. - W końcu mam ten potężny kompleks niższości.

Mary uśmiechnęła się ironicznie.

- Wątpię, czy sąd uznałby to za aktywa.

- A poza tym miałam go na długo przed poznaniem Alexa - dodała Daisy szczerze.

- Chcę połowy pieniędzy za mieszkanie, Mary, to wszystko.

- Dokąd się wyprowadzisz? Chyba nie opuścisz Carrickwell? - zapytała Mary z przestrawieniem.

- Jest chata na sprzedaż niedaleko Leah. I mojej mamy. Kilka razy obok niej przejeżdżałam i postanowiłam obejrzeć ją w sobotę po południu. Wcześniej nigdy nie myślałam o domu, ale powodem było to, że Alex woli mieszkanie. Myślałam, że ja też wolę, przekonałam się jednak, że nie. Śmieszne: całe swoje dorosłe życie spędziłam w mieszkaniu, a teraz myślę, że wolę domy.

Carla, którą przyjęto na miejsce Pauli, zajrzała do magazynu.

- Poszło mnóstwo rzeczy z wyprzedaży - oznajmiła zachwycona. W dłoni trzymała dzinsy z haftowanymi obrąbkami. - Ale one nikogo nie zainteresowały.

Powinnyśmy opuścić cenę?

- Tak myślę. Zmienię metkę - westchnęła Daisy, zabierając spodnie, żeby Carla mogła wrócić do sklepu. - Nienawidzę wyprzedaży. Ciągłe udowadniają, jakie popełniłam błędy przy wyborze. Myślałam, że takie słodkie dzinsy komuś się spodobaą.

- I spodobały się - odparła Mary. - Tylko nikt nie chciał tej pary w rozmiarze dziesięć.

- Kiedyś mieściłam się w rozmiarze dziesięć.

- Och, tylko znowu nie zaczynaj - ostrzegła Mary.

- Nie zaczynam. Mam zamiar schudnąć.

- Po co? Bo jak będziesz szczupła, Alex do ciebie wróci?

- Nie. Chcę być szczupła i piękna, bo w następnym miesiącu jadę na targi i może spotkam wspaniałego faceta.

- W takim razie jadę z tobą! - oznajmiła Mary, zadowolona, że przyjaciółka odzyskuje dawną werwę. Obie wiedziały, że Daisy żartuje: ostatnia rzecz, jakiej teraz pragnęła, to nowy związek, ale żarty na ten temat były krokiem we właściwym kierunku.

- Wykluczone, Mary, jadę sama. Cleo mówiła mi, że tajemniczy mężczyźni z większym prawdopodobieństwem zagadują samotnie podróżujące kobiety. Mówiła, że w hotelach ciągle to widuje. Kobiety w grupkach budzą strach, samotne kobiety nie. Chociaż trzeba się pilnować, żeby nie trafić na dziwaka. Kładła na to szczególny nacisk. Czy wyglądam jak kobieta, która pociąga dziwaków?

- Nic nie powiem - odparła Mary. - Tylko nie zapomnij kupić kilku ubrań, jak będziesz się rozglądała za tajemniczymi mężczyznami. Mamy sklep. Chata, oddalona o milę od Wzgórza Obłoku, usytuowana była przy krętym odcinku drogi, od której oddzielał ją kamienny murek i żywopłot. Daisy nie była pewna, czego się spodziewać, wiedziała bowiem, że pośrednicy handlu nieruchomościami tłumaczą rzeczywistość za pomocą szalenie optymistycznych opisów.

„Okazja do nabycia na własność wyjątkowej starej chaty, odznaczającej się niezwykleymi zaletami" mogło równie dobrze znaczyć, że zobaczy obrzydliwie brzydki dom z zawilgoconymi ścianami, systemem grzewczym prosto z Dickensa i widokiem na słup wysokiego napięcia.

Wjechała przez niewielką furtkę do Kotwicy - na początek trzeba będzie zmienić nazwę, w okolicy przecież nie ma śladu morza - i westchnęła z zachwytem. Kotwica z zewnątrz wyglądała idyllicznie - ze spadzistym dachem, drzwiami w morskim kolorze i gęstwiną dzikich kwiatów w ogrodzie. O ile nazwa nie była aluzją do problemów z hydrauliką, jak dotąd Daisy nie miała zastrzeżeń. Okna z wielodzielnymi szybami były takie same jak w domu jej matki, zresztą obie chaty sprawiały wrażenie, jakby zaprojektowała je ta sama osoba. Pośrednik z biura czekał na Daisy z kluczem.

W środku pochodzenie nazwy stało się jasne, nie ulegało bowiem wątpliwości, że właściciel miał bzika na punkcie statków. Były tam statki w butelkach i bez butelek, z niskiego sufitu zwisały różne związane z morzem przedmioty. Ściany pilnie domagały się malowania, salon i miniaturowa jadalnia przypuszczalnie kwalifikowały się na listę zabytków, ale dom odznaczał się niezwykle urokiem.

- Kuchnia nie jest za wielka - stwierdził pośrednik wesoło, rozplaszczając się na ścianie, żeby oboje mogli się zmieścić - ale istnieje możliwość rozbudowy. I niech pani popatrzy na ten widok.

Z okna rozciągała się panorama doliny z widocznymi w oddali zabudowaniami Carrickwell i otaczającymi je łańcuchami górskimi.

Daisy wyobraziła sobie, że dobuduje oszklony taras i będzie tam siedziała, spoglądając na miasto tak, jak to robiła Leah z pokoju kąpielowego ośrodka. Czowała się tu dobrze, bezpiecznie, jak w domu.

W następną niedzielę odbył się chrzest córki Pauli. Pomimo poczucia, że w ciągu ostatnich kilku tygodni zrobiła wielki postęp, Daisy nie cieszyła się na tę uroczystość. Mała Emma rosła jak na drożdżach i zakochana w niej do szaleństwa mama chciała, żeby wszyscy po nabożeństwie w kościele przyszli do domu na przyjęcie. Daisy obawiała się, że na widok dziecka znowu wpadnie w rozpacz. Gaworzące niemowlęta w reklamach pieluszek to jedna sprawa, prawdziwe żywe dziecko to zupełnie coś innego.

A z drugiej strony cieszyła się, że Paula nie ma pojęcia o jej wizycie w klinice leczenia bezpłodności. Przyjaciółka nie namawiałaby jej na przyjście na chrzest, gdyby o tym wiedziała. Następnego dnia rozmawiała o tym z Mary.

- Dlatego starałam się zachować to w tajemnicy, bo nie "Chciałam, żeby ludzie się nad nami litowali. Przepraszam - poprawiła się zaraz - żeby litowali się nade mną. Alexa najwyraźniej guzik to obchodziło.

- Terapia bezpłodności to dla mężczyzn poważna sprawa - powiedziała Mary z namysłem. - Przeraza ich.

- Teraz jesteś po jego stronie? - zapytała Daisy ostro.

- Nie, nie jestem, tylko że na terapii uczą cię, jak patrzeć na sprawę z obu stron.

- Mary, wolałam cię, kiedy byłaś wredną jędzą, która groziła, że zrobi Alexowi woskową laleczkę, wbije w nią szpilki i rzuci zły urok!

Przyjaciółka dołożyła starań, żeby wyglądać na łagodną.

- Przeszłam na wyższy etap - oznajmiła - a negatywne nastawienie strasznie postarza. Niedawno czytałam artykuł w „Vogue”, z którego się dowiedziałam, że negatywne podejście do życia wydłuża rysy twarzy i przysparza zmarszczek. Lata temu przestałabym być jędzą, gdybym o tym wiedziała.

Tym razem to Daisy wybuchnęła śmiechem.

- Obie potrzebujemy sesji w gorącej kąpieli Leah. To usunie wszystkie zmarszczki i może nawet dobrze wpłynie na moje pryszcze.

- O tak - jęknęła Mary - Może uda nam się wziąć kilka zabiegów przed chrztem. Mnie to by się przydało. Na przykład masaż gorącymi kamieniami.

- Maseczka oczyszczająca byłaby idealna - stwierdziła Daisy. - To by mi pomogło stawić czoło sympatycznym krewnym Pauli, którzy będą mi współczuć z powodu zerwania z Alexem. Już widzę, jak klepią mnie po ramieniu nad kołyską Emmy i powtarzają coś w rodzaju: „Nie martw się, niedługo przyjdzie kolej na ciebie”. Nie wiem, czy dam sobie radę!

- Nie ma obaw - zaprzeczyła Mary. - Pomyślą, że jesteś smutną i pokręconą kobietą, która nienawidzi mężczyzn, i zostawią cię w spokoju. Po prostu.

- To brzmi o wiele lepiej - zgodziła się Daisy.

- Byłaś wczoraj oglądać chatę?

Daisy pokiwała głową, wyraźnie się ożywiając.

- Jest piękna. Złożę ofertę, ale najpierw muszę porozmawiać z Alexem o sprzedaży mieszkania. Choć na myśl o tym przechodzi mnie dreszcz.

- Potrzebujesz pomocy adwokata przy sprzedaży mieszkania, więc znajdź sobie jakiegoś i poproś, żeby wysłał do Alexa list z informacją, że zależy ci na sfinalizowaniu tej transakcji jak najszybciej. W ten sposób nigdy więcej nie będziesz musiała z nim rozmawiać.

Daisy pokiwała głową, choć czuła, że Mary unika istotnej kwestii: Daisy będzie musiała w którymś momencie spotkać się z Alexem, chociażby po to, żeby zamknąć sprawę. Miała mu parę rzeczy do powiedzenia i postanowiła, że na pewno to zrobi, kiedy poczuje się dość silna. Nie była jednak pewna, kiedy to nastąpi. Człowiek zdobywa się na odwagę po troszeczku.

Maleńka Emma nie miała ogromnych uszu Enrica ani pomarszczonej buzi. Była doskonała. Miała wielkie niebieskie oczy Pauli i cerę barwy kawy z mlekiem, odziedziczoną po ojcu. Otulona w kremowy szal, wyglądała jak śpiący cherubinek.

- No, weź ją - powiedziała Paula, wręczając zawiniątko Daisy. - Jest taka grzeczna, do każdego idzie i nigdy nie płacze.

- Śliczna jest, prawda? - zagruchała Mary

- Tak - zgodziła się Daisy. Emma, która nie obudziła się, kiedy polewano wodą święconą jej główkę ani kiedy przekazywali ją sobie z rąk do rąk dziadkowie i rodzice chrzestni, teraz spojrzała na Daisy mądrymi oczami dziecka i jej różane usteczka uniosły się w kącikach.

- Och, uśmiechnęła się, widziałyście? - powiedziała Daisy podniecona, czując, jak gardło jej się ścisza.

- Wiem - śpiewnie odparła Paula, kiwając palcem do swej ślicznej córeczki. -Do mnie też ciągle się uśmiecha. Wszyscy mówią, że ona się krzywi z powodu wiatrów, ale ja wiem, że się do mnie uśmiecha, bo wie, że jestem jej mamusią. I wie, że się polubicie, ciociu Daisy.

- Ma takie długie rzęsy. - Daisy pogrzyżyła się w kontemplacji dziewczynki. -Nigdy takich nie widziałam. I włosy ma ciemne.

- Jest piękna - zgodziła się Paula. - Mama Enrica mówi, że wygląda dokładnie tak samo jak on, kiedy był malutki. Ale bez jego uszu. :

Wszystkie się roześmiały.

- Chcesz ją potrzymać? - Daisy zwróciła się do Mary, wciąż tuląc do siebie niemowlę.

- Nie - odparła Mary. - Dobrze jej z tobą. Jesteś taka naturalna w tej roli.

- To prawda - potwierdziła Paula.

Mary i Daisy wymieniły spojrzenia ponad główką dziecka. Spojrzenie, które mówiło, że Daisy jednak postąpiła słusznie, przychodząc na chrzest. Trzymanie dziecka na rękach było cudownym doznaniem. Wbrew oczekiwaniom Daisy nie czuła, że czegoś jej pozbawiono, wypełniały ją za to spokój i nadzieja. Kiedyś ją także to spotka. Cieszyła się ogromnie, że nie została w domu. Okazywanie wielkoduszności i serdeczności nie przychodziło łatwo, kiedy serce jej pękało, ale było warto.

Szła ku nim matka Pauli: zjawisko we fioletowych jedwabiach z dobranymi do sukni piórami we włosach, wyciągające ręce ku swojej pierwszej ukochanej wnuczce.

- Co za śliczne stworzenie - zagruchała. - Naprawdę ci pasuje, Daisy. Będiesz następna.

Daisy pocałowała delikatnie niemowlę w czoło i podała je babce.

- Och, chciałabym być następna, pani O'Shea, ale kilka miesięcy temu rozeszłam się z Alexem, więc mało prawdopodobne, żebym w najbliższym czasie wstąpiła do klubu młodych matek.

Pani O'Shea ten argument o braku mężczyzny wcale nie przekonał.

- Bzdury - skwitowała. Była w doskonałym nastroju po dwóch likierach. -Jesteś śliczną dziewczyną. Kilka dni temu mówiłam Pauli, że nikt nie nosi ubrań tak jak ty, i lepiej wyglądasz z tymi kilkoma kilogramami więcej. Niedługo będą się ustawiać w kolejce pod twoimi drzwiami, zobaczysz. Zresztą i tak nigdy nie lubiłam tego Alexa.

- Mamo! - wykrzyknęła Paula z naganą.

- Nie lubiłam - powtórzyła pani O'Shea. - Mów, co myślisz, oto moja zasada. Nie był dość dobry dla naszej Daisy, ale ona niedługo znajdzie kogoś, kto będzie dla niej dość dobry, zapamiętajcie moje słowa. - Ostrożnie odebrała zawiniątko od Daisy.

- Dziękuję, pani O'Shea - powiedziała Daisy wesoło.

- Kuzyn mojego szwagra ma syna - pani O'Shea wyraźnie zapalała się do tematu. - Przystojny, młody, niedawno się rozwiódł, a nie mieli dzieci. Byłby dla ciebie idealnym rozwiązaniem. Ma własną firmę i w ogóle.

Mary, Paula i Daisy wybuchnęły śmiechem.

- Na jakiś czas dam sobie spokój z mężczyznami - powiedziała Daisy grzecznie.

- Aha - odparła pani O'Shea ze zrozumieniem. - Ale będziesz chciała do nich wrócić, moja droga. Dobrze ci to zrobi. - I odeszła z wnuczką w ramionach.

- Przepraszam - powiedziała Paula. - Mam nadzieję, że mama nie była zbyt wścibska...

- Ależ nie - stwierdziła Daisy. - Nie powiedziała nic złego. Miała absolutną rację: Alex nie był dla mnie dość dobry.

Mary westchnęła.

- Alleluja! Witaj w gronie nawróconych. Cieszymy się, że wrócił ci rozum.

- Witaj, Daisy - powiedział ktoś za jej plecami. Daisy odwróciła się i zobaczyła Mei Redmond z jedną dziewczynką na biodrze i drugą, trochę starszą, trzymającą ją za rękę.

- Cześć, Mei - odparła z radością. - Co ty tu robisz?

- Enrico pracuje z moim mężem, Adrianem - wyjaśniła Mei. - Carrickwell to małe miasto, prawda? - Pocałowała Paulę w policzek. - Gratulacje, widziałam małą. Jest śliczna.

Pocałowała też Daisy.

- Trzymasz się? - szepnęła, wiedząc, że dla Daisy musi to być trudne.

- Trzymam się - odparła z uśmiechem. Spotkawszy inną matkę, Paula chciała pogadać o spaniu i karmieniu, a także o tym, że nie można umrzeć z braku snu, choć człowiek czuje się bliski śmierci.

Mel rzuciła niespokojne spojrzenia na Daisy, bo taka rozmowa o matczynych problemach nie mogła poprawić jej nastroju, ale Daisy uśmiechnęła się i bezgłośnie szepnęła:

- Wszystko w porządku.

Przykucnęła, żeby pogadać z dziewczynką stojącą u boku Mel.

- Cześć, jestem Daisy. A ty jak masz na imię?

- Sara - odparła dziewczynka, patrząc na nią z wielką powagą. - Podoba mi się twój naszyjnik.

Daisy miała wisiołek, który wiele lat temu kupiła za granicą.

- To bursztyn - powiedziała. - Powstał z żywicy drzew, które rosły wiele milionów lat temu. Teraz tak wygląda: cały błyszczący, złocisty i przezroczysty.

- Miliony lat? - powtórzyła Sara z zaciekawioną. - Wtedy, kiedy żyły dinozaury?

- Właśnie - potwierdziła Daisy - Proszę, przymierz i zobaczymy, czy ci w nim do twarzy. - Odpięła wisiołek i włożyła małej na szyję.

Sara próbowała się obejrzeć.

- Musimy znaleźć lustro - powiedziała Daisy. - Idziemy poszukać lustra -zwróciła się do Mel.

- Świetnie. Obawiam się, że Sara trochę się nudzi. Daisy ujęła Sarę za rączkę.

- Teraz na pewno nie będzie się nudzić. Chodź, poszukamy lustra. Założę się, że ciocia Paula ma gdzieś wielkie lustro, w którym rano może się podziwiać! A ty podziwiasz się w lustrze, kiedy się ubierasz?

- Tak - odparła Sara z namysłem, ściskając dłoń Daisy swoją małą rączką. - Mamusia mówi, że pracujesz w sklepie z Paulą i macie śliczne ubrania. Lubię ubrania.

- Ale mamy tylko stroje dla dorosłych - powiedziała Daisy z żalem. - Może powinniśmy zamówić też rzeczy dla takich ślicznych dziewczynek jak ty.

- To by było miłe - stwierdziła Sara z aprobatą. - Lubię cię.

W końcu więc dzień okazał się udany. Daisy przed wyjściem przewidywała, że zostanie najwyżej pół godziny, a tu o wpół do ósmej wieczorem razem z ostatnimi gośćmi, w tym Mei i Mary, wciąż była w domu Pauli i Enrica. Malutką Emmą przez cały dzień ktoś się zajmował, więc Paula mogła odpocząć. Pani OShea przez cały dzień wynajdywała kandydatów dla Daisy i bawiła wszystkich do łez, wymieniając zalety ewentualnych zalotników.

- Tim, ten z niewielką farmą, wydaje się najlepszy ze wszystkich - powiedziała Daisy, kiedy z Paulą, Mary i Mel siedziały na oszklonym tarasie domku. - Ale facet, który entuzjazmuje się winylowymi płytami i ma skatalogowany zbiór składający się z trzech tysięcy pozycji... No, nie wiem. To brzmi trochę jak obsesja.

- Przypomina mi to moją przyjaciółkę z Lorimaru, Vanesse - roześmiała się Mel. - Sama wychowuje syna, ale jej matka ciągle chce ją wyswatać. Nie uwierzyłybyście, jakich facetów jej proponowała! Przede wszystkim synów swoich znajomych, którzy jakimś cudem byli kawalerami. Vanessa zawsze powtarzała, że dość ma kłopotów z jedynym mężczyzną w swoim życiu, Conalem. Ma teraz trzynaście lat.

- O tak, w tym wieku bywają absorbujący - przyznała Mary z znajomością rzeczy. Daisy na chwilę się wyłączyła, rozmyślając o tym, że kilka tygodni temu nie poradziłyby sobie z taką rozmową. Czuciaby się całkowicie wykluczona: jedyna spośród czwórki kobiet, która nie jest matką, która nie może nią zostać, która nie należy do tajemnego rodzicielskiego stowarzyszenia. To by bolało. Wciąż czuła ból, choć teraz nie tak wielki. Zaczynała się godzić ze swoją bezdzietnością. Wiedziała, że tak nie musi być.

Zdawała sobie sprawę, że nie może o wszystko obwinać Alexa. Nie było jego winą, że ona nie zaszła w ciążę, a Louise tak. Z tym musi sama sobie poradzić. W swym pragnieniu dziecka błędnie założyła, że stanie się ono panaceum na wszystkie problemy. Teraz była mądrzejsza.

Na powrót zaczęła słuchać pozostałych kobiet. Mel i Mary rozmawiały o konsumpcyjnym podejściu do życia i dzieciach, które chciały mieć wszystko, co każdego dnia widziały w telewizji.

- W głowie się nie mieści, co reklamują na kanałach dla dzieci - mówiła Mel. - Nic dziwnego, że listy do Świętego Mikołaja są dłuższe niż Przemieńło z wiatrem. Codziennie są nowe produkty. No wiesz: jak odmówić, skoro wszystkie koleżanki już te rzeczy mają? Musimy ograniczać wydatki, bo przestałam pracować, a wygląda na to, że większość koleżanek Sary dostaje wszystko, co tylko im się zamarzy. Nie jesteśmy w stanie im dorównać, zresztą wcale nie mam takiego zamiaru! To fatalnie wpływa na dzieci, jeśli spełnia się ich każdą zachciankę. Mnie tak nie wychowywano.

- Też się tym martwię - powiedziała Paula z niepokojem. - W żadnym razie nie chciałabym zepsuć Emmy.

- Ona ma dopiero kilka tygodni - wtrąciła wesoło Mary. - Podobno nie można zepsuć niemowlęcia, choć starsze psuje się bez trudu.

- No tak, ale skąd wiesz, czy rozpieszczasz dziecko, czy nie? - pytała Paula.

- To właśnie potężny problem - odparła Mel. - Nie istnieje dobry czy zły sposób na zrobienie tego, a w dodatku zawsze jesteś przekonana, że popełniasz błędy.

Śmieszne, rozmyślała Daisy, zawsze jej się zdawało, że wszystkie matki mają tę natychmiastową instynktowną wiedzę i znają odpowiedź na każde pytanie, a tymczasem wcale tak nie było: martwiły się tym, co robią i czego nie wiedzą. To było pocieszające. Wyglądało na to, że żaden człowiek nie wie wszystkiego.

Po powrocie do domu znalazła na automatycznej sekretarce wiadomość od Claudii, jednej z nielicznych wspólnych znajomych jej i Alexa wciąż

utrzymujących z nią kontakt. Większość najwyraźniej wybrała Alexa i Louise zamiast

Daisy i Kogośtam. To bolało. Okazało się, że przez wszystkie te wieczory na mieście i wyjazdy weekendowe, które razem organizowali, oni byli przyjaciółmi Alexa, nie jej.

Claudia należała do wyjątków. Jej mąż Andrew znał Alexa jeszcze ze szkoły, więc wiele ich łączyło, ale Claudia nie pozwoliła, żeby wpłynęło to na jej przyjaźń z Daisy.

Po przyjemnym dniu Daisy miała ochotę na pogawędkę, zadzwoniła więc do koleżanki.

Claudia, jak zwykle rozmowna, opowiadała o kłopotach w pracy. Czy to nie wspaniale, że Michelle i Gerry w końcu się pobierają?

- Wybierasz się na ślub? - zapytała łagodnie. - Wiesz, możesz iść ze mną i Andrew. To, że się rozstałeś z Alexem, nie powinno powstrzymać cię od udziału w ślubie starych przyjaciół.

- Nie zostałam zaproszona - odparła Daisy cicho. - Nawet nie wiedziałam, że się pobierają.

- Cholera, nie chciałam popełnić gafy - jęknęła Claudia. - Byłam pewna, że cię zaprosili. Ty i Michelle zawsze byliście tak blisko...

- Nie aż tak blisko, jak się okazuje. - Daisy nie chciała, by w jej głosie zabrzmiało rozgoryczenie, ale to było trudne.

- Może jeszcze nie dostałaś zaproszenia - powiedziała "Claudia bez przekonania. - Chociaż to za tydzień, więc pewnie już byś je miała, prawda?

- Ubrałyśmy tylu gości weselnych tego lata - oznajmiła Daisy lekko - że czuję już przesyt. Opowiesz mi, jak było.

Czy prześladowaniem można nazwać pójście na ślub, na który nie zostałam zaproszona, żeby zerknąć na swojego byłego i jego nową dziewczynę? To pytanie dręczyło Daisy przez cały tydzień. Ogarnęło ją pragnienie, żeby zobaczyć Alexa i Lousie razem, utrwalić w głowie obraz ich dwojga jako pary, żeby móc zostawić to za sobą.

Ale czy takie zachowanie nie jest dziwne? Tak, to prześladowanie, uznała Daisy w wieczór poprzedzający ślub Michelle i Gerryego. Równie dobrze może od razu się przyznać. Nie pójdzie.

Nazajutrz o trzeciej dwadzieścia, czyli dwadzieścia minut po planowanym rozpoczęciu ceremonii, Daisy niepostrzeżenie weszła do kościoła. Najwyraźniej Michelle miała zamiar modnie się spóźnić, myślała, ukradkiem sunąc pod ścianą. Zwykle na ślubach lubiła patrzeć na stroje, chwytając spojrzenia przyjaciół,

uśmiechać się do nich. Dzisiaj nie chciała, by ją zauważono, dlatego nie zwracała uwagi na ubrania, biżuterię czy kapelusze.

Zajęła miejsce w dwóch trzecich długości nawy i głowę trzymała schyloną. Miała nadzieję, że ludzie wezmą ją za pobożną osobę, która weszła w piątkowe popołudnie do kościoła, nie wiedząc, że odbywa się tu wielki, elegancki ślub. Oczywiście mogą też pomyśleć, że w obszernym, niepasującym do pory roku płaszczu przeciwdeszczowym i płóciennym kapeluszu z szerokim rondem jest jedną z tych kobiet, które chodzą po ulicach, pchając wózki na zakupy i wymachując różańcami. Ale w obu tych wypadkach ją zignorują. Ludzie robią wszystko, żeby nie zauważać takich kobiet.

W kościele panował gwar, ludzie wzajemnie się pozdrawiali: „Cześć, cieszę się, że cię widzę. śliczny kapelusz, suknia...” i tak dalej. Przed ołtarzem Daisy dostrzegła nieco zdenerwowanego Gerry'ego i družbę, którym musiał być jego brat.

Ostrożnie przyjrzała się gościom siedzącym po stronie pana młodego i wreszcie zobaczyła Alexa. Wyróżniał się, bo był najwyższy, chociaż Daisy dostrzegłaby go w milionowym tłumie. Na jego widok nagle ścisnęło jej się serce. Ubrany był w szary garnitur, który razem kupili u Paula Smitha. Alex opierał się przed tym zakupem, twierdził, że wygląda w nim na zbyt znerwicowanego, na ofiarę mody. A teraz miał go na sobie i wyglądał świetnie.

Obok niego siedziała Louise i ból, który Daisy poczuła na widok Alexa, teraz zwiększył się dziesięciokrotnie, ponieważ Louise promieniała. Wcale nie wyglądała jak ciężarna kobieta w namiocie. Wręcz przeciwnie: wyglądała jak reklama sklepu z ubraniami ciążowymi znanych projektantów. Lśniące długie włosy spięła w rodzaj niedbałego koku, co Daisy nigdy się nie udawało.

Oszałamiająca purpurowa suknia była obcisła, podkreślała jej wydatny brzuch. Model od Diane von Furstenberg, Daisy nie miała co do tego wątpliwości.

Louise wyglądała jak bogini płodności albo egzotyczna piękność, której poeci dedykują swoje wiersze, a malarze toczą boje, żeby móc ją malować. Była w zaawansowanej ciąży i sprawiała wrażenie absolutnie szczęśliwej. W porównaniu z nią Daisy, choć przecież przytyła, czuła się jak wysuszona śliwka. Louise miała wszystko. Miała Alexa, a wkrótce będzie miała dziecko. Daisy nie miała nic i nikogo, i przypuszczalnie sama sobie była winna.

Rozległa się muzyka i Louise z podnieceniem złapała Alexa za rękaw. Plotkujący tłum wstał i równocześnie się odwrócił w stronę nadchodzącej panny młodej. Ze swego miejsca Daisy nie mogła jeszcze jej widzieć, ale była przekonana, że Michelle, taką wagę przykładająca do stylu, nie zdecydowała się na efekt bezy. Tymczasem obserwowała zebranych patrzących na pannę młodą

kroczącą główną nawą cfo wtóru romantycznej melodii granej na skrzypcach. Wokół Alexa i Louise nie było pustki, wolnej przestrzeni, która by świadczyła, że ktoś nie pochwała ich związku i sposobu, w jaki Alex porzucił Daisy. Nie, nikt najwyraźniej nawet nie zauważył jej nieobecności. Daisy i Louise były elementami zamiennymi. Jedna dziewczyna jest całkiem podobna do następnej, z tą tylko różnicą, że obecna jest w ciąży, a poprzednia nie była w stanie w ciążę zająć. Znowu ogarnął ją żal. Może nigdy nie mieć dziecka, nigdy Ból wywołany tą myślą przeszył ją na wskroś. Musi natychmiast stąd wyjść. Kiedy przesuwiała się ku bocznej nawie, czyjaś głowa odwróciła się ku niej. O Boże, przyjaciel Alexa, Jem... Jemie, coś w tym rodzaju. Widział ją. Skręcając się z zakłopotania, Daisy poszukała kryjówki. Może w gruncie rzeczy wcale jej nie poznał, może zobaczył tylko wielką kobietę w płaszczu i głupim kapeluszu naciągniętym na oczy. Ławka znajdowała się tuż koło jednego z konfesjonałów i Daisy weszła do środka, zamykając za sobą drzwi. W nozdrza uderzył ją zapach starych aksamitnych zasłon i szcudrze aplikowanej pasty do drewna. Nie czuła tego zapachu od bardzo dawna.

- O Boże - jęknęła głośno, czując się tu bezpieczna. - Mam nadzieję, że mnie nie widział. Dlaczego takie rzeczy zawsze muszą mi się przytrafiać?

- Słucham? Możesz mówić głośniej? - odpowiedział jej drżący starczy głos.

- O Boże - mruknęła, tym razem cicho.

Kratka przedzielająca konfesjonał otworzyła się i na Daisy spojrział kruchy białowłosy ksiądz, który najwyraźniej schował się tu, żeby odmówić modlitwy.

- Przykro mi, ale już skończyłem spowiadać - powiedział uprzejmie.

- Nic nie szkodzi, nie po to tu przyszłam - wyjąkała Daisy.

- Jeśli jednak jesteś w potrzebie, moja droga... - ciągnął ksiądz.

Daisy wiedziała, że musi wyglądać okropnie z nieszczęśliwą twarzą i łzami w oczach.

- Właściwie jestem w potrzebie, choć nie chodzi o spowiedź - odparła. Nie, to zabrzmiało źle. - To znaczy od dawna nie byłam u spowiedzi, chociaż...

- Zastanawiałaś się nad powrotem do Kościoła? - podpowiedział ksiądz.

- W gruncie rzeczy też nie. - Daisy sięgnęła do kieszeni, żeby sprawdzić, czy nie ma tam starej zapomnianej chusteczki do nosa. Wyciągnęła kawałek ręcznika papierowego. Wystarczy.

- My też słuchamy - powiedział ksiądz. - Możemy porozmawiać, jeśli coś cię dręczy. Teraz już nie każemy ludziom odmawiać dziesięciu dziesiątek różańca. Rozwinęliśmy się.

Daisy uklękła na miękkim klęczniku, wygładzonym niezliczoną ilością kolan.

- Rozmowa byłaby miła - odparła uprzejmie, wycierając oczy i nos papierowym ręcznikiem. Uznała, że zachowałyby się niegrzecznie, gdyby zakłóciwszy księdzu spokój, teraz uciekła, a poza tym nieźle byłoby porozmawiać z kimś, kto nie zna tej sprawy. - Narobiłam sobie bałaganu, ojcze.

- Na tym polega życie. Ale możesz wrócić na właściwą drogę, musisz tylko zawierzyć Bogu.

Daisy wydało się to bardzo proste. Proste i cokolwiek nierealne. Zawierzyć Bogu. Gdzie był Bóg, kiedy Alex odszedł z Louise, zostawiając Daisy na lodzie?

- W moim wypadku jakoś nigdy nie było to skuteczne - powiedziała przepraszająco.

- Bo nie wierzyłaś - odparł ksiądz żarliwie. - Wiara to klucz. Bóg sam wybiera chwilę, kiedy chce się zająć naszymi sprawami. Nie wiemy, co dla nas zaplanował. Przypomina to trochę naukę o mistrzu, który pojawia się, kiedy uczeń jest gotowy, pomyślała Daisy wstrząśnięta. Buddyzm i katolicyzm knują spisek, żeby wstąpiła na drogę rozwoju duchowego. Co jest, pomyślała, ktoś musi tutaj Inieć rację. Może spróbować.

- Dziękuję, ojcze - powiedziała, podnosząc się z klęczek. - Miło było rozmawiać z ojcem i przepraszam, że ojcu przeszkodziłam.

- Zawsze możesz tu wrócić, jeśli będziesz nas potrzebowała. Kościół jest otwarty.

- Tak, dziękuję - powiedziała Daisy machinalnie.

- Nie. - Znowu nachylił się ku kratce. Daisy uświadomiła sobie, że jest bardzo stary: jego czaszka była jak krucha muszla, tylko za uszami miał kilka kępek białych włosów. - Jesteśmy tu zawsze. Rzeczy i ludzie odchodzą, ale Bóg trwa. Kiedy Daisy zajrzała do kościoła, przekonała się, że wszyscy zebrani są zaabsorbowani ceremonią, a to oznaczało, że może wymknąć się na dwór. Pobieгла do swojego samochodu i szybko odjechała, żeby nie trafić na spóźnionych gości.

Cieszyła się, że jednak tu przyszła. Chwilę wcześniej sądziła, że postąpiła głupio, bo o mało jej nie zdemaskowano, ale teraz, po rozmowie z tym sympatycznym staruszkiem, zmieniła zdanie. Widziała Alexa i Louise, którzy wyglądali na bardzo szczęśliwych. Otaczali ich wszyscy starzy przyjaciele, a świat się nie zmienił, nad kościołem nie zebrały się burzowe chmury. Życie toczyło się dalej dla wszystkich prócz Daisy i musiała się z tym faktem pogodzić, niezależnie od tego, jak było to bolesne. Nie można się cofnąć - droga wiedzie wyłącznie do przodu.

Trzy dni po ślubie Louise urodziła chłopczyka. Do Daisy z tą wiadomością zadzwoniła Claudia.

- Nie chciałam, żebyś dowiedziała się przypadkiem. Najgorzej, kiedy nikt nie chce ci przekazać ważnych wiadomości.

Z okna mieszkania Daisy widziała rzekę Tullow, po której płynęło kilka kajaków. Kajakarze mieli na sobie jaskra-wożółte kamizelki ratunkowe i chyba nie byli zbyt doświadczeni, sądząc po tym, jak ciągle na siebie wpadali. Śmiali się przy tym bez troski i wesoło.

- Dzięki, Claudio. - Daisy odwróciła się od rzeki i widoku na Carrickwell. - Dzięki, że mi powiedziałaś. Jakie imię dali dziecku? - Nie chciała się tym torturować, musiała po prostu to wiedzieć.

- Daragh.

- Daragh - powtórzyła Daisy na głos. To było dobre imię, mocne i łatwe do zapamiętania. Daragh był teraz osobą, nie tylko katalizatorem zerwania Alexa z nią. Łatwiej będzie myśleć o Daraghu jako o osobie, która się w całą tę sytuację zaplątała. To nie jego wina, że jego poczęcie przysporzyło Daisy cierpień.

- Jak się czujesz? - zapytała Claudia niezręcznie.

- Całkiem nieźle - odparła Daisy. Mówiła prawdę. Wiedziała, że w końcu się dowie o narodzinach dziecka Louise. W miarę swoich możliwości przygotowała się na to. Codzienne telefony Leah i własna determinacja, żeby być odważną, bardzo jej pomogły. Miała przed sobą przyszłość, miała nadzieję. Jeśli Leah potrafiła się pozbierać po wszystkim, co przeszła, to Daisy byłaby marnym człowiekiem, gdyby nie stać jej było na chodzenie z wysoko podniesioną głową i budowanie nowego życia.

Na Daragha także czekało nowe życie. Daisy nie będzie wredną jędzą, która wysyła złą karmę w świat, czując gniew z powodu narodzin tego dziecka. Słodki staruszek ksiądz i buddyjski mistrz pochwaliliby taką postawę, pomyślała.

- Kupuję dom - powiedziała. - To chata niedaleko mojej mamy. Jest mała i urocza. Wymaga remontu, ale cieszę się na tę pracę. Zamierzam urządzić ją w bardzo kobiecym, staroświeckim stylu. Alex był absolutnym zwolennikiem współczesnego minimalizmu, a wiesz, mnie to nie odpowiada.

- Nigdy nie sądziłam, że ci odpowiada - odparła Claudia. - Wasze mieszkanie było jak dom na pokaz.

- Alex zawsze poprawiał przedmioty na stoliku do kawy - przyznała Daisy. - Irytował się, jeśli czasopisma nie leżały pod właściwym kątem względem krawędzi stołu.

- O tak. Obserwowanie go doprowadzało mnie do szaleństwa. To była jakaś nerwica natręctw czy coś w tym rodzaju.

Daisy pomyślała, że przyjemnie jest móc śmiać się z Alexa, zamiast na sam dźwięk jego imienia pragnąć śmierci.

- A pod koniec miesiąca wyjeżdżam do Mediolanu na pokazy kolekcji wiosna-lato na przyszły rok.

- Brzmi cudownie - westchnęła Claudia, którą praca nudziła.

- Mam nadzieję, że tak będzie. Byłam tylko raz w Mediolanie, a to niesamowite miasto. Naprawdę się cieszę. Potem wyjeżdżam do Paryża i Londynu.

- Miałabyś ochotę wyjść gdzieś wieczorem w przyszłym tygodniu? - zapytała Claudia, po czym pośpiesznie dodała: - Nie będą same pary

- Właściwie pary mi nie przeszkadzają - stwierdziła Daisy - pod warunkiem że nie są to Alex i Louise.

- Och, jasne - Claudia głośno odetchnęła. - Nawet by mi to przez myśl nie przeszło. Nie, będzie kilkoro naszych starych przyjaciół. Pomyśleliśmy, że spodobałoby ci się.

- Zgoda, ale pod warunkiem, że nie będziecie próbowali z nikim mnie swatać.

- No... - zaczęła Claudia - jest jeden facet, kolega Andrew z pracy. Bardzo miły, naprawdę. Przechodzi trudny okres, ale na pewno go polubisz.

- Claudio - ostrzegła Daisy - nie próbuj swatać mnie z facetami, bardzo proszę. Z przyjemnością spotkam się z wami, ale ten sympatyczny kolega twojego męża musi zdawać sobie sprawę, że nie jestem wolna, rozumiesz?

- Rozumiem. Pomyśleliśmy tylko, że byłoby miło, gdybyś znowu zaczęła się z kimś spotykać.

Daisy pomyślała o tym, jak bardzo brakuje jej objęć Alexa, obecności drugiej istoty ludzkiej: kogoś, do kogo można przytulić się w łóżku, kto otworzy słoik z sosem, kiedy zakrętka wydaje się przyspawana. Najbardziej zauważa się właśnie drobiazgi.

A jednak pragnienie obecności drugiej istoty ludzkiej nie było dostatecznie dobrym powodem, by rzucać się w wir randek. Leah niedawno tak jej powiedziała: „Musisz samą siebie uzdrowić, Daisy. Nie możesz liczyć, że zrobi to za ciebie ktoś inny. To by było jak owinięcie wielkiej rany bandażem, przez co nigdy się nie zagoi”.

- Claudio, lubię być sama - oznajmiła stanowczo. - Mogę robić, co chcę i kiedy chcę. Mogę w nowym domu mieć kwiaty, falbanki i inne rzeczy, które Alexowi na pewno by się nie spodobały. Mogę być sobą. I tego właśnie akurat teraz potrzebuję, nie kolejnego faceta. Więc dzięki, ale nie.

- Ojej, naprawdę cię podziwiam, Daisy, że tak się z tym uporałaś. Nie mam pojęcia, co bym zrobiła, gdyby Andrew zostawił mnie dla innej kobiety.

- Ale nie zrobiłby tego, prawda? - powiedziała Daisy spokojnie. - Andrew cię kocha. I na tym polegał problem: Alex w gruncie rzeczy wcale mnie nie kochał. Byłam dla niego przystankiem przed spotkaniem tej jedynej.

- Chyba ci tego nie powiedział? - zapytała Claudia, zdegustowana.

- Powiedział. Wygląda na to, że Louise jest tą jedyną, a ja byłam dobra na okres przejściowy. - To wciąż bolało, chociaż teraz już nie tak mocno. Daisy odkryła, że można zwalczyć ból, trzeba tylko wstawać co rano i do wieczora robić, co do ciebie należy

- Ale spotkasz się z nami w przyszłym tygodniu? - zapytała Claudia.

- Oczywiście, tylko nie zgadzam się na żadne randki w ciemno. Następnego dnia Daisy wpadła do Wzgórza Obłoku, wracając z kolejnej wizyty w chacie.

Leah wyszła na spacer i nie spodziewano się szybko jej powrotu, za to Cleo ucieszyła się ogromnie na widok Daisy. Kiedy się poznały, Daisy była smutna i roztrzęsiona, a teraz promieniała. I była pięknie ubrana. Wtedy nosiła obszerne, powyciągane dresy, które nie dodawały jej uroku. Teraz wyglądała zarówno modnie, jak i na o niebo bardziej pewną siebie w swetrze barwy miodu, spłowiałych džinsach i jedwabnym szalu na szyi, z rudymi włosami spadającymi na ramiona. To widomy dowód, że Wzgórze Obłoku i Leah potrafią dokonywać cudów, pomyślała Cleo.

Przyszło jej na myśl, że sama pewnie też wygląda inaczej. Czula się o wiele szczęśliwsza teraz, kiedy znalazła sposób na naprawienie tego, co potoczyło się źle. Niestety zostawia ślady na twarzy. Teraz Cleo patrzyła w lustro i widziała kobietę, której szczupłych ramion nie przygniata ogromne brzemie.

- Możesz mnie podwieźć do Carrickwell? - zapytała. - Zamierzam chwycić byka za rogi i odwiedzić mojego brata Barneya. Zawsze we wtorki ma wolne popołudnia, więc postanowiłam, że wpadnę bez zapowiedzi, żeby nie miał czasu na wysmażenie historyjki, dlaczego obaj z Jasonem pozwolili mi dusić się we własnym sosie. Dranie.

Jazda nie trwała zbyt długo, brakowało czasu na opowiadanie o planach i poczynaniach, ale jakoś im się udało i w końcu każda była na bieżąco z wydarzeniami z życia drugiej.

- Kiedy przeprowadzisz się do chaty? - zapytała Cleo, kiedy jechały przez miasto.

- Mam nadzieję, że za kilka tygodni. Trzymaj kciuki, żeby nie stało się nic złego.

Daisy zaparkowała przy końcu drogi, przy której mieszkali Sondra i Barney.

- Na pewno nie chcesz, żebym z tobą poszła? Chętnie to zrobię. Miło jest mieć przy sobie życzliwą duszę, kiedy trzeba zrobić coś, czego się boisz. - Wiedziała, że Cleo ma mieszane uczucia jeśli chodzi o wizyty u brata i bratowej po wielomiesięcznej przerwie.

Daisy uważała, że Cleo jest bardzo odważna. Naturalnie była wściekła, że bracia uknuli spisek, żeby udaremnić jej pogodzenie się z rodzicami, ale równocześnie denerwowała się, jak zostanie przyjęta.

- Wiem, że jestem w dużej mierze winna, bo zachowywałam się dziecinnie - powiedziała Cleo - ale Barney i Jason mi dorównują. Mam nadzieję, że to z tego właśnie powodu nie skontaktowali się ze mną. Wiesz, kiedy byliśmy mali i pokłóciliśmy się, Barney godzinami się do mnie nie odzywał. Ja wytrzymywałam najwyżej kwadrans. Teraz trochę się boję, że jednak chodzi o coś więcej: że Barney i Jason naprawdę nie chcą mieć ze mną nic do czynienia.

A jeśli tak właśnie jest i ta kłótnia wyrządziła rodzinie nieodwracalną krzywdę? Cleo potrafiła poradzić sobie ze sprzeczką, która nabrała zbyt wielkich rozmiarów. Rozpad rodziny bez nadziei na zgodę zламаłby jej serce, teraz, kiedy postanowiła bliskim wynagrodzić swoje postępowanie.

- Mówię szczerze: mogę z tobą pójść - powtórzyła Daisy.

- Dzięki, ale powinnam załatwić to sama - odparła Cleo z wdzięcznością. - Nic mi nie będzie. Barney nie gryzie. Sondra potrafi ukąsić, ale dam sobie z nią radę. Na tym zresztą polegał problem, bo wiesz, nie bardzo wiedziałam, jak z nią postępować i byłam przekonana, że rodzice bardziej lubią ją niż mnie. Bardzo to dziecinne. - Cleo westchnęła, myśląc o sobie, Sondrze i sprzeczkach, które między nimi ciągle wybuchały. W pewnym sensie to prawdziwy cud, że rodziny Malinów już kilka lat wcześniej nie podzielił jakiś spór. Tylko dzięki determinacji Harryego, by w żadnym razie nie dopuszczać do konfliktów, panował spokój. Niewykluczone jednak, że ta pozbawiona kłótni atmosfera była sztuczna. Gdyby się częściej kłócili, powietrze by się oczyściło.

- Szkoda, że w szkole nie ma lekcji o dorosłości - powiedziała Daisy z namysłem. - Zamiast geografii i ekonomii zajęcia w rodzaju „rodzicielstwo” albo „jak w trzy miesiące wyszkolić chłopaka”.

- Doskonały pomysł - zgodziła się Cleo. - A co myślisz o zajęciach „jak mówić językiem innych ludzi”, tak żebyś rozumiała, co chcą ci powiedzieć i unikała wiecznych spieć?

- Czy to byłby kurs dwuletni? - spytała Daisy, rozbawiona. Cleo pokręciła głową.

- Co najmniej dwudziestoletni.

- Zapisz mnie na całość - powiedziała Daisy - Ani w ząb nie rozumiem języka mężczyzn.

- W relacjach z nimi skuteczne jest mówienie prosto z mostu - oznajmiła Cleo stanowczo. - Mów, co myślisz, i niech sami sobie z tym radzą.

- Nie wychodzi mi najlepiej mówienie mężczyznom, co myślę - mruknęła Daisy. - Im zresztą też nie. Alex mówił jedno, a myślał zupełnie co innego. Nigdy nie był szczery. Nawet na sam koniec nie zdobył się na szczerłość. W języku kobiet seks coś znaczy. To cudowne połączenie dwojga ludzi, którzy pragną być ze sobą jak najbliżej, rzecz bardzo cenna i intymna. A w języku mężczyzn seks oznacza: „Hej, rzuciłem cię i mam inną dziewczynę, która spodziewa się dziecka, ale co tam, jesteśmy tutaj sami. Nikt nie musi wiedzieć, więc czemu nie mielibyśmy się pobzykać?”. A może tylko ' Alex tak to rozumie.

Cleo śmiała się tak serdecznie, że pośpiesznie nałożony tusz do rzęs zaczął jej spływać na policzki.

- To prawda - ciągnęła Daisy. - A przecież to właśnie mężczyźni ciągle zarzucają kobietom, że mówią jedno, a myślą drugie. Ale sami są jeszcze gorsi.

- Masz rację - powiedziała Cleo, myśląc o Trish i jej ostatniej katastrofie z facetem imieniem Lucas, który rzucił ją po sześciu randkach typu „Jesteś niesamowita, Trish. Nigdy nie spotkałem nikogo podobnego do ciebie!”. I to zerwał, wysyłając esemesa. - Przez całe dwa tygodnie co wieczór wysyłał jej piętnaście wiadomości, a potem nagle sobie poszedł. Ukradli mu telefon? Odcięli rękę? Nie, był zajęty. „Chcę to skończyć. Przepraszam” - tak napisał. Po dwustu dziesięciu esemesach wyrażających głębokie zainteresowanie nagle przeprosza, ale to koniec. Ukrył się za telefonem. Po co się męczyć? Czemu telefon jest dobry do przeprosin, ale nie do podziękowań? - mówiła Cleo z żarem, przenosząc wściekłość na ludzi w rodzaju cholernego Tylera Rotha na całą pleć męską.

Potraktowała Nata z brutalną szczerością i bardzo go to zabolalo, ale miała odwagę, by tak postąpić. Nie jak ten okropny Lucas, który umawiał się z biedną Trish.

Chociaż od Tylera wyszła bez słowa pożegnania... Ale to inna sprawa, powiedziała sobie zdecydowanie.

- W przyszłości będę taka szczerą, że trudno będzie ludziom ze mną wytrzymać - powiedziała Daisy. - Mam zamiar przez cały czas mówić, co myślę.

- A czy w sklepie to nie będzie problem? - zapytała Cleo. - Jeśli kobieta wybiera okropną rzecz, musisz mówić, że wygląda ładnie, żeby jej nie urazić?

- Nigdy nie skłamałam, żeby coś sprzedać - odparła Daisy, wstrząśnięta. - I dlatego klientki do nas wracają. Jeśli coś wyjątkowo któreś nie pasuje, ja albo

Mary mówimy jej o tym. Mary jest w tym szczególnie dobra. W ciągu trzydziestu sekund potrafi podsunąć odpowiednią rzecz. A tę złą wynosi z przebieralni i każe nam schować.

- Będę musiała przyjść do was i przymierzyć parę ubrań, ale tylko pod warunkiem, że będziecie ze mną szczerze.

- Aż do bólu - zgodziła się Daisy.

- Tylko że nie mam za dużo pieniędzy - dodała Cleo.

- Upust dla personelu - powiedziała Daisy. - Przywilej właścicielki sklepu. Cleo uściskała Daisy, nim wysiadła z samochodu.

- Przyjdiesz w czwartek na zajęcia z jogi? Jako pracownica Wzgórza Obłoku muszę brać w nich udział. Ale naprawdę są super.

- Sama nie wiem - odparła Daisy. - W szkole nigdy nie byłam dobra w sportach. Wolałabym nie być jedyną, która nie potrafi zarzucić nóg na szyję. Takie zajęcia są okropnie upokarzające dla pulchnych osób. A poza tym jestem zupełnie bez formy, nie będę mogła potem rozprostować kości.

- Tam nie ma żadnych wygibasów - przekonywała Cleo. - Te zajęcia to bułka z masłem. Asztanga to zupełnie inna sprawa, faktycznie tygodniami nie możesz się ruszyć. Ale te ci się spodobają. Naprawdę.

Sondra i Barney mieszkali przy małej uliczce niedaleko katedry, w szeregu lepiej zachowanych ceglanych wiktoriańskich kamieniczek. Ich dom znajdował się na końcu i był nieco większy niż sąsiedni. Cleo wiedziała, że kupiony został dzięki sporym zastrzykom finansowym od rodziców.

Dobrze, że pieniądze tak bardzo mnie nie obchodzą, myślała, otwierając czarną furtkę i idąc do drzwi. Obaj bracia przez lata dostawali potężne sumy z zysków hotelu, a ona nie. Łatwo można by się rozgniewać na ten niesprawiedliwy podział rodzinnego majątku, ale Cleo nigdy nie poświęcała temu myśli. Pieniądze często są powodem kłótni. W Carrickwell wszyscy znali rodzinę, która podzieliła się na dwie wrogie frakcje z powodu spadku, przy czym członkowie jednej uważali, że ich pominięto i wszem wobec rozgłaszali, że krewni podstępem pozbawili ich należnej części. Członkowie drugiej natomiast ostentacyjnie przechodzili na drugą stronę ulicy, kiedy zobaczyli kogoś z tej pierwszej. Cleo zawsze myślała, że to szaleństwo tak się obrażać z powodu paru funtów w testamencie staruszki.

Nie zamierzała popełniać tego błędu, ponieważ zdecydowała, że sama zdobędzie fortunę, prowadząc własny hotel. Na nieszczęście tym hotelem nie mógł być Willow i przypuszczalnie będzie tego żałowała do końca życia. Jeśli człowiek wychował się w jakimś miejscu i kocha je z całej duszy, to nic dziwnego, że czuje wielki smutek, kiedy się go pozbawia tego skarbu.

Nie pozwoli jednak, by pretensje i żale ją powstrzymały. Co powiedziała Leah? „Każda przeszkoda to okazja do nauki”. Cleo tak to zdanie uderzyło, że je sobie zapisała. Leah zawsze mówiła rzeczy zasługujące na zapisanie.

I miała absolutną rację. W ciągu kilku ostatnich miesięcy Cleo sporo się nauczyła i zamierzała wykorzystać tę wiedzę do stworzenia własnego hotelu. Będzie należał wyłącznie do niej i nikt nigdy nie będzie mógł jej go odebrać. Przenigdy.

Zadzwoniła do drzwi. Temu domowi dobrze by zrobiło, gdyby ktoś przy nim popracował. Ani jej brat, ani bratowa najwyraźniej nie widzieli, że wrzosa usychają, co nie dodaje uroku ogródkowi.

Nikt nie otworzył. Cleo już prawie zaczęła żałować, że jednak nie uprzedziła o wizycie, ale nie chciała dawać Barneyowi możliwości wymigania się od rozmowy.

Zadzwoniła ponownie, planując, że w takim razie pójdzie do Jasona do biura.

Bracia muszą jej wyjaśnić, w jaką głupią grę grają. A potem przez mrożoną szybę w drzwiach dostrzegła jakąś człapiącą wolno postać, która zapytała zirytowanym głosem:

- Słucham?

To była Sondra, tylko że Cleo trudno było rozpoznać zwykle bardzo zadbaną bratową w tej zmęczonej kobiecie w zaawansowanej ciąży. Niegdyś połyskliwe blond włosy teraz szpeciły brązowe odrosty, na twarzy nie było grubej warstwy pudru.

Nie wiadomo, którą bardziej zaskoczył widok drugiej.

- Cleo! - wykrzyknęła Sondra.

- Cześć, Sondra - odparła Cleo. - Eee... jak ciąża?

- Jak widzisz. Nie tego się spodziewałam. Promienna zdrowa cera, gęstsze włosy...

Kłamstwa! Niedobrze mi i gorąco, kręgosłupa praktycznie już nie mam. Wejdz - burknęła, ostrożnie człapiąc korytarzem i zostawiając Cleo zamknięcie drzwi. - I mam obrzęki. Moja babcia ma szczuplejsze kostki niż ja. Nie jestem nawet w stanie wysiedzieć u fryzjera, żeby... pofarbować sobie włosy. Popatrz na te odrosty! A tak w ogóle, to co ty tu robisz? - zapytała nagle.

- Przyjechałam zobaczyć się z tobą i Barneyem. - Doszły do kuchni. Cleo nie była w domu brata od wieków. Przypomniała sobie pierwszą wizytę, kiedy całą rodziną przyszli podziwiać uroczę gniazdko nowożeńców. Patrzyła wtedy ponuro na wielki telewizor z płaskim ekranem i drogą wieżę, wiedziała bowiem, że zapłacono za nie z zysków rodzinnej firmy. Zrobiła nieprzyjemną uwagę, że to bardzo kosztowny dom dla pary zaczynającej dopiero wspólne życie.

- Wolałabyś, żeby twój brat mieszkał w ruderze? - odparła matka z żarem. Cleo wstydziła się teraz, że to powiedziała. Zachowała się jak jędra.

Kuchnia sporo zyskała od tamtej pory i Cleo ze zdziwieniem stwierdziła, że jest bardzo przytulna i kobieca. Ładne poduszki na sosnowych krzesłach, porcelanowe figurynki baletnic na orzechowej etażerze i wiele innych elementów jakoś nie pasowały jej do Sondry. W oknach powiewały nawet zasłonki w czerwoną kratkę, obszyte falbankami.

- Zaparzyć ci herbaty? - zapytała Cleo, widząc, jak Sondra z wysiłkiem kieruje się w stronę fotela wyłożonego poduszkami.

- Imbryk jest w zmywarce, a herbata ekspresowa w szafce nad zlewem -rozkazała Sondra.

Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Umościwszy się w fotelu, Sondra położyła stopy na taborecie, wzięła pilota i włączyła niewielki telewizor stojący na blacie. Prowadząca talk-show Ricki Lake namawiała widownię złożoną z rozgniewanych kobiet, żeby powiedziały, co myślą o mało atrakcyjnym mężczyźnie, który swoją udręczoną żonę opisał jako „wielką tłustą babę”. Cleo zastanawiała się, skąd Ricki bierze swoich gości. Jakim trzeba być tępakiem, żeby stanąć przed wrogą, w większości żeńską widownią i coś takiego powiedzieć?

- Idiota - mruknęła Sondra. - To się w głowie nie mieści, no nie? Ricki zaraz go załatwi. Przystojny to on nie jest. Uwielbiam Ricki. Wczoraj było o kobiecie, która równocześnie chodziła z czterema facetami. Niesamowite, naprawdę...

Sondra mówiła, a Cleo parzyła herbatę. Dobrze wiedziała, jaką herbatę lubi bratowa: w Willow robiła ją dostatecznie często. Znalazła puszkę maślanych ciasteczek i wyłożyła je na talerz. Dotarło do niej, że w kuchni panuje niezwykle porządek. Najwyraźniej Sondra nie była taką nieudomowioną istotą, za jaką brała ją Cleo, albo też za sprzątanie odpowiedzialny był Barney, a ponieważ wiedziała, że brat ma alergię na prace domowe, ta akurat możliwość wydawała się mało prawdopodobna. Zniosła tacę na stół i przysunęła taboret, żeby usiąść koło bratowej.

- W ciąży nie czujesz się najlepiej, prawda? - zapytała.

- Nie. Co dwadzieścia minut muszę sikać, jak coś zjem, zaraz mam zgagę, i popatrz na te czerwone żyłki na mojej twarzy. Wyglądam okropnie!

Cleo musiała się roześmiać. Nie znała Sondry z tej strony

- Nieprawda - powiedziała.

- Mhm, łatwo ci mówić - burknęła Sondra.

Obie w przyjaznym milczeniu patrzyły, jak mężczyzna w programie Ricki Lake zbiera ciągi od widzów, piły herbatę i jadły ciasteczka. Sondra zjadła sześć.

Cleo pomyślała, że gdyby w dawnych czasach ona zjadła sześć, Sondra rzuciłaby kąśliwą uwagę o związku pomiędzy ciasteczkami a mało apetycznymi

wałeczkami na biodrach. A Cleo odparłaby, że woli wałeczki od żeber jak u charta. Uświadomiła sobie, że obie były sobie warte. Demonizowała Sondrę - a może to Sondra demonizowała ją?

Gawędziły w przerwach na reklamę. Ciesząca się sławą ponurej recepcjonistki Tamara wróciła do pracy w salonie piękności.

- Tam bardziej jej się podoba. Hotelarstwo w gruncie rzeczy nigdy jej nie odpowiadało.

Cleo ugryzła się w język. - Jason miał nową dziewczynę, Liz.

- Bardzo miła - oceniła Sondra. - Nie zwraca uwagi na swój wygląd. - Dawniej byłaby to jednoznacznie negatywna opinia. - Nie zmieściłaby się w moje ciążowe dzinsy, nie wspominając już o normalnych. - Z nieszczęśliwą miną spojrzała na swój brzuch i westchnęła. - A jeśli ja nigdy się nie zmieszczę w swoje normalne dzinsy? Liz jest dobra dla Jasona. Wyciąga go z domu. Wiesz, jak lubił siedzieć samotnie wieczorami i grać na komputerze. A teraz ciągle gdzieś z nią wychodzi. Miał zamiar kupić nowy samochód, ale Liz powiedziała, że nie musi od razu szaleć, bo dostał trochę pieniędzy z hotelu. Jest bardzo rozsądna... - Sondra przerwała. Wspomniała o temacie tabu. Willow.

- Właśnie dlatego tu jestem - powiedziała Cleo spokojnie.

- Żeby znowu robić aferę?

- Nie, żeby się pogodzić. Ale najpierw chciałabym się dowiedzieć, dlaczego Barney i Jason nie zadali sobie trudu i nie skontaktowali się ze mną, tak jak prosili ich rodzice? - A chociaż Cleo miała przed sobą nową, lepszą Sondrę, nie mogła się powstrzymać od odrobiny jadu w głosie.

- To twoja wina, Cleo - odparła Sondra ze znużeniem.

- Widzisz, przez ciebie czuli się jak głupcy. Ciągłe powtarzasz, że wiesz, co jest dobre dla hotelu, a oni to para idiotów, którzy o niczym nie mają pojęcia. To przykre i nie sędzę, byś to rozumiała.

- Co masz na myśli?

Sondra wzięła kolejne ciasteczko.

- Och, dajże spokój. Ciągłe trujesz o swoim dyplomie i o tym, czego się nauczyłaś w collegeu. Twój ojciec wiecznie cię wychwala: „Cleo to”, „Cleo tamto”. Nic dziwnego, że miało to wpływ na twoich braci. Żaden nie poszedł do collegeu. Barney ma kompleks na twoim punkcie. Mówi, że nasze dziecko skończy studia, choćby nie wiem co.

- Nie truję o moim dyplomie - powiedziała Cleo urażona.

- I nigdy nie próbowałam robić idiotów z Jasona i Barneya. Wyśmiewali się ze mnie, kiedy w szkole ciężko pracowałam!

Pamiętała, jak we trójkę w dzieciństwie odrabiali lekcje - Barney i Jason zawsze nad swoimi się męczyli. Cleo dostawała najlepsze oceny ze wszystkiego i zachowała niektóre zeszyty jako cenne pamiątki. Bracia po ukończeniu szkoły musieli ceremonialnie spalić swoje podręczniki w hotelowym piecu.

W pewnym sensie dzięki nim Cleo nigdy nie miała wrażenia, że kobiety pod jakimś względem są gorsze od mężczyzn. Była młodsza od Barneya i Jasona, ale o wiele od nich bystrzejsza. Nigdy natomiast nie zastanawiała się, jak odbierają to bracia.

- Naprawdę mieli żal, że poszłam do collegeu i zrobiłam dyplom?

- Trochę tak, szczerze mówiąc - odparła Sondra, z wysiłkiem przesuwając się na poduszkach.

- Mam ci pomóc? - zapytała niepewnie Cleo. Sondra kiwnęła głową.

- Nie mogę za długo wytrzymać w jednej pozycji. Mogłabyś poprawić mi poduszki?

Cleo spełniła prośbę, później delikatnie pomogła bratowej usiąść wygodnie. To był najbardziej siostrzany gest, jaki kiedykolwiek wykonała wobec Sondry.

- Bałam się, że chłopcy się do mnie nie odzywają z powodu pieniędzy - powiedziała wreszcie. - Ze chcą moją część...

- Jakby twój ojciec kiedykolwiek na to pozwolił! - Cleo dostrzegła cień dawnej Sondry - Twoja część leży nietknięta.

- Ale dlaczego się ze mną nie skontaktowali, kiedy prosili ich o to rodzice?

- Byli na ciebie źli i obaj uważali, że dobrze ci zrobi, jak ochłoniesz w samotności. A potem minęło za wiele czasu, nie mieli odwagi dzwonić. Myśleli, że za długo z tym zwlekali. Ale ucieszą się, że tu jesteś. Barney nienawidzi kłótni. Tylko nie zaczynaj z tym swoim starym: „Ja miałam rację, a wy nie”, kiedy go zobaczysz. Musisz szanować uczucia innych ludzi.

- Przyganiał kocioł garnkowi! - zripostowała Cleo.

- Witaj, nieznajoma.

Cleo się odwróciła. W progu stał Barney, w rękach trzymając torby z zakupami.

Wyglądał dokładnie tak samo jak zawsze: trochę wygnieciony, z łobuzerskim wyrazem twarzy, który nie zmienił się, odkąd był małym chłopcem. Tylko wokół oczu przybyło mu zmarszczek. Cleo pomyślała zaskoczona, że ta kłótnia odbiła się na nich wszystkich. Śmieszne: sądziła, że tylko ona cierpi.

- Długo zwlekałaś z tymi odwiedzinami - burknął. - Jeszcze kilka tygodni, a nie miałabyś pojęcia, że zostałam ciotką.

- Wiem, przepraszam. - Wszystkie plany Cleo wytoczenia poważnych argumentów rozpadły się w proch na widok Barneya. Pomyślała, że braci onieśmiała jej inteligencja i poczuła przyływ miłości do nich obu. - Ty też nie

zdobyłbyś nagrody za umiejętność pozostania w kontakcie - powiedziała czule. Podeszła do niego i przytuliła go razem z zakupami.

- Zadzwoiłaś do rodziców? Cleo pokręciła głową.

- No... mogłabyś nie wspominać, że Jason i ja nie spotkaliśmy się z tobą, żeby przemówić ci do rozsądku... ?

- Chcesz powiedzieć, że mama was obu zabije, jeśli się o tym dowie?

- Coś w tym rodzaju.

- Zadzwoię do nich - oznajmiła Sondra stanowczo.

Wzięła telefon i wystukała numer, nim Cleo zdążyła poczuć niepokój. Czekala, aż Sondra zacznie rozmowę, ale nikt nie odebrał, zostawiła więc wiadomość: „Cześć, Sheila. Możesz do nas zadzwonić?”.

Na kolację zaproszono Jasona i Liz, jego nową dziewczynę.

- Musisz upiec kurczaka, Cleo - poleciła Sondra. - Ja nie jestem w stanie, a Barney albo dokonuje kremacji, albo podaje dania półsurowe. Wystarczy mi zgaga, którą już mam.

Cleo przygotowała swoją specjalność: kurczaka pieczonego na ruszcie w sosie barbecue. Przygotowała kiedyś to danie na kolację w domu u Trish i wszyscy obecni mężczyźni domagali się dokładki, tak im smakowało.

- Droga do serca mężczyzny - westchnął Ron.

- Nie, droga do serca mężczyzny prowadzi przez jego żebra - zażartowała Trish.

- Rewelacyjne - oznajmiła entuzjastycznie Liz, kiedy wszyscy usiedli do posiłku.

Cleo widziała, co Sondra miała na myśli, kiedy mówiła o Liz: była urocza, delikatna i sympatyczna, a także pociągająco krągła.

- Tak, super - dodała Sondra, jedząc za dwoje.

Barney i Jason z kolei jedli jak ludzie, którzy właśnie zakończyli dwudziestoczterogodzinny post. Zgodnie z tradycją nie pochwalili potrawy.

- Jason - syknęła Liz - powiedz siostrze, że ci smakuje! Gdzie twoje maniery?

- To jest bardzo dobre, siostrzyczko - wymamrotał Jason z ustami pełnymi kurczaka.

Cleo uśmiechnęła się do Liz. Nie ulegało wątpliwości, że takiej kobiety Jason potrzebuje.

Liz i Sondra poleciły mężczyznom, żeby pozmywali. Cleo powiedziała, że im pomoże.

- Ale ty przygotowałaś kolację - zaprotestowała Liz. - Usiądź z nami.

- Chętnie to zrobię - odparła Cleo. Pomyślała, że dzięki temu będzie miała okazję porozmawiać z braćmi.

Kiedy we troje zostali w kuchni, Cleo zabrała się za zmywanie, Barney pracowicie wycierał, a Jason z głośnym szczękiem chował naczynia do szafek.

- Nie zniosłabym, gdyby ta kłótnia trwała wiecznie - powiedziała ostrożnie.

- Uspokój się, mała - odparł Jason. - Wszystko gra.

- Tak - dodał Barney. - Chociaż masz charakterek, Cleo.

- Nie musisz mi mówić! - wykrzyknął Jason. - Wciąż mam na łydce bliznę po twojej lalce Tiny Tears. Pamiętasz, jak mnie nią walnęłaś, kiedy chciałem ci ją odebrać na przyjęciu z okazji twoich czwartych urodzin?

Porzucając na chwilę chowanie naczyń, Jason pochylił się i podciągnął nogawkę, żeby pokazać wzmiankowaną bliznę.

- A ja wciąż mam kłopoty z obojczykiem po tym, jak mnie namówiłeś, żebym zjechała po poręczy - odpaliła Cleo.

Nie była pewna, czy obojczyk może dokuczać osiemnaście lat po fakcie, ale nie chciała, żeby ta lista blizn pozostała jednostronna. - Powiedziałeś, że przyjmiesz mnie do swojej paczki, jeśli zjadę w dół, a miałam dopiero pięć lat. Mama o mało cię za to nie zabiła.

- I tak byśmy cię nie przyjęli do naszej paczki - stwierdził Barney. -Przepraszam. Byliśmy okropni.

- I nazywaliście mnie Cleo Złośnicą - dodała, wspominając, jak nie znosiła tego przezwiska, jak cierpiała, kiedy bracia wyłączyli ją ze swoich zabaw.

- Z tego powodu zniszczyłaś moją hodowlę mrówek - roześmiał się Jason. -

Miesiącami te mrówki były wszędzie. Zawsze miałaś charakterek, Cleo. Nic się nie zmieniło! Barney, co dokładnie powiedział tata, kiedy sprzedaliśmy hotel?

Gdyby Cleo wiedziała, że kupiła go sieć Rotha, wpadłaby we wściekłość jak tornado. Co? - zapytał, widząc, że brat patrzy na niego z ukosa. - Mówiłem tylko...

- Wiedzieliście, że sieć Rotha kupiła Willow? - zapytała Cleo dziwnym tonem.

Czuła się, jakby świat stanął na głowie.

- Tylko nie szalej! - błagał Barney. - Dali fantastyczną ofertę, a bank żądał od taty pieniędzy.. Nie było wyboru. Wiedzieliśmy, że ci się to nie spodoba, ale nam też się to nie podobało. Dlaczego tobie miałyby się nie podobać bardziej? Przecież to był także nasz dom.

Cleo nie potrafiła wykrztusić słowa.

- Jakie to ma znaczenie, komu sprzedajesz, skoro i tak sprzedajesz? - zapytał Barney. - Wcale nie byłoby łatwiej przechodzić tamtędy i widzieć bloki zamiast eleganckiego hotelu, prawda? W obu wypadkach to miejsce już nie należałoby do rodziny.

W progu pojawiła się Sondra, zaalarmowana podniesionymi głosami.

- Chyba się znowu nie kłóćcie? - zapytała. Cleo pokręciła głową.

- Kłótnie w rodzinie Malinów to już przeszłość. Chłopcy opowiadają mi o transakcji z siecią Rothów.

- Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby zrobili fortunę na Willow - stwierdziła Sondra ponuro. - Przypuszczalnie odremontują go i unowocześnią.

A Cleo, która widziała projekty stylowej renowacji, nie potrafiła nic powiedzieć. Czuła się jak ostatnia idiotka. Zerwała z Tylerem i zerwała z rodziną, ponieważ górę wziął jej wybuchowy temperament. W obu wypadkach popełniła błąd. Czy ona kiedykolwiek zacznie wyciągać nauki ze swoich błędów?

Rozmawiali potem przy kawie. O wpół do dziesiątej Cleo oznajmiła, że musi zadzwonić po taksówkę, bo nazajutrz ma ranną zmianę w recepcji.

- Podwieziemy cię - zaproponował Jason.

Cleo zbierała się do odejścia, kiedy zadzwonił telefon.

- To mama - powiedział Barney, odczytawszy numer na wyświetlaczu. - Odbierz, Cleo.

Cleo poczuła nagle, że ma sucho w ustach.

- Cześć, mamó - powiedziała drżącym głosem.

- Cleo, kochanie, czy Sondra rodzi? Coś się stało?

- Nie, wszystko w porządku. - Cleo pomyślała, że dawniej to by ją zirytowało, bo uznałaby, że Sondra jest ważniejsza od niej i dlatego o nią pierwszą mama pyta. Teraz potrafiła zrozumieć, że kobieta w zaawansowanej ciąży musi mieć ... pierwszeństwo w większości rozmów telefonicznych. A wyobraźmy sobie, co będzie, jak dziecko się urodzi. Dobrze, że wcześniej uporządkowali rodzinną hierarchię. - Sondra czuje się dobrze. Jestem u niej z chłopcami i Liz. Wszyscy chcieliśmy z wami porozmawiać.

- Na pewno Sondra czuje się dobrze? Nie próbujesz czegoś przede mną ukryć? - pytała matka podejrzliwie. - Tak trudno przechodzi tę ciążę...

- Daję słowo. Sondra czuje się dobrze.

- Cześć, Sheila! - krzyknęła Sondra ze swego obszernego fotela. - Wciąż tu jestem, wciąż w ciąży.

- Dzięki za to Bogu! Cleo, tęskniłam za tobą. Oboje tęskniliśmy. »i Łzy zapiekły Cleo pod powiekami.

- Ja też tęskniłam, mamusiu. Przepraszam. Byłam zdenerwowana i...

- Harry, chodź tutaj! Dzwoni Cleo! - W głosie matki brzmiała radość, co do tego nie było wątpliwości.

Ktoś złapał słuchawkę.

- Cleo, kochamy cię! - powiedział ojciec przez ściśnięte gardło.

- Ja też was kocham - odparła Cleo. - Bardzo was kocham i jest mi okropnie przykro, ale kochałam hotel i nie zdawałam sobie sprawy, jak źle idą sprawy.

- Powiniennem był ci powiedzieć. Nie mogłem. Wiedziałem, że to złamie ci serce, a potem musieliśmy szybko dobić targu, bo inaczej wycofali by ofertę. Nie mogłem zadzwonić do ciebie do Bristolu z takimi wiadomościami. Zwłaszcza że chodziło o... - zawahał się i urwał.

- Sieć Rothów, wiem, tato - powiedziała Cleo cicho. - Barney ma rację. Powiedział, że nie ma znaczenia, komu się sprzedaje, skoro i tak się sprzedaje. Jestem pewna, że zrobią z niego cacko.

Westchnienie na drugim końcu świadczyło, że ojciec przyjął to z ulgą.

- Na pewno, kochanie. Drobny hotelarz nigdy nie polubi wielkiego, ale muszę przyznać, że sieć Rothów ma swoje zalety. A teraz powiedz, kiedy przyjedziesz do nas do Francji? Jeszcze przez dwa tygodnie będziemy w tej ślicznej willi w Ardeche. Nie jest wielka ani elegancka, ale ma dwa wolne pokoje. Jeden jest twój, jeśli chcesz.

- Tatusiu, mam nową pracę, ale jak tylko uda mi się wyrwać na kilka dni, natychmiast przyjeżdżam!

Po kilku minutach rozmowy z ojcem - fascynowały go jej opowieści o pracy w hotelu McArthur i godzinami mógłby słuchać o Wzgórzu Obłoku - telefon znowu przejęła mama.

- Poważnie, Cleo, bardzo mnie ta sytuacja przygnębiła. Wiem, że jesteś uparta, ale myślałam, że stosunki między nami są lepsze. Żeby nie zadzwonić ani nie napisać, nawet po tym, jak Barney i Jason z tobą rozmawiali.

Cleo nie musiała się zastanawiać: ojciec zabiłby chłopców, gdyby wiedział, jak było naprawdę. Niewykluczone, że Cleo powie mamie, ale jeszcze nie teraz. Najpierw niech w rodzinie zapanuje dawny spokój.

- Przepraszam, mamusiu - powiedziała ze skrucą. - Nie mam żadnego usprawiedliwienia na swoją obronę. Cleo Złoźnica, oto cała ja.

- Nieprawda - odparła mama z uczuciem. - Kochamy cię, wiesz o tym. Jesteś moją największą dumą. Zawsze będzie ci trudno, bo wszystko za bardzo bierzesz sobie do serca.

- Wiem, mamusiu, ale się uczę. Naprawdę.

- I przyjedziesz do nas niedługo?

Cleo wiedziała, że Leah ucieszy informacją o jej pogodzeniu się z rodziną. W następnym tygodniu miała dwa dni wolne, więc gdyby odrobiła kilka dodatkowych zmian, mogłaby pojechać na długi weekend...

- Za tydzień. Nie mogę się już doczekać, kiedy was zobaczę. Jason szturchnął siostrę w ramię, kiedy wyłączyła telefon.

- Dzięki, że nie powiedziałaś, że się z tobą nie skontaktowaliśmy, siostrzyczko. Tata by nas zabił, gdyby o tym wiedział. W końcu jednak powinniśmy byli dopuścić cię do naszej paczki.

- Nie ma sprawy, o ile zrobicie to teraz - odparła Cleo, oddając mu szturchańca. Zapadała noc, gdy Jason i Liz odwieźli ją do ośrodka.

- Fiu fiu, ale super - powiedział Jason, kiedy zajechali przed budynek. W miejscu, gdzie zwykle parkowała Leah, stał wielki czarny samochód, ale Cleo się nad tym długo nie zastanawiała. Pewnie Leah ma gości i kazała im skorzystać z jej miejsca na parkingu.

- Tak, pięknie tu, prawda? - powiedziała do brata, patrząc na Wzgórze Obłoku jego oczami. - Uwielbiam tu pracować, chociaż to trudne, bo jestem w Carrickwell, ale nie w Willow.

Liz odwróciła się do niej i poklepała pocieszająco po ramieniu.

- Cieszę się, że cię poznałam, Liz - powiedziała Cleo ciepło. Wsiadła z samochodu i to samo zrobił Jason.

- Miło było cię widzieć, siostrzyczko - powiedział szorstko.

- Och, chodźże tu. - Cleo objęła go niedźwiedzim uściskiem.

- Tęskniłem za tobą - powiedział Jason zduszonym głosem.

- Ja też za tobą tęskniłam, za wami wszystkimi. - Cleo odchyliła się i uśmiechnęła czule do brata. - Dbaj o siebie i o Liz, pasujecie do siebie.

- Ty też o siebie dbaj.

W zapadającej ciemności żadne z nich nie zauważyło mężczyzny siedzącego w obcym samochodzie na miejscu parkingowym Leah - mężczyzny z krótko ostrzyżonymi włosami, który przyglądał się im z wielkim zainteresowaniem.

- Cześć. - Cleo pomachała bratu i Liz na pożegnanie, po czym weszła do budynku. Kompletnie ją wyczerpały emocje tego dnia.

Rozdział dziewiętnasty

W piękny dzień późnym latem Mel poszła z Carrie i Sarą do parku na popołudniowy spacer. Sara wpadła przez bramę, z radością machając szczupłutkimi rękami. W parku kwitły bujnie kwiaty, ścieżki były zakurzone, trawa miejscami już zżółkła, a lekki wietrzyk unosił nasiona, z których w przyszłym roku wyrosną nowe rośliny.

- Popatrz, mamusiu, kwiaty wróżek.

Sara lubiła nazywać kwiaty po swojemu i uważała, że stokrotki, których pełno rosło przed bramą Abraham Park, powinny należeć do wróżek. Mleczki były dla elfów, bo nie lubiła ani mleczki, ani elfów. A dzikie róże, takie jak te, które wiły się po balustradzie maleńkiego pawilonu z odpadającymi płatami farby, należały do Boga.

Teraz uśmiechnęła się promiennie do matki i pobiegła po trawniku do miejsca, gdzie rosła kepa stokrotek.

- Włóski - powiedziała Carrie z podziwem. - Włóski.

Siostry zachichotały i rzuciły się na trawę koło placu zabaw, żeby nazbierać tyle stokrotek, ile się da. Czarny kundel, którego często tu widywały, wpadł pomiędzy nie, machając z podniecenia ogonem i pokazując różowy język.

- Przewróćisz mnie! - pisnęła Sara, ale przytuliła zwierzaka.

Pies skoczył ku Mel, wpychając aksamitny nos w torbę z napojami i słodyczami. Poklepała go po karku i dała mu herbatnika.

- Dziewczynki, idziemy na plac zabaw.

Carrie i Sara pobiegły przodem, pies skakał pomiędzy nimi. Obie tuliły go i ścisnęły, zadowolone, że wybrał się z nimi na spacer. Kiedy we czwórkę doszli do placu zabaw, dziewczynki popędziły ku furtce.

- Musisz tu zostać - powiedziała Mel do psa.

- Och, mamusiu, proszę - błagała Sara. - My go kochamy.

- Psom nie wolno tu wchodzić. Poczeka na nas. Pomyślała z roztargnieniem, że mogliby sprawić sobie psa. Kochała psy i spełniłaby marzenie Sary, a przecież była teraz cały dzień w domu. Przedtem było to niemożliwe... I nagle uderzyła ją pewna myśl: wszystko się zmieniło, odkąd przestała pracować. Dobrze się bawiła. Przez długi czas jej życie wypełniała taka masa obowiązków, że bycie matką stawało się trudne. Tak oczywiście nie powinno być. Kiedy Carrie i Sara się urodziły, kochała je z całego serca, ale brakowało jej czasu, żeby się nimi nacieszyć, ponieważ od razu musiała wracać do pracy, w wir zajęć, gdzie

należało dawać z siebie „sto dziesięć procent!”, jak powtarzała im Hilary Nikt nigdy nie skorygował jej obliczeń. Dzieci przestały być wielką radością, stały się natomiast czymś w rodzaju testu na przetrwanie. Każdy jej dzień był wyścigiem z czasem. Jeśli do pracy szła taką a taką drogą, mogła zaoszczędzić pięć minut, a jeśli w weekend przygotowała dziesięć posiłków i włożyła do zamrażarki, oszczędzała kwadrans co wieczór.

Przez te ostatnie kilka miesięcy Mel po raz pierwszy od narodzin Sary miała czas, żeby się cieszyć życiem.

Usiadła na ławce i przyglądała się zabawie swoich córek. Kiedy Sara miała wokół siebie przyjaciółki, nie chciała bawić się z młodszą siostrzyczką, ale kiedy były same, trzymały się razem.

- Pchaj, Sara, pchaj! - pisała Carrie, siedząc na huśtawce.

Sara posłusznie pchała, a Carrie wylatywała w powietrze, pohukując z radości i machając tłustymi nóżkami.

- Saro, kochanie, cofnij się, huśtawka wraca - ostrzegła Mel i dziewczynka zręcznie uskoczyła.

Dzieci dostrzegają w życiu magię, której nie widzą dorośli. Jak na przykład dzisiaj rano, kiedy Sara zobaczyła biedronkę na kafelkach w kuchni i wyniosła ją z namaszczeniem do ogrodu.

- Popatrz, mamusiu - powiedziała, a Mel poszła z nią, zostawiając w zlewie naczynia, bo miseczki po płatkach można wypłukać później, a ta chwila jest wyjątkowa.

Po zabawie na huśtawkach Mel, Carrie i Sara spotkały się ze swoim psim przyjacielem i wolno poszły wzdłuż rzędu sykomor na drewniany mostek nad strumykiem, a stamtąd ku kortom tenisowym, skąd dobiegały głucho uderzenia rakiet w piłeczki.

Sara lubiła obserwować ludzi grających w tenisa, teraz przycisnęła nos do zielonego ogrodzenia z siatki.

- Możemy kiedyś spróbować, mamusiu?

- Niedługo kupimy rakiety - obiecała Mel. Próbowała odwlec tę chwilę, bo w czasie wizyty u przyjaciół widziała, jak mocno Sara potrafi uderzyć w piłeczkę.

- Wczoraj też tak mówiłaś - burknęła Sara.

- Jutro, przyrzekam. A ja dotrzymuję przyrzeczeń, prawda? Sara zadarła brodę, jakby chciała zaprzeczyć.

- Dotrzymuję? - powtórzyła Mel, łapiąc córkę i łaskocząc ją.

- Tak! - pisnęła dziewczynka. - Tak! Tak! Mamusiu, przestań!

Przy ławkach na północnej stronie boisk spotkały Bernie i jej dzieci: chłopczyka i starszą dziewczynkę, chyba sześćioletnią, której wiecznie ciekło z

nosa. Bernie siedziała przygnębiona. Nie sprawiała wrażenia, że cieszy się urokami lata, a Mel częściowo знаła powód.

Sama była w domu dopiero od kilku miesięcy. To, że nie wychodziła co rano do pracy, wciąż miało dla niej posmak wakacji, jak wykradzione chwile, które miną, kiedy będzie musiała wrócić do dawnych obowiązków, a przyjemność powiększał kontrast między tymi dwoma okresami. Bernie natomiast często dawała do zrozumienia, że ma po dziurki w nosie tego wymuszonego odpoczynku od pracy zawodowej.

Dzieci znały się ze spotkań grupy matek. Carrie i synek Bernie, Stevie, byli w tym samym wieku i ciągnęli ku sobie z ostrożnością kilkulatków, podczas gdy Sara i Jaye natychmiast odbiegły od dorosłych, żeby porozmawiać na osobności. Mel miała nadzieję, że Sara nie złapie od Jaye tego jej wiecznego kataru.

- Jak leci? - zapytała, siadając obok Bernie.

- W porządku - odparła Bernie apatycznie. - Jestem zmęczona.

- I to wszystko? Nic się nie stało?

Nie tak dawno nawet by jej się nie śniła podobna poufałość wobec osoby, którą dopiero co poznała. Choć z drugiej strony miała wrażenie, że dobrze zna kobiety z grupy. Nie chodziło o to, że nie miały swojego życia i tajemnic - oczywiście miały - ale rozmawiały ze sobą bardzo szczerze i otwarcie. Połączyło je macierzyństwo.

- Teściowa - powiedziała Bernie z goryczą. - Chciałabym, żeby ta kobieta choć raz okazała mi szacunek, cholera. Wysłałam za jej syna, wychowuję jej pięcioro wnucząt, a ona wciąż nie docenia tego, co robię.

- A co zrobiła tym razem? - Mel już wcześniej słyszała o teściowej Bernie: kobiecie, w której wypadku każdy szowinistyczny stereotyp był zbyt łagodny.

- Wczoraj była u nas na kolacji. Od samego początku rozmawiała z Mickiem, jakby najważniejszą rolą w jego życiu była rola jej syna. Ja się nie liczę, nawet dzieci się nie liczą, choć przecież je uwielbia. Nie, Mick jest jedyny. Mick, jej ukochany syneczek. To takie niegrzeczne! - jęknęła Bernie. - Chce siedzieć koło niego, wypytuje, co robił przez cały tydzień, razem z nim ogląda sport, a ja jak ostatnia idiotka haruję w kuchni, przygotowując posiłek z trzech dań. Był ze mną Stevie i ledwo odwróciłam się do niego plecami, zaraz na podłodze znalazła się co najmniej jedna torebka mąki. A potem - Bernie wyraźnie się ożywiła - po kolacji, którą sama zrobiłam, ona robi mi wykład o właściwym odżywianiu. Właściwe odżywianie? I to mówi kobieta, która uważa, że dzieci nie powinny pić pełnotłustego mleka, żeby za bardzo nie przytyły, a równocześnie za każdym razem przynosi im wielką torbę cukierków. Sama nie wiem, czemu jeszcze jej nie zabiłam. A wiesz, co jest najgorsze?

- On nie stanął po twojej stronie? - domyśliła się Mel.

- Właśnie. A ja potrzebuję tylko odrobiny wsparcia, uznania, kilku słów, że dobrze sobie radzę, że mi dziękuję.

Mel próbowała znaleźć właściwą odpowiedź, ale nie potrafiła, Bernie była tak głęboko zniechęcona. Poza powiedzeniem teściowej i mężowi, żeby wynosili się z jej domu, i unieszcześliwieniem wszystkich zainteresowanych, Mel inne wyjście nie przychodziło do głowy.

- Nie powinnam cię tym zanudzać - dodała Bernie smutno.

- Musiałas z kimś porozmawiać, inaczej całkiem byś zwariowała.

- Dzięki. Wybierasz się w piątek rano na kawę do Vic? Będzie kwesta na hospicjum.

- Przykro mi, umówiłam się z przyjaciółką z pracy - odparła Mel. Wyłowiła z kieszeni parę monet. - Daj to ode mnie. A to - napisała numer swojego telefonu na skrawku papieru - na wypadek, gdybyś chciała znowu się wypłakać.

Dziewczynki były zmęczone i po powrocie do domu od razu padły na kanapę, podczas gdy Mel zajęła się kolacją.

Myślała o tym, jak Daisy, Cleo i Caroline namawiały ją do założenia własnej firmy, żeby mogła pracować na godziny i w domu. Żadna nie powiedziała, czym ta firma miałyby się zajmować, ale Mel wpadł do głowy pomysł. Grupa Wsparcia dla Niepracujących Matek. Co za szkoda, że nie jest to rentowny projekt, bo bez wątplenia wiele kobiet czegoś takiego potrzebowało. Na przykład Bernie i Caroline.

Kiedy po dniu spędzonym w ośrodku spa Mel odwiozła Caroline na dworzec, objęła ją i powiedziała:

- Cokolwiek dzisiaj wieczorem się stanie, jeśli będziesz mnie potrzebowała, zadzwoń, a ja natychmiast przyjadę.

- Jesteś dobrą przyjaciółką - odparła Caroline, odwzajemniając jej uścisk. Nie płakała, co wczoraj na pewno by robiła. Dzisiaj była silniejsza, bardziej opanowana - taką przynajmniej miała nadzieję Mel.

Przez cały dzień czekała na telefon, ale minęła dziewiąta wieczorem, a Caroline nie dała znaku życia. Mel nie mogła teraz do niej dzwonić. Nie zносиła telefonów wieczorem, kiedy dzieci leżały już w łóżkach, a ona sama zwinęta w kłębek oglądała telewizję, więc nie chciała robić tego innym.

Nazajutrz o ósmej rano telefon zadzwonił. Mel rzuciła się, żeby go odebrać.

- Mel, to koniec.

Mel przycisnęła rękę do piersi.

- Koniec? - powtórzyła. - Odszedł od ciebie?

- Nie, skończył ten romans. Naprawdę. Och, Mel, on płakał. Ja też płakałam. Powiedział, że tego nie chciał, a potem miał okropne wyrzuty sumienia. Nie wiedział, co robić, bał się, że o wszystkim się dowiem.

Dziewczynki jadły śniadanie: Sara pograżyła się w kontemplacji pudełka z płatkami, Carrie układała krążki cheerios we wzór na stole. Były zadowolone. Mel postawiła krzesło obok telefonu i usiadła.

- Kto, dlaczego, gdzie, kiedy i od jak dawna? - zapytała.

- Kobieta z firmy. Przeprowadziła się.

- Naprawdę? - zapytała Mel podejrzliwie.

- Podał mi jej nazwisko, a ja wiem, że zwolniła się z pracy. Ona też jest mężatką i bała się, że mąż się dowie. Wszystko zaczęło się na bożonarodzeniowym przyjęciu w firmie, potem była przerwa do maja, kiedy pracowali do późna. Graham mówi, że nigdy dotąd nie miał takich wyrzutów sumienia i bał się, że straci mnie i dzieci. Mel ogarnęła kolejna fala podejrzeń, ale wątpliwości zachowała dla siebie.

- Dziwne, ale ona wcale nie jest ładna - dodała Caroline. - I tego właśnie nie rozumiem. W najlepszym razie można powiedzieć, że to myszka, chociaż w pracy doskonale sobie radzi. Łatwiej mi teraz, kiedy wiem, jak wygląda, bo nie muszę sobie wyobrażać jej jako piękności. No wiesz, ja jestem od niej ładniejsza, a przecież daleko mi do kryteriów Miss Świata.

Mel mogła zrozumieć, dlaczego Caroline czuje się lepiej, wiedząc, że jej rywalka jest przeciętną kobietą. W przeciwnym wypadku nie potrafiłaby tak łatwo wybaczyć, bo nie byłaby w stanie powstrzymać się od porównywania siebie z tą drugą. Mel odnosiła jednak wrażenie, że Graham zasłużył sobie na ostrzejsze potraktowanie.

- Dałaś mu ultimatum?

- Powiedział, że to skończone, a ja wiem, że mówił prawdę. Idziemy na terapię małżeńską, ja to zaproponowałam, a Graham od razu się zgodził, choć sama wiesz, że wolałby wziąć udział w maratonie, niż opowiadać o swoich uczuciach. Chce, żebyśmy zostali razem.

- A ty czego chcesz?

- Ja też tego chcę.

- Bardzo się cieszę - powiedziała Mel szczerze. - Pamiętaj, jestem tu, gdybyś mnie potrzebowała.

Odłożyła słuchawkę i zmówiła modlitwę, żeby Caroline i Grahamowi się udało.

Podziwiała przyjaciółkę, że tak bardzo się stara utrzymać swoje małżeństwo.

Gdyby Adrian ją zdradził, Mel nie była pewna, czy dla dobra dzieci znalazłaby w sobie tyle wyrozumiałości.

Vanessa chciała wiedzieć, czy Kami, następczyni Mel, może pójść z nimi na elegancki lunch do Cafe de Montmartre.

- Ona naprawdę bardzo chce cię poznać, Mel - dodała Vanessa. Mei momentalnie nabrała czujności. - A dlaczego?

- Oповідаłam jej o tobie, to wszystko.

Kami wyglądała na bardzo młodą, młodszą niż te dwadzieścia parę lat, o których mówiła Vanessa, i zgodnie z jej opisem miała niezwykle spokojną twarz. Mel mogła sobie wyobrazić, w jaką furję i irytację wpada Hilary, kiedy robi awanturę i w odpowiedzi dostaje to wyprane z emocji oblicze.

- Hilary w ogóle nie potrafi sobie poradzić z Kami - oznajmiła Vanessa radośnie, gdy przeglądały menu.

Kami wzruszyła drobnymi jak u ptaka ramionami.

- Po co tracić panowanie nad sobą? Hilary się denerwuje, kiedy sprawy idą źle, ja nie. Jestem po to, żeby dobrze wykonać swoją pracę. Jeśli dzisiaj mi się nie udaje, jutro zdwoję wysiłki. Mogę robić tylko tyle, ile zdołam.

- Więc tak powinnam była radzić sobie z Hilary przez wszystkie te lata - roześmiała się Mel. - Rzadko podnosiła na mnie głos, ale kiedy była zła, zawsze miałam wrażenie, że to moja wina i sama muszę jakoś to naprawić. A tymczasem powinnam była uśmiechnąć się do niej i powiedzieć: „Jutro zdwoimy wysiłki”.

- To ją irytuje - dodała Kami - ale to nie mój problem. Nie jestem odpowiedzialna za jej humory. W zeszłym tygodniu wysypała się strona internetowa i wszędzie o tym pisano, bo jakiś abonent się wściekł i zadzwonił do wszystkich gazet. Ale co ja mogłam na to poradzić?

Mel pociechy dodawała świadomość, że po jej odejściu nie wszystko toczy się idealnie w dziale reklamy. Podobało się jej, że Kami szczerze o tym mówi.

- I dlatego Hilary sobie z nią nie radzi - powiedziała Vanessa, kiedy Kami poszła do toalety. - Kami jest absolutnie, całkowicie szczerą. Nie widzi sensu w kłamstwach. A ponieważ Hilary to w połowie same pozory, jest wobec niej bezradna!

To był przyjemny lunch, plotkowały o ludziach i pracy.

- Jesteś odważna, że zrezygnowałaś z kariery - powiedziała nagle Kami do Mel. - To musiało być dla ciebie trudne. W Chinach pracujące kobiety mają rodziny, na których mogą się oprzeć, ale tutaj jest trudniej. Musisz polegać tylko na sobie.

- Mama była cudowna i zawsze chętnie mi pomagała - odparła Mei - ale nie to było problemem. Czułam, że powinnam przez cały czas być przy Carrie i Sarze, a nie z innymi ludźmi.

- Nie wiem, czy zrezygnowałabym z pracy, nawet gdyby było mnie na to stać - powiedziała Vanessa. - Ty masz małe dzieci, ale Conal tak szybko dorasta: w styczniu skończy czternaście lat. Jeszcze trochę i będę starą nudną matką, której nie będzie chciał oglądać. Mam już za sobą trudny okres.

- W niektórych krajach system opieki nad dziećmi jest lepiej zorganizowany - zauważyła Kami - przez co i kobietom jest łatwiej.

- Ale założę się, że kobiety mają to samo poczucie winy, kiedy nie mogą iść na dzień sportu, bo w pracy jest ważne spotkanie - odparła Mel. - Nieważne, jak szczęśliwe twoje dzieci są w przedszkolu, zawsze gdzieś na dnie świadomości dręczy cię pytanie, czy robisz dobrze. Ja wciąż nie wiem, czy dobrze zrobiłam.

- Moja siostra mieszka w Chinach i pracuje w szpitalu - powiedziała Kami. - Po powrocie do domu przez wiele godzin musi odrabiać lekcje ze swoim synem. Dzieci w Chinach bardzo dużo czasu spędzają nad lekcjami, a matki muszą im pomagać. Taki system. - I znowu wzruszyła ramionami.

- Może to wcale nie jest takie złe - stwierdziła Mel.

- Racja, koniec wykładów na temat polityki społecznej. Zamawiamy deser czy jak? - zapytała Vanessa.

Mei odwróciła się i uśmiechnęła grzecznie do kelnera. Spojrzał przez nią, jakby była powietrzem. Cholera! Czy już nigdy nie uda jej się zwrócić na siebie uwagi kelnera? Tylko dlatego, że nie ma na sobie kostiumu... Spojrzała w bok na wyłożoną lustrami ścianę Cafe de Montmartre i zobaczyła swoje odbicie w wielu kwadratowych taflach. Długie do ramion włosy miała znowu jasne, bo pofarbowała odrosty. Kremowa lniana sukienka i sweter barwy akwamaryny z całą pewnością nie były strojem do pracy, ale przecież po lunchu nie czekała jej ważna narada czy trudna rozmowa z szefem jak pozostałych gości restauracji. Zamierzała wolno pójść ulicą, podziwiając witryny sklepów z butami i butików, a potem kupić coś dla dziewczynek - jakiś drobiazg, nie można nadwierać budżetu - i wrócić do domu. Ciekawe, jak im się podobało przyjęcie urodzinowe, na które zabrała je jej matka. Wypije z nią herbatę, podczas gdy dziewczynki będą się bawić w ogrodzie, a potem spokojnie zajmie się przygotowaniem kolacji dla rodziny. Może znowu zrobi kurczaka, bo miała już serdecznie dość przyrządzania lazanii i zapiekanek. Wszystko układało się świetnie, naprawdę.

Uniosła głowę i obrzuciła kelnera królewskim spojrzeniem, które w uniwersalnym języku restauracyjnym znaczyło „nie będę czekała ani sekundy dłużej”.

- Słucham panią? - Natychmiast znalazł się przy jej boku, czarujący i usłużny. Obdarzyła go swoim najbardziej oszłamiającym uśmiechem.

- Chcemy zamówić deser - powiedziała.

W drodze do domu Mel wstąpiła do rzeźnika i kupiła wspaniały kawałek jagnięciny. Adrian uwielbiał jagnięcinę, a byłoby miło, gdyby w piątek podała na kolację coś wyjątkowego. Miała mu coś do powiedzenia.

Matka i dziewczynki były w ogrodzie. Dobiegające stamtąd krzyki i wybuchy śmiechu sprawiły, że Mel poczuła się odprężona, jak zawsze, gdy po powrocie do domu przekonywała się, że wszystko jest w porządku. Nigdy bowiem nie odstępował jej strach, że może stać się coś naprawdę okropnego tylko dlatego, że jej nie było.

Stojąc w holu, Mel złapała się na tym, że przygląda się domowi. Wyglądał teraz inaczej. W ciągu tych minionych trzech miesięcy sporo zrobiła. Co prawda okna wciąż były nieumyte, ale czuła, że nie można całego życia poświęcać na sprzątanie. Panował porządek, zorganizowany i domowy, a nie ten histeryczny, świadczący o ciągłym braku czasu. Zamrażarka przestała być zakazanym obszarem, wypełnionym po brzegi gotowymi daniami z supermarketu i zagrzebanymi gdzieś na dnie zapiekankami. Przygotowywała je z poczuciem winy, że nie odżywia rodziny we właściwy sposób, a potem V" o nich zapominała, bo potrawy ze sklepu były smaczniejsze. Teraz nie czuła najmniejszych skrępowań, jeśli na kolację podawała mrożone dania z supermarketu.

Pewnego dnia zaczęła malować stolarkę w holu, w czym „pomagały” jej dziewczynki. Świetnie się bawiły, kiedy dała każdej pędzelki, farbę i kawałek do pomalowania, chociaż musiała przerwać eksperyment w połowie, stało się bowiem jasne, że małym dzieciom o wiele lepiej wychodzi chlapanie na podłogę niż samo malowanie.

Mel porównała to do czasów, gdy pracowała - ona i Adrian wpadliby w ponury nastrój, gdyby musieli marnować cenny weekend na zajęcie równe nudne jak malowanie. Wszyscy chodziliby poirytowani, a wieczorem nikt by się nie odzywał. Stolarka była pomalowana tylko w połowie, ale to Mel nie martwiło. Ma mnóstwo czasu na jej skończenie. Rozpakowała zakupy i wyszła do ogrodu.

- Cześć, Saro, cześć, Carrie, cześć, mamó - powitała wszystkie trzy pocałunkami. - Jak się bawicie?

Kiedy o wpół do ósmej Adrian wrócił z pracy, zaintrygowanym wzrokiem powiódł po wysprzątanym pokoju, białym obrusie na stole, matach pod talerzami i najlepszych serwetkach.

- Najlepsze serwetki? A co to za okazja? Niech sam zgadnę. Robisz sobie operację zmiany płci i chcesz mi o tym elegancko powiedzieć?

- Blisko, choć na cygaro nie zasłużyłeś, Sherlocku.

- Uciekasz z mleczarzem, ale nie bardzo szło ci napisanie listu, więc postanowiłaś porzucić mnie nad mielonymi kotletami?

- Jak się domyśliłeś? - Mel podchwyciła jego ton. - Ale to listonosz, nie mleczarz. Można się położyć na workach z pocztą w jego furgonetce i jest całkiem wygodnie, choć niebieski tusz z listów poleconych plami mi ubrania.

- Co za ulga. Nie zniósłbym, gdyby to był mleczarz. - Adrian odłożył aktówkę, rozwiązał krawat i usiadł za stołem.

Mel postawiła przed nim domowej roboty chleb z pomidorami i koprem włoskim.

- Dziewczynki śpią. Miały dzisiaj rewelacyjny dzień. Rano poszliśmy do parku, a po południu moja mama zaprowadziła je na przyjęcie urodzinowe Tabithy, gdzie były niesamowite atrakcje, między innymi malowanie twarzy przez zawodowego charakteryzatora i kłowna.

Adrian wyglądał na poruszonego.

- Na przyjęciu urodzinowym dla dziecka?

- Tak jest. Był nawet tort w kształcie księżniczki i musiałyśmy z mamą długo tłumaczyć Sarze, że nie wszyscy na piąte urodziny mają charakteryzatora, kłowna i domek dla lalek.

- A co Tabitha dostanie, kiedy skończy dwadzieścia jeden lat?

- Nie zdziwiłabym się, gdyby to było porsche i AC Milan. Niedługo podam kolację.

- I w swoim czasie mi powiesz, o co tu chodzi? - zapytał Adrian, wskazując kwiaty i pięknie zastawiony stół.

Mel pochyliła się i pocałowała go namiętnie.

- W swoim czasie - odparła.

- Rób tak dalej, a nie będę chciał dzielić się tobą z listonoszem. - Adrian przyciągnął ją bliżej, obejmując w pasie. - Moglibyśmy opuścić główne danie i na górze od razu przejść do deseru - dodał z nadzieją. Przesunął dłoń na jej pośladek.

- Cały wieczór spędziłam na gotowaniu, więc to absolutnie wykluczone - oznajmiła stanowczo, znowu go całując. - Deser będzie później. Najpierw pieczona na wolnym ogniu jagnięcina według przepisu Nigelli Lawson i sałatka marokańska.

- Zgadza się. - Adrian rozłożył serwetkę. - Najpierw jedzenie, deser potem.

Jagnięcina Nigelli nie może się zmarnować.

- Więc w czym rzecz? - zapytał, kiedy zjedli prawie całe mięso i oboje byli tak pełni, że igraszki w łóżku musiały poczekać.

- Chciałabym wrócić do pracy - powiedziała Mel.

- Podejrzywałem, że możesz o tym myśleć.

- Naprawdę? - Zaskoczył ją, ale na krótko. Znał ją na wylot, byli przecież ze sobą od dawna.

- Myślałem, że będziesz potrzebowała czegoś więcej, to wszystko. Co nie znaczy - gestem wskazał pokój i białe wiklinowe kosze z zabawkami dziewczynek - że to ci nie wystarcza. Po prostu przez całe życie pracowałaś. Na pewno trudno z tego zrezygnować. Z prestiżu i atmosfery - dodał intuicyjnie.

- Tym razem chcę, żeby było inaczej.

- To znaczy jak?

- Pół etatu. To się uda. - I co byś robiła?

- Sama nie wiem, może coś takiego, co robiłam przedtem. A może poszukam pracy w supermarkecie. Po prostu chcę kilka godzin dziennie pracować, bo to lubię. Dzięki pracy zabawa jest przyjemniejsza, a poza tym miło będzie czuć, że znowu zarabiam własne pieniądze.

- To są nasze pieniądze - zaprotestował Adrian. - Nie oczekuję, że będziesz się wyliczała z każdego grosza.

- Tak, ale jest inaczej, kiedy sama nic nie zarabiam - wyjaśniła Mel. - To nie ty dajesz mi do zrozumienia, że jestem od ciebie mniej ważna, bo ty zarabiasz, to ja tak czuję. A skąd wiedziałeś, że chciałabym wrócić do pracy? - zapytała nagle. - Myślisz, że nie jestem szczęśliwa? Bo wiesz, jestem bardzo szczęśliwa.

- Nie zapominaj, że cię znam - zauważył Adrian. - Wiem, że chcesz być z dziećmi, ale wiem też, że kochasz wyzwania.

- Tylko sobie nie myśl, że dzieci nie są wyzwaniem - sprzeciwiła się Mel.

- Nie o to mi chodziło. Lubisz codziennie zajmować się czymś innym.

- Ale trudno mieć pracę i dzieci równocześnie - westchnęła Mel. - Przedtem było trudno. Myślałam, że mogę być superkobietą, robić to samo, co robiłam, nim urodziły się dziewczynki, i wiesz co? Nie udało mi się. I nie byłam mniej mądra, ambitna czy zaangażowana, tylko rozdarła. Dzieci zmieniają człowieka.

- A mnie bardzo podoba się sposób, w jaki zmieniły ciebie - powiedział Adrian łagodnie.

- Naprawdę? - Tak bardzo go kochała. Był jej bratnią duszą, rozumiał ją i pragnął tego, co dla niej najlepsze. Pomyślała o Caroline, o skazach na jej związku z Grahamem, i zadała sobie pytanie, czy Caroline kiedykolwiek poczuje taką bliskość ze swoim mężem. - Chcę opiekować się naszymi dziećmi, być przy nich, chodzić z nimi do lekarza i nie musieć wybiegać z domu, kiedy są chore. Jeśli Carrie trzeba będzie usunąć migdałki, nie chcę, żeby w szpitalu był z nią ktoś inny, nie ja. Taki rodzaj wolności jest mi potrzebny w pracy.

- Westchnęła. - Gdzie znajdę pracę, w której szef zrozumie, że przede wszystkim jestem matką?

- Może załóż własną firmę? Oczy Mel zabłyśły.
- Jesteś czwartą osobą, która mi to mówi. Może ten pomysł nie jest taki zły.
- Czwartą? Więc ja dowiaduję się ostatni - zażartował Adrian. - A kto jeszcze ci mówił? Listonosz?

Mel oparła się wygodnie w fotelu i położyła gołe nogi na kolanach męża.

Delikatnie pogładził ją po palcach i zaczął masować stopy.

- Rób tak dalej, to ci powiem.
 - Może wcześniej pójdziemy do łóżka, a posprzątam rano - zaproponował Adrian.
- Mel energicznie wstała i ujęła go za rękę.
- Zgoda, żyjmy niebezpiecznie. - Jej wzrok padł na jagnięcinę. Mięsa zostało dość sporo, a słono za nie zapłaciła.
 - Tylko zawinę to w folię - powiedziała, puszczając dłoń Adriana. - Mnóstwo zostało, a...

Adrian wybuchnął śmiechem.

- Co? - zapytała, choć także się śmiała. - Uwielbiasz jagnięcinę i możesz zjeść ją jutro na zimno.

- Śmieję się z pani, pani Beaton - odparł, zabierając się z nią za sprzątanie. - Masz rację. Kto nie marnuje, temu nie brakuje.

- Nie możemy sobie pozwolić na szastanie pieniędzmi - powiedziała Mel poważnie, szybko zbierając naczynia. - Dopóki nie znajdę jakiegoś zajęcia, musimy oszczędzać.

- A gdybym ci powiedział, że dostałem podwyżkę? - zapytał Adrian wesoło. Mel znieruchomiała. - Co?

- Dostałem awans. Chciałem tę wiadomość zostawić na później, jak już bym cię zniewolił - zażartował. - Oboje mieliśmy nadzieję, że dyplom pomoże mi w pracy, i faktycznie. Dostałem wyższą stawkę i jestem teraz członkiem wyższego kierownictwa. Powiedzieli mi o tym dzisiaj.

- Adrian! - Mel rzuciła się mężowi w ramiona. - Taka jestem z ciebie dumna.

- Nie dałbym rady bez twojej pomocy - mruknął z twarzą schowaną w jej włosach.

- Ależ dałbyś.

- Nie. - Przytulił ją mocno do siebie. - Nie dałbym. Tworzymy doskonały zespół. - A potem ją pocałował. Mel ogarnęło podniecenie, które sprawiło, że sprzątanie stało się zupełnie nieważne.

- Masz rację - oznajmiła, biorąc ze stołu mięso. - To idzie do lodówki, a reszta może poczekać do jutra. Mamy ważniejsze rzeczy do zrobienia.

Rozdział dwudziesty

Daisy rozejrzała się po pustym salonie dawnego mieszkania, w którym pozostało tylko mnóstwo pudeł i kurzu. Choćbyś nie wiem jak się przykładła do sprzątanía, zawsze wielkie kłęby zbierają się pod meblami i w kątach, pomyślała.

Wyprawdzka napawała ją smutkiem: przez sześć lat to był jej dom, stanowił część jej życia. Przypominał żywy pamiętnik. Czy zapomni o tych latach, kiedy po raz ostatni przekroczy próg? Czy to będzie tak, jakby zgubiła pamiętnik? Wszystko tutaj miało znaczenie. Plama po kawie na dywanie w sypialni, pozostałość po dniu, w którym kupili nowy ekspres do kawy. Daisy podała Alexowi filiżankę, o mało się przy tym nie oparzył, więc ją upuścił. W garderobie kazała zbudować specjalną szafę na buty. Alex śmiał się z niej i mówił, że bije wszystkie Imeldy na głowę. W chacie nie było garderoby, nie wspominając już o specjalnych półkach na buty na wysokich obcasach, ale Daisy miała mnóstwo czasu na zbudowanie najrozmaitszych szaf. Kupiła domek za dobrą cenę, więc wciąż będzie miała pieniądze ze sprzedaży tego pałacu.

- Te schody mogą zabić - powiedział znużony głos.

Ludzie od przeprowadzek wrócili do mieszkania. Znieśli łóżko do samochodu, a nie mogli skorzystać z windy, bo się nie mieściło.

- Chyba teraz napijemy się herbaty, kochana - powiedział ich szef.

- Oczywiście - odparła Daisy wesoło. - Rzucę jeszcze ostatnie spojrzenie, a potem pojedę do mojego nowego domu. Mogę zostawić wam klucze? Agent odbierze je koło czwartej.

Wyszła z wysoko podniesioną głową, wsiadła do samochodu i włączyła telefon komórkowy. Miała siedem wiadomości. Wszyscy wiedzieli, że to dzień przeprowadzki.

Mary obiecała, że wpadnie później z lazanią. „Pełnotłusta, słoneczko. Bo ty chcesz być na diecie, a ja nie”.

Daisy postanowiła schudnąć i miała zamiar w najbliższym czasie odwiedzić miejscowy klub. Ale jeszcze nie teraz.

Claudia zadzwoniła, żeby potwierdzić wyjście jutro wieczorem, ale pytała, czy Daisy odpowiada, że spotkają się później, o ósmej, a nie pół godziny wcześniej, jak przedtem ustalono. „Miejsce zupełnie niezobowiązujące: kolacja w pizzerii. Andrew obiecał, że z nikim nie będzie cię swatał”.

Paula życzyła szczęścia. „Musisz nas odwiedzić - w jej stanowczym głosie brzmiała prośba. - Nie widziałyśmy cię z Emmą od wieków. Emma robi się wielka. Chce zobaczyć ciocię”.

Daisy uśmiechnęła się. Z największą ochotą zobaczy znowu Emmę. Ostatnio miała wrażenie, jakby pozytywnie zdała jakiś trudny test. Mogła patrzeć na kobiety pchające wózki dzieciinne na ulicach oraz oglądać reklamy pieluszek w telewizji i łzy nie napływały jej do oczu. Nie znaczyło to wcale, że z mniejszą siłą pragnęła dziecka, tylko teraz potrafiła odstawić je na bok. Nikt jej nie powiedział, że nigdy nie będzie miała dzieci. Ta możliwość wciąż czekała na nią w przyszłości. Nie zrobiła żadnych badań, nie wiedziała więc, czy to, że nie zachodziła w ciążę, było jakimś zbiegiem okoliczności, czy też sprawą, nad którą trzeba będzie popracować, ale bez dowodu nie chciała wierzyć, że to nigdy się nie zdarzy.

Najpierw musiała opłakać dzieci, które mogła mieć z Alexem. Dziwne, ale narodziny Daragha pomogły jej w tym. To dziecko sprawę zamknęło. Mary, wielka zwolenniczka zamykania spraw, pochwaliłaby ją.

Stara przyjaciółka Zsa Zsa zadzwoniła, żeby powiedzieć, że od miesiąca umawia się z boskim facetem, który ma mnóstwo rewelacyjnych przyjaciół. „Skoro jesteś wolna i swobodna jak ptak - a przy okazji, czy z KC coś wyszło? -możesz pójść z nami na podwójną randkę albo coś w tym rodzaju”.

O nie, pomyślała Daisy i wstrząsnął nią dreszcz. Nie chciała, żeby jej przypominano o KC i tych strasznych, mrocznych dniach po odejściu Alexa. Nie, wielkie dzięki. Zmieniła się, nie jest już tchórzliwą idiotką, a chodzenie na imprezy mogłoby cofnąć ją na ten etap.

Wiadomość od Leah zaczynała się od muzyki wielorybów. Na tle pisków i zawodzeń powiedziała, że myśli o Daisy i liczy na szybkie spotkanie.

„Mam nadzieję, że podoba ci się muzyka. Szukałam tej płyty w nieskończoność. Ktoś naprawdę nie chce, żebyśmy słuchali szczęśliwych wielorybów”.

Daisy serdecznie się uśmieła. Można liczyć na Leah, że wymyśli coś kompletnie innego, że ją rozbawi.

Ostatnia wiadomość była od matki. - Witaj, Daisy. Co u ciebie? Jak wiesz, byliśmy z ciocią Imogen na wakacjach, ale już wróciliśmy i hmm...”. Długa przerwa.

Daisy oczyma wyobraźni widziała, jak matka zastanawia się, co powiedzieć dalej. Dziwne, że zdolność do swobodnego gawędzenia z automatyczną sekretarką jakoś tym razem ją opuściła.

Wiem od Brendana, że przez jakiś czas u mnie mieszkłaś. Dziękuję, że zadbałaś o dom. Cóż, to by było wszystko. Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku, Denise”.

Daisy nie znosiła, kiedy matka tak się do niej zwracała. „Czemu jej nie powiesz?” - zapytał głosik w głowie Daisy. Dobra myśl. Nigdy nie powiedziała matce, że nie lubi swojego imienia i woli „Daisy” - imię nadane jej przez ojca, kiedy była mała: zbierała wtedy stokrotki w ogrodzie i próbowała je jeść.

Co to mówiła Leah? „Musisz mówić ludziom, co myślisz i czujesz, sami nie są w stanie tego odgadnąć”.

„Zadzwoń do mnie. Do widzenia” - zakończyła matka.

Po raz pierwszy od wielu lat zimne, szorstkie nuty w głosie Nan Farrell nie zdenerwowały Daisy. Matka po prostu miała taki sposób mówienia. To było silniejsze od niej: wychowano ją na damę, która wie, jak zwracać się do arcybiskupa albo hrabiny. Świat matki toczył się po torach etykiety i utartych zwyczajów - „bo zawsze tak robiono”. Prędzej wybiegłaby goła jak święty turecki na ulicę niż powiedziała coś głęboko osobistego swojej jedynej córce. I nic nie potrafiła na to poradzić, tak samo jak Daisy nie potrafiła nic poradzić na to, że jest naiwna, ufna i łatwo ją zranić.

O, miałam kolejny problem, pomyślała, poruszona tym odkryciem.

Natychmiast też zadzwoniła do Mary.

- Możesz przynieść lazanie, ale pod warunkiem, że przyniesiesz też sernik. Mary wybuchnęła serdecznym śmiechem.

- No, teraz przypominasz dawną Daisy. A co powiesz na kilka butelek wina?

- Lepiej nie - odparła Daisy cicho. - Chyba za dużo piłam po odejściu Alexa. To mi nie służy.

Rezygnacja z picia nie była łatwa. Daisy wpadła w nawyk, alkohol przyjemnie tłumił emocje, ale wiedziała, że jeszcze trochę, a całkiem się uzależni, a tego nie chciała.

Daisy (ang.) - stokrotka.

- Witaj w klubie! - powiedziała Mary. - Tak łatwo wpaść w pułapkę porzuconej kobiety, która siedzi w domu ze swoją litrową flaszką. Więc nie popełniam błędu, kiedy zamiast pić jem czekoladę i herbatniki z pełnego ziarna.

- To świetny pomysł, a w dodatku nie ma żadnego dziennego limitu herbatników z pełnego ziarna.

- Właśnie. Najlepsze jest to, że po siedemnastym nigdy nie ogarnia cię ochota, żeby zadzwonić do byłego i wygarnąć mu, jakim jest draniem! Do zobaczenia o szóstej, pomogę ci się rozpakować.

Daisy już miała odjechać, kiedy przypomniała sobie o pudełku z rzeczami, które chciała ze sobą zabrać. Zawierało czajnik, herbatę, mleko - najważniejsze przedmioty w nowym domu. Jej pomocnice, Mary, Cleo i Leah, oznajmiły stanowczo, że palcem nie kiwną, jeśli nie dostaną herbaty. Musiała pobiec

schodami, jako że windę najwyraźniej zatrzymali tragarze. Pchnęła szybko drzwi, nie spodziewając się w środku nikogo zastać, bo robotnicy zgromadzili się przy windzie i dyskutowali nad sposobem zniesienia na dół ulubionego fotela Daisy. W mieszkaniu jednak ktoś był. Alex. Stał koło okna, przyciskając do piersi jakieś pudełko i spoglądając na ulicę, jak musiał to robić wiele razy w przeszłości.

- Och, przestraszyłeś mnie! - powiedziała Daisy

- Nie miałem takiego zamiaru. Myślałem, że już odjechałaś. Poczekaj, aż wsiądziesz do samochodu - odparł Alex ostrożnie.

Jakie to smutne, pomyślała Daisy, że człowiek, z którym żyła i którego kochała, musiał czekać, aż ona pójdzie, nim zebrał się na odwagę, by przekroczyć próg ich dawnego mieszkania. I to tyle, jeśli chodzi o jej teorię, że mogliby zostać przyjaciółmi.

- Chciałem wziąć resztę moich rzeczy. Prawnik powiedział, że zostawisz je w pudłach. Miałem zamiar odebrać je później, ale...

- Wszystko w porządku, Alex. Masz pełne prawo wziąć swoje rzeczy. -Dostrzegła, że się odprężył. - A czego właściwie się po mnie spodziewałeś? -zapytała w rzadkim dla niej przychylnym irytacji. - Ze zacznę wrzeszczeć i grozić ci nożem? Alex wyglądał na tak zaskoczony tym przejawem dobrego humoru, że roześmiała się głośno.

- Przepraszam, nie mogłam się powstrzymać. - Wciąż sprawiał wrażenie zszokowanego. - To żart, Alex. Pamiętasz, co to żarty?

- Tak, oczywiście, przepraszam. Tylko że to trochę trudne.

- Myślę, że dla mnie jest to o wiele trudniejsze niż dla ciebie - zauważyła Daisy.

- Wiem. Bardzo mi przykro, naprawdę, bardzo mi przykro. Nigdy nie chciałem, żeby tak to się skończyło, uwierz mi, proszę. Gdybym mógł cofnąć czas, zrobiłbym to, ale nie mogę.

Zabiłaby, żeby usłyszeć takie słowa miesiąc temu, ale teraz przyjęła je dziwnie obojętnie. Przepraszał i to było dobre. Stanowiło dowód, że ich związek jednak coś dla niego znaczył, że zależało mu na niej na tyle, by czuć żal, że ją skrzywdził. A równocześnie było coś pustego w przeprosinach człowieka, który potraktował ją tak okrutnie.

Daisy nigdy nie zapomni tego, co jej powiedział: że nie była tą jedyną, że od skończenia collegeu czekał, aż pojawi się właściwa kobieta.

Nagle ogarnęło ją pragnienie, by odplacić mu okrucieństwem. Nie miał pojęcia, jak nisko upadła po jego odejściu, i powinien z tego powodu cierpieć. Słowa

wirowały jej w głowie. Może go zapyta, czy wciąż uważa ją za wredną sukę, która zniszczyłaby jego związek z Louise, mówiąc jej, że uprawiała z Alexem seks na podłodze?

A potem poczuła wstyd. On tak bardzo ją zranił, nigdy nie pojmie, jak bardzo, ale ból nie minie, jeśli będzie krzyczała i gniewała się.

Przynajmniej pozostały jej wspomnienia wspólnie przeżytych lat. Może być dumna z tego, jak się wobec niego zachowywała.

- Masz rację - powiedziała spokojnie. - Nie da się cofnąć czasu. Żałuję tylko, że od początku nie byłeś bardziej ze mną szczery. Pozwoliłeś mi wierzyć, że możemy mieć dziecko, chociaż chciałeś ode mnie odejść. To było okropne, Alex.

Oparł się o parapet, wciąż przyciskając pudełko do piersi.

- Wiem przepraszam. Nie miałem odwagi ci powiedzieć, a ty byłaś taka podniecona...

- Nie zwalaj na mnie winy za swój brak szczerości. - Daisy musiała bardzo się starać, żeby nie wybuchnąć. - Weź odpowiedzialność za to, co zrobiłeś.

Okłamywałeś mnie, a im dłużej to trwało, tym było dla mnie trudniejsze.

- Bałem się - odparł, patrząc w podłogę. - Nie wiedziałem, jak ci to powiedzieć.

- W takim razie oboje czegoś się nauczyliśmy - stwierdziła Daisy, czując nagły przypływ sił. - Mów prawdę, nawet kiedy to boli.

- Zmieniłaś się.

- Musiałam. Moje życie się zmieniło. Wszystko, w co wierzyłam, przestało istnieć, a to poważna zmiana.

Zapadła cisza, którą przerywały tylko głosy robotników z korytarza.

- Jak się miewa Daragh? - zapytała Daisy.

Na twarzy Alexa odmalowało się zaskoczenie. Zaskoczenie i wielki podziw. Daisy uniosła wyżej głowę. - I Louise?

- Doskonale - wymamrotał. - Bardzo... bardzo dobrze to przyjmujesz.

Daisy pomyślała o swojej kolekcji butelek po winie, o tym, jak próbowała samą siebie zniszczyć, o łzach, które wylała.

- Chcę spokojnie zasypiać, Alex. A nie mogłabym, gdybym życzyła ci wszelkich nieszczęść tego świata. Dla własnego dobra muszę spróbować ci wybaczyć.

- Moja matka jeszcze mi nie wybaczyła.

- Jak to, nawet teraz, kiedy ma wnuka? - zapytała Daisy i to ją zabolalo, ponieważ pragnęła dać mamie Alexa wnuka, często o tym marzyła. - Napisała do mnie bardzo miły list, że bardzo jej przykro, że jest na Ciebie zła i ma nadzieję, że zostaniemy przyjaciółkami. Podała numer swojej komórki i poprosiła, żebym

do niej zadzwoniła. Jeszcze tego nie zrobiłam. To znaczy zadzwonię, ale jeszcze nie teraz.

- Może przestałyby suszyć mi głowę, gdybyś z nią porozmawiała - powiedział Alex i przez sekundę był jak dawniej egoistą, który myśli wyłącznie o sobie.

- Więc jeśli zadzwonię do twojej matki i powiem, że u mnie wszystko w porządku, nie będzie mieć do ciebie pretensji o twój postępek?

Alex się skrzywił.

- OK, OK. Nie powinienem był tego mówić. Przepraszam, Daisy.

Daisy wiedziała, że czas się zbierać. Teraz przyszła jej kolej - ona pierwsza wyjdzie i zostawi Alexa. Wzięła pudełko z herbatą.

- Zegnaj, Alex, nie wydaje mi się, żebyśmy jeszcze kiedyś się zobaczyli. Dbaj o siebie.

- Ty też... - Zrobił krok w jej stronę, ale zaraz się zatrzymał. - Wspaniale się w tej sprawie zachowałeś, Daisy, naprawdę.

Daisy się uśmiechnęła.

- Tak mi się wydaje - powiedziała.

Energicznym krokiem doszła do samochodu i dopiero tam poczuła, że kolana się pod nią uginają. Zrobiła to: powiedziała Alexowi to, co zamierzała mu powiedzieć. Nie straciła panowania nad sobą, bo nie chciała już marnować żadnych emocji na Alexa Kenny'ego. Należał do przeszłości, był częścią jej starego życia, a ona rozpoczynała teraz nowe.

Nan Farrell była zaskoczona, gdy następnego dnia wczesnym rankiem zobaczyła na progu Daisy.

- Denise! - powiedziała. - Miło cię widzieć - dodała, bo górę wzięły dobre maniery.

- Pomyślałam, że wpadnę, mam - odparła Daisy, zdecydowana, że z tropu nie zbije jej używanie przez matkę jej prawdziwego imienia. O tym porozmawiają później.

- Wpadniesz? - zapytała matka. - Jak możesz wpaść z Carrickwell? Nie rozumiem.

- Mam dla ciebie nowiny. - Daisy wciąż starała się zachować wesoły ton. -

Przeprowadziłam się. Mieszkam tu niedaleko.

Niejaką ulgę sprawił jej fakt, że matka nie wydawała się tą informacją nadmiernie zbulwersowana.

- To cudownie, moja droga - powiedziała Nan. - Tutaj jest tak pięknie. Ludzie są bardzo serdeczni.

Jeśli Daisy się zdziwiła, nie dała tego po sobie poznać. Nie przyszłoby jej do głowy, że matka należy do ludzi, którzy zwracają uwagę na serdeczność lub

wrogość sąsiadów, ale z drugiej strony, może nie znała jej zbyt dobrze. Z całą pewnością matka nie znała Daisy.

- A kiedy dokładnie przeprowadziliście się z Alexandrem?

- To następna rzecz, o której chcę ci powiedzieć. Alex i ja nie jesteśmy już razem. Dziwnie było mówić o tym matce teraz, kiedy od zdarzenia upłynęło już kilka miesięcy. Inne kobiety natychmiast powiadomiłyby swoje matki, wykręcając numer, nim pojawi się pierwsza łąza.

- Rozstaliśmy się.

- A niech to. - Matka czekała na szczegóły. Daisy usiłowała zachować spokój.

- Alex związał się z inną i ona zaszła w ciążę. Jest teraz ojcem. - Powiedziała to z całą swobodą, na jaką mogła się zdobyć, ale niezależnie od wykonanej nad sobą pracy, wciąż była to nowina trudna do przekazania.

- Przykro mi to słyszeć, Daisy. Bardzo przykro.

I brzmiało to tak, jakby matka mówiła szczerze. Bez wątpienia fakt, że nazwała ją „Daisy”, a nie „Denise”, był gałązką oliwną.

- Kiedy to się stało? - zapytała Nan.

- Kilka miesięcy temu. - Przez ułamek sekundy Daisy chciała ukryć przed matką szczegóły, ale zmieniła zdanie. Będzie absolutnie szczerą i zobaczy, czy uda się poprawić stosunki między nimi. Jeśli matka nie okaże zainteresowania i zachowa zwykle opanowanie i dystans, wtedy Daisy będzie mogła się przynajmniej pocieszać, że próbowała. - Staraliśmy się o dziecko. Myślałam, że Alex też tego chce. To na pewno zwiększało napięcie między nami, chociaż nie było jedynym powodem. - Musiała to przyznać, także przed samą sobą. - Miałam nadzieję, że poddamy się terapii, żebym mogła zająć w ciążę, ale on zakochał się w swojej asystentce i to ona zaszła w ciążę. To wszystko.

- Chętnie zamieniłabym parę słów z tym młodzieńcem - powiedziała matka z gniewem.

Daisy poczuła się zaskoczona. Matka gniewa się w jej imieniu?

- Jak on śmiał? Obrzucił twoje nazwisko błotem, to po prostu oburzające. Gdyby żył twój dziadek, Alex Kenny nie poważyłby się na takie sztuczki.

Dziadek Daisy był właścicielem ziemskim, człowiekiem wpływowym. Z całą pewnością samą siłą swojej osobowości już wiele lat temu zmusiłby Alexa do poślubienia Daisy. Ale co by to dało? Ona i Alex byliby małżeństwem, które przestało się kochać, zamiast być parą, która razem mieszka, ale się nie kocha.

- Dziękuję - powiedziała.

Nan Farrell wydawała się nieco zdziwiona.

- Boże wielki, za co mi dziękujesz?

- Och, po prostu za to, że stanęłaś po mojej stronie.
- A czego innego spodziewałaś się po mnie? - zapytała matka ostro. - Biedną Imogen bardzo to przygnębi. Dopiero doszła do siebie po operacji, a teraz to.
- Cioci Imogen nic nie będzie - odparła Daisy pocieszająco. - Jeśli przeżyła rozwód Lillian, to przeżyje wszystko.

Kilka lat temu wielkim rodzinnym dramatem był rozpad małżeństwa Lillian, córki Imogen.

- Chyba masz rację - powiedziała Nan. - Chodzi o to, że wszystko jest teraz inaczej. Dawniej nigdy nie mieliśmy w rodzinie rozwodów ani niczego w tym rodzaju.

Daisy doszła do wniosku, że prościej, łatwiej jest rozmawiać z matką i łagodnymi żartami rozpraszać jej obawy. Nigdy wcześniej tego nie robiła, bo zanadto zależało jej na aprobacie Nan, na aprobacie wszystkich. Jeśli matka powiedziała jakieś ostre słowo, Daisy truchlała.

- Zadzwońię do Imogen i powiem jej o tym, jeśli chcesz - zaproponowała.

- Może lepiej by było, gdybyś ją odwiedziła - rozpromieniła się Nan. - Z przyjemnością zobaczy się z tobą teraz, kiedy wróciły jej siły. Myślę, że jest samotna. Pojedziemy my razem, to byłoby świetnie. Niedawno rozmawialiśmy z Imogen o tym, że musimy trzymać się razem. Żadna z nas nie młodnieje, a tylko my zostałyśmy z rodziny.

- Masz mnie - powiedziała Daisy.

- Tak, oczywiście, mam ciebie - odparła matka szorstko. - Ale mnie chodziło o rodzinę, w której wyrosłam, o ludzi pamiętających dawne czasy i dawne zwyczaje. Ty tego nie pamiętasz, Daisy. Wszystko się zmieniło, kiedy się urodziłaś. Czasy się zmieniły.

Matka wyglądała tak smutno, że Daisy poczuła nagły przyptyw miłości do niej - miłości i współczucia. Matka próbowała żyć przeszłością, dawna chwała miała pomóc jej poradzić sobie z terażniejszością.

- Biedna mama. - Powiedziała to na głos.

I zrobiła coś, co przedtem robiła niezwykle rzadko: objęła matkę. Nan nie oddała uścisku, ale też nie należała do tego rodzaju osób. Daisy była natomiast pewna, że lekko się mu poddała.

- Głowa do góry - powiedziała Nan energicznie, robiąc krok do tyłu. - Nigdy nie pozwól, żeby widziano, jak płaczesz, oto motto rodziny.

- Myślę, że potrzebujemy nowego motto - mruknęła Daisy do siebie.

Daisy zajęła miejsce w ostatnim rzędzie i rozejrzała się po innych uczestnikach spotkania oddziału klubu „Naturalnie szczupli”, odbywającego się w środę wieczorem.

Były tu wszelkie kształty i rozmiary: niektórzy jaśnieli dumą ze swego nowego, szczupłego wcielenia, inni byli przygnębieni, że szczupli nie są. Ci, którzy mieli już za sobą straszne przeżycie polegające na publicznym ważeniu, gawędzili ze sobą, wymieniając uwagi o utracie kilograma, kilkudziesięciu deagramów, o terminie ślubu, o radości, jaką sprawia fakt, że rozmiar czternasty znowu pasuje, i o tym, że daliby się zabić za prawdziwe masło.

Daisy przestała się mieścić w rozmiarze szesnastym. Co za wstyd. Próbowала wszystkiego: usunęła z kuchni słodycze, mówiła sobie: „Nie kupię czekolady”, kiedy mijała sklep, w zamian jadła mnóstwo sałatek i sosu z niską zawartością tłuszczu, który miał posmak posłodzonego styropianu. Nic nie pomagało. I dlatego tu była, obnosząc się ze swoim wstydem wśród około czterdziestu kobiet i kilku mężczyzn.

W ulotce klubu, którą Daisy wzięła w sklepie ze zdrową żywnością (te odtruwające i wyszczuplające zioła okazały się jednak kompletnie nieskuteczne), była też obietnica, że każdemu pomogą stracić na wadze: „Musisz tylko chcieć schudnąć”.

Cóż, Daisy bardzo tego chciała. Jeśli do urzeczywistnienia wystarczy samo pragnienie, to już czuła się szczuplejsza. Ale z drugiej strony niedawno pragnęła, by Alex wrócił, a tak się nie stało, więc chcieć to chyba jednak za mało.

Kobieta prowadząca klub wydała jej się znajoma. Była krótko ostrzyżona, ale Daisy przed oczami nagle stanęły długie włosy, zarzucane do tyłu zdecydowanym ruchem głowy. Zajęcia z baletu. Chodziły razem na balet.

Daisy miała nadzieję, że uda jej się wyrzucić z pamięci te lata, podczas których płaśała w baletkach po sali pani de Fressange. Zawsze była zbyt pulchna i nieśmiała, żeby sunąć jak gazela, i dlatego w bożonarodzeniowych przedstawieniach grała rolę drugiego łabędzia w ostatnim rządzie corps de ballet. Ale matka powtarzała: „Balet doskonale kształtuje sylwetkę, Denise”.

Instynktownie się wyprostowała.

Yvette była jedną z gwiazd grupy i się od tamtych czasów zupełnie nie zmieniła. Wciąż była szczupłą, miała eleganckie ruchy i przypuszczalnie potrafiła wykonać kilka grands jetes, nie przypominając przy tym słońiatka. Daisy wiedziała, że Yvette musiała być kiedyś otyła, w przeciwnym razie nie prowadziłaby tego klubu, ale na jej ciele nie widać było grama tłuszczu. Dlaczego szefom grup nie każe się nosić zdjęć przed i po? Wtedy uczestnicy nie byłiby tacy onieśmieleni.

Daisy potulnie stanęła przed Yvette, by poddać się torturze ważenia, licząc przy tym, że dawna koleżanka nie będzie jej pamiętała.

- Daisy! Tak się cieszę, że cię widzę. Wyglądasz cudownie. No, bez paru kilo mogłabyś się obejść, ale nie przejmuj się tym. Szybko się ich pozbędziemy i będziesz nową kobietą.

Jak na chudą osobę, Yvette miała niedźwiedzi uścisk, a jej entuzjazm zaskoczył Daisy.

- Witaj, Yvette - wymamrotała zakłopotana.

- Naprawdę się cieszę, że cię widzę - ciągnęła Yvette, błyskawicznie ważąc Daisy i zapisując wynik. - A teraz wzrost. Potrzebny do ustalenia twojej docelowej wagi. Nie ulegało wątpliwości, że nieustanna paplanina podczas przerażającego ważenia jest podstawą sukcesu Yvette. Po krótkiej chwili Daisy ścisnęła w dłoni kawałek papieru ze wstydliwą liczbą obecnych kilogramów oraz wagą, którą miała nadzieję osiągnąć. Różnica pomiędzy nimi wynosiła ponad dziesięć kilogramów, a nawet wtedy nie byłaby tak szczupła jak przez kilka ostatnich lat.

Kobieta, która przed momentem została zważona, usiadła obok Daisy i uśmiechnęła się do niej nieśmiało.

- Cześć! - Daisy się przedstawiła.

- Jestem Cyn - odparła kobieta. Była potężna. Nie pulchna, ale już niebezpiecznie otyła. Daisy podziękowała swoim szczęśliwym gwiazdom, że sama nie osiągnęła takich rozmiarów. A jednak Cyn miała ładną twarz i wielkie oczy, w których błyszczało ożywienie. I tak miło się uśmiechała, choć żeby to zauważyć, trzeba było zignorować jej tuszę. Daisy uświadomiła sobie, że gdyby spotkała Cyn na ulicy, dostrzegłaby jedynie jej gigantyczną postać, a nie kryjącą się w niej sympatyczną osobowość. W taki sposób przed laty ludzie patrzyli też na nią. Nagle Daisy straszliwie się zawstydziła. Sama robiła to, czego u innych tak nie znosiła: osądzała po pozorach.

Podczas gdy Yvette prowadziła wykład o dobrym odżywianiu, złym odżywianiu i produktach, które tak fatalnie wpływają na organizm, że powinno się je pakować w papier z czaszką i skrzyżowanymi pieszczelami, Cyn i Daisy rozmawiały.

- Przychodzę tu, żeby raz na zawsze schudnąć - powiedziała Cyn, która miała dwadzieścia pięć lat i z całego serca pragnęła zostać pielęgniarką, ale nie mogła ze względu na tuszę. - To ostatnia próba: jeśli mi się nie powiedzie, będę miała operację opaskowania żołądka. Byłam już taka wielka jako nastolatka. Wszyscy w mojej rodzinie są wielcy, ale im to nie przeszkadza. A ty co tu robisz?

- To samo.

- Dlaczego?

Daisy zawahała się. Nie mogła powiedzieć: „Bo jestem gruba” - w porównaniu z Cyn wcale nie musiała się odchudzać. Nagle uświadomiła sobie prawdę.

- Bo ważę więcej, niż bym chciała - powiedziała.

- Jesteś zgrabna - roześmiała się Cyn. - Wcale tego nie potrzebujesz.

Cyn przychodziła tu od dwóch tygodni, w czasie których straciła dwa kilogramy

- To okropnie trudne - szepnęła. - Tęskniłam do białego chleba i śmietankowego sera. Naprawdę tęskniłam. Dałabym się zabić za kawałek, ale wiedziałam, że jeśli raz zacznę jeść, to nie przestanę.

- Czekolada - odszepnęła Daisy

- Och, przestań!

Rozmawiały przez całe zajęcia, a po ich zakończeniu Daisy zapytała Cyn, czy nie miałyby ochoty pójść na kawę do Mos Diner. Cyn zawahała się.

- Rzadko wychodzę wieczorami - przyznała z tym samym nieśmiałym wyrazem twarzy, który miała na początku.

- Jedna kawa, czarna, bez cukru - powiedziała Daisy. A jeśli ktoś słówkiem skomentuje wygląd Cyn, zabije go od razu.

Widziała siebie w Cyn: niedopuszczającą do głosu swojego prawdziwego ja. Cyn musi schudnąć, ale potrzeba jej czegoś więcej. Daisy wiele lat spędziła w przekonaniu, że gdyby była szczupła, jej życie byłoby lepsze. A to nieprawda.

Zeszczupiała, za to nerwice przybrały na sile.

Wybrały boks na końcu sali. Cyn musiała usiąść bokiem, bo jej brzuch nie mieścił się pod stołem.

- Miło jest gdzieś wyjść - powiedziała. Oczy jej błyszczały, gdy rozglądała się po restauracji.

- Chyba nie wrócę na te zajęcia - zaczęła Daisy. - Całymi latami wpadałam w panikę z powodu mojej wagi i myślałam, że jeśli będę szczupła, wszystko lepiej się zacznie układać, ale się myliłam. Teraz wydaje mi się to takie oczywiste! -

roześmiała się. Przez kilka lat była szczupła, a mimo to Alex ją opuścił. Ważny był stan jej umysłu, a nie waga. Klub dla odchudzających się to był błąd, teraz o tym wiedziała. Poczula się cudownie, kiedy to sobie uświadomiła: jakby już jakimś cudem straciła kilka kilogramów. Spokój umysłu to idealny sposób na dietę, pomyślała zadowolona.

- Ale z kim będę rozmawiać, jeśli przestaniesz przychodzić? - zapytała Cyn niespokojnie.

- Wcale nie mówiłam, że nie możemy zostać przyjaciółkami - zapewniła ją Daisy

- Szczerze?

- Szczerze. Jest ktoś, kogo moim zdaniem powinnaś poznać. Leah Meyer, właścicielka ośrodka spa Wgórze Obłoku.

- Nic o tym nie wiem. - Cyn mocniej otuliła się swetrem, jakby jeszcze bardziej chciała się ukryć. - Nie chodzę do siłowni ani nic w tym rodzaju.

Daisy ujęła ją za rękę. Cyn miała drobne palce, które teraz przywarły do dłoni Daisy.

- We Wzgórze Obłoku nie chodzi wyłącznie o diety i ćwiczenia - powiedziała łagodnie. - Tam jest... - poszukała odpowiedniego słowa - ...tam jest magia.

Pójdiesz, jeśli ci powiem, w jaki sposób mnie to miejsce pomogło?

Cyn spojrzała Daisy w oczy. Kiwnęła głową. - I nikt nie będzie się ze mnie śmiał?

- Nie. Bardzo cię polubią.

- Ale co ja bym tam robiła?

Daisy pomyślała o tym, jaki wpływ miało na nią Wgórze Obłoku. Była teraz inną osobą. Widziała świat jasno, nie była przerażoną, niespokojną nastolatką, która rzucała strachliwe spojrzenia spoza solidnego muru własnych kompleksów. Leah powiedziała jej, że wiele przecierpiała, ale wyszła z tego cało i ma przed sobą przyszłość. Jak mogłaby wyjaśnić to Cyn?

- Poznasz tam ludzi, którzy sprawią, że zaczniesz inaczej patrzeć na życie.

Przestaniesz się bać, nauczysz się lubić samą siebie.

Na twarzy Cyn pojawił się wyraz szczerzego niedowierzania.

- Zobaczysz. Mnie to się przytrafiło - dodała Daisy wesoło - a kilka miesięcy temu nie myślałam nawet, że to możliwe. Ale jest, możesz mi wierzyć.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Torba Cleo była spakowana: następnego dnia rano Leah odwoziła ją na dworzec. Na lotnisku musiała być o dziesiątej, żeby zdążyć na lot do Francji. Mama powiedziała, że nie mogą się doczekać, kiedy ją zobaczą.

- I potrzebujesz odpoczynku - martwiła się Sheila. - Sądząc z tego, co mówisz, za dużo pracujesz.

- Ja też się cieszę na to spotkanie, mam. Tęskniłam za wami.

Trish powiedziała, że kilkudniowy wyjazd to cudowny pomysł, po czym dodała, że chętnie wypuściłaby się gdzieś na weekend, ale teraz, kiedy jej inne plany nie wypaliły, nie ma nic konkretnego.

- Jakie inne plany? - zapytała Cleo.

- Carol mówiła, że z przyjaciółmi wybiera się we wrześniu do Tunezji, ale kiedy kilka dni temu ją o to zapytałam, powiedziała, że zmieniła zdanie. Nie można na niej polegać.

Cleo, która pamiętała spotkanie z Carol i musiała w milczeniu znosić, jak tamta flirtuje z Tylerem, była dumna, że nie zrobiła żadnej kąśliwej uwagi, choć mogłaby.

- Pojedźmy gdzieś pod koniec roku - zaproponowała Cleo. Od kilku dni chodziło jej to po głowie. - Mogłybyśmy zrobić sobie miesięczne wakacje. Myślałam o Australii. Wiem, że też chętnie byś się tam wybrała, a obie na to zasłużyłyśmy.

- Ojej! - pisnęła Trish, podniecona. - Super! Ale co z planami twoich rodziców, żeby we Francji otworzyć pensjonat? Nie pomożesz im?

Rodzice rzeczywiście mieli taki zamiar, ale Cleo doszła do wniosku, że nie będzie się im narzucać. Przez tyle lat byli na każde skinienie, teraz należy im się trochę czasu we dwoje. A Cleo też musi zająć się sobą. Jest dorosła.

- Dostaniesz urlop? - zapytała Trish. - Ja będę musiała błagać o miesiąc wolnego, ale mam zaległy urlop.

- Dostanę. Nie jestem przykuta do recepcji, więc czemu nie?

Przez ten miesiąc spędzony z dala od Willow rana w jej sercu może się trochę zagoi i lepiej zniesie widok rodzinnego domu przekształcanego w hotel Roth. A przecież musi też sobie radzić ze świadomością, jak mógłby wyglądać jej związek z Tylerem.

- Fantastycznie! - pisnęła Trish. - Przyjadę do ciebie i uczcimy to. Miesięczne wakacje. Hura! Zadzwoń do Eileen, a ja poszukam imprezowej sukienki.

Trzymanie rzeczy na podłodze bardzo się skomplikowało i niczego nie mogę znaleźć!

Wieczór na mieście z Eileen i Trish w dzień poprzedzający lot do Francji nie był na liście spraw, które Cleo musiała załatwić, ale uznała, że może dobrze jej zrobić. Gdyby to od niej zależało, spędziłaby ten wieczór samotnie. Eileen bardzo się ucieszyła na wieść, że przyjeżdża Trish.

- Nie widziałam jej od wieków. Założę się, że wiem, co będziemy świętować.
Czarny koń z ciebie, Cleo Malin.

- O co ci chodzi?

- Jakież dwa metry faceta? - zażartowała Eileen. - No wiesz.

- Nie mam pojęcia, o czym ty gadasz.

- Tyler Roth jest w mieście - rzuciła Eileen w desperacji.

- Tyler? Widziałas go?

- Nie wiedziałas? Myślałam, że przyjechał spotkać się z tobą i porządnie nas sobie przedstawić, bo trudno za początek znajomości uznać tamten incydent z przewracaniem się na ulicy na oczach tłumu pijaków.

- Chciałabym - powiedziała Cleo, nim zdążyła się powstrzymać.

- Nie spotkałaś się z nim?

- No wiesz, zostawiłam go wtedy bez słowa, a jak dodać do tego relację Rona o mojej wściekłości, bo jakaś podła sieć kupiła Willow, to pewnie nie kwalifikuję się na jego ulubienicę - odparła Cleo ponuro.

- Ale cię szukał?

- I mógł mnie znaleźć, tylko że tego nie zrobił. - To była bolesna prawda. Tyler dotarł za nią do domu Trish i odkrył, że jest Malinówną z Carrickwell. Dalszy ciąg, czyli osobiste spotkanie, nie nastęczał już wielkich trudności. Ale on nawet nie próbował.

- W takim razie ty powinnaś go znaleźć - oznajmiła Eileen rzeczowo.

- Ja... ale... - Cleo urwała. Nigdy o tym nie myślała, ale przecież było to wykluczone. Mężczyźni gonią za kobietami i mówią im, że je kochają. Tak to się robi, często o tym czytała. - To zależy od niego - mruknęła.

- Dlaczego?

- Bo tak jest!

- Bo tak jest w tych wszystkich kretyńskich książkach, które ciągle czytasz! Facet wskakuje na białego ogiera i pędzi do panny, a ona pada mu zemdlna do nóg - zdenerwowała się Eileen. - Dajże spokój, Cleo! Jesteś niezależną kobietą, która ma dwa razy więcej rozumu, motywacji i ambicji niż jakikolwiek mężczyzna, więc dlaczego udajesz dziewczátko i zachowujesz się jak głupia gęś w sprawie, na której naprawdę ci zależy?

Cleo była tak zszokowana, że nie potrafiła wykrztusić słowa. Normalnie Eileen do wszystkiego podchodziła na luzie. Co w nią wstąpiło?

- Odszukaj go i powiedz mu, że za nim szalejesz. Co w tym trudnego? Jeśli tak to ująć, rzeczywiście nie było to trudne. Ale jeśli wzrok mu stwardnieje, jeśli odpowie, że swoją szansę już miała? Cleo uznała, że poradziłaby sobie ze świadomością, iż Tyler nią pogardza, byle tylko nie musiała jego pogardy oglądać na własne oczy.

- Ale gdzie... ?

- W Willow, ty tępaku - warknęła Eileen. - A jeśli go tam nie będzie, powiedzą ci, gdzie go szukać. Albo zapytaj u Mo. Carrickwell nie jest wielkim miastem. Mówię ci, Cleo, nigdzie z tobą dzisiaj wieczorem nie pójde, jeśli nie spróbujesz porozmawiać z Tylerem. Nie bądź tchórzem. Co złego może ci się stać?

- Może potraktować mnie niechętnie albo powiedzieć, że nie dałam mu szansy, tylko wyciągnęłam pochopne wnioski, i poczuję się okropnie - mruknęła Cleo.

- I co z tego? Powiesz mu, że nie wie, co traci, i wyjdiesz, a potem we trójkę z Trish będziemy mogły tańczyć całą noc i znaleźć sobie innych superfacetów. Co masz do stracenia?

Cleo kończyła zmianę o czwartej, a z przyjaciółkami miała się spotkać w mieszkaniu Eileen o ósmej. Dzięki temu miała czas na dokończenie pakowania, oddzwonienie w parę miejsc i przygotowanie się do wyjścia. Ale nie tym się zajęła. Zapytała Leah, czy może pożyczyć jedną z hotelowych furgonetek, po czym natychmiast po pracy wybiegła ze Wzgórza Obłoku, wciąż ubrana w oliwkowozielony uniform.

Na bramie wisiała otwarta kłódka. W czasach, gdy mieszkała tu rodzina Cleo, bramy nigdy nie zamykano. Teraz zawiasy tak zardzewiały, że nie zdołała otworzyć jej na tyle, by zmieściła się furgonetka.

Ruszyła podjazdem, co było przedsięwzięciem dość niebezpiecznym, ponieważ miała buty na wysokich obcasach, a dziur wyraźnie przybyło. Koło hotelu stał barak, na miejscu kręciło się kilku robotników: widomy znak, że prace rozpoczęto. Cleo znowu poczuła przypływ wściekłości, że jej ukochany dom zostanie zburzony. Paru mężczyzn w odblaskowych żółtych kamizelkach i takich samych kaskach stało plecami do niej, tak więc zdołała niepostrzeżenie wśliznąć się do budynku.

W środku jej dawny dom był zaniedbany i zakurzony. Cleo z przerażeniem zobaczyła, że z holu usunięto dwustuletni marmurowy kominek. Jak oni mogli? Jeśli takie zamiary miała sięć, to Willow zostanie zniszczony. Co wstawią na to miejsce: jakąś szkaradną imitację ze złoceniami i dwoma porcelanowymi lampartami do kompletu?

Chodnik ze schodów został zdjęty, pręty z brązu, które go przytrzymały, leżały rzucone byle gdzie. Trudno było dostrzec, że najlepsze elementy

zabytkowego budynku mają stać się częścią nowego hotelu - wszystko wskazywało raczej na to, że Willow niedługo zostanie zburzony. Im dłużej Cleo rozglądała się dokoła, tym bardziej rósł jej gniew. Ten dom może i nie należy już do jej rodziny, ale ona po raz ostatni powie, co o tym sądzi.

Energicznie pomaszzerowała do baraku, przed którym wciąż stali dwaj robotnicy.

- Co się tu wyprawia, do diabła? - wrzasnęła. - To piękny stary dom, a wy go burzycie! Macie pojęcie, jak cenny był ten kominek?

- Hej, niech pani nam tego nie mówi - odparł jeden z robotników, pojednawczo unosząc ręce. - Niech pani pogada z szefem. - Ruchem głowy wskazał barak.

- Pokażcie mi szefa, a ja sobie z nim pogadam - warknęła Cleo. - Chciałabym wiedzieć, czy macie oficjalne pozwolenie na zburzenie tego domu.

W drzwiach baraku pojawił się mężczyzna. Był wysoki, miał na sobie dżinsy, T-shirt i żółtą kamizelkę. Włosy miał obcięte na krótko, ciemne oczy przymrużone i lodowaty wyraz twarzy. Tyler.

- Teraz pracuje pani w wydziale architektury? - zapytał jadownicę. - Proszę się rozejrzeć, panno Malin.

Cleo zadarła brodę.

- Witaj, Tyler - powiedziała. Dwaj robotnicy przysunęli się ku nim z wyraźnym zainteresowaniem. Tyler nic nie powiedział, tylko posłał im krótkie spojrzenie.

- Eee, tak... - mruknął jeden.

- Robota czeka...

- No to na razie. I odeszli.

- Chciałaś się na własne oczy przekonać, co ci okropni Rothowie robią z twoim cennym domem? - Gniew w jego głosie zaskoczył Cleo.

- No tak. Chciałam zobaczyć, co się tu dzieje.

- Zadowolona? Niszczymy dom zgodnie z twoimi oczekiwaniami?

Mówił twardo, uświadomiła sobie z przerażeniem Cleo. Zupełnie nie jak Tyler, którego pamiętała: mężczyzna z ironicznym poczuciem humoru i kpiącym błyskiem w oku.

- Niszczenie to właściwe słowo - odparła.

- Prawdę mówiąc, wynajęliśmy architekta, który specjalizuje się w starych dworach, bo chcemy mieć pewność, że podczas renowacji dochowamy wierności historycznemu charakterowi budynku i nic nie ulegnie zniszczeniu. I w tym celu usunęliśmy cenne elementy. Nie można więc powiedzieć, że burzymy. A ty mnie okłamałaś.

- A ty niby byłeś taki prawdomówny! - odpaliła Cleo, zbita z tropu jego chłodem. - Słowem nie wspomniałeś o kupnie hotelu w Carrickwell, choć spotkałeś mnie w tym mieście. Nie wpadło ci do głowy, żeby coś powiedzieć? - Jeśli on zamierza zachowywać się nieprzyjemnie i zimno, to ona odpłaci mu tym samym. A jeśli taki jest prawdziwy Tyler Roth, to postąpiła słusznie, odchodząc wtedy bez słowa.

- Ukrywanie ważnych faktów było wtedy w modzie - powiedział ostro. - Uważałem, że nie powinienem cię zanudzać swoimi zawodowymi planami. Myślałem, że jesteś piękną, seksowną dziewczyną z małego miasta, a nie koniem trojańskim.

Cleo poczuła, jak krew uderza jej do głowy. Mogła mu powiedzieć, że podała fałszywe nazwisko, bo nie chciała, żeby litował się nad nią i jej rodziną z powodu tego, co utracili. Nie zamierzała jednak zniżać się do wyjaśniania motywów swojego postępowania. W każdym razie nie przed tym zimnym, aroganckim draniem.

- Wiem, że masz wielkie plany względem Willow. Och, przepraszam, obecnie to hotel Roth w Carrickwell. Kolejne nacięcie na ramie twojego łóżka albo punkt na mapie imperium. Chociaż przypuszczalnie twoje łóżko i imperium nakładają się na siebie. Jestem pewna, że zatrudniacie w hotelach mnóstwo chętnych dziewcząt.

- Co noc inna - powiedział z sarkazmem. - Widziałaś plany tej nocy, kiedy była twoja kolej. Czy dlatego uciekłaś?

- Widziałam je - przyznała cicho, wspominając szok, jakiego doznała na widok nowego, ulepszanego Willow Wyglądał zupełnie inaczej: był wielki i elegancki. - Przypuszczam, że przed otwarciem nowego hotelu spotykasz się z personelem i budujesz ich pewność siebie opowiadaniem, jak to znalazłeś ten wiejski hotel, który rodzina Malinów doprowadziła do bankructwa, kupiłeś go i zmieniłeś w perłę w koronie europejskiego imperium Rothów.

Spojrzał na nią ciekawie.

- Tak myślisz? Ze kupuję mały hotel i wyśmiewam się z ludzi, którzy poświęcili mu trzydzieści lat swego życia?

- A czy nie na tym polega plan? - zapytała z goryczą, mając przed oczami smutną twarz ojca, którą widywała przez te ostatnie miesiące, kiedy hotel nie przynosił zysków. - Uczynić z hotelu cudo i śmiać się z nas?

- Och, dajże spokój, Cleo. - Jego gniew minął. - Przestań uprawiać te gierki.

Jestem zmęczony: sporo podróżowałem. Przyjechałem tu wczoraj, a przez ostatnie dwa tygodnie leciałem sześcioma samolotami i mam za sobą więcej stref

czasowych, niż mogę znieść. Nie dam rady znosić jeszcze ciebie, Cleo. Wracaj do domu.

- To jest mój dom! - krzyknęła.

- Już nie. Wracaj do Wzgórza Obłoku. Byłem tam parę tygodni temu i przekonałem się, że popełniłem wielki błąd. Nie jesteś taka, jak myślałem, i nie chodzi mi wcale o twoje nazwisko. Nie marnowałaś czasu po tym, jak mnie zostawiłaś, prawda?

Cleo nie rozumiała, co przez to chciał powiedzieć, w myślach miała zamęt.

- Nie wiem, o czym mówisz. Przyszłam, żeby powiedzieć ci prawdę. Dlaczego wtedy uciekłam.

- Nie fatyguj się - odparł obojętnie. - Nie chcę wiedzieć. Ruszył w kierunku domu, zostawiając Cleo, która bezradnie wpatrywała się w jego plecy.

Jak on śmie? Potykając się, poszła do furtki, wściekła na siebie, że posłuchała Eileen, i trzy razy bardziej wściekła na ~ Tylera, że tak ją potraktował. Co ona w ogóle w nim widziała? I co to miało znaczyć, że ona jest inna niż sądził? Mówił zagadkami.

Był tutaj dwa tygodnie temu - zraniło ją, że nie próbował jej odszukać. Tak właśnie postąpiłby prawdziwy mężczyzna: popędziłby swoim lśniącym czarnym samochodem do Wzgórza Obłoku i kazał jej wsiadać... Wzgórze Obłoku? Co miał na myśli, mówiąc, że tam był? Ona na pewno go nie widziała. A potem sobie przypomniała. Dwa tygodnie temu Jason i Liz podwieźli ją po kolacji u Sondry i Barneya. Na parkingu uściskała serdecznie Jasona. Pamiętała, jak miło było znaleźć się znowu w objęciach brata. Na pożegnanie pomachała jemu i Liz. I przypomniała sobie obcy samochód. Czy to mógł być Tyler?

Tyler pomyślał, że Jason jest jej kochankiem! Nic dziwnego, że się rozgniewał. Przyjechał do ośrodka, zobaczył ją ściskającą się z mężczyzną i zły odjechał. Tak to musiało być, pomyślała z radością. Więc z jego strony to jednak nie była niechęć! Wręcz przeciwnie.

Ale jak mógł uwierzyć, że interesuje ją inny facet? Idiota. Powinien był jej zaufać, a gdyby był mężczyzną, to przyszedłby do niej, powiedział, że to bez znaczenia, że ją kocha, że wszystko sobie wyjaśnią...

Cleo zatrzymała się. Znowu to robiła: snuła fantazje z przeszłości, tak jak mówiła Eileen. Tyler nie był rycerzem na białym koniu - był mężczyzną, który szalał na jej punkcie, a teraz sądził, że ona go nie chce, bo spotyka się z innym.

Tylko jedna osoba mogła to wyjaśnić i tą osobą nie był on. Rolę rycerza na białym koniu musiała odegrać Cleo.

Okręciła się na pięcie i omijając dziury, pomaszerowała w kierunku domu. Kiedy weszła do środka, jej wysokie obcasy głośno stuknęły o parkiet.

- Tyler, chcę z tobą pomówić.

Siedział na pierwszym stopniu schodów i wyglądał na śmiertelnie wyczerpanego.

- Mów.

Czując, że sytuacja jest dla niej niekorzystna, bo górowała nad nim jak jakaś potężna walkiria, Cleo podeszła i zaczerpnęła powietrza.

- Zostawiłam cię wtedy, bo się zdenerwowałam, kiedy zobaczyłam, co chcesz zrobić z moim domem. Ale powinnam była dać ci szansę na wytłumaczenie się. Chciałam ci to powiedzieć i przeprosić.

- Dlatego tu przyszedłeś? - zapytał cicho.

Z jego twarzy nic nie można było odczytać, choć Cleo wiedziała, co zaraz usłyszy. „Daj sobie spokój, Cleo”, coś w tym rodzaju.

- Tak - oznajmiła z dumą. - Spieprzyłam sprawę i nie wstydę się do tego przyznać. Szalałam na twoim punkcie ale chyba muszę sobie wybić cię z głowy. - W tym momencie odwaga zaczęła ją opuszczać. Tyler milczał, patrzył na nią zimno. To beznadziejne, nie powinna była wracać. Nie obchodziło go, czy obejmowała brata, czy innego mężczyznę. - Nie wiesz, co tracisz, Tylerze, bo jestem szczerą i otwartą, nasza miłość mogłaby być cudowna, ale tobie zabrakło odwagi, żeby mnie zapytać, co do ciebie czuję. Odpowiedziałabym, że cię kocham, a ten mężczyzna, którego dwa tygodnie temu obejmowałam przed Wzgórzem Obłoku, to mój brat Jason. Ale ty tego nie zrobiłeś. Do widzenia. - W duchu dodała: „Wiedziałam!”.

Odwracając się zamaszyście, zahaczyła obcasem o luźny kawałek parkietu.

Straciła równowagę i przewróciłaby się na plecy, gdyby w porę nie pochwyciły jej silne ramiona.

- Czy weszło ci w nawyk wpadanie w męskie objęcia? - zapytał Tyler.

Cleo zabrakło powietrza, gdy w jego wzroku zobaczyła ogromną radość. Wciąż trzymał ją w objęciach, blisko siebie miała jego usta. Wydawało jej się, że się zbliżają, jak w ulubionych powieściach sióstr Rodriguez...

- Do diabła - powiedziała nagle, przyciągnęła jego głowę i pocałowała go. -

Chciałam, żebyś wiedział, że nie jestem jedną z twoich dziewczątek - oznajmiła, kiedy się od siebie odsunęli.

Leniwy uśmiech Tylera sprawił, że Cleo nagle przeszedł dreszcz.

- Nigdy nie myślałem, że jesteś.

Epilog

CZTERY MIESIĄCE PÓŹNIEJ

Daleko w dole Mel widziała Carrickwell, które w zimowy wieczór rozciągało się niczym aksamitny płaszcz ozdobiony lampkami choinkowymi. Lampki przypomniały jej o wszystkich nieskończonych obowiązkach bożonarodzeniowych, którymi powinna się teraz zajmować, zamiast rozkoszować się gorącą kąpielą we Wzgórzu Obłoku, popijać kawę mokka i gawędzić z Caroline, Leah i Cyn.

Górze Carraig pokrywał śnieg, powietrze było mroźne, ale nawet przy otwartych drzwiach w pomieszczeniu kąpielowym panowało cudowne ciepło.

- Powinam mieć okropne wyrzuty sumienia, że tu leżę - powiedziała Mel, wyciągając z rozkoszą nogę. - Boże Narodzenie za tydzień, powinam biegać po sklepach, kupować prezenty od Świętego Mikołaja i panikować, czy mam paczuszkę dla każdego.

- Ja też - odparła Cyn. - W zeszłym tygodniu poszłam na zakupy, ale w końcu kupiłam tylko ubrania dla siebie, a nie prezenty. - Oczy jej błyszczały, sprawiała wrażenie tak zadowolonej i ożywionej, że pozostałe kobiety uśmiechnęły się na widok jej radości. - Wiedziałyście, że można kupić jedwabne staniki, które się wiąże z przodu? Mam dwa. Wyobraźcie mnie sobie w wiązonym jedwabnym staniku! Nigdy nie myślałam, że tego dożyję.

Odpowiedział jej śmiech.

Mel pomyślała, że w Cyn zaszła wręcz niewiarygodna zmiana. Kiedy ją poznała, nie wierzyła, że nawet Leah będzie mogła uratować tę przerażoną, samotną dziewczynę pograżoną w pogardzie do siebie. Wielkim problemem Cyn nie była jej tusza, ale przekonanie, że na nic lepszego nie zasługuje.

Leah ze swym talentem radzenia sobie z ludźmi nieszczęśliwymi jakimś cudem zdołała jednak skłonić Cyn, by ta uwierzyła w siebie, i dała jej nadzieję. Cyn nigdy nie będzie wiotka, ale przestała być niebezpiecznie otyła. Cieszyła się dostatecznie dobrym zdrowiem, żeby chodzić na siłownię i czerpała przyjemność ze swojego życia.

W życiu każdej z nich wiele się zmieniło, rozmyślała Mel, i wszystkie zawdzięczają to Leah.

- Daisy mówiła, że zastanawia się nad otwarciem stoiska z bielizną w Georgia's Tiara - zdradziła Caroline. - To świetny pomysł. Ona kupuje takie śliczne, kobiece rzeczy, chętnie bym zobaczyła, jaką bieliznę wybierze. A mężczyźni też by się ucieszyli, bo wystarczyłoby, żeby w sklepie mruknęli, że chodzi im o

prezent pod choinkę, i Daisy podałyby im ładne pudełko. Nic więcej nie musieliby robić.

- Taki prezent Graham kupuje ci pod choinkę? - zażartowała Mel łagodnie. Cyn nie była jedyną, która promieniała radością. Caroline i Graham poradzili sobie z cierpieniem wywołanym jego zdradą i teraz byli silniejsi niż przedtem.

Gdyby Mel na własne oczy nie widziała cierpienia przyjaciółki, powiedziałyby, że romans Grahama wzmocnił ich małżeństwo. Tak łatwo wpaść w pułapkę traktowania obecności partnera jako rzeczy oczywistej. Najwyraźniej kiedy Graham uświadomił sobie, co może stracić, przeżył wstrząs.

- Zmieniliśmy się - wyjaśniła Caroline wcześniej, kiedy pływały w basenie. - Teraz jest inaczej. Oboje jesteśmy inni, ale mamy więcej szacunku dla siebie wzajemnie.

Czy to ma sens? Wiemy, że musimy pracować nad utrzymaniem naszego małżeństwa, ale to warte jest wysiłków. Teraz Caroline ze śmiechem powiedziała:

- Graham nie należy do mężczyzn, którzy wchodzą do sklepu z damską odzieżą i kupują bieliznę, możesz mi wierzyć. A Adrian?

Mel z uczuciem pomyślała o swoim mężu. Skoczyłby dla niej w ogień i był dostatecznie nowoczesny, żeby nie rumienić się na myśl o kupnie stanika.

Wiedział, co Mel się podoba i znał jej rozmiar, problemem jednak były pieniądze. Chociaż pracowała teraz na pół etatu, wciąż nie mogli sobie pozwolić na luksusy.

Oszczędzali, żeby zmienić centralne ogrzewanie z beznadziejnego olejowego na gazowe, więc wiązane staniki zajmowały jedno z ostatnich miejsc na liście priorytetów. Poza tym list Carrie do Świętego Mikołaja długością niemal dorównywał listowi jej siostry. Święty będzie potrzebował wielu sań i dodatkowe orzechy dla reniferów, żeby przywieźć z bieguna północnego wszystko to, o co prosiła Sara.

Mel w końcu zrealizowała zamówienia dziewczynek, a pozostali członkowie rodziny będą musieli zadowolić się drobiazgami. Cóż, Boże Narodzenie to czas dzieci, prawda?

- Adrian bez oporów poszedłby kupić bieliznę, ale staramy się kontrolować wydatki, bo oszczędzamy na nowe ogrzewanie - powiedziała szczerze. Gdyby Leah nie nalegała, żeby obie z Caroline skorzystały z bezpłatnego dnia zabiegów, też by jej tutaj nie było. Praca trzy razy w tygodniu przy przepisywaniu kaset w Carrickwell Secretarial Services nie dawała kokosów, chociaż Mel w podniecenie wprowadził cudowny plan, który przedstawiła jej Leah.

Na swój łagodny sposób zaprosiła ją do gabinetu i wyjaśniła, że od stycznia nie będzie Cleo, co oznacza, że trzeba znaleźć kogoś na jej miejsce. Cleo najpierw wyjeżdżała na miesiąc do Australii ze swoją przyjaciółką Trish.

- Tylerowi wciąż w głowie się nie mieści, że wyjeżdża sama - zauważyła Leah z rozbawieniem. - Jest przyzwyczajony do stawiania na swoim. Cleo to odpowiednia dziewczyna dla niego.

Mel uśmiechnęła się do wyobrażenia przystojnego Tylera, którego jeszcze nie zdążyła poznać, stawiającego czoło żelaznej woli Cleo Malin.

A po wakacjach Cleo jedzie do Nowego Jorku, żeby w hotelu Manhattan Roth odbyć staż dla menedżerów hotelowych.

- Tyler przekonał ją, żeby wysłała podanie, chociaż ona się uparła, że nie będzie korzystać z jego pomocy i podpisała się „Malley” - ciągnęła Leah. - Powiedziała, że chce dostać miejsce uczciwie, i to jej się udało. A to sprowadza nas do moich problemów z personelem. Wiem, że chcesz pracować tylko na godziny wiem też, że nie masz doświadczenia w prowadzeniu recepcji, ale uważam, że jesteś osobą, jakiej tu potrzebujemy. Rozważysz pracę przez kilka godzin tygodniowo? Byłabyś pożądanym nabytkiem w naszym gronie. Zastanów się nad tym, Mel.

Odpowiedziała, że się zastanowi, choć chciała tylko porozmawiać najpierw z Adrianem. Praca w ośrodku nie była skomplikowana. Mel wiedziała, że będzie sprawiała jej wielką przyjemność.

- Szkoda, że Daisy nie ma - powiedziała Cyn, kończąc kawę. - Brakuje mi jej. Nienawidzę chodzić sama do siłowni. Ale obie z mamą znalazły świetną ofertę na dwutygodniowy pobyt w Maroku.

- Ciotka Daisy pojechała z nimi? - zapytała Mel. Cyn kiwnęła głową.

- Nigdy wcześniej razem nie wyjeżdżały, możecie w to uwierzyć? Matka chce latem pojechać na plenery malarskie do Włoch i próbuje do tego przekonać Daisy. Mówi, że na takich wyjazdach jest mnóstwo sympatycznych wolnych mężczyzn.

- Myślałam, że Daisy chce pojechać na wyprawę do Peru - odparła Mel zaskoczona. - Tak mi mówiła, kiedy ostatnio się widziałyśmy.

Daisy wkroczyła w samotność z klasą i zadziwiła Mel energią, z którą podejmowała nowe wyzwania. W ciągu kilku ostatnich miesięcy próbowała nurkowania („Nie dla mnie. Powinnam była wiedzieć, że nie lubię wkładać głowy pod prysznic”), uczyła się tańczyć salsę („Fantastyczne!”) i chodziła po górach. Salsa przemawiała do jej wycucia mody i rytmu, podczas gdy górskie wędrówki stanowiły rewelacyjne ćwiczenia fizyczne.

- Bolał cię miejsca, o których nawet nie wiedziałaś, że je masz - mówiła - ale to takie satysfakcjonujące. Uwielbiam góry. Mam kilka folderów o wycieczkach, w czasie których idzie się Szlakiem Inków do Machu Picchu. Bardzo bym chciała pojechać, udział w tych wyprawach biorą ludzie w każdym wieku. Tylko trzeba zachować ostrożność, bo można dostać choroby wysokościowej. Nie da się przewidzieć, kto zachoruje, więc taka staruszka jak ja może spokojnie zaryzykować.

- Jeśli ty w wieku trzydziestu pięciu lat jesteś staruszką, to ja potrzebuję wózka - zażartowała Mel.

- Może zrealizuje oba plany - powiedziała teraz Leah. - Peru i plenery malarskie. Cudownie widzieć, że jest szczęśliwa.

Pozostałe kobiety kiwnęły głowami. Daisy, choć w pracy odnosiła sukcesy, wciąż odznaczała się pewną kruchością i ludzie, którzy ją kochali, pragnęli ją ochraniać. Mel spojrzała na zegar. Prawie szósta. Niedługo będzie musiała się zbierać, bo dziewczynkami opiekowała się jej matka, a ona obiecała, że będzie w domu o wpół do siódmej.

Pozostała jedna rzecz, o której chciała wspomnieć Leah. Skoro ma pracować we Wzgórzu Obłoku, może przedstawiać propozycje.

- Leah, wpadłam na wspaniały pomysł - powiedziała. - Pamiętasz, jak opowiadałaś nam o Wzgórzu Obłoku w Stanach i o ich działalności dobroczynnej? Tutaj też mogłybyśmy to robić. Czytałam o kobiecie z dwójką autystycznych dzieci. Raz na rok dzieci dostają opiekę, żeby mogła pojechać na wakacje, ale ona zbyt jest roztrzęsiona, żeby gdziekolwiek się wybrać. Pomyślałam...

- Mel, przerażasz mnie! - przerwała jej Leah. - Też czytałam ten artykuł. Jest w jednym w nowych czasopiśmie, które Cleo sprowadziła do pokoju relaksacyjnego. Wpadł mi w ręce wczoraj i pomyślałam o tym samym.

- Rodzice mogliby przyjeżdżać tutaj - powiedziała Mel.

- Właśnie. Czy to oznacza, że przyłączasz się do zespołu?

- Tak - roześmiała się Mel. - Ale muszę przestać podejmować decyzje, nie uprzedzając wcześniej Adriana.

Z entuzjazmem rozmawiały o nowym pomysle, później znowu zapadła cisza.

Leah patrzyła na krajobraz za oknem i myślała o radości, którą dało jej Wzgórze Obłoku w Carrickwell. Dotknęła naszyjnika z kryształów. To był jej talizman, kolejna pamiątka po ukochanym Jessem. Pokochałby to miejsce, pomyślała, pokochałby tutejszy spokój i uzdrawiające właściwości tego miejsca.

Boże Narodzenie było dla niej słodko-gorzkiem okresem. Lubiła święta, ale na myśl o swej stracie czuła ból. Tak bardzo tęskniła za synem. A mimo to Jesse był przy niej: na zawsze pozostał w jej sercu. Miała nadzieję, że gdyby teraz mógł ją zobaczyć, byłby dumny ze swej matki.